



3758

III. Mag. St. Dr.

P

POËTAE POLON.

Poët. ^{N.} 1822.

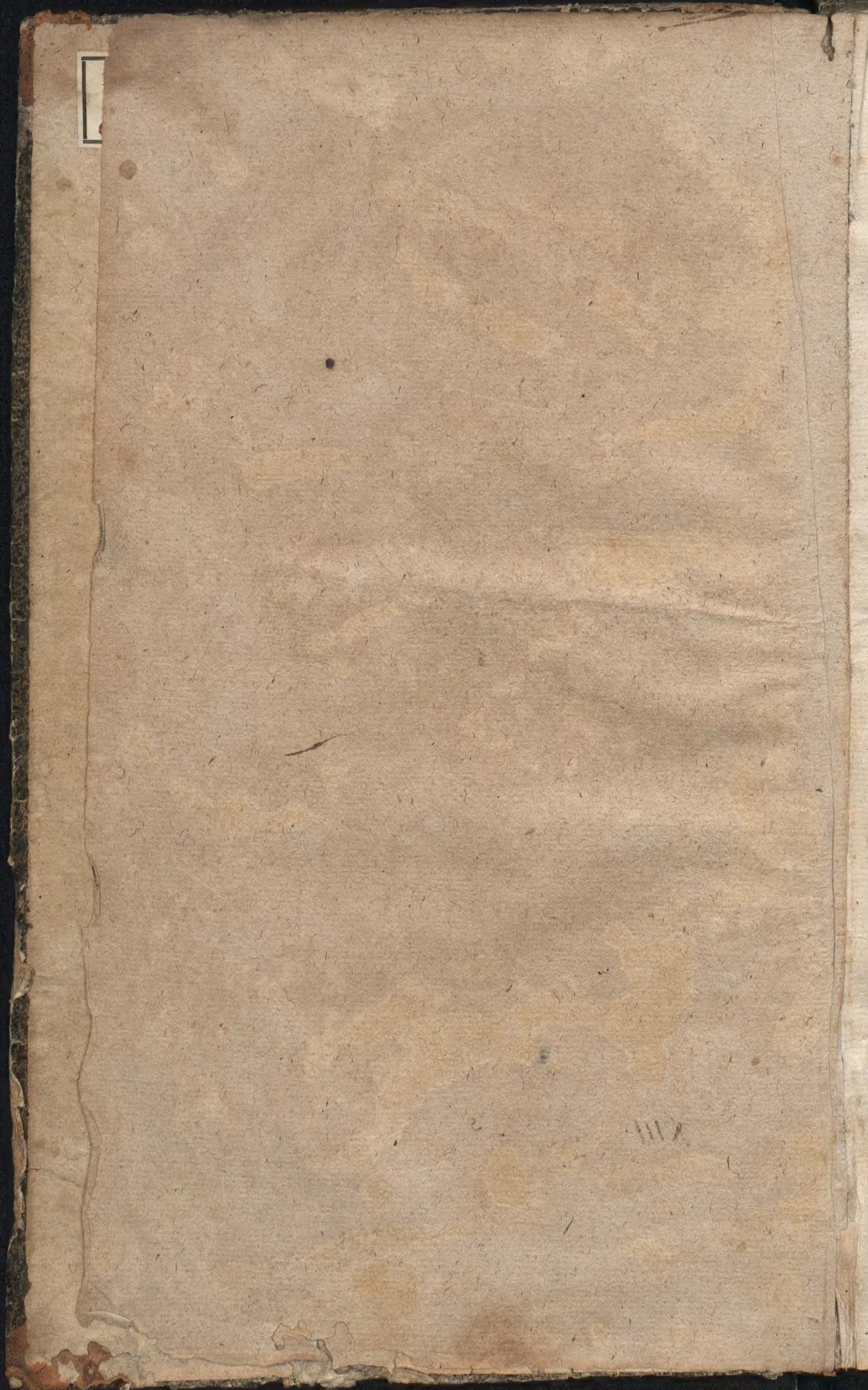


7 III

87.

~~240~~

XIII 2. 35.



HISTORYA TELEMAKA

SYNAULISSESA
KROLA GRECKIEGO
ITAKU.

Ktory Oycaswoiego z pod Troi
bładzacego szukał.

DROGI, EXPEDYCYE,
AWANTURY JEGO,

DZIWNE Y ROZNE

Przez iednego wybornego Authora, w ięzyku
Francuskim, mądrym Konceptem, solutè

WYPISANE Y DRUKOWANE

A zaś, Polskim wierszem, w Książ dziedzieć

PRZETŁUMACZONE.

Przez

JANA JABŁONOWSKIEGO
WOIEWODE RUSKIEGO.

W Drukarni J. K. M. Collegium Sandomierskiego

Soc: J E S U Roku 1726.

Z Dozwoleniem Starszych.



378 III



Do Łaskawego Czytelnika

Nie wstydze się, na starość bajki pisać. Y lubo to, temu wiekowi, często Puerilia przypisują, y w rozumach wystarzałych, Tristisq; Senectus, w bajkach rozerwania szukać zwykła; la sie spodziewam, że nagany ani censury mieć nie bede, z takiej: która nie tylko iako owego Poëty: Et partem veri Fabula semper habet; ale która, cała jest prawda. Nie pierwszy, ten to Author jest, któregom to la po Polsku przetłumaczył, który istney prawdy, dowcipney nauki, moralney admonicyi, śliczne y żywe kolory, albo zmyślonych akcyj, albo Imion cieniami, oświecił, y odmalował. Zebym, nayważniejszy na świecie Authoritatem, y przykład, temu pisania zwyczajowi dał: Podźmy do rzrodła Przedwieczney Prawdy; á obaczemy, że Chrystus in Parabolis locutus. Y kiedy owo w Ewangeliey słyszemy: Wyszedł Oracz y posiał; Zaciągnął Pan do Winnicy, Robotników; Sprawił Krol ieden wieczera wielką &c. Wszystko to są ciemne rzeczy, y historyj niebytych, oryginal, prawdy y nauki Chrystusowe objaśniający, y odmaluujący. Y gdy się nie raz z sobą biedził, iako to być mogło! żeby w owym słońcu, prawdy nieskażitelney, Chrystusie, y w uścieniach jego, by naymniejszy podobieństwo, rzeczy niebytych odezwawało się! iako to w tych Parabolach! Inszey nie znalazłem racyi, Tylko, że skażitelna natura nasza, y iadem nieprawdy zarazona, Omnis homo mendax; inaczejby gorzkości prawdy y nauki, naturze się sprzeciwiały, nie przyięta, tylko w postaci, y w podobieństwie nieprawdy; Y że z nami, modica fidei, iako się Chrystus nie raz skarzył, postępować musiał iak aptekarz, co pigułki złości. Iuż tedy, mądre y moralney nauki pełne powieści, authoritatem od samego Chrystusa mają. Dopieroż, kiedy do Pogańskiej starożytności przyjdziemy! Cała ich Theologia, na Bayce, iako nasza na Biblii y Ewangelii stała. Wziąć Metamorphoses Owidyusza, Magnorum facta Decorum, nic, tylko bajka. Ale pójść znów, do ich Mythologiey? to jest Commentarzow y tłumaczenia baiek! wszystkie nauke cnoty, y dobrych obyczajow wyczerpniesz. Naprzykład: Bajka Bellerophonta, jest taka: Bellerophon, wygnany z Państwa swego, ucieka się do dworu y Państwa Krola sąsiada Agenora; Którego Zona Stenobea, nie godzi-

wemi zaięła się ku niemu zapalami; Ow zaś Bellerophon, nie chcąc
Gospodarza y Opiekuna swego cudzołożnym urazić asfrontem, wzgar-
dził nią, a w Corce, godziwą zakochał się na Matężństwo miłością.
Stenobea wzgardzona, czarownemi sztukami, wyrobiła monstrum chy-
mere, która miała zęby y przód Lwi, zad Kozła, a ogon smoczy. To
monstrum, gdy kray pustoszyło, radzono się Oraculum Bożyszczu; A
to z namowy samey Stenobey, powiedziało: Kray się nie uwolni od te-
go monstrum, aż Krolewnę do skały przykuja, aby od chymery zie-
dziona została. Bollerophon, udawszy się do cnotliwej Bogini Pallady
y Apollina, strzymał konia skrzydlatego Pegaza, na którym Chy-
mere latając z góry zabił, y Pannę sobie uwolnił. To bajka. Explika-
cya zaś iey taka: Chymera ta, jest niegodziwa cudzołożna miłość,
która ma początek zawsze gwałtowny, w zapalach swoich, y to się głó-
wą Lwią wydaie; Jrzodek miłości jest lubieżność, którą symbolizuje
Kozioł; a koniec wszetecznych amorow, gadu, y iadu, y otrutey poście-
chy pełen; Ze się śmiercią, albo dziwnemi kończy nieszczęściami. Ze
tedy Bellerophon, miłość Stenobey nieuciwa zwyciężył! bajka zwy-
cięzoney Chymery, to pokryto. Takich Mithyologie, pełne są baiek. Ale
piękniejszy, y rozumniejszy, y poćciwszy, na nauce wszelkim stá-
nom znaleźć trudno, nad te, Telemaka Awantury. Ktorych Funda-
ment, wziął z Odyssy Homera, naystarszego Póëty Greckiego o woy-
nie Trojańskiej, Wielki ieden y Swiatobliwy Człowiek, Pan y Xiądz
Fenclon, Arcybiskup Cambreński, wysokiego domu, nauki, y dowcipu.
Ktorego, Krol Francuski, Ludwik 14. uczynił Nauczycielem Wnuka
swego starszego, Xiećja Burgundyi, Krolestwa Francuskiego Dziedzi-
ca. Aten Prałat, chcąc młodemu Krol-wicowi, wszystkie Cnor inspi-
rować sentymenta, a osobliwie nauce dobrego panowania, y podda-
nych swych kochania: te wykonceptował bajke, od naymedrszych
historyj piękniejsza; Która Krolewie mile, iak bajke młody, czytał; a
iak przyszły Krol, mądrości się Krolewskiej uczył. Nie zalecam la-
tey Księgi; Bo się sama zaleca. Ani się z swojej pracy chlubię, Bom
nic swego nie przydał. Ieżeli Póëzya moja zarobi na censure? nie
przepraszam, ani się z niey wypraszam; Bom to w okropnym, y czte-
roletnym więzieniu swoim, pisał; przykry y długi czas eludendo, a
iak Francuzi mówią: zabijałem czas. Sobiemem pisał, y sobie errabam.
Ieśli kto taskawie przyjmie! dość bede miał nadgrody za prace, kie-
dy przyzna: że mądre, y dobre rzeczy cudze, dobrze przetłumaczy-
łem. Zem zaś pozwolił drukować, y swoje Imię przydać? Niech ma
czytelnik obligacya, Przyjaciółom moim, y Zacney iedney Krewney
moiey; Która wysokością rozumu, y pobożnością, upodobaniem w Ksie-
gach, tak jest znaczna, iako jest Zaczna. A ci, y Ta, przymusili mnie,
abym zabawę, wraz y naukę, w tey Księdze, Polszcze dał. Co
czynie.

TELE

TELEMAKA
SYNA ULISSESSOWEGO
Awantur y Expedycyi roznych

X I Ę G A
P I E R W S Z A.

SUMMARYUSZ XIEGI PIERWSZEY.

Telemak Syn Ulissesa w Kompaniey z Minerwa pod Figurą Mentora będący, wyrzucony przez nawałność Morską wchodzi na Insulę Kalipsy, y iest dobrze od niey przyiety. Kálipso go prosi aby iey uczynił relacyą swoich awantur y przypadekow, co czyni y poczyną od swego wyjazdu z Itáku. Telemak uchránia się w podkaniu się z Flotą Trojańską, y przypływa do Sycylii.

A

Prezen-

Prezentuią go Acestowi który, go chce zabić
 na Ofiarę na Grobie Anchizefa. Mentor
 prorokuie Acestowi: że za trzy dni dzięki Ná-
 rody go nápadną, y radzi mu áby się dobrze
 pilnował. To Proroctwo salwuię życie, Te-
 lemakowi y Mentorowi, którzy wsiadaia na O-
 kręt Pheniceński który iest złapany od Egi-
 pcyanow, y do Egiptu poprowadzony. Obay
 są prezentowani Krolowi Sesostris, który za-
 biera áffekt do Telemaká. Obay są zdrá-
 dzeni przez faworyta Krolewskiego Metophis,
 który Telemaka z Mentorem, w niewolą
 odsyła. Telemak bydło pásie, prowadzi
 miłe życie z drugimi Pásterzami, których ro-
 żnych rzeczy uczy. Zábiiá Lwa, która akcya
 dochodzi aż do Dworu, y iego samego tam
 sprowadzá. Przychodzi do łaski Krola Seso-
 stris, który mu obiecuie Okręt na continua-
 cya dalszą iego drogi. Śmierć Krola Sesostris.
 Bokoris Syn Krola Sesostris zamyka Telemaka
 w Wieży. Śmierć Krola Bokoris. Telemak
 wypuszczony przez iego Sukcessora y popro-
 wadzony do Tyru. Obyczáie Phenicyánów
 z opisaniem Pigmalioná Krola Tyru, ktorego
 záiadłości uchrania się przez rádę Nárbalá y
 wyiezdzá z Phenicyi. Kalipso tą relacyą á-
 wántur Telemaka bardzo się kontentuię, od-
 kłada ostatek do iutra. Telemak, y Mentor od-
 niey odchodzą. Náuka Mentora Telemakowi
 z strony relácii, którą czynił Kalipsie.

Kalipso

K Alipso * tak z odiazu Ulissea była
 Smetná, że choć Bogini śmierć sobie zyczyła,
 Y groty iey zámilkły (co iey głosem brzmiały)
 Y Nymfy iey posłuszne przemówić nie śmiały,
 Po murawie kwiat pełney choć się przechodziła,
 Ná ktorey Wiosná wieczná iak y w wyspie była,
 Lecz te miejsca iey żálu nie mniejszyły cále,
 Ráczey pomniac * Ulissę wzbudzały w niey żale,
 Dretwiała iako kámién nad tym morzá brzegiem,
 Z ktorego był Ulisses uciekł zdračnym biegiem,
 To miejsce oblewając swemi nie raz łzami
 Z ktorego Uliss z niknął przed iey był oczámi.
 Ale gdy raz w tych myślách utopioná chodźi,
 Y żále nie spokojne tam sobie rozwodźi,
 Obáczy rozbitego káwalce okretu,
 Deszczki, dyle, y wiosła, złamane do szczetu,
 Liny, zágle, y maszty ná brzeg rozrzucone,
 Lecz y dwóch ludzi widźi, idacych w też stronę.
 Z ktorych ieden był stárszy, Drugi młodźszy twárza,
 W nim linie, Ulissa podobieństwo żarzą.
 Przyjemność słodko miła, w minie okazały,
 Wzrost, stan, choď Ulissea, w nim wszystko wspaniały.
 Poznáła to Bogini, że Syn Bohatyrá
 Był to tego, Telemak. * Ná stárcá poziera
 Co z nim idzie, ále go cále nie poznáie.
 Bo lubo Bogom wszystko poznáwac się dáie,
 Jednák wyżsi Bogowie niższym zakryć mogą.
 Y tu pod tą figurą stáruszka uboga
 Y Mentora * imieniem Minerwá się skryła
 A wszędzie z Telemakiem w kompaniy była.
 Kalipso zaś tak z tego przypadku wesola
 (Który Syná Ulissa podobnego z czoła
 Ná iey brzeg wyprowadził) Ku nim się przybliża
 Y nie pyta ktoby był. Ale się náieża
 Zkad ta śmiałość (nań krzyknie) tknac się Wyspy moiey?
 Wiedz młody Cudzoziemcze, że się każdy boi,
 Y bez káry nie wnidzie nikt, do Państwa mego.
 Tak pod słowy groźnemi wesela znaczengo
 Passya chciała pokryć, która w sercu miała
 Lecz nie mniey się ná iey twarz radość dobywała.

* Kalipso
 była Rogini
 niższego
 rzędu ie-
 dnak nie
 śmiertelna.

*Ulisses, z
 pod Troi
 powracaia-
 cy y bła-
 dzący na
 iey wyspie
 był wyhań-
 w zgardzi
 wszyscy mi-
 łośńia uciekł.

* Telemak
 Syn Ulissea

* Minerwa
 Grekom ta-
 skawa pod
 Figurą y
 imieniem
 Mentora
 wszędzie
 Telemakowi
 asystowała.

A ná to icy Telemak te odpowiedź czyni
 O Ty czyś Ty śmiertelna, czy jesteś Bogini?
 Nie wzruszysz się niešťczęściem Syná takowego,
 Który ná dyskrecyi wiatrow, Oycá swego
 Szukał, y widział Okret o Twoy brzeg rozbity,
 A któż Twoy Oćiec [spyta Bogini] ktoś y Ty.
 Imie iego Uliſſes, Ieden z Krolow meźnych
 Który dzieſięcioletnich po ſzturmach poľźnych
 Wywrocił Troie sławną. Imie ſwoie wſławił
 Nie tylko mešťwem dźilnym, ále że wyſtawił
 Madrość rady przezorna. Lecz bładzały potem
 Zbiegał morze y Ziemie z niezmiernym kľopotem.
 Oyczyzná iego zda ſię że przed nim ućieká;
 * Penelope zaś Zoná daremnie nań czeka,
 Y ia Syn nie mogliſzy ſię doczekać powrotu
 Zázywam y dowćipu, y ſerca obrotu,
 Biegam zá nim y rowne mam niebeſpieczeńſtwa,
 Dla pewney o nim wieſci ponofzę meczeńſtwa.
 Zlituy ſię nád niešťczesnym (ieſli wieſz Bogini)
 Powieď Telemákowi Czy żyć? Co czyni?

* Penelope U.
 liſſesa Zona.
 Matka Tele-
 maka.

Kálipſo nád wymowa mľodźianá zdumioná
 Madroſcią przy mľodoſci iego przerażoná
 Nie mogła oczu napáſć ná niego pátrzeniem,
 Paſſye pokrywała ſwym dľugim milczeniem.
 Wiemy (O Telemaku) co ſię z Oycem ſtało
 (Rzecz) Lecz cháſu ná to potrzeba niemało
 Wnidź do mego mieſzkaniá, Synu godny; raczy
 Czás ſpokojnie odpocząć po tak ciężkiej pracy
 Przyime Cie iáko Syná. Będzieſz mey puſtynie
 Pociechá. Y Twe ſzczeſcie (byleś chćiał) uczynie.

Telemak zá Boginiá poſzedł obtoczoná
 Nymphami, która wzroſtem nie tylko Korona,
 Przewyſzyla ie, iáko dáb ow rozłozylſy
 Inſze drzewá, gdy Phæbus ſwieci nań złoćiſty
 Przy wyborney urodzie, bogatey Purpurze,
 Która ſlicznie wiſiała ná złotym icy ſznurze
 Gracyi icy dźiwił ſię y z oká byſtrego
 Cicha ſwoia ſkromnoſcią ztemperowanego.
 Mentor zaś opuſciwſzy oczy ſwe do ziemi
 W ſkromney ſtarzec cichoſci ſzedł tákże zá niemi.

Ták

Ták do groty przyszedzsy Telemak się dumi,
 Ze y złoto y marmur tam widzieć rozumi,
 Nie tylko w naturalney skromności znayduie,
 Lecz to wszystko daleko oko kontentuię.
 Bez kolumn y obrazow posagow wybornych
 Tá grotá wyciesana iest z sklepow przezornych,
 Konchami ustroiona, Winnica obita,
 Gálezia, y gronami iakoby obszyta,
 Mile zefiry chlod w niey wieczny konserwuię,
 Zrzodla między fialki wonne wypryskuia,
 Y czyste iako kryształ, murawę zieloną,
 Y kwiaty ná niey zdobia śliczne káżdą stronę.
 Ná koło tey murawy, lasek opásuie,
 Ktory to w złote iábliká pełno obfituie.
 Pomarańcza ich u nas nazwać lepiey przyidzie,
 Z ktorych kwiat przez rok cały, y owoc nie zydzie;
 Ten lasek swa gestwina y we dnie noc rodził,
 Bo go promień słoneczny nigdy nie przechodził.
 Nic w nim slychąć nie było, tylko álbo ptaszki,
 Albo z skał biezacego strumienia igráski.
 Ktory zpadzsy z háłasem wprzod w lasku poczekał,
 A potym pieniacy się przez łaki uciekał.

A tá grotá Bogini ták ná wzgorku stála,
 Ze z niey Morska obszerność dobrze się widziála
 Czy kiedy ciche morze stáło, iak zwierciádło,
 Czy kiedy mu się pienić y szaleć przypádło.
 Z drugiey zaś strony Rzeki różne są widziáne,
 Ná gestę Topolami wyspy, pokraiane
 Kanały tych Rzek, iakby po polu igrały.
 Te leca. A te płynę, iakoby to spály.
 Drugie zaś obiegawszy krętem się wracają
 Ku źrzodłom [niby z żalem] że ie opuszczają.
 Ná końcu gory czynią śliczne perspektywy,
 Y oko kontentuię, kończą tych mieysc dziwy.
 Blizsze lasy Grenatów, Oliwne, Figowe,
 Y Winnych mieć groná dzwigály. Ze owe
 Naturalne Gaiki, y Ogród przechodzą,
 Ktory ludzkie dowcipy z cieszka pracą rodzą.
 Te piękności natury pokaze w ozdobie,
 Kalipso (y rzecze mu) odpocznię sobie.

Odmień suknie zmoczone. Obaczem się potem
 Opowiem Historyę, które nie z kłopotem
 Usłyszysz. Y zaraz go wprowadza z Mentorem
 Do bliskiej groty, kiedy mieszkała z swym Dworem.
 Służebne Nymfy ogień w kominie znieciły
 Z Cedrow, które zapachem grota napęlniły.
 Telemak patrząc że mu suknie zostawiono,
 Z których spodnia naybielszey welny dało runo.
 A wierzchnią zaś z Purpury złotem haftowaną
 Kontent został z prezentu, oraz y zdumiány.
 Mentor poznał pocięcha człowieka młodego
 (Rzecz) Też to są myśli Ulisseffowego
 Syna? Y także łatwo serceć delektuia,
 Ktorego Oycą czyny gdzieindziej wokuia?
 Utrzymuy Oycą sławę. Y wiedz że kto lubi
 Stroić się iak niewiastą, sławę z cnotą zgubi.
 Bo ta tylko tym sercom iest destynowana,
 Od których iest cierpliwie fortuną zdeptana.

Telemak [mu odpowie] nie z małym westchnieniem:
 Niech mię pierwej Bogowie zgubią z mym imieniem
 Niż się miękkość swobody chwyci sercá mego;
 Nie będzie zwyciężony Syn Oycá takiego,
 Niewieściego żywota słodkimi czárámí.
 Ale przyznay, że Niebá łaskawe nád námi.
 Które nas z morskiej toni rozbitych zbawiły,
 Y u tey tak łaskawey Bogini stawiły.

Ná co mu Mentor [rzecz] Boy się tych słodkości
 Bárdziej, niżli Okretu świeżey nawalności.
 Śmierć nie tak niebezpieczna, iako tá ochotá,
 Przez którą często ginie, y rozum, y cnotá.
 Strzeż się tego cóć powie, młodość skążitelna
 Siłą trzyma o sobie. Każda rzecz rzetelna
 Zda się bydz iey. Y mniema, nie bać się niczego,
 Lekko ufáć káżdemu. dokazać wszystkiego.
 Y, ty co ci Kálipso powie, strzeż się raczey
 Wkrádnieci się do sercá, lecz będzie ináczey:
 Boy się skrytey trucizny, y od siebie zdrády,
 A naybárdziej poczekay, y słuchay mey rády.

Po takowych rozmowách do Kálipsy idą,
 Tám w białych szátách Nymfy służą im gdy przyida.

Bán-

Bánkiet proſty, lecz w ſmáku, iák y w ochodoſtwie
Wyborny, y bogáty, choć ſie zdał wuboſtwie.
Sámym ptaſtwem lápánym, ſtoł był zaſtáwiony
Od Nymf, y ich zwierzyna ſzczwána okrałzony.
Nád Nektar ſłodſze wino, w złoty ch czárách noſza,
Kwiátem ſtroynych, ktore pić wdzięczne ręce proſza.
Cokolwiek Jeſień z Wiołną ma w fruktách drogiego
W koſzách srebrnych noſzono, do ſtołu onego.
Cztery Nymfy naymłodſze ná końcu ſpiewáły
Woynę Bogow z Olbrzymy, y iák ſie kocháły
Różne Boſtwá. Ná koniec Woyny Troi loſy
Wywyżſzájac Uliffa madrość pod Niebioſy.
Leucote pierwſza Nymfá, ná lirze zágrálá,
Ale gdy Uliffeſſa ſpiewájac wſpomniálá,
Nie wſtrzymał łez Telemak. Te lub gorzkie były,
Przećie iego Urode bárdziey okraſiły.
Co poſtrzegſzy Kálipſo przerwálá te żale
Milczeć kaze Muzyce. Bo nic nie iadł cále.
Zá tym Woynę Centaurow ſpiewano z Lápiry,
Ták ſie skończył weſoły bánkiet, y obſity.

Po ktorym ták do niego z wdziękiem roſpoczełá:
To widzisz z iákim cie Ja faworem przyjełá.
Otom ia nieſmiertelna. Y żaden [ſtrzeż BOZE]
Śmiertelný do tey Wyſpy, wniſć nigdy nie może.
Ni te wały by morskie ktore cie rozbiły
Ochroniły od káry. Gdybyś nie był miły.
Twey Oćiec równie iák ty, miał tu ſzczęście u mnie
Ale [ách] źle go záżył, idac nierozumnie.
W teyże Wyſpie długi czas iam go tu chowálá:
Życiem mu nieſmiertelne, y ſtan gotowálá.
Ale ſlepa tęsknotá widzić ſwa Oycyznę,
Dálá mu ſtrácić ſzczęście, y Páńſtwo ták żyzne.
Te ſtrácił dla Itáki, * ktorey nie obaczy,
Bo wierz pewnie, że zginął, ták ieſt nie ináczy.
Okrutná pomſta z burzy, y ſali mem wzięłá
Ze z tad uciekł, zá to go z Okrętem połknełá.
Kay ſie z tego przykłádu. Y gdyś bez nádzicie
Oycá wiecey obaczyć. gdzieć ſie dobrze dzieie
Tám zoſtań. Y pociel ſie przez zámian rzetelny,
Zc Páńſtwá y Bogini doydzieſz nie ſmiertelney.

* *Itacus*
Wyſpá ná
morzu Cy-
czyzná y
Páńſtwo U-
liſſiſſa.

** Polubem
Neptuna
syna iedno
kupoiony
od Ulisseśa
goślepionę.*

** Cyrceczá
rámiw wie
przewoo
bracká to
wárzyśow
Ulisseśa.*

*Posrzega
Telemak
ze śe Ká-
lipso w nim
zakochała.*

*Reláya Te-
lemaká
dreg y A-
wásur tege.*

** Gácho-
wiektorzy
śe o Pene-
lope Mátkę
Thelemaká
śáráli, á
oná ich
zwodźístá.*

** Cyklopi
Olbrzymi
byli, o iedn-
oku, co z
Wulkanem
w Etniego
rze, w Sycy-*

Do tych słow y dyskursy infze przydawała:
Jákic szczęście by Uliss, y oná z nim miała.
Z Polifemem * przypadku, z początku do końca,
Y co się z Cyrce * działa zślawna Corka Słońca.
Ná ostatek iák Neptun burze nań poruszył
Y że w oczách iey Okret iák słomkę pokruszył.
Jednak ná Wysp Pheakow że ząiechał, skryłá,
Y iák by go nie było żywo, się zaliłá.

Doszedł tego Telemak przeniknął te zdrády,
Uznał mądrość Mentorá przestrogi, y rády.
Przeto krotko iey rzecze. Opuść o Bogini!
Niech twoiá láska moy żal á nie serce wini.
Teraz nie mogę tylko plákać Oycá mego,
Potym serce nábedzie wigora wiekšzego.
Pod fortune rák wielką duřšzey tżebá śily,
Pozwol Oycá oplákać, [wřák wiesz iák był miły]

Kálipso wiecey mowić w tey spráwie nie śmiátá,
Y owszem Ulisseśa plákać z nim się zdálá.
Lecz szukájac sposobu tñiećia w serce iego,
Pyta go o przypadku rozbićia świeřego.
Długoby mowić, iákóm nieřczęśny śtátecznie.
Oná zás (mowi) że chce wiedziec to koniecznie.
Zbyć się tedy nie mogąc Telemak iey woli,
W te słowá zácznie czyny swe mowić powoli.

Po sławnym wñećiu Troi, gdy się powracáło
Ták śilá Krolow. Co się z Oycem moim śtáło;
Wyiáchałem z Itáku o nim się dowiedziec,
A Gáchom moiey Mátki nie dáłem nic wiedziec.
Lecz ni Nestor, w Pilosie, ni ci co z nim byli,
Ani mię Menlas o nim nic nie náuczyli.
Teskniacy, y żyć nie chcąc, bez tey wiádomości,
Chce iáchác w Sycyliá, zSynowskiey miłości.
Bom ślyśzał, że tám wiátry Oycá zápedźily,
Lecz się mi opponowál ten Przyiáciel miły.
Mentor (ktorego widźilz) Mowiac z iedney strony,
Bedźiesz Flotá Trojáńska zewřad obtoczony.

Ktorzy przy rámtych brzegách do tych czas żegluia,
Y ná krew Ulisseśa łakomie pilnuia.
Z drugiey srogich * Cyklopow mieřzkáńcow tey ziemi,
Krew ludzká iáko wodę záfwe piáćcemi.

Powra-

Powracay do Itaku. A noż Oycá swego
Zaśtániesz, z łaski Bogow już powroconego.
A iezli tak Bogowie nim ordynowáli,
Y miley mu Oyczyzny widzieć zázakáli:
Przynamniey szukać pomsty śmierćiego z Niebá,
Uwolnić Mátkę swoię, y ukazać trzebá
Madrość cáley Grecyey. Zes Syn nie odrodny
Y pánować w Itaku, iák Ulisses godny.
Te słowá zbyt zbáwienne od Mentorá były,
Alem mniey miał rozumu żeby mnie skruszyły.
Lubom go zaś nie słuchał, y w tę drogę puścił,
Mentor był tak łaskáwy że mnie nie opuścił.

Gdy to mowił; Kálipso z oká požíerała
Ná Mentorá. Bo coś w nim Boskiego widziála.
Lecz nie mogac doćieknać nic w tym rzetelnego,
Bała się odkryć przed nim pomieszánia swego.
Y przeto nie podáiąc swoich mysli znáku
(Rzecz) mow nie ustaway dáley Telemaku;
Więc (rzekł) Do Sycylii wiátry dobre były,
Ale nas w krotce chmury tak czarne okryły,
Y dzień się w noc obrocił; żeśmy wnet poználi
Od błyskawic, piorunow, co koło nas grzmiály;
Ják bliskośmy okrętow byli Eneasza,
Od których, iák od burzy równa trwogá naszá.
Dopiero, ále późno, poznałem młodości.
Swę, error, nieposłuszny Mentorá mądrości.
Ktory w niebezpieczeństwie tym, nic nie wzruszony,
Weselszy niż zwyczajnie, w kázde dawał strony
Porządne ordynánsy. Y kiedy się boi
Sam Szyper. On w tym stráchu sam bezpieczeństwu stoi.
Jam rzekł w tedy do niego: o Mentorze miły,
Czemuz mię twoie rády wprzód nie náwrociły,
Ile w tym wieku, w którym áni przytomnego
Czasu, áni doznánia w przeszłym, ni przyszłego
Przezorności nie znaydzie. O iezli mi dádza
Bogowie wynieść zdrowo, y z tad wyprowadza,
Wystrzegáć się samego pewnie będę siebie,
Y słuchać zázawsze zechcę iedynego ciebie.
Mentor rzecze z uśmiecchem: Nie chce ci wymawiać
Błędu, ktorego sobie sam chciałeś obiawiać,

*liż kował.
swo robili.*

*Nawát.
mość pier-
wszą ná
Mortu Te-
lemaká.*

Dość ná tym że go czuiesz, y niech ci to służy,
 Zebyś zá swym rozumem nie biegał wiec dłuży.
 Lecz po niebeśpieczeństwie, wnet śmiałość się wroci,
 Strách nas tylko poki jest, á nie potym kłóci.
 W ten czas niebeśpieczeństwá bać się nam potrzebá,
 Poki go nam nie zeszlá sprawiedliwe Niebá.
 Lecz gdy przyidzie, wtedy go lekce trzebá wazyć,
 Chciyże tu Ulisseffa syná w tym wyrazić.
 Pokaż iák on, swe serce nád ten strách mocniejszy,
 Jego słowa prawdziwie we mnie potężniejszy
 Uczyniły wnet siły. Gdyż niemim wzbudzony
 A bárdżicy sztuká iego był wyprowadzony.
 Jak się obłoki po tej burzy wyiásniály,
 Trojanie by nas bliscy do rázu poználi,
 Lecz on widząc ich Okret ieden oddalony,
 A naszemu podobny, w kwiáty uwieńczony:
 Położył zaráz ná nasz kwiáty tego wzoru,
 Y tegoż co Trojánskie proporce koloru.
 Naszym záś łopátnikom nisko usieść kazał,
 Kryć twarze. y áby nikt z nich się nie pokazał:
 Przez pośrzodek ich floty, w tym strojuśmy przeszli,
 A oni od rádości wielkie krzyki wznieśli,
 Mniemáiąc, że ieden z ich szczęśliwie powraca,
 Ale się z pomiędzy nich wymknąć, była praca,
 Przecie kiedy się oni ku Afryce bráli,
 Myśmy przy Sycylii z umysłu zostáli.
 Jákoż tej Wyspy przedko chwytamy się brzegu,
 Ale nam gorzey wyszło, w tym fátalnym biegu;
 Bo tám się ieden Narod z Trojánów lokował,
 Y tám stáry Acestes nád nimi pánował.
 Ci mieszkańcy skoro nas w porcie obaczyli,
 Jákbymy w nieprzyiáźni już odkrytey byli:
 Zaráz Okret spalili, wycięli kompány,
 Tylko Mentor szczegulny y ia záttrzymány,
 Y to ná to, ábyśmy prawdę powiedzieli,
 Kto iesteśmy, y cośmy zá imprezę mieli.
 Z rékomá zwiázanymi stawam w Mieście bliskiem
 Ludowi okrutnemu miłym widowiskiem.
 Jeden nas Acestowi zaráz prezentował,
 Który się ná ofiáry swym Bogom gotował.

Wychodzi z
 niebeśpieczeń
 stwa Telemak
 już prawie
 będąc w re-
 kach Eneajza
 y Trojanów.

Acestes wśed-
 szyz Troi Ko-
 lonia założy-
 nieprzyiáźny
 Grekom y
 Telemakowi.

Ze zło-

Ze złotym berłem w rękę, sadził ludu wiele,
 Spytał nas ktośmy? y z kad? Ná co Mentor śmieie:
 Uprzedzi, mie y rzecze: Z Hesperryi płyniemy,
 Oyczyzną naszą, od niecy bliska się szczyćciemy.
 Tym responsem, żeśmy są Grecy, nie wyiawił,
 Ale się nie Acestes nad tym nie zabawił.
 Y mniemając że nasze imioną taimy,
 Ząkrzyknie: przed kim iaszym te puszczaćcie dymy.
 Niech ich prędko odeśła do lasu bliskiego,
 Tak skazani jesteśmy iako do wiecznego
 Tárásu, y więzienia. A co nie słychano:
 Pasterzom nas Krolewskim w niewolę oddano.
 Com ia nad śmierć surowszą rzecz u siebie zważył
 O Krolu? każ mie zabić. (ná tom się odważył)
 A tak mie źle nie traktuy, Syná Krolewskiego,
 Jam Telemak Syn prawy, Ulissá mądrego.
 Szukając Oycá, Morzâ wszystkie pozbiegałem,
 Gdy karzesz, nad niewolâ śmierć raczey obrałem.
 Nie dano mi domowić. Wszyscy krzykną razem,
 Biy zabi y Syná tego, który swym żelazem,
 Niemniej iako y zdrada (ách) Troie wywrocił,
 Y nas tu w nieszczęśliwe wygnáńce obrocił.
 Zá tym [rzecze] Acestes: Krwi zacney Trojánów,
 Muszę sakryfikować krew Was, ich Tyránnow.
 Obâ zginać musicie. Aż w tym jeden przydał
 Stárzec; Ponieważ Pan BOG sam ich Krolu wydał,
 Ná grobie Anchizesa pościnay te parę,
 Bogowie y Eneas, przyimay te ofiary.
 Ná te propozycyâ wszyscy się zgodzili,
 Y tylko o najprędzszym icy skutku myślili:
 Dwá Ołtarze, y z ogniem świętym, wystawiono,
 Ná grobie Anchizesa, gdzie nas przywiedziono.
 Głowy nam uwienńczyli [iák zwyczaj] kwiátami,
 Y miecz błysnął kápłáński, nam już przed oczámi.
 Nic nas zbawić nie mogło. Aż tu Mentor prosi
 Z Krolew mówić; y rzecze: Jeśli cie unosi
 Krolu żal do rozlania krwi naszej mizerney,
 Niechay cie wzruszy dowód mey przestrogi wierney,
 Y twoy własny interesi. Bo mam dar od BOGA
 Rozumieć przyszłe rzeczy, nim nastąpi trwoga.

Y z tey to wiadomości tobie prorokuie:
 Ze od dzikich Narodow, woynąć się gotuie.
 Nápádna cie za trzy dni, y z tych Gor wypłyna,
 Z Miásta twego y kráiu ostatnia ruina.
 Uprzedź ich, y ármuy się, sprowadź wszystkie stádá
 Bogáte twoich bydeł. Jeżeli moiá rádá
 Nie sprawdzi się: y będzie proroctwo fałszywe,
 Násze głowy za trzy dni, niech nie bédá żywe.
 A ieżli się zaś zprawdzi, to nam násze życie,
 Ze wásze sálwuiemy, w nagrodę wroćicie.

Acestes zádumiony w te Mentorá słowy,
 Ktory przy swoiey prawdzie, umrzeć był gotowy,
 Widze ia (rzeknie) że gdy szczęścia masz nie wiele
 Przezorność masz od Bogow Prorocká w podziéle.
 Y zaráz te ofiárę przedłużył gotowá,
 Kazał się brąć do broni, pilno y surowo.
 Rozruch się stał po Mieście. Tu niewiásty drżące,
 Tu stárcy ućiekáia, y dzieci pláczące.
 Woły, Owce do Miásta pędza niezliczone,
 Zbiegi zewszád obaczysz, y strách w káżdą stronę;
 W huku y konfuzyi, ieden pcha drugiego,
 Y krzyczy, y boi się, chociaż nie ma czego.
 Nicktorzy zaś trzymáli, że te wszystkie trwogi,
 Ná sálwowanie, wymysł był Mentorá frogi.
 Ale: Aż dnia trzeciego, przy zachodzie Słońcá,
 Gdy już cále nie wierzą tym wrożkom do koncá:
 Obacza wielki tuman ná poblížszych gorách,
 Y taki gmin Bárbárow, że y w sámych murách
 Ledwo było beśpieczno. A ci co nie chcieli
 Wierzyć mądrey przestrodze Mentorá, zgineli
 Wtedy mu Krol tak rzecze: Zeście zápominam
 Grecy Nieprzyiáciele. Lecz się upominam
 Obiecáney wierności: y nie tylko meśtwá,
 Ale w rádzie pomocy, (zkađ wszystkie zwycięstwá.)
 W tym Mentor pełen ognia w oczách Márswego,
 (By też nayodważniejszy zláklby się ktorego)
 Uszykował w przed Woysko, sam wzeláznym stroiu,
 A potym poprowadził przeciw nim do boiu;
 Acest stáry nie mógł go, choć meżny nádzáżyć,
 Ale ia lat nie máiać, co mogą obciázzyć,

Tuz

Tuż przy nim biiacy się, w kroku go ścigałem,
 Lubo iego odwądze (przyznam) nie zrownąłem,
 Zbroiá iego, Egidzie nieśmiertelney była
 Podobná; Z ktora niegdy Minerwa chodziła.
 Śmierć po szyskach biegála. Y gdzie rękę wyniosł,
 Mentor, to nam zwycięstwo, á im klęskę przyniosł.
 Tak iako Lew w Numidzie głodem záiuszony,
 Trzode dusi, á Pasterz ucieka zdumiony.
 Tak y ci Barbarowie, ktorzy rozumieli,
 Napaść ná niegotowych, sami pogineli.
 A Poddani Acesta, tym przykładem dzieci,
 Bili się iak szaleni, y iako zawzięci.

Syn Krola Nieprzyjaciół, wieku prawie mego,
 Podkál się wściekle zemną, miałem szczęście, iego
 Przebić moim poćiskiem, y lub był w poł wyższy,
 (Bo był rodu Gigantow) Lecz iam był szczęśliwszy.
 Gardził moia uroda, y chciał mię zić wzrokiem,
 Ale duszę z krwią czarna, wytoczył swym bokiem.
 Mało mię nie zgnoił lecąc, aż gory zagrzmiały,
 Broni iego tent czyniac, iak káwalec skály.
 Wrócam się do Acesta, z oreżem dobytym,
 A Mentor gonil w lasy, zá woyskiem już zbitym,
 Ten sukces nie spodziany, tak Mentora wslawił,
 Ze go Bogi przysłali. aby ich był zbawił.

Acestes wdzięczny sam się boiac Eneasza,
 Przed ktorym ochronić się nie mogła, krew násza,
 Dał nam Okret ná powrot do kraiu nášzego,
 Udarował, Lecz nie dał nikomu z swojego
 Kraiu wsiąć w naszą náwę, lecz Phenicyanom,
 Národom wszystkim świata, przyjemnym y Panom.
 Ci Okret Acestowi náząd przywieść mieli,
 Ale z nášzych zamysłów, Bogowie się smieli.
 Bo Národ Pheniceński, Sesostra rozgniewał,
 Egiptu Krola, ktory siła zwycięstw miewał.
 Nie dobyta forteca Tyr, w ktorey siedzieli,
 Y Bogáctwa niezmierne, ktore z handlow mieli,
 Pysznyimi ich tak czynią, że się odważyli,
 Y Haraczu nie płacić, co go winni byli.
 Nawet Bratu Sesostra, stáneli w pośilku,
 Który Krola chciał zabić zdrada, w osob kilku.

Sesostris, zruinować ich moc, postanawia,
 Ná przeskodę ich handlow, y florę wystawia.
 Tak że ná każdym morzu iego coś Okretu
 Było, które szukali gubić ich do szcztetu.
 Y tak z Fota Egipska, y my się podkali,
 Nási Phenicyanie, zaraz ich poznali,
 Chcieli się cofnąć, Ale zeszliśmy się nagle,
 Do tego Egipczenie mieli lepsze zagle.
 Dopędzają y biorą, z żadną swoją szkodą,
 Y w niewolę nas wszystkich, do Egiptu wiodą.
 Darma krzycze, że nie jest ia Narodu tego,
 Zeby poyrzał kto ná mnie, nie masz łaskawego.
 Płynięm do Wyspy Pharos, idziem w górę Nilu,
 Prosto do Miasta Memphis, przy pędzającym Chylu.
 Gdybym żałę niewoli, nie miał tak ciężkiego,
 Nie mogłbym nigdy, znaleźć widoku miłszego,
 Jako patrzeć ná brzegi Egiptu tak śliczne,
 Wyspy pełne zboż, y trzod, obfite y liczne,
 Y kray słynący ząwż, obfitością drogą,
 Y Ludzi, którzy zbierać, nąstarczyć nie mogą.
 Widzieliśmy Pasterzów, co ná dądkach grają,
 Y miłe Echo im się niby przegąrzają.

O iak to (rzecze) Mentor, Narod jest szczęśliwy,
 Którym rządzi Krol mądry, dobry y życzliwy.
 Żyje w wszelkiej fortunie wraz y obfitości,
 Kocha tego, komu swe winien szczęśliwości.
 Tak y ty Telemaku, kiedy masz panować,
 Poćieche swym Poddanym, y pokoy masz chować.
 Jeśli cię przyprowadzą Nieba w Państwa twoie,
 Kochaj swoich Poddanych tak, iak Dzieci swoje.
 Smakuj sobie w tym, żebyś był od nich kochany,
 Przez pokoy, który im dasz, będziesz wspominany
 Od nich naywiecey. Bo to ci dumni Krolowie,
 Którzy tylko to mają, y w sercu y w głowie,
 Aby się ich lekano, są ludzkiego bicze
 Plemienia, y ia takich nieszczęsnymi licze.
 Bojać się ich, ale też ich y nie nąwidza,
 Większy strach od Poddanych, niż ci od nich widza.

Odpowiem Mentorowi; nie czas myśleć o tym,
 Jako się ia mám rządzić, y krolować potym.

Nieba.

Nieobaczym Oycyzny, ni Państwa Itaku,
 Nieobaczysz Nieboże, Oyca Telemaku.
 Ni Ulisses mie widzieć, mieć pociecha będzie,
 Ni sie cieszyć od niego, gdy ná Thronie siedzie,
 Ja bede mogł. A zatym myślmy umrzeć raczey,
 Kiedy z woli Bogow, bydź nie może inaczey.
 Lecz Mentor ná te wszystkie, myśli mych troskanie,
 Wiedzac wszystkie przypadki, y niedbając ná nie,
 Nie godny Ulisseffa Synu, tak mądrego
 (Rzecz) dasz sie obalić, z nieszczęścia małego?
 Wiedząc o tym, że byleś był tylko cierpliwy,
 To możesz Oyca, Matke, obaczyć szczęśliwy.
 Tego nie złománego obaczysz Ulissa,
 Ktorego to fortuna do tad nie użyłszá
 Obraca, á przełomac, iak ciebie, nie może,
 Ucz sie mestwa od niego, to wszystko przemoże.
 O gdyby on mogł wiedzieć, że Syn naśladowac
 Nie umie cierpliwości iego, ani chowac
 Umysł większy nieszczęściu, toby go trápilo
 Bardziej, á niż nieszczęście, ktore go okryło.

Potym mi obserwować kazał wesolości,
 Rozsiane po tych polach, pełnych obfitości.
 Dwadzieścia dwa tysięcy, samych Miast rachował,
 Ale tych Miast rzadowi, bardziej sie dziwował.
 Ubogim sprawiedliwość równa y bogatym,
 Y Dzieci wychowanie. (Co naywięcey ná tym)
 Iako do posłuszeństwa, pracy ich wuczano,
 Wstrzemięźliwość, y miłość, do náuk wlewano,
 Ceremonii Kościelnych wykonanie pilne,
 Y pragnienie honoru [á bez zysku] dzilne.
 Bojaźń Bogom, á ludziom wierność przyjacielskie,
 Wlewać w Dzieci, to było dzieło Rodzicielskie.

A wołał bez przestanku, Mentor moy poćciwy:
 O ludzie rzadem Krola, mądrego szczęśliwi?
 Ale jeszcze szczęśliwszy, Krolu ktory robisz,
 Szczęście twoich poddanych, y cnota ich zdobisz.
 Większą to jest, kochanym, á nizeli banym,
 Y z miłości niż z kary bydź z Thronu słuchanym.
 Taki Krol jest serc Krole, y stracić takiego,
 Każdy sie leká, y swá dalby śmierć za niego.

Te uwagi Mentorá, serce mi wrociły,
 Już meżność obálona, we mnie odrodziły.
 Skoro wnidziem do Memphis, Miásta bogátogo,
 Wiodą do Kommendánta nas ich naystarszego,
 Ten nas do Theb odesłał, gdzie Sesostris mieszkał,
 Krol który w każda sprawa, weyrzecé nicomieszkáł.
 Znowu tedy do gory okrętem żegluia,
 Przyszli do Theb, które sto bram w sobie ráchuią.
 Niezmierney to wielkości, nám się Miasto zdáło,
 Ale się rzádem dobrym, bárdziey podobáło.
 Ochodostwo w ulicách, wody prowadzenie,
 Po láźniách, y w rzemiosłach wszelákich cwiczenie,
 Wolność y bezpieczeństwo towárow publiczne,
 Nuż Kościoły, Fontanny, bez liku tak śliczne.
 Obeliszki wyłokie, marmurowe gmachy,
 Y Zamku Krolewskiego pozłociste dáchy,
 Wewnątrz srebrne kolumny, Pirarnidy długie,
 Sam Zámek nám się zdáł bydz, iáko Miasto drugie.
 Ci co nas tám przywiedli, y ciż co nás wzięli,
 Sa do Krola w puszczeni, y mu powiedzieli:
 Ześmy ná Pheniceńskim, są okrećie wzięci,
 Y my przed Thron Krolewski, iesteśmy przyieci,
 Miál Krol zwyczaj w káždy dzień, opewney godzinie,
 Káżdey sprawie dáć ucho, którą się náwinie;
 Czy skarga, który przyniosł, przestroge czy radę,
 Czy zły iáki uczynek odkrył, czyli zdradę,
 Nie odrzucáć nikogo, bydz Krolew rozumiał,
 Ná to iedno, áby im dobrze czynić umiał,
 Cudzoziemcow z dobrocią, y ludzko przyjmowáł,
 Záwzce od nich náuczyć, czego się znaydowáł,
 Z rzádu obcych zwyczaíow. Y z tey ciekáwości,
 Záráz nás wprowadzono, iáko nowych gości.
 Był z kości Thron słoniowey, w reku Berło złote,
 W twárzy stárey Máiestát, noził wráz y cnotę,
 Z niezmierna cierpliwością, co dzień ludzie sadził,
 Y z przykładná fatyga, káżda rzecz rozrządzil.
 Bez podchlebstwa, wewszystko, był Krol doskonály,
 Dáwszy sprawom záwiłym, ledwo nie dzień cały
 Odpoczywał wieczorem, lub Medrcow słuchaniem,
 Lub dyskursiem z pociwszych swych Dworzan wybraniem.

Ani

Ani by się co ządać mogło w życiu iego,
 Gdyby można zapomnieć tryumfu pysznego:
 Co Krolow zwycięzonych, w swoy woz pozaprzegął
 Y duma nie słychana, zbyt wysoko sięgał.
 A drugą; że się oddał, z swych Dworzán jednemu,
 (Zaráz ci go opisze) tym czasem ku niemu
 Gdy przyidziem. Tak się wzruszył wzrokiem, mey młodości,
 Ze gdy mnie pytał ktom jest? był pełen litości.
 (Odpowiem) Wielki Krolu wiem pewnie, że Troi
 Obleżenie y zguba, wiadomości twoiey
 Nie uszła. Y iako ja Ulisses wywrocił,
 Ociec moy, który do Państw swoich nie powrocił.
 On znaleźć swej Oyczyzny, ja nie mogę iego,
 W tym szukaniu widzisz mnie, od twoich wziętego,
 Przywroc mie Oycu memu, odday mey Oyczyźnie,
 Wszak ty sam uczysz Krolu, iako kochać bliźnie.
 Y tak ciebie niech dzieciom Bogowie chowają,
 Niech z Oyca tak dobrego, też poćieche mają.

Patrzył na mnie Sesostris, okiem litościwym,
 Ale chcąc mie doświadczyć, ieślim był prawdziwym;
 Do iednego z swych Dworzán, z rozkazem odsyła:
 Pytać się ieśli w moiey, mowie prawda była?
 Czyśmy Phenicyanie, czy Grecy prawdziwie?
 Bo go skárze dwoiako, ieśli rzekł fałszywie.
 Y za klámstwo, y za to, że nieprzyiáciele;
 Jeśli zaś są Grekami, uczynie im wiele
 Ludzkości, y odeszle ich do ich Oyczyzny,
 Bo nasz národ Egipski, y ten kray tak zyzny,
 Siła Grekom powinien, mając od nich práwa.
 Herkuleś, Achilla, nam przykładna sława.
 Słyszałem Ulisseśa, madrość niešťczelnego,
 Podać reke w niešťczęściu, nie mam nic miłszego.

Ten Dworzánin, ktoremu byłem odesłany,
 Jáko Krol był cnotliwy, tak on zepsowany,
 Pelen sztuki zdrádliwey [Metophis go zwáno]
 Tam roźnie nas podchwycić, w słowách naszych chćiano,
 Aże Mentor odpowiedź, dał záwsze rzetelnie,
 Poyrzał krzywo, y na nas záiadł się śmiertelnie.
 Zwyczajnie zli na dobrych, darmo się gniewają,
 Tak y nas [to náypierwsza] obu rozłączają.

E

Y odtąd

Y odtąd już Mentora, wiscey nie widziałem,
 Śmierć, nąd to rozłączenie; nie cięższa by miałem.
 Dziwy ze mną Metophis, a wszystko zdradliwie
 Robił. To kareffuiac, łaskawo fałszywie,
 To grożąc; Chciał dokazać, przez moje wyznanie,
 Ześmy nie są Grekowie. Lecz Phenicyanie.
 Jąkoż, lubo nie na mnie, iak chciał nie wyciągnął,
 Przecie przed mądrym Krolew, tak język pociągnął,
 Ze go przecie oszukał, lubo ostrożnego.
 O Krolowie? iak mi jest, żal stanu waszego?
 Jakimeście podlegli złych ludzi złym zdrądom?
 Kiedy ich przypuszczacie, rządowi swym y radom.
 Dobrzy, ktorzy podchlebstwom mówić nie umieją,
 Czekają zawołania, przystąpić nie śmieją,
 A Krolowie ich szukać, y znaleźć nie znają,
 Na odważnych szalbierzów, prędzey napadają:
 A ci się tylko cisną do upodobania,
 Y inszego nie mają u Dworu starania,
 Jeno służyć Krolewskim, złym passyom wiernie,
 Choćby honor z sumnieniem, podeptać mizernie.
 Nieszczęśliwyś o Krolu? y będziesz doszczetu,
 Jeśli przystępsz podchlebstwu, dasz y do wykretu?
 Jeśli kochać nie będziesz, tych, coć rzeką śmieć?
 Te miałem reflexye, takich myśli wiele.

Ztym wszystkim mnie Metophis posłał na puścynie,
 Paść swe trzody; y tak mnie niewola nie minie.
 Tu w mowie Telemaka, Kálipso przerwała,
 Cożes tam z sobą robił, [pilno go pytała]
 Ty któryś woliał umrzeć, niżli być w niewoli?
 Na co iej tak odpowie. Człowiek się powoli
 Każdey rzeczy przyucza, do tego sposobu
 Nie miałem sobie obróć, z tego złego obu.
 Trzeba było poyść za złą fortuna; y złości
 Iey zmordować ku sobie, wszelkie zawziętości.
 Y słoweczką przemówić, do siebie nie dano,
 Mentora Ethyopom, z osobną przedano.

Na puścynie okrutne przyszedłem, piaszczyste
 Gory, wiecznie śniegowe, a doły ogniście,
 Od słońca gorejące, z piasków rozpálonych,
 Między mrozem a ogniem, królów podzielonych.

A po

A po między skałami, ciemne y głębokie
 Padoły, niby łaki, pastwiska szerokie
 Były, nie tak obfite, w trawy iak w kamyki;
 Y tam ludzie mieszkali, dzicy, iak kray dziki.
 Wszyscy byli Pástuszy. Y iá między niemi,
 Chodzić w dzień za stádami, musiałem licznemi.
 W nocy zaś opłakiwać nieszczęście, czas miałem,
 A przed iednym hultaiem, w dzień y wnocy drżałem.
 Imie było mu Bufus, ten szálbierstwy iáwnie,
 Chcąc się Pánu zalećić, skarżył nas ustawnie.
 Y naszą się niewola, chcąc z swoicy wykupić,
 Nie miał szkrupulu, nas zle traktować y łupić.
 Jużem nie mógł wytrzymać, zalem raz przecięty,
 Zapomniałem swey trzody, z biedy niepoięty.
 Ległem na trawie, podle okropney iáskinie,
 Czekam cie śmierci (rzekłem) niechże wszystko ginie.
 W tym momencie postrzegłem: że gorá zadrzrzała,
 Zdało się że moc dębów, y sosn spadáła.
 A w tym wszystko ućichło, y sam się wiatr chowa,
 Gdy do mnie z tey iáskini, straszne idą słowa:
 Synu cnego Ulissa, tak ci káza nieba,
 Wielkim się przez cierpliwość stać ci [iak on] trzeba.
 Krolowie ktorzy zawsze byli szczęśliwemi,
 Y biedy nie záżyli. Niegodni bydź niemi.
 Pycha się opiiła, rozpusta ich psuie,
 Swoboda y przyjemna swawola ich truie.
 Jeżeli tych zapomnisz nieszczęść, y ich zbedziesz
 Cierpliwością? O iak ty wraz szczęśliwym bedziesz?
 Doydziesz Iráku, y twá sławá, pod niebiosy
 Doydzie. Ale też kiedy lepszeć pádna losy,
 Pamietać, żeś mizernym był iak ieden z ludzi,
 Niech cie do kompássyey, to samo pobudzi.
 Kochay swoje poddane. Podchlebstwa odrzucay,
 Y w tym iednym, Krolewski umysł swoy, wyuczay.
 Zebyś był wstrzemięźliwym. Passyi łamanie,
 To sławá, y to twoie niech będzie stáranie.
 Te słowa Boskie, wskrus mi serce przeraziły,
 Y wesolość, y mestwo, po zálu wrociły.
 Gdy Bogowie gádają, to bywa z niemalem
 Stráchem; lecz iá bynajmniey, tych słów się nie báłem.

Y owszem tuż spokoyny, ná kolána pádłem,
 Adoruiac Minerwę, ná która nápadłem.
 Ze to z iey láski było, iákbym się odrodził,
 Oświeconym mądrością, y iákbym dochodził,
 Słodkich sił, ná mych passyi mocne utrzymánie,
 Y młodości impetu, potrzebne złamánie.
 W momencie wśzystkim miły, Pásterzom się stálem,
 Okrutnego Bufusa cierpiac, zmordowałem.
 Zeby iednak wytrzymać, niewoli tęsknotę,
 Zábrałem do czytánie, chwalebna ochotę.
 Xiąg szukałem, ná pokárm, y posiłek duszy,
 Y to tylko (zem nie miał xiąg) me serce łuszy.
 Szczęśliwi co się uczac, sami rozrywáia,
 Co w polorze dowcipow, szczęście zakładáia.
 Gdziekolwiek nieprzyiázna, fortuna ich rzući,
 Poćieche z sobą nosi, ten co się sam uczy.
 Y tęsknić tak w nieszczęściu, naywiększym nie umi,
 Jáko ten, który się w swych, delicyach tłumi.
 Kiedym tak do czytánie tęsknił, y náuki
 W ciemny las wszedłem, lájac u siebie nieuki.
 Ide długo y myślę, (już tu sobie legę)
 Aliści uyrze stárcá, który w reku xiege
 Trzyma. Czoło szerokie ma, troche mąrszczone,
 Brodę, po sam pas biála, ustá ułożone.
 Jágota mu czerwóná, á oczy ogniste,
 Słowa proste, głos miły, y wśzystko. Záiste
 Nigdy mem Stárcá bardziej, czci ludzkiej godnego
 Nie widział, Termosyris było Imię iego.
 Był Káplán Apolliná, bliskiego Kościoła,
 Od cnych Krolow Egipskich, z marmuru do koła
 Budowánego. Xiega co miał stárzec miły,
 Hymny, Pieśni, y Chwały Bogow, wnicy to było.
 Postąpił ku mnie krokiem, z uśmiechem wesołem,
 Witá mię, y poznáwa, z niezmarzczonym czołem.
 Zaráz mi przesłał rzeczy, krotko opowiadał,
 Nie zmordowałby mnie był, choćby y rok gadał.
 Nawet y przyszłe rzeczy, z mądrości głębokiey,
 Wyiáwiał, iákoby miał otwarte oblóki.
 Przyjemny y wesoły, że od naymłodszeo,
 Nie było ryło wdzięku, iák od Stárcá tego.

Iákoż

Iákoż on kochał młodzież, poistna y chcaca,
Cnoty nábydź, y do niey, pięknie páłaiaca.
Pokochał mie Stáruszek, y ná ma poćieche,
Uzyczyl mi swoich Xiag. A zwác miał ućieche:
Synem mie swoim. Iam tész, o Oycze mu mawiał:
Miałem y ia Mentorá, który wemnie wmáwiál,
Cnota iak ty, y mądrość. Bogowie go wzięli,
Ale mi go, w osobie twoiey, oddać chcieli.

Często mi wiersze swoje, mądre pokázowál,
Y innych cnych Pòétow, ktorem w mysli chowál.
Kiedy zaś, w swoje biála száte, się uстроił,
Y lirę słodkobrzmiaca, w reku swych náстроił.
Zbiegály się Tygrysy, Lwy, łrocie Niedźwiedzie,
Y Sátyrow do táncu, cóś Boskiego wiedzie.
Rzekłbyś: że gory same, y okropne skály,
Y Lásy ciemne, gusty w tey muzyce miály.
W tych pieśniach wielkość Bogow, y tych śpiewał sprawy,
Ktorzy wszelką roskosza, wżgárdzili dla sławy.

Często mi y to mawiał: [czego nie zapomnie]
Nieopuszcza Bogowie, y że myślá o mnie.
Ná koniec mie pobudza, y tak upominá:
Idź Synu zaprzykładem mego Apolliná.
Cwicz Pásterzowiáko on, áby Muzy ználi,
O którym Historyá, táka czyni daliy:
Apollo raz márkotny, że Jowisz náyczestíże,
Rzucál pioruny, wedni iásno náygoretíże.
Ná Cyklopach się pomścić chćiał, co ie kowáli,
Postrzelál do iednego, swoiemi ich strzáły.
Ták ustálá robota, y Etna nie grzmiála,
Co od młotow Cyklopow, z cáła ziemia drzáła.
Wulkan wściekły wypáda, z pieca ognistego,
Kuláwy; do Olympu drze się wysokiego.
Sądza z potem okryty, przed Bogami staie,
Gorzko ná Appollina skarży się, y łáie.
Z czego Jowisz roział się sam, iak owo jedza;
I z nieba Appolliná, ná ziemię wypędza.
Woz iego próżny chodzil, swym biegiem zwyczajnym,
Dniom, Nocy, Zimie, Latu, Zygarem nie tajnym.
A Appollin obdarty, ze swoich promieni,
Do Stad Krola Admeta, w Pasterza się mieni.

Gra ślicznie ná fuiarce. Pasterze się zchodzą,
 I czego niesłyszeli, bardzo sobie słodzą.
 Bo przedtym nic ludzkiego w dziczyźnie nie mieli,
 I tylko doić, y syr wyrabiać, umieli.

Ale im moy Appollo, żywota wieyskiego,
 Odkrył słodycz, y śpiewał im, roku całego
 Miłe odmiany. To raz kwiat, Wiosny koronę,
 Nocy letnie, á dni zaś, praca uwieńczone.
 Oraczom rekompense, Jesień przynosząca,
 I Zima u komina, iako starzec drzaca.
 Dał im poznać; iaki to smak iest, w życiu takim:
 Kiedy natura, torem pewnym, y jednakim
 Idzie: iakie się cuda, w iey náyda prostocie,
 Kiedy iey nie dla zbytku, zażyie kto w cnoćie.
 W krotce, z swymi flutami, Pasterze się mieli
 Szczęśliwsi od Krolow, ich tronu nie chcieli.
 Proste, ale prawdziwe pleziry się ciska
 Do nich, które przed wroty złościemi pryska.
 Gry, śmiech, wszystkie gracye, Pasterki niewinne,
 Wzięły działem, im zawstyd przy urodzie, winne.
 Każdy dzień Swieto było. Praszkę przygawaly,
 Zephyry po gąleziach, chłody ná nich śiały.
 A Pasterze piosneczki, do tego nućili,
 Tych Muzy, Apolliną sługi, ich uczyły.
 Ten Bog zaś uczył ich: To, wzawod raczą biegać,
 To strzelać dzięki Sarny, Jeleni dobiegać.
 Z szczęścia tak spokojnego, zazdrość samych Bogow
 Wziął; że Appollina, do Olimpu progow,
 Przywrocili. Y tać to bayka, ci náuka,
 Ma bydz Synu; ábyś szedł, Appollina sztuka.
 Ponieważ cie wygnaniem, nawiedziły nieba,
 Wychożyc dziczyznę, y zakwitnac trzeba.
 Pułstynie y Pasterzow, przyucz do Muzyki,
 Nie day w fercach ich gościć, surowości dzikicy;
 Lecz day cnoćie kochaney. O iakie pociechy?
 Przy cnoćie mieć bez passyi, niewinne uciechy.
 Będiesz y ty, gdy wspomniesz ná to, więc żałował;
 Tak szczęśliwym nie będziesz, gdy będziesz Krolował.
 Obstapia cie kłopoty, y Krolewskie troski,
 Będiesz wzdychał, ná życie Pasterskie, y wioski.

To

To rzekłszy Termosyris: flute mi darował,
Taka ze ledwom zagrał; głos iakby się chował
Dla mnie po gorach; wypadł, z tak rokosznym pieniem,
Ze Pasterze się do mnie zbiegli, oka mgnieniem.
Głos moy stał się iak Boski, dziwnie okraszony.
O iak miły kray? kiedy natura stroiony.

Y takeśmy wesoło wszystkie dni trawili,
Ja śpiewając, oni się, słuchając uczyli.
Zaniedbali y bydeł, rzucali swe chatki,
Cwicząc się, w tej iedynie robocie, im rzadkiey.
W czym, tak się ta pustynia przedko odmienila,
Ze się sama kraina, nam zdała być miłą.
Częstośmy do Kościoła biegli, na ofiary,
(Przedtym nigdy) gdzie mieszkał Termosyris stary.
Pasterze na cześć Boga, laurem się wieńczyli,
Y bankiety polowe, zaraz tamże były.
Mleko od nas doione, od nas frukty rwane
Iedliśmy, darnie miętkie, nam za krzesła miane.
Gęstwiną z drzew skrzywionych, taki cień dawała,
Złotych dachów wspaniałość, iakiego nie znała.
Lecz, co mnie między niemi, sławnym uczyniło,
Było, że raz Lew napadł, y z głodem y z siłą,
Na trzode, y gdy pocznie tłuc, y zrzcęć bez miary,
(Paszczeka mu ognista, sam żółto podżary.)
Szedłem śmiało na niego, szuflę tylko mając,
A Lew krwawe pazury, y szersęć nacierając,
Uderzy się ogonem. A ja go o ziemię.
(Miałem pancierz iak drudzy, to pomogło, że mnie
Nie rozdarł) trzy się razy z rak wysliznał moich,
Alem go ja dotrzymał, y z wszystkich sił swoich,
Udławiłem. Pasterze świadki mego meństwa,
W skora się ubrać kaza, na znak mi zwycięstwa.
Odgłos tego uczynku, y piękney odmiany,
W pustyni, już odemnie tak przeformowaney,
Po całym się Egipcie (z ma chwałą rozchodzi,
Y do Krola Sesostris samego dochodzi.
Dowie się, że to ja był, za Phenica wzięty,
Który, złotym wiek przyniósł, y postępek święty,
W pustynie krajow jego. Y w tej ciekawości,
Chce mnie widzieć. Iakoż mnie, w dziwney łaskawości.

Przyimue, y doćieka, że to zdrada była
 Metophisa, ktorego w więzienie odsyła.
 O jakie to nieszczęście, kto siedzi wyfoko,
 Nie doyrzy prawdy, ktora zakryta głęboko.
 Ma takich koło siebie, ktorzy przelkaczaia,
 Zeby Pan icy nie doyrzał. W tym interes maia,
 Aby Pána oszukać, a swa pychę kryia,
 Płaszczkiem życzliwości, iak nie sobie żyia.
 Tylko iakby Krolowi, ktorego nie lubia,
 Bo go swemi pochlebstwy zdradzaia, y gubia. •
 Dziwnie, wielki Sesostris, dobrze mię traktował,
 Okrety ná moy powrót, z Woyskiem ofiarował;
 Tylko co wsiadać mamy, bo flota gotowa,
 Aż mnie rewolucya gotuje się nowa,
 Gdy sobie myślę, co to tá fortuna robi:
 Podnieście, y obáli, pohánbi y zdobi.
 Tak y mnie, kiedy szukam moiego Mentorá,
 Y badam się o niego. Aż tu drogá spora
 Odmienia się, bo nagle Sesostris umiera.
 Y wrotá; do Oycyzny moicy, mi zawiera.
 Egipt w żalu z tey straty, był nieukoiony
 Nie słychać tylko żal, płacz, w ktore poyrzysz strony.
 Jak Oycá, Protektorá, Przyaciela cnego
 Płacza. Stárcy wołáia: już Krolá takiego,
 Nigdy Egipt nie znajdzie. O surowe Niebá!
 Albo go nam nie dawać, álbo brąć nie trzeba,
 Zginelá nam nádzicia. Młodzi zaś wołáli:
 Szczęśliwi co czas dobrych, pod nim zázywáli.
 Czterdżeści dni, naydálsze Narody, zbiegáli,
 Obrázy dla pámiatki, Wnukom swoim bráli.
 Siła zaś w grobie iego, żywo się kopáło,
 Ale moy żal nád zale: Co się ze mną stáło?
 Bokorys syn y Dziedzic, Krolá tak dobrego,
 Ludzkości nic, mądrości cále nie miał iego,
 Gárdził Cudzoziemcami, cnotliwym się brzydził;
 Y chęć w sobie do cnoty mieć, cále się wstydził.
 Wychowány w niecnotách, y w pyśle wierutney,
 Zá nic sobie miał ludzić, ná nich był okrutny.
 Iakby inszey náтуры; nie iako on byli,
 Y, że ná to stworzeni, aby mu służyli.

Nic

Nie myślał, tylko żądze swoje kontentować,
 Y zebrane od Oycá, skárby rozsyłować.
 Poddanych dręczyć, y krew wysłać przez podatki,
 Do rady wołać młode, y płochę niešťatki.
 Madrych Stárcow Oycowskich, oddalił ze wzgárda,
 Monstrum to był, á nie Krol pod korona hárdá.
 Jeszcze go cnoty Oycá, bárdziey wytykały.
 Ale że był kochány, ow Krol doskonály,
 W Egipćie; toć y Syná, lub z żalem ćierpiano,
 Y pod járzmem ták frogim, ćierpliwie ieczano.
 Ale on zgubę predka, wziął sobie gotować,
 Y nie mogli, ták niegodny Krol, dlugo pánować.
 Metophis ow, miał szczęście, wyjść z więzienia swego,
 Y dostać faworow, u Krolá nowego:
 Mszcząc się swego nieszczęścia, com go był nábawił,
 Ze się w wieża wśádzono, to u Krolá spráwił.
 Tá wieża pod Peluzá jest, nád brzegiem Morskim,
 Támem się stał ofiára, záwziętościom Dworskim;
 Trawiłem dni y nocy, w niesłychánym smutku,
 Ziáskini głos słyszány, zdał się bydź bez skutku.
 I to co Termosyrys, szczęście prorokował,
 Wśytkom to zá sen ieden, y bayki ráchował:
 Utopiony w tym żalu, pátrzyłem ná wały,
 Które się o więzienie moje, obijały.
 Ná Okręty rzucáne, przez pieniać burze,
 Y bliskie ich rozbićie, ná mey wieży murze.
 Alem ich nie żáłował, y owszem zazdrościł,
 O ich bliskim nieszczęściu, takiem myśli rościł:
 To ci ludzie, zakończá swe biedy, gdy zgina,
 Albo doyda Oyczyzny, y stráchy ich miná.
 A mnie tego oboygá, spodźiewać się trudno.
 Wádziłem się z fortuna, y tęsknota nudná.
 Ale gdy dni, y siebie, dármo w żalách pláczę,
 Raz nieczmierná Okrętow moc, y Woysk obacze.
 Mászty iák lás, á Morze záś od żaglow białe,
 Y od łopat bez liku, pieniać się cále.
 Ze wśytkich záś stron głosy, słysze pomieszane:
 Jedne Egypcyány, cále zástráchané,
 Co się mieli do broni. A záś drudzy w biegu,
 Ku tey flocie, witájąc się z nimi, ná brzegu,

Predkomem poznał, że te Okręty, co przyszły,
 Jedne od Phenicycy, drugie z Cypru wyszły.
 Ze byli Egipczenie rozdwoieni, znałem,
 Y łatwo z tego miarę sobie, myśląc, brałem:
 Ze durny Krol Bokorys, okrucieństwa swemi,
 Wznieść Woynę domowa musiał, z Poddanemi.
 Egipczenie co w sukurs, Cudzoziemcow wzięli,
 Z sadziwizy ich na Ziemię, uderzyć się chcieli,
 O drugich Egipcyan, których sam Krol szyki
 Prowadził, w bystrey minie, surowy y dziki.
 Widziałem iako swym Krol, pobudzał przykładem,
 Jako Mąrs, krwi rynsztoki toczył, zdięty jadem.
 Krwią zbroszone pryskały, wozu iego, koła,
 Ledwo trupy prześć mogły, zgniecione do koła.
 Ten młody Krol był hoży, wysoki, y skory,
 Desperackie błyszczały, w oczach mu furory.
 Jako koń wyuzdany, bieży do upadku,
 Męstwą nie moderował, dzielność miał bez státku.
 Nie mógł błędu poprawić, ni wcześniej rozkazać,
 Ni przyrzec, czego się bać, ni ustrzedz się kazać.
 Nie z tad to szło: iakoby nie miał dobrej głowy:
 Miał y serce; ale że był, w nieszczęściu nowy.
 Dobry umysł, źli Mistrze, podchlebstwy otruli.
 Rozciąga się w Fortunie, a w przypadkach kuli.
 Ze iego żadzom, wszystko podpada, rozumie,
 Gniewu złości zápalom, oprzeć się nie umi.
 Zgoła: Pycha go, w Zwierze frogie przemieniła,
 Dobroć iego rozumu, z tad go odstała.
 Uciekli precz od niego, nayszczęśliwi Słudzy.
 Następili, głaszczacy iego chuci, drudzy.
 Y gdy przeciwne rady, swemu dobru bierze,
 Brzydza się tym postępkim, cnotliwi w tej mierze.
 [Wroćmy się do potrzeby.] Jego same męstwo,
 Tąmowało dość długo, przeciwnych zwycięstwo.
 Ale mnożstwu zbyt niemu, ustąpić musiało.
 W tym Krola, Phenicowi, trafić się udało,
 Poćiskiem w same pierśi, od ktorego z wozu
 Zleciał. A że nie trzymał nikt lec, ni powozu.
 Konie go stępowwały. Wziął mu życie z głową
 Cypryńczyk. y twarz iego pokazał surową,

Ná tryumf zwyciężkiemu Woysku; ktore licznie,
 Zbiegło się, y wesoło krzyczy okolicznie.
 Nie zapomnie przez wiek moy, żem te widział głowę,
 Pływająca w krwi swoiey, y oczy surowe,
 W niey zgąszone. y gebe ná poly otwarta,
 Y te mine grozaca, pyszna y zázarta;
 Ktorey y śmierć w nim sama, nie mogła zamazać.
 Nie przestane żałować, oraz y uważać:
 Jeżeli mi dadzą kiedy, Bogowie krolować,
 Nie przestane, przykładu tego, w myśli chować.
 Ze Krol, nie jest do rzadow, nigdy swych godnicyszy,
 Ani nie jest fortuny pewien, státecznieyszey,
 Tylko kiedy swe władzę, pod rozum poddać.
 O! iák się nieszczęśliwym, Krol samochcac stać!
 Gdy badac, ná publiczne szczęście, náznaczony,
 Nieszczęśliwych Poddanych, swey czyni korony.

Kalipso z podziwieniem, Telemaká słucha,
 Uwaza przy młodości, tak mocnego ducha,
 We złym nie złamanego; ktorym się on rzadził;
 Iże nawet odkrywa to, w czym troche zbłądził.
 Jakby się sam oskarżał, y że swoich bładow,
 Ná poprawę záżywał, doskonálznych rzadow.
 Mow dálej Telemaku (rzecze) jakim torem,
 Wyfzedłś ty z Egiptu, zszedłś się z Mentorem?

Mowi tedy Telemak: Co przy Krolu stali
 Egipcowie, przegrana swa widzac, poddali
 Zwycięzcom się swym Bráci. Krolá obieráia.
 Phenicowie z Cyprami, do domu wracáia.
 Z Krolew nowym, zrobiwszy lige nieprzerwana,
 Niewolnikow Narodu ich, dawnych oddano.
 Ja w ich liczbie wychodzę, z wieczy swey fatálney,
 Ná Okret wsiadam, pełen już otuchy wálney.
 Już wiatr dobry dmie w żagle, y pieni się Morze,
 Od łopat; kray ucieka, gdy się wodá orze.
 Gory się coraz mnieysza. A z wod, ognia Słońce
 Dobywa, y pozłaca brzegi, zostáiaace.
 Niebo stroyne lazurem, a Morze zielonym,
 Dáie nádziecie, dobrej drogi, uprágnionym.

Lubo zá Phenicaná, w tym śiadłem Okręcie,
 Iednak miś nikt z nich nie zna. siedze iák w odmęcie.

Narbal, który Okretem naszym kommandował,
 Spyta mię? Iák się zowiesz, y kedyś się chował?
 Z Miałt naszych! Odpowiem mu: jam ni z Miałt ni z ziemi
 Wáfzey; Alem w Okrećie był, między Wáfzemi;
 Kiedy nas Egipcianie, w kupie wszystkich wzięli,
 Y mnie zá Phenicaná, niewolnikiem mieli.
 Siłám pod tym Imieniem cierpiał, ledwo żywy,
 Y pod tymże Imieniem, wychodząc szczęśliwy.
 A z ktoregożes kráiu? (rzecze) Narbal do mnie?
 Jam Telemak Ulissá Syn, (że ci go wspomnie)
 Królá Państwá Itaku; który się w niedawnym,
 Trojáńskim obleżeniu, stał po świecie sławnym.
 Bogowie, do Oycyzny, bronią mu powrotu.
 Szukam go w różnych kráiach. Iednegoż kłopotu,
 Co y on, y fortuny, zázywam przeciwny.
 Máley rzeczy ia szukam, ktorey mi BOG dziwny,
 Odmawia: żebym Oycá, do ktorego wzdyham,
 Ználażł. y swá Oycyznę, do ktorey usycham.
 Z tad mię Narbal uważa, z podziwieniem frogim,
 Myśląc, że Bogom musze byđz miłym, y drogim.
 Náтурálne był dobry, pocziwy, otwarty;
 Umyślił dác mi rádę, ná moy los uparty.
 Y rzecze mi: Nie wąpie nic, o Telemaku!
 Zebyś ty niebył rodzić, y dziedzic Itaku.
 Bo žal y cnotá, ná twej málowané twarzy,
 Wierzyć kaza, y w niey się wielkiego coś zarzy.
 Náwet, (niechay się w myślách skrytych ci nie dłuże.)
 Widzę, żeś Bogom luby, ktorym ia rad służę.
 Ci chca, ábym cię kochał, y ráda salwował,
 Nadgrody nie chce, tylko abyś sekret chował.
 Nie boy się [rzekę,] ábym ia milczeć nie umiał,
 Rzeczy, ktore poufać, będzieś mi rozumiał.
 Lubom ia ieszcze mlody, [choć pochwałę się tu]
 Stárałem się wycwiczyć, dotrzymać sekretu.
 A dopieroż, ochronić konfidentá mego.
 Narbal rzecze: A iákże mogłeś przysć do tego?
 Y iák ci nieuwážna mlodość pozwoliła,
 Dostąpić? czemu zawsze nieprzyiązna była.
 Sekret, wszystkie oświeca postęпки uważne,
 Y bez tego przymiotu, u mnie nie są ważne.

Gdy

Gdy Ulisses, (rzekł mu) szedł na Woynę Troi,
 Wziął mnie raz na kolaną, y twarz we łzách znoi.
 Rzekł [iák mi powiedano] niech cie nie obacze,
 Niech (Synu) przetną Párki nic, żywotá tkacze,
 Niech cie zetną iáko kwiat, Synu y kochánku,
 Co dopiero na łace pokazał się z ráńku,
 Niech cie wprzód w oczách Mátki, me Nieprzyjaćiele
 Zgniota. [Y ták dokładał innych przekleństw wiele]
 Jeżeli się masz popsować, nie iść drogą cnoty.
 Owy, wy Przyjaćiele! Wálzcy to roboty
 Bedźcie, Syná wychować; wam go zostawuie,
 Kto mie kocha, niechayże dobrze go pilnuie.
 Podchlebstwo niech oddała, y łamać się uczy
 Sáme go. niech mu giećiem, iák drzewku dokuczy.
 Sekretnym, sprawiedliwym, uczyć go bydź wiernym.
 Kto się kłamstwom raz podda, obrzydlic mizernym,
 To nie człowiek. Y nigdy pánować nie godzien:
 Który sekret wyiawiać, przed kimkolwiek głódzien.
 Y te słowa Oycowskie, oni powtorzyli,
 Ták mi często, że aż mi do mozgu ie wbili.
 Y ták mię często chcieli, w sekrecie probować;
 Ze ledwo comem gadał, umiałem go chować.
 Owych Gáchow: Co z Mátką mażeńić się chcieli,
 Y nie dyskretni goście, ustawnie siedzieli,
 Kiedy się ich zbydź chćiano, powierzano mi to
 A iam się pyszniąc milczał. Choćby mię ząbito,
 Nie podałem po sobie. A ci konkurrenci,
 Pátrzac na me dziećinństwo, mniema że wykreći
 Káždy z nich y wybada, co wiem, co rozumiem,
 Ale ia y bez kłamstwa, táć wszystko umiem.

Powiem ci (Narbał rzecze) ponieważes táki:
 Widzisz moc Phenicanow, y Narod to iáki:
 Y iák drugim Narodom, Okretow mnogością,
 Jest strąszny, y bogáctwy! ktorych przezornością
 Nábywa, aż do kolumn Herculis handluiać.
 Sefostris, nic na ziemi nie wskorał wojuiać.
 Y iego Woyska, co Wschod cały zwyciężyły,
 Ledwo nam aż na Morzu, trochę dokuczyły.
 Włóżył on prawdą Hárącz, lecz go nie płáćili,
 Nie cierpliwie na iego potęgę pátrzyli.

Mocna resistencya była tá, y trwála.
 W tym śmierć Sesostra, skończyć tej Woyny nie dala.
 Prawda że bárdzicy głowy, niżli mocy iego
 Baliśmy się. Ale gdy moc, do Synowskiego
 Przeszła Tronu; gdzie żadney, nie było uwagi.
 Zwazyliśmy, że taka siła, iest bez wagi.
 Jakosz Egipcyanie, miasto ná nas woyny,
 Zawołali nas w sukurs. Gdy Krol nie spokoyny,
 Bezbożny, y szalony, wziął ich opprymować.
 Aż my co się ich bali, szliśmy ich ratować.
 O iaka naszą sławá! do złotá dostátku,
 Droga wolność przyłaczyć, y mieć ná ostátku.
 Ale kiedyśmy drugich, są zbawicielámi;
 W domu támi iesteśmy, zaś niewolnikámi.
 Boy się (o Telemáku) wpásć w okrutne ręce,
 Krolá Pigmálioná, zá ktoreć nie ręce.
 Umoczył ie w Sychea krwi, Mezá Dydony,
 Siostry własney; ktoremu zazdrościł korony.
 Oná lub z stráchem wielkim, pomsty nań szukájac,
 Uciekła z Tyru, sílu z sobą zábierájac.
 Co wolność y poczciwość, náybárdzicy kocháli,
 Ná brzegi Afrykáńskie, przy niey się wybráli.
 Tám Miasto, Kárháginę przepyszna, funduie.
 Pigmálion sam sobie, nowe meki snuie.
 Bogáctw nienásyconym, y złotá prágnieniem,
 Staie się, swych Poddánych, zmierzłym pohánbieniem.
 U nas w Tyrze kryminał, mieć iákie bogáctwá,
 A náwet mizernego, boi się zebraćtwá.
 Łákomstwo w nim, ná wszystkich, podeyrzenie czyni.
 Bogátych prześláduie, y ubogich wini.
 Gryzie się niespokoyoyny, swego ćienia boi,
 Ni się w dzień, ni się w nocy, sam nie uspokoi.
 Sad Boski, konfuzyá w bogáctwách, go tłumi,
 Im ich ma wiecey, tym mniey záżywáć ich umi.
 Y to samo, w czym szczęście swoie bydz, zakłada,
 Y szczęście mu, y pokoy, zdrádliwie wykrada.
 Záluie gdy co dáć ma, á gdy wziáć, się suszy.
 Nikt go nigdy nie widzi, z mieylcá się nie ruszy.
 Sam ieden, smutny záwsze, w páłacu záwarty.
 Ktory naypodufálszym iego, iest záparty.

Warta

Wartá strážna, z gołymi koło drzwi mieczámi:
 Pika gesta opasán páłac, iák lásami.
 Trzydzieści ma pokoiow u siebie, przebitych,
 Káždy ma drzwi żelazne, w zamkach niedobytych.
 W tych sypia, lecz nikt nie wie, kedy dziś spáć będzie,
 Dwá rázy w iednym nie spi, przy wymysłnym zrzędzie.

Nie zna słodkich plezyrow, które przyiaźń rodzi,
 O ućiesze się przed nim, y mówić nie godzi.
 Jákoż, choćby iey y chciał, ućieka od niego.
 Oczy ma pełne iádu, y ognia dzikiego.
 W káżde strony lataia. Sam nádstáwia uchá,
 Blednieie, y truchleie, gdy się ruszy muchá.
 Kłopoty czarne, ná twarz iego pomarszczoną,
 Występuia, y siedza, pod ostrą koroną.
 Máło mowi, á wzdycha, raczyi często ieczy.
 Poddanych swoich trapi, kiedy się sam męczy.
 Y nie może zátáć, srogiego zgryźnienia,
 Które mu serce suszy, ze złego sumnienia.
 Nie ma smáku w potráwach. A w dzieciách poćiechy,
 Strách, y ból od nich czuie, zá miásto ućiechy.
 Zgoła, on szczęśliwego y dnia, nie záżywa,
 Ná krew ludzká łakomy; té, co dzień rozlewa.
 Nie widzi, że łalone, iego okrucieństwo,
 [W którym ufa] iest zguba iego, y męczeństwo.
 Pewnie go kto z domowych (ták zły iák on) zbáwi
 Tego życia, á nas też od niego, wybáwi.
 Co do mnie [iac się przyznam] że się Bogow boię,
 Y w wierności, Królowi moiemu, do stoię.
 Choćby mié kazał zabić, iestem nie wzruszony,
 Náwet bym nie omieszkał, do iego obrony.
 Ale ty Telemaku, strzeż się mu powiedzieć:
 Ześ iest Syn Ulisseffa. Gdyby to miał wiedzieć;
 W sadziłby cię do wieczy, kładac, zá powrotem,
 Ze cię Oćiec okupi, niezliczonym złotem.

Przyiechawłzy do Tyru, słucham iego rady:
 Widze, że co powiedział prawdá, bez przysady.
 Nie mogac tego poiać: iáko samo chcacy,
 Pigmalon się uczynił, y strážny, y drżacy.
 Nowy to widok dla mnie (sam rozkładam sobie)
 To ten Człek nie nie szukał, tylko żyć w ozdobie,

Y w szczęściu, y w bogactwach, w mocy iednowładney,
 Bydź takim, okazyi, nie opuścił żadney;
 Czyni co chce, bo może; Przecie mizerakiem
 Jest, przy władzy tak wielkiej, przy złości żebrakiem.
 O gdyby był pasterzem! Iako ia nie dawno,
 Bez zgryzotby y troskow, był szczęśliwym iawnio.
 Przy uciezce niewinney, nie bał się trucizny,
 Kochając y kochany, nie strzegłby się blizny.
 Nie miałby w prawdzie, bogactw tak wielkich, które mu,
 Iak piasek nie potrzebne, bo się ich tknąć iemu
 Nie godzi. Ale by zaś zżywał szczęśliwy,
 Dobr Ziemi, których smaku nie zna, iako żywy.
 Ten człek zda się że czyni, co ieno chce żywnie,
 Ale nad nim pąsły, maia gore dziwnie.
 Co one chcą, nie co on, tak się wszystko stanie.
 Suspicye y skepstwo, nad nim panowanie
 Maia. Y gdy się Pánem drugih ludzi zowie,
 Iego chuci są, kaci iemu, y panowie.
 Tak o Pigmalionie, trzymać mi się zdało;
 Lubom go sam nie widział. Bo go nie widziało,
 Oko ludzkie; y tylko straszne iego wieze,
 Widzieć można, których to, liczny Zolnierz strzeze.
 Do nich iak do więzienia, zamknął się ze skarby.
 O iakom ia Sefostrą, przeciwnemi farby,
 Sobie odmálowywał? Gdy tego Niewide,
 Kompárować z Sefostrem, tak przystępnym wnide.
 Tamten miły, przyjemny, na wszystkich laskawy
 Cudzoziemcow, y prawdy dowiedzieć się zwawy;
 Ow Sefostris (mowilem) nie bał się niczego,
 Ni od kogo, iak Oćiec, od Potomstwá swego.
 Ten się zaś wszystko boi, y bać się powinien,
 Bo Krol zły, y okrutny, wszystkim wszystko winien.
 Ani go geste Warty, nieśpiące ustrzega,
 Za Sefostrem zaś ludzie, iak za Oycem biega.
 W tym Pigmalion, Woyská do Cypru odsyła,
 Według Ligi, która to z Cypryicami była.
 Narbał wziął okazy: kazał mi się z niemi
 Popisywać, iakobym był z Cypryiskiej Ziemi.
 Inaczybym nie wyszedł, tak był Krol nie wierny,
 Y wielką suspicyą miał, w rzeczy mizerney.

Zwy-

Zwyczaj Krolow zámknietych, y w rzadzie leniwych
 Jest, wszystko dáć ná rece, Ministrow fałszywych.
 Ten zaś, strzegł się, czy dobrych, czy złych, y nikomu
 Nie ufał. A zaś dobrym, nie dał y bydź w domu,
 Zwłaszcza, że się pocziwi, takich nie trzymáia,
 Y pokoiu szukáiac, Krolow się zchrániáia.
 On też przez czas nie mály, co siedzi ná Tronie,
 Znalazszy nie życziwych sílu, swej koronie,
 Zdrádných, frántow, przewrotných: Ze są wszyscy tácy,
 Mniemał, że pocziwego, w świecie nie obaczy.
 Jákbym wszyscy, w mąszkárze okryli się cnoty,
 Y że nie mąsz ná ziemi, szczerey nie ochoty.

Wrociwszy się zaś do mnie: Cyprámim okryty,
 Y w ich wyszedł szeregu. Narbał stał iák wryty.
 Od strachu, y drży, áby tam mnie nie odkryto,
 Jákbym śmierć swoją widział, y moia wryta.
 Niezmierna niecierpliwość ma, byśmy iecháli,
 Lecz nas w Tyrze przeciwné wiátry, záttrzymały.
 Wziąłem sobie ia ten czas, ná ludzi przeyzrzenie
 Phenickich, y zwyczajów, ktorzy zálecenie,
 Y znáimomość po świecie całym, máia z dawná.
 Jest Wyspá ná szrod Morzá, y piękna, y sławna,
 Ná ktorey to Tyr leży. A brzegi ná koło,
 Miast, Wsi, rol, pol, łak, y Rzek, y żyzności czoło.
 Gory ia od południá, y wiátrow palacych,
 Záslaniáia. A z Morzá, ma dosyć chłodzacych.
 Wszystko kray się wyciągnął, pod Libaná boki,
 Ktorego wierzch záziéra w Niebo, przez obłoki.
 Lod wieczny, iáko wieniec, okrył iego czoło,
 Z kad Rzeki leca grzać się, swym biegiem ná koło.
 Po tey gorze ma z Cedrow, Lásy nieprzebrane,
 Stáre iák świat, gáłęzie w obłoki podáne.
 A pod lásem po gorze, pástwiská są tłuste,
 W Bárány, Woły, w bydłá, gesté á nie puste.
 Sam zaś doł, z szedzzy z gory, jest ogrod iedyny,
 Wieczne Wiosny, Jesieni, noszacy dániny.
 Ni Aqwilon powárzyć, áni Eurus spalić
 Wazył się go. Nie można się go y náchwalić.
 We szrodku tego kráiu, y Morzá bliskiego,
 Stoi Tyr, raczey pływa. Iákby był całego,

Krolem Oceanu. Tám, ze wszystkich stron światá,
 Kupczą Ludzie, kedy ich, nie potkala strátá.
 Wszedzy w Miásto. Nie zda się Narodu iednego,
 Lecz się kramem, y miástem, zwác światá całego,
 Y stek hándlow. Gor dwiemá, iák dwiemá rękami.
 Siaga Morzá, mocnemi, po między murámi.
 Ktore port zaslaniáia, obszerny y cichy,
 Y na wiatrow wściekline zawarty, y sztychy.
 Nie przezyrzyć go od Masztow, ktore iako lasy,
 Okrywáia tam Morze, w każde roku czasy.
 Wszyscy Mieszkańcy, w handle wielkie się udáia,
 Y choć przy wielkich zyskach, w pracy nie ułtaia.
 Lnow Egipskich, w dziw cienkich, Tyryiskiey purpury,
 Dwa razy farbowaney, pełne wisza sznury.
 Ktore złotem y srebrém, po tym zaś haftuia
 Phenicowie, y w Gades dalekie handluia.
 Przez Ocean, (co ziemię opasał) przebyli,
 Niewidána Zeglarka. Ná Czerwonym byli
 Morzu, y nie znáióme, gdzieś Wyspy znaleźli,
 Z ktorych zloto, perfumy, nie znáne przywieźli.
 Nie mogłem nápásć oczu. po Mieście szerokiem;
 Jáki mrowki ludzie w biegu, były mi widokiem.
 Nie było tám (iák u nas) ludzi próżniących.
 O nowiny, przychodniow z Morzá, pytających.
 Mezczyzni są zabáwni, z Okretow windować,
 Y do sklepow obszernych, swe towáry chowác,
 Przedawác ie, ukłádác, y ráchunki zbierác;
 Niewiásty zaś przaść kadziel, y wełny przebierác.
 Wzery robić ná háfty, y háftowác potym,
 Máteryom glandz dawác, y srebrnym y złotym.
 Z tad się pytam Narbala: Co są za obchody?
 Ze przeszli Phenicowie, w hándlách wsze Narody.
 Widzisz naprzód [mi rzecze] same położenie,
 Jest sposobne do hándlow, Port wiatrow wieżenie.
 A potym (ieźli dawnym będziemy wierzyli)
 Pierwsi są Phenicowie, co się odważyli,
 Z Ludzi puścić ná Morze. Ktorego to pychy
 Podbili, y złych wiatrow, połamáli sztychy.
 Z Babilonu, Gwiazd, Niebá, zebrawszy náuke,
 Tą się rzadzić ná Morzu, pierwsi mieli sztuke.

Do tego są wymyślni, cierpliwi, roboczy,
 Ochronni, trzeźwi, nad was [żeć to rzeka w oczy,]
 Zgodni z sobą. Szczerzego Narodu nie było,
 Cudzoziemcom miłszego. To ich wywyższyło.
 Y to jest, co im Morza panowanie dało,
 Y w ich porcie zakwitnąć handlom, rozkazało.
 Gdyby zazdrość między nich, trochę się wmiszała,
 Delicje y próżność, ich opánowała,
 Gdyby Ekonomia, z pracą, porzucili,
 Gdyby rzemiosła Mieyskie, w honorze nie były,
 Kiedyby Cudzoziemcom, nie trzymáli słowa,
 Wolność handlom uieli: To zgubą gotowa.

Proszę cie (rzeka ja mu) chćicy mi wytłumaczyć
 Spofoby. [Bo też chce swoy Itak przeinaczyć]
 Do podobnych tym handlom? Czyń rzekł, iak tu czynia:
 Przyim dobrze Cudzoziemcow, kiedy tam zawiną,
 Znaydź im w Porcie twym wolność, opatruy wygody,
 Niech łakomstwo, nie wćiągnie ciebie do ich szkody.
 Jeden spofob prawdziwy, do zysku pewnego,
 Jest: Nie chćiec się nąpierać zysku zbytecznego,
 Y wiedzieć kiedy łożyc. Nábyway miłości
 Cudzoziemcow, ich błędy pokryi, w łaskawości;
 Nie day im przez wyniosłość, strzedz się cie w ostatku,
 W Handlach postánowieniu, nie opuszczay statku,
 Sam dotrzymay koniecznie, karz frąnty surowo,
 A nawet y niedbálstwo, y pyche kupcową.
 Ktorzy do dobr przyszedszy, zwykli ruinowác,
 Ták handel, iak y siebie. Poddanym handlowác
 Trzebá, á nie Krolowi; który dosć z profitem,
 Jest wielkich bogactw, choćiasz z máłym od nich mytem.
 Ieden zysk, á wygodá, obcych poćiągáia,
 Iezli tego nie znayda, gdzieindźciey szukáia.
 A drudzy z nierozumu, profituác twego,
 Nie bada, dla ich zysku, bronić portu swego.
 Náwet, (że ci się przyznam) przez złe Krolá spráwy,
 Iuż y nasz Tyr, do dawney, nie podobien sławy.
 O gdybyś Telemaku, przed tym panowaniem
 Widział go? Większym by ci było zádumaniem.
 Tylko już reliqwie, widzisz ná ostatku,
 Splendorow, ktore idą blisko do upadku.

W iakięś się nieszczęśliwy Tyrze, ręce dostał?
 Który Narod na świecie? Coby tu nie powstał?
 Morzec haracz noсило. Pigmalion straszny,
 Nie wybiega się przed nim, y obcy, y własny.
 Coby miał Cudzoziemcom, swe porty otwierać,
 Odraża ich. Bo zda się y na grosz umierać.
 Okręty, na nich ludzie, ciekawo spisuie,
 Towary ich y zyski, z cena rejestruie.
 Nawet brzydka napascia, każe ich szlakować,
 Za najmniejszą przemytę, wszystko konfiskować.
 Kupcow drze najbogatszych, przez frogie wymysły,
 Wkłada na nich gabely, niż do portu przyszły.
 Sam do tego handluie, y z sobą przymusza,
 Do spółki kupcow drżących. Aż mię boli dusza.
 Y tak handle uśtaia, y droga do Tyrę;
 Zápomina się wszystkim, dla ciężkiego zdzieru.

Pytam Narbala, wiedzieć chcąc wszystko y daliy:
 Czym się Tyryczykowie, potężnymi stali,
 Na Morzu? Odpowie mi: Mamy na Libanie,
 Z Cedru las; aż do końca świata, nam go stanie.
 A z tego na Okręty, mamy drzewo śliczne,
 Y tknąć się go nie godzi; tylko na publiczne
 Potrzeby Okrętowe. Przy tym Rzemieślnicy,
 Tak wyborni, że żaden kray, takich nie liczy.
 Z kądże ich rzekę macie? W kraju są ćwiczeni,
 Odpowie mi: Gdy ludzie, są dobrze płaceni,
 Co są w sztukach Mistrzami, bądźże pewien tego,
 Ze się rozmnożą, ieden gdy ćwiczy drugiego.
 Y ci co talent wyższy, niżli drudzy maia,
 W drugich wleia, gdy dobrze, im to nadgradzaia.
 Nie slychanym honorem, tych u nas traktuia,
 Ktorzy w sztukach żeglarskich, nad innych celuia.
 Gwiazdmistrza, Geometrę, a Szypra naywiecyj,
 Y honorem nakarmia, y złota tysięcy.
 Tudzież Cieśla, ma cenę, ma cześć, y zapłatę.
 A nawet y gmin ludu, co dźwiga łopate.
 Karmia ich dobrze zdrowych, a chorych kuruia,
 Gdy ida w drogę, żony z dziećmi opatruia.
 Gdy który w drodze zginie, dom nie bez nadgrody;
 Tak w życiu, iak po śmierci, nie ma żadney szkody.

Oćiec

Oćiec rad do takiego, wyuczać rzemiosła,
 Syna. Ledwo co chodzi, w prawia do wiosła.
 Y łaźić po powrozach, y nie bać się fali.
 Tak to dobrym porządkdkiem, y nadgroda, daliy
 Zaprowadzi człowieka. Nic rozkaz surowy,
 Ni ślepe posłuszeństwo, [wierz) u prostey głowy,
 Nie pomoże. Trzeba ich, za serce pociągnąć,
 Y zyskiem dobrowolnie, do czego chcesz ciągnąć.
 Narbał mię, po dyskursach, w magazyny drogie;
 Gdzie Okręty budują, w Arsenale frogie,
 Prowadził; powiadał rzeczy mi najmnieysze,
 Ktorem pisał, aby mi były pamiętnieysze.
 Jednak on, co znał dobrze, wskroś Pigmaliona,
 Z przyjaźni, co ma dusza, z nim była złączona:
 Nie cierpliwie, wyjazdu mego, oczekiwał,
 Bojąc się, by mię szpiegow Krolewskich uchował.
 Ale wiatry przeciwnie wyiechać nie dały.
 W tym raz, gdyśmy nad portem, lustruiac go, stali:
 Krolewski Officyer, przyszedł do Narbala,
 Y rzecze mu: już ta wieść, jest u Krola stała:
 Ześ w twoim, Cudzoziemca tu, przywiozł Okręcie,
 Y za Cypra udaiesz, tając go, w odmećcie.
 Krol ci go aresztuje, pod strata twej głowy.
 Chce wiedzieć z kad jest? Ty go na sąd staw surowy.
 Jam był odszedł w ten moment, od Narbala mego,
 Dziwney się przypatrując fabryce, iednego
 Okretu, kiedy Narbał, z tym człowiekiem gadał;
 Ktoremu, zdziwnym strachem, w ten sens odpowiadał:
 Poszukam Cudzoziemca, co jest z Cypru rodem.
 Lecz gdy ow człek, od niego odszedł; iak zawodem,
 Przybiegł do mnie z przestroga, tam kedy ja stałem:
 Moy miły Telemaku! (rzekł) dobrze widziałem,
 Ześmy oba zginęli! Już nasz Krol przekląty,
 Suspikuie o tobie, y chce byś był wzięty.
 Y ieżli cię nie oddam, y na sąd nie stawię;
 To zgine. A coż będziemy robili, w tej sprawie!
 O BOZE, daj nam mądrość! abyśmy w tym kroku,
 Ucaleli obadwa, z twoiego wyroku.
 Nie może, bydź inaczej: Ia cię poprowadzę,
 Do Pałacu. A ty mow: przy moicy powadze:

K

Zes

Ześ z Cypru z Amalzonta, y Syn Statuarza.
 Ia rzekę: zem znał Oycę twego. Ta potwarza.
 Niechay cię nie obchodzi. A y Krol też pono
 Nie zechce, aby daley, w tę sprawę wchodzono.
 Odpowiem Narbalowi: Day mi nieszczęalnemu
 Zginać, dawno z wyrokow, wto przeznaczonemu.
 Umieć ia dobrze umrzeć; y nazbyt cię lubię,
 Bym, twoicy, swym nieszczęściem, był przyczyną zgubie;
 Kłamać, nie odważę się. Y co nie jest, tego
 Śmierć sama nie wyciągnie, z języka moiego.
 Bogowie moje szczerość, y cnotę widzący,
 Ochronią mi [jeżeli chcą] mój żywot ginący.
 Narbal rzecze: To kłamstwo, jest całę nie winne.
 Nie szkodzi nic nikomu, nie jest Bogom winne.
 Y dwom ludziom niewinnym, gdy życie salwuje,
 W tym Krola, że mu zgrzeszyć nie da o szukuie,
 Dąleko to ty, miłość do cnoty, wyciągasz.
 Y nązbyt bąrdzo, wiary delikątność, siągasz.
 Dość ną tym (ia mu rzekę) że kłamstwo człowieka,
 Nie godnym czyni Bogom. Od nich kára czeka.
 Ten kto prawdę urązi, y Bogow uraża,
 Nie mniey iego samego, tá czeka zarazą.
 Przestańże o Narbalu! to mi proponować;
 Jeżeli zechcą, trąfią nas, Bogowie rątować.
 Jeżeli zaś nąszey zguby chcą, y ich to rady!
 Będziem prawdy ofiara. A z siebie przykłady,
 Damy ludziom: iák cnotę, przekłádąć nąd życie.
 Ia moje, że nieszczęsne, dam ną śmierć sówicie.
 Tylko mi cię iednego żal, miły Narbalu!
 Ty sam ieden, lez moich przyczyna, y żalu!
 Czy trzebác było? abyć ma przyiaźń, fatalna
 Była? Ták między nąmi trwała poufalna
 Rozmowá. Aż wtymesmy człowieka postrzegli,
 Ták raczo bieżącego, iákby żá nim biegli.
 Ten człek był, Officier, ktory [iákó słyśze]
 Od Astarby biegł do nas. (Y tuć ja opisze:)
 Tá Dámá, ktora piękna, iák Bogini była,
 Do urody, wysokość dowcipu złączyła.
 Podchlebna y wesola, wzmyślonecy dobroci.
 Okrutnym sercem, pełnym złości, wszystko szpoci.

Ale

Ale te, iák trućizne, wybornie pokrywa,
 Ták, że u Krolá sercá, y rzadu nabywa.
 Głos słodki, Harmonia, Krolá bierze w łyki.
 Záslepiony miłością gwałtowna, Krol dziki,
 Krolowa Zonę rzuca Tapha nazowiona,
 A z wyniosła Astarba, dzieli się korona.
 Miłość tej białogłowy, iák łakomstwo jego,
 Sa mu wielka, niešťczęścia przyczyna, y złego.
 Bo choć on ja z passya y ślepota kocha,
 Gárdzi nim, lecz pokrywa, Białogłowá płocha.
 Y kiedy go wewnetrznie, ledwo cierpieć może,
 Infzych gáchow záciaga, w niewšťydliwe łóże.
 Był w Tyrze ieden Młodzian, przedziwny urody,
 Malachon zwány. Młodość ieszcze miał bez brody.
 Niewieścią był, w roskoszách, mina utopiony.
 Płóby swotey nie mieniał, náwet dla korony.
 Białe włosy y długie, z umizgiem fryzował.
 W sukniách pysznych y maszkách, iák bábá się chował.
 Do urody głos gładki, wystawiał go bárdziy.
 Astarbe go raz widzi, kocha, on nią gárdzi.
 Bo y siebie sam kochał, y infza dziewczynę.
 A Krolowi, do gniewu, bał się dąć przyczynę.
 Astarbe, gdy wzgárdzona, od niego się czuie.
 Miłość wściekła wiad frogi obraca, y truie.
 Wiec w tego Cudzoziemcá, ktorego Krol szuka,
 Obroćić Málachona pragnie. Y tá łztuká
 Ufzła u Pigmalona. Wszyscy pošťwiadczáia,
 Zaden prawdy nie rzecze, choć go wszyscy znáia.
 Zadnego cnotliwego nie masz wiego Dworze.
 Káždy woli, Astarbie usłużyć, w tej porze.
 Y Krolá oszukuia, dla iey podobánia,
 Który serce utopił w niey, y wľyťstkie zdánia.
 Y ták młody Malachon, w cáłym Mieście znány,
 Zá Tyryczyká; iest wraz, Cudzoziemcem zwány,
 Ktorego to z Egiptu, Narbal przyprowadził.
 Wzięto go do więzienia. Ze się z málpa wádzil.
 Astarbe się zaś bojąc, żeby Narbal predki,
 Nie odkrył to przed Kroleń, co pokrył Dwor miętki,
 Y co iey ták dowcipná, tái mánierá,
 Zsyła (który mu mowi ták) Offycerá:

K 2

Astarbe

Astarbe, Cudzoziemcąc odkryć, zākázue,
 Kto on iest. y sekretu twego, potrzebaie.
 Potráfi, że Krol kontent bēdzie, y w tym z ciebie.
 Spisz się, uczyn tak predko: Przyszedszy do siebie,
 Wyprawy z Cyprycami, Cudzoziemcā swego.
 Niech nikt wiācy nie widzi, już w Mieście onego.
 Narbal rad, że nas obu wraz, salwie zdrowie.
 Sam milczec obiecuie, y nie zgrzeszyć w słowie.
 Officyer zaś kontent, z tey dāney przestrzeży;
 Z reportem do Astarby, iāk szalony bieży.

Narbal y ia zdumieni, z dziwney Boskiey sprawy,
 Ze w tych konserwacyi, punkt zakłada sławy,
 Ktorzy dla prawdy Cnoty, umrzeć się nie boia,
 Y bārdziej o nią, niż o własne życie, stoia.
 Myśleliśmy ze wzgarda: Iak ten Krol w roskoszy
 Utopiony, w łakomstwie, dārmo się kokoszy,
 Bydź przezornym. Gdy się bydź strzeże oszukānym,
 Nā tak grube odrwienie, iest iāwnie zkazānym.
 Y nā to się pocziwych, y prawdziwych strzeże,
 Zeby zdrādnym oszustom, sprāwował odzicze.
 Jakie sobie igrāszki, niewiāstā bez wstydu,
 Stroi z tego ludzkiego y swego, obrzydu.
 Przecie BOG, nā cnotliwych zbāwienie, zāżywa
 Szālbierstwā niecnotliwych, którym prawdy zbywa.
 Gdyśmy w tych myślach; Aż też wiātry się zmieniły,
 Y dobre nā Okrety, nam do Cypru biły.

Mōwi Narbal: Bogowie już też przy nas stoia,
 Y beśpieczność nā pieczy, pewnie māia twoia.
 Uciekay z tak okrutney ziemi, y przekłetej.
 Szczęśliwy, ktoby mógł bydź, w Okret z toba wzięty.
 Szczęśliwszy, ktoby z toba mógł żyć y umierać.
 Ale dārmo się tego szczęścia, mnie nāpierać,
 Zły mnie wyrok, do moiey oyczyzny przykował.
 Y chce ābym wiey biedzie, niešťczesny wiekował.
 Przyidzie pono z nią zginać! Y cosz mam z tym czynić?
 Byle Cnot nie odstąpić. w prawdzie nie zāwinić.
 Zā ciebie proszę Bogow, iāk cię do tad wioda,
 Gościncem czystey Cnoty, tak niech nim dowioda,
 Aż do śmierci. Zyi, powroć do Itaku zdrowo.
 Poćiesz Mātka, która się rozumie bydź Wdowa,

Uwolnā

Uwolń od lekkomyślnych gáchow, ia zbyt smetna,
 Miec poćieche, Uliśa uyrzec, nie poietna.
 Tego Medrcá, co w tobie, już rownego Syná,
 W mądrosći y cierpieniu, widzieć cie poczyna.
 Ale w łczęsćiu pámietay, o smutnym Narbalu.
 Nie wspomniy bez przyiáźni, iego y bez żalu.
 Kiedy skończył tak miłe, y żáłosne słowa:
 Mnie od łez, com wylewał, ustąpiła mowá.
 Y mówić mi nie dáły, głębokie wzdycháńia.
 Ścisłe tylko w milczeniu, były oblapiáńia.
 Szedł zemná do Okretu. Stał poty ná brzegu,
 Póki mu aż nie zniknął z oczu, w predkim biegu.
 Kalipso, która zwielkim guśtem, go słuchála.
 (Zeby sobie Telemak odpoczał) przerwála.
 Już czas (mowi) odpocząć, po rák wielkicy pracy.
 Y przynamniey, z słodkiego snu, kosztować płacy.
 Już tu nie masz czego się, Telemaku lękać.
 Wszystko ci tu uprzeymo. Nie masz przed czym stękać.
 Odday się pokoiowi, y rádości cáły,
 Y innym dárom Boskim, co cie tu czekáły.
 Jutro, kiedy jutrzenká, palcy różowymi,
 Wschód słoneczny otworzy, drzwiami złóćstemi,
 Y konie Phœbusowe, z Morza wychodzace,
 Rozśięią dzienny płomień, y ognie gorace,
 Dokończysz Telemaku, niešťczęść twoich dziecie.
 Wierz mi, że przed twoiemi, ia czyny niemicie.
 Odwagi twe y mądrość, przeszły Oycá twego.
 Achilles, y Thezeusz, [od Piekła ciemnego,
 Co powrócił] y cnego Alcydessa sławá,
 (Co z monśtrow uprzatł ziemię) już się mnicyśza stawa.
 Życzyć áby sen śnączny, noc krotkać urobił,
 Zebyś moy Dom, twym wćasem, pieknie przyozdobił.
 Będę dnia niećierpliwie, przez tę noc czekála,
 Abym dáliy, awántur twoich, wysłuchála.
 Już odeydz Telemaku, kiedy się dzień chyli,
 Z twym Mentorem, ktoregoć Niebá przywroćily.
 Macie Grote wybita, wnicy wszystko znaydziecie,
 Do spoczynku. Záżyicie, póki go zechcecie.
 Proszę ia Morfeusza, áby ná powieki,
 Sen zesłał, y przykował go, przez słodkie ćwieki.

L

Aby

Aby wapor Niebieski, ná członki zmorzone
 Rozlał, y ie pokrzepił, fatyga zmożone.
 Zeby wam lekki zesłał, sen w zawarte oczy,
 Ten w naymilszych Obrázach, niechay sie wam toczy.
 Sny straszne niech odstapia, gdy zasnienie miętko.
 Niech was nic lekliwego, nie obudzi predko.

To wyrzekszy Bogini, do groty pieszczoney,
 A nie bárdzo dáleko, z swoia rozdzieloney,
 Prowadzi ich. Tám żródło, w iednym kaćcie ciemnym,
 Pobudza do snu, szeptem miłym y przyiemnym.
 Nymphy im łózká, ze mchu miętkiego, usłáły,
 Lwia skora y Niedźwiedzia, obiedwie odziały.
 Gdy oczy do słodkiego snu, zawierác chćieli,
 Tákie, z soba zámknieci, madre mowy mieli:

Mentor rzecze: Miałeś ty, gust nie ładaiáki;
 Z twych relacyi. Y wielkieś spodobánia znaki,
 W swych nieszczęściach pokazał. Zbyt sie podobála
 Twoia godność Kalipsie. [táz myśl w tobie trwała]
 Zapaliłes icy serce, co bez tego gory,
 Y sam idziesz w niewola, nie uważnie skory.
 Jakosz chcesz, áby cie z rak swoich wypuściłá!
 Tá, która twych awantur cudność, zapaliłá.
 Szukałes prózney chwały, á tá bez uwagi,
 Nábawiłá cie ceny miłosney, y wagi.
 Kiedysz sie Telemaku! uważnie náuczysz
 Mowić? Y tych próżności, gadánia oduczysz!
 Co sie twoicy mądrości? w tych lećciach dziwuiá
 Drudzy? y do pochwały przyczyny znáyduia?
 Jáć ieden nie przepuszczam. y sam iestem táki,
 Zeć twych błedow, przyiázne, ukázuie znaki.
 O jákoś Telemaku, iest Oycá twoiego,
 Przeworności dáleki! Telemak do niego:
 Y mógłzem ia Kalipsie, tych dzieiow odmowić?
 Nie. (Mentor mu odpowie] Mogłes y to mowić,
 Coś mowil. Ale krocyj, y co do litości
 Należáło, á nie co, do prózney chlubości.
 Było mowić, ześ roznych po kráiach, był błedny,
 Niewolnikiem w Egipcie, w Sycylii nędzny.
 Tym zász, coś wiéci nád to, obszernie wywodził,
 W iey sercu paláiacym, nowys ogień zrodził.

Day

Day BOZE, by twe serce, tegoż się ustrzegło,
 Zeby za iey płomieniem, także nie ząbiegło.
 A coż mam dąley czynić? Telemak się spyta,
 Układnym tonem, który Mentor z niego czyta.
 Y rzecze mu: Już nie czas, twych czynow ośtątku
 Zątąić jey. Bo twemu, przypisze nieśtątku,
 Albo iąkiey chytróści, która is rozżarzy.
 Gdy tedy jutro stąniesz w jey oczách y twarzy?
 Dokoncz jey opowiadąć, twoich nieszcześć dżiwy,
 Z których ci BOG dał wybrnąć, y wyjść miłóściwy.
 Ale się potym náucz, powiadąć ostrożnie,
 To co ci może siłą dąć chwały, á próżnie.
 Telemak, zą te rádę dżiękuiać, się schyli.
 Potym się w dobrej chęci, obą położyli.





TELEMAKA XIEGA WTORA.

SUMMARYUSZ XIEGI WTOREY.

Telemak czyni dalsza relacya Awantur swoich. Burza na Morzu w drodze iego do Cypru. Obyczaj Niewieście Cypryiczek. Telemak przybywa na Intule Cypru. Opisanie Kościoła Wenery y Jey Ofiar. Telemak znayduje Mentora, który mu opowiada swoje awantury, y swoją niewolę. Hazael, któremu Mentor był przedany, bierze w affekt Telemaká, na Okręt swój go przyimuie, y wyprowadza z Cypru. Przyjeżdżają do Crety. Obyczaj Cretńczyków. Historya tragiczna Idomena Krolá, który Syna swego zabił.

Skoro

SKoro pierwsze promienie, cny Phebus rozwinie,
Słyszysz Mentor, bieżąca do lasu, Boginie,
Y budzi Telemaka: już czas sen zwyciężyć,
Idź [mowi] do Kálipsy. Ale się uwiezić
Nie daj słodkim iey słowom. Boy się tey trucizny,
Pochlebnych chwał. Wczorą cie Panegiryk żyzny,
Potkał od niey. Nád Oycá, y nád Achilleśa,
Wyniosła nad Thesea cie, y Herkulesa.
Czułżeś? iáko zbyteczna, tá była pochwała?
Wiedz, że y oná samá, iey wiary nie dála.
Ze cie próżnym bydź mniema. dla tego cie chwali,
Oszukuje cie chwala, gdy się samá pali.

Po tey mowie, szli do Niey, z przystoynym pośpiechem.
Ktora ich, lubo z wdzięcznym, przyjeła uśmiecchem;
Ale pod tą radością, strách nie pokoy nośi;
Bo wie, że dla Mentorá, Syná nie unosi
Ulisseśa, Ktory jey, iák Oćiec, ućiecze.
Widzi to że jey ten žal, tylko się przewlecze.
Kochány Telemaku, kończ záczone dźilo,
[Rzecz] żeś z Phenicyey wyszedł, mi się śniło.
Ześ do Cypru záiechał. Powiáday o drodze
Twey, y nie trać momentu, bo mię teskno srodze.
Ná zielonym kobiercu, Fiałkami tkanym,
Trawy gládkiey, náтуры reka rozestánym,
Pod ciemnego gáiku, chłodnym baldechinem;
Siádlá z gośćmi Bogini, y swoich Nyph gminem.
Miłym okiem, y pełnym miłości, rzucála
Ná Telemaká. A zás iákoby zieść chciałá
Mentorá, ktory ná nich pátrzáiac, przeszkadzał,
Y miłośnym poyrzeniom, surowo zówadzał.
Tym czássem, Nymphy w cyrkuł siádáia y w koło,
Uszy do słow gotuia. A oczy ná czoło
Telemaka. Ktory też opuściwszy oczy,
Ták záczenie swojá mowę, y te słowa toczy:

Ledwo tchem swoim dobrym, wiátr nápełni zágle.
Phenicka záraz ziemiá, zniknęła nam nagle.
Jam zem był z Cyprycámi, ktorych obyczáiw
Nie znałem. Umyśliłem doćiec ich zwyczáiw.
Y dla tego milczący, czym się im podobác,
Uwazałem. Y żeby w czym zás nie przeszkrobác.

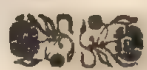
M

Ale

Ale pod czas milczenia, sen mię słodki zmorzył,
 Oczy zámknął, á wrotá, wten widok otworzył:
 W sercu wielką poćiechę, y z pokojem nieci,
 Sni mi się, że ná woźie Wenus ku mnie leci.
 Záprzezone gołebie, Boginiá ciągnęły,
 Z iásney twarzy zász wszystkie, iey wdzięki płynęły.
 Tak urodna, y wżywey młodości mi stała,
 Wiákiey niegdy, Jowiszá z Niebem woiowała.
 Bystrym lotem aż do mnie, wszystek obłok śiecie,
 Reke ná mnie położy, y z uśmiechem rzecze:
 Wchodźisz młody Greczynie; do moiego Pánstwa,
 Do tey Wyspy fortunney; gdzie zámiał Poddánstwa,
 Roskoszy, gry, y śmiechy, co lubo się rodzi,
 Y wszystkiego się záżyć, młodym ludziom godzi.
 Palże ná mych Ołtarzách perfumy, (ci życze)
 A ia cie, w regestr moich naymilszych, policze.
 Otworz słodkim nádźciom, umysł zalotniejszy,
 A nie waz się, Bogini oprzeć, naymocniejszy.

Zaráz potym, poznałem miłego iey Syná;
 Y z lotu koło Mátki, znam zá Kupidyná.
 Lubo wszystkicy lubości, ogień się w nim zarzy,
 Przecie, coś okropnego miał w oczách y w twarzy.
 To mi wstręt z stráchem czyni. On strzalał dobywa,
 Y, z drwiącym śmiechem pátrzy, (co mu go nie zbywa)
 Łuk náłoży, wyciągnie, aż gdy szyie strzala,
 Pokaze się Minerwá, zásłania przez całą
 Mnie Egide. < A tey zász Bogini twarz zacney,
 Nie pieszczoney urody była, ále znaczney.
 Gładkości Męskiey skromney, z Májestatu cerá,
 Piekna była cnotliwie, nie tak iák Wenerá. >
 Strzalał Kupidynowá, tylko się obila,
 O Egide. A iemu większym wstydem była.
 Y tak, gdy się Kupidyn zwyciężonym widzi,
 Wzdycha gorzko, y mocy swey się słábey wstydzi.
 Precz z tad (krzyknie Minerwá) o Dziecię zuchwałe?
 Nie zwycięzysz ty nigdy, tylko te nie trwałe
 Dufce miętkie. Co roskosz cnoćie przekładáia.
 A w tym Mátká y z Synem, wgniewie ućickáia.
 W z loto iásnym obłoku, poki nie zniknęła,
 Długom widział Wenerę. Aleć się tuż zdieła,

z oczu



Z oczu moich Minerwā. Tylko mi się zdāło,
Jākby mię w Elizyjskie polā, coś porwāło.
Iżem nā nich, Mentora moiego obaczył,
Który mi właśnie słowā te, wymowić raczył:
Uciekay z tāk okrutney ziemię, zārāzoney
Roskoszā y swywola. W ktorey wstyd strācony.
Cnotā nayodwāżniejszy, drzeć w tym krāiu musi,
Y ieśli nie uciecze, pewnie się uduśi.
Chciałem skoczyć do niego, y ścisnąć zā szyję,
Alem poczuł, że tylko sen się w oczāch wiie.
Ani ruszyć się mogłem, iākby skrapowāny,
Łapam reka Mentorā, snem bādac zwiāzany.

Pāssuiac się ocknałem, y zārāz poznałem,
Ze w tym śnie prāwie Boskim, swā przestroge miałem.
Poczułem nā roskoszy, iāk zāhārtowanie,
Y żebym strzegł się siebie, nāuki zesłanie.
Ale co mię naybārdżicy, w tym zāfrāsowāło,
Zem Mentorā utracił, tym mi się snem zdāło.
Iżę przez śmierć przeszedszy, czarne Styra wody,
Do Rāju sprāwiedliwych, w swięte przeszedł chłody.
To mniemanie, do ciężkich płāczow, mnie przywiodło,
Pytāia mię kompāni: Co ieść? co mię wiodło!
Do łez gorzkich. āle im iā predko odpowiem:
Choć iay inszey przyczyny, wam żalu nie powiem,
Tylko, że m Cudzoziemiec, y swoich dāleki,
Dofyc āby moknęły we łzāch, me powieki.
Tym czāsem Cypryiczycy, w ucieśze szaloney,
Czās trawiac, nā Okrācie, prāwili androny.
Flisowie bārdżicy w kuflu, nizełi łopācie
Bāwia się, y nād wiosłem spia, gnuśni nā prace:
Szyper w kwiat uwieniczony, zā miast rządu rudłā,
W dzbānie winā pijāny, wārgi swoje dudla.
Dymem Bāchā zāćmieni, nā cześć Kupidynā,
Spiewaiā wszeteczeństwā, co przynieśie ślinā.
W tym zāćmieniu, co Morze umie, zāpomnieli;
A burze wraz powstāły. Y wichry poczęły
Jāk z lāncuchow spuszczone, dāc w żagle okrutnie,
Czarne wały bić w Okret, y nośić go rzutnie,
Ze aż ieczāl, od frogich szturmow, y rārānow,
A my, to raz wypādniem nā grzbiet złych bāłwānow,

To zátoniem áż do dná. A tu w oczách skály,
 O ktore się záiadle szturmy rozbijály.
 Dopierom, (co mi Mentor mawiał) doświadczeniem
 Doznał; że rozpustnicy drżą y przed swym cieniem.
 Y myśl w niebeśpieczeństwie najmniejszym upada,
 Krora iedna rozpusta zábawić się ráda.
 Záleknieni Cypryicy, plákáli iák báby,
 Nie masz nízkađ pośilku, y owszem ich słábi,
 Nárzekánie náđ stráta, (że iá blisko widza,)
 Swych roskoszy, o ktore szlochác się nie wstydza.
 Chcac zrobić wota Bogom, ieśli ich w port stáwia;
 Ale pláczem, chlipaniem, dusza się y dławia.
 Kiedy widze, że się nitk, nie chwyta roboty,
 I że ná swe zbáwienie, nie masz nic ochoty;
 Salwować cudze, y swe życie, umyśliłem.
 Y naprzod nie proszony, zá rudel chwyciłem.
 Záhukáných wnet flisow, Szypra pijanego
 Ośmieliłem. Rozsyłał do dziełá káżdego.
 Spuścić zágle kazałem. A poteznie wiosłem,
 Pcháć się: y ták z pászczeki śmierci, ich wyniosłem.
 Po między ostre skály, y śmierci boiáżni,
 Wyšliśmy, y do Cypru przyszli, zdrowo ráżni.
 Ten przypadek, iákó sen, Cypryiczycy bráli,
 Z życia obligácyá, ná mnie się pátrzáli.
 Przypływamy do Cypru, w same dni kwietniowe,
 Wenerze poświęcone, ná Ofiry nowe.
 Ze iákó ten to Miesiac, náture odnawia;
 Tá k y Wenus roskolzy, iákó kwiáty wznawia.
 Skorom wszedł do tej Wyspy, wnet mié opánował
 Wiátr miętki, ktory gnuśne ciáło, mi spráwował.
 Nie chciáło się nic robić, tylko śmiać, y palić.
 Grunt wyborny ná koło, y iest co pochwalić;
 Bo z náture iest żyzny, ále gnoystwem frogim,
 Nie orány, ni śiány, w żniwo iest ubogim.
 Mieszkańcy, nieprzyiazna mierzá się tam práca,
 Stroyne dziewczki, niewiásty, czas na piosnkach traca.
 Na táncach, wszystko ná cześć, Bogini Wenerze,
 Ktorey się poświęcaia, w Kościele w ofierze.
 Uroda, śmiech, rozpusta, po ich twarzy biega,
 Ale zbytnim wyćwicrem, prostey nie dosięga.

Gładko.

Gładkości, która świeci, purpury rumieńcem,
 Farbowana od wstydu, y pod cnoty wieńcem.
 Opuńczona w nich cera, powlekane oczy,
 W ustach umizg, chod krzywy, zmyślna pleć warkoczy.
 Oczy, oczu Mezechyjskich, pragna ułowienia,
 Zazdrość zalotów, wściekle czyni poróżnienia.
 Wszystkie te złych białychgłów, do swiebod pobudki,
 Wiodły mnie zemie zmierzł, y miał za odrzutki.

Miedzy ślami Kościołów, co Wenus w tej ziemi
 Ma. Do tego był wiedzion, który miedzy niemi,
 W Cytherei sławniejszy. Wszystek jest z marmuru,
 Kolumny przewyższają wysokość muru.
 Na czterech facyatach, nad gzemplami szczyty,
 Na których obraz dzieiów Wenery, wryty.
 U drzwi kościelnych, pełno ludu, bez przestanku,
 Co ofiary przynoszą, z nocy do poranku,
 Nie tak jako gdzieindziej. W Kościele nie biją
 Bydła, ani krwią Wikrym, Ołtarzów nie myją.
 Tylko byki jako śnieg, białe jałowice,
 Prowadzą, przed sam Ołtarz, y Bogini lice.
 Dekami czerwonymi, z złotem okrywają,
 Złocą rogi, y w bukiet bydło przybierają.
 Tak ich koło Ołtarza obwiodszy z balety,
 Wiodą je rznać za Kościół, wieńcząc na bankiety.

Co może być pachniących wodek, y zaprawnych,
 Rozlewają na Ołtarz. Młotów moc jest sprawnych;
 Długie białe delie, ze złotą u dołu
 Frandzle, noszą, A pała w Kościele u stołu,
 Dzień y noc, wonne Ziemi Arabicy dary,
 Z których obłok, pod Niebo wnośi ofiary.
 Kolumny, festonami wewnątrz skrepowane,
 Złote wszystkie naczynia, do Ofiar nadane.
 Nikomu z obcych, dawać ofiar się nie godzi,
 Ni kądziela zapalić. Sami tylko młodzi,
 Y chłopcy, y dziewczęta, na to prawo mają.
 Ale jako bezecznie, w Kościele igrają?
 Rospuszczona niewstydnosc, ten Kościół wspaniały,
 Oszepta; y me oczy, ledwo dowierzały,
 Co widziały. Ale to z razu tylko było,
 W krotce się (jak to bywa) tego przyuczulo.

Y naywiększy występek, strachu nie ządawał;
Kompánie swywolne, w ktoremem się wdawał,
Z niewinności, y stárku mego, ze mnie drwiły,
A potym do nierządu chęć, we mnie wznowiły.

Aby chuci pobudzić we mnie, się stárano,
Różną zdradą wrospuście, powoli wciągano.
Czułem codziennie, że cnota we mnie osłabiała,
Piękna edukacya, mało mnie trzymała.
Zacne rezolucye, trwać w dobrym, zniknęły,
Złe przykłady, mi cnotę z rozumem odjęły.
Jużem się wstydził cnoty. Y w tey to przygodzie,
Byłem iak człowiek, który płynie przeciw wódzic,
Zrazu silnie nurt łamie, y bystrość nie wadzi,
Ale gdy pod wysoki brzeg, go przyprowadzi,
Powoli mocna siła, tak go odstepuje,
Ze się puszcza za wodą, y nic nie ratuje.
Tak y ja, com się z razu, roskoszom opierał,
Opuszcilem się, na nie oczum nie zawierał.
Na złe miłe, którym to serce zarażone,
Mdało, ani rozumu woła, na obronę.
Sen, którymem Mentora umarłym osadził,
Wiodł mnie, że (nie bojąc się go) dalem bładził.
Potajemna gorączka, w kości mi się wkradła,
Już mi miła trucizna, z ktorey cnota zbladła,
Z tym wszystkim, mocnom wzdychał, y lzy gorzkie toczył;
Ryczałem iak lew srogi, widząc że wykroczył.
O niefortunna młodości? [wołałem] o Boże!
Jako nas ludzi, twoja łaska, nie wspomogę!
Czemuż nam przez wiek taki, przechodzić potrzeba!
Z ktorego iak z gorączki, ledwo się wygrzeba,
O czemuż mnie sędziwe, nie okryły włosy?
Czemuż mi iak Lãerta Dziada mego losy,
Zgrzybiałe już nie przyszły? Śmierć miłszaby była,
Niż ta słabość sromotna, która mnie powiła.

Jednak ledwom to wyrzekł; aż znówu się mieni
Zal moy, serce pijane powrócić się leni,
Do cnoty, y do wstydu. Y lubo się gryzie
Sumnienie. A przecie, tam gdzie narzeka liżie.
W tych myśli zawierusze, po gaju świętym,
Biegam koło Kościoła. Jako kiedy z wziętym,

Sárná lata postrzałem, y ulge rozumi,
Ználeść w biegu bolowi; ktorego nie ztlumi.
Bo strzaly, ktora sterczy, śmiertelna wicy boku,
Nie zbedzie sie od biegu, ni chyżego kroku.
Ták y mnie, dármo biegąc, bez pámieci było,
Kiedy nie w słodkicy ranie, sercu nie ulżyło.

Aż raz, bárdzo z daleká, w cieniu strážnie ciemnym,
Ukaże mi sie Mentor, widokiem przyjemnym.
Ale iego twarz bláda, smutna, y surowa,
Zdała mi sie. Z tad zálość zaráz mi gotowa.
A tyżes to kochány? [krzykne] Przyiacielu!
Tys to sam? moich poćiech y nádziecie celu?
Czy nie obraz zdrádlivy, oczom wystáwuje?
Czy nie cień ná frásunki, y me biedy czuie!
Czyś nie w liczbie dusz Swietych? z twej pracy nagrody,
Elizeyskie trzymáiac, zá cnotę ogrody.
Mentorze żyiesz ieszcze? Czy sie twoy cień stáwił?
A w tymem sie wskok porwał, y ták lotnie spráwił,
Zem sie zátchnął. A on sie y krokiem nie rulza.
O iákich poćiech moia dostápiła dusza!
Kiedym sie go raz dotknał, y że nie cień zważył,
Jákich gustow, rádości, z tym nálazkiem záżył!
Ściskam go y cáluie, u szyi mu wisze,
Tylko krzycze: Mentorze? á sam ledwo dysze.

A on ná mnie pogláda, z kompassya smutna;
Ja mu rzekę: Wdaleś mie, wdał w strátę wierutna.
Już nie wiem, iák bez ciebie mam postápić sobie,
Z kad przychodzisz! Co robisz? niechay wiem o tobie.
On mi ná to nie dáiac odpowiedzi zadney,
Krzyknie: Precz z tad ućiekay, [w głos strážnie szkárádný]
Tá Ziemia sama tylko, tu trucizna rodzi.
Powietrze zaráżone, zápala, nie chłodzi.
Ludzie takze, zadaia śmiertelne zarazy,
Každe słowo ich ráchuy, zá morderskie rázy.
Nie zbedna roskosz, sztuczka naydorża Pandory
Pudełka, (ktora dotad serce ludzkie gory)
Nie cierpi zadney cnoty. Bieź, drogi zázetey
Nie odwołcz, y ná moment, z tey Wyspy przekletay.

W tym, iáko gesty oblok, w oczách sie rozbija,
A jáśność zás, czyłtego światlá, sie rozwija.

Miłe w sercu wesele, moim się rozplywa,
 Nie ta radość rozpustna, lecz wesołość żywa.
 Bo tamta iak pijana, y pełna zgryzoty,
 Pomieszana z frasunkiem, z strachem, y z fromoty;
 Ta zaś radość rozumna, z ukontentowaniem,
 Zawsze równa, jednaka, niebieska mym zdaniem.
 Tamtey ledwo się dotkniesz, w taskności ustaie.
 Tey im więcej chcesz czerpać, tym się więcej daj.
 W ten czasem się rozplakał, y z płaczu onego,
 Doznałem że nad te lzy, nic mi wesełszego.
 O szczęśliwy (wołałem) komu się, człowiecze,
 Cnota iak jest, ukaże! A w tym Mentor rzecze:
 Badź łaskaw, w tym momencie, ja odiać muszę.
 Nie mogę się zabawić y zaraz się ruszę.
 A dokądże? odpowiem. Jestże ziemia że cie,
 Na niey mogę odstąpić! Y jestże na świecie!
 Nie rozumiey się mnie zbydź; w przod umrę, za toba
 Biegając, niż rozłaczyć przyidzie nam się z soba.
 To mówiąc, ze wszystkich sił ściskam go, y trzymać
 Usiłuję. Ale on nie da się poimąć.
 Rzecze: Ow zły Metopis, Arabom mnie sprzedał,
 Ale BOG mi zaginać, żadna miara nie dał.
 Bo ziaćhawizy do Syry, na człeką trafil,
 (Hazaël jest nazwanym) któremu mnie zbyli.
 Szukał on bowiem człeką, Greckiego rodzaju,
 Na naukę obrzadku, naszego zwyczajū.
 Y kupił mnie Hazaël, y co ieno umnie,
 Wycwiczył się, aż więcej chciał wiedzieć rozumnie,
 Chciał wiedzieć sławna Creta, y Minosa prawa
 Nauczyć się. W drogę się, w tamten kray udawa.
 Gdy płyniemy, przeciwny wiatr nas przytrzymuje,
 Tu w Cyprze. Ale teraz już dobry zkażuje.
 Już Okret odpychaia, już wydete żagle,
 Muszę biecć, żeby mnie nie odbiegli nagle.
 Badź łaskaw Telemaku. Kto się Bogow boi,
 Y w niewoli przy Panu, nie odstępnie stoi.
 Więcej ja przez ten odiazd, w twej osobie tracę.
 Pomniy na Penelopy lzy, Ulissza prace.
 Y na Bogow pamiętaj, którym cie oddaie;
 W jakieś cie złe! O Boże! zostawisz kraie.

Ey nie, (mowię.) Mentorze, nie twoiey to mocy,
 Opuścić mię. Pierwey się zamkna moje oczy,
 Śmierci: laym cieniem, niż cię opuścze, w tey dobie.
 Rozumiem, że nie Tygrys twoy Pan, y rzec sobie
 Pozwoli, że ia wolę biecć na zginienie,
 Niż na nasze pozwolić wiecey, rozłączenie.
 Poyde do Hazàela. Y kiedy się kocha,
 Tak w cnocie, toćgo zmiekczy moja młodość płocha.
 Upadne mu ia do nog, y płaczu nie przerwe,
 Aż się sam ulituie, y mnie nie oderwie,
 Od twego Towarzystwa. Ia za niewolnika
 Oddam mu się dla ciebie, y w łańcuch y w łyka.
 A ieżli to odmowi, y wolności strata,
 Nie zbłaga. To zabije sam się, zamiast kata.

W tym momencie, Hazàel, zawołał Mentora,
 A ia mu padne do nog; Niechay cię pokora
 Rzekne, moja poruży. A tyś kto człowiecze?
 Zdumiany w tey posturze widzący mię, [rzecze]
 Czego chcesz? życia (powiem) bo ia żyć nie moge,
 Jeżeli mię z Mentorem nie weźmiesz, w tęż drogę.
 Ułisseffa wielkiego iestem syn, y Pana
 Naymedrszego z Grecyey, z ktorego złamana,
 Rak Troja, na ostatnie Państwa wyniszczenie.
 Nie dla prozney odkryłem chwałyć urodzenie,
 Ale żebyś się moim nieszczęściem zlitował,
 Y w potrzebie tak nagłey moiey, mię rátował.
 Tego bowiem ia Oycá, czas szukam nie máły,
 A ten człek co go widzisz, Mentor doskonały,
 Był mi ná miejscu Oycá, los szczęścia surowy
 Ná przydáték mey biedy, w práwia go wokowy,
 Twoiey słodkiey niewoli; (rozłączywszy ze mna)
 Pozwolze w tęż niewola, y mnie poyść przyjemna.
 Jeżeli słuszność kochasz. Y iedziesz do Crety,
 Dla náuki Minosa práwá. To wiedz że ty,
 Już nigdy spráwiedliwszym, w życiu swym nie bedziesz,
 Jak gdy nas nie rozłączysz, y obu nabedziesz.
 Widzisz mię Krolewicá? co cię o niewole
 Proszę. Ia w Sycylii mowilem: śmierć wolę,
 Niżeli iść w káydány. Lecz mię náuczyły
 Nieszczęścia, przeciw którym, támtę cieniem były,

ze teraz

Ze teraz się obawiam, byś mnie wziąć nie raczył,
Miedzy swe Niewolniki. O! iakoś naznaczył,
Boże ciężka mi kara! Pomnij Hazàelu
Nà Minozà Sedziego, nas, y zmarłych wielu.

Hazàel z ludzka miną, rękę mi wyciąga,
Pamięć moją, Ulissę sławy (pry) dośiaga.
Mentor mnie nie raz uczył; co Ulisses umiał.
Ze się cały kray Wschodni, jego czynmi zdumiał.
Idź za mną Telemaku. Biorę cię za dziecko,
Poki cię nie sprowadzę z tym, co ci dał życie.
Y choćby Oycę sławą, mnie nie pobudzał,
Sámą przyjaźń Mentora, me serceć by dala.
Prawdą że Niewolnikiem, ja jego kupilem,
Ale w nim przyiaciela mądrego nábyłem.
Pieniądze, co mnie człowiek tak wielki kosztował,
Nábyły skárbow, które w nimem poznáydownał.
Znalazłem w nim y mądrość, y miłość do cnoty.
Niechże będzie już wolny, z mey własney ochoty.
Y ty z nim. A od obu was, się nie nápieram,
Tylko iedney przyiaźni, ná której się wspieram.

W tym momencie, przeszedłem z żalu nayostrego,
Do wesela z radością, w życiu nayżywszego.
Tu wyjść z niebeśpiczeństwa, zbliżyć się Oyczyzny,
Tu nábydź Przyiaciela, zbydź od rospuśt blizny.
Bydź wopiecc Człowieką, który mnie z miłości,
Jedney cnoty pokochał. Lecz nád szczęśliwości
Wszystkie, była: żem znalazł me skárby z Mentorem.
Hazàel też tym cząsem, idzie nie z oporem,
Do Okretu. My za nim. Wiosło wały depce,
A Zephir po Choragwiach, y po żaglach szepce,
Okret rusza iák żywy, letko go kołysze.
Hazàel (rzecze) Niech też twe zdanie usłyszę,
O Cypru obyczaiach: Powiem mu otwarcie,
Jako się cnotą we mnie spierala uparcie,
Zroskosza. Y iák młodzi, co tam zostawia,
W frogie niebeśpiczeństwo swoje cnotę wdaja.
Moją wzgarda rospuśty, zbyt mu się podoba;
Y rzecze: O Wenero! Ty y z Synem oba
Iesteście w prawdzie Bóstwem; znam moc, wasze dary,
Nà Oltarzach paliłem, y teraz Ofiary.

Lecz,

Lecz, pozwólcie się brzydzić złością, tych mieszkańców
Cypru, prawie z niewstydem bydlęcym, pohanów,
Z którym świeca cześć Wąsę. Po tym dyszkuruwać
Z Mentorem poczną, o tej mocy, która chować,
Od wieków świat poczęła. O tym iednostaynym
Świetle, y nieskończonym, w dobro nie przestaynym.
Ktore się bez zmniejszenia, każdemu nagodzi,
O tej prawdzie wszechmocney, która nie zawodzi.
Y iako słońce ciała, tak oświeca dusze;
Kto tej czystey iasności nie tknął, [przyznać muszę]
Jest ślepy samorodny, y wiek wieździe w nocy,
Iak ten Narod, który dnia, przez życie nie zoczy.
Rozumie że wszystko wie; a on nie wiadomy;
Iżę dojrzyz wszystkiego; a on niewidomy.
Y umrze w swej ślepości. fałszywe ogniki
Biorąc za żywe światło, y próżne cieniki.
Tak ludzie przykowani do zmysłów rokoszy,
Uwodzą się czarami, y fortuny losy.
Nie mieć takich za ludzi. Tylko tych, co wieczney,
Nasładowia wiec prawdy, przez umysł ślategczny.
Za iey ci to natchnieniem, idą dobre myśli.
Ona sercem kieruje, w złym dobre obmyśli.
Od niey rozum iak życie. Ten Ocean słynie
Światłem, ktore iak źródło, na nasz rozum płynie.
Choćem tego nie poiał. zbyt mądrego słowa,
Przecis ta wyłokością, wzbijała się głowa.
Y serce mi pałało, y prawda zbyt iasnie,
Krepowala mi duszę, węzłem słodkim właśnie.
Potym, o wiecznym Bogow, gadaia zaczęciu.
Wicku złotym, Potopie, y Heroow wzięciu.
O Mekach Pieklá frogich, y występcom karze,
O Polach Elizeyskich, o cnoty ofiarze.

Kiedy o tym, y owym, Mentor z Hazaelem
Dyszkuruia, [iako to bywa z Przyjacielem]
Postrzeżemy Delphinow, łuska złota lśniacych.
Fale Morskie, igraška swoia, podnoszacych.
Trytonowie za niemi tuż plyną, y głoszą
Ze na wierzch Amphitryte, bliskie flukty niosą.
Konie Morskie, iako śnieg białe, woz iey ciągną,
Za sobą szlak, pięń przed się, gdzie noga zaślagną.

Woz Bogini, skorupá, z dziwney konchy byłá,
 Perl Máćicá, kość Słonia, w białość przechodziłá.
 Kołá złote, po wierzchu wod sionych, lećiały.
 A Nymphy w kwiáty strojne, koło niey pływáły.
 Włosy iásne po plecách, wiatry rozrzuciáia,
 Bogini sceptrum w raku, ktorego słucháia
 Morskie wały y fale, gdy się rozigrały.
 By się nad wola Páni, więcy nie wylały.
 Druga reka przy pierśiach, syná swego trzyma,
 Palemona zwanego, ten ná łonie drzyma.
 Twarz iásna, y Májestat, oczy oświeciáia,
 Przed ktoremi, buntowne wiárry, ućieciáia.
 Trytonowie, zá cugle złote, konie wiódá.
 Zagiel wielki z purpury. Ná woźie nád wodá,
 Niezmierna moc Zephirow, koł się Páni trzyma,
 Y zagiel tchem swywołnym, igraiac poddyma.
 Ná powietrzu Eolus stráśzny, nie spokojny,
 Zmarszczony iák furyat, y iákby do woyny,
 Głos groźny, oczy iádem, rzuciá zápalony.
 A przed nim cicho stoia, y drzą Aquilony.
 Wieloryby y monstra, ná dziw wynurzone,
 Fontanny nozdrzem leia, wysoko rzucone.
 Tym pieknym dziwowiskiem, nátyciwszy oczy,
 Jeden z nászych, Creteńskie gory, pierwszy zoczy.
 Aż y sami widziemy, sławne ldy Czoło,
 Ktorem tá, wszystkie Wyspy przewyższa, wokoło.
 Tak właśnie, jáko Ielen' najstárszy, rogámi,
 Miedzy młodszą zwierzyną znaczny. y lániami.
 Powoli dobrze, widziem wszystkie wyspy boki,
 A iáko był brzeg w Cyprze zárosły, szeroki,
 Przez niedbálstwo mieszkáncow, Tak Creteński śliczny,
 Praca Oraczá wszędzie, dáie zysk różliczny.
 Wsi budowne, Miásteczka, Miástom drugim rowne.
 A Miástá zaś wtpániáie, co obaczysz głowne.
 Role czyli zásiáne, czy sieybie gotowe,
 Nic znáíome w nich chwałty, kakole nie zdrowe.
 Nuz dopiero padoły; bydeł tłustych pełne,
 Łaki widzieć, iákby ie kto ustroił w welne.
 Tu kłofy pływájące, tu owce, bárány,
 A tu gory w Winnicách żyzne, ná przemiány.

Tu

Tu dary cney Cerery, ludzkie pożywienie,

Tu Bácsusa lekarstwo z Win, ná utrapienie.

Mentor ktory tam w Crecie, nie raz przed tym bywał,

Ták nam ia dość obłzernie, w ten czas opisywał:

Tey wyspie, Gudzoziemiec każdy sie ządziwi.

Ma w sobie sto Miasł wielkich, te wszystkie wyżywi.

Mieszkańców icy bez liczby; bo od ziemi Mátki,

Im ia częściej wywracasz, częściej masz podatki.

Y im więcej jest ludzi, byle pracowitych,

Tym jest więcej od ziemi, owoców obfitych.

Nie trzeba mieć zazdrości, ieden do drugiego,

Tá mátká mnoży, według potrzeby, każdego.

Y według liczby dzieci, które żywić trzeba.

Ale to praca zárob, bo nie będzie chleba.

Łakomstwo z ambicya, sa źródła nieszczęścia.

Człowiek chce mieć sam wszystko, nie udzielić szczęścia.

Y tá go chce zbyt uczna, nieszczęśliwym czyni;

Gdyby żył, iák naturá, stára gospodyni,

Uczy go, y w rozpustách nie szedł droga mylna,

Toby było wszystkiego obfito y silno.

Toć to z Krolow najmędrszy, ow Minos przestawny,

Dobroci w swoich prawách, dał im dowód jawny.

Cokolwiek przedziwnego, w tey Wyspie obaczysz,

Iego Praw mądrym rádom, to przypisać raczysz.

Y naprzód wychowanie, co Dzieciom nakazał:

Ze zdrowe ciała czynią, y mocne uważał.

Zaraz ich wzwyczajaia do życia prostego,

Skromno pracowitego. Bo pieszczotá ziego

Y umysłu y ciała, zawsze źródłem bywa.

Igraszki, y uciechy, inšzey nie zażywa,

Tylko byleż nie złamanym w cności, iść do sławy.

To wbijać młodym w głowę, y w te wuczać sprawy.

Męstwo ich; nie tak śmierć gardzić, pod czas wojny,

Iák bogactwy, nie wstydem, á żyć bogoboyny.

Te grzechy, które kary u inšzych nie znaia,

Niewdzięczność y łakomstwo, u nich kara maia.

Nadetość y pieszczota, nie maia nagany:

Bo ten defekt oboi, u nich nie jest znany.

Każdy robi, pracuje, a zaś nikt nie myśli

Zbogacić się. Y iakby zapłaty mu przysły

Złote, kiedy żywot swoy prowadzi spokojny.
 Rząd jest pomiarkowany, y w co trzeba hojny.
 Nie cierpia między sobą, ni strojno wspaniałych;
 Ruchomości bogatych, y mod zbyt nie trwałych.
 Bankietów delikatnych, Pałaców złościłych;
 W sukniach wełnianych ślicznych, y w pokojach czystych,
 Mieszkaia. Trzeźwe zawsze y skromne obiady,
 Z chlebem mlekiem, fruktami, dla tego bez zwady.
 Zawołany to bankiet, y coś jest rozpusty,
 Kiedy na stoł zawita baran, lub woł tłusty.
 Y to, bydlę rośleysze zabić, za grzech maia,
 Co w trzodzie największego, na pracę chowaia.
 Mieszkania ochsdożne, wesołe, wygodne,
 Sztuki Architektury, co są u nas modne,
 Kościołom tylko Boskim, są destynowane;
 Budynki ludzkie, Boskim nie są porównane.
 Chcesz wiedzieć: Creteńczykow, w czym dobra zawisły
 Zdrowie, moc, męstwo, Pokoy, przy iedności ścisley,
 Wolność, Rzeczy obfitość, a wżgarda zbytecznych,
 Nienawiść próżnowania, przy robotach wiecznych,
 Ubieganie się w cnotach, Prawom posłuszeństwo,
 Bojaźń Boża, to wieczne ich błogosławieństwo.
 Pytałem się Mentora: w czym Krola powagą:
 Odpowiedział: Jest wielka Pańskicy woli wagą;
 Wszystko może nąd ludem. Ale nąd nim Prawo.
 Czynić dobrze y rządzić z opisana sprawa.
 Jest absolut; lecz gdy chce przeciw Prawu broić,
 Związane ma nim ręce, musi się ukoić.
 Bo mu Prawa Poddanych, wdepozyt oddały;
 Y poty wrękach iego, poki nie zuchwały.
 Prawa chce: by człek ieden, służył swa mądrością,
 Na szczęście wielu ludzi. Nie ludzie przykrością,
 Wszyscy swoia; iednemu, bieda y niewola,
 Tuzac Krolow swych pycha, roskosz y swawola.
 Owo zgoła, Krol, nie ma nic ciale nad innych;
 Tylko co mu służyć ma, do respektow winnych.
 Ale ieszcze nąd innych ma bydz Krol trzeźwiejszy,
 Tak świebodom pieszczonym, bydz nieprzyiąźniejszy,
 Jak dumnym nądetościom. Nie w uciechách, w złości,
 Ma pokładać wyfokość, lecz w sławie y cności.

Zá gránica, Oyczyzny obrońca, z orężem,
 W Domu Sedzia, przystępnym, Oycem, Pánem, Mezem.
 Nie dla niegoć to, Krolem czynia go Bogowie:
 Dla ludzi iest człowiekiem, dla nich lożyć zdrowie,
 Im zabawy, stárania, im áffekt swoy winien.
 Y Krolem sie ináczey, názwać nie powinien,
 Jeśli sakryfikowác nie będzie Poddánym,
 Wszystko co ma. Dla tego Minos w Práwie dánym,
 Nie chciał, áby Synowie, po nim krolowali,
 Tylko ci, ktorzy Prává iego by chowáli.
 Lud swoy nad Dom swoy kochał. Y temi sposoby,
 Wniosł do Crety potęgę, szczęście, y ozdoby.
 Tá ztárl moderácyá, sławę wojownikow,
 Co dla pychy, z poddáných, czynia Niewolnikow.
 Y żeby, cudzą sztukę kráju, záwojowác,
 Nie wstydza sie, kray cały własny ruinowác.
 Ná próżność swoiey dumy, krew poddáných leia.
 Y z biedy ich, w Tryumfách niesłusznych, sie śmieia.
 Ták On przez spráwiedliwość, czci u Bogow dostał,
 Ze Sedzia wszystkich zmárłych, u Plutoná został.

Gdy nam to Mentor prawi: w tym Wyspy sie tkniemy.
 Tám ow sławny Lábyrynt Dedala, widziemy.
 Ten kiedy gmách obszerny sztuczny ogladamy,
 Ludu moc zebránego przy brzegu witamy.
 Brzeg Crety dość nas bliski, tá cizbá okrylá.
 Pytamy Creténczyká: Coby tám robiłá!
 Nauficrates był zwánym, który nam powiedział,
 To co idzie [bo wszystko co sie działo wiedział:]

Idomen [prawi] nasz Krol, Syn Deukaliona,
 Wnuk Minosa, rozumiał: że Grekow obroná,
 Y do niego należy. Y przeto z drugiemi
 Krolámi, szedł pod Troie, Grecyi meźnemi.
 Wywroćiwszy záś Miásto, iák wiećcie do szczetu,
 Ná powrot do swey Crety, wsiada do Okretu;
 Ale go táka burza, w tey potyka drodze,
 Ze Szyper zálekniiony, puścił Rudlá wodze;
 Wszyscy zdesperowani: śmierć przed sobą máia,
 Ná przepásć patrzac. Monstra pászczę otwieráia
 Na połknienie ich frogie; lamentuiá iedni,
 Ze ich nawet nie potka, żaden pogrzeb przedni.

Idomen oczy w Niebo y ręce podnosi:
 O wszechmocny Neptunie? [w te go słowa prosi]
 Ty który wodom srogim, sam panujesz zwawie,
 Chćiey mie nieszczęśliwego wysłuchać łaskawie.
 Jeśli mie w Crećie stawisz: (o co rzecunie płacze)
 Będzie to, twa Wikryma, co pierwey obacza.
 Tym czałem; Syn powźiawszy o swym Oycu wieści,
 Bieży nad brzeg, uprzedzić o sobie powieści.
 Chce go pierwszy obłapić; A nie wie że bieży
 Na śmierć. Oćiec wysiada, gdzie Syrya leży;
 Dziśkie Neptunowi, za modł wysłuchanie.
 Nie wie, że to ná cięższe, iego iest skaranie.
 Jednak serce przeczuwa, w radości troskliwe,
 Widzi sam, że uczynił Votum, zbyt skwapliwe.
 Boi się wnieść między swych, y chyli swe oczy,
 Bojąc się na miłego napaść; łza ie broczy.
 Ale darmo: Nemesis, która Krolow karze,
 Wiedzie Syna za rękę, ku straszney ofiarze.
 Taz ręka niewidoma, y Oycą prowadzi.
 (Tak złym Krolom, co im iest najmilszego, wadzi.)
 Idomen, ledwie oczy spuszczzone podnieść,
 Syna widzi nayspierwey, co mu uklon nieść.
 W tym się cofnie ze strachu; a oczyma szuka,
 Inszey głowy; ale mu nie uchodzi sztuka.
 Syn Oycą w przod za nogi, a potym za szyję,
 Zdziwi się: Oćiec płacze rzecznie, prawie wyie.
 O moy Oycze (zawoła) z kadze tych łez strugi?
 Witając się nam, po tak niebytności długicy.
 Czy ci żal, widzieć Pánstwá, swoje, y mnie Syná?
 Odwracasz od nas oczy? Co łez za przyczyna?
 Oćiec zalem przeiety, nic nie odpowiada.
 Aż się dość náchlipawszy, na te słowa wpada:
 Cożem ci to Neptunie, ia obiecał głupi!
 Co mie z ozdob y pociech, twa ofiará złupi.
 Lepiey mie powroć falom, y wyrzuc ná skály,
 Ktoreby, lepiey życie smutne rozerwály.
 A pozwol żyć Synowi. O okrutny Boże!
 Masz ma krew; Taz Synowska odkupić się może.
 Y to mówiac, swym mieczem przebić się sam, myśli.
 Lecz go prędko zchwytałi, co do niego wyszli.

Sophronim stárzec święty, tłumácz Boskiey woli,
 Błaga go, y ziądłego upewnia powoli:
 Ze Neptuná uśmierzy, á nie trácac Syná.
 Twoie Votum iest głupie, nie Synowska winá.
 Nie chcą bydz okrucieństwem uczczeni, Bogowie.
 Podrwiłeś obietnica, bárdziej podrwisz, w słowie
 Kiedy stániesz; gdy złamiesz przyrodzenia práwo.
 Sto Bykow białych raczey, z świętá odday spráwa.
 Uwieńcz Oltarz Neptuná w kwiaty, obley jucha
 Bydleca; kádz perfumy, y pros Bogá zskrucza.
 Słucha z głową spulzczona, tey Idomen mowy.
 Zápala oczy jádem, niemicie bez słowy.
 Twarz mu się coraz mieni, czerni y blednieie,
 Trzęsie się całym ciálem, y ná poly mdleie.
 W tym mu się Syn náraża, y mowi do Oycá:
 Jam gotow ná śmierć; Choćiaż będziesz moy zaboycá,
 Byłeś ma krwią uskromił Bogá. Ia wesoły,
 Poyde sam iák Wiktyma, ná Oltarzá stoły.
 Y bylem śmierć odkupił twá, moiá mi miła.
 Zem godny twoy Syn ukáz, á nie baw się siłą.

W tym momencie Idomen, nie badac przy sobie,
 (Piekielna mu furja, wściekle serce zobie)
 Ukradłszy się przed temi, co go pilnowáli,
 W serce Syná uderzy, ten się wnet obáli.
 A on, miecz krwá zbaczony, wyciągnawszy z niego,
 Chcąc się zabić, do serca przymierza go swego.
 Ale go uchwyciono, y śmierć mu nie dána,
 Kiedy dziecie przebite, pada ná koláná.
 Y w swoiey się krwi kapie, á śmiertelne cienie,
 Oczy mu pokrywáia, iák martwe kámienic.
 Jáko kiedy kwiat śliczny, ostro kosa zetnie,
 Jeszcze pachnie; lecz predko usycha, y wietnie.
 Ták y Syn Idomena. iák kwiatek młody,
 Zokrutney Oycá raki, życie, y urody
 Utraca. A zás Oćiec, z żalu zbytecznego,
 Kámienicie, nie czuiąc, co porobił złego.
 Ani wie kedy sam iest, zdumiony we wstydzie,
 Syná woła iákby żył, y do Miásta idzić.



TELEMAKA XIEGA TRZECIA.

SUMMARYUSZ XIEGI TRZECIEY.



Domen opuszcza Crete. Przyjaciele iego go wyprowadzają. Creta zostaje bez Krola. Pospolstwo się gromadzi na obranie Krola. Różne gry wystawia, w których zwycięzca ma otrzymać Koronę. Opisanie tych igrzysk, y zawody wozowe. Telemak z iedney ciekawości, y na próbe swej umiejętności, tam certuje. We wszystkich igraszkiach otrzymuje wygrana. Do zgromadzenia starcow, ktorzy według Praw mieli Krola obierać, wprowadzają go. Ządawia mu kwestye, na ktore odpowiada. Chce go Krolom obrac. Gdy się gotuje przyiac koronę, Mentor mu przeklada ze jest w cudzym kraju, ze ma swoje Oyczyzne, ze się zachowac powinien, y ze ma obaczyc Ulisseffa y Penelope. Poddaje

się

się uwagom Mentora. Creteńczykowie proszą go o Krolá. On skazuje ná Mentora, który się wymawia, wystawuie niebezpieczeństwá krolowania. Oni obieraia Hazàelá, który także się wymawia. Mentor im skazuje iednego stárcá z pomiędzy nich, który przyimuie pod kondycyámi. Nowy Krol Telemakowi y Mentorowi dáie Okrét ná powrot do ich kráju. Wychodzą z Crety. Ná Morzu nowa burza. Przychodzą do Kalipsy. Tu się kończy relacya Telemaká, á Historyk dáley o nim kontynuuie historyczną relacya.

Venus chce się mścić, że wzgárdzili w Cyprze jey Kościołem y ofiárámi, zsyła Kupidyná ná Wyspę Kálipsy w postaci Dziećcięcia, który z Telemakiem, Kalipsá y Nymphami igra, ráni ich wszystkich, y z nich zártuie. Kalipso zákochuie Telemaká aż do szaleństwá. Telemak iey nie kocha, ále iey Nymphy Eucharis skromna, státeczna y pieknieyszą od drugich. Kálipse zázdrość bierze. Mentor ukázuie niebezpieczeństwo Telemakowi, który mu się broni státkiem Eucharis. Mentor mu powiáda, że nie czuie swoiey rány, y że przyiał wolną truciznę, która go zniszczy. Kalipso ná oddalenie Telemaká dáie sposób Mentorowi do zbudowania Okrétu, ná który, gdy Telemak ma wsiadác, chce pożegnać Eucharis, á tym czásém Nymphy zápaláia Okrét. Nowe furory Kalipsy. Mentor wyprowadza Telemaká ná skálę nád Morzem, zkad widzac okrét, á nie máiac sposobu inszego wyprowadzenia go od Kalipsy, zpycha go w Morze ze skály, y sam zá nim w nie wskákuie.

W Tym Pospolstwo, litośćia nąd dziećciem zdieste,
 A ną dzika Oycowska ákcya, ząwzieste,
 Woła: Słuszni Bogowie, znác furycy wściekley,
 Oddáli go; że mu myśl y serce oblekły.
 Gniew orezá dodaie: Do kijow, kámieni,
 Rzucáia się. Niezgodá wychodzi z swych čieni.
 Y śmiertelna truciżna, sercá ich záraza,
 Ze żaden z Cretńczykow, ná nic nie uważa.
 Owi skromni Cretowie, zapomniawszy rády,
 Y zwykły swey mądrości, chcą buntow y zwády.
 Minosa Wnuká wiecey, już nie uznawáia.
 Przyiázni Idomena, ukryć go szukáia.
 A sposobu inszego, zbáwienia nie máiac,
 Biorą go ná Okrety, bronia uciekáiac.
 Dzięki im Idomen, skoro przyszedł do się,
 Ze go z kráju wyrwáli, który w ciężkim loście,
 Krwia Synowska pokropił. Y w którym ná wieki,
 Mieszkáć nie chce, poki śmierć nie zámknie powieki.
 Wiátry go do Hespery, prowadzi szczęśliwe;
 Tým Pánstwo z nim funduia, kompány życzliwe.
 Y ták Pánstwo Cretńskie owdowione było.
 Ale że się bez Krolá, im bydz uprzykrzyło;
 Teraz obráć iednego chcą, by im pánował,
 Y Prává Minosowe, w swoiey porze chował.
 W tym sobie, tym sposobem, y ták postępuia.
 Ze stu Miast, nayprzednieyszych, tu Mieszczan zwołuia.
 Od wálnych Offiar Bogom, tę spráwę zázeto.
 Naymedrszych naysławnieyszych Stárcow, ná to wżisto.
 Ci godność Kandydatow, roztrząsywáć beda,
 Jákbym Krolow Sedziowie, przed ludem zásiada.
 Już igrzyská publiczne, ná to zgotowano.
 Bo temu, kto zwycięży, ták siła wybrana,
 Jákm y mądrośćia, będzie należeć koroná;
 Y temu ták wysoka godność, náznaczona:
 Kto wiekszą mocą ciála, y dowcipu siła,
 Zwycięży konkurrentow. Ná to piękne dzieło,
 Już się zeszli. Y sámych tákże przypuszczáia
 Cudzoziemcow; nikogo zgoła, nie rzucáia.
 I zli się choć przychodzien, wybierze im tákí,
 Który ciálem y duszą, dá godności znáki.

Y wy

Y wy [rzekł Nausicrates] do tego też koła,
 Pośpieczajcie. Ieżli was chceć korony woła.
 Bedźciecie się z drugiem, potężnie pászować.
 Komu BOG da zwycięstwo, ten będzie krolować.
 My, lubo tey korony, nie mieliśmy w głowie,
 Poszliśmy z ciekawości, za nim, po tey mowie.

Przychodziemy na mieysce, Cyrcus miánowane,
 Gestym ląsem na koło, wokrag opasane.
 We śródku wielkie mieysce, piaskiem wywiczone,
 Gorne Amphitheatra, w każda były strone.
 Z darniu ławy iák schody; na ktorych bez liku,
 Tyśiacami lud siedział, iák Woysko do szyku.
 Gdyśmy przyszli, zaraz nas przyieto z honorem.
 (Bo ten lud, insze ludzie swym ludzkości torem,
 Przechodzi) Y zaraz nas, siedzieć pięknie proszą,
 Zapraszają do bitwy, y że czas, donoszą.
 Mentor swemi lątami, Hazael złym zdrowiem,
 Wymowia się. Wiec że ja, za drugich odpowiem:
 Iednak pierwey rzuciłem na Mentora okiem,
 Pozwolił mi kiwnieniem. [cou mnie wyrokiem]
 Przyiałem tedy zaraz, ich ofiarowanie.
 Zrzuciłem do nágości, wszystko me odzianie.
 Oleiem imárowane ciało swe rzuciłem
 O piasek, y tak między Atletow wskoczyłem.
 Iedni zem był Uliśsa Synem, powiádali.
 A co byli w Itaku, cále mie poználi.
 Pierwsza była potyczka: w pásowaniu sztuka.
 Wielka iest obrotnego, w tym ciała náuka.
 Ieden z Rhodu, trzydzieści lat kilka máiacy,
 Sam káždego zwycięzył, y czekał stoiacy.
 Lecz się z nim żaden potkáć, ni oprzec nie myśli,
 Kiedyśmy na plác bitwy, tey tak sławney przyszli.
 W samey porze lat y sił, ten Rhodyczyk trwały;
 Widzieć mu było żyły, ktore po nim drgały.
 Nie sadzac mie bydz godnym, od siebie zlamánym,
 Mija mie. Ia mu w oczy, z sercem nie z hukánym.
 Dopiero się uchwyciem; y ściśniem tak słuszno,
 Ze iemu, iáko y mnie, cále było duszno.
 Rámie z ramięniem, nogą z wspierająca nogą,
 Rekami się opaszem, iák gądzina froga.

Każdy swego, od ziemi podnieść, adwersarza,
 Chce. To w tę stronę mnie pchnie; lecz mu się nie zdarza,
 To w drugą; ale darmo. Aż ja, wszystkie siły
 Zwarzy, zwichnę go w krzyżach, które się zwaliły,
 Z nim o ziemię. Na którą ciągnie mnie, szkaradnie.
 A potem mnie pod siebie podbić, myśli ładnie.
 Ale ja mu iak skął, na pierśiach uśladłem,
 Y lubo mnie trzął mocno, z niego nie upadłem.
 Pospolstwo krzyknie? Ze ja nad Rhodem wygrałem,
 A ja zawstydzonemu, wstać, rękę podałem.
 Igrzysko drugie, Ceste, od nichże nazwane,
 To mi było trudniejsze, jednak idę na nie.
 W tę grę bić się potrzebą, pod tarczy zakładem.
 Jeden duży Sameyczyk, był w tę grę przykładem.
 Wszystkich pobili. Tylko mnie jednemu się zdało:
 Ze y z nim wygram. Aż mi tak się w łeb dostało,
 Ze mi się czarny obłok, w mych oczach uczynił,
 A krew gębą lusiała. On dąli przyczynił,
 Raz po razie, y na mnie szedł, bez odpoczynku.
 Zem odetchnąć w tym nie mogł, całe pojedyńku.
 Aż głos słysze Mentora: (gdy mnie wziął ciemnieżyć)
 Także to Telemaku, daj mu się zwyciężyć?
 Gniew mi nowych sił dodał. Iak piorun się matam,
 To w ten bok, to zaś w drugi, z uchYLENIEM latam.
 Ze mnie trafić nie mogszy, swym chybił żelazem,
 Y sam się też pochylił. A jam go pchnął rązem,
 Y uderzył o ziemię. Ale miało rany,
 Podałem mu sam rękę. A on uwalany
 We krwi, prochu, powstać, y bić niechce więcej;
 A ja idę zwycięzcą, iakby stu tysięcy.
 Zaráz po tym, zaczęto gonitwy wozowe.
 Które się losem dostać miały, są gotowe.
 Mnie się trafił najlepsz, y w koła, y w konie.
 Puścim w zawód. Z tumanu Słońce iak w zasłonie.
 Z kopyt, wszystkich przed się puszczam, w tym zawodzie,
 Creanter Lacedemon, nas kładzie w odwodzie.
 Polikletes Creteńczyk, tuż tuż go dojeżdża.
 Hipponak Idomena krewny, tak pojeżdża
 Lotnie, że jego koło zda się bez obrotu;
 Jak orzeł skrzydłem szyc, nie rusza go z lotu.

A w

A w tym moje tchu pełne konie, sił nábráły,
Przed wszystkimi inšzemi raczo się wybráły.
Zostáwiam ich zá soba; Hipponak zbyt chciwy,
Zátchnął koniá, że mu padł, sam został w puł żywy.
Poliklet stał ná woźie, tnąc konie nád siłę,
Lecz zá wozu ztrzęśnieniem padł, y został w tyle.
Pisylstrat pełen żalu, że go tuż tuż blisko
Ścigam, to Bogom swoje oddáję igrzysko,
To konie animuje. Ná koniec wciáśności,
Złamał koło, y zadał mi nieco trudności.
Chciał to on mnie przelzkodzić, ábym go nie minął,
Ale łamiąc swe koło, z swym zwycięstwem zginął.
Bom go ja leżacego, z drugiey obiegł strony,
Y tak się widział w piasku, gdy mnie u korony.

Pospolstwo znówu krzyknie: luz też oczywiście,
Bogowie, Telemaka sprawili tu przyjsie,
Aby wygrał koronę. A w tym nayznácznieyszy,
Wybor Cretow, nas bierze, w lás bliski ciemniejszy,
Stáry y poświęcony. Gdzie stárcy wybráni,
Od Minosa, ná ludu sąd destynowani;
Y strożowie praw iego; tych nas brákowáli,
Ktorzyśmy, w tych grách wszystkich, z soba certowáli.
Mádracy, Księgi z Práwami Minosa otworzą,
A w przód się, przed Bogámi modląc, upokorzą.
Widokiem stárcow, respekt myśl má opanował.
Ktoby był tak ślicznego wieku, nie szánował!
To w nich osobliwszego, zá cud, upátruie:
Ze im, wiek zbyt podeszły, mocy nie uymuje
Rozumu y sił zdrowych. W porzadku siedzieli,
Siwe włosy, á drudzy y włosow nie mieli.
W poważnych twarzách, mádrość słodka y spokoyna.
Słów próżnych nie usłyszysz. Mowá bogoboyna.
Nie gadáli nic rázem. Lubo mieli rózne
Zdánie; lecz się zgodzili, ná iedno nie próżne,
Przeszłych dziey doświadczenie. W zwyczajenie w prace,
Mádrość w konkludowaniu, dáwała mi płace.
Ale, co ich naybárdziej czyni doskonálych,
Jest, że ogniew nie znáją młodości nie trwálych.
Sam rozum ich kierował. Ten owoc ich cnoty,
Ze do złego, nie czuli już w sobie ochoty.

Ze już teraz bez trudu, sam smak cnoty czuła,
 Y rozumu dobrego, pożytków kosztuła.
 Patrząc na nich życzyłem: by mój wiek się skrócił
 Albo młody, w taką piękną starość, się obrocił.
 Niešťczęśna mi się młodość, w swej goraczce zdąła,
 Która cnoty spokojnej, iako ta nie znała.
 Z tych Stárców pierwszy, wyniosł Księę Minosowa,
 Chowaną w złotej skrzynce. świeżą, iakby nową.
 Wszyscy stárcy, z respektem wielkim, ją cątuła,
 (Mówiąc:) że po cnych Bogách, nic cćci nie znáyduła,
 Godniejszego ná Práwo. Które cnotliwemi,
 Ludzie czyni; á przeto trwale szczęśliwemi.
 Ci co rządzi Narody, sami się powinni,
 Práwem rządzić. Bo Práwu, nie Krolowi winni
 Posłuszeństwo Poddáni. Ná koniec co siedział,
 Ná drugiemu Prezydent, ten do nas powiedział:
 Żądam wam trzy Questye, które kto z was zgádnie;
 Według zdánia Minosa; Krolew będzie snádnie.
 Pierwsza jest: Kto ze wszystkich naywolniejszy ludzi?
 Jedni mówią: [których chęć do korony budzi]
 Naywolniejszy jest ten Krol, który zwyciężywszy
 Nieprzyaciół, swym ludem rządzi, w dom wróciwszy.
 Drudzy mówią: że człowiek który się nie żeni,
 A z jednego ná drugi kray, swą bytność mieni.
 Insi mówią: Mąż dziki, który żyjąc w lesie,
 Ni stárszemu, ni Práwu, respektu nie nieśie:
 Ci trzymáią: że człowiek wyszedłszy z niewoli.
 Najsłodszy smak znáyduje, ze swej nowej woli.
 Byli y ci co rzekli: że człek przy skonaniu,
 Dopiero jest prawdziwie wolnym, o ich zdaniu,
 Od niešťczęść y kłopotów; y że nie zaszkodzi,
 Nikt mu więcej. Aż do mnie mówić też przychodzi.
 Ja pamiętny, co Mentor nie raz mi powiádał,
 Rzekę: Temu naywiększą, sam BOG wolność nádał,
 Który wolnym w niewoli, y w pętách bydź może,
 Którego kondycya zła, nic nie przemoże.
 A ten taki jest (rzekę) kto się Bogów boi,
 Y o ich jednych respekt, á nie ludzki stoi.
 Słowem; ten jest prawdziwie, y jedynie wolny,
 Który ani stráchowi, ni złym jest powolny.

Ządzom,

Zadzom, y nie ieſt, tylko ſwym Bogom, poddány,
A cnoćie, rozumowi; wolnym ma bydź miány.
Stárcy poyzrza po ſobie, y głowy kiwaniem,
Wyználi; zem ſie zgodził z Minofowym zdaniem.

Druga była queſtya: Kto teſz ieſt ná ſwiećcie.
Naynieſzczęśliwſzy z ludźi? Nie ieden tu plećie;
Ten mowi: że człek, który zdrowia, maietnoſci
Nie ma, ni czci. Ow mowi: Ten, który ſzczeroſci
Nie znalazł przyiaćielskicy. Drudzy zaś trzymáią:
Ze ci ktorzy od dzieći ſwych, niewdzięcznoſć máią.
Ktoś, z Wyspy Lezbu, rzecze: Kto ſie nieſzczęśliwym,
Bydź ſadzi? ten ſam ginie, w nieſzczęſćiu prawdziwym.
Bo nieſzczęſćie, mniefy na tym co cierpiem zawiſło.
Bárdziey ſchnie, y trapi ſie człek, troſkliwą myſlą
Tym ſłowom Lezbeyczyká, wielki applauz dano.
Y że weźmie koronę za to, rozumiano.
Ale gdy mię pytaia! odpowiem rzetelnie:
Naynieſzczęśliwſzy, z ludźi, u mnie, y ſmiertelnie:
Ten Krol; który ſie mniema bydź ſzczęśliwym, zwány,
Ze ſie ſwoim náprzykrza, ubogim poddány,
Dwoiáko nieſzczęśliwy: Raz z ſwoiefy ſłepoty;
Ze nie zna w tym defektu, oraz y iſtoty.
Prawdy, ktorey nie dáie pochlebſtwa przyſtępu;
A druga: że nie dáie w ſerce ſwoie wſtępu,
Pociehom, ktore mnoży, dobre uczynienie,
Y iáskáwoſć, ſzczęśliwiza, nád naylepiſze mienie.
Złe zadze mu Tyranki, ćieſzyć ſie nie dádza,
A Bogowie, ná pewná zgubę, go prowadzi.
Co ſłyſzac zgromádenie, zem wygrał przyznało:
Y że moie ſie zdanie, z Minofem zgadzało.

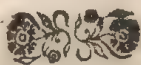
Trzeciefy Queſtyi, táki ſens, był połoſzony:
Kto z Krolow poſzadánſzy? Czy nie zwycięczony?
Y Wojennik? czyli teſz, nie znáiacy woyny?
Ale do rzádu ludu, mądry, y ſpokoiny.
Wſzyſcy rzekli: że ten Krol, co woynę rozumie,
Y wſzytkich, ſwych zawiſnych Sáſiádown potłumi,
Bárdziy Pánſtwom potrzebný. Coſz bowiem po takim!
Który ſwych ieſt obrońca Gránic, ládáiákim!
Choć dobrym rzádcą w domu. Bo gdy go zwycięczy
Nieprzyiaćiel; w niewolá lud iego zćiemieży.

Drudzy rzekli: Spokoiny Krol, lepszy daleko.
 Bo go dumy wojenne, w Woynie nie zawnieka.
 Nie znaiac, boi sie jey, y strzedz sie iey bedzie.
 Na to znowu, ci mowia: ktorzy stali w rzadzie;
 Krol wojen, o slawe sie, Narodu ubija.
 Y Narody Poddanym, w moc swoim swoim podbija.
 Krol domator, ich trzyma w mietkim proznowaniu.
 W tym sie, starcy pytaja, o moim tez zdaniu.
 Jam rzekl: Krol ktory tylko, zna sie na pokoju,
 A cale nic nie umie, co trzeba do boju,
 Jako tez ten, co tylko; ma wojenne sztuki,
 A w swym rzadzie, nie umie pokoju nauki;
 Jest z nich kazdy pul krola. Jedno bez drugiego.
 Nic nie jest. Jednak; ieqli wziac trzeba iednego!
 To wola madsosc w Krolu, choc w Woynie nie zdolny.
 Bo moze y General, zwyciezac powolny,
 Kiedy bedzie potrzebna. Krol zas Woyny chciwy,
 Nie przestanie woiowac, poki bedzie zywy.
 Dla swej slawy, Poddanych bedzie ruinowal,
 Ktorem mala z tad korzysc, ze on opalowal,
 Cudze Panstwa, y obcym, ze na kark usiedzie,
 Kiedy w domu poddany, nieszczesliwy bedzie.
 A bedzie pewnie w Woynie. A co w Woynie dlugicy,
 Za nieszczescia ponosi? y Zwyciezca drugi?
 Patrzajcie co nas Grekow, tryumfy kosztuja!
 Otrzymane nad Troja. Krolowie wojuja,
 Przez dziesiec lat: w domu zas, gdy nie masz zadnego;
 Nie masz rzadu; a przeto, nie masz nic dobrego.
 Kray, ogniem tym zalaty, nie czuie ni prawa,
 Z oractwem y rzemieslem, y zyznosc ustawa.
 Tak naylepsi Panowie, gdy sie w Woynie rusza;
 Czesco, y zlych, rozpusta ludzi, cierpiec musza.
 Y Hultaiem, musza sie posluzyc, potrzebnym,
 Tego w ten czas honorem, wyniesiesz chwalebnym,
 Ktoregobys w pokoju, oddal katu w kars.
 Zaden Narod, (choć poydziem y w przyklady stare)
 Nie utyl pod Monarcha, krwawey Woyny chciwym.
 Y lubo pod zwyciezca, to nie byl szczesliwym.
 Krol prozna chwala zwyciestw, kiedy sie upije,
 Tak ruina swojemu, iak cudzemu szyc.

Y gdy

Y gdy przymiotow mądrych, nie ma do pokoiu,
 Nie da zżyć, nabytych fortun, swoim z boju.
 Taki się na to rodził, żeby wszystko psował,
 Świat wywracał, ale go, w niwczym nie ratował.
 Może lud nieszczęśliwym, szczęśliwym nie może
 Uczynić. A spokojny, coli też pomoże?
 Prawdą, że nie podbije on krajów, wzdobyczy,
 Lecz da szczęście poddanym, choć laurów nie liczy.
 Y jeśli po Oycowsku, nad nimi królujcie!
 Przeciw Nieprzyjaciółom, bez wojny konserwujcie
 Swoy kraj! takim sposobem; jeśli sprawidliwy!
 Moderat, dobry Sąsiad, ich dobrą nie chciwy!
 Nie porywa się na nich, w rządy ich nie wdaje!
 Dotrzymujcie pokoiu, w słowie, lidze, stać!
 Kolligacji go lubią, y ufność w nim mają,
 Nie boją się go, ani go nie zaczepiają.
 Nie spokojnych y pyśnych, cierpieć nie podobna,
 Ale żyć dobrze z dobrym, sławna y ozdobna.
 Y kiedy spokojnego, zły Sąsiad zaczepi!
 Wszyscy z dobrym trzymają, bo im z cichym lepiey.
 Rzeczności, trzymanie, y poczciwość Pana,
 Czyni go Sędzią Królów, gdy cnota doznana.
 On Sąsiadów rozstrzygnie, gdy co u nich zaydzie.
 Takiego zaś kredytu, Król wojen nie znajdzie,
 Gdy wojen bez mądrości. Owszem nie nawiąda,
 Y wstała na takiego, gdy pogodę widza.
 Te spokojny od Sąsiad, Król miewa wygody,
 Ale wiekście, pożytków w domu, ma dowody.
 Naprzód ia supponuje: że on według praw
 Najmędrszego, sam żyje; toż y swym nadawa.
 Wszelką pompę, nadętość, wspaniałość rospuśtną,
 Oddala, y przez cały rok, chwile zapuśtną.
 Rzemiosła, które zbytkom, nie potrzebom służą,
 Z swego kraju wygania, y nie lubi dużo.
 Do oractwa, y wszelkiej, po ziemi roboty,
 Aplikuje poddanych, dodając ochoty.
 Przeto ludzie roboczy, gdy szukają chleba,
 Mają żywność wszystkiego, czego im potrzeba.
 W skromności żyjąc trzeźwo, kwitną y w dostatki,
 Y w liczne się, zwyczajnie, rozkrzewiają dziatki.

Tym sposobem, Krol, predko, lud nie zrachowany,
 Zdrow, mocny, nie pieszczony, w cnoćie wychowany,
 Na śmierć nie ustraszony, uczynić y zwabić
 Może, który, za Pana swego, da się zabić.
 Dla wolności przy Krolu, z ktorego zysk czuie,
 Chętnie ginie, mrze sławnie, y mężnie wojuje.
 Rzecz mi kto: (ia mniemam) że tam lud nie zdolny,
 Do sztuk wojennych, nieuk w mánierze polney,
 Szturmow nie zna, y szykow, nie wie co skwádrony;
 Ja zaś mowie: że liczba, iest nie zwyciężony.
 Potym praca y zdrowiem, przy sercu gotowym,
 Wyćwicz się on predko, sam, w dziele Márswym.
 W ochadożnym uboſtwie, nie urodzonemu,
 Nie wádzi głod, y niewczás, w roli zchowánemu.
 Ná oſtátek Krol, woyny nie nie umieciacy,
 Dobrze się ná Hetmánách, może bydź znáiacy.
 Bez utráty powagi, ná swym mieyscu, ſtáwi
 Tákiego, który Narod iego, Woyna wſławi.
 A Saſiedzi, którym iest dobrze, z takim Kroleſm,
 Bada pátrzyć ná Woynę iego, z ciężkim bólem.
 Y żeby go, nie poſiadł, kto nieſpráwiedliwo,
 Ná ráunek, z Saſiádow, bieży mu co żywo.
 Dopieroż lud poddány, boiac się Tyránná
 Zwycieſtwá, nie odſtápi nigdy ſwego Páná.
 Bogowie ſami, ſtána przy iego zwycieſtwie,
 Táki mądry y ſpokoiny Krol, w niebeſpieczeńſtwie,
 Te będzie miał pomocy. Zrad ia konkluduje:
 Ze się imperfekcyá, w tym Krolu znáyduie,
 Który woyny nie umie. Zwyciężać álbowiem
 Nieprzyaciół, funkcyá Krolewska. Lecz to wiem:
 Ze przecież lepszy táki; niż który procz woyny,
 Nic nie wie. Požadánſzy zátym, Krol ſpokoiny,
 Poſtrzegłem w zgromáczeniu tym, y ludzi bráku,
 Ze moy dyskurs przydłuży, nie był im do ſmáku.
 Ale ſtárcy powſtáwſzy, rzekli iednym głóſem:
 Ze moy dyskurs, zgodził się cále, z ich Minofem.
 Pierwſzy z Stárcow zázwołał: Otoſz się ſprawdziło,
 Oraclum Apolliná; co wtey Wyſpie było:
 Minos Bogow się rádził, poki iego plemię,
 Według Praw, ktore podał ſam, té rzádzić ziemię
Będzie?



Bedźcie? Bog mu odpowie: Poty twoim przyidźcie;
Pánować w tym tu Pánstwie. Aż w tę Wyspę wnidźcie
Cudzoziemiec, y każe twym prawom krolować.
My się bali, áby kto cudzy opánować,
Nie wazył się tey Wyspy. Ale Idomena
Nieszczęście, Telemaka zaś, mądrości ceną,
Wyjawia wyrok Boski. Bo kto z nas ná świecie,
Lepiej prawá Minosa, nád ciebie doćiecze?
A zá tym Creteńczycy? Czegosz się báwiemy!
Tego co chcą wyroki, czemu nie wieńczemy
Korona! A w tym stárcy z gájow świętych wyszli.
(Pospolstwo oczy ná nas obraca. y myśli)
Pierwszy stárzec, zá rękę wzięwszy mnie obwołał:
Ze mnie BOG ná koronę, przez wszystkie powołał
Wygrane stopnie. Ale ledwo przestał mówić,
Lud tak huknął, że nie dał całę mu domowić.
Krzykiem frogim radości, gory nápełniaia,
Y brzeg Morski, aż czarne chmury rozrywáia.
Niech Telemak, Ulissa Syn, meżny, nadobny,
Pánuje Creteńczikom, w Minoście podobny.

Pod czas huku owego, ja głosu dobywam,
Y chcąc audyencyi, reka ná nich kiwam.
Gdy się mówić gotuję: Mentor mi do uchá,
Szepce: Tákżec to pychá, przewróciłá duchá?
Ze się dla niey, Oyczyzny, już wyrzekasz swoiey!
Tákżec o Penelope Mátkę, Syn nie stoi?
Ktora wszystkie nádzieie w tobie záłożyła,
Zapomniszże Ulissa, co cierpi ták siła?
Te słowa, wskroś me serce zmieszane przebiły,
Y chęć, do pánowania, gotowa skruszyły.
Tym czasem po tumultcie, nastąpi milczenie,
Y ná moje czas dáie, do nich przemowienie:
Przezacni Creteńczycy. Jam Wászey nie godny,
Jest korony. Y ten sens, lubo iest dowodny,
Apollina! Ale go, ináczyi potrzeba
Rozumieć. Gdy on mówi: że nie dłużyi Niebá,
Obiecuią krolować, Minosa Domowi,
Tylko poki nie przyidźcie, tu Cudzoziemcowi,
Ziawić się w wászey Wyspie, który iego prawá,
Ná rząd dobry odnowi. Prawdá. To się stawa,

T

Y po.

Y pozwalam, żem ja ten Cudzoziemiec zgola,
 Lecz Apollo nie mowi, że mie na tron woła.
 Ja mam sprawić, że prawá, beda wam panowác,
 Według Pheba proroctwa. Lecz nie mam krolowác.
 Jam szczęściem trafił, na sens Praw Minosa zacnych,
 Jam szczęściem, we grze przeszedł, konkurentów znacznych.
 Lecz te prawá, ktore ja mogłem przetłumaczyć,
 Inszego znayda człeka, ktorego wy raczyć,
 Bedziecie obrać Krole. Ja swoia przekładam,
 Mała Wyspe Itaku, ktora z Dziadow władam;
 Nad sto Miastr Crety, y nad tron w złoto wyłoki.
 Puśćcie mie tam, kedy mie prowadza wyroki.
 Nie nádzicia krolestwa, do tego mie wiodla;
 Zem certował wigrzyskach, pycha mie nie bodla;
 Ale żebym zasłużył na wasza estyme,
 Zebyście mie do domu zaslali; to przyime.
 Bydź poddánym Uliffa, Penelope cieszyć,
 Wole, niz światem rzadzić. Do nich chce pośpieszyć.
 Ták ci serce otwieram, Creteńczyku miły.
 Odjeżdżam ja, ale wiedz, że poki me śily,
 Nie ustana z mym życiem, chowác wdzięczność wiecznie,
 Nie przestane, y Narod ten kochác serdecznie.
 Ledwom skonczyl te mowe. Taki głos powstaie,
 Szemrzącego Pospolstwa, iaki odgłos daie,
 Powstaiacy szum Morski. ledni drugim przecza,
 Czy to nie Bostwo iakie, pod postacia czleczá?
 Drudzy zaś poznawaiac mnie, przypomináli.
 A wszyscy, bym koniecznie krolował, wołáli.
 Alem ja, znowu o głos prosił, ich pochwili.
 Umilkli (żem miał przyiać) tym sie ućieszyli,
 Com odmowil był z rázu, to iest, krolowanie.
 Rzeko im: Pozwolcie mi odkryć moje zdanie.
 Jesteście Creteńczycy, naymedrši, przyznáie
 Z wielu Ludu, ale wam, iedney nie dostaie
 Uwagi. Bo nie tego, wam trzeba obierác,
 Ktory dobrze y mownie, zna w prawách przebierác,
 Co ich umie na pámieć. Lecz tego z ochota
 Szukaycie; co ich pelni, ze státeczna cnota.
 Jam iest mlody, á przeto ieszczem bez uwagi.
 Y burzliwym passyom, iestem iak cel nági.

Zdol.

Zdolniejszy posłuszeństwem, uczyć się, iak rzadzić!
 Niżli rzadzić sam teraz drugich, a nie zbladzić.
 Nie szukaycieśz takiego: co ciąłem y mowa
 Zwycięzył [iak ia] drugich. Lecz takiego z głowa,
 Który siebie zwycięża, y co Wásze prawa,
 W sercu wydrukowane, nie w mowie wydawa.
 Zeby ie całym życiem, ná sobie wyrażał,
 Y z was każdy nie słowa, lecz czyny uważał.

Stárcy nowym dyskursem moim, pocieszeni,
 Rzeka: Kiedy od Bogów my uposledzeni,
 Ze się Krolem spodziewać naszym, cie już trudno!
 Dayże nam iakoś to zwykł, radę nie obłudna.
 Kogo Krolem uczynić? któryby krolować,
 Dał prawom? Znażże kogo, co ie umie chować?
 Znam ia człeká (odpowiem) to wszystko od niego,
 Mam z náuki, co we mnie widziacie godnego.
 Jego to, a nie moiá, przezemnie gadalá
 Madrość. Y w tych responsach mych, się odezwálá.
 Tom gdy mówił. Mentora zá rękę trzymałem,
 Pátrzącemu ludowi, páłcem go skazałem.
 Opisałem im wszystko, koło mnie stáranie,
 Z dziecínstwá, z niebespieczeństw różnych záchowanie.
 Nieszczęścia dziwne, ktore ná mnie się zwálily
 Kiedy mié iego rady madre, odstąpiły.
 Z rázu nań nie pátrzano, dla prostych odzienia,
 Dla skromnego ustáwnie, w uwadze milczenia.
 Lecz gdy się przypátrywać, w twarz iego poczęto,
 Coś dziwnie wysokiego, żywość niepoietá,
 W oczách widza. Dopieroż, gdy go usłyszeli,
 Záluiá ze go dawniey, zá Krolá nie wzięli.
 Zbránia się, nie wzruszony Mentor, y powiáda:
 Ze szczęście wszystko, w życiu prywatnym zákłada.
 Ze Krolow y naylepszych, w tym fortunę wini,
 Ze Krol nie kiedy sam chce, ludziom dobrze czyni.
 Często przez złych Dworzánow, pochlebne udánia,
 Złym dáry niechcac dáć, a dobrym karania.
 Jeżeli iest niewola, u prywatnych ciężka,
 Ale u Krolow nie mniey, wiekuie y mieszka.
 Krol ile ma poddáných, tylom ma wygadzac
 Wszystkie troski (zeby go słuchano) sprowadzác.

Szczęśliwy, co się obeysć, bez tych mozol może.
Jeżeli moicy Oyczyznie, rząd moy co pomoże!
Winienem swoją wolność, na dobro publiczne,
Jey łozyc. Nie na cudze Krolestwo, choć śliczne.

Dopiero Creteńczycy dziwnie zādumiáli,
Jākiego Krolá obráć! y kogo? pytáli.

Odpowie Mentor: Weźcie naprzod znáíomego,
Ponieważ was ma rzadzić. A potym takiego;
Ktoryby się krolestwá bał. Bo kto go zyczy,
Sam sobie, znáć że swoje nádżicie w nim liczy.
Kto zaś chce byđź dla siebie, nie dla was obránym,
Ten sobie, nie wam będzie szczęśliwy, poddánym.

Creteńczycy dziw ná dziw, w sobie pomnazáia.
Ze widza to gárdzacych, co drudzy chwytaia.

Pytaia się z kim przyszli? Naufykrales mowi:

Ze wyszedszy, przywiódł ich, z portu ku Cyrkowi.

Pokazał Hazàela, z ktorymeśmy wyszli,

Z Wyspy Cypru. Dopieroz, dziwne były myśli!

Kiedy się dowiáduia, że Mentor w niewoli

Siedział u Hazàela, y że go do woli,

Y ná wolność wypuścił, dla iedney mądrości,

Ktorą uznał w nim, iáko, y z cnoty godności,

Z niewolniká go biorac, między przyiaćiele,

Y ten Mentor, z korony wymowił się śmieie.

Ná koniec: że Hazàel, tak mądrości chćiwy!

Ze do Crety przyiechał! áby święte dziwy

Widział, praw Minosowych! Ieden rzecz pono:

Dármo cie Hazàelu częstowáć korona!

Kładziemy, że iednegoś, z Mentorem iest zdánia.

Nie godniemy się, twego, koła nas stáránia;

Názbyt gárdzisz bogáctwy, ykorony bláskiem,

Nie chcesz kupić turbácyi, co zá tym obrazkiem

Chodza, y krolow macza! Hazàel odpowi:

Nie gárdze wámi Ludzie, owszem Narodowi

Zacnemn się przysłużyć; ludzi poczćiwemi;

Uczynić; szczęście dzielić, między poddánemi;

Miałbym sobie za honor. Ale wielkicy pracy

Potrzebá, y często bráć káre, miásto płacy.

Splendor Tronu fałszywy, y umysł dusz próżnych,

Może zácmić. Widzialem w okázyách rożnych.

Zycie

Zycie krotkie Fortuná, długie chęci rodzi,
Tym sie bardzicy chce tego, czego sie nie godzi.
Zebym sie mogli uchronić tego dobrá zlego,
Nie zebym nábył, z kráiu plynę dálekiego.
Badźcie tedy laskáwi. do swego żywotá.
Wracam sie spokojnego, gdzie mądrość y cnotá,
Karmić beda ma dusze; ktoremi nádziecie,
Trwálszego y po śmierci szczęścia, w Niebie sieie.
Gdybym sobie miał życzyć? Toby nie krolować
Było! Lecz zeby z temi, obiema wickować.

Krzyknęli Creteńczycy: O naymędrszy z ludzi?
Mentorze? niech cie litość nád námi pobudzi.
Pokaż nam kogo Krolew obróć, ná ostátku?
Bo cie pewnie nie puściam, od siebie w ostátku.
Mentor rzecze: Kiedym sie wálszym przypátrował
Igrzyskom, y ná roznych ákcyę pilnował!
Uwazálem iednego, który bez chciwości,
Pátrzył ná nie, y w miley rozmawiał skromności.
Był stary, lecz dość mocny, y gdy sie pytałem
Kto jest? Arystodema imie uslyszálem.
Powiedziano mu: że dwóch synow iego, było
W igrzyskach certuiacych; Co go nie wzruszyło.
Tylko rzekł: jest z nich ieden, ktoremu korony
Nie zycze, bo go kocham. Ale z drugiey strony,
Oyczyznę bardzicy kocham, niż zebym drugiego,
Ná Páństwo zyczył y rzad, całę niegodnego.
Zrozumialem ia przez to; że on w iednym cnoty
Kochał. A w drugim ganił nie zdolne przyinioty.
Pytałem z ciekawości: Czym sie ten człek báwił?
Jeden mi odpowiedział: że sie woyna wslawił,
Długo służąc, nie w zysku nie miał, tylko rány.
Od Idomená. nie był rekompensowany.
Ze pochlebstwá nie umiał, dla szczerości cnoty.
Nie wzięto go pod Troję, przez Dworskie wywroty.
Bał sie ten Krol. człowieká tego, mądrey rády.
Który wolał, pochlebcow swych, przyimować zdrády.
Náwet mu iuz zazdrościł, zeby sie nie wstawił.
Zapomniał iego zasług, y tu go zostawił.
W ubóstwie y kontempcie, ludzi ládaiákich,
Ktorzy cenia bogátych, á nie waza takich,

Lecz on kontent z ubliztwa, w tey Wyspy kaćiku,
 Orze swemi rakomá, wesoło bez krzyku.
 Jeden Syn z nim prącuie. Wzáiem się kocháia,
 Ochronnie, y szczęśliwie żyiac, wszystko máia,
 Co trzebá do nátury. Ten stáruszek zacny,
 Rátowác chorych czym ma, w swym ubóstwie, łączny.
 A młodym zás w sąsiedztwie, próżnowác nie dáie,
 Uczy, ćwicz y sadzi, y głaszcze y láie.
 Jest domow okolicznych wszystkich, Oycem żywym.
 Ale w swoim iest domu, przecie nie szczęśliwym.
 Bo syn młodszy rad iego, iák stárfzy nie słuchał,
 Szalenie postępował, y wysoko dmuchał.
 Oćiec go chcąc powściągnąć, dość go długo znośił,
 Ale go potym wygnał, gdy go nie unosił.
 Y toć iest Creteńczycy. Co mi powiádano
 O tym człeku. Co u was ma byđć lepiey znano.
 Aleć przecie, ieżeli ten iest człowiek taki!
 Ná coż igrzysk, y gonitw, wystáwować znáki!
 Ná co bráć nie znáiomych? Gdy w pośrzedku maćie
 Godnego, który was zna, y ktorego znaćie.
 Umie woynę do tego. Y serce pokazał,
 Táki ná strzały, iák w biedzie, ktorey nie uważał.
 Który wzgárdził bogáctwy, dworstwem nábytymi.
 Który ćieszy się pracá, iák y oráckimi
 Sztukámi, pompa mierzi. Y ślepo nie kocha
 Dzieći swoich, y żadna ákcyá, w nim płocha,
 Nie znaydzie się. Y który, Oycem ludu zgoła.
 Sam Mincs, ná Praw Páństwo swoich, go już woła.
 Wszystek lud zá tym krzyknie tak, ná wszystkie strony:
 Jest táki Arystodem, y godzien korony.
 Stárcy to potwierdzili. W ciżbie go szukáia,
 Y znáyduia, gdzie z ludu ostatni, siadáia.
 Ogłaszáia go krolew. On słucha spokojnie,
 Y ná to odpowiáda, złożony przystoynie:
 Já pánowác nie moge, chyba mi trzy rzeczy
 Pozwolicie? Ta pierwsza: [którą mam na pieczy]
 Ze mi wolno Krolestwo złożyć, zá dwie lećie
 Będzie; leżli przez ten czas, znácznie nie będziecie.
 Poczciwzemi niż teraz. Druga: że mi będzie
 Wolno, żywot prowadzić, iák był prosty, wszędzie.

Trze-

Trzecia zaś: że Synowie, poki będą żywy.
 Y po śmierci mey, żadney mieć prerogatywy
 Nie będą: Ale wy, ich będziecie traktować,
 Iako będą swa cnotą, u was zasługować.
 Po tey mowie, tysiączne krzyki się podnoszą.
 Diadema na głowę kładą, na Tron proszą.
 Byki biją cnym Bogom. A wprzód Iowiszowi,
 Arystodem prezenty dąć. nie Krolowi
 Zwyczajne, wspaniałością; lecz w zacney prostocie,
 Y drogie w dobrej woli, y miłej ohoćie.
 Hazaelowi księga, z Minosa Prawami,
 Dał iego własney ręki. Y Okret fruktami
 Naladować mu kazał, które są nie znane
 W Syryi, za specyjał, dla tego mu dane.
 My też strasznie, o odiażd swoy, mu się przykrzemy.
 Aż pradko Okret, w ludzic gotowy, widzimy,
 Do wiosel, y do broni. Tudzież dla nas dane
 Orezą, prowianty, suknie złotem tkane.
 Zaraz też y wiatr dobry, dla nas się podnosi,
 Hazael ieszcze został. [Tak twarz łzami rosi]
 Zegnam was Przyjaciele; już się nie spodziewam,
 Widzieć was więcej. Ale, was Bogowie wzywam!
 Ze ta przyjaźń, na cność będąc założona,
 Musi być, w Elizeyskich ogrodach złączona.
 Tam kiedy y po śmierci, w szczęściu sprawiedliwi,
 Na wieki. Tam się y my obaczym szczęśliwi.
 O gdyby? moje złączyć popioły, z wászymi!
 Te lamentsy on dąć, idąc z nami, y my.
 Gdy wsiadamy na Okret, Arystodem idzie,
 Mowiąc: Pamnietcie (nim się nam z tad rozeyść przyidzie)
 Zeście mnie wy wprawili, w krolestwa kłopoty!
 Proścież Bogow; aby mi mądrości y cnoty
 Użyczali; y zebym, tak ludzic skromnością
 Przewyższał, iak przewyższam w powadze godnością.
 Ja zaś. prosićich będę, by was prowadzili
 Szczęśliwie; Nieprzyjaciol wászych potłumili.
 Zebyście, powróciwszy w pokoiu, uyrzeli,
 Ulissą z Penelopą, na Tronie weseli.
 Telemaku dąć ci Okret, w ludzic zbroiny.
 Możesz zbić, ieżeli Matkę kto tam nie spokojny

Prześlądzie. Mentorze, twa mądrość niczego
 Niepotrzebna jest. Wiac wam, życia szczęśliwego
 Życze, prosząc o rekurs do mnie poufały,
 Gotowem łożyć Państwo, y żywot mój cały.
 Y tak się zobopolnie, z Krolem uściskawszy,
 Ruszamy, w pełne żagle, rzewnie napłakawszy.
 Wiątr dobry obiecuje szczęsne żeglowanie,
 Już Gora Idá ledwo, w oczách nam, zostanie.
 Brzegi Crety, iák we mgle, od nas zostawia.
 Wyspy Peloponezu, zaś się przybliżaia.
 Aż razem czarna chwila, Niebo nam zakryła.
 A Morskie wały, strasznie, od gruntu wzburzyła.
 Dzień się już w noc obrocił, śmierć w oczy záyżrzała.
 Twoia to moc Neptunie, nas prześladowała.
 Bo Wenus mścić się tego; żeśmy nią wzgardzili;
 Kiedyśmy w Cytarei, z kościoła jej drwili;
 Do tego Boga poszła, mowiac: (śliczne oczy,
 Z wielkiego żalu, łzami zmyślonemi moczy.)
 Zcierpiżże to Neptunie a aby ci podroźni,
 Bez káry, z moiej mocy śmieli się, bezboźni!
 Ktorey Bóstwo podległe, z tej się człowiek śmieie!
 Y potapia, co w Cyprze, na mą cześć się dzieie.
 Chlubia się oni, statkiem swym, niezwycięzonym.
 Y miłość nazywáia niestatkiem szalonym.
 Czyś zapomniał? żem się w twym państwie urodził?
 Czegoś czekasz! záley ich, ieżelim ci miła.
 Ledwo Wenus to skończy. Aż Neptun do Niebá
 Podrzuca wały czarne, że nam zginać trzebá.
 Wenus mściwa się śmieie. Szyper z stráchem woła:
 Ze wiecey nie poradzi, ni kierować zdoła.
 Wiátry frogie nas pedza, z impetem na skały.
 Wichér razem mąszt skreći, y złamie go cały.
 A w ten moment słyszemy, że się Okret porze.
 Na skále, która na poł, iák pługiem go orze.
 Okret tonie, y wody, już po gorze pełno.
 Flisy wrzeszcza, y płaczą nad zgubą zupełną.
 Ia uchwycę Mentorá: Już tu umrzeć trzebá,
 Y przyiać śmierć z odwaga. Y ná toż to Niebá?
 Zták wielu nas przypadków, y z zguby wyrwały?
 Zeby nas w te przepáści tak straszne oddály?

Ale

Ale wiedz o Mentorze! że się jedną wspieram
 Poćiecha, że dziś z toba, spokojnie umieram.
 On rzecze: Męstwo prawe, pomoc sobie znaydzie.
 Nie dosyć, bydź gotowym na śmierć, kiedy zaydzie.
 Trzebą sił przeciwko niecy, bez boiaźni dobyć.
 Y zaraz mi śiekiera, każe z sobą robić.
 Nie trącąc na ląmentach, tak drogiego czasu,
 Utniemy dwie ławice, dla pływania wczasu.
 A potem, maszt skrecony dotniemy u dołu,
 Dźwigniem go, y zepchniemy na wodę, pospołu.
 To zrobiwszy, w śródziadłych, rzuci się bałwanów.
 Mnie woła po Imieniu, Sam po wierzch taranów,
 Znosi się tak spokojnie, iak gdy wielkie drzewo,
 Wicher trzęsie okrutny, to w prawo, to w lewo,
 A nie może go wzruszyć, procz cienkiey gálazki:
 Tak y Mentor, gdy siedzi na tey deszczce wązkiej:
 Zda się rzadzić wiatrami, wałom rozkazywać,
 A mnie każe do siebie wskoczyć, y przybywać.
 Czynie to, y słucham go, widząc odważnego,
 Ale ięszcze, co większa, cicho spokojnego.
 Wskoczyłem. A ktożby też, za takim nie wskoczył?
 Gdyby takiey odwagi, wizerunek zoczył.
 Na maszcie pływaiacym, bezpiecznie siadamy,
 Y wielką pomoc z niego, y pośilek mamy,
 Bośmy na nim siedzieli. A kiedyby przyшло
 Ustawnie pływać, toby pewnie się nie wyszło.
 Często burza, tym wielkim drzewem, obracała.
 Pod czas nas, do samego aż dna, pograżała.
 Słona woda, y nozdrza z gęba, napawiała.
 Tośmy z nią wojowali, wierzch masztu łapała,
 To zaś bałwan, iak Gora, dziwnie nas okrywa,
 Z ktorey każdy, iak może, przedko się dobywa,
 Aby nam maszt nie uciekł, nadzieia iedyna.
 A Mentor, y w tym stanie strasznym, tak poczyną
 Do mnie mówić: Kładzieszże ty? że nasze życie!
 Na wiatrow dyskretyj! y Morza kredyćie,
 Zawisło? Y bez woli że Bogow zginiemy?
 Nie tak. Boska to sprawa, na Morzu y ziemi.
 Y przeto, Ich się nam bać, a nie Morza trzeba.
 Choćbyś na dnie był! to ci łowisz, rękę z Nieba,

Podać może. Iako też; choć Olimpu wyży
 Usiedzisz, y po wierzch gwiazd? Tenże cie unży.
 Tych dyskursow Mentora, ia z dziwem słuchałem,
 Lecz, nic na tym powozie, nie odpowiadałem.
 W ciemności nocney, ieden nie widział drugiego.
 Drząc te noc przebyliśmy, od zimną frogiego.
 W puł umarli z fatygi, sami nie wiedzący,
 Gdzie nas flaga zanieśie. Aż też wichur dacy,
 Ustawać z wolna poczał, y tak sie nam zdalo,
 Ze Morze rozruchane, tak właśnie ryczało,
 Jáko człowiek, po długim, zmordowany gniewie,
 Odpoczywa ieczacy, y co robić nie wie.
 Z mnieyszyły sie bálwany, już ná kształt zagoná;
 Dopiero wrotá złote, jutrenká czerwona,
 Kiedy Słońcu orworzy, dzień ná świat ogłosi,
 Ogień zarzy ná wschodzie, y gwiazdy poznośi.
 Uyrzem ziemię z daleká; ku niey nas wiátr pędzi,
 Powraca sie nádzieciá. Ale mie to swedzi,
 Ze żadnego kompana, nie widzę z pogromu;
 Znać zleknionym nie przyszło, radzić z nich nikomu.
 Gdyśmy sie już ku ziemi, szczęśliwie zbliżáli,
 Fale nas ná skał wierzchy, z impetem wracały.
 O ktoreby sie rozbić, przyszło nie odwłucznie,
 Aleśmy obracáli mászt, ku skałom sztucznie.
 Másztem Mentor kierował, iáko sternik Nawa,
 Z prezencya rozumu, z sercá dobra spráwa.
 Odepchnawszy od strážnych przepásći skáliстых,
 Nieśie nas samo Morze, do brzegow piasczyстых.
 Rowny miálki grunt, noga tykamy, w puł żywi.
 Wychodziem ná twa Wyspa, Bogini! szczęśliwi.
 Támeś nas o Kálipso / naypierwey widziála,
 Y iáskáwie, z tey toni zley, przygárnać chciála.

Gdy Telemak zákończył swoy dyskurs tak długi:
 Páni, oczy wlepione wení miála, y slugi.
 Nymfy poyzrza po sobie, y rzeka po chwili:
 Cosz to zá ludzić? Bogom sa wielkim tak mili!
 Czy słychánesz to rzeczy? ktore nam nápráwił!
 Dálekoć to nád Oycá, Syn sie swego wślawił.
 Wymowá, mądrość, méstwo, Oycowskie przechodzi,
 Ledwoć to, że iest człekiem, wierzyć sie nam godzi.

Co za miną? uroda? co za wdziek w skromności!
 Co za wielkość przymiotow w nim! przy wspaniałości.
 Gdyby się nie powiedział, wziąć by go potrzebą,
 Za Phebusa, Merkurá, álbo kogo z Niebá.
 Ale coż zaś ten Mentor? prostaczkiem bydz̄ zda się!
 Lecz kiedy nasze oczy, z bliská soba pásie?
 Coś się w nim nádludzkiego, w godności znáyuie.
 Kalipso tym dyskursom, uchá nádstáwuie,
 Mielza się samá w sobie, á pokryć to chciała,
 Więc oczy, z Telemaká, w Mentorá rzucála.
 To chce, w dálsze powieści Telemaka, w padác,
 To mu znowu, przerwaniem swoim, nie da gadać;
 Ná koniec się porwála nagle, w las Mirtowy.
 Y wzięła Telemaka, ná examen nowy.
 Tam go męczy: Ieżeli Mentor w tej postaci,
 Nie iest Bostwem? Ná co jey Telemak tak pláci,
 Jak sam wie. Bo Minerwa, kiedy na się brała
 Figure Mentorowá, utáić się chciała.
 Nie ufaiac młodości, swojego Rycerza!
 Sekretu, że Boginia iest, mu nie powierza.
 W złych przypadkach go Oná, probowác myśliła.
 Gdyby wiedział Telemak, że Minerwa była?
 Nie strzegłby się złych razow, raczyby biegł na nie,
 Wiedzac że ta Bogini, ma o nim staranie.
 Nie miał w głowie, by Mentor był Minerwá kiedy,
 Y darmo go, Kalipso wodziła, na zwiedy.
 Tym czasem do Mentora, Nymfy wraz się zbiegły,
 Zadaiąc mu pytania. Na co człowiek biegły,
 Umiał im odpowiedzieć. Ta o drodze pyta
 Etyopskiey? Ta, co iest z Damaszku? zaś chwyta.
 Ta znowu, ieżeli znał, przed ruiná Troi,
 Uliissesa? Ták iáko, káżdey z nich się roi.
 Z prosta, krotko, lecz wdzięcznie, káżdey odpowiada.
 Te dyskursy nie trwały, bo Kalipso w pada,
 Bierze z sobá Mentora, iák ná nowe zwiadki,
 (Nymfy się bawia pieśnią, y zbieráia kwiatki.)
 Słodki, sen wapor mżacy, ták letko nie spada,
 Ná zmruzone już oczy; ják słowá co gada
 Kalipso do Mentora: Co iest pochlebnego!
 Wraz záżywa, ná sercá omamienie iego.

Ale ząwfsze poczułá, że cóś odtracáło,
 Y czarownym iey słowom, uwieźć ſie nie dáło;
 Jáć skálá obćieſana, ſkrywſzy w chmurách czoło,
 Zartuie ſobie z wiatrów, które dma ná koło;
 Táć Mentor nie wzruſzony, w mądrym przedſiewzięciu,
 Dáć gadać Kálipſie, iákoby dziećięciu.
 Pod czas poda nádzieie, że ſie cóś wybáda,
 Lecz gdy już chce, náſycić ciekawość! Upada
 Wſzyſtko rázem, przez krotká odpowiedź Mentora,
 Ktorá ſie ſkroćić muſi, tá Bogini ſkora.
 Y táć, nie nie zwiedziawſzy, czego duſznie chćiałá:
 To raz Telemakowi, ſztucznie podchlebiálá;
 To go już od Mentora oderwáć myſliłá,
 To ſwych Nymf náypieknicyſzych, urody zázylá,
 Ná ſercá zniewolenie Telemaka. Ná có,
 Mocnicyſza já Bogini, ſwá poſiła práca,
 To ieſt Wenus. Ktorá ſie nie chceć uſpokoić,
 Zá wzgárdę, Telemaka chce pomſtá nápoić.
 Widzac, że ich báłwany nie pozárily Morskie,
 Umyſliłá ich zgubić, przez zaloty Dworskie:
 W przód idzie do Jowifzá, y gorzko ſie kwili,
 Ze tych dwóch, wały Morskie, ná dnie nie powily.
 Jowifz nie chceć ley odkryć, że Minerwy ſily.
 Telemaka, w poſtáći Mentora, zbáwily,
 Z uſmiechem, pozwala ley pomſty, z tych dwóch ludzi.
 A oná nowe jády, w ſercu ſwoim budzi.
 Y wypada z Olimpu. Ofiar zápomina,
 Ołtarzow ſwych Cypryſkich. A leći do Syná.
 Ciagna iá wſzlách gołębie, miłym zálem krasi
 Twarz, y táć mowi: (záfſze ſliczna, choć ſie kwáſi)
 O Synu! Widziſz tych dwóch, ktorzy moia moca,
 Y twoia gárdza obá? y náſ dziwnie ſzpoca.
 Kto náſ potym czóć zechce! gdy ſie tym przepieczę!
 Poſtrzel ich, niech z nich záden, twych ſtrzał nie ućieczę,
 Widziſz Wyſpę, gdzie mieſzka Kalipſo Bogini.
 Idźmyſz z nią ſie rozmowić. Co Kupidyn czyni,
 Syn poſлуſzny. A Oná, ná obłok z nim wſiada,
 Do ſiedzacey nád zrzodłem Kalipſy, przypada.
 Nieſzczeſliwa Bogini (rzecze) ow niewdzięczny
 Uliffſ, toba wzgárdził. Toż Telemak wdzięczny

Gotu-

Gotuieć sam, nąd Oycá bárdziey zátwardziáły.
 Ale miłość w osobie, moy Syn, z swemi strzaly,
 Ná pomstę ci przybywa. Iac go zostawuie,
 Niechay miedzy Nymfami twemi, biesiaduie.
 Telemak go obaczy, iák dziecie zwyczajne,
 Nie bedzie sie mógł strzedz go. Lecz potym, nie táyne
 Siły iego, mu beda. Y to wymowiwszy,
 Wsiadłá w obłok, y leci zápach zostawiwszy.
 Weźmie w ręce Kalipso, Dziecię Kupida;
 Lecz choć Bogini, tak jey, ognio w sercu przyda,
 Ze nayblizszey swey Nymfie, Eucharis názwaney,
 Odda go, máiac dosyc w łobie, z ognia rány.
 O iák potym Kalipso, nie raz zálowála!
 Ze go Nymfie Eucharis, choć ná moment dáła.
 Z rázu nie sie szczerzego, nie niewinnieyszego,
 Nád to Dziecie nie zdało, y nie wdzięcznieyszego.
 Wigrázkách swych pochlebny, ná roskosz zrodzony,
 Zdał sie bydz. Lecz gdy postrzegł umysł opuśczoney,
 Obrocił swe pieszczoty, tak zaráz w trucizny,
 Ze poczuł człowiek ráne, choć nie widział blizny:
 Złośliwy, tylko głaskał, ná iedyną zdráde,
 Y śmiał sie, kiedy z meka, zádał ludziom zwáde.
 Do iednego Mentorá, nie śmiał y przystąpić,
 Bał sie, czuł ze go zranić nie mógł, ni dostąpić
 Zwycięstwá. Ale Nymfy, ktore z nim igrały,
 Predko ogień, zdrádnego Dziecięcia, poznały,
 Lubo go mocno kryły. Telemak gdy widzi
 Dziecie, we grze z Nymfami, wziąć sie go nie wstydzi,
 Uwiedziony pięknością skromną, ná koláná
 Bierze go, y całuje. Lecz go skryta ráná,
 Y iákás niespokoyność, bierze nie poieta,
 Im gra z nim, nie winnieysza, tym bárdziey záwzięta,
 Olpáłość w nim, y miętkość pánuie, z tesknota.
 Czy uważasz Mentorze! [pry] uroda z cnota.
 Tych tu Nymf! y iáká w nich, z owemi roznicá!
 Co w Cyprze były, oczu niewstydných y licá!
 Ale te nieśmiertelne, y czytte urody,
 Skromnością, swe niewinne, farbuiá jágody.
 A to mowiac záwstydzon, sam sie záczerwienił,
 Y przyczyny nie wiedząc, sam sie w sobie mienił.

Chciał mowić nie domawiał. Często iakaś słowá,
 Przerwana, nie poista, y bezsensna mowá.
 Mentor mu rzecze: W Cyprze, twe niebespieczeństwo.
 Ná twa cnota iest mnieysze; łatwiey z nich zwycięstwo.
 Mogłeś mieć, nizeli z tych, ktorych się nie strzezysz.
 Grzech gruby wstret nam czyni, łatwo mu zabieżyysz.
 Ná niewstyd bestyálski, horror się w nas rodzi.
 Urodę zaś wstydliwą, że się kochać godzi,
 Zdać się; y tym kochaniem, że posłubiasz cnoty;
 Lecz nieznacznie się w cielszkie zaprzatasz kłopoty.
 Ktore wtedy postrzezysz, gdy zbyt będzie trudno,
 Y gdy tak z possessyj, iak z skóńczenia nudno.
 Unikay Telemaku Nymf, co tak dyskretné,
 Zdądząć się bydź, á ná twą zdradę umiejetné.
 Strzeż się twoiey młodości. Lecz tego Dzieciściá,
 (Jest to miłość, co Wenus, ze swego zawzięcia,
 Tu wniosła) strzeż się bárdziej. Tá dziećciná płocha,
 Postrzelilá Kalipsę, że ciebie już kocha.
 Nie przepuścił y Nymfom. Y ty sam goreiesz,
 Młodzienięcze niešťczęśliwy, choć się ná to śmieciesz.
 Telemak już zrażony, mocą ognia tego,
 Mentorowi odpowie, cále co inszego.
 Raz mowi: A czemużby? w tey Wyspie nie zostać!
 Potym: Uliss nie żyje, kiedy o nim, dostać
 Wiádomości nie można. Ná koniec dokłáda:
 Moiś Mátká, nie máiac Oycá, będzie rádá,
 Poyść zá Gáchá ktorego. Sam iá przyniewoli,
 Jey Oćiec Ikar, choćby nie chciałá powoli.
 Y iá z inszym iá Meżem, mam widzieć w Itaku?
 Ty będziesz, ná Oycyznę pátrzył, Telemaku?
 Już gdzieś nas zapomnieli! y z Oycem Poddáni
 Chybá po śmierć, y po wstyd, w te śpieszyć odchłáni.
 Owoż státek twych ślepych pássyi! Mentor [rzecze]
 Ták wymyśla rácyé, kogo miłość wściecze.
 To, co sprzyia miłości, łatwo się wymyśli,
 A co icy nie póbłáza, to potepiáć myśli.
 Dowcipnymes ná swoje, został oszukánie,
 Y zgryżienia sumnienia, ná pohámowanie.
 Tákżes predkto zapomniá! co dla cie Bogowie
 Czynili? Y Oyezyzny swoiey, nie masz w głowie:
Iákos

Jakoś wyszedł z Sykulskiej, Egipskiej niewoli?
 Jakoś się do szczęśliwej, swojej wrócił woli!
 Jak ręką nie znająca zbawiła cię w Tyrze!
 Kto wie? co ci gotuje! Lecz na coż się szerze!
 Już się stał niegodnym. Y ja też precz iąde.
 Y wynieść z tej fatalnej Wyspy, znayde radę.
 Odrodny Synu, Oycą, mądrze wspianiałego,
 Wiedź żywot, w poszrod niewiały, bez honoru cnego.
 Czyni Bogom na przekór, y torem odrodnym,
 Czyni, co Ociec rozumiał, bydź siebie niegodnym.

Te słowa, pełne wzgardy, Telemaką bodły.
 Do żalu, y do wstydu, troche go przywiodły.
 Bał się gniewu Mentorą, a bardziej odiązdu.
 Ale że się nie ustrzegł, w serce swoje wiązdu,
 Rodzący się pasłyj, ktorey nie uznawał,
 Y co robił nie wiedział, ni sam się poznawał.
 Z płaczem mowi: Mentorze! coż mię twa myśl wini!
 Za nic masz nieśmiertelność, którą mi Bogini
 Ofiaruje! Tak, za nic, (Mentor odpowiada)
 Cokolwiek przeciw cności, wszystko to jest zdradą,
 Y przeciw woli Bogow. Do Ojczyzny cnotą
 Woła cię, y Rodziców twych widzieć, ohotą.
 Chuciom ślepym poddać się, cnotą ci zabrania.
 Bogowie, coś ich doznał, w nieszczęściach, stąrania,
 Jednakowa, z twym Oycem, sławę ci gotują,
 Abyś wyszedł z tej Wyspy, iawnieć rozkazuia.
 Jedną miłość, ow Tyran, trzyma cię okrutny,
 Jego słuchać, przeciw nim, jest excess wierutny.
 Na coż ci, nieśmiertelny ten się żywot przyda,
 Gdy bez sławy! Tym gorzsa, iż bez końca bieda.
 Na to mu odpowiadał Telemak, z wzdychaniem:
 Życzylby już, by go z tad, swym wyrwał stąranie;
 A drugi raz by życzył: żeby już odiechał,
 Y surowej przyiaźni, z opieką zaniechał.
 Tak się sobie przeciwne, w nim zpychały chęci,
 Zadnej niemałz statecznej, w sercu, y pamięci.
 Jak morze poburzone, wre zewszad wiatrami.
 Tak y on; to raz leży, nad Morza brzegami,
 To w las ciemny ucieka, a lzy gorzkie toczy,
 To z niego, iak lew rycząc, okrutny wyskoczy.

Wysecht, y oczy mu w głąb, daleko zapadły,
 Jak zbity, opuszczony, zamyślon, wyblądły.
 Nigdyby go nie poznał, ni rzekł Telemakiem.
 Y urodą przepadła, stał się mizerakiem.
 Wesołość ustąpiła, nie masz piękney miny,
 Niknął w oczach mizernie; na kształt tej kwiecinny,
 Która zraną, zapachem cudna, y kolorem,
 Ale uschnie y wiedznie, nad samym wieczorem.
 Tak y Telemak wywiadł, iak suche rogoże. >
 Co widząc Mentor: że się już odiać nie może,
 Gwałtowney swej miłości; mądrze przed się bierze:
 Uczynić podeyzzrzanym, w Kálipsy go wierze.
 Postrzegł, że Telemaká Kálipso kochała.
 A że Nymfa Eucharis, iego serce miała.
 Bo Kupidyn okrutny, dla tym większey rany,
 Sprawił, że tej nie kochał, co od niey kochany.
 Dla tego Mentor, zazdrość wzniecić postanowił:
 W Kálipsie nie kochaney, y tak ją w niey wznowił:
 Eucharis Telemaka zaprasza na łowy.
 Mentor rzeknie Kálipsie: Cóż to za dziw nowy?
 Ze Telemak, co przed tym, nie znał polowania,
 Już inszego nad łowy, nie ma spodobania.
 Wszystkie rzuca roskoszy, za tą tylko bieży,
 Już zdziczał w borach ciemnych, y po skalach leży.
 Czy nie ty to Bogini? zmieniłaś w nim duszę!
 Kálipso pełna jadu rzecze: przyznać muszę,
 Ze Telemak twoy inszy. Ten co krotosiła
 Gárdził w Cyprze, (o iak się ludzkie zdania mylą)
 Jedney Nymfy urodzie, odiać się, dość mierney,
 Nie może. A iakosz się tej sławie niezmierney,
 Bedzić chciało nam wierzyć? Y iak się pochlubi
 Meznemi akcymy? Ten co tylko lubi
 Miętkie życie prowadzić, między niewiastami?
 Mentor z gustem zważywszy, tę zazdrość z żalami,
 Iako serce Kálipsie, wywrociła z gruntu,
 Wiecey nie rzekł. (zadawszy dość iey sercu buntu)
 Tylko iey twarz żalosa, z westchnieniem pokazał,
 Aby ją od ufności swoiey, nie odrażał.
 Iakoż wskorał, bo mu się skarzyła ustawnie,
 Y już często płakała biedna, przed nim jawnie.

Te łowy, o których ja Mentor przestrzegł wcześniej,
Do wściekłego ja gniewu przywiodły, docześnie.
Odkryli iey szpiegowie, co się na nich działo:
Jak Telemak z drugimi, konwersował mało,
Iako się im wykradał, w krzewiny y chepty,
Na miłosne weyZRzenia, y zalotne szepty,
Z swoją Nymfą Eucharis. nawet się gotuje,
Na drugie łowy. które Kalipso tym psuie,
Ze samą chce być na nich. A potym zaś razem,
Wybuchnie gniew, y niechce więcej już bić płazem,
Lecz iakby wstyd y cnotą, z duszy iey uciekła,
Ták rzecze: A także to? (załadła y wściekła)
Ták młody lekkomyślnie! w moje Wyspę wchodziś!
Y pomsty słuszney Bogów, z Neptunem uchodziś!
W Wyspę ludziom śmiertelnym, do tych czas zamkniętą,
Abyś ma gardził mocą! y miłością wziętą?
Która mam do cie. O was! cne Olimpu Bogi!
Y straszny Styxie, wzywam wálzey pomsty frogiey.
Pokarźcie tego zdraycę, wraz y bezbożniká,
A twárdszego nád Oycá, winney niewdzięczniká;
Bodayżeś cięższe cierpiał, niż twoy Ociec moki!
Dłuższe y okrutniejszy, z Bogów słuszney ręki.
Byś Oyczyzny nie widział, Itaku biednego,
Nád moje nieśmiertelność, u ciebie droższego.
A raczey, bodajes go widział! lecz tonacy.
Y inszego pogrzebu, nád ten, nie máiacy.
A ja żebym łwe oczy, tym nápásła chciwe!
Ze sępy zrzcć tve będa ściérwo, niefzcześliwe.
Niech to widzi kochánká, co z nią biegasz wśzędzie,
Twojá śmierć, á iey láment, moim szczęściem będzie.

To mowiac, ze wścieklemi, Kálipso oczymá,
Których ná iednym mieyscu, w bieganiu nie trzyma,
Jágody się iey trzęsa, czarne pláty chodza,
Co moment, insze ná twarz farby, się wywodza,
Raz czerwone, drugi raz bládość, iák śmiertelna,
Ukrywa-ia. rzekłby, że śmierć przyszła rzetelna.
Náwet łzy, iako przed tym, obficie nie płyną,
Y z iádu zbyt suchego, schną w oczách, y gina.
Przerwane słowá, iák myśl, y głos iey chrapliwy.
Mentor zważył ten wśzystek, iey stan niefzcześliwy.

A zaś do Telemaka, y wiecicy nie gada,
 Sadzi go takim, że mu nie pomoże rada.
 Jako wiec na chorego, co go odstępiono,
 Patrzył z ulitowaniem, z łaską nie zmyślona,
 Y Telemak czuł także, iak był siłą winian,
 Jak niegodny przyiaźni, która mu powinien,
 Nie śmiał mu w oczy patrzeć. A samo milczenie
 Mentora, było iemu, większe potępienie.
 Pod czas, chciał go za szyję, serdecznie uchwycić,
 Wyznać grzech, y prosić go, by go chciał uleczyć.
 Lecz go wstyd nie potrzebny, od tego wstrzymuie,
 A po tym, tak się przedko uleczyć, żałuje,
 Słodkie niebeśpieczeństwo, w miłości się zdało.
 Ani się go zwyciężyć, tak przedko mu chciało.
 Bogowie y Boginie, Olimpu gornego,
 Zeszli się cicho patrzeć, co też będzie z tego!
 Na Wysp Kalipsy, wszyscy obroćili, oczy.
 Jak Kupidyn z Minerwa, pojedynk toczy.
 Ten zapalił, a ta zaś zelowyą gaśi,
 Y co miłość osłodzi, to zazdrość pokwaśi.
 Iowisz, lubo bez niego, nic się nie obędzie,
 Przysiękł, że się nie mieszać, tylko patrzeć będzie.
 A tym czasem, Eucharis, szczegulnie pilnuie,
 Utrzymać Telemaka. Tyśiac sztuk gotuie,
 Na wieży jego. W drugie, woła polowanie.
 Stroi się iak Dyana wymusniona na nie,
 Wenera z Kupidynem, piękna przez się, stroi.
 Tak, że przy niej Kalipso, już za nic nie stoi.
 Poyrzy na nią Kalipso, złośliwie, z daleką,
 Wczystym się przezyrzy zrzodle, y z wstydem ucieka,
 W głąb swej groty, kiedy się zaiadła zamyka,
 Tak z sobą samą gada; y w ten sens narzeka:
 Y takci! tych kochankow, nie trąfie rozerwać!
 Ich uciech, y tych łowow, ja nie zdołam przerwać!
 Poydeli z niemi! To im, iak tryumfu dodam,
 Y w oczach Telemaká, pieknieylzey się poddam;
 Ieszcze ja bardzicy (na mnie patrzaiać) polubi!
 Niezczesna: moia własna reká, mnie zagubi!
 Nie tak. Otoż nie poyde. Nie poyda y oni.
 Zwołam sobie Mentora, Ten mnie w tym ochroni.

Kaze

Kaze mu Telemáká odwiedzić, do Itáku.
 Ale coż znowu mówisz! Iedziesz Telemáku?
 Co pocznę? Co ja robię? Wenus! Wenus dzika!
 Z swym zdrádnym miá prezentem, wiákieś wdála tyká.
 Stráśzne dziecie Kupido! jam ci otworzyła
 Serce, ábym szczęśliwą z Telemakiem żyła!
 A tyś wszedłszy w me serce, nápełnił go iády,
 Iuż ja Nymfom Bogini, nie moge dać rády.
 Y me Bóstwo, ná nic mi, cále się nie zdáło,
 Tylko żeby boleści, ách! wieczne cierpiáło.
 O! gdybym śmiercią mogła zakończyć me bole!
 Lecz gdy umrzeć nie moge, ciebie ja ząkolę,
 Niewdzięczny Telemaku. Pomólcze się sówicie.
 A Nymfa pátrzyć będzie ná twoie zabicie.
 Ale nie wiem co gadam? Bo nie wiem czy żyje?
 Ia człeká niewinnego, y tego zabije?
 Ktoregom w te przepáści, dobrowolnie wdála!
 Iam fatalná pochodnią, czystego zągrzała!
 Iaka cnotá, niewinność, w tym młodzieńcu była!
 Ktorá, roskosz nie wstydna, w nim ma obáliła!
 Trzebász było, truć serce iego, ták pocziwe!
 Cierp serce czegoś chciało, słusznie nieszczęśliwe.
 Odieżdżay Telemaku, przenoś się zá Morze.
 Zostaw mié bez pociechy, niech mié żal, iad porze.
 Ni życia ztrzymam, ni śmierć znayde nie użyta.
 Zostaw w desperácii mié, wstydem okryta.
 Ták samá w swoiey grocie, gdy lámentowała,
 Alić rázem z impetem, z támtad wyleciała.
 Gdzieżes iest o Mentorze? Mentorze! tákże ty?
 Wstrzymuiesz Telemáká, od lubey ponety!
 On w miłości upada, á ty spisz leniwy!
 Nie mogeć tey gnuśności zcierpieć. Nieżyczliwy!
 Tákli będziesz, ná iego dyshonor spokojnie
 Pátrzał? Y iego cnota, ták száfował hoynie?
 Ia, choć mi nic do niego, uleczyć go szukam,
 A ty race záłożysz, gdy do niego pukam?
 Widzisz ten lás, są wiego góbinie Topole,
 Z nich Uliss zrobił Okret, [lubo ná me bole]
 Blisko nich iest jáskinia, w ktorey instrumentu,
 Nie zbywa; do fabryki, wczesnego okretu.

Ledwo to wymowił, aż tego żaluie.
 Ale Mentor nie traci czasu. Y znayduie
 Instrumenta w jaskini. Niemi drzewo wali,
 W jeden dzień Okret stawia, y na wodę zwali.
 A jeśli tey robocie kto, prędkiey nie wierzy?
 Niechże wprzód moc Minerwy, y dowcip icy zmierzy.
 Kalipso nie wiedziała, iako się rozdzielić,
 Tu Mentota przeszkodzić, tu się uspokoić
 Nie może w polowaniu; y zostawić parę?
 A raczey ich miłości, dać z siebie ofiarę.
 Co poyrzy, gdzie ow Mentor, młotem srogim bije,
 To oczy wraca, jeśli Telemak nie szyje,
 Oczyma do Eucharis. Rzekę owo zgoła:
 Tam strach uszy, a tu zaś zazdrość oczy woła.
 Eucharis, Telemaka, zartem zaczepiała:
 Wyjechałeś na łowy (rzecz to jest nie mała)
 Bez Mentora, iakoś się nie bał o nieboże!
 Już też nic surowszego, znaleźć się nie może.
 Mentor się nieprzyjaznym, szczyćci bydź roskoszy.
 Y na nayniewinnieysze rzeczy, się kokoszy.
 Pokiś się sobą rządzić, rozumnie nie umiał.
 Ześ go słuchał, temu się żaden nie zadumiał;
 Lecz teraz, dawszy próby rozumu! A przecie
 Daiesz mu się powodzić, iak niemowlę dziecię!
 Te słowa Telemaka, sztuczne przerażyły.
 Y już mu jarzmo ciężkie, y Mentor nie miły.
 Nic nie rzekł swey Eucharis. Na koniec też łowy
 Skończyły się wieczorem, w zawadzie surowey.
 Razem z Kalipsą, wyszli z lasa, tam gdzie robił
 Mentor Okret, który już y spoił y pobił.
 Co gdy ujrzy Kalipso, pot na nią uderzy
 Cmi się icy w oczach; widząc, ledwie sobie wierzy.
 Aż się na jedną Nymfę, mdlejąc potoczyła,
 Eucharis z ręką do niey, lecz ją odrzuciła.
 Z strasznym na nią weyzrzeniem. Telemak gdy widzi
 Ten Okret, pyta czyi to? Bogini się biedzi,
 Aż pomyśliwszy (rzecze) jam to go kazała
 Zrobić, abym Mentora, na nim odesłała.
 Już się ten tak surowy Przyjaciel, nie będzie
 Przeciwił twemu szczęściu, iako czyni wszędzie.

Bo on

Bo on, nieśmiertelności, zazdrościł ci zgoła.
 Jąko? Mentor mię rzuca? [Telemak zawała]
 Przepadłem! O Eucharis! Jeśli mię porzuci!
 Nie gózieindziey Telemak, pewnie się obruci,
 Tylko Nymfo do ciebie. Te mu się wyrwały,
 Niewolnemu z ust słowa, iak w sercu siedziały.
 Postrzegł się on, że wyrzekł to, na zbyt otwarcie.
 Lecz mu miłość, na iszyk uśiadła uparcie.
 Wszyscy się tym zdumieli. Eucharis rumieńcem,
 Pokazała, że się tym nie brzydziła wienćcem.
 Kryje się za drugiem, ciesz się y boi,
 Serce karmi radością, a wstydem twarz stroi.
 Telemak w tym, co wyrzekł, sam się nie poymował.
 Ledwo wierzył, że mowy swej nie uhamował.
 Jakby we śnie był, ale we śnie pomięszanym.
 A Kalipso iak lwicą, z iadem nie slychanym,
 Kiedy icy szczenie porwał tak skoczyła w ląsy,
 Z ust icy bija pioruny, a z oczu karkąsy.
 Przypada do swej groty, stał Mentor przed którą:
 Wyidźcie z Wyspy mey krzyknie, (ciemna iadu chmura)
 Wy ktorzyście moy pokoy, tu wywracać przyszli,
 Y spokoyne, szaleństwem zarázili, myśli.
 Precz z tad młody szaleńcze, y nie mądry Stárcze,
 Pokazęć co gniew umie? y samąć wystárcze.
 Uznasz impet Bogini! Jeśli nie oddalisz
 Z tad go zaráz! na głowę swą, pomstę obálisz.
 Nie chcę go więcej widzieć, ani z my. h Nymfzadna.
 A dopieroż ta moiá wdzięczniusią, tak ładna.
 Przysięgam na Styx wodę, przysięga co same
 Bogi, na nią drżęć musza, y ktorey nie złame.
 Ale wiedz Telemaku: że się nie skończyły
 Twe biedy. Gdy z tad wyidziesz, nowe wezma siły.
 Gotuie Ci się pomstá. Bedziesz ty żáłował.
 Kalipsy (ale dármo) już ci nágotował
 Neptun, ieszcze ná Oycá, z dawná zágnięwany,
 A teraz od Wenery, też prózba zágrzany,
 Nowe burze. Obaczysz ci Oycá żywego,
 Ale tobie, ni ciebie iemu, znaiomego,
 Doydziesz ci go ty kiedyś, w mizernym Itaku.
 Ale ha! Co záżyiesz w przod, bied Telemaku!

Z

Ach

Ach! was mocy Niebieskie, o pomstę ząklinam;
 U was się łez, y żalów gorzkich, upominam.
 Sprawćiesz, áby on ząwiśł, ná wierzchołku skály,
 Piorunem osmalony, zá swoy grzech zuchwały.
 Aby wzywał Kalipsy, która karmi złością,
 Ták ja meka nákarmił swą, á iej radością.

Te uśtá mówia słowá. A ząś serce szepce
 Co inszego, y wznosi toż samo, co depce
 Tu dopiero wygánia, tu chce zątrzymywáć.
 Niech żyje, niech zostánie, ná cosz się go zbywáć.
 Podobno też ná koniec, co cierpie, poczuć!
 Wszak Eucharis mu nie da, co ja mu gotuję.
 Aleś się o Kalipso, zbyt ślepa, ząbiłá.
 Y przysięga związáłá, któraś uczyniła.
 Wspomniáne Styxu wody, nie dáć nádzieie;
 Aleć ich nikt nie słyszał; Ták się roźnie chwicie.
 A furye w łey twarzy błyszczą jądowite,
 Płomienie zewnątrz, Kocyt wybuchá, ząkryte.

Telemak się jej ząlakł. Co oná postrzegłá.
 Bo zbyt byłá w miłości, y zazdrości biegłá.
 Ten horror Telemaka, gniew Kalipsy mnożył,
 Już się z myśli y z serca, wstyd łey cále złożył.
 Poćisk w rękę porwawszy, w łás wypadá razem,
 Ná Nymfy woła, grożąc, że przebić żelázem,
 Ktoraby się zostáłá. One ząstrácháne,
 Biega kupa zá Pánia, ta groźba z hukáne.
 Y Eucharis ją ściga, kąpiąc we łzách oczy.
 Gdy słów nie śmie, poyzrzenie w Telemaka toczy.
 Uyrzawszy ją Bogini, zębámi zgrzytnęłá.
 Ani się jej ukłonem, by najmniey uiełá.
 Raczy, nowym się iádem, pátrzac ząpalilá,
 Że ją był żal okráśił, y ślicznieysza byłá.

Telemak ząś z Mentorem, sam ieden zostáć,
 Nie śmie mu woczy pátrzyć, do nog się udáć
 Łez strumienie wylewá. Chce mówić, nie może.
 Co má czynić? y co chce? sam nie wie. O Boże!
 [Przećie się umocniwszy] ták ciężko ząwołá:
 Mentorze, Przyjacielu, Ty moy Oycze zgołá!
 Uwólń mnie od tak ciężkich nieszczęść, znieś má trwogę,
 Ni cie opuścić, áni iść z tobą nie mogę.

Uwol-

Uwolnij moy kochany, od tego mię złego!
 Zábij mię, tak uwolnisz mnie, od mnie samego!
 Tu go Mentor oblápi, cieszy, animuie,
 Nie kaze glaskáć zádzy, czym się iednym truie.
 Synu cnego Ul.ffa, ktorego Bogowie
 Kocháli, y kocháia, y wopiecc zdrowie
 Twoie máia. Wiedz o tym: że to z ich miłości,
 Zesláne ná się cierpisz, te nieszczęśliwości.
 Kto się słabym nie poczuł, y mocy swych zádzy
 Nie wycierpiał? Niech ieszcze, madrym się nie sádzi,
 Bo się sam ieszcze niezna, y strzedz się nie umie
 Siebie, bo się na łobie nie zna, ni rozumie.
 Ciebie dobrzy Bogowie, iákoby zá rękę
 Sprowadzili nád przepásć, przez tak ciężką mekę.
 Ukázuia ci głębia, lecz ci wpásć nie dáia,
 Niechże teraz twe oczy, toż samo poznáia.
 Czegoby nie poznály, gdybyś sam nie zmacał.
 Darmoby ci miłości, kto zdrády wywracał.
 Jak glaszczę, by zgubiłá, y iák pod słodyczá,
 Gorzkościami nápawa, ktore wtobie ryczá,
 W śmiechách, we grze, w radości. To dziećcie zuchwale
 Przyszło, serceć porwáło, boś ty sam chc áł, cále.
 Sameś gułt miał, zátáić te, cóć zádáł rány,
 Sam sobie pochlebuiac, kryłś jad zádány.
 Nie bales się niczego. Pátrzayże ná skutek!
 Teraz biegasz iák wściekły, y ludzi odrzutek;
 Prágniesz śmierci, w tey iedney, nádżicie zákładasz!
 Coż na to mowisz synu? y co odpowiadasz?
 Kalipso do piekielney furyi podobna,
 Eucharis, nád śmierć, cierpi gorzey, twa nadobna.
 Wsyzłtkie Nymfy, z zazdrości, rádyby się zárły;
 Otofz się ná to, wdzieki miłości opárły.
 Wzbudź ieno wsyzłtkie męstwo; Zwaz iák cię kocháia
 Niebá? Gdyć do ućieczki, wrotá otwieráia.
 Od okrutney miłości, do miłey Oyczyzny,
 Tá ci szczęście podáie, á miłość truciźny.
 Okret nágotowálá Kalipso, y samá
 Wygánia cię, zazdrością upoiona Dámá.
 Czegosz bawisz, w tym mieyscu? z kad cnotá wygnána.
 Y w tym go Mentor ciągnie. On go zá koláná

Chwyta, y obziera sie, ustawnie za soba.
 Patrząc na swa Eucharis. Ta z wszytka ozdoba,
 Twarzy swoiey, niknie mu, y tylko iej włosy
 Widzieć może. Wzdychania szle, nie mogąc głosy.
 Ślad iej radby całował. Gdy ia z oczu strąci,
 Nádstawia uchą, iákby iej głos nie w postáci
 Usłyszał, odpowiada. Mentorá nie słucha.
 Ná koniec iákby ze snu, w te słowa wybucha:
 Nie odstąpić Mentorze. Ale nie pożegnał
 Swę Eucharis, iákbym ia niewdziecznie odegnał.
 Wolę umrzeć. Pozwólże (wszak nie szkodzi mowa).
 Niech ná wieczne zegnánie, te iej rzeka słowa:
 Nymfo! Bogi okrutne, y szczęścia zazdrośne,
 Kaza mi z tad odieżdżać, przez meki nieżnośne;
 Ale mi w przód w mym życiu, przez złą śmierć uszkodza,
 Niż cie kochać, y pomnieć ná wieki, przeszkodza.
 Mentorze! albo pozwól, te biedna poćiecha;
 Albo mnie zabić, y mieć w mey śmierci ućiecha.
 Wyrzekam sie tey Wyspy, y z serca miłości,
 Ale mi nie zabronisz, z przyjaźnia w dzieczności,
 W jednym słowku [zegnam cie]. Zaráz z tobą idę.
 Mentor rzeknie: Iák mi żal gdy uważać przyide,
 Twa ślepotę tym większą, że nie wiesz co nośisz.
 Zda ci sie bydz spokojna, a ty o śmierć prosisz.
 Smiesz mówić, że cie miłość iej, nie zwoiowała?
 A przecieć sie oderwać od niey, nie pozwala.
 Tak frenetyk, w goracze gada, nieszczęśliwy.
 Tyż sie to Penelopy, Mátki swę zyczliwej,
 Co cie czeka, wyrzekasz! y Oycá Uliffa!
 Ktorego widzieć, była poćiechą naywyższą.
 Wyrzekasz sie Itaku, w którym masz krolować!
 Y sławy, ná którą cie Bogi chcieli chować.
 Miałt tego, ci sie Nymfa, bez czci, podobála.
 Mówże teraz, że miłość cie nie zczarowała.
 Coż cie to tedy miesza? Czemu umrzeć żadasz?
 Oplakuje twą zgubę, ná którą pogladasz.
 Ućiekay Telemaku, Miłość coć cię mieszy,
 Tylko jedna ućieczka, ząwsz sie zwycięży.
 Prawdziwe męstwo, które śmierci sie nie boi,
 Temu adwersarzowi, plácu nie dostoi.

Przed

Przed nim, tylko uciekać, jest sławą z ozdoba,
 Ale tak prędko, żeby nie patrzyć za sobą.
 Jeżeli pomniysz z wdzięcznością: iakiem miał stąrania,
 Od dziecinstwa o tobie, rady y kochania?
 Ktoremim cię ratował; Albo mię posłuchay;
 Albo cierp; Ja cię rzucam, y ty mnie porzucay.
 Gdybyś wiedział, iak ciężko widzieć mi twe zguby?
 Serce moje [gdym milczał] w iakięś wprawił kluby?
 Mátká twojá cię rodząc, nie cierpiála tyło,
 Gdym patrzył na twe błędy, iak mi cięszko było.
 Rátuy serce, o Synu! moie, moy kochany,
 Przywroć mi me wnętrzości, którym daieśz rany.
 Przywroć mi Telemaká, któregoś ia zgubił,
 Y sobie sam się przywroć, któregoś tak lubił.
 Jeżeli mądrość, zwycięży mocną miłość, w tobie?
 Życ chce; Lecz jeżeli nie? Umrzeć życze sobie.
 Gdy Mentor to rozmawiał, brał się ku Morzowi,
 Telemak nie chciał sam iść, ale Mentorowi
 Prowadzić się pozwolił; y bez ociągania.
 Mentor, (á w nim Minerwa) Egidą zasłania,
 Y promieniem go Boskim, na koło okrywa,
 Z kad Telemak nowych sił, na niewstyd nabywa,
 W tym nowym stroju, wyszli na wierzch przykrey skały.
 [Ktore poobćiesane, nad Morzem wiślały.]
 O która bijąc fale, zawsze się pienily.
 Z tamtąd patrzą na Okret, co ręce zrobiły
 Cudne Mentora. (Ow cud prędkości wierutny.)
 Ale wnetże obaczá widok iego smutny:

Kupidyn żywo tkniety, że Mentor w tey mierze,
 Sam nań nie dba, y ieszcze Telemaka bierze.
 Aż płacze sam z żalości. Do Kalipsy idzie,
 W ciemny las, iá pocieszyć, y radzić w tey biedzie.
 Gdy go uyrzy, westchnęła, biła na nie siły,
 Czuie, że się w niej rany wszystkie odnowily.
 Jednak miłość tak do niej: Ty jesteś Bogini,
 A ieden ci śmiertelny, na przekorę czyni!
 W twoiey Wyspie jest więzien, na cóż mu pozwalasz
 Wynisć? Odpowie: Ba ty, czemu mię rozpalaśz?
 Nowym ogniem, nieszczęsny tyrannie miłości,
 Nie chce słuchać twej rady, ni znać życzliwości.

Tyś, z miłego pokoju, wyrwał moje dusze,
Wepchnąłeś w przepaść nieszczęść, w których ieczyć muszę.
Już się stało. Przez Styxu wody zem przysięgła,
Przysięga ta, Jowitza samego powściągła.
Telemak z moicy Wyspy, już zaraz wychodzi.
Wynidź y ty złe dziecko, które wiecey szkodzi,
Niżli mi sam Telemak. Miłość łzy oćiera
Kalipsie, tak jej mowi, y z śmiechem pożiera:
Nie masz się czym turbować Bogini prawdziwie.
Dotrzymaj twej przysięgi, pułszczay go szczęśliwie.
Lecz ia, y żadna Nymfa, Styxu nie wspomniała,
Nam go wolno zatrzymać, twa przysięga cała.
Ja poradzę twym Nymfom, aby, [co zrobiły
Dziwne rece Mentora,] ten Okret spaliły.
Dziwna była robota, lecz dziwnieysze będzie
Spalenie. Y Telemak, na wiek tu zaśiedzieć.

Tak pochlebne te słowa, radość y nadzieja
Pobudzaia w Kalipsie, Jak gdy Zefir wiecie,
Użaiane nad rzeczką, po gzie, chłodzi bydło;
Tak y serce Kalipsy, na moment ośtygło.
Poprawiły się oczy, y twarz wyjaśniała.
Myśl ciemna, biedne serce zobiaca, uśtała.
Rozśmiała się na miłość, przez poćiechy iawne.
A tym samym, gotuje sobie, troski dawne.
Kupidyn z swej porady kontent, od Bogini,
Idzie do Nymf, y taka imże rada czyni.
One się były błędne, po górach rozbiegły,
Jak gdy owce, przed wilkiem głodnym, w chaszczach legły.
Zbiera ie miłość, y tak do nich, z wdziękiem rzecze:
Telemak ieszcze w Wyspie; ani wam ućiecze,
Tylko się pośpieszaycie, Okret spalić cały,
Ktory Mentor, tak prędko zbudował, zuchwały.
Zaraz Nymfy do ognia kwąpią się, na zbrodnie,
Leca na brzeg, a w reku trzymają pochodnie.
Zgrzytają, ryczą wściekle, jak Bachnaty, włosy
Rozrzucaia, y pala. Płomień pod Niebiosy,
A Okret w popioł idzie, bo suchy y smolny.
Co gdy widzi Telemak, choć już był powolny,
Przecież ieszcze nie całę badac uleczony,
Cieszył się w duchu; y w te tam pożierał strony,
Gdzie Nymf krzyk, a zaś ogień wybuchał z Okretu.
Mentor widząc, że w sercu nie wygasł do szczeta,

Miłosny iego płomień. (Bo tylko pokryty,
 Zdradliwymi popioły) patrzy, że iak wryty
 Stanie, mówiąc: To znowu, mnie w wieża wnieść przyidzie!
 Y żaden z nas z tej Wyspy, nigdy nie wynidzie.
 Widdzac to (mowie) Mentor; że Telemak, marnie
 Wpádnie w wieży słabości, która go ogarnie,
 Nie chce tracić momentu; obaczy z daleka.
 Okret, [który nie śmiejąc wnieść w tę Wyspę, czeka,
 Bo każdy wiedział, że w tę Wyspę wnieść żadnemu,
 Kalipsy, się nie godzi nigdy, śmiertelnemu.
 Wtedy, nad samym brzegiem siedli, gdy on zoczył
 Okret, więc w Morze go pchnął, y sam za nim wskoczył.
 Telemak tak gwałtownie, będąc pchnięty w Morze,
 Nápił się słoney wody, y gdy słabo porze
 Wały Morskie, Mentor mu rękę w pomoc podał,
 On też chciał się oddalić, y już mu się oddał.
 Nymfy, co go już więziem swym, bydź rozumiály,
 (Pełnym głosem żalości) rzewnie zakrzyczáły,
 Nie mogąc już przeszkodzić ucieczki zwycięzkiey.
 Kalipso bez pociechy, na ten raz, tak ciężki,
 Zamyka się w swej Grocie, jako bydlę wycie.
 Kupidyn, swoją sprawę przegrana na szysie
 Widzac, w górę się wzbija skrzydłami, ucieka
 Do Idaliey, gdzie go Mátká gniewna czeka.
 A dziecię okrutniejszy, z nią się równo śmieie,
 Ze wzał y w płacz obrocił, roskoszy nádzieie.

Im się dąli Telemak od Wyspy oddalał,
 Tym szczęśliwy poznawał, iak dobrze ucalał.
 Meżna miłość do cnoty, w nim się odnawiała.
 Płynąc mówił: Doznáie, że to prawda trwała,
 Coś mi mówił Mentorze, y czegom ja doznáć.
 Nie mógł, aż doświadczeniem, przyszło mi to poznáć.
 Nie można złych nałogów zwyciężyć ináczy,
 Tylko jedna ucieczka, przy ochotney pracy.
 O! moy Oycze, którego Bogowie przysłáli,
 Ná moje życie, y mnie, za ratunek dáli.
 Godnym się, żebyś mie był odstąpił, bydź czuie,
 Już się Morza nie bois, wiatry postponuie,
 Ni inšey burzy, tylko która serce rodzi.
 Miłość jedna iest strážna, ktorey nikt nie zbrodzi.

TELEMAKA X I Ę G A C Z W A R T A.

SUMMARYUSZ KSIĘGI CZWARTEY.



Ommendánt Okretu tego widzac
dwoch ludzi płynących, wypráwu-
ie łodz po nich, która ich przypro-
wadza do niego, poznáią się wśzy-
scy; ten był Phenicyanin, y brát Narbala.
Ci, opowiadáią sobie swoje awantu-
ry. Telemak pyta się o Pigmalioná, y o
Astarbe. Nowe opisanie Pigmaliona, w u-
stáwnych suspicyách żyiacego, ktoremu nie
nie pomogły áffekty do Astarby, która go
zabiła, y samá potym się otrula. Ná osło-
dzenie tak strážney Historyi, Narbal Te-
lemakowi dáie muzykę, Mentor gra ná li-
rze, y śpiewa awanture, Narcyssa, y porá-
nienie Adonisá. Telemak się tym dele-
ktuie, ále boiac się poddać roskoszom, nie
chce

chce swey poćiechy pokazać. Z tad Men-
tor bierze okazy, tłumaczyć mu roźnie,
roskoszy fercá y umysłu. Obyczáie mie-
szkańców Betyki.

Wenus rogniewána, że Syn Ulissea idzie
do Itaku, wchodzi do zgromádenia Bo-
gow, skárzy się przed Jowiszem ná Tele-
maká, y prosi o zgubę iego. Jowisz odpo-
wiáda: że w Księgách wyrokow, nie ná-
pisano áby miał zginać, tylko że ma dłu-
go błądzić, nim do swego kráju przyidzie.
Zeby się do Neptuná udála rádzi, áby bu-
rze wzniecił, y błedow iego przedłużył;
Wenus idzie do Neptuná, ktory dla jey u-
podobánia wystáwuie Obłok, y Szyprowi
pokazuie zmyślony kray Itaku, do ktore-
go omylnie płyną. Poznawáia prędko fałsz,
y że do Kráju Salantynow przyptyneli.

TEn okret, ktory Mentor widział, skaczac z brzegu,
Y co ná wiátr czekáiac zátzymał się w biegu,
Był Pheniceński, á brał drogę do Epiru.
Gdy Mentor przebył Morze, bez wiosła y styru,
Podniosł głowę, y iák mógł głośno, wołać stánie:
O wy! wszystkim Narodom dobry Pheniczánie!
Daycie żywot dwóm ludziom, ktorzy go czekáia,
Z ręki waszey litośney, y tey się oddáia.
Jeśli was respekt Bogow tknie, litość nád námi.
Weźcie w swoy okret nas, my poydziem wszedzie z wámi.
Rzecz Stárszy z Okretu: przyimiemy was rádzi,
W nieszczęściu, nieznáiomych rátować, nie wádzi.
Y zaráz im, co było potrzeba, podáli,
Ná Okret ich przyimuiac, w gore windowáli.
W ktorym ledwo stánsli, y wskroś przemoczeni,
Y przez Morze płynacy, w siłách wymożeni,

Bb

Bez

Bez sił y tchu polegli. Aż powoli, siły
 Nábyli, która wały Morskie w nich zabiły.
 Suknie im dano świeże. A po odpocznieniu,
 Zbiegli się wszyscy pytać, o ich powodzeniu.
 Ten co rządził w Okręcie, w iaki sposób? pyta,
 Wniść mogli do tej Wyspy? która niedobyta
 Jest ludziom? Wszak Bogini tam jedná pánue
 Okrutna, co nikogo żywnie nie przyjmie.
 Do tego opasana skálami stráśznemi,
 Trudno się Okrętowi ucalić, przed niemi,
 Zeby się nie miał rozbć. Tak się nam też stało,
 (Rzecz Mentor) rozbićem wniść się tam dostało.
 Myśmy Grecy, y Itak jest Oyczyzná naszą,
 Bliskie Párstwo Epiru, dokąd drogá Wąsą.
 Y choćbyście nas, prosto w Itak, nie zawieźli,
 Dość, żebyście w lasiedzki Epir, nas dowieźli.
 Tam mały przewóz, pewnie kogo tam znajdziemy,
 A wam za rzecz najmilsza powinni będziemy.
 Iż swoich obaczemy. Tak Mentor rozmawiał,
 A Telemak stał za nim, ani się w rzecz wdawał.
 Bo błędy, które w Wyspie, gorę nad nim wzięły,
 Już przyczynić w nim większej mądrości poczęły.
 Już się sam strzegł, y widział, że mu náder trzeba,
 Słuchać rady Mentora, jak gdyby szła z Niebá.
 Y dla tego, gdy nie mógł o co pytać usty,
 Oczymá się go rądził, ná wszelkie dopuły.
 Kommandant Pheniceński, oczy swe stánowi
 W Telemaku, zda mu się, że go znał. Y mówi:
 Pozwol ábym cie spytał, iezli pámić twoią,
 Nie przywodzi mi tobie ná myśl, iáko moią
 Przypomina, zem kiedyś, znał cie; tak się widzi
 Twarz twoią mi znájoma, myśl się w sobie biedzi,
 Iż nie wiem kiedy. Ty sam, mey pomóż pámiści.
 Telemak rzecze wesoł; toż się samo kręci,
 W moiej myśli, co twoiej. Znam cie y widziałem,
 Czy w Egipcie? czy w Tyrze? tego zapomniałem.
 Dopiero Phenicyan (iák człowiek, co z ráná
 Ockniety, sen znikniony do pámiści zgánia)
 Razem głośno záwoła: tyś Telemak, miły
 Kompan Narbala, gdyśmy z Egiptu wrocili.

Jam iego Brát; á gdy sie Egypaska skończyła
 Tranfakcya, gdzie pierwsza nas znaiomość była,
 W rękę iegom zostawił ciebie, moy kochány.
 Sam do sławney Betyki, w drogę był posłány.
 Za wszystkie straszne Morza, Herkulá kolumny,
 Nie długom cie znał, o moy przyiacielu szumny.
 Znam y ja żeś Aduan, Telemak odpowi,
 Máłom cie widział; ále nie raz Narbalowi,
 Wspomnieć cie przychodziło. O iákie wesele!
 Słyszeć o przyiacielu /ktoremum tak wiele
 Powinien ieszcze w Tyrze. Czy nie cierpi czego,
 Táń od Pigmaliona, Tyranná dzikiego?
 Przerwał mowę Aduan: wiedz, że szczęście miałeś,
 Y w dobre Telemaku, ręce się dostałeś.
 Zawioze cie w sam Itak, nie bywszy w Epirze.
 Tak cie kocham iák Narbal, niech się z tym nie szerze.
 To rzekszy, postrzegł, że wiatr ktorego on czekał
 Tak długo, niż dobrego, w drogę się doczekał.
 Przeto zbiera kotwice, y żagle podnosi.
 Telemaká z Mentorem, do pokoju prosi.
 Y ná nich pátrząc obu, tak zaráz rospowie:
 Już nieżyw Pigmalion. słuszni, świat Bogowie:
 Uwolnili od niego. Jáko on nikomu
 Nie wierzył; tak y iemu nikt nie ufał w domu.
 Dobrzy, dość ná tym mieli, że tylko jeczeli
 Pod járzmem, lecz nic złego czynić mu nie chcieli.
 Ale zli, nie mogli bydz pewni, swego życia,
 Aż przez iego morderstwa, y frogie zabicia.
 Nie było Tyryczykom, áni dnia iednego,
 Aby przed suspicya, uniknał kto iego,
 Y warta. Ieszcze bárdziey, okrutnie ie trącił,
 Naymnieysze podeyzrzenie, śmiercią prędko plącił.
 Gubił wszystkich, dla iedney, beśpieczeństwa głowy,
 A nigdy go nie znalazł, przez strach, co raz nowy.
 Ci ktorzy w depozycie, iego życie mieli,
 Uprzedzić suspicye, śmiercią iego chcieli.
 Tá niezbożna Astarbe, ktoreys słyszał dziwy,
 Pierwsza dekret wydała, ná śmierć iego chciwy.
 Joazar, Tyryczyká iednego, kochała
 Tak szalenie, że ná Tron wystawić go chciała.

Czego myślać dokazać, w Krolá łatwo w mawia:
 Ze Syn iego Phadael ciche bunt y wznawia.
 Fałszywych ná to świádkow, ná prozbe zná yduie,
 Ze Krol nieszczęsny, Syná zabił, dokázuie.
 Drugiego Syná Balkzar, w Samos odesłano,
 Zeby się náuk Greckich uczył, pretext brano.
 Prawdziwie zaś, Astarbe ná Krolu wymogła,
 Zeby się Fámilicy Krolewskiej zbydź mogła.
 Ledwo wsiadł Balkzar w Okret, ci co prowadzili,
 Ták, iáko przekupieni od Astarby byli,
 Wrzucili go w głąb Morza, pod faworem nocy,
 Y káždy (iákby oket rozbito) z nim wskoczy.
 Onisz mieli łódź blisko, do ktorey plyneli,
 Ale iego prawdziwie utopić myśleli.
 W tym, amory Astarby, ták się rozgłosily,
 Ze Pigmalionowi, tylko tá yne, byly.
 On rozumiał, że Iego iedynego kocha.
 Ták go záwoiowála tá niewiásta płocha,
 Ze wízyt kim nie ufáiac, jey łzczegulnie wierzy.
 Swoia ślepa miłoscia, jey też miłosc mierzy.
 Ale rázem łákomstwo, serce mu poduszcza.
 Ná złoto loazara, swe łákomstwo spuszcza.
 Bo był ten Gách Astarby, niezmiernie bogáty,
 Przeto Krol bierze pretext, predkicy iego stráty.
 Ale gdy suspicya, łákomstwo, z miłoscia,
 Susza Pigmaliona serce, ziadłe zloscia.
 Astarbe się pospiesza, zycia mu przykrocić,
 Y z Tronu go, dla swego loazará, zrzucić.
 Podobno się icy zdáło, że się Krol dowiedziáł,
 Ze ten gálszek, niewstydne łozę icy, náwiedzał.
 Y do tego wiedziála, że było dość ná tym,
 Aby go zabić kazał, że go znał bogáty m.
 Dla tego, y momentu nie trácić, myśliá
 Zeby Krolá, okrutná śmiercia, upredziáł.
 Czula Dworzan gotowych, we krwi rece moczyć,
 Krolewskiej, y zycie mu rázem z krwia wytoczyć.
 Iuż o conspiracyi ná śmierć iego słyszy,
 Lecz się boi poufáć, y robi w paciszy.
 Ná koniec naybeśpiecznicy, otruc się go zdáło,
 W ten sposob: Tylko dwoie, z soba ich iádáło:

Krol

Krol sobie sam, iedzenie mizerne gotował,
 Y tylko własnym rekom swoim konfidował.
 W nayskrytszym kacie, Zamku swego, sie zamykał,
 Krył sie z dyffidencya, lecz iey nie unikał.
 Wstydził sie bydz kuchárzem, y w iedzeniu smáku.
 Nie miał, áni w potráwach podłych, czynił bráku.
 Nie tylko, mias opráwnych nie tknał, niezszezśliwy,
 Ani win, chlebow, soli, mleká, ni oliwy.
 Zgoła nie iadł, tylko frukt, reka z drzewá rwány,
 Kes kászy, y iárzyny, od siebie posłáncy.
 Wody infzey, tylko te, co z źrzodlá, nie tykał,
 Y to ia sam pod kłodka, y kluczem zamykał.
 Lubo zaś, tak Astarbie mocno ufał swoiey,
 Przecie sie y iey strzeze, nie ufa y boi.
 Cokolwiek iesc, álbo pic miał, w przod iey kosztować
 Dał, aby nie mysláá, po nim sie zachować.
 Y bylá, bez żywotá dluzszego, nádziecie,
 Ale oná zdrádlíwa, z tych fochow sie śmieie.
 Bylá bábá w Pálacu, tá iey porádziła
 Lekárstwo, ze trucizná po nim, nie wádziła.
 Zła slugá, iák zła Páni, amorow zwodnicá,
 Jey ráda sie odważa, Krolá zbáwić życia.

Y tak przyszła do tego: Gdy siedli do stołu,
 Bábá we drzwi zástuka, Krol pelen mozolu,
 Ze go chca zabić mniema, zmiesza sie, y slucha,
 Bieży do drzwi, te máca, y nádstáwia uchá.
 A bábá zástukawszy, ode drzwi ucieka,
 Ledwo cien, w záleknionym, zostáwiwszy człeká.
 Krol zámilkł, y sam nie wie, co ma czynić dáli,
 Otworzyć nie śmie, juz drzy, y iádem sie pali.
 Astarbe pod ten sam czas, gdy Krol u drwi stoi,
 Wsypie w kubek Trucizny, effronteryi swoiey.
 Nie káże sie niczego bać, w pul umártemn,
 Y woła go do stołu, wdzieczy sie ku niemu.
 Wraca sie Pygmalion, w zwyczajney niewierze.
 Káże w przod pic Astarbie, nim zá kubek bierze.
 Oná pewna lekarstwá, pije z kubká śmieie,
 Po niey zaś Pygmalion, choć wypił nie wiele,
 Ale oczy wywrócił w krotce, y zemdlony
 Padł. Astarbe, znájąca humor zájuszony,

Ze z słuſzney ſuſpicyi, zabił by ia pewnie,
 Drze ſuknie, włoſy targa, krzyczac, płacze rzewnie,
 Sciska Krolá gdy kona, y dźwiga rekámi,
 Y co ia nie koſztuia, polewa go łzami.
 Ná koniec kiedy widzi, że już w Krolu ſiły
 Uſtały, y oſtatnie poty, ná twarz biły;
 Boiac ſie, áby ſie mu nie wrociło życie,
 [Záczym ia árcypewne czekáło zabićie]
 Plácz w záiadłość obraca, y czyni co muſi,
 Porwie konáiącego, y wſciekla go duſi.
 Potym ſygnet Krolewski, z korona Krolowi
 Zdżiera, y te oddáie ſwemu Ioazrowi.
 Rozumiála, że wſzyſcy ktorzy przy niey ſtali,
 Beda ſie icy paſſyom akkomodowali.
 Ize te creature, w tak ſtráſznym odmenćie,
 Jey Gáchá koronowác beda, w tym momenćie.
 Ale ci, ktorzy zádzom, kupieni ſłużyli,
 W przyiáznym obowiazku, nigdy z nią nie byli.
 Y tak ſzczerey wdzięcznoſci, iáko y odwagi
 Nie mieli. A do tego, dla zbytniey powagi,
 Pychy y okrucieństwa, tey małpy bezbożney
 Bali ſie, ley korony powierzác, wielmożney.
 Ráczyi dla ſwey pewnoſci, o icy myſia kaćie.
 Tym czáſem tumult w Zamku, po tak nagley ſtráćie.
 Wſzyſcy krzyczá: Krol umárl, iedni ſie lekaia,
 Drudzy co ieſt nie wiedzac, do broní ſie máia,
 Wſzyſcy w ſtráchu. Lecz przecie, rádźi tey nowinie.
 Ktora zuſt do uſt leci, nikogo nie minie.
 Wielkie miáſto nápełnia Tyr, káždy bez bólu,
 Słucha, że już po ſkapym y okrutnym Krolu,
 Śmierć tá będzie poćiecha im, y uwolnieniem.
 Narbal go płacze, iák człek z pobożnym ſumnieniem.
 Uwáza, że ſamochac, ten Krol nieſzczéſliwy,
 Wydał ſie ſam Aſtarbie, ná rzeź niepocźiwey.
 Y że wolal byđz ſtráſznym, iák monſtrum, Tyrannem,
 Niż według powinnoſci, dobrowolnym Pánem,
 Zaraz Pánſtwo ſalwować myſli, iák nayprédzy
 Zbiera ludźi pocźiwych, nie chćiwych pieniedzy
 Aſtarby. Z ktoremi ſie oponować idzie
 Panowánium, ktoreby, przeſzłe przeſzło w biedzie.

Balka-

Balkazar nie utonął, kiedy go wepchnęli.
 Tak Astarbie udali, bo tak rozumieli.
 Ale on płynąć dobrze, salwował się w nocy,
 Y rybacy Creteńscy, pełnego sił mocy
 Wzięli go na swe łodzie. A on się pokazać
 Oycu niesmiał, y na śmierć drugi raz narażać.
 Tak okrutnych suspicyi, Oycą bał się swego,
 Jak humoru Astarby, sobie zdradzieckiego.
 Długo błędny, nad Morzem Syryiskim, przebrany,
 Musiał, dla pożywienia, paść cudze barany.
 Na koniec, znalazł sposob raz, dać znać o sobie
 Narbalowi, o iego wiedzac cnoty probie.
 Jemu życia powierzył, wiedzac nieszczęśliwy,
 Ze choć Oycą nie kochał, że mu był życzliwy.
 On go też wziął w opiekę, lecz przez święte zdania,
 Powstać przeciwko Oycu, Synowi zabrania.
 Y każe mu, fortune zła znościć cierpliwie.
 Balkazar mu nakazał: ieżli już szczęśliwie,
 Moge stać u ciebie? złoty pierścień przyslij,
 A ja, że czas do ciebie, tym dojde twej myśli.
 Narbalowi, za życia Oycą, się nie zdało,
 Balkazara zwoływać, y to się udało:
 Bo tak ciężkie szukania, Pygmalona były,
 Zeby się obu głowy, przed niemi nie skryły.
 Ale kiedy swych zbrodni, wziął Krol koniec godny,
 Narbal już czas ośadził, na powrot pogodny.
 Y posłał złoty pierścień. On też po nim wziętym
 Biegł. Stął u Bram Tyru, biegiem nie zaciętym,
 Wtedy właśnie, gdy tumult naywiększy panował,
 Y Questya: Kto będzie nad Tyrem Krolował?
 Łatwo zaś Balkazara, y wielcy y mali
 Poznawają, bo go wprzód, y słusznie kochali.
 Jak Oycą nienawidza powszechnie, dla złości,
 Tak tego mile widza, dla iego skromności.
 Nawet długie nieszczęścia, co na niego były,
 Dobre iego przymioty, bardziey okraśliły.
 Te im go zalecają. A Narbal, do koła
 Starcow Tyru, y Rządzców, y Kapiánów woła.
 Z ktoremi Balkazara już za Krola wita,
 Proklamuie przez Woźnych, y kto nie rad! pyta.

Pospolstwo akklamuiac, wykrzyka radosne,
 Astarbe, ich z Pálacu slucha, y zazdrosne
 Serce sie z Joazarem icy, bez wstydnym, puka.
 Gdy swoich złych creatur, w całym zamku szuka,
 Ale owi źli ludzie, ktorych za żywota
 Krolewskiego, do usług icy, trwała ochota,
 Wszyscy ja odstapili. Bo sie źli, złych boia.
 Y poty o nich, poki pomoc moga; stoia.
 Ale ich rząd gwałtowny, y Tyránski znáia,
 Y iákby im był cieńzki, mądrze przestrzegáia.
 Wolá zaś ząwsze dobrych; bo ich rząd iest skromny,
 Y laskáwzsy, na kázdy upadek ułomny.
 Nikt tedy przy Astarbie z icy ludzi nie zostal,
 Tylko ten ktory wiedział, że sie na śmierć dostal.
 Kryminalow naygorzszych zostali kompany,
 Tym cząsem Pálac, szturmem wzięty, odebrány.
 A owi sceleraći, nie broniac ućiekl,
 Astarbe sie przebrała, gdy wpadała wściekła,
 W niewolniczą odzież, y gdy sie udaie
 Wynieść z Zamku, aż ieden żołnierz ja poznáie.
 Porwa ja zaráz, y już kázdy sie gotuie
 Rozdzierać jedzę. Ale Narbal ja salwuie.
 Y prawie unurzána, z błotá ja wyrywa;
 A ona w tym tumultcie, wdzięcznych słow dobywa,
 Y prosi mowie z Krole. Mniema że gdy błysnie
 Cudem swoiey urody, serce Páńskie prysnie.
 Zmyśla, że zbyt potrzebne sekretá odkryie:
 Balkazar to pozwala, y mowi, niech żyie.
 Kiedy przed młodym Krole, ale mądrym stánie,
 Uroda y skromnością, litość, w swoim stánie
 Ták wymodz potráfiála, że serce surowe,
 Y kochać, y odpuścić, już było gotowe.
 Zaczela od pochwały Krolá, delikátnie,
 Jak ja kochał Pygmalon Oćiec! Ták udátnie
 Wiodac dyskurs, y zebrzac przez święte popioły,
 Oycá, y swe dla niego podiete mozoly,
 Wzywa Bogow pomocy, iákoby ich znála,
 Dopieroz, z takim wdziękiem, strumień łez wylała,
 Ze kiedy sie do Páńskich kolan, worem rzuca,
 Pul gniewu, y pul pomsty, już z sercá wyrzuca.

Ale

Ale zaráz niecnotá, naypocziwszych ludzi,
 Potwarza, y oskarża, y myśli że wzbudzi
 Balkazara, iák Oycá, nie raz prowadziłá
 Do suspicyi, przez ktore, ták siłą broiłá.
 Skárzy y ná Narbala, że ná Krolá spiski
 Ciche czynił, y myślał bydz korony bliski.
 Ze fakcy w pospolstwie, przećiw niemu czynił,
 Y że Balkazarowi, moc rzeczy záwinil.
 Podobne kalumnie, ná Brátá Narbala,
 Y ná innych Tyryicow, bezboznicá zwala.
 Czego Balkazar zcierpieć, nie mogszy już dłuży,
 Chcąc skarác ták złość wielká, iák y wymysł duży.
 Przerwał iá, y wziąć zá kárk, té kazał złošnice,
 Y Wárćie, wrzucić predko, w głeboká ciemnice.
 Naymędrszych z ludzi stárcow, ná spráwe wybrano,
 Od ktorych, z wielkim dziwem, ná oczy uznano,
 Ze Krolá w przod otrulá, potym udusiłá,
 Kryminałow, ják włosow ná głowie, nošilá.
 Skazano já ná meke, śmierć w Tyrze zwyczáyná,
 Ná wolne upieczenie. Co gdy jey nie táyno,
 Gdy się dowie, że wiecey nie pomaga lztuki,
 Wścieka się ná kształt jedzy, álbo raczey fuki,
 Y trućizne, która to, ná sobie nošilá,
 Długich się mak boiaca, do rázu wypilá.
 Postrzegłá Wartá pozno, że ćierpi gwałtownie,
 Porátowác iá chćieli, lecz złość niewymownie
 Wielká, gadác nie dálá. Y tylko skazałá
 Znákem, że już ráunku mieć wiecey nie chćiałá.
 Mowiono jey o Bogách, y ich stráśznym sadzie,
 Ale oná grzech ná grzech, bład kładac ná bładzie,
 Słusznego żalu nie ma. Ráczey pátrzac w Niebá,
 Desperácko lzy Bogow, bo ich jey nie trzebá.
 Bezbożność z záiadłostíá, ná twarz konáiacy
 Wystąpiły. Ani już urody słynacey
 Widzić było, co ludzi zgubiłá ták siłą,
 Wdziek się zmázał, y oczy już śmierć pogásiłá.
 Trzęsie nią konwulsya, y ustá rozdźiera,
 Ściaga twarz, ciągnie język, y gebe rozpiera.
 Sinia bládość wystapi, już ziebnicie ciáło.
 Ale nie raz ják bydle, srogo záryczało.

Ná koniec też skonála, stráchem z okropnościa
 Nápełniwszy zdumionych, nád kára, y złością.
 Bez wątpienia jey duszá, w owe mieyscé smutne
 Zesła, gdzie Dánaidy, zá czyny okrutne,
 Dziurawemi naczyními, dobywáia wody,
 Gdzie Ixion ná kole, Tantal wieczne głody,
 Z prágnieniem wrzece cierpi. Gdzie Zyzph czołga sie
 Z kámieniem; gdzie Tycysz, semy sercem pásie.
 Balkazar, uwolniony od monstrem takiego,
 Ofiárámi bez liku, czcił Bogá swiego.
 Przeciwna mániera, zaczął Panowanie,
 Oycu swemu. Y ná to położył stáranie;
 Zeby handel odnowił, práwie ustáiacy.
 Lubo sie bydz Narbala ráda zdał stoiacy,
 Przecia sam wszystko rzadzi, y w kázda rzecz weyzrzy,
 Kázdego zdánia slucha, zadnego nie przeyzrzy.
 A sam ieden wybiera, co sie zda lepszego,
 Kochany też, od wlystkich poddáných, dla tego.
 Bedac Pánem serc ludzkich, y skárbow ich Pánem,
 Y wiecey ma niz Ociec, nád zlotem zebránem.
 Nie máiz tego, coby mu nie dał wszystko co ma,
 Gdy by mu trzebá bylo. Mnicy tedy takoma
 Dracza Oycá zebrála. Bo to co w ich skrzyni,
 Bárdziey iego, nizli ich, possforem czyni.
 Nie potrzebien wymyslnych, życia ostrožności,
 Wart inszych nie zázywa, tylko swych miłości.
 Nie máiz tego, któryby nie bał sie go strácić,
 Zá iego żywot, woli swoy własny, záplácić.
 On szczesliwy, y oni szczesliwi wzáiemnie,
 Miłość chodzi ná zamian, nigdy nádáremnie.
 On sie boi, zeby ich w daní nie przeládował,
 Lud sie boi, zeby mu, nie dosć, ofiarował.
 Gdy Krol ich, w obfitości bogáctw, zostáwuie,
 Sam nie tráci, áni ich, ta dobrocią psnie.
 Bo sa zbyt pracowici, y im wiecey maia,
 W kupieckie tym sie bárdziey, Commercyá wdáia.
 Tak Phenicya, w stopniu naywyższym, swey slawy,
 Y potegi stánęła, przez Krolewskie spráwy.
 Temu mlodemu Pánu, wszystko szczesćie winná,
 A po nim Narbalowi, toz wszystko powinná.

O gdy

O gdyby Telemaku, teraz cie obaczył,
 Jakiemi prezentami, ciebie by uraczył!
 Z iakaby cie radością, odsyłał wspaniałe,
 Do Oycyzny, y chciałby tam cie stawić w całe.
 Nie jestżem ja szczęśliwy? że co on nie może,
 Wroce cie do Itaku, ieżli BOG wspomůže.
 Ulissa Syna, ná Tron, ia bede lokował,
 Zeby tak mądrze, iako Balkazar, krolował.

Gdy Aduan, ten dyskurs zakończył, tak długi,
 Obląpił go Telemak, y ścisnął raz drugi.
 Nie tylko za fatygę, wtey mowie podieta,
 Ale za ludzkość, we złym stanie, nie poieta.
 Aduan zaś go pytał: iakimby przypadkiem
 Do Wyspy wszedł Kalipsy? szczęściem prawie rzadkim.
 Telemak mu wzajemnie, jak z Tyru wyiechał,
 Opowiedział, jak znowu do Cypru zaijechał;
 Jako znalazł Mentora; jak z nim wszedł do Crety;
 Tam, jako przez obranie, mało ná Tron wzięty,
 (Po zbiegu Idomenie) nie był; y o gniewie
 Wenery; o rozbićiu; jak wyszli ná drzewie,
 Do Wyspy Kalipsyny; jak przyjeła miło;
 Jak sie jey z zelozyi, serce przewróciło,
 Dla Nymphy, która on był zakochał szalenie;
 Y mądre przez Mentora, sercá uleczenie.
 Jak go w Morze sam wepchnąć, y z nim wskoczyć raczył,
 Gdy okręt ná kotwicách, Phenicki obaczył.

Po rozmowách, Aduan dał bänkiet wspaniały,
 Wszystkich zmysłów, tam gusty, razem sie zebrały.
 Młodzież w bieli Phenicka, w kwiáty uwieniczona,
 Służyła; y perfumow moc froga spalona.
 Y iawy łopátników, Muzyká zásiadła,
 Flutami karmiac uszy, kiedy gebá iadła.
 Achitoas, pod czas ich, swym głosem przerywał,
 Ná lirze; takich tonow, ow muzyk dobywał,
 Ze go Jowisz u stołu, rad pewnie posłucha,
 Y Apollo Boskiego, nádstawí mu uchá.
 Trytony, Nercidy, Okretu ná koło,
 Morskie Bostwa, y Monstra, swe wynurza czoło.
 Kupá mlodych Phenicow, przedziwney urody,
 W bieli, w tańcách, náuki swey, dali dowody.

W przed swego kráiu taniec, potym Greckim torem,
 A trębáczce, po wodzie, głośnym wrzali chorem.
 Cichość nocy, spokoyność ná Morzu szerokim,
 Xieżyćá iásność, y Gwiazd, tym miłszym widokiem. >

Telemak, u ktorego, zbyt náturá żywa,
 Rádá káżdey roskoszy, y guštu záżywa;
 Lecz zwłstydem doświadczywszy: iák się zaymie predko.
 Młodość! nie chciał już sercu popuścić, ták miętko.
 Y niewinne ućiechy, zaráz go lekály.
 Oczy iego, ják záżyć! Mentora szukály.
 Mentor kontent z owego iego pomieszania,
 Milczy jákby nie widział, áni miał stárania.
 Aż ná koniec, skromnoścíá zdiety Telemaka,
 Z uśmiechem, temi słowy ćieszył nieboraká:
 Wiem czego się ty boisz, tá boiazń chwalebna,
 Ale ja ták dáleko ćiągnąć; niepotrzebna.
 Nikt nádemnie nie życzyć, ábys miał ućiechy,
 Lecz nie passyonatow, ni miętkie poćiechy.
 Roskoszy, ktoremibys mógł sobie pánować
 Tych ci życze, nie ktore, nád toba krolować
 Moga, y wlec zá soba. Miłych y uważnych
 Coć rozumu nie biora, y Ludzi uważnych
 Nie szpeca, záżyi mądrze. Teraz ci potrzebá
 Odpocząć po ćierpieniu, y wesoło chleba
 Aduana skosztować. Bądźże, bądź wesoły,
 Madrość nie iest surowa, odgánia mozoly.
 Oná dáie roskoszy, jedyna prawdziwe,
 Oná czyšte y trwale czyni ie, y żywe.
 Umie gry, y śmiech misza, w poważne zábawy,
 Prace krasí ućiecha, przez nią kończy sprawy.
 Zgołá, madrość, wesoła bydz, się nie zawłtydzi.
 To mówiac Mentor, Lyre bierze, ktora widzi,
 Y z táká sztuka gra, że, Achitas zazdrośny,
 Zdumiály, puścił lyre swa, ze złości sprośney.
 Jako się zápalony zmienił, widział by to
 Káždy; lecz ná Mentorá oczy wszystkie wbito.
 Zdáło się, że pochwytał, słuchaiących uszy,
 Boi się kto odetchnąć, duszac się nie ruszy.
 Ztey pieśni, práwie Boskiey, boi się co stráćć,
 Zeby nigdy nie skończył, chciałó się, mu pláćć.

Nie

Nie były tam pieśzczone białogłowskie trele.
 Lecz głos mocno obrotny, dawał pąssyi wiele.
 Naprzód: śpiewał Jowiszá, Oycá Bogów chwały,
 Jáko iednym skinieniem, rozrządzał świat cały.
 Potym: iáko Minerwá, z jego rodna głowy?
 To iest, cny dar mądrości, dla ludzi gotowy,
 Lubo w Bogu zrodzony. Y te tájemnice,
 Mentor śpiewał, tak jáśnie: że każdy przed lice
 Jowiszá, zdał się stawác, ná Olympie samym.
 Potym zaś, o Narcyffie śpiewał, oszukanym,
 Pięknością twarzy swoiey; która widzac w wodzie
 W nurt wskoczył, y śmierć łowił, głupi, w swey urodzie.
 Ná koniec Adonisa, mární śmierć wytyka,
 [Y Wenery płacz o to] ciętego kłębem dzika.

Lecz nie mogli utrzymać, ci co go słucháli.
 A we łzách, jákaś roskosz miła znáydownáli.
 Kiedy zaś śpiewać przestał, po sobie poyzrzeli,
 Z dziwem, zá Orpheuszá sławnego, go mieli.
 Ten mowi, Orpheusz to, y tak jego lira,
 Ciagnie dzikie zwierzeta, y lásy zabiera.
 Ták Cerbera ukoił, y od tákiey reki,
 Ixion, Danaidy, zapomnialy meki.
 Tym, nieużyty Pluton zmiekczon, się zapala,
 Y wynieść Eurydyce, z nim, ná świat, pozwala.
 Drugi woła: Lincus, syn raczey Apollina.
 Trzeci zaś: że Apollo. Swarka się poczyňa.
 Sam Telemak, ják drudzy, rości w sobie dziwo.
 Bo, że on grał tak dobrze, nie wiedział iák żywo.
 Achitas zaś, (że miał czas, przyieść troche do siebie)
 Kryje zazdrość, y chwały, choć nie spore, grzebie.
 Chwali go, á wstydzi się, y nie kończy mowy.
 Mentor go zaś przerywa, przez komplement nowy,
 Y cieszy go, pochwały winne mu oddaiac.
 Lecz darmo, on się korzy, Mentora cześć znaiac.

Rzecz po tym Telemak: Pomnie Aduanie,
 O twej drodze Betyckiey; Mam ciekawość ná nie.
 Bo takie, o tym Kráju, cuda powiadaia!
 Ze ledwo, z podobieństwem wiary, się zgadzaia.
 Raczzie nam opowiedzieć to, co prawda iawna.
 Bardzo rad (rzekł Aduan) Ta kraina sławna !

Ee

Co

Co jest? powiem wam wszystko, y iák to przechodzi?
Coście tylko słyszeli? to się wierzyć godzi.

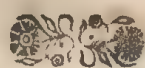
Rzeka Betys, przez żyzny kraj obficznie płynie,
Niebem zawsze pogodnym, y łaskawym słyńcie.
A całemu Kraiowi, swe imię nadać.
U kolumn Herculeśa, tam gdzie Morze kraie
Wielką Afrykę; z Tharsys, tam w Ocean wpada,
Zda się, że w tym się kraju, wiek złoty zakłada.
Zimny wolne, ani dma ostre Akwilony.
Letni skwar, Zephyrami zawsze, ostudzony,
Co powietrze, w południe samo, dziwnie chłodzi.
Wiosna, leśień, cały Rok, iakby w ślubie chodzą.
Ziemia bujna, każdy Rok, dwoic żniwa nośi.
Góra każda, trzod, owiec, mnogość, ledwo znośi.
Kruszców złotych y srebrnych, w tym Kraju nie mało;
Ale się ich, mieszkańcom, dobywać nie chciało.
Nie z gnoystwa, ale z wzgardy; bo swoje prostotę,
Szczęśliwi ludzie, całc nie nie dbają o to.
Ani to skarbem zowią. Szacując jedynie.
Co na ludzka potrzebe, im się zda, y słyńcie.
Gdyśmy z niemi nasz handel, z razu rozpoczęli /
To z złota, co z żelaza u nas, oni mieli,
Jak to lemieisz, y inne gospodarskie sprzęty.
Monety zaś nie znali, ni pieniądz tam wzięty.
Stan ludzi, iest Pasterski, albo też Oraczy,
Mało co Rzemieślników, w ich Kraju obaczy.
Rzemiosła, tylko cierpia te, które potrzeba
Wyciąga, koło wełny, albo koło chleba.
Niewiaśty wełnę przeda, tkaia ją, y wleka,
Jeść gotuia dla wszystkich, y chleb ślicznie pieka.
Ta im łatwa robota, bo mlecznami żyją.
Z skórek dobrze wyprawnych, y obuwią szyją,
Dla mężów, dzieci, siebie. Także y namioty,
Z woskowanych skór, albo z drzew, dziwney roboty.
Piora chusty, y suknie, y bez sługi zadney,
Trzymaia ochędostwo w domu, y rząd ładny.
Sukien zaś, tam nie szyją, tylko obwijaia,
Sztuka się materij, y wstyd zakrywaia.
Daiac formę iako chcą, tej sukni tak modney.
Do mieszkania zaś swego, struktury wygodney.

Procz

Procz namiotow, nie mają. Za wstyd by to brali?
 Gdyby trwałsza rzecz nad się, na ziemi stawiali.
 Dość, aby od powietrza złego, ich zakryły.
 Rzemiosł sztukami, (które są w cenie, y były,
 U Greków, y Egypców) brzydzą się wszystkimi;
 Proźności wymysłami, zowiąc pieśczone mi.
 Kiedy im powiadają: że inne Narody,
 Pałace pyszne w mury, przedziwne w ogrody,
 Ruchomości ze złota, materye lite,
 Haftowane, kleynoty, potrawy obfite,
 Perfumy na kádmienie, y muzyki brzmiające,
 Mają, y inne rzeczy, rokoszy służące?
 Za ludzi nieszczęśliwych, tych wszystkich rachują:
 Ze pracą, y dowcipem swoimże, się psują.
 To wszystko [mówią] swego Possessora męczy,
 Jako ma to utrzymać? Nie mniemy tego dręczy,
 Co nie ma, y żeby do tego przyszedł złota!
 Do gwałtu y wydarćia, bierze go ochota.
 Możnaż to! dobrym nazwać! co ich czyni złemi!
 A sąż ci ludzie, nad nas mocni? y zdrowszemi!
 Żyjąż dłużej? Y siebie, czy lepiej kochają?
 Czy życie spokojniejszy, y weselsze mają?
 Y owszem, iedni drugim, muszą tam zazdrościć;
 Zazdrością żrząc się wzajem, ambicje rościć.
 W iednych łakomstwo, w drugich strach, poznać nie dają
 Prostego, lecz pewnego szczęścia, które takie
 Przed niemi. Tak, dla zbytków swoich, byż im przyszło
 W niewoli! od których, to ich szczęście, zawisło.
 Tak ci ludzie gadają, którzy mądrej cnoty
 Uczą się, y czerpią z natury prostoty.
 Nasza się polityka, każdy całę brzydź,
 Ich zaś miłsza, mym zdaniem, y nasza zawstydź.
 Bez podziału rol, żyją. Y wszystkie rodzaje,
 Najstarszego słuchają, który im rząd dają.
 Ten prawdziwy Król w domu. Każdy Ojciec prawo
 Ma, w rodziu swym, skarac; iednakże ta sprawa
 By zwołał wszystkich krewnych. Ledwo się dostają,
 Skarac kogo niewinnie. Tak w nich obyczaj,
 Poczciwość, Posłuszeństwo, wiary dotrzymanie,
 Wstręt grzechu, w tym tam krajach, obrały mieszkanie.

Y Sędziow im nie trzebá, bo własne sumnienie,
Y przeświadcza, y dekret da, ná potepienie.
Wszystkie dobrá, społecznie, y wiedno zbieráia,
Ziemskie fruktá, y mleczná; potym rozbieráia.
Nikt nád to, co. potrzebá, nie weźmie, ni krádnie,
Ziednego mieyscá, w drugie, przeniesie się snádnie,
Gdy paszy mu nie stánie, álbo pozywienia.
Y z tad, nigdy nie będzie, u nich powádzenia,
Bo się wszyscy kocháia, y nie máia o co,
Wádzić się. Boć to tylko bogáctwá, kłopotá.
Ktorych to oddálenie, y rokosz omylnych,
Czyni pokoy, y zgode w ludziách, ile dzielnych.
Ci rowni wszyscy sobie, y prawdziwie wolni.
Stárzeństwo tylko od lat, álbo kiedy zdolni.
Młodzi, wielkim rozumem, y starym zrownáia,
To tych iáko naystárzych, posłusznie słucháia.
W tym kráiu, miłym Bogom, nie słyżano zdrády,
Przekleństwá, y pieniáctwá, gwałtu, woyny, zwády.
Krew ludzka, tey tam świętey ziemi, nie zmázálá,
Y chyba się jágniécá, kiedy zfarbowálá.
Gdy im, krwáwych bataliy, ziadłość powiádáia,
Jak Páństwá záwojują, ják ich wywracáia,
Śmieia się y dziwuiá, mówiąc: To to ludzi!
Máło im ná swey śmierci! ze ich wściekłość budzi,
Predsza sobie zádáwać. Nam się krotkie życie
Zda bydź, a tym zás długie, gdy sobie zábicie
Wymysláia. A ná rosz są ludzie ná ziemi!
Zeby się zárli, siębie czyniac niešťczęśnemi.
Te Betyki Narody, ani poiać moga,
Ze wielkich Bohátyrow, którzy mocá frogá
Podbijáia Krolestwá, u nas estymuiá.
Chcieć pánować nád wielá, w szalenitwo ráchuia.
Bo ieśli niemi rzadzić! rzadźze sprawiedliwie.
To iešť, bydź niewolnikiem poddánych, prawdziwie.
Jeszcze temu ludowi, ktory sam obierze
Krolá, y obránego chce słuchác, w swey wierze,
Może człowiek pozwolic, w miast Oyca, Pásterzá;
Lecz się tego dobijác, y czleká iák zwierza,
Podbijác! y przeciwko woli ich chcieć rzadzić!
Y to nazwac honorem! Musi ten lud błádzić.

Krol



Krol woien, iest to czlowiek, ktorego Bogowie.
Rozgniewani, za grzechy, na ich zesła zdrowie,
Na krolestw wywrocenie, y zgube do szczetu,
Na ludzka biedę, tego záżyć instrumentu.
Wolnych nás Bog potworzył. A Krol w niewolniki
Obraca, y ten Krol! ma byđz dobry! dziki!
Człek, ktory sławy szuka, azász niema drogi
Madrze záżyć; co Bog dał! nie przez umysł frogi.
Mniema on, że inaczey pochwał nie zárobi,
Tylko kiedy co wydrze, y gwałt iáki zrobi.
Tász to iest máterya sławy, byđz Tyrannem!
Pyszny! niespráwiedliwym! sasiádom byđz Pánem!
Na wolności obrone, woyna iest godziwa.
Ale kiedy, swá máiac, á cudzey iest chciwa
Wolności! to iest rozboy. Gdy bedac náwoli.
Bez potrzeby chce podbić drugich, do niewoli;
Ci, wielcy rozprzeŝtrzenicy swoich gránic, stráŝni,
Do rzek wielkich, z równáni są podobnie włásni;
Ktore kiedy rozleia, háłas wielki czynia,
Ale iákiey záś szkody ubogim náczynia!

Gdy Betyki, Aduan, takie opisanie
Uczynił. Aż Telemak, rózne mu pytanie,
O tym Kráiu zádaie. Naprzod: Czy pijáia
Wino? Adwan odpowie, wgronách go iádaia.
Y lepszego mieć trudno. Lecz robić nie kaza,
Y brzydza się nim stráŝnie, iák ludzka záráza.
Zá trucizne go maia, z ktorey człek szaleie,
Choć nie umrze, ále iák bestya, niemiecie.
Záchowác w prawdzie zdrowie; ále obyczáie
Dobre gubi. Telemak, pyta o zwyczáie,
Y práwá, o Małżeństwach, iák ie záchowuia!
Káždy iedna ma Zone, y te konserwuiá,
Aż do śmierci, (odpowie) Jáś záś unás, zony
Honor, ná cności iej, iest wśzystek, záwieszony;
Ták u nich ná Mezczyŝkicy záwiśł poćciwości
Honor Zony; dla tego, Małżeństwa wmiłości.
Y záden Narod, czyŝŝŝzey ni bárdziey ostrožney,
Pieknieyszey, y weselszey, á bárdziey pobožney
Płci nie ma. Maż y Zoná, duszá wiednym cieie,
Gospodárska, bez sporki rzecz máia, wpodźciele.

Mąż wpołu, Zoná wdomu, prácuie y robi.
 Pomaga mu, y iemu jednemu sie zdobi.
 Ufność spolna, nieták sie uroda podoba,
 Jáko wszytka z miłości, y pracy, ozdoba.
 Skromność, miła społeczność, obyczáie czyste,
 Życie im, bez choroby, spráwuie wieczyste.
 Widzieć tám stárcow, polat stu wiecey, máiacych,
 Czerstwych, zdrowych, wesółych, y wyskákuiących.
 Jeszcze pyta Telemak: Czym sie ochrániáia?
 Ze z drugimi Sásiády, woyny niemiewáia.
 Aduan (rzekl) Natura, ich precz oddzieliła
 Od drugich, tu ztad morzem, tu, gory stáwiła.
 Lecz dla ich cnoty bárdziej, sásiedzkie Narody,
 Szánuia ich, y nietkna, niż dla tey przeszkody.
 Nie raz ich, y zá Sądziow, między sobą brano.
 Y Miał (co o nich sporká byla) powierzano.
 Ze ten Narod tak mady, nie gwałtem nie bierze,
 Nikt sie go też nie strzeże, ufaiac ich wierze.
 Słyszac, że sa Krolowie, ktorzy pycha sroga,
 O gránice swoich ziem, zgodzić sie niemoga,
 Stráśznie sie śmicia z tego. Mowiac: czyli zbędzie
 Ziemie, Ludziom ná świecie! przy rostropnym rzędzie.
 Gdy by sie kto, y nászey náparł, w nápaść ziemi,
 Bylesmy mieli druga, y od tey poydziemy.
 Ze w nich zdrády, y pychy, ni cudzych Pánstw chęci
 Niemász, dla tego, Woyná u nich sie nie kreći.
 Niema sie Sásiad, od nich, nigdy bać niczego,
 Ani też widzi, żeby ten lud bał sie iego.
 Gdyby przyszło do woyny, álboby opuścić
 Swoy Kray; álbó ten Narod, zábić sie dopuścić,
 Niżby sie dał mu podbić. Y iák on niemysli
 O drugich, tak by nie dał sie, gdyby nan przyszli.
 Y tak wieczny im pokoy, od Sásiad y wdomu,
 Niebojá sie nikogo, niewinni nikomu.

Aduan Dyskurs kończac, słowy ciekáwemi,
 Przydał: kiedyśmy, hándel záczynáli z niemi.
 Lud Betycki zdziwił sie, gdy widział, przez wody
 Płynace zdala, cudze do siebie národy,
 Z ludzkością nás przyieli, y bez zádney placy,
 Záraz wszytško przyniesli, co z swey mieli pracy.

A coim

A co im pozostało nąd potrzebe, wełny,
 Uczynili nam prezent, drogi y zupełny.
 Niemášz gustu większego im, iák podárować
 To co im nąd to zbywa, coby mogli schować.
 Bez żadney nam trudności, kruszcow pozwolili,
 Iáko im niepotrzebnych. Nádtym się dziwili:
 Ze rozumy, przez prace, y moc kosztow frogá,
 We wnetrznosciách oney ziemi, tego szukać mogá!
 Co się nieczda, ná życia potrzebe prawdziwa.
 Nie kopáycie, [wołáli] tak głęboko, chćiwo,
 Kopáycie iá powierzechu, to wam ten skarb wyda,
 Który, ná pokarm wászych ciá, użyć się przyda.
 Częstośmy ich náuczyć myśleli zeglować,
 Y dzieci ich z sobą wziąć, áby ie wychować;
 Ale nigdy niechćieli, áby się uczyli.
 Ták żyć, iák z dziwem ná nás, że żyiem, pátrzyli.
 Poucza się (mowili) potrzebować tego,
 Obeysć się może człowiek, wygodnie bez czego.
 Beda chćieli, nábywać obfitości zlotey,
 Y dla oney nabyćia, postrádáia cnoty.
 Beda temu podobni; który máiac nogi,
 Niechce chodzić, lecz się da nościć, w wymysł frogi.
 Zeglarce dziwili się, dla ták cudney sztuki;
 Ale ták niebezpieczney, bali się náuki.
 Jeśli ci ludzie (rzekli) ieść co w domu máia,
 A czegoż! ztákim stráchem, u cudzych szukáia!
 Czego dosyć naturá má, nie máia oni;
 O iákby godni byli, zley ná Morzu toni!
 Kiedy, w burzy pászczące, szukáia ze stráchem,
 Czym lákomstwo nápełnić. Máiac pod swym dáchem,
 Czym nature nákarmić. Telemak do końca
 To slucháiac cieszył się, że pod biegiem slonca
 Jest Narod, który w madrey, natury prostocie,
 Może wszczęściu opływać, y trwáć wpiskney cności.
 O iák te obyczáie (mowił) cále rózne
 Od nászych! ktore dumne, y wszystkie są prózne,
 A, za madsze się máia. Ledwo się chce wierzyć:
 By kto te ich zwyczáie, zá bayki mógł mierzyć.
 Ráczyi násze zwyczáie, zdać się im powinny,
 Iáko sen, ále sen zły, Niebu, ziemi, winny.

Gdy Telemak z Adwanem, tak długo gadała;
 O śnie, y że już pułnoc, wraz zapominają.
 Moc Boska nieprzyjazna, obu oszukała,
 Od Jtaku bliskiego, co raz ich oddala.
 Neptun, lubo Phenikom, od wieków łaskawy,
 Ale, na Telemaka zawzięty y żwawy,
 Znieść nie może, że wyszedł z burz, od sie zesłanych
 A nuż Wenus, że sie śmiał z owych niesłychanych
 Mocy iey, y Kupidą; gdy ia wezma żale
 Rzuca Paphos, Cythere, y Państwo Jdale:
 Iuż iey honor nie miły, co iey Cypr oddawał,
 Gdy iey kontempt Telemak, wtym micyleu zadawał.
 Idzie na gorny Olymp; gdzie w światło przybrany
 Tron Jowiszow, od Bogow wszystkich opalany.
 Z tamtąd gwiazdy, ktore sie pod nogami kreca,
 Widza, y świat nasz ziemny, Niebem iak obręca.
 Ściśniony; lecz tak mały, iak kawałek błotą,
 Morza; iak kropla wody, wszystko iak lichotą.
 Państwa nayobszernieysze, iako piasku ziarno,
 Narody, Woyská, Mrowki bijace sie marna
 Osłomke, albo profzek. Y przetoć Bogowie
 Smierza sie tam z naszych spraw, co nam biora zdrowie.
 Nasze kłotnie, zawody, Rady Woyn, y inne,
 U nich są, iakby u nas igraszki dziecinne.
 Y co my wspaniałością, bogactwy, y sława
 Zowie my, to u Bogow, jest naylichsza sprawa.
 Wtym naywyższym, Tron sobie zalozył, mieszkaniu
 Iowisz; A oczy iego w nayskrytszym staraniu
 Ludzkim, wskroś przenikają, wserca zázierając,
 Y miły Pokoy na świat, z światłem rozsiewając.
 Gdy zaś głowa potraśnie, drza Niebieskie gmachy,
 Sámí nawet Bogowie czują kárne strachy.
 Wten czas, Bóstwa nákoło iego, sie zebrály,
 Kiedy Wenus stanęła, y z nią orszak cały
 Wdziękow, ktore w iey pierśiach pieszczonych, sie rodzą,
 Náiey szącic, wieccy sie kolorow wywodzą,
 Niż na Teczy, kiedy sie podczas chmur utroi,
 Y koniec burz przynosi, ktorych sie świat boi.
 Pyszna szatá iey była, przewiazána pásem,
 Na ktorym, rokosz y wdzięk, haftowane z wczássem.
Włosy,

Włosy, złota iglica, iak niedbale zdiete,
 Bogowie, w zadumienia wpadli, niepoiete,
 Dziwów, y zakochania Tey Bogini pełni,
 Jakoby iey nieznali, y iakby śmiertelni.
 Iak gdy po długiej nocy, Phebus świat oświeca,
 Tak im w oczach iest Venus, iako iasna świeca.
 Patrzą na sie, ale zaś, w Nia oczy wracają,
 Placz iednak w iey powiekach, y żal uważają.
 Ona iednak, do Tronu Oycy, postępuje,
 Wdzięcznym krokiem, iak gdy Ptak z cicha przylatuje.
 Widzi ją z wdziękiem Jowisz, uśmiecha się miło,
 Powstaie, y ściska ją: Corko! coż to było?
 (Rzecz) Y czegoż płaczysz? co twoie za troski?
 Twoich łez, moy niemoże znośić umysł Boski.
 Nieboy się, otworz serce, wszak znasz me kochanie.
 Odpowie Venus, wdzięczne mieszając chlipanie:
 Oćiec Bogów y ludzi, który wszystko widzi,
 Czy może tego nieznac! co mię na śmierć biedzi.
 Minerwa, nie kontenta, że Troie zburzyła,
 Z fundamentu, ktoram ją przepyszną bronila,
 Nie dość mając na pomście z Parysa, co moie
 Przelożył nad iey piękność; Tego, który Troie
 Wywrocił Ulisseffa, Syna, y przez morze
 Wodzi, y przez mą ziemię; Co mi serce porze.
 Minerwa, Telemaka nie odstapi wszędzie,
 Y dla tego iey niemasz, między nami w rzedzie.
 Zuchwałego Mlokosa, na moy Cypr zawiodła,
 Zeby moie moc wzgardził, nato go przywiodła.
 Nie rączył, na oltarzu palić, mym kądził.
 Fest na mą cześć sprawiony, rzecz mu się obrzydła,
 Zdała, y swoje serce zamknął na roskosze,
 Te wzgardy y niecześci, odnich ją ponosze.
 Darmo go, na mą prozbe, Neptun chciał pokarać,
 Wiątry, burze, nań spuścił, umiała się starać
 Zła Minerwa, o niego. Przez frogie rozbićie,
 Wszedł na Wyspę Kalipsy, kedy on sowićie,
 Z samego Kupidyna mego; tryumfuie,
 Ktoregom tam zesłała, y z niego żartuie.
 Ani tego Greczyna, Kalipsyne wdzięki,
 Ani Nymph Młodość, ani strzały z Syna ręki,

Zniewola / y Minerwy przewyższa nauki!
 Wyniosła go z tej Wyspy. Drwia ze mnie iey sztuki.
 Jowisz, cięszac Wenere, rzekł, z pod Baldechina:
 To prawda, że Minerwa, tego to Greezyna
 Serca broni, od cięszkiey Syna twego strzały.
 Ze mu sława gotuie, ktorey niedostały
 Młode lata, w kim inszym. Jąc tego załuie,
 Ze wzgardził twe ołtarze, że cie kontemtuie,
 Ale go pod moc twoia poddać, żadna miara.
 Niemoge; Ta dla ciebie, nawiedza go kara:
 Zeby ieszcze po Morzu błądził, y po ziemi,
 Daleki od Oyczyzny, między nieszczęsnemi,
 Ustawnie przypadkami. Bo przedwieczne fata
 Niechca, aby go zguba potkała, y strąta.
 Ni żeby iego cnotą, twoiey się rokoszy
 Poddala, ktorey się człek zaden nie wyprosi.
 Poćiesze się ma Corko, że tak siła innych,
 Y Bogow masz w okowach, iakby więzniow winnych.
 To mowiac, uśmiechnał się, z wdziękiem y powaga,
 Jąsność z oczu wybuchnie, y obtoczyła go.
 Wenere pocałował, y takie zapachy
 Rozlał Ambrozyi, że się nią, Olimpu gmáchy
 Napełnily. Pieszczota taka, Wenus zdieta,
 Rumieńcem twarz farbuie, którym więc świat peta.
 Kryiac iednak poćieche, twarz w Welum zasłania,
 A Bogow zgromadzenie, Jowiszowe zdania,
 Applauduiac potwierdza. Wier czasu nie trąci,
 Pobiegła do Neptuna, w swcy gładkiey postaci.
 Opowiada mu wszystko, co w Niebie słyszała.
 Wiedziałem ia (rzekł Neptun) iako moc iest trwała
 Fatum, y nie w zruszona. Iesli nie możemy
 Utopić Telemaka, to się zdobedziemy,
 Czynić go nieszczęśliwym. Ani do Jtaku
 Puścimy go. Bedziesz miał za swe Telemaku!
 Zeby Okret Phenicki zginał, nie pozwole.
 [W którym on iest] inszego figla zażyć wole.
 Bo Phenicki lud, iest moy, ni narody żadne
 W Pánstwach moich handlują, tak iak oni, ładnie.
 Przez nich, Morze stało się, iak iakie związanie
 Spolney Krolestw miłości, przez spolne poznanie

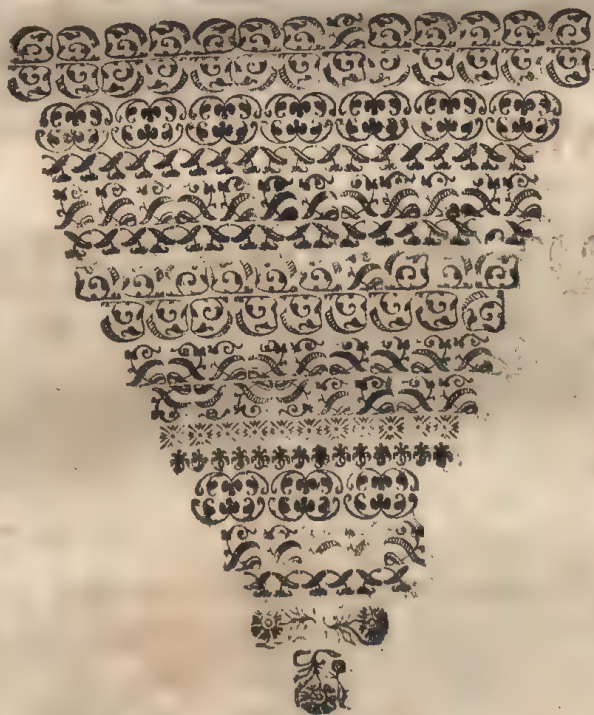
Sa mądrzy, sprawiedliwi, pracowici z goła,
 Ani na me Ołtarze, żałują mi woła.
 Wygodę y obfitość, po świecie roznoszą
 Y te ich to zasługi, wdzięczność moją noszą.
 Bogini! niemógł bym znieść rozbicia okrętu,
 Ale zadam Szyprowi, tyle w głowie krętu,
 Ze trakt zmyli, y będzie od Itaku dąli.
 Wenus z tego kontenta, radę jego chwali.
 Y złośliwie się śmiejąc, do wozu powraca,
 W kwitnącą Jdalią, lot szybki obraca.
 Tam wdzięki, gry, y śmiechy, z tańcem ją witają,
 Wonne kwiecie, na przyjazd łwey Páni rzucają.

A Neptun, jedno Bóstwo śle, na oszukanie
 Podobne do snu, które, chociaż y w niespanie
 Zmysły ludzkie omamia. [Ten Bożek złośliwy
 Orszak miał koło siebie wszelkich kłamstw, fałszywy,
 Łatających.] Y zaraz, w Achamasa oczy
 Szypną, liquor subtelny, lecz zdradliwy toczy.
 Wtedy, gdy gwiazd uważa jasność, y miesiąca,
 Stawia mu się Itaku wyspą, zbliżającą.
 Niebo mu się y ziemia, obraca fałszywie,
 Y nic już sam nie widzi, iak widział, prawdziwie.
 Zmyślony Itak, w oczach tego Szypną stoi,
 Bawi go, umyka się, y żart z niego stroi.
 A on, Itak prawdziwy, w ządzie zostawia,
 Kiedy do fałszywego, zwiedziony, żeglui.
 Wtym, Obraz wyspy, nagle, z oczu mu ucieka
 Nie poymie, co się to dzieje, y narzeka.
 Raz mu się zda, że w Porcie już, stukania słyszy,
 Y przeto się gotuje, przystąpić w pośpisy,
 Do bliskiey małej wyspy; aby Telemaka,
 Gąchom Mątki, utąć przyjazd, do Itaka.
 To znowu bał się skały, w ktorej ten brzeg strąsny
 Zdał mu się, gdy huk słyszał fal bijących własny.
 To razem, ziemia mu się, dąleko ukaże,
 Y Gory iak obłoki, gdy ie słońce mąże.
 Ciemna umbra w zachodzie. Achamas zdumiony,
 Od Bożką odrwiciła, w oczach omamiony,
 Nieznana dotąd, w sobie, impresya czui.
 Y śni mu się na jawie, nie śpiący nocui.

Tym cząsem Neptun, każe wschodniemu wiatrowi,
 Dać w Zagle, Hesperyi, pedzić ku brzegowi.
 Posłuszny wiatr, tak mocno dmuchnął, w owe zagle,
 Ze nąd brzegiem stąneli, gdzie niechcieli, nagle.
 Już iutrzenką złościła, dzień miły ogłasza,
 Już Słońce, gwiazdy w Morze pedzi, y przestrasza.
 Gdy Szyper krzyknie: już też ja wąpić nie mogę
 Telemaku, już Itak! kończ biedę, y drogę.
 Ciesz się, bo za godzinę, Cna Matkę obaczysz,
 A pono, Uliśowi do nog upać, raczysz.
 Na ten głos, snem Telemak do tad, iak zmorzony,
 Ocknie się, y porywa, bieży iak spárzony
 Do rudła, Szyprá ściska; y wzrok wśzystek dąć
 Na brzeg bliski, lecz westchnie, y prędko poznać
 Ze nie jego Oycyzny; Ach gdzieżeśmy (rzecze),
 Mylisz się Achamaśie, ani to, człowiecze!
 Kray ieśt tobie znaiomy! Nie. (Achamas mowi)
 Omylić się nie mogę, ku temu brzegowi
 Zbliżając się. O iak ja! nie raz tam bywałem!
 Y naymnieysze brzegowe skąły poznawałem.
 Lepiej Tyru ja nie znam; a widzisz te skąły!
 Iako wieża kończata! Słyszysz huczna fale
 Co się o nie rozbija! Minerwy kościolá
 Nie widzisz, aż pod obłok! Nie uważasz zgoła,
 Oyca twego Fortecy! Uliśá Pálacu?
 Ach! mylisz się (zawoła Telemak) ná plácu.
 Tego coś mi ukazał, ja widzę Achmaśie,
 Brzeg niski, y daleki, y coć Itak zda się,
 Ieśt miásto prawda, ale cále nie ieśt násze.
 O Bogowie! takieśz to zárty z ludzi wásze!
 Gdy to mowił, aż wśzystkie, w oczách omamienie
 Uśtáło Achamasa, y inśze widzenie
 Stawia się. Już inśzy brzeg, y iaki ieśt: widzi,
 Bład uznáć nie rychło, y z dziwem się wśtydzi.
 Uznáć Telemaku! [Woła] Nie przyiázne
 Bośtwo iákies, ná oczy zasłony zelázne,
 Włóżyło mi, y kiedy widzieć rozumiałem
 Iták, y iego obraz, w oczách żywy miałem,
 Alic tego momentu, iako sen ućieka,
 Już inśze miásto widzi, zmylona powieka.

Widze

Widze że to Salenta. Co Idomen z biegły
 Z Crety, robi w Hesperze, z tey świecacey cegły.
 Widze mur podniesiony, lecz ieszcze bez końca,
 I forteca nad Portem, ieszcze nie broniaca.
 Gdy Achamas, te nowe uważał roboty,
 Rodzacego się Miasta; Telemak kłopoty
 Oplakuie, z nieszczęściem swoim tak upartym,
 Neptun okret lokuie w kaćiku zawartym,
 Nie daleko od portu, gdzie weszli pełnemi
 Zagłami, zaslonieni skalami wielkiemi.





TELEMAKA XIEGA PIATA.

SUMMARYUSZ KSIĘGI PIATEY.

WYsiądfzy Telemak y Mentor, znáyduia Idomena co był z Crety uciekł. Ten z swymi Kompaniami, Miasto ná brzegu funduie nowe. Telemak mu swoje Imię odkrywa. Cieszy się ze Ulisseffowego Syná widzi. Mentora poznáie, cogo widział pod Troia, y wielkie ludzkości w przyieciu ich czyni. Ida w kupie do Kościoła. Gdzie Kápłanicá Oraculum nie zrozumiane Telemákowi głoši. Ktorego explicacyi on szuka. Idomen Krolestwá swego státum objawia Mentorowi, y woyny w ktore się wplatał z swemi Saśiadámi. Mentor rostrzasnawfzy rácye, dla ktorych Krol ma Woyne podnosić, decyduje, że iego Woyná ta
ieft

jest nie słuszną, y że iey nie powinien, prowadzić, podeymuie się pokoy mu zrobić. Tym czasem daia znać Idomenowi, że Nieprzyiaciel podstępnie pod Miasto, y chce go ubieżeć. Mentor bezpieczny sam z gałaską oliwną przeciwko niemu wychodzi z Miastą. Woyskó Mórskó zaştánawiaia. Mentor im pokoy ofiaruie. Nestor z szykow wychodzi, ná traktowanie z nim, y poznawa Mentora, Nestor się skárzy, że Idomen nie dótrzymał słowá, y upomina się go, Mentor zá Idomená przyśiega, y w zaştaw obiecuie dáć Syná Ulisseffowego. Nád tym Imieniem Nestor się miékczy. Telemak nie cierpliwy że tak długo Mentor nie powraca, wychodzi z Miastą, y przed Nestorem stawa, który Oycowskie w nim podobieństwo poznáie, pokoy stawa, Publikacya onego przed szykami.

Potym Nestor prosi Mentora, áby mógł poprowadzić Telemaka ná wojnę sprawiedliwą przeciwko Adrástowi Królowi Dau-nienow. Mentor ná to zezwala, ále przed odiażdem dáie mu potrzebne informácy, iáko, Pan, ná wojnie sobie ma postem-pować.

MEntor, co dobrze wiedział, Neptuná okrutną Pomstę, z Wenery zdráda złączoną, wierutną; Ná ow błáđ Achamasa, uśmicchał się tylo, Tak rzekł do Telemaka, w tym zaciśzu, miło: Jupiter cie doświadczá, zguby niechce krwáwey Y owszem ci otwiera wrotá, do cney słáwy. Na prace ieno pomniy, trwałe Herkulesa. Młey Oycá przed oczyma, swego Ulissefa.



Kto wycierpieć nie umie, ten serca wielkiego
Nie ma, Mestwem, cierpieniem, wylał się ze złego.
Zmorduy cięzką Fortune. Co upodobanie
Wszystko kładzie, na twoje (wiesz) prześladowanie.
Najśrońszy Neptuna gniew, niebył mi straszny,
Tako iako u Kálipsy, twoje humor własny.
Nie bawmy się, w chodźmy w port, Ludu przyiźnego,
Iakby też do Oyczyzny, kiedy do Greckiego.
Idomen, od Fortuny, tak źle traktowany.
Będzie nad nieszczęsnymi, pewnie zlitowany.
Y zaraz w port Salanty weszli, bez trudności
Phenicy, z całym światem, bo żyją w iedności.
Telemak z dziwem patrzył, na Miasto, nadobne
Początki potężnego. Szczepowi podobne,
Co rośła nocna karmny, gdy słońce ogrzeje,
Wprzód się w paczki, toż w gałąź zieloną odzicie.
A potem tysiącnymi farbami máluc
Kwiatki, że co dzień nowy blask, w nim się znayduie.
Tak nowe Idomena Miasto, kwitnąć rośło.
Co godzina, co w murach nowego, przyniosło.
Y zdáleka przychodniom, budownicze sztuki,
Wynosi pod niebiosy. Cały zaś brzeg huki,
Stukania rzemieślników, młot gesty w rabaniu,
Łoskot koł, przy kámienu, słychać windowaniu.
Stárszyzna ánimuie Ludzi do roboty,
Sam Idomen od ránká, dodać ochoty.
Ledwo Okret Phenicki, do portu zawnie,
Káždy Gości przyimuie, kto się tam nawinie.
Dać znać Idomenowi o przyieździe spieszá,
Syná Ulissá, ktore wieści, go tak cieszą,
Że zawałał: Syn u mnie, Ulissesa mego
Przyiźciela, y Meza tak wielce mądrego!
Ktory Troie wywrocił! Niechay mi tu stánie.
W nim pokaze, iakiem miał w Oycu podobanie.
Stáwiáją Telemaka. Krol iak gdyby go znał,
Choćby nie wiedział ktos iest, zarazbym cie poznał.
Wzdyć to Twarz Ulissowa; Oczy ognia pełne,
Wzrok meżny, co pokrywał w nim wdzięki subtelne.
Znam uśmiec ow dowcipny, y jesta niedbałe,
Mowa słodka z prostotą, krádnącá myśl całę.

Gdy

Gdy to mówił, wnet przydał: Tyś, tyś! Syn Uliffa.
 Ale będziesz y moim, iák ma krew naybliższa.
 Ale coż cie, o Synu! na moy brzeg przyniosło?
 Czy nie Oycá tu szukasz! o którym niedoszło.
 Nic miś wiedzieć. Nás oba Fortuná zawiódła:
 Iemu skryła Oyczyznę, mnie tam ná śmierć wiodła.
 Gdy to mówił Idomen: Swe w Mentora oczy
 Wlepił, że go znał kedyś, myśli sobie toczy.
 Telemak zaś odpowie: (zálawszy się łzami.)
 O Krolu przepuść, miey wzgląd, nad memi žalami.
 Ze zátáć nie mogę, gdy się mam weselić,
 Gdy ná wdzięczność y radość, trzeba serce dzielić.
 Winienem ia zá ten žal, że Oycowskiy zguby
 Plączesz, y mnie sam uczysz, plákać go bez chluby.
 Iuż to dawno, po morzách wszystkich, go szukamy
 Od Bogow gniewnych, szczęścia, znaleźć go, nie mamy.
 Ni się pewnie dowiedzieć, czy utonął kedy?
 My sami do Itáku, stáráiac się wszedy,
 Nie możemy powrócić; gdzie iáko w więzieniu,
 Penelope, od gáchow, mdleie w obleżeniu.
 Mniemałem, że cie znayde! w Crećie, cie szukałem.
 Táń o smutnym nieszczęściu twym, się dowiedziałem.
 Nigdyń ia nie rozumiał, ná Hesperskim brzegu,
 Y w twym nowym Krolestwie, znaleźć się w swym biegu.
 Lecz Fortuna, co z Ludzi, gry sobie wyráwia.
 Wodząc koło Itáku, ná twoy miś brzeg stáwia.
 We wszystkich zaś przykrościách, które mi wyrządza,
 Te naymiley przyjmuie; że mi to sporządza,
 Lubo miś od Oyczyzny, co raz, mey oddála,
 Ze Krolá tak dobrego poznać mi pozwala.

Náte słowá, Idomen, serdecznie go ściska.
 Y idąc do Pałacu, pyta się go z bliska:
 Coż to zá stárzec mądry, co idzie przy tobie?
 Znam go, ále przypomnieć nie mogę go sobie.
 Jest to Mentor. (Telemak onemu odpowie)
 Com mu winien zá wdzięczność! kto ci to opowie!
 Iemu Uliffes, młodość moja konfiduie.
 W tym, Idomen mu rękę dáiac, postępuje.
 Ználiśmy się (rzecze mu) pomniłz gdyś był w Crećie!
 Y gdyś, zdrowe mi rády dawał, w Gábincćie.

Ale płochość y młodość, smák roskoszy próżny
 Zwiodły mie. Trzeba było, by przypadek różny,
 Y nieszczęsny wyuczył, to com niechciał wierzyć.
 Dalby to był Bog! żebym mógł się być uśmierzać
 Twa rada, mądry stárcze. Lecz muszę namienić:
 Dziwno mi że tak dawno, nie mogłeś się zmienić.
 Y twarz w tobie tak czerstwa, y stan prosty całę,
 Taz rzeźwość, tylko głowá zsiwiała pomále.

Wielki Krolu (rzekł Mentor) gdybym pochlebniczy
 Miał język! tożbym mówił: że się młodość liczy
 Ná twej twarzy iák przed tym, ále cie urazić
 Wole, nizeli prawdę, którać chce wyrazić.
 A przytym y twoy dyskurs, dosyć mie nauczył,
 Ze lubisz szczerość, y żeś pochlebstw się oduczył.
 Zá tym, żebymci prawdę, w tey mierze, namienię
 Ledwobym cie mógł poznać, dużoś się ołmienił.
 Znam ci tego pryczyne; nieszczęścia cierpiąca.
 Aleś siłą zaś nabył, gdy cnoty dostałeś.
 Może się konsolować, marszczkami na twarzy,
 Gdy się sercu, umácać w cności, cierpiac, zdarzy.
 Ale wiedz, że Krolowie, przedzey się stárczeia,
 Iákiekolwiek obroty, fortuny im sieia.
 W przeciwności fatyga, y Duszy y ciała.
 Wszczęću zaś, iest delicyj, pieśszczota, nie trwała,
 Bárdziej ich, nizli praca woenna, wycieńczy.
 Bo roskosz zbyt záżyta, zdrowie z żywciem meczy.
 Z tad idzie: że Krolowie, w pokoju y w woynie,
 Kłopoty, y fatygi miewaia tak hojne;
 Ze przed láty im záwsze, stárczeć się przychodzi.
 Życie skromne y trzeźwe, młodość co raz rodzi;
 A ráczey konserwuje, gdy troski oddala,
 Y w życiu regularnym, pássyj nie pozwala.
 Kto tego nie przestrzega, y życie inaczy;
 Ze młodość, skrzydły czasu, uleci, obaczy.

Idomen tym dyskursiem, iákby zachwycony,
 Słuchałby był Mentora; gdyby nie proszony
 Był ná fest y ofiarę, Jowiszowi winna.
 Ktora mu gotowano, ze skrucha powinna.
 Szli, Telemák z Mentorem, Ludem obtočení.
 Káždy ná nich y patrzy, y záraz ich ceni.

Wiednym

Wiednym (mowią do siebie) żywość jest urody,
 Wszystkie wdzięki, naiego zstały jagody.
 Lecz ta gładkość, nie ma nic miętko pieśczonego.
 Ma coś, w kwiecie młodości, rzezwo zawiedłego.
 Ten drugi, lub gdzie starszy, sił swych nie postradał.
 Stanu mu tak rosłego, z wdziękiem, Bog nie nadał,
 Ale z bliską poyrzawszy, niby przy prostocie,
 Madrość, y zacność, wiego twarzy są, przy cności.
 Gdy Bogowie na ziemię, kiedyś zstępowali.
 Bez pochyby, iako ci, taką postać brali.

Tym czasem, do kościoła, Idomen przychodził
 [Aże się ze krwi, Boga Jowisza, urodził]
 Wspaniałe ten wystawił Kościół, y bogato.
 Wędrwa rzędy, z jaspisu kolumn, świadczyła to.
 Gállerya, srebrnemi kápitelmi, lśniaca,
 A tablice z marmurow, po ścianách máiaca.
 Na których, dziwnym dlotem, wyrobione czyny
 Jowisza, kiedy bykiem pływał do dziewczyny
 Europy, gdy ją zawiózł, przez morze do Crety;
 Zkad się Minos urodził, świadectwem Poety.
 Tenże Krol mądry, tam był rysowany, ślicznie,
 Iako w Crecie swej, prawa nądawał, dziedzicznie.
 Ktoremi do tad kwitnie. Tam wyobrażenia
 Były, różnych Awántur; Troi obleżenia.
 Pod która to Idomen, wielkiey nábył sławy.
 Między tey potyczkami, obsydyi krwawey,
 Szukał Oyca Telcmák, y tamże dożiera:
 Iak konie Rezufowi, Ulisses odbiera.
 Potym, obron dysputę z Ajaxem, tak wálna
 Achilleśa, y owa machine fatalna.
 Konia; z ktorey nayıpierwszy, z żelazem wychodzi,
 Y we krwi Troiańczykow, sam z Grekami brodzi.
 Telemak, Oyca w czynách (które słyszał sławne)
 Poznał; y nie mogąc się strzymać, dawał iawne
 Zalu we łzach dowody. Lecz się z niemi kryje.
 Idomen, twarz zmienioną widząc, go za łzyis
 Ściska, [mowiąc] nie wstydz się, w oczách ludu tego
 Pokazać, iako sławá, y nieszczęście twego
 Oyca, cie dotykáia. A tu pod Arkády
 Obszerne, lud się zchodzi, mieścąc bez zawady.

We dwoy rzad, ślicznych kolumn, tam dwie kupy stały,
 Część chłopcow, y część dziewcząt, co wiersze spiewały,
 Na chwałę Jowiszowa. Te dzieci wybrane,
 Długie włosy na plecach [a ubieli ubrane]
 Miały, y z roz na głowach wieńce, zbyt pachniące.
 Idomen, sto zabija wołow, y gorace
 Modły czyni Bogowi; aby go łaskawym
 Ziednał sobie na Woynie; która przeciw zwawym
 Swoim podniósł Saśiadam. Ze krwi, Wiktyrn, para
 Kurzy się, w złotych wazach leie się ofiara.
 Theophan starzec Káplan, y Bogom przyiázny,
 Purpura okrył głowę, y iezeli ważny
 Skutek ofiar! zagładał w pobite wnętrzości.
 Potym właższy na Trypos: Coż to nam za gości?
 Boże, krzyknał,) przysyłasz? gdyby nie ci byli.
 Toby nás na tej woynie, sąsiedzi pobili.
 Y Salenta, w przod niżli była zakończona,
 Bez tych dwu, pewnieby wraz była obalona.
 Młodego Bohátyra, widze, madrość wodzi.
 Za rękę; wiecyy mowić, mnie się już nie godzi.
 Gdy to mowił, wzrok dziki, oczy biegające,
 Y iákby, inśze przed się, obiekta mające;
 Twarz miał, zbyt zapalona, iákby nie przy sobie
 Był, włosy wstały, ręce podniesione obie.
 Zgeby piana się toczy, a lubo zatchniety,
 Głos silniejszy nad Ludzki, miał on, niepoiety.
 Duchá, nie mógł Bożego, w sobie zamknąć zgola.
 Szeześliwy Idomenie! [luź powtornie woła]
 Co to ja widze! y iák, uchronisz się siła
 Nieszczęść w domu! nastapi spokoynść nam miła.
 O! iák wiele otrzymasz! Zwycięstw, Telemáku!
 W wyższym, sławy y proby, niżli Ociec, znaku.
 Ow dumny nieprzyiáciel, w prochu, pod twym ieczy
 Mieczem, wrotá żelázne obálić, nąstraczy
 Fortuna, pod twe stopy. O wielka Bogini!
 O młodzieńcze! obaczysz! y wiecyy nie mieni
 Nic; bo to słowo, w gębie prawie, mu zniknało,
 Y choć gadać ieszcze chciał, samo się ucieło.
 Wszytek lud ziebnie z stráchu. A Idomen drżacy,
 Nie śmie mowić, tylko się zdumi, że nie kończy.

Telemak

Telemak ledwo wierzy, co słyſzy ná ufzy,
 Wyſokiemi Proroctwy, dziwi ſię y ſuſzy.
 Mentora iedyneſego, Duch Boży nie zdumiał.
 Idomenie [rzekł] woła Bogoweſ zrozumiął:
 Przeciw ktoremu ieno, Woyna, národowi
 Podeymieſz, ná zwycięſtwo, byda ci gotowi.
 To, Synowi młodemu, tak sławnego Meza
 Uliffa, będzieſz winien ſczęſcie, twych oreza.
 Nie bądź że mu zazdroſny; ráczey przyjm z ochota,
 Co ci, iego ſporządza Bogowie, wiec cnota.
 Idomen przyjść nie mogliſz, z ſwego zádumienia,
 Dármo ięzyk obraca, do ſłow wymowienia.
 Przedzey przyſzedł Telemák, y rzekł do mentora:
 Tak wielka obiecána ſława, y tak ſpora
 Szczeſliwość, mie nie tyka, bárdzicy ná te pláczę
 Słowa, których nie ſkończył, że ia coſ obaczę!
 Czy to Oycę! czy Itak! ách! czemuż nie ſkończył!
 Tylko mi bárdzicy głowe y ſerce zamaćil.
 O Uliffie! o Oycze! ciebieſz to obaczę!
 Dármo ſobie ia pono, w tym pochlebiać ráczę.
 Okrute Oráculum! paſtwiſz ſię ná demna!
 Gdyby iedno rzekł ſłowo, iakby mi przyiemno.
 Było! iákbym ſzczeſliwy! Mentor mu przerywa:
 Reſpektuy co ci Boſka láſkliwość odkrywa.
 Nie chcey ſzperać czego ci Bogowie raz taia.
 Na zuchwała ciekawoſć, z kara ſię gniewaia.
 Madroſć Boſka, Láſk pełna, słabym ludziom kryie.
 Iákic będą wyroki, y kiedy, y czyie.
 Dobra rzecz, bydź oſtrożnym, y pátrzyć z daleka,
 Y wieſć ná dobry koniec, co idzie ná Czleka.
 Ale y to też dobra, ſpuſcić ſię ná Bogi,
 Ani ſię dowiádownąć, przez kłopot ſwoy frogi.
 Ledwo ſię temi ſłowy, Telemak uſmierzył.
 Idomen przyſzedł do ſię, y tym ſłowom wierzył.
 Záczął chwalić Iowiſza wielkiego, bez miáry
 Ze Telemak mu doſtał ſię, y Mentor ſtáry.
 Ná ſławę y zwycięſtwo. Potym ich częſtował
 Po oſiárach, y z niemi tak záſ dyſkurował:
 Gdym powrócił do Crety, po woynie Troiańſkiej,
 Przyznaie, że m Krolowác, nieznał ſztuki Páńſkiej.

Wy wiecie Przyjaciele, co mi z Pánstw zegało.
 Boście byli w nich potym, kiedy sie już stáło.
 Y mam sie zá szczelnego, że Fortuny sztychy
 Spráwiły wemnie miane, zmieniając y grzechy.
 Przebyłem morza, Bogów przed pomsta, y ludzi,
 Zbiegłem, y wielkość przeszła, žal mi większy budzi.
 Ze spadku wstydlwego. Penaty me Bogi
 Schronilem, ná ten pusty brzeg morski y frogi.
 Gdzie ziemię nie orána, buyna tylko w osty
 Znalazłem, lásy stáre iák świat, ciernie, chrofty.
 Tu w skálách nie dostępných, mieszkam ze zwierzety
 Iednák y ten mié cięszy, kray choćiay przeklęty.
 Zem go mogli, z Towarzyszmi memi, opánować.
 Co w nieszczęściach, nie chcieli mnie mych odstępować.
 Z tey pustyni, Oycyzne swa, uczynić przyszło,
 Kiedy nie masz nádziei, z ktorego sie wyszło,
 Kray ow widzieć, szczęśliwy, kedy sie urodzić,
 Dał Bog, y w nim krolować. Ták sobie rozwódzić,
 Nie raz przyszło: O iák to we mnie odmiany!
 Iáki strážny ia przykład, ná zuchwałé Pány.
 Trzeba by mié ukázać wszystkim, co kroluia.
 Uczyc ich mym przykładem; Oni w myslách knuia,
 Ze dla tey wysokósci, co nád Ludźmi stoia.
 Nie máia sie nic lekáć, y nie sie nie boia.
 A táż sama wyniosłość, cięszko bać sie káže.
 Tym bliższy ia upadku, im nád drugich láže.
 Iam strážny nie przyiaznym: iam poddanym luby,
 Woiennemu Ludowi panował, bez chluby.
 Sláwa w dálze národy zániosła me Imie.
 W buyney y delikátney wyspie, Krol w stymie
 Krolowałem, y sto Miałt co rok mi háracze
 Pláciło. Y národy (czego bárdziey plácze)
 Wyznáwały, zem ze krwi Iowisza Wielkiego,
 A kochály iák wnuká Minosa madrego.
 Ktorego wiekopomne, siyna do tad práwa.
 Coż mi nie dostáwáło! y czyiáby sláwa,
 Większa była! kiedybym umiał zázyc tego.
 Lecz pycha y pochlebstwo, z Tronu dziedzicznego
 Zrzuciły me. Y tákci káždy, Krol upádnie,
 Gdy zá zádza swa poydzia y pochlebstwem, snádnie.
Iednák

Iednąkiem, twarz wesoła ludziom pokazywał,
 Y nadzieia, ich umysł, w troskach utrzymywał.
 Zbudujemy (mawiałem im) iakie Miasto nowe,
 Ná to, cośmy strócili, poćiechy gotowe.
 W okolicy Narody, wszák nam przykład dają:
 Oto mury Tarentu, blisko nás powstaia!
 Phálant z Lacedemony, to Pánstwo funduie,
 Philoktet, pod Petyli imieniem, muruie.
 Nowe miasto Metapont, tym wszystkim podobne!
 A namże się niegodzi (iako im) ozdobne.
 Wystawować Krolestwa? Nie jest nam ostrzeysza
 Fortuná. Lecz myśl moja, w fercu zálošnieysza.
 Była, choćiay poćiechy była pełná w mowie,
 Co inszego ná ušciech, co inszego w głowie.
 Zá poćiecha więc miałem, dzienne światło tróćac,
 A w ćieniach powiniony nocnych, rzewnie plóćzac.
 Oczy lzy wylewały, iako dwie krynice.
 Snu nieználem, choćiay go iák naybardziej zycze.
 Y toć to jest, Mentorze! żeć się zdám stórzalym.

Gdy Idomen zakończył, z wzdychaniem nie máłym,
 Opowiadać swe biedy, Telemaka prósi,
 Z Mentorem, w sukurs Woyny, co świeżo podnoši.
 Skoro iá skończę (mowi) záraz wás odeszlé.
 Tym czasem moc okretow, ná zwiady rozefzle,
 Po brzegách y naydalszych, po pewne nowiny,
 Gdzie się Ulis obraca! czy żyć, co czyni!
 Y pewnie go dostáne, byłem wiedział kady.
 Czy burza, czy złe Bóstwo, łchowáło go! wszedy
 Znayde go. Day mi Boże, áby żył, á tobie
 Naylepsze záś Okrety wystáwie, w tey dobie;
 Budowane z onego drzewá, co ná górze
 Ida, rośnie; ná ktore y wiátry y burze
 Respektuia; że rozbić nigdy się nie może.
 [Bo się tám Iowisz rodził] áni w te podroże,
 Choćby się y wściekl Neprun, nie potráfi szkodzić,
 Ani swoich bałwanow, przeciw nim rozwodzić.
 Bądźcieśz pewni, że do dom záydziecie, bez trudu,
 Ani wás złość zátrzyma Bogá, áni Ludu.
 Nie możecie też błóćzić; bo łatwy y máły
 Ztąd przeciáz, ile gdy wás powiecie bywały.

Odeśliycieśz Phenicki okret, y o sławie
 Myślcie tylko; iako mie, w dobrej na Tron sprawie
 Ugruntować, y moie nieszczęścia nadgrodzić.
 Tak Oycá Ulisseffa ty mozesz odrodzić,
 W sobie Imie; ktorego, iczeli wyroki,
 Pod Tron Plutona ciemny, zesłaly głęboki,
 Zádumiona Grecya sława, ktora słynie,
 Pátrzyć będzie na Oycá wskrzeszonego w Synie.

Telemak Idomena przerywa, w te slowy:
 Odeślimy nasz okret; już umysł gotowy.
 Nie bawmy się! do broni! gdzie nie przyiaciele?
 Już się stali naszymi, idźmy na nich śmiecie,
 Ieźliśmy w Sycylii, za Acesta, wojnę
 Podnieśli, y krew wylać myśleli tak hojnie,
 Za Troiana, y Grekom tak nie przyiaznego!
 Ktoż watpi? że się bijac, za Krolá Greckiego,
 Co Miasto zniósł Pryama, ta Troie bezbożna,
 Ze Bogowie poszczeszczą, ta chęć tak nabożna.

Mentor, przez wzrok pożiera na niego spokojny.
 Uważa ogień zacny, tak skłonny do wojny.
 Radem, Synu Ulissa, (rzekł) że w tobie widzę,
 Do Wojny chęć gotowa; ale się nie wstydze
 Przypomnieć ci; że Ociec twój, po między wodzy,
 Greckimi, z tad naywiecy słynał, że na wodzy
 Umiał trzymać pássye; y w tym naysławnieyszy
 Został, że był naymedrszy, y z nich nayskromnieyszy.
 Achilles, niezwyćiezon, lubo był, y rany
 Zadney nie mógł otrzymać, y iákby wybrány
 Był, śmierć wszystkim zádawać, kedy się obrocił;
 Przecie Troi nie dobył, y sam się wywrocił
 Pod murem tego Miasta. Ktore tryumf miało,
 Ze z Hektora zaboycy, pomste odbierało.
 Lecz Ulissesa, mądrość, co iego rzadziła
 Mestwem, miecz z ogniem, w miasto samo w prowadziła.
 Y iego ręce, wieze pyszne obálily,
 Co dzieśieć lat, Grecyi sprzyśięgley groziły.
 Iák Minerwa nad Mársem, tak uważne mestwo,
 Niż wrzace serce, przedzey, przyniesie zwycięstwo.
 Záciiemyż w przod od tego: żeby się dowiedzieć,
 Przyczyn wojny! Ty Krolu rącz ie nam powiedzić.
 Iac się

Iać się niebieszczęstwa nie wzdygam, donoszę;
 Lecz, jeżeli sprawiedliwa twoja wojna! proszę.
 Potym, z kim! a na koniec, iakie twoje siły?
 By się końca dobrego spodziewać. Moy miły
 Mentorze, (rzekł Idomen,) gdyśmy w ten kat wleźli;
 Dzikismy Narod wielce, y taki znaleźli,
 Który iednym myślistwem, w tych lasach żył frogich,
 Y fruktami, które miał za miast potraw drogich.
 Gdy uyrzeli okręty nasze, się lekali,
 Y w gory nie dostępne swoje uciekali.
 Żołnierze, zbyt ciekawi, y goniąc Jelenie,
 Potkali owe zbiegłe, y dzikie plemienie.
 Wtedy starsi tych Ludzi, do naszych mówili:
 Mili Ludzie! Myśmy wam, brzegów ułtapili!
 Tylko nam, nie przystępne już gory zostały.
 Przynamniczyże, zostawcie w pokoju, ten mały
 Kray, y nas, przy wolności! Wy Lud blakający;
 Moglibyśmy was pognieść, iak w wiekszej będący
 Liczbę; y niktby otey nie pytał się strącić.
 Ale, lepsze my Dusze mamy, niż wy macie.
 Nie chcemy rak swych mazać we krwi waszych ludzi
 Miłość bliźnich, y do was, serca nasze budzi.
 Idźcież, a pamiętajcie, że naszej ludzkości
 Winnicie życia wasze. Naukę skromności,
 Od nas bierzcie wspaniałe; których grubiany
 Niesłusznie nazywacie, godni ztąd nagany.
 Nasi badac puszczeni, od Barbarów całi,
 Ze im życie powinni byli, się wstydali.
 Zebrałszy się dość liczno, szli na polowanie,
 Opatrzeni w broń; rączyj szli na wojowanie.
 Potkali się z dzikimi; y predko, y blisko,
 Uderzyli w nich; y tak zerwali się rzesko:
 Ze ta bitwa, z obu stron, zbyt okrutna była,
 Y ziemię pościskami, iak grądem okryła.
 Przecie, dzicy ułtapic w swe gory musieli.
 Gdzie, nasi się zapędzić Żołnierze, nie śmieli.
 W krotce potym dwu stąrców nymedrzszych wysłali:
 Aby nam pokoy z niemi, wyperśwadowali.
 Przynieśli nam prezenty, skory zwierząt bitych.
 Y frukta. A ieden z nich, tak, że słow obfitych,

Miał mowę do mnie: Oto Krolu, w jedney mamy
 Ręce miecz, w drugiej, gałąź oliwna trzymamy.
 (Y tak było prawdziwie, w oboje był stroyny)
 Obieray to na pokoy, a to masz do wojny.
 My wolamy swoy pokoy, y pewnieć dla tego.
 Ustąpiliśmy sami brzegu ci morskiego.
 Gdzie słońce żyzną czyni ziemię; bo odkryta,
 Y fruktow delikatnych rodzi moc obfita.
 Pokoy słodszy nad wszystkie te frukty tak śliczne.
 Dla niegośmy woleli gory okoliczne,
 Z których śnieg nigdy, ani lód straszny nie schodzi.
 Gdzie nieznano co Wiosną, y co lesień rodzi.
 Wzdrygamy się tej chuci, bestyalskiej prawie,
 Co w tytuł ambicyi stroi się, y w sławę,
 Szalenie krąci się; y krew leci, traci
 Tych Ludzi, co iak siebie trzymamy za Braci.
 Ieżli cie taka sława wzbudza, iak widzimy,
 Nie zazdrościmy ci; raczey żałować, prosimy
 Bogów, by nas chowali, od tego furoru.
 Ieżli Grecy nie mają, inszych, nauk wzoru?
 Y inšey, polityka ich, nie ma nauki!
 Tylko, takie, obmierzły niesłuszności, sztuki!
 Mamy się za szczęśliwych, że ich nie umiemy.
 Y sławę mieć będziemy, byż zawsze dzikiemi.
 Barbarzy ale ludzcy, sprawiedliwi, wierni,
 Bez interesu, w małym kontenci, y mierni.
 Delikatna próżność daremna gąrdzący,
 Zdrowie, wolność, y wigor ciał, y myśl lubiący,
 Bojaźń Bogów, y bliźnich swoich zakochanie,
 Wierność wszystkim, lecz bardziej przyjaźni chowanie,
 Utrzymanie się w szczęściu, a w nieszczęściach mestwo,
 Odwaga w mowie prawdy, a pochlebstw zwycięstwo.
 Takie ci to Narody, my ofiarujemy,
 Za Sąsiady y Bracia (ieżli chcesz) dajemy.
 Ieżli cie, zagniewane tak zaślepią Bogi,
 Ze odrzucisz ten pokoy, coć go dajemy drogi,
 Uznasz, ale nie rychło, że cię co w pokoiu,
 Z kromności się kochaia, są straszniejsi w boiu,
 Nim mi rzecz swoją. Starczy ci, wypowiedzieli,
 Napatrzyć się, ich nie mogli. Brody długie mieli,

Głow

Głow zaś siwych, włos krotki. Brev gesta, a żywe.
 Oczy, Meskie poyzrzenie; słowa zaś zyczliwe,
 Poważne obyczaje, proste y rzetelne,
 Y z sercem w uprzejmości, całę nie rozdzielne.
 Futra co za miast sukien, uszye wiśiały,
 Zylowatsze ich ręce, nam ukázowały,
 Nizli naszych Atletow. Ia odpowiedziałem,
 Tym Posłom: że w pokoiu żyć, z ich ludem chciałem.
 Szczerześmy kondycye podpisałi różne,
 Wzięli Bogow za świadki, a ia im w oduzne
 Dałem wielkie prezenty. Lecz też same Bogi,
 Ktore Tron mi dziedziczny wydarli; moy drogi!
 Ieszcze się nie zmiękczyli, w mym prześladowaniu!
 Nasi strzelcy, niewiedzac o zkonkludowaniu
 Pokoiu, tegoż tam dnia, wielka moc potkali,
 Tych Bárbarow, co Posłow swych konwoiowali.
 Y uderzyli na nich: część iedną pobili,
 A druga w ciemne lasy, uparcie gonili.
 Tak woyna się zaczęła. Dżicy rozumieli,
 Ze naszym, próżno ufać przysięgom już mieli.
 Wiec żeby nam zdołali; na pomoc wołaią
 Lokrynów, Appulinów, y Brutynów maia,
 Hukami, Brucyani, Brydy, z Nertymi,
 Lecz naygorsi Luerni, Proton między nimi.
 Bo ci, wozy, ostremi nabite kofami
 Wiodą, a drudzy idą z frogiem palkami.
 Są wzrostu olbrzymiego, a z pracy ustawney
 Tak ciała wyćwiczili, że strach patrzy iawný
 Z ich oczu. Lokrowie zaś (ktorzy z Greków poszli)
 Nie stracili sztuk dawnych, a wigoru doszli
 Dżikich ludzi, tarcz letka, z mieczami długimi;
 To ich prawie już czyni nie zwyciężonemi.
 Brutyni, iak sarn lekcy, ni szlądu na trawie,
 Ni na piasku, zostawia; a biją się zwawie.
 Iako Piorun, na szyki bijac się rozsicia
 A w momencie, nie wiedzieć, kedy się podzicia.
 Krotoni, szybko strzają, z tak tegich puszczają
 Łukow, że im puklerze nic nie wytrzymają.
 Napuszczone ich strzają fokiem żioł, śmiertelnym,
 Co nad brzegiem Awernu rosną. [to rzetelnym

Mam dowodem] Drudzy zaś bez wojennej sztuki
 Tylko siła wojuna, a głosy y huki
 Straszne szła pod Niebiosą, procy żążywaia,
 Y kámiénimi, blask słońca y dnia, zástaniaia.
 Y toć to iest Mentorze, czego wiedzieć chciałeś.
 Z kad Woyna wszczeta! y z kim! już się dowiedziałeś.
 Po tym zaś obiańwieniu; Telemak goracy,
 Już myślał się do broni brąć, na Woynę wrzacy.
 Lecz go Mentor zatrzymał; rzekł do Idomena:
 Zkadże Lekkrow (co z Greków wyszli) tą złość wzięna!
 Łaczyć się z Barbarami! na was Greków strata!
 Czem Greckie Colonie, przenosza się na te
 Brzegi, iak wy! A nikt ich przecie nie wojnie,
 Ani ich Coloniey ruszać usiłuje,
 Iak was! O Idomenie! ty mówisz, że Bogi
 Nieustaia cięmiężyć cię, przez swoy gniew frogi;
 A ia mówię, że ieszcze cię nie dokończyli
 Uczyc, przez twe nieszczęścia, ni cię wyuczyli,
 Nie słusznych woyn nie wsczynać. Z tey mowy, co czynisz
 Orzetelnym postępku ich; sam się w tym winisz,
 Pokázuiać, że z nimi mogłeś żyć spokojnie,
 Gdybyć pycha żyć dała, z Ludźmi bogoboynie.
 Mogłeś im być dać w załstaw swoich, y w zaicmnie
 Wziąć od nich; Y to by ci nie było daremnie:
 Gdybyś kogo z starczyzny, z ich wysłał Posłami,
 Zeby ich poprowadził, zdrowo między wami.
 A choć się z nowu woyna, z wami odnowiła!
 Skończyć się, na początku zaraz, mogła była.
 Trzeba im było, wywieść: że strzelcy nie byli,
 Przy pokoju zawartym, co ich zączepili.
 Trzeba im bezpieczeństwa, było ofiarować,
 Ktorychby tylko chcieli, od was pretendować.
 Kary straszne náznaczyć, tym, co niespokoyni.
 Ale coż się z początku działo [powiedz] woyny!
 Idomen mu odpowie: Ia za wstyd mniemałem,
 Te wieść: że u Bárbarow, pokoju szukałem
 Ktorzy, zaraz do woyny zdolnych, popisali.
 A do Ludow sąsiedzkich, po sukurs posłali.
 Czyniać nás podeyzrzanych; Przeto mi się zdáło.
 Za naylepszá; áby się te opánowało,

Předko

Predko w gorách przechody, słabo wartowane;
 Bez trudu się to wzięło, y ufundowane,
 Zaraz wieże stały; z których strzelać snadno.
 Dzikich, kiedy z gor, na nasz Kray niski, się skradną.
 My zaś w ich kray, kiedy chcem, zagony puszczamy,
 Y Plon z ich pomieszkania, zawsze sprowadzamy.
 Tym sposobem, możemy, lubo w liczbie małej,
 Utrzymać, niezliczony ten w koło lud cały.
 Ale pokoy nasz z nimi, stał się przytrudniejszy:
 My więc niechcem odstąpić, dla tym bezpieczniejszey.
 Zastony, na ich zbiegi. Z nich zaś, nie pozwoli
 Nikt, na nie, sądzić, że ich, te wieże w niewoli
 Jak Cytadelle dzierża. Mentor na te rady,
 Tak odpowie: Tyś mądry Krol, y bez przyfady,
 Posłuchasz szczeręj prawdy. Aniś, z owych Ludzi;
 Co się ich widzieć boja. Taki sam się ludzi,
 Kiedy serca nie mając, na swoje poprawę
 W tym zakłada opone, powagę y sławę:
 Zeby, błąd popełniony utrzymać, koniecznie.
 Wiedz, że ten naród dziki, uczył cie statecznie:
 Gdy cie prosił o pokoy. Czy on to z słabości.
 Czyni! czy mu sił, albo w odwadze meżności
 Nieśtawalo? Widzisz, że y sam jest woienny,
 Y z sąsiadow odbiera sukurs nie odmienny.
 Czemuż moderacyi ich, nie naśladowiesz?
 Czemu się prożna sława, y złym wstydem trućsz?
 Bałeś się, zbyt pysznemi, Nieprzyjaciół czynić!
 A niebałeś potęgii y sił im przyczynić!
 Wieżac takie Narody, przez twą dumę z niemi.
 Te wieże co ie chwaliśz, z wałami mocnemi,
 Przywodzą ich, (żeby się kaydan uchronili.)
 Aby sami zginełi, albo cie zgubili.
 Teś Wieże, dla większego stawił bezpieczeństwa;
 A oneć okazywa są, niebezpieczeństwa.
 Naypewniejszy wał Państwow, skromność sprawiedliwa,
 Dotrzymanie y pewność, Sąsiadać nabywa,
 Y że mu nic nie wydrzesz. Naymocniejszy mury
 Upać mogą z przypadku. Y Fortuna fury
 Różne ma, y odmiany cięszkie, w swym nieśtátku;
 Ale przyjaźń sąsiadow, ufność twego státku,

M m

Czynia

Czynia, że twoy kray, rzadko będzie zączepony
 Ale nigdy podbity, ani zwycięzony.
 Bo choć się znajdzie sąsiad, który cie zączepi,
 Drudzy, ktorzy doznają, że im z toba lepiy
 Biega na twą obronę. Z tych Ludow pomocy,
 Ktorzyby cie bronili, ze wszystkiey swey mocy,
 Miałbyś wiekszą potęgę, niż z tych wież fortecy,
 Na ktore teraz, Dżicy przysięgli, y Grecy.
 Gdybyś się był, boiżni tych Ludow, uchronił,
 Twe Miasto się rodzące, szczęściembyś zasłonił.
 A sam, tu w Hesperyi Arbitrem byś został.
 Lecz daymy temu pokoy, czegoś już nie dostał.
 Namienileś mi: że tu na tym brzegu, siła
 Już, Greckich Colonia Krolow, zaszczepliła.
 Ci Ludzie, na twoy sukurs, mają być gotowi,
 Y pomnieć, że ty idziesz ze krwi Jowiszowey.
 Dopieroż; Praca twoja, któraś wobleżeniu
 Troi podiał, y całej Grecyey zbawieniu;
 Czemuż ich nie pociągnie? na twoją obronę?

Idomen mu odpowie: każdy się na stronę
 Umknął. Onic by w prawdzie, ratować mie chcieli;
 Ale zazdrość, z początkow mego miasta wzięli.
 Y potęga ich moja, zgoła zastrążyła.
 Tak Grekom, iak y Dżikim, jedna myśl się wbiła:
 Ze na wolność ich czuвам. Y tak rozumieli:
 Ze podbiwszy Bárbarow, będziemy ciągneli,
 Y na nich, nasza pycha. Słowem, są przeciwni
 Wszyscy nam, iakby wszystkim, byliśmy im winni.
 Y choć woyny otwartej z nami nie ztaczała,
 Na nasze ponizenie lecz wszyscy wzdychała.

Dziwne sprawy! (rzekł Mentor) chcąc siły pokazać
 Też siły y potęgę, musisz psuć y mazać.
 Gdy strachem za granicznych napelniasz, swej zwady,
 Ostatnie siły w domu zwodzisz na sąsiady.
 O! dwoiako niešťczesny Krolu, Idomenie!
 Ktoremu, dość rozumu, nie dało ćwiczzenie.
 Czy trzebászci drugiego, spadku! abyś poznał:
 Iako źli Krole gina (ieśliś dość niedoznał)
 Przecież, postoy! y spuść się na mnie, Krolu miły.
 Powiedz Miastu tych Grekow, co się tu stały.

Nay:

Naywiększe [rzekł Idomen] jest Miasto Taranta.
Od trzech lat fundowane, blisko od Phalanta.
Wiesz, że w Trojańska wojnę, Białychgłów nie mało,
O Mezach, y o cnoście swoicy, zapomniało.
Za powrotem zaś Meżow, tym ich przepraszaia:
Ze Dzieci, pod niebytność spłodzone, rzuciaia.
Opuszczeni od Mátek, Oycow nieznáiacy,
Rzuciaia się do swywol. Ale sad goracy
Nie cierpiał ich excessow. Oni się zebrali,
Y Phalanta, za głowę odważną, obráli.
Umiał ich sobie zyskać, y Meżne Lákony,
W te brzegi zaprowadził, y ośiadł w te strony,
Tarant, Lacedemonom rowny, czyni prawie.
Drugi zaraz Philoktet, pámiety ci w sławie,
Co pod Troie nam przyniosł Herkulesa strzały,
Petyli mury stawił; sam meżny y śmiały.
Nestor mądry, z Pillami swemi, blisko nás tu
Metoponte funduiac, dał to Imie Miastu.

Iáko! / przerwie mu Mentor: Nestorci w sásiady!
 A tyś go na ratunek nie wciągnął, twej zwady!
 Nestor! niegdy Przyjaciel twój! y który w boju,
 Pod Troją cie znalazł! Aty, nie masz go w pokoju?
 Straciłem jego przyjaźń (Idomen odpow.)
 Tak się temu zdrádnemu, udało Ludowi,
 Który tylko Bárbarow Imię, nie rzecz nośi,
 Ze go uwiedli, mówiac: że się moy wynosi
 Lud, áby się uczynił Hespéryi Pánem,
 A ráczey przez podbićie, ich wszystkich Tyranem.
 Wywiedziem to inaczey. (Mentor rzecze) iámu:
 Był u niego Telemák w Pilośie, nim się mu
 Tu gniezdzić przyszło; gdyśmy z Domu się puszczałi
 W te długie drogi, byśmy Ulissá szukali.
 Znam tego Bohátýra; wie Ulissá Imię,
 Y w iákiey Syna Iásce chował, y w estymie.
 Naypierwsza będzie, liczyć niedowiárstwa iego:
 Ze dla suspicyj, trosku nábwil cie tego.
 Y ta woyná urosła; żeć Ludzie nie wierza,
 To im trzeba zgłow wybić! A tak się uśmierza.
 Ale daieno pokoy. Mey to zlec roboćie.

Ná te słowa, Mentora ściska, w swym kłopotcie,
Mm 2 Idomen

Idomen, y sam mówić, gdy długo nie może,
 Na koniec to wymawia: O! moy wielki Boże!
 Coś stārca tak mądrego zesłał, na náprawe
 Moich błędow, y czynow moich na poprawę.
 Przyznając; że kto inszy, jużby mię rozniewał,
 Ktoby mi tak odważnie, tę prawdę rozsiewał.
 Y to przyznam: żeś mi sam przywiódł do pokoju,
 Chcącego albo zginać, albo wygrać w boju.
 Lecz lepiej madrey rady, niż słuchać swey chęci.
 Szczęśliwy Telemáku! choć Fortuna kręci,
 Toba; ale pobłdzić nie możesz, iako ja,
 Za przewodnia Mentora, prosta droga twoja.
 Mentorze! Tyś mym Pánem! Madrość Bogow w tobie
 Minerwa, niebyłaby mądrsza, w swey osobie.
 Idź, obiecuy, konkluduy, y co jest moiego,
 Nie żałuy, masz zawadce ze mnie, iak z swiego.
 Kiedy tak rozmawiała; aż tu słysząc razem
 Koni rzących tent, wozow, zbroionych żelazem.
 Głosy ludzkie, ryk rączy, Trabaczow Fanfary,
 Y co sie liczyć może, między Marsa dary.
 Krzykną w Mieście: Oto już, Nieprzyjaciół mury
 Opasuje, y obległ Salente, jak chimury.
 Wieże obszedł daleko, y strażę pominął.
 Tu stārcy z niewiastami drża; iakby już zginął
 Każdy, rzewnie nárzeka. Czyż nam kráie żyzne,
 Rzucąc było potrzeba! y miła Oycyzne!
 Iść z Krolem niešťczęśliwym, to Miásto fundować!
 Które, liczne przysięgły Narody, zepsować.
 Widąc było z tych murow, tak Pola okryte
 Szyszakami, zbrojami, iakby były lite.
 Piki, Dżidy, tak gęsto, po polách sterczały,
 Iak gdy obszar Sykulski, w kłosach pływa cały,
 Gdy pracy Oraczowi, Ceres płaci myto.
 Widąc, że wozow koła, kosami nábito.
 Każdy Narod z osobna, rozeznąć przez stroie.
 Mentor wszedł na wierzch wieży, na uwagi swoje.
 Idomen z Telemakiem, tuż za nim spieszyli,
 Nestora, Philokteta, zkad wnet obaczyli,
 Idących. Nestor łatwo, przez stárość, poznany.
 Zawoła Mentor; Coż to? ow nie porównany

Nestor,

Nestor, z toba wojuie? tyś nieboże mniemał,
Ze on, z toba prowadzić Woyny, nigdy niemiał!
A on idzie ná ciebie! Philoktet z nim mężny!
A zdami się, ten w dobrym porządku, potężny,
Iest Phálant! (co zá niemi szedł, z Lacedemony)
A widzieć to! od wszystkich iesteś odstąpiony!
Niechcąc, wszystkicheś zrobił sam nieprzyjaciół!
Y to mówiąc, wskok Mentor, zbiegl z wieży na dół.
Idzie prosto do bramy, ku ktorey szli z pola;
Kaze sobie otworzyć. — Co iego zá wola!
Y myśl! nie śmie Idomen spytać; tak poważnie
Rzeczy swoje prowadził Mentor, y odwaznie,
Mentor kiwa, żeby nikt z nim z Miastá nie poszedł;
Przeciw szykom, sam idzie, do ktorych gdy doszedł,
Wyniosł gałąz Oliwy, w znak pokoju cnego.
A gdy go słychać było; Prosił o kázdego,
Wodza w swoim Narodzie, ktorzy gdy się zeszli,
Tak do nich mądrze zaczął, kiedy w koło weszli:

Ludzie zacni, ztak wielu Narodow, wybráni;
Wiem, żeście tu, dla iedney wolności, zebráni.
Chwałę wászą chceć meżna. Lecz mi pozwolicie,
Dać wam sposob, że wolność y sławę sówicie
Utrzymacie, krwi ludzkiej nie leiac. O! zacny
Nestorze! ktorego ia, w tcy tu kupie znaczney,
Widze; Ty sam wiesz lepiey, iák woyna szkodliwa!
Náwet y ta, która się, zda bydź sprawiedliwa.
Woyna! iest to bicz Boży. Wszak nie zapomnialeś
Nieszczęść? w ktorych dziesięć lat, Grekow żalowałeś,
Pod Troią nieszczęśliwą. Co tam zá rozruchy
Były, między Wodzami! iák odmiennie Duchy!
Inszey co raz fortuny. Y co názbýt spora,
Grekow ręka zaczęła zabiciem Hektora?
A nuz! co zá nieszczęścia, po Miastách tak siła!
Długa Krolow nie bytność, w Domu nárobiła!
Powracając, iedni się ná morzu rozbili,
Drudzy, ná łonách swych żon, śmierć ponachodzili.
Pewnie w gniewie Bogowie, ná Grecyá byli,
Gdy ná expedycyá, tych woyn iá wzbudzili.
Hesperyjskie Narody! zycze, by Bogowie,
Niedali wam tego, co Zwyciestwem się zowie,

N a

A w sku-

A w skutku zaś jest szkoda. Już Troja zgorzała;
Leczby Grekom z tym lepiej było! Gdyby stała.
Niechby Parys niewieścuch, z Heleną w pokoju
Swych amatorów zażywał. Philoktecie! w gnoju
Na Wyspieś Lemnos leżał! w biedzie opuszczony;
Nie boisz się podobnych nieszczęść! zdrugiey strony,
Znaleźć w tej tu sam wojnie! wy Lakońskie ludy!
Coście też ucierpieli! (mówcie bez obłudy).
Przez niebytność, swych Pánów! na wojnie odległych.
O Grecy! których widzę, w Hesperya z biegłych!
A dla czegoż! Ojczyzny sweście porzucili!
Tylko dla złych przypadków! Wojny to zrobili.

Tak Mentor przemówiwszy, ku Pelinom ma się.
Nestor także ku niemu. Każdy z nich pozna się.
O Mentorze! rzecze mu, już to lat nie mało,
Gdy pierwszy raz w Phocydzie, ciebie się widziało.
Tylkoś lat miał piętnaście, a ja już widziałem:
Ze mądrość w tobie, której zawsze doznawałem.
Jakiż tu przypadkiem! w te sam zaśzedł króie!
Co za sposób! tej wojny twoja mądrość daie,
Uchronić się! Idomen, do niey nas przymusił.
My pragniemy pokoju, każdy się on kuśł.
Ale żaden pewności, z nim znaleźć nie umiał.
Łamać Páktá z sąsiady, on za nic rozumiał.
Dumne swoje zamysły, nam wszystkim pokazał.
Y iakby już w niewoli nas miał! durno kazał.
Już nie mamy sposobu, na swoją obronę;
Tylko, jego obalić Pánstwo, y koronę.
Ale, Ty zaś, iczli masz, iaki sposób iawny!
By mu ufać się mogło! y w przyjaźni dawney,
Dobry pokoy zgruntować! Te wszystkie národy,
Broni porzuca, y chętnie, bez najmniejszey szkody,
Rozeyda się w pokoju. Przyznając z radością,
Zes nas wszystkich, sam ieden, swą przeszedł mądrością.

Mentor mu odpowiedział: wiesz mądry Nestorze:
Ze Uliś, Telemaka zostawił, w dozorze
Moim, swojego Syna. Ktory, nie cierpliwie
Chcac wiedzieć, o swym Oycu; zaiechał szczęśliwie
Do ciebie do Pilosu; tam wszelkim stárániem,
Przyjałcs go, y rownym iak Oycza kochániem.

Przy-

Przydałeś mu y Syná. Lecz on, w długie potym,
Puścił się drogi morskie, zniezmiernym kłopotem.
W Sycilij, w Egipćie, był w Cyprze, y w Crećie,
Wiátry go tu zanosły, gdy błądził po świecie.
A raczey cni Bogowie; ktorzy nás przysłáli,
Znać ná to: ábyśmy was, w tey uhámowali,
Okrutney Woynie. Iuż to nie Idomen; Ale
Cny syn Uliffa, y ia, raczyć doskonałe
Będziem: áby się stało, co się tu umowi.

Gdy to Mentor z Nestorem, przed szykami mowi;
Idomen z Telemákiem, y Ludźmi zbroynemi,
Pátrzyli ná nich, leżac, nád murámi swemi.
Obserwuiac, iák bada dyskursy Mentora,
Przyiete od madrego, z innymi, Nestora.
Ktory záuwsze, od Ludzi, zá medrca był wzięty,
Zá naywymownieyszego, u Krolow przyiety.
Ten, podczas Troi wzięcia, Achillefa szumy,
Pyche Agamemnoná; y Aiaxa dumy.
Impet Dyomedesa, wśzystkich moderował,
Ślodką mowá, iák mleka potokiem, hamował.
Iego ieden głos, między Rycerzmi wśzystkimi,
Słychać było; nikt nie thnął (przy nim,) między nimi.
On sam, dzika ugłaskał, w obozie niezgodę.
Prawda, że czuł, wśtárości słábey, niepogódę;
Ale iego wymowá, mocy y ślodyczy,
Pełna była. Y ták on, gdy swe dziecie liczy,
Uczy młodzieńsz przykłády, choć troche leniwo,
Ale wdzięcznie, z wymowá, y miła y żywa.
Ten stárzec, od Grecyi całey, szácowány
Zdał się bydz, przed Mentorem, cále zadumiány.
Wymowę y powagę, iákby przednim strácił.
Starość iego zwiędniała, ktorey wdzięk utrácił.
A w Mentorze záś, látá, wigoru nie brały.
Iakby w nim kompleksy, z ciálem szanowały.
Mentora słowa proste, lubo ták poważne,
Były, że Nestor swoie nieználażł ták rázne,
Co rzekł, to krotko z węzłem, nic nie powtárzájac,
Y rzeczy nie potrzebne, w mowie opuszczájac.
Ieżli musiał powtorzyć, żeby w Ludzie w mowił;
To samo, roznym senssem, obrocił y mowił.

N n 2

Nawet.

Náwet, wchodząc w interes [w którym mówił] cudzy ;
Miło to przyprowadzał, do tych, dobrá ludzi.

Ci dwaj stárcy czci godni, oczy ná sie wzięli,
Tych Ludzi zgromadzonych ; zá serce ich wzięli.
Cisną sie wszyscy w koło, káždy ich rad widzi.
Idomen zgory pátrzac, sam sie w sobie biedzi :
Co z sobą rozmawiaia ? Y co ma rozumieć !
Z jestow ich ! bá y z twarzy ! których trudno umieć.
Telemak nie cierpliwy, z głumu sie wykrada.
Bieży do bram, y zá swym Mentorem, wypada.
Idomen, który mniemał, że go miał u boku,
Już go widzi zá Miástem, w lotnym w polu skoku.
Nestor go w net poznać, lub leniwo, spieszy.
Telemák go zá fzyie, [y on sie tak cieszy ;
Ze przemówić nie może] Ná koniec tak woła :
O moy Oycze ! niewstyd mie názwać cie tak zgola !
Bo swego nieznayduiac, á twych lásk znáiomy,
Moge ci dáć ten tytuł, iákbyś był rodzony.
Znam cie Oycem, kochánym, y w tobie go widzę !
Niewidzac Ulissesa, czym sie dotad biedze.
Ty ieden byś mie w żalu tak długim pocieszył,
Gdybym sie tobą długo, iáko pragne, cieszył :
Nie utrzymał lez Nestor, ná tak mile słowa
Telemaka samego, ráż kwiliła mowá.
Uroda, zacne męstwo, Młodziana owego
Przez istryki, bez Konwoiu śmieie idącego,
Zdumiała Colligatow. Czy nie Syn Mentora !
Tego starca ! który tu chodził do Nestora.
Iedná w nich iest roztropność, lubo w Wiekú rożnym.
W tym kwitnie, w tym doyzrzała, w owocu nie próżnym,
Mentor pátrzac, iák ludzko, Nestor go przyjmował ;
Z dobrej dyspozycyi, dobrze profitował.
Y zawała : owo iest, Syn, Ulissa tego !
Cáła zawsze Grecya kochała ktorego.
Otoż, zacny Nestorze ! tego ci w zástáwe,
Ná droga, Idomena, ofiaruję spráwa.
Sadz, że Oycá takiego, ja nieśmiałbym, Syna,
Wystawować ná stráte, y żeby ta wina,
U Mátki Penelopy, ná Mentora padła :
Ze pycha, Salenckiego Krola, tu go ziadła.

Sam się wam ofiaruję. A rączy Bogowie,
Tu wam go przysyłaia, pokoiu Poslowie.
Narody zgromadzone! tylko mnie słuchaycie!
Wieczny pokoy wam dacie; a wy ucho daycie.

Ná to Imię pokoiu: szemranie powstaie.
Ieden rzad, głos drugiemu, po szych podacie.
Wszystkie różne Narody, od gniewu zgrzytały,
Y że im, chcą zwycięstwo wydźierać się bały.
Naybárdziey Manduczycy byli niecierpliwi,
Ze Idomen już ich raz, oszukał zdradliwy.
Chcieli przerwać Mentora; bo się bardo bali,
By madre mowy jego, drugich nie wstrzymały.
Poczęli się strzedz Grekow, co Mentor postrzega,
Y rozróżnić ich wszystkich, tym prędzey ubiega.

Przyznacie, Mentor rzecze: że miała przyczyna
Manduczycy, nadgrody chcieć, za taka winę.
Ale też to nie słuszna; żeby, Grecy sławni,
Zostali w nienawiści, u tych, którzy dawniey
Te tu kráie posiedli; raczey między sobą,
Zgodnymi bydź powinni, y drugim ozdoba.
Przy wszelkim utrzymaniu, nieruszyć cudzego.
Wiemci ja, że Idomen, tu tknął nie iednego.
Y wdał się w suspicje; że nań się spisuia;
Ale łatwo poradzić tym, co pokoy psuia.
Oto ja, y Telemak, w zastaw się dajemy,
Y w wálznych, poty rekách, sami zostajemy;
Poki Idomen, tego nie wypełni cale.
Zá co się zápiszemy, wiecznie wam y trwale.
Tyka was Manduczycy! że Cretencykowie,
Gory opánowali, nie stóiac w swym słowie;
Y że, tym procederem, w ten kray zágladzia,
A (że rzekę prawdziwiey) zá swoy go już miała,
Ktoregoście, z miłości ku nim, wy odeszli,
A oni, z Łaski wálzey, weń spokojnie weszli;
Wszak mieysca, co Getowie, wieżami zmocnili,
Y Ludem zbroynym, na was, tamże osadzili,
Wszak to iest, woyny rzrodło! odpowiedźcież ná to?
Wtedy Wodz Manduczykow, rzecze: tak iest zá to
Podieliśmy te woyny. Cośmy nie czynili?
Zebyśmy się tey woyny krwawey uchronili!

Sa nam Swiadki Bogowie, że wtedy, pokoju
 Przyszło się wyrzec, kiedy nas, pycha, do boju
 Przywiodła, Idomena, y niesłowność tylo,
 Ze na ich się przysięgi, spulzczać trudno było.
 Narodzie nierozumny! co nas przeciw woli
 Do rozpacz przywiodłeś! To nas samo boli:
 Ześmy swej już całości, nie mogli znaydować,
 Tylko w tym, by ich gubić, y ich prześladować.
 Poki te swoje Forty, beda chcieli trzymać,
 Rozumiemy, że nasz kray, y nas chcą poimąć.
 Gdyby chcieli, w pokoju znami żyć, prawdziwie?
 Mieliby dosyć na tym, co im dobrotliwie,
 Samiśmy uśtapili; ani by szukali
 Weścia w kray, na ktorego wolność, czatowali.
 Nieznasz ich, mądry starcze! doznaliśmy y my
 Dopiero ich frantostwá, zdrády nieszczęsnymi,
 Przestań y ty Człowiecze, od Bogow lubiony!
 Oddalać słuźna Woynę, od niesłusznhey strony.
 Bez ktorey, Hesperya, pokoju trwałego,
 Spodziewać się nie może, od Ludu chytrego.
 Niewdzieczna y okrutna, Nacyo obłudna!
 Na niepokoju, od Bogow, nasz przysłana ludna!
 Na karę naszych grzechow. Ale wy Bogowie!
 Skarawszy nas, y na ich, pomścicie się głowie.
 Y iak na nas byliście, tu sprawiedliwemi,
 Nie mniey, też sprawiedliwość, sprawuycie nad niemi.
 Na te słowa, całe się koło obruszyło.
 Od Márfa y Bellony, po zwykách toczyło
 Hásło, na krew y bitwę; ktore gásić myśli
 Mentor; y tak rzekł do nich, gdy do niego przyszli:
 Kiedybym, obietnice sama, wam przynosił!
 Moglibyscie odmówić, to, o com was prosił.
 Lecz wam rzeczy przytomne, y pewne podaje;
 Niechcecie Telemaka? y mnie! (co się daie)
 Dam wam dwunastu Cretow, pierwszych w urodzeniu,
 W odwadze w meśtwie znacznych, y w ich dobrym mieniu.
 Dacieśz y wy z swej strony, w zaiemnie zaśtawy
 Iak zwyczaj iest wchodzacych w zobopolne sprawy.
 Idomen, wiem że pragnie szczerze, dziś pokoju.
 Iednakże, nie bojąc się Woyny; ani boju;

Pragnie

Prągnie iák wy prągneli; z iedyney madrości,
 Ale, nie z pielzzonego żywota miłości.
 Ani z niebepieczentwa, którym woyna grozi,
 Y bied apprehensyi, ktore z soba wozi.
 On chce zginać, lub wygrac. Lecz pokoy przekłada
 Nád zwycięstwo. Bo miłsza zgoda, niżli zwáda.
 Wstydby go, gdyby sie bał, zwámi tu przegrancy;
 Ale wiekszy, gdyby bład nie był wetowany.
 Boi sie niesłuszności, woyny sie nie boi.
 Ofiaruieć on pokoy, lecz przy broni stoi.
 Niechce wam nádać pyszno; bo táki nieważy
 Pokoy co jest przymuszon, y dáie urázy.
 Pokoiu z wszystkich wola, chce, co skóńczyć może
 Boiáźń, gniew, suspicye. Táki ia wam wioze.
 Táki sie już y Idomen náklonił, rzetelnie,
 Iákbyście sami chcieli, by był nieśmiertelnie.
 O nic wiecey nie idzie, tylko, perswadować
 Wam, [co łatwo] tylko mi, chcieycie podarować:
 Abyście mey, spokoynie, posłucháli mowy,
 Wy, narodow, madrością z męstwem, pełne głowy.
 To macie od Idmena: Niesłuszna, by w kráie
 Wpádał swoich sąsiádown. Lecz y to, sie zdáie,
 Bydź niesłuszna: by wiego, także, wolno było.
 A dla tego; żeby sie obom zábroniło,
 Te wieze, co ná pássach, są erygowáne,
 Od woysk neutrálístow, niech beda chowane.
 Ty Nestorze, z Philoktem, Grecy z urodzenia,
 Przecie zkolligowani, tu ná Idomena,
 Wy cóście dla pokoiu, y iedney wolności
 Hesperow, weszli przeciw niemu, w záwziętości,
 Wam te wieze powierza, tey woyny przyczyny.
 Wasz interes: zábronić Salentu ruiny.
 Nowego osadzenia, iák wy osadzacie.
 Wasz interes: zábronić, iáko zabraniać,
 Zeby krzywdy nie mieli, od chciwych, sąsiedzi,
 Ale żeby spokoynie siedział, iák kto siedzi.
 Trzymajcie między niemi, iako mowie, wáge
 Y Miásto krwáwey woyny, cnych Sedziow powage,
 Weźcie ná sie. Rzeczecie: że te kondycye,
 Byłyby dziwnie dobre; Idomen gdyby ie

Wypełnił szczerze! Aleć, pewność jest wzajemna;
 Gdy z obu stron zastawa, w rekách, nie daremna,
 Poty będzie, poki on, w trzecie ręce wiczy
 Nie odda. Kiedy całość Hesperyi, leży
 W ręku wászych! Gdy Salent, y Idomen zgoła:
 Ná wásza dyskretya, zdaie się, y woła!
 Będziecież już kontenci? kogoż się będziecie
 Wiecey strzedz! chyba sami siebie, się strzeżecie.
 Ufaycie Idmenowi; który wás oszukać
 Nie może tym sposobem. Ni znaleźć, ni szukać
 Zadney zdrady niemoże; kiedy wam powierza
 Życie, pokoy, y wolność, dla tego przymierza.
 Ieżli to była prawda! żeście wy prawdziwie,
 Szukáli z nim pokoiu! oto go istliwie
 Macie. Ieszcze powiadam raz; Nie rozumieyćie:
 Ze to czyni z boiaźni; tchorzem go nie mieycie.
 Sprawiedliwość, y mądrość, naywyższa mistrzyni,
 Sprawuie, że przez cnotę, nie przez strach to czyni.
 Z poczatku, on pobladził; lecz w tym kładzie sławę:
 Ze tym co ofiaruie, zła poprawił sprawę.
 Prożność to śmiechu godná, y gruba prostota;
 Chcieć pokryć swoje błędy, iáko w worze kota,
 Pycha się utrzymuiąc. Lecz kto błąd wyznaie,
 Y tudzież, Adwersarzom oblig ná się daie,
 Ich szkody reparować! iáwnie pokázuie:
 Ze chęci nowych pełnić, w sobie nie znayduie.
 Takiego, Nieprzyiaciel, niech się w zaiem boi,
 Gdy miru nie przyimuie, y tak fochy stroi.
 Strzeżcie się! ozebrani wielcy Ludzie y wy:
 By nie był w zaiem, w swoiey sprawie, sprawiedliwy,
 Ieżli pokoy y słuszność, od się odrzucaćie!
 Pomsty, od tych dwóch Bogiń, wzajemnie doznaćie.
 Idomen, co miał do tad, rozgniewáne Bogi;
 Przemieni ich gniew słuszny, ná wás pewnie frogi.
 Poydziem przy dobrej sprawie, y Telemak y ja,
 Do bitwy. Wás o Bóstwo! [które nie przemija]
 Niebieskie, y piekielne, ná świadectwo wzywam!
 Ze słusznych propozycy, do miru zázywam.

To Mentor zakończywszy; Gałazkę oliwy
 Podnośi, wżem Narodom, pokoiu znak żywy.

Wodzo

Wodzowie bliscy , blaskiem Boskim otoczeni,
 Z oczu iego idacym , stali zadumieni.
 Majestat y powaga , w nim sie widziec dala,
 Ktora w zadnym z smiertelnych , sie nie pokazala.
 Przytym , slodycz slow z moca , taka sie dobywa:
 Iaka moc , czaruiacych slow , gwałtowna bywa.
 Ktora , w nocney cichości , y Miesiac z gwiazdami,
 Zatrzyman bywa , morze , z burzone falami,
 Glaszcze sie. Tak y Mentor , stal miedzy dzikiemi,
 Ludźmi , iak Bachus miedzy tygrysy wścieklemi;
 Ktorzy to , zapomniawszy swego okrucienstwa ,
 Lizaly nogi , na znak , dziwnego zwyciestwa.
 Naprzod , wielkie stalo sie , po Woysku milczenie.
 Wodzowie pozierali , na swe zgromadzenie ;
 Odiac mu sie nie mogac , y ktoby byl zwazyc!
 Co moca niewidoma , tak ich umial zazyć.
 Woyska iak wryte , oczy w niego utopily ,
 Nie smialy y przebaknac , by nie przeszkodzily ,
 Mowie iego , koja im , tak sie krotka zdala ,
 Zeby byli woleli , aby dluzey trwala ,
 Co kolwiek im powiedzial , w sercu iak wryto.
 Iakby sie katal sluchac , mądrością obfita.
 Kazdy z nich , byl iakomym najmnieyszego slowa.
 Y cala sie zostala u nich iego mowa.

Na koniec , po milczeniu woyska , dosyc dlugim :
 Podnosi sie szemranie , od iednych ku drugim ,
 Lecz nie takie iak przedtym ; luz tu nie zgrzytala ,
 Ale sie , milym szeptem , na pokoy zgadzala .
 Juz uspokoienego cos , wyszlo na twarzy .
 Y samym Manduczykom (w ktorych sie iad zarzy)
 Upada bron z rak . Nawet , ow Phalantus dziki ,
 Dziwi sie , ze sie w sercu pomieszaly szyki !
 Drudzy wzdychac , na pokoy , poczna pokazany !
 Lecz Philoktet , w nieszczęściach swych wyprobowany ,
 Utrzymac lez nie moze , Nestor nie nie gadal ,
 Sciskal tylko Mentora ; bo usty nie wladal .
 Tu wlzystkie wraz Narody , (iak haslo do boiu)
 Krzykna : Dyzarmowal nas Mentor ; chcem pokoiu .
 W tym , Nestor chcial cos mowic ; lecz lud nie cierplivy
 Bal sie , aby trudności nie zadal , watpliwey :

Pokoy! pokoy! wołali. Ani ich możono.
 Uśmierzyć, aż na pokoy wszystkim pozwolono.
 Nestor widząc, że prawie byli iak związani;
 Widzisz (rzekł) o Mentorze! co człowiek wybrany,
 Y w cnoćie y mądrości, w rzeczach wielkich może!
 Kiedy mu, iako tobie, oboje pomoże.
 Ugłaszczą się paślyc; y lub słuszne woyny,
 Obracają się w przyjaźń, y w pokoy przystoyny.
 Wiec taki, iakiś nam dał, wszyscy pokoy głoszą.
 Y zaraz, cni Wodzowie, ręce w górę wznoszą,
 Náznać, że pozwalają. A Mentor wesóło,
 Do miasta pobiegł, aby Idomena, w koło
 Woysk, w prowadził bezpiecznie. Wtedy Telemaka
 Nestor ściska: O miły! Wielkiego Iunaka,
 (Mowi). Synu! y z Greków, nayrostopnieyszego,
 Zycząc widzieć, w tej cnoćie, ale szczęśliwego.
 Coż? niedowiedziałeś się, o jego obrocie!
 Ojca twoiego pamięć, y że nam szło o cie:
 Zaduśiło w nas woyna. Phalantus, choć frogi,
 Miał litość, nad twoimi nieszczęsnymi drogi.
 Y nieszczęściem Oycowskim. Już byli poczęli
 Badać o Awanturach; Alić w net uyzrzedli
 Mentora z Idomenem, w kupie idącego,
 Cretenską młodź wyborną, z sobą wiodącego,
 Colligaci, Idmena uyzrzawszy, w osobie,
 Poczęli ogień wzniecać już wojenne w sobie:
 Lecz słowa ie Mentora, w zamięciu zgasiły.
 Zawoła: czegoż bawił! o pokoiu miły!
 Czemu ligi nie kończem! która wieczne Bogi
 Świadczyć, bronić, y mścić się będą, przez gniew frogi.
 Jeżeli kto bezbożny, rwąć się ja ośmieli!
 Niechże krola, od iego Poddanych, oddzieli,
 Na tego, pomsta Boża, y na iego głowę,
 Spadnie nieszczęść okropność, a nie na domowe.
 Niech niewinni nie cierpią, tylko wiarołamca,
 Który zdepcze to prawo, iak bezecny klámca.
 Niech będzie y od Bogów, y Ludzi zbrzydzoney!
 Niech y nie ma poćiechy, z szalbierskiej korony.
 Niech Furye piekielne, w obrzydley Maszkárce,
 Iad swoy z desperacya, zaniósł mu w twarz.

Niech

Niech padnie zdechły, y bez nadziei pogrzebu,
 Psom, y łepom, państwiskiem będzie! zbrzydły niebu.
 Wpiekle, w ognjach Tartaru, niecháy wieczne biedy
 Z Tantalem, Ixionem, cierpi, z Danaidy.
 Pokoy zaś nasz, niech będzie trwalszy od tey skały:
 Gdzie nogi Atlasowe, Niebo wiec dźwigały.
 Niech go w wieki potomne, Ludzie zazywają!
 Niech imiona tych, co go zrobili kochają.
 Niech ie Wnukom podają, y z uszanowaniem
 W spominają, za których, on stanał staniem.
 Niech pokoy ná słuszności, ten ufundowany,
 Bedzie drugim Narodom, ná przykład podany.
 Wszystkie światá Narody, co zgody szukają.
 Niecháy od Hesperyjskich Ludow model mają.

Potey mowie, Idomen, y drudzy Krolowie,
 Poprzyśięgli ten pokoy, stojąc w danym słowie.
 Dwanaście zastaw, zobu stron, wzajemnie dano,
 Miedzy nimi Telemak. Mentora niechćiano,
 Wolac, by u Idmena został, y pilnował:
 Zeby skutku przymierza, zupełnie dochował.
 Miedzy Miastem y Woyskiem, sto łatowic białych
 Zábito ná ofiarę, y Bykow nie małych,
 Także sto, y iáko śnieg; á w złociste rogi,
 Y w kwiecie śliczne stroynych, od głowy do nogi.
 Ryk frogi Świętych wikty, w gory sie rozchodził,
 Strumień krwi, biegł po dolách, y kurzac sie zchodził.
 Z Win głównych Libacye, hoynie sprawowano,
 Wieszczkow co nayprzednieyszych, do ielit zebrano,
 Z których prorokowali. A święte ofiary,
 Zápalone, robiły obłok, Bogom w dary.
 A tu z boku Zolnierze, z obu stron zebráni,
 Porzuciwszy nieprzyiaźń, zaráz y kocháni;
 Dziecie swoje wspominąć, miło poczynają.
 Y w słodyczy pokoju, Woyn zapominają.
 Wielu tych, co z Idmenem, w Troi oblezeniu
 Byli, ci sie poználi, przy drzew ślicznym cieniu,
 Z Zolnierzami Nestora. O! iák sie ściskáli!
 Co po wzięciu sie działa Troi, powiadali.
 Ná miętkiy leżac trawie, w kwiaty sie wienczyli.
 Winem sie częstowali, y dzień ten święcili.

Wtedy Mentor rzekł Krolom: O wielcy Wodzowie!
 Poł roznemi imiony, Narodow Krolowie!
 Od tad, iednym Narodem, badźcie, iedney trzody!
 Tak Bogowie chcą zwiazać was z ninieyszey zgody,
 Bo całe plemię ludzkie, iedna Familia
 Iest, po świecie rozbiegła. Y ludzie co żyją,
 Są wszyscy bracia sobie; y kochać się szczerze
 Powinni, iak wyciąga, Braterstwa przymierze.
 Niech, niebezpieczeństwo wszelkich, tacy bezbożni doznają;
 Ktorzy sławy okrutney, w krwi braci szukają.
 Prawda: że wojna podczas, bywa y potrzebna;
 Lecz żeby ustawiczna, ludziom niechwalebna.
 Niechcieyćcie, o Krolowie! dla sławy nabyćia
 Wojny; ale dla złego importuna zbyćia.
 Prawdziwa sława Krolow, zawisła w ludzkości.
 Kto swą sławę przekłada, nad dar uprzejmości;
 Iest monstrum pychy, nie człek; y tylko fałszywey
 Prożności posłusem. Dank sławy prawdziwey,
 W dobrej moderacyi. Może kto pochlebnie,
 Prożność jego poglaskać, ale niepochybnie:
 Gdy szczerze sprawy jego, będą rostrzaśnione,
 Mowić będą o takim: Te dzieje zchwalone,
 Całe sławy niegodne, tym mniej iej zasłużył;
 Im się iej dobijając, większych passyj użył.
 Człowiek go nie powinien, całe estymować;
 Bo on, ludzi nieważąc, ich krwią dostępować
 Pyszney sławy rozumiał. O iak Krol szczęśliwy!
 Ktoremu mił Poddany, y sąsiad życzliwy.
 Ktory, nie tylko, że z nim, sam wojny nie zwodzi,
 Ale wojnie przeszkadza, y Sąsiadow godzi.
 Takiego, cudze Państwa, iak szczęścia trwałego,
 Niesłychanej ozdoby, y mienia dobrego,
 Zazdroścza ludziom. Y wy! co Miastą potężne,
 Hesperyjskie rzadzićie! wy Państw Głowy mężne!
 Co trzy lata się schodźcie, w jedno zgromadzenie;
 Odnawiajcie swe Pakta, lig postanowienie;
 Nowemi przysięgami, Przyjaźni gruntuyćie,
 Y w interesach spólnych, tam delibruyćie.
 Gdy tak z iednoczonemi wraz wszyscy będziecie:
 Pokoy, obfitość w Domu, z sławą posiadziećie.

ie!
 A ną oba strách Ludy, y tylko niezgody
 Piekielne utracicie. Dar Boży, świebody.

Łatwość [Nestor odpowie] z która pokoy stawa,
 Ze Woyny dla próżności niehcemy, wydawa.
 Ni niesłuszney chciwości: swe szarpać sąsiady.
 Ale iakże uniknąć? choćby niechciał zwady!
 Kiedy Bog skarze Pánem, który niczna Prawa,
 Tylko ieden interes, ná który się zdawa!
 Który, kiedy co urwać może, wnet to czyni!
 Nie myślć: że Idmena, to me słowo wini.
 Nie onim cále mowie. Mowie o Adraście,
 Daunow Krolu z którym my, mamy służne zaście.
 On Bogow lekce wazy, y o ludziach mniema,
 Ze dla iego niewoli, ich cna nosi ziemia.
 Niechce aby Poddáni, za Oycá go mieli.
 Ale iak niewolnicy, za Bogá go wzięli.
 Slepá dotąd fortuna, rząd iego szczęścia,
 Lecz w nas tá intencya prawowierna była:
 Ze przywiodszy słabszego, ná pokoy, Idmena:
 Pycha mocniejszy káre, by w Adraście wzięna.
 Niemáło, sojuźnikom naszym, Miałt náłowił.
 Dwá rázy bił Krotonow. Ledwobym wymowił,
 Złość iego. Moc y zdrádá zároveň, byleby
 Ogárnał twe sąsiady, według swej potrzeby.
 Wielki skarb, Zolnierz bitny, Hetman doświadczony,
 Wto ufa, y że w kázde, sam się doyrzy strony.
 Naymniejszy bład wnet karze, á nadgrodzi hoynie.
 Naywiększa, że sam poprze, własnym mestwem w Woynie.
 Zgoła gdyby poćciwość, z cnota, nim włádala,
 Rzadkobý Krol godniejszy. Coż umysł iak skála.
 Do Bogow, y sumnienie náwet, za nic miewa:
 Reputacya, zchorzow fantazmem, názywa.
 Rzetelne dobro iego jest, síla pieniadzy
 Strászyć świat, deptać ludzie, y wieść ich do nedzy.
 Iego Woyska, wnet w naszą ukaza się ziemi.
 Ieżli wszyscy ostepem, nań wraz nie poydziemy!
 Wolność naszą zginęła. Y twoy Idomenie!
 Ieden z námi Interes, takiego znieśienie:
 Który znieść w nás niemoże, abyśmy wolnymi
 Byli. Salent przepádnie, kiedy zginie y my.

Uprzedzamyż go wczesnie. W tym Nestor przestalc.
 Kompánia sie cała, ku Miástu udáie.
 Iák iá Idmen záprosil, ná nocleg Stárszyne,
 A pod mury, Woyskowa w namiotách Drużyne.
 Ktore byly przepyszne, y w kolory rozne,
 Ziemie okryly; á w nich, woysko szło spáć nużne.
 Krolowie wszedszy w Miásto, w nim, sie dziwowali;
 Ze wspanialosc, wták krotkim czásie, tam zástali.
 Y ze woyna tak wielka, urosc Miástu dála.
 Dziwna im, Idomena mądrosc, doskonála
 W ufundowaniu Pánstwa, iákby podczas boiu,
 Ktoremu niedostálo tylko juz pokoiu.
 Ktory ze stánal, Wszyscy, mądrze osadzili,
 Ze ligi z Idomenem, im potrzebne byly.
 Záczym go ciagna do nich, ktore on przyjmuie,
 Y Woyska ná posilek woyny obiecuie.
 Ale Mentor co wiedział, ná czym Pánstwo stoi
 Y ze Idomen niewie, sam o síle swoiey;
 Wziął go ná strone, y tak smiele mu przełożył:
 Widzisz, ze me stáranie, niedaremniem lożył.
 Iuzem Salent uwolnił. Y iuz to ná tobie
 Samym tylko záwisło: by iego ozdobie
 Zadne nieporownálo, á ty sam, Minosa
 Dziáda swego wywyższył Mądrosc pod Niebiosá.
 Smiem ci mowic odważnie, mniemáiac ze y ty,
 Chcesz regosz, y niechcesz bydz miedzy hypokryty.
 Kiedy twoia wspanialosc chwalili Krolowie:
 Postrzeglem twá zuchwalosc. Alić ná tym slowie
 Idomen sie záplónal, w oczách sie zmienilo,
 Ledwo mowy nieprzerwal; tak mu ciészko bylo.
 Az Mentor rzekł z skromnoscia, lecz odważnie przecie:
 Widze, slowo, zuchwalosc, kole cie y gniecís.
 Kto inszy, zleby czynił; bo Krolow ostrożnie
 Upominác potrzeba. Y prawda gdy grożnie
 U nich stáwa przegráie. Alem iá rozumiał,
 Zem ci blad twoy mogł odkryc, temym sie záдумiał.
 Chcialem cie iá przyuczyc, ábyś bez ogrodki
 Sluchał. Bo wiedz ze drudzy, nigdy bez obwodki,
 Swey ci rády niedádza. Domyślic sie tobie
 Trzeba, kiedy cney prawdy, niedasz mowic sobie.
Y iá,

Y ja, jeżeli tak chcesz, me słowa uwina.
 Aż z wstydem, wzięwszy na sie łagodniejszy minę,
 Idomen Mentorowi: To sam widzisz [rzecze]
 Co to umie pochlebstwo! gdy się nim kto wściecze.
 Iabym chciał Państwo zbawić, y niemasz tej rzeczy,
 Zebym niechciał usłyszeć! gdy mnie masz na pieczy.
 Lecz nad Krolem się lituy, pochlebstwem otrutym,
 Y z prawdemowcych radzcow, w nieszczęściach wyzutym.
 Nigdy człeka nie znalazł, tak się rządzącego,
 Zeby chciał zawsze cierpieć, prawdę mowiacego.
 W tym mu lzy w oczach stana, y Mentora ścisnie.
 Rzeknie mu: mądry Stárzec, kiedy mnie przycisnie
 Prawda, rzec ci co twádo; z żalem to przychodzi;
 Ale stan na mym miejscu! czy się tać godzi
 Prawda? Jeżeli przedtym, cie oszukiwano!
 Tyś sam chciał; więc nie składay ná to, że tak chćiano.
 A szukalżeś za Radzcow, takich sobie ludzi!
 Coć by się sprzeczyć mogli! y w których nie wzbudzi
 Nic prywatny Interes? Czyś szacował takich!
 O fawor niedbáiacych! w postępkách iednakich!
 A śmiałych! żeby twoie chući potepili!
 Y zdaniu niesłusznemu, meźnie odmowili!
 Gdyś postrzegł pochlebniów; Czyś się ich wystrzegał!
 Czyś od siebie oddalić, takowych nálegał?
 Nie! nic nieuczyniłeś, co takowi czynia,
 Co w kochaniu cney prawdy, y w znaniu iey słyna.
 Patrzmysz teraz: leżli masz, już wiecey odwagi?
 Unizć się przed prawdą, y poznać iey wági,
 Wrócam się iákom zaczął: Coć u drugich chwale
 Czyni? to zaś ma umnie nagany nie mále.
 Kiedyś miał Nieprzyjaciół, ná Państwo zawziętych,
 Nie myślałeś nic, tylko, o murách zaczetych,
 Y budynkách wspaniałych; támeś skarb rozsypał;
 Dla tego żadney nocy dobrześ nie dosypiał.
 A zaś lud twoy rozmnázać, cále nie myślałeś,
 Ani żyzne te brzegi, chlebem odziać chćiałeś.
 A te przecie dwie rzeczy, fundamentá były,
 Mnogość ludzi, y chleba, twej Krolewskiej siły.
 Ná ludzi rozmnożenie, pokoju długiego
 Trzeba było. Oračtwa, á zaś dla drugiego.

Ambicya cie zwiodła, małoś nie zapłacił,
 Chcąc się wielkim ukazać, wielkości niestracił.
 Spiesz się tedy poprawić, przestań budowania,
 Porzuć pompy, ruiny Miast, przyłoż stąrania,
 Zeby ludzie w pokoiu twoi odetchnęli,
 Pomoż do obfitości; by mogli y chcieli,
 Y żenić się, y mnożyć. Wiedz żeś Krolem tyło,
 Im się więcej Poddanych, będzie ci liczyle.
 Y że twa potencya, nie kráiu wielkością,
 Mierzyć się będzie; Ale Ludzi ośiadłością.
 Miec kray mierny, á niech go, gęsty lud osiedzie,
 Pracowity, posłuszny; Gdy cie kochać będzie,
 Mocniejszyś y szczęśliwszy, y pełniejszy sławy,
 Niż co Pánstwá posiada, ow Woioownik zwáwy.

A coż ia tedy pocznę, z temi tu Krolámi!
 [Rzecz] Idmen. Czyż im się tak iáko przed námi,
 Przyznąć swoicy słabości! Prawdać zem oráctwa,
 Dla budynkow zániedbał, y handlow bogáctwa.
 Czy kázesz mi to wyznąć, przed Krolmi Mentorze?
 Słabość odkryć, y siebie stáwić w dyshonorze!
 Ieśli kázesz? uczynię, chociaś z áwłtydzony,
 Wiedzac, że Krol; ten ieden, dla ludzi stworzony,
 Iest prawdziwym; co swego Krolestwa cáłości
 Przekláda nád swe pompy, y sławy próżności.
 Iák godny Ociec Ludu, mówisz (Mentor powi)
 Uznaie żeś Krol, z tákiey dobrotliwey mowy,
 Bárdziej niżli z twych Gmáchow. Ale ia piástowác
 Honor twoy chce, gdy cáłość Pánstwá, chce ráutować,
 Wmowie ia w Krole: żeś się podiał do Itaka,
 Ulissá ieśli żywy, álbo Telemaka
 Wprowadzić, y odpędzić, Gwałtowniki Gáchy,
 Dla ktorych Penelope wielkie znośi stráchy.
 Łatwo poymá; że táka Woyna, Woyska siła
 Potrzebuie. Y przeto, dla tákiego dzieła,
 Małym się, przeciw Daunom, bédá kontentowác
 Pośilkiem. Temi słowy, tak się porátowác
 Zdał Idmen, iák gdy ciężar zdeymá z karku komu.
 Rzeknie: Oycze! wystawiasz y Miásta y Domu
 Honor, kiedy sąsiadom, słabość má zakrywasz:
 Ale iákieyże sztuki, náto zás záżywasz?

Powiedzieć? że Uliśsa rátowác w swey biedzie,
 Z Telemakiem chce? á on zniemi Woyszczyc idzie!
 Nie frásuy się, rzekł Mentor. Nic ia fałszywego,
 Nie powiem. Poślesz Flotę, dla handlu nowego.
 Ta poydzie ku Epiru, dwie wraz zrobi rzeczy.
 Naprzód, kupcow poćiągnąć, niechay ma nápieczy
 Obcych do ciebie; ktorych zbyteczne Gabely,
 Y cla, już od Salentu, były odepchnęły.
 A druga: O Uliśsie szukác wiadomości!
 Ieśli żyć! ile bydź może, w odległości
 Tych Morz, ktore Grecya, od Włoch rozdzielá.
 Ieżeli go nie znayda; niech że się stáraia
 Iták wziąć, y Synowi uczynić przysługi,
 Ogłosić go ze strachem, ktorego czas długi,
 Miano za umarłego. A tym Penelopy
 Gachowie przestraszeni, ućiekna iák chłopcy.
 Widzac, że z kolligatem, powroci poteżnym,
 Y Poddáni Itaku, przy tak dziele meżnym,
 Nie odważa się wierzgnąć. A ona swe nędzie
 Póćieszywszy, o Gachu już myśleć nie będzie.
 Y tak, kiedy Telemak, wołowác za ciebie
 Będzie przeciwko Daunom, dozna cię w potrzebie
 Pomocnikiem. Tu krzyknie Idmen: O szczęśliwy
 Krolu! co się ná rádźcie w spierasz tak zyczliwcy.
 Madry, wierny Przyjaciel, więcej Krolom stoi,
 Niż Woyska tryumfalne, ktorych się świat boi.
 Lecz ieszcze Krol szczęśliwszy, co to szczęście uzna,
 Y przyjmuie tę radę, ktora jest nie prozna.
 My od konfidencyi często oddalamy
 Cnotliwych, mądrych, ktorych cnot się obawiamy.
 A uszy zaś y ferce, pochlebnym dáiemy,
 Ktorych się zdrań nie boiem, áni się strzeżemy.
 Tak się y zemna stało, iák ci powiem potem:
 W iákiem ugrząził nieszczęścia, z niezmiernym kłopotem,
 Przez zdradę przyziaciela ktory głaskał moje
 Chući mowiąc: że przy nich ia chwalebnie stoję.
 Ale już bład moy widzę, y pochlebcow zdrady.
 Twoiey szczeroy y madrey, wole słuchác rady.

Mentor kontent że Krolá ná swe przywiodł zdanie,
 Do Wodzow wraca, mówiac: Idmen w swe stáranie,
 Musiał wziąć Telemáka; Kiedy on za niego
 Idzie w zastaw ná woynę. Y przyszło do tego:

Ze ną nim dosyć mieli, y z nim sto młodzieży.
 Creteńskiej, z których w każdym, Mars srogi się ieży.
 Tych posłać, Mentor rądził sam, Idomenowi.
 Niech się ludzie w pokoiu (mówił) mnożą zdrowi;
 Ale żeby prożnując się nie rozpieśli
 Trzeba, żeby też Szlachta, w Obcy kray chodzili.
 Dość ną tych będzie; Których, Narod widząc cały,
 Prac, śmierci, się nie zleknie; ale chciwy chwały,
 Miłości dzieł Rycerskich, z tej Woyny nabędzie,
 Y sam też do sztuk woyny, ochotniejszy będzie.

Tak Krolowie, z Idmena, a bardzicy z Mentora
 Rostropności kontencji ruszyli z wieczora,
 Od Salentu; a rądzi że prowadzą cnego
 Telemaka, od żalu ledwo żyjacego,
 Zegnając już Mentora. Odchodząc Krolowie,
 Utwierdzają Idmena, w przyśiężonym słowie.
 A Telemak, ściskając Mentora, lzy leie
 Mowiąc: Chęć sławy, Oycze, już wemnie mąleie.
 Rączyj ten żal, co go mam z toba się rozstawać,
 Jest taki, że nie będzie mógł nigdy ustawać.
 Tak mi się zda, że znowu ow czas niełzcześliwy,
 Wraca się; gdym w Egipcie z ręki twej życziwey
 Był wydarty. Mentor też cieszy go iak może;
 Insze to rozłączenie, szczęście ci Synu, Boże!
 To krotkie, dobrowolne, ną tryumf cie wiedzie.
 Nie tak mie bystro kochay. Y kiedy przywiedzie
 Fatum, że się roschodziem! przyuczay się raczey
 Niewidzieć mie, kiedy bydz nie może inaczey.
 Niech cie Madrość y Cnota; co masz czynić uczy,
 Nie Mentora przytomność, żeć to rzeka krocyj.
 W tym Bogini, w Figurze Mentora badaca,
 Egida Telemaka okryła, świecaca.
 Wlala weni Ducha mestwa, przezoru, madrości,
 Moderacyi [rzadko co chodzi w iedności]
 Idźże ieszcze (rzekł Mentor) ną niebezpieczeństwa,
 Kiedy tego potrzeba. Badź pewien zwycięstwa.
 Wiekszy Krolom dyshonor, strzedz się zlego razu
 Niż nie znąc niebezpieczeństw, y Woyny, y razu.
 Co drugich kommenduie, odważnym, bez ale,
 Bydź powinien. Y iako, konserwować w ciele,
 Krola ludziom potrzebą; tak jest potrzebnieysza
 By w nim reputacya, nąd życie niemnieysza

Była. Zączyń pámietay, że kto kommenduie,
 Przykład z siebie, całemu Woysku, wystawuie
 Náraz się Telemaku, y ginąć rączy w boiu,
 A niż się masz pokázac, w niepewności stroiu,
 Odwagi. Ale także, niechćiey bez potrzeby
 Szukac niebezpieczeństwa, y łowić pogrzeby.
 Męstwo poty iest cnota, poki nim kieruie
 Madrość, ktora skoro cie, w bitwie odstępuie,
 Głupim życia wazeniem, y z wierzącym iadem
 Stać się, nie pewnego tym nie czynias składem.
 Kto się w sprawie nieczuie, nie iest meżem u mnie.
 Bo choćay nie ucieka, lecz się nierozumnie
 Mieszka, że rozum trąci, którym profitowac
 Mogł, y Nieprzyaciela złamac, á salwowac
 Swą Oyczyznę. Iezeli ma zápal Zołnierski!
 Ale rozwagi nie ma, Hetmańskiey, Rycerskiey.
 A náwet, y Zołnierza Męstwa, słuszná wina,
 Kiedy do posłuszeństwa, rozumu nie strzyma.
 Zuchwale się nárazá, Szyki woyska psuie,
 Przykładem złym szaleństwa, Woysko exponuie
 Cále, w wielkie nieszczęścia, y szaleńcy tácy,
 Nie chwalebni powinni bydź, kárani rączyj.
 Nie szukáy sławy Synu, názyt niecierpliwie.
 Kto iá znaleźć chce! trzeba, czekać, nie skwapliwie.
 Cnota im iest prościeysza, skromna bez przysady,
 Tym maiey ma do respektu, od Ludzi záwady.
 Im iest większa potrzeba, ná sztych się nárázić,
 Z tym większa przezornością, przyjdzie się obrązić.
 Ná koniec: Nie zaciągáy ná się nienawiści.
 Nie zazdrość, kiedy komu, wiedzie się y iści.
 Pierwszy chwal co godnego, ale chwal rozsądnie,
 Y mow dobrze o káżdym, ochotnie y godnie.
 Tay co złego y zálu; á záś przed stáremi,
 Nie decyduy z uporem, przed doświadczeńszemi.
 Słuchay z deferencyą, ni się rádzić wstydá,
 Gdy co robisz dobrego, że od nich masz przydáy.
 Ani słuchay dyskursow, kiedyby cie chćiano
 Podbudzić, przeciw Wodzom, złością záwikłaná.
 Gadáy zniemi z ufnością, rzetelnie uprzejmie.]
 A iесли tákáz poydą droga, Ci wzajemnie!
 Otworz serce im wcale. Co iezeli znáią
 Y godność procederu twego uznáwáią,

Poćiągniesz ich za Serce, z nich co zechcesz zrobisz.
 Jeśli się ci sprzeciwią, to się sam ozdobiś,
 Cierpliwości nauka. Co w nich niesłusznego
 Obaczysz! To ci będzie nauka dobrego,
 Na to, że więcej z nimi, aż do końca wojny,
 Wdawać się już nie będziesz, y będziesz spokojny.
 Ale, najbardziej tym, co w obozie biegają
 Y niezgody plotkami swemi, rozsiewają,
 Nie powiedz nigdy, co cię od wodzów dotyka.
 Niech kto chce, y iako chce sam sobie narzeka.
 Daley Mentor rozwódzać: Ia się tu zostanę,
 Dla szczęścia tych poddanych. Ale nie przestanę
 Myśleć o Tobie. Tu cię bede oczekiwać.
 Pomniey! że nigdy temu, nic nie będzie zbywać;
 Ani się bać nie może, kto się Bogów boi.
 Y ty wiedz, że Minerwa zawsze ztobą stoi,
 We wszech niebezpieczeństwach. Telemák te słowa
 Przyjął iakby Bogini, była mu domowa.
 Ledwoby icy nie poznał, że to z nim gadała,
 Y Boska go ufnością, dusznie nápełniała!
 Gdyby była, twarz znowu Mentora Bogini
 Nie odnowiła y słów, co do niego czyni:
 Synu! nie zapominay moiego starania,
 Z Dzieciństwa podietego, y uformowania
 W Męstwie Oycy, w rozumie. Nic nie czyni lekkiego
 Przykładom Oycy, y mym mówom przeciwnego.
 Już Słońce się podnosi, y wierzch gór farbuie,
 A każdy Krol z Sálientu, do woysk swych kieruie.
 Wnet szyki koło Miasta, do kupy się schodzą,
 Y Marsem, pod Stárszyzną, w pole się rozwódza.
 Pikami y grotami, wnet się pola stroją,
 A blasku, tarcz y zbroi, oczy tknąć się boją.
 Z tumanów pod Niebiosą, Obłoki się rodzą,
 A Idomen z Mentorem, za Krolmi wychodzą,
 Z Miasta wyprowadzając. Kiedy się żegnają,
 Y nieraz uściskawszy, pewne próby dają
 Wzajemnie, swej szczerości. Y już Colligáci
 Pewni się z nim rozchodzą: że áffekt zápláci
 Affektem trwałym; skuszą pokoiu długiego;
 Bo dopiero poználi, dobroć serca Iego.
 Y że to, co pobił, nie z Iego szło złości;
 Ale, z názbyt posłuszney rádcom, powolności.



TELEMAKA X I E G A S Z O S T A.

SUMMARYUSZ KSIĘGI SZOSTEY.

MEntor, który był został w Salencie, daie Idomenowi naukę, y reguły pewne do rzadzenia dobrego. Pokázuie mu; y wywodzi potrzebę Oráctwá, y Gospodarstwa, zániedbánego w Páństwie Iego. Oraz mu czyni, miłe opisanie spokojnego życia Gospodárskiego. Uczy go budownictwa, y iák postáwić Dom wygodny, zdrowy, y niezbyt obszerny. Idomen zaś powiada Mentorowi historyá swoia y nieszczęść swoich; takze y historyá Prothezylasa, y Philoklesa, Ministrow swoich.

SKoro woysko odeszło, chciał Idmen Mentora;
 Po całym Mieście wodzić. Y gdzie w pola spora
 Rol obfzerność odkryła; Lecz wprzod Morskie siły,
 Chciał widzieć Idomena, Mentor, iakie były.
 Spisujemy [rzekł:] okręty, y obaczmy, iakie?
 Ná woynę y ná hándel, máia byđz dwoiakie.
 Zważmyż ie, y ztąd, twoia moc iaka! uznamy.
 A wtym idzie do portu, y stawa u támy,
 W każdy wszedł okręt, y tám wybádywał pilno:
 Dokad nośił towáry? y iakie? iák silno
 Chodził? y co ná odwrot przynosił do Domu!
 Co zá koszt podczas drogi? y pożytek komu!
 Wypytywał o wśpolkách? Towárzyſtwie Ludzi
 Kupczących? czy ieſt wierne, czy sobá nie ludzi,
 Ná przypadki rozbićia, y nieſzczęſćia, ſtráty!
 Y iako, w ſwoie każdy, kredyty bogáty?
 Zeby zábiedz chćiwoſćiom, zysku zbytecznego:
 Ktore ciągnac nad ſiłę, do bankrudu złego,
 Ludzie wioda ktore on, chciał karác ſurowo,
 Y zaraz tam popiſał, Ná to y ná owo,
 Mádre reguły. Tamże Magiſtrat poſtawił:
 Zeby kupiec, w naymnieyſzey rzeczy ſie tam ſprawił,
 Co zá towar! iáki zysk! co zá koszt podeymie!
 Czyie rzeczy, ná okręt? w iakiey cenie przyimie.
 Zeby ſie hazardowác, cudzych niegodziło;
 A náwet y ſwoiego, tylko ná poł, było
 Wolno trácić towaru; á ná tych, ſurowe
 Káry ponaznaczane, ktorzy, raz námowe
 Uczyniona z Kompany, gwałćić ſie wázyli,
 Y naymnieyſzym zapiſom, ſwym ſie ſprzećiwili.
 Wolnoſć w handlach zupełna, tamże o głolzona,
 Nie tylko cła uieto, ále otrábio.
 Nagrodę kupcom, ktorzy iáki Narod nowy,
 Przycheca, y Sprowadza ná port Sálentowy.
 Y tak zaraz národy, wnet zewſzad ſie zbiegły,
 Kupcy, Port y Okręty, iák Morskie obległy
 Fale, ktore przychodza y odchodza razem
 Skárby tam y doſtatki: ciſna ſie oblázem.
 Co wolno weſzło, także odeszło, nie taino.
 A wſzytko pożyteczno, dobre iednoſtaino.

Sprawiedliwość, we środku Narodów tak siłą,
 Z szczerością y słownością, sobie założyła
 W porcie tron, a rzetelność (tak się ludziom zdała)
 Ze zwieź kupców, naydalszych krajów zwoływała.
 Każdy kupiec czy to on, ze wschodniego brzegu!
 Zyl bezpiecznie, czy z tad! gdzie słońce swego biegu
 Kres, w Morzu założyło. Tak gdy Port sporządził,
 Do miastá Mentor poszedł, aby go rozrządził.
 Rynki, sklepy, y kramy, kupców Magazyny
 Przetrzasił. By zaś ząbronil w Mieście rozpuszciny:
 Zakazał tych towarów, z cudzych państw, przedawać
 Co w zbytki, w rozkosz w miętkość, zwykły ludzie wdawać.
 Sukien, Potraw, y obeysć, regule stanowi,
 Y według urodzenia, każdemu Domowi,
 Wielkość naznacza. Z złota y srebra ozdoby
 Zabrania, mowiac: Krolu! Poki z swey Osoby.
 Przykładu niedasz, poty twoy żaden poddany,
 W kosztach wszelkich, niebędzie sam pohamowany.
 Ty zaś sam, noś Majestat, w twoicy własney twarzy,
 Y powaga, z Gwardyi, kiedy co się zdarzy,
 Z Pánskiey assystencyi, niech się pokazuje;
 W stroiu! zwelny Purpura, niech cie kontentuje.
 Naypierwsi Páństwa ludzie, w nie się też niech stroia,
 Zraka tylko różnica między Ich a twoia:
 Zeby brzegi haftami lsnały twoicy szaty,
 A ich zaś stroy Purpury, nie tak był bogaty.
 Urzędow, y szlachećwa, poczyni też różnice
 Nie z złota ni kleynotow, lecz z sukien farbice,
 Pierwszy rząd, w Mieyscu, w szatach, niechay ci trzymaia,
 Ktorzy się znaydawnieyszych Familiey maia.
 Ci zaś, ktorzy powagi, zurzędow dostali,
 Nie będa się zacnieyszym ustąpić wstydali.
 Niech za niemi rząd maia bo mnicy ludzie zacni
 Ustępować zacnieyszym, bydz powinni łacni;
 Byles, Ich wywyższywszy, w wysokie honory,
 Niedał się zapominać, przez z bytnie fawory.
 Tákiemu zaś, sam głośnie rozdaway pochwały,
 Ktory w szczęściu moderat, y ná pyche trwały.
 Różnica w rzedzie, naymnicy podległa zazdrości,
 Ktora z iedney szlachećwa pochodzi dawności.

Cnota się w zbudzać będzie różnemi sposoby,
 Y niecieden, Usługi państwu, wyda próby.
 Byleś statuy stawiał, rozdawał korony,
 Wzasługach, y kto godny, żeby był szlachcony.
 Ludzie, rzadu pierwszego, co będa po tobie,
 W Bieli y z frandzla złotą chodzić będa sobie,
 Złoty pierścień na palcu. A rzadu drugiego.
 W błękitni z frandzla srebrną, Metalu żadnego.
 Mieć niebęda; lecz pierścień będzie się godziło
 Nościć Im, na różnicę, żeby drugim było.
 Trzeci w zieleni, ale bez frandzli, z Metalem.
 Czwarci, w żółtogoracym. Piaci, w tym Nietrwale
 Różowym, chodzić maia. Szóści w griglinowym.
 Siódmi, iak to pospolstwo, w pomieszanym owym,
 Żółto z białym. Tak siedmiu, kondycyey ludzi,
 Siedm kolorow rozroznia, y do chwały budzi.
 Lecz te wszystkie na wolnych. A zaś niewolniczy
 Ciemno szary jest kolor. Tak bez tajemnicy,
 Y kosztu, różność stanow, y zasług w Salencie,
 Wydawać się, y drugich wzbudzać do cnot będzie.
 A ci zaś rzemieślnicy, co to nadętości,
 Y pompie szat służyli, w zuchwałości próżności,
 Poyda z miast, a raczyj, rzemiosł potrzebniejszych,
 Ima się, to Oractwa, to handlow ważniejszych.
 Niechaj ani koloru w sukniach, ani kroiu,
 Odmiany już niebędzie. Bo co może w stroiu,
 Bydź wstydu godniejszego! iak że Ludzie godni
 Mogą głowę zaprzatać, aby byli modni.
 Czego Zonom by swoim ledwo pozwolili,
 Myśleć, aby się co raz inaczej stroili.

Mentor, Ogrodnikowi, tak się stał podobny,
 Ktory, żeby miał owoc, w drzewach swych ozdobny;
 Nie cierpi niepotrzebnych, y suchych gałęzi;
 Tak y on, zbytki pychy, y skraca y węzi,
 Psuące obyczaje. Co zletka prowadzi,
 Do tey zacney prostoty, ktora wymysł głodzi.
 Zordynował y stoły, Mieszczan y poddanych,
 Panow y Niewolnikow (słow zażył wybranych)
 Nie wstyd że to! Panowie! że najwyższa sława,
 Pierwsi ludzie pokładli, w swych potraw przyprawach!

Ktore

Ktore Umysł y Ciało, pieścza bez potrzeby;
 A zdrowie, wprowadzaia w choroby, w pogrzeby.
 Nie prawdziwszej to szczęście! żyć z pohamowaniem,
 Bydź ludziom pożytecznym, y swej gembie Panem.
 Wstrzemięźliwość, nayprostszy pokarm, czyni miły.
 Dać smak trwały, mnoży y zdrowie y siły,
 Niechże wasze obiady, z mięs dobrych potrawy
 Okragło, y wymysłney będą bez przyprawy.
 Jest ci to truć chcieć Ludzie, drażnić apetyty
 Przyśmakiem nąd ich siły. Idomenie? y Ty
 Zleś uczynił, żeś swoim tu Mieszczanom nowym
 Pozwolił, obyczaje odmienić, y zdrowym
 Minosa prawom wierzgnąć; który wstrzemięźliwie,
 Żyć kazał. Y te prawa ponowić prawdziwie
 Trzebá. Lecz y to zá nie; jeśli swym przykładem,
 Nie dasz powagi prawom, ich będąc zákládem.
 Zaraz swoy stół Idomen, inaczej sporządził;
 Chleb cudny, wino dobre, lecz mało rozrzadził.
 Mieśa zprosta gotowne, by ná stół dávali,
 Y potrawy, iákie więc, pod Troia iádali.
 Uskarzyć się nikt nie śmiał, ná reguły takie,
 Iákie król sam dał ná się y stany wszelakie,
 Y tak się każdy uiał, w zbytku, y popráwił,
 Ktorem się delikatnie przedtym szczycąc sławił.
 Potym Mentor, Muzykę niewieścia oddalił,
 Y karczemną, od ktorej przedzey się obalił,
 Zagrzany młodych umysł, niż z samego winá;
 Tá jest grzesznych zápalów zwyczajna przyczyna.
 Przeniosł ją do kościołow, ná Niebieskie chwały,
 Y Rycerzow, co nam cnotę dáli przykład stály.
 Nawet, ozdoby w gmachach Portyki, kolumny,
 Frontony, y co ieno, znalazł wymysł dumny,
 Gdzie indziej, procz kościołow; gani to y iácie.
 Abrysy prostey mody, lecz miłej rozdáć,
 Ná wszystkich: Aby w miernym mieyscu, ludzi siłá,
 W domu wesółym wszelka wygodá pokryłá.
 Ná zdrowy widok stáwiał, nie ciasne mieszkania;
 Bydź mogło ochodostwo, bez kosztow stáránia,
 Y Modele budynkow, według ludzi mnostwa,
 Ku potrzebie niepyszne, stáwione domostwa,

Cześć Miastá regularna predko uczyniły,
A na drugiey, co stała, nie był wzrok tak miły,
Choć wspaniałość tam większa, wpozor się świeciła
Lecz ni tak regularna, ni wygodna była.

Malarstwa y Snycerstwa, Mentorowym zdaniem,
Porzucić się nie zdało; Ale nie stáraniem
Zbytecznym ie rozkrzewiać, w Salencie. Y przeto,
Postawił Szkołę, głównych Mistrzow tych sztuk; Gdzie to
Uczniow polerowano. Dokładając słowy:
W Rzemiosłach, ktorých to kunszt, iest bardziey światowy,
Niż do życia potrzebny; wybornych nie wiele,
Mieć nam potrzebá Mistrzow. Boć słusznie y śmieie,
Rzecz się może, że nam są Malarze Snycerze,
Ná iedno tylko dobrzy: żeby nam Rycerze,
W Twarzach ich, z wyrażeniem czynow, wystawiali;
Y pamięci tych Ludzi, umierać niedali.
Cokolwiek niezwyczajna, ich zrobiła cnota
Y iaká dla Oyczyzny przysłużna robotá,
Wszystko w Gmachach publicznych, y grobach podziemnych
Wystawiać to potrzebá, dla wiekow potomnych.
Ztym wszystkim Mentorowe te pomiarkowania,
Nie hamowały w Krolu, wystawiać stárania
Wielkich gmachow z umysłu, albo ná zawody,
To dla biegow wozowych, y Ludu wygody,
To dla, passuiących się utárczek, igrzyská,
Y exercytowania Ciála; w cudowiská;
Wszystko to, dla cwiczenia, czynił tey Młodzieży,
Z ktorego wigor lepszy, iest przy sile świeżey.
Tych zaś kupcow, co sukien haft modny y nowy,
Ze zdaleká, zbyt cenia, wazą złotogłowy;
Y tych co przedawali likwory, perfumy,
Powyganiał, w pieszczoty wiodące y w dumy.
Nakázując, by sprzęty domowe swe cále,
Skromne, mocne chędogie, spráwiali y trwałe.
Ták Salenczycy, co się w ubóstwie skarżyli;
Uználi, że w swych zbytkách, dostátنيemi byli.
A w ten czas gdy ná sobie, zbydz się ich, przewiedli,
Dopiero, do prawdziwych skárbow, się przywiedli.
Sámi sobie mowili: To iest, się bogacić,
Odrzucać takie zbiory, ná ktore nam tracić

Trzebá

Trzebá było; á ten koszt lepiey się nam zeydzie,
Ná to, bez czego w życiu człek się nie obeydzie.

Potym Mentor, lustrować poszedł, Arsenály;
Iezeliby w rynsztunki, opátrzone stały.
Mowiąc: Trzebá byđż zawsze ná woynę gotowym,
Y niedać się uprzedzić, nierządem domowym.
Zastał, że siła broni potrzebney nie miano
Y kazał, Rzemieslnikow, áby wnet zebráno,
Do zelaz, spiży, miedzi. Y jużci się wznoszą,
Z piecow ogniistych dymy, co obłok przenoszą,
Y płomienie buchaia iák z Etny strąszliwey,
Pod młotem y kowadłem, huczy głos wrzaskliwy.
Gory y brzegi morskie, napelnione huczą,
Iakby Wulkan, z Cyklopy, pioruny się ucza,
Kować Bogow Krolowi. Tak mądrze, przezornie,
W Pokoju się ná woynę gotował, wybornie.
Zá tym, z Miasta z Idmenem, Mentor poszedł wpoie.
Tam zastał żyzne, ále, niespráwiane role.
Obszerność wielka, ále ubóstwo poddanych,
Zostawiło pul plugiem prawie nie tykanych.
Mentor, ná spuściznę grunta, zápatrzony
Rzekł do Krola: widzisz ten grunt sam upragniony!
By oracza zbogacił, Ludzi niedostaie
Ziemi, więc żebyś prędko te osadził kráie,
Rzemieslnikow zbytecznych, y ktorých roboty,
Do zbytkow Ludzi wiodą, álbo do niecnoty
Zmiasta przenieś, tu osadz. Prawdać Ludzie tacy,
Co siedzą nad warsztatem, do oraczey pracy
Nie sposobni; lecz sprobuj! podziel ich gruntami,
Oni nayma sąsiadow, z niemi pożytkami,
Niech się dzielą. Te same, choć obce národy
Widząc kray dobry, będąc y pewni nádgrody,
Osięć mogą twą ziemię. Y tak z nich poddanych,
Bez kosztu, á z pożytkiem, będziesz miał wybranych.
Państwo tym rozprzestrzenisz, y przyjdiesz do mocy,
A Rzemieslnicy, będąc, ku wielkiej pomocy.
Iuż Dzieci wychowuiąc, do pracy polowey,
Z ktorey Lud jest rzezwieyszy: niż w Mieście, y zdrowy.
Nie frasuj się! rozmnożysz; Bada niezliczeni,
Tylko niechay do wesel będą pociągnięni.

Ten zaś sposób jest łatwy; Ludzie wszyscy prawie;
 Mała chęć do ożenin, tylko ich w tej sprawie,
 Ubóstwo zraża. Wiesz ty poznać im podatki,
 A tak łatwiej pożywia y Zony y dziatki.
 Ziemia nie jest nie wdzięczna, y kto ją sprawnie,
 Tego karmi, y stokroć, mu się oddaruie.
 Y bogactw swych zabrania, tylko Ludziom takim,
 Co zli są Gospodarze, leniom, ladaikim.
 Oracz, im więcej Dzieci ma, tym dostatniejszy,
 Byle mu był od Króla, podatek znośniejszy.
 Bo z najmłodszych lat zaraz, Ojcu pomaga
 Dzieci; małe owce mu pasa, wyganiaia,
 Starsze, bydła większego, mała mu stąranie,
 A z dorosłych zaś Synów, każdy z plugiem stąnie.
 Tym czasem, Zona, Corki, obiady gotuie,
 Y spracowanych Meżow, z Syny posiłkuie.
 Ona y krowy doi, z kad okrasę czyni,
 Y smaczno Dom swoy karmi, dobra gospodyn.
 Ona sery wprawidła; a fruktą do dziecizy
 Składa, że się zda każdy, przez rok, że jest swięty.
 Pasterz nieśie Multanki, y czyni popisę,
 Nowey piosnki, zabraney od trzody najbliższey.
 Oracz plug składa, żenac, y leniwe woły,
 Ktore kárki pochyte, niośa do stodoły.
 Ciesza się, że ich troski, ze dniem się skonczyły,
 Bogowie mak na oczy, Ludzkie roztoczyli,
 Stąrania sen poznośil, y przez miłe czary,
 Uspił, że kłopot ustał iutrzyszy y stary.
 O iák Ludzie szczęśliwi; nie podlegli pysze,
 Bez strachu, y bez zdrady, żyacy w zacisze.
 Byle im Bogi dali, Króla spokojnego,
 Zeby im nie pomieszał życia niewinnego.
 Z tad w nieś: iák złość nie Ludzka! dla dumy y boin,
 Zbąwiać ich wesolości, oraz y pokoiu;
 Wydżierać ziemskie dary, ktore z ręki hoyney
 Natury, z potu maia, y z pracy spokojney.
 Natura, ze wnętrzości, tak siła dobywa,
 Ze y na niezliczonych ludzi, nic nie zbywa,
 Ktorzy są wstrzemięzliwi. Lecz pycha rospusta,
 Przywodzi ich w okrutne, y ciężkie ubostwa.

Ale coż (mowi Idmen) mam robić z tákiemi!
 Ktorych , w żyznym osadze kráiu , á gnuśnemi
 Będa , w sprawowaniu go ! Mentor mu odpowie:
 Uczyń przeciwnie , zwykli , co czynić Krolowie.
 Ci będąc intrat chćiwi , ná takich zwyczajnie ,
 Podatki ciężkie wala ; ktorzy iednostaynie ,
 Praca przyszli do chleba ; y ze więcey máia :
 Więcey z nich dra , á tych zaś , bardziey ochraniaia ,
 Ktorych w uboſtwie trzyma , zaniedbana ziemia.
 Przemień ten rząd , y zwyczaj ; bądź słuźny obiema.
 Ten rząd , co dobrych gubi , á złych zachowuie ,
 Krolom , Páńſtwu , niedbalſtwo ſzkodne utrzymuie.
 Raczey winy y taxi , y ostrzeysze káry ,
 Na tych kładz , co niedbaia , ná ziemiańskie dáry.
 Kto ſwey roli zaniedba , y odstapi gleby ,
 Niech ma karę , iák żołnierz , co uciekł z potrzeby.
 Skończywszy dzienne práce wszyscy już wesoło ,
 Spiewaiac , oczekuiá ſnu , pod nocy poła.
 Nie żáluj libertacyj , y Dobrodzieſtw innych ,
 Tym , ktorzy Domy mnoża , przy prácach powinnych.
 Przyczyniaj im y ziemi. A tak ſię rozmnoża ,
 Y do pracy ochota , tak w ſobie pomnoża.
 Tak rzemioſło Orackie , w kontempcie nie będzie ,
 Raczey plóg we czczy , u ſwych , y poſtronnych wſzędzie ,
 Tak piekna będzie , role ſwe ſpráwiać w pokoju ,
 Iako , bronić ich w woynie , y we krwawym boiu.
 Rozkwitnie ziemia , Ceres , uwieńczy ſię kłoſem ,
 Bachus z gor zleie winá , á doliny głoſem
 Paſterskim nápełnione będą , brzmieć potoki ,
 Bydło ſię páſć , kray płynąć będzie ten w pátoki.
 Nie bądźieſz Idmenie ! ty nader ſzczęſliwy !
 Kiedy zrzodłem takich dobr twoj národ życzliwy ,
 Zwać cię będzie ! y kiedy pod twoim imieniem ,
 Miły pokoy ogarnie ich , iák wdziecznym cieniem.
 Tá ſława , áżáż nie ieſt miłſza niźli druga ,
 Ktora kráie puſtołzy ! Co ieſt , woyna długa.
 Co lepicy ! czy te ſłodycz rozſiewać ná ſwoie ?
 Czyli ſtrach , zamieſzanie , głody , krwawe boie.
 Szczęſliwy taki Krolu , od Bogow kochany ,
 Co delicya Páńſtwa , woliſz bydz názwany ;

Y ná wieki potomne, krolestwa miłego,
 Wizerunek wydaiesz. Wierżże mi! takiego
 Káždy kray radby znalazł; Nie! by mu się bronił,
 Ale by pod rząd łego, kark chętnie nákłonił.
 Ale, gdy Ludzie będą w takiey obfitości,
 Roskosza się popsuia? y te same włości,
 Ktorem iá crygował, ná mnie się obroca?
 Nie boy się, rzecze Mentor. Złe cię myśli kłoca.
 Ten prątext, Krolom chciwym, zwykli proponować,
 Ktorzy chcą podatkámi, Ludzie opprymować.
 Práwá, cośmy pisałi oraczom, y zwiáda,
 Przy pracy ustáwicznejey, próżnować nie dadzą.
 Y lubo dość wszystkiego, nie ná zbyt nie będzie,
 Y to, co mnoży roskoszf, wszystko się to zbedzie.
 Sámá nawet obfitóść, y w tym się umnieyszy:
 Kiedy sposób do Małżeństw, podasz im łatwieyszy.
 Bo przez nie, familia káżdá się rozmnoży,
 Kawalek będzie ziemi cenić sobie droży.
 Z tąd praca ustáwiczna; przez nie, próżnowanie,
 Wyzeniesz, które robi, w państwach buntowanie.
 Badać oni, obficie mieli, dosyć chlebá;
 Ale go potem ciężkim skropić będzie trzebá.
 A przeto, żebyś národ twoy trzymał w kárności;
 Zarázże porozdzielay kray, ziemię, y włości.
 Naznacz, co Familia káżdá, trzymać będzie:
 Aby rząd, y w nim równość, mieściłá się wszędzie.
 Wiesz, żeśmy ná siedm stánów, Lud twoy rozdzielili;
 Trzebasz tedy, ábyśmy káždy opátrzyli
 Ták, żeby niemiál nad to, niż w nim Ludzi znaydzie,
 Stan káždy; y to práwo, niech ná káždy zaydzie.
 Szlachcie, niech się niegodzi, z uboższych nábywáć,
 Ubogim także swego, niegodzi się zbywáć.
 Choć małe, niech spráwuie káždy role swoje;
 Obaczysz, że pożytku znieśiesz tylo troie.
 Y to bym też rozumiał: ábyś nie pozwaláć,
 Zbytnie krzewić winnice, raczey ie obalać.
 Niech wino rzadkie będzie. Wiedz, że zrzodłem wino,
 Wszystkich nieśczęść wpołspółstwie, którym wszyscy gina.
 Choroby, zwady, bunty, w pracy opuszczenie,
 Próżnowanie z tąd płynie, y Domow zniszczenie.
Niech

Niech tylko wino będzie, Bogom ná ofiarę,
 Albo dla zdrowia pod czas, ile kiedy stáre.
 Zgoła; rzadko zażywać, chyba w wielkim feście,
 Jest to rząd konserwować, bá y zdrowie w mieście.
 Ale się nie spodzieway, byś tak zacne prawo,
 Miał utrzymać, rozkazem tylko, y ustawa;
 Przykłádu z siebie trzebá. Potrzebá do tego,
 O wychowaniu dżiatek, Minosa mądrego
 Práwá wskrzesić chwalebne, y szkoly publiczne
 Wystáwić, y Duchowne wraz, y polityczne.
 Tám boiáźni się Bożey, Oyczyzny miłości;
 Umienia práw Oyczystych, y wszelkiey kárności.
 Niechay uczá, y iáko, honor przelożony
 Ma bydz, nad wszelká roskosz. Zdrugiey znowu strony,
 Magistraty, zwierzchności, nad familiami
 Pośtanow, y day im moc, nad obyczajami.
 Ty sam, cóś jest y Krolem, y Pásterzem, twoich
 Pilnuy, y strzeż národow, iák owieczek swoich.
 A przeto ty uprzedzisz, kryminałow siła.
 Ktorych by zaś przezorność twa, nie uprzedziła!
 Karz ie surowo. Y wiedz, że to cześć litości,
 Kárániem utrzymywáć, wpierwszym skoku złości.
 Krwi troche rozlewaiac, ochrania się wiele,
 Y bez Tyráństwa, respekt zwierzchności się sciele.
 Przeciesz, niech u pocziwowych maxymá nie będzie:
 Chcieć z Ludzkiey oppressyi bezpieczenstwa w rzedzie,
 Pospolstwa do wszech náuk, do cnoty niewodzić,
 A ni ich, do miłości Páńskiej, nie przywodzić.
 W Biedzie, w stráźney potrzebie, trzymáć ich ustawnie
 Niedáć im y odetchnac? Jest to wieść ich iáwnie:
 Zeby iárzmo Tyráństwa, zrzucić z się myśleli.
 Coż to zá pánowanie? Nie tę drogę wzięli
 Ci, co do sláwy idá. Wiedz, że te tam kraie,
 Kády Tron, Absolutom, moc stráźliwá daie,
 Sá naysłabsze. Bo w nich Krol, bierze, ruinuie,
 Sam wszytko, gdy sam ieden Pánstwo obeymuie.
 Ale Pánstwo wyssane, że tak rzekę, mdleie,
 Pustki we wsiach, y Miástach, wszedzie źle się dzieie,
 Krol, nie jest przez się Krolem; ále przez poddánstwo,
 To niszczac, sam się niszczy, przez swoje Tyráństwo.

Pieniądze wyciągając z ludzi, kray gołoci,
 Niewolników z poddanych, czyni z zbytniey mocy.
 Y zdadza się go słuchać iakby adorować,
 Drzeć, na każde weyzrzenie Tyranna, się chować;
 Lecz najmnieyszey odmiany, gdy się doczekają,
 Z tą mocą, co na ołtarz, dopiero stawiają,
 Co się stanie! To: gwałtem co się podpierało,
 O ziemię wnet uderza, iak rzeczka nietrwala.
 W sercach poddanych nie masz, owcy to skarbnicy,
 Która rewolucye najsurowieze liczy.
 Za pierwszym uderzeniem, Bałwan się obali,
 Y depce go tenże sam, co go teraz chwali.
 Wzgarda, strach, y nienawiść, w ligę z sobą wchodzi,
 Y przeciw tak obrzydłej mocy, woyny zwodza.
 A Krol, który w swym szczęściu, prawdy niechciał słuchać,
 Odstapiony od wszystkich, musi w garść sam chuchać.

Po tych, tak długich mowach, Idmen przekonany
 Racyami Mentora, ow kray zapomniany,
 Y zarośły między Lud rzemieślny, rozdać,
 Y prawa umowione nowośiedlcom dać.
 W momencie, polą w oset gęste y w zarośli,
 W kwiat y zboża nadzieie, y owocow, rosły.
 Ziemia łono otwiera na rznące się radła,
 Y bliska oraczowi, nadgroda przypadła.
 Po padołach y wzgorkach, owiec wielkie trzody,
 Po trawie wybrykuia, z zbytniey pasz wygody.
 Góry rykiem, wołowe stada napelniają,
 Ktore sztuką Mentora, tak się nabywają;
 Rzeczy bowiem, co na zbyt w Salencie ich było,
 W zamian na wszelkie bydło, się powymieniło.

Aż zaraz wsi, Miasteczka, Młodzieża urodna,
 Napelniają się; Widzacie pore tak wygodna,
 Do Malżeństwa biorą się; ktorego się bano,
 By większey mizeryi im nie przyczyniano.
 Kiedy zaś obaczyli, że Idmen w Ludzkości,
 Przybiera się, y chce być Oycem, na swe włości,
 Już się głodu nie boją, woyn y Boskiey kary;
 Nieusłyszysz tylko głos, co młody y stary,
 Pasterz, oracz, podnosił; w ustawnie wesele,
 Iakby Pan, Bożek, Nymfy y satyrow wiele.

Sprowadził, y przed niemi sam grájac tańcował,
 Y do ućiech niewinnych, sam im Márzalkował,
 Iednak tá krotofila, tak pomiarkowana,
 Iakby ná odpoczynek, nie rozpuste dána.
 Podługiey pracy, żywsza roskosz, ząwsze bywá.
 A stárzecz zadumiany, takich słow záżywa:
 Wielki Iowiszu! Krolá błogosław takiego,
 Co tobie, w swey Dobroci, ma cóś podobnego.
 Dla szczęścia wzdyć to Ludzi, on sie nam urodził,
 Moc z Dobrocią, y Mestwo z szczęściem, wraz pogodził.
 Práwnuki, co sie z Małżeństw, ziego Iásk porodzą,
 Niech sławę, niech y dobroć, głoszą y wywodzą.
 Młodzienicy zaś y Pánni, rádości niewinne,
 Wychwalali, przez pieśni, y dzięki powinne,
 Temu, który przyczyna, ich był sam wesela,
 Ustá ich wraz y sercá, tak rádość obieła.
 Zá Krolew biega, szczęścia, nie máia większego,
 Iáko swych wesel widzieć Autora dobrego.
 Iuż o życie Iego, iák o swe własne stoia,
 Y bojąc sie o Krolá, o swe strátę boia.

Wtedy Krol Mentorowi przyznał sie z wyznaniem,
 Ze nie masz rownych smakow, iáko bydz kochaniem
 Pólpólstwa. Y uczynić modz ich szczęśliwemi,
 Nigdy nie la nierozumiá! Mowiac między swemi;
 Iam moc Krolow zakládał, w iedyney boiáźni,
 Niewiedzac, że tá większa pochodzi z przyiáźni.
 Kładlem, że wszyscy Ludzie, od cnych Bogow dáni,
 Dla Krolow tylko żyia, gdy im sa poddáni.
 To co mi powiadano, że byli Krolowie,
 Których zá delicye miewali Ludkowie;
 Zá baykę y sen miálem. Lecz prawdę uznałem.
 Trzebá ci wypowiedzieć to, co sam doznałem:
 Iák serce me otrute, tym Krolewskim błędem,
 Sprowadziło nieszczęścia, ná mnie wielkim padem.

Był zá Iát moich młodych, Proteżylas zwany,
 Troche stárszy odemnie, nad innych kochany,
 Dworu mego; Iego mi humor, żywy, śmiały,
 Przypadł do smaku, á w mych passyach, był cały.
 Był y drugi Młodzieniec, Philokles nązwany,
 Y ten także odemnie, dosyć był kochany.

Tego mi się kazał strzedz ; Lecz miał wielką duszę
 Y bojaźń Bogów [co ze wstydem przyznać muszę]
 Moderat był , y sławę w tym wszelką pokładał :
 Nie w szczęściu , ale żeby chuć łamiec układał.
 Odważnie mnie strofował ; A gdy uprzykrzonym
 Bał się bydz , to pokazał , zalem nie mowionym ,
 Zem się musiał domysleć , że bez słów strofuie ,
 Kiedy patrząc na lekkość moją , się frasuie.
 Zrazu mi było miło. Y twojej szczerości
 [Rzekłem mu] słuchać będę , w zupełnej ufności.
 Kazał się strzedz pochlebców ; ta mnie droga wodził ,
 Która Pradziad mój Minos , tak wybornie chodził.
 Nie miał takiej mądrości , jak ty masz Mentorze ;
 Ale jego nauka , w dobrej była porze.
 Aż pyszny Protezylas , y łask mych zazdrośny ,
 Philoklesa mi brzydził , przez iad swój nieznosny.
 Lubo ten mego Dobra , nie frotuny szukał ,
 Tam ten go , przez swe skargi , w sercu mym zahukał.
 Powoli , wbił mi w głowę : że coś na mnie knuje :
 Akcyę , pycha frogę , moje krytyzuie.
 Ze mnie o nic nie prosił ? jest to pychy znakiem ,
 Y że bydz nad honory , jest to jego smakiem.
 To zaś , że mnie strofował , w błędach mych poważnie ,
 Tęż same , przed drugimi , odkrywał odważnie.
 Wiec że mnie za mało miał , ani estymował ;
 A przez to , do korony , plac sobie gotował.
 Zrazu wierzyć nie mogłem , by Philokla myśli ,
 Do Detronizacyi , tak zuchwale przyszły.
 W prawdziwej bowiem cności , ta rzetelność bywa ,
 Ze (byle wnie się wpatrzeć) fałsz się w niej nie skrywa.
 Lecz słatek Philoklesa , począł mnie mordować ,
 A sztuka Protezyla , nad nim tryumfować.
 Y dowcip , którym nowe , mymślał mi gusty ,
 Wziął gorę nadeń prędko , y mój humor puścił.
 Protezyl , znieść nie mogąc , zem mu niechciał wierzyć ,
 Nie słowem ale skutkiem , chciał tę sprawę zmierzyć ;
 Y ta sztuka mnie podszedł : Abym posłał , rądził
 Philoklesa na wojnę [Bom się wtedy zwadził ,
 Z Narodem Karpacyjskim] w te mi mowiąc słowa :
 W tym samym uznasz Krolu , że ma rada zdrowa.

Wiesz

Wiesz dobrze, że Philokla, przeciw sobie, całę,
 Ze jest w woynie rozumny, y szczęśliwy chwale.
 Wypraw go z okretami, nikt ci nie usłuży,
 Lepiy nad niego, ani, w czasie się nie zdłuży.
 Nad interes, usługę twoją, moy przekładam.
 Y zazdrość, przed twa sława, w iego ręku składam.
 Bardzom się tym ucieszył, z lego rzetelności,
 A oraz z lego iawney, tey sprawiedliwości.
 Ścisnąłem go z radością, applauduiac sobie,
 Zem złożył poufałość, na takiego osobie,
 Ktora za nic Interes, y passyę kładzie.
 Ale, O! iak Krolowie są podlegli zdradzie!
 Ten człowiek lepiey mnie znał, niżeli ja siebie:
 Wiedział, że Krol zwyczajnie, nie miewa w potrzebie,
 Aplikacyi / Potym, pelen nieufności
 Nie zrozumiał kalumniy, ani fałszywości.
 Bo nieaplikacya Páńska ztąd pochodzi:
 Ze w roskoszach, wśzystek czas trawić, mu się godzi.
 A nie ufność, że często, bywając zdradzony,
 Zle trzyma y o dobrym, ktory oskarżony.
 A zátym, poiał rázem, znaiac mnie takiego;
 Ze łatwo będzie wprawic, suspicya w niego.
 Y że czyny wojenne, w ktorych będzie sławny,
 Kalumniy da przedemna, doku nent mu iawny.

Philokles, gdy odieżdżał, co się z nim stać miało,
 Dobrze przeczul, y rzekł mi: Kiedyć się tak zdało!
 Ja iade; lecz pamietay, że nieobecnego,
 Łatwo może oskarzyć; Y że ty iednego
 Mego Nieprzyjaciela słuchać tylko będziesz,
 A łaski y ufności, do mnie sługi zbedziesz.
 Y gdy ja krew lać bede, przy twojey osobie,
 Censury y niełaskę, u ciebie zarobie.
 Mylisz się [rzekłem ja mu] Protezyl cie chwali,
 Nie tak iako, ty lego, co mnie trochę zali;
 On cie za godnieyszego, tey sławy osadził,
 Y zem ci dał kommende, z cnoty swey sporządził.
 Gdyby miał co przeciwnie, więc skarżyć na ciebie,
 W łasce mey y w ufności, wnetby zgubił siebie.
 Idź nie boy się y nie myśl, tylko służyć sławnie.
 Iachał, lecz w turbacyi zostawił mnie iawnie.

Przyznam się że widziałem, iak potrzebą było,
 Aby mi w radzie, siłu rozumnych służyło.
 Y że dla interesów nie masz nic gorszego,
 Iako słuchać iak oślep, zawsze rad iednego.
 Rad mądrych Philoklesa, doznałem że były.
 Y że mnie od tych błędów, nieraz ochroniły,
 W które mnie Protezyla pycha wprowadziła (
 Y owłos (á to nieraz) ledwo nie zgubiła.
 Widziałem, że Philokles, prostszą drogą chodził,
 Ale się z Protezylem, że nigdy nie zgodził!
 Bydź między przeciwnemi, to mnie mordowało,
 Woląłem zbydź iednego, choć z szkoda niemała.
 Tak szpetney iá racyi, im nie powiedziałem
 Lecz tej dyspozycyi, że w sercu uznałem.

Pobił Nieprzyjaciela, zbił, siłą poimał
 Philokles, y zwycięstwo zupełnie otrzymał.
 Y chciał do mnie się wrocić, wiedząc, Adwersarze,
 Ze u mnie, łwe wzniecali na niego potwarze.
 Lecz Protezyl, nie mając czasu, mnie ożukać!
 Kazał mu przez list, w kráiu; Nieprzyjaciół szukać,
 Y w Karpatu wniść wyspę, popierać zwycięstwo,
 Ktore dała odwaga, y cne lego mestwo.
 A tym czasem, nieznacznie tak rzeczy sporządził,
 Ze dla nich, moy Philokles, koniecznie pobładził.
 Co trzeba nie posyłał, obarczył, go zgolił
 Ze prędko się fortuny, obrociły kółá.

Był u mnie ieden Dworzan, ktorego on zwazył,
 Ze był wielki wykreতারz; y na to go zázył.
 Wszystkich moich ákcyj szpieg, że w spokoju bywał.
 Wszystko wiedział (w Imię się, Tymokret nazywał)
 A ten mi raz powiedział, (lecz w wielkim sekrecie)
 Ze się spráwa na Dworze, niebezpieczna gniecie,
 Ktorá odkrył: Philokles (rzekł) woyska Morskiego,
 Chce zázyć, by się Krolem zrobił, Karpackiego
 Kráiu. Wszyscy wodzowie, barzo mu przychylni,
 Żołnierze już uieci, są rozkázow pilni.
 Pieniądze dáie, przytym wszystkiego pozwala,
 Y to świeże zwycięstwo, mocni go z niemała.
 O to list, co do łwego, przyjaciela pisał,
 Gdzie projekt, iak się Krolem, uczyni opisał.

Czytam

Czytam List; y że ręki Philokla, się zdało;
 Tak się Protezylowi, zmyśleć go udało.
 Zdumiany nad tym listem! czytam go ustawnie,
 Tu widzę, że Charakter, Philoklesa iawnie,
 Tu zaś, pomniac na iego pociwość y cnotę,
 Niemoge poiać, by mi te chciał zrobić psotę!
 Ale iakże niewierzyć, dowodom takowym?
 Tymokrat widząc, że już wierzył kłamstwom owym:
 Daliy zdradę pociągnął (niby, z zaiaknieniem)
 Rzekł: pokáže w tym Liście, lubo zprzymuszeniem:
 Oto patrz, że Philokles; to Przyiácielowi
 Pisze: By śmieie mówił, Protezylasowi,
 Wpunkcie. Co! nie wyraził. Lecz Cyfra naznaczył.
 Zda mi się że Protezyl, już się przeinaczył.
 Y że z Philoklem trzyma. Przypomniyno sobie!
 Iako on, na wyprawę tę, był rada tobie!
 Patrz! że od czasu tego, nań nie następuje,
 Iak przedtym! Y owszem go chwali, estymuje!
 Pewnie się już Protezyl z Philoklem zgodzili,
 By Kárpacya, między siebie podzielili.
 Możeszże temu wierzyć? by Philoklesowi,
 Mogł bydz darmo zyczliwym! (niech kto chce co powi)
 Iá mowie: że ci Ludzie, już nie o Karpacie;
 Ale myślą, na Pánstwo twe powstać, y na cie.
 Iá wiem, że gdyć to mowie, na Ich gniew się daie;
 Iezeli przeciw radzie, która ci podaie,
 W Reku Ich, rząd zostawisz! Iá zginie niemylnie,
 Ale coż? byle prawdę Pánu odkryć pilnie.
 Te słowa Tymokratá, w głowę mi się wbiły,
 Y zdrayca Philoklesa, razem uczyniły,
 Y że był przyiácielem, wielkim Protezyla.
 Tymokrat zaś mi mawiał, rázy barzo siłá:
 Strzeż się ty Philoklesa, niż Kárpát podbije.
 Bo gdy tám Pánem będzie, boty ci uszyie.
 Zá szyie go gdy masz czas. Iám zaś oplákiwał
 Ludzkie zdrády, niewiedząc, kogobym záżywał,
 Widząc zdrayca Philokla, mniemałem że cnoty,
 Iuż w Ludziach żadney niemasz. Y pełen ochoty
 Byłem stracić go prędko. Ale się zaś bałem
 Protezylá; lecz iak z nim postąpić! nieznałem.

Chciałem mu dowieść że zły : nieśmiałem mu wierzyć ;
 A wraz trudno w obudwu było Ich uderzyć.
 A z tym wszystkim, niemogłem zataić mu tego :
 Ze Philoklesa, miałem za podeyrrzanego.
 On się zdumiał wrzekomo ! y gdy go wychwala,
 W skromności tak rzetelney, bárdziey mnie zapala.
 Wynosząc go w zasługach, opisując czyny !
 Mnie, że z nim był złączony, podeyrrzenie czyni,
 A Tymokrat Philokla, nieprześtaiać psować,
 Wbiłmi że Protezyla, moge ieszcze chować.

Pátrż kochany Mentorze ! Iáko to Krolowie !
 Sa poddani igrańcze ! niecnotliwey głowie !
 Y iák Ich, cherchelami swemi, obrácaia !
 Kiedy, u nog drżacemi, Ich się ukládaia.
 Rozumiałem, że wielkiey sztuki tym dokáże !
 Gdy cicho, Tymokrata wyszła, y rozkáże
 Zabić Philokla ; á bez żadney wiadomości
 Protezyla, tym złamie Ich tajemne złości.
 Protezyl dyssymulant odrwił mi tym snadniy,
 Im (że był oszukány) pokázywał iádniy.

Iachał Tymokrát, zařtał na brzegu Philokla,
 Dobydź niemogi Kárpátu, bo go była zwlokla,
 Złość Protezyla, że mu niedodał co trzebá :
 Y tylko meřtwem robił, á sukursu z Niebá,
 Czekał Hetman niewinny. Protezyl tym czasem,
 Ná tym liście niemiał dość ; Inřze sztuki z wczasem
 Gotował : żeby wine ná Philokla zwałić,
 Gdy Kárpátu nie weźmie, y tym go obalić.
 Philokles zaś, y káždy, tey wyspy dobyćie,
 Lub zá to wieřsza szkoda, niż zysk y nábyćie,
 Iednak meřtwem y cnotá tak się o nia kuřil :
 Zeby zázdrość u dworu, przeciwnych uduřil,
 Lubo Iego żołnierze, y pod nim wodzowie,
 Zgube cięřzka widzieli, iednak Iego Głowic
 Ufaia ; że się wszedzie iák ná śmierć nárázał,
 A naymnieřsza rzecz wszedzie, y madrze uwařał.
 Káždy bić się y umrzeć, zá szczęście rozumiał ;
 Táć Philokles, Ich miłość zyskać sobie umiał.

Cięřzko Tymokrátowi, y ze stráchem było ;
 Porwáć się ná Osoba u woyská tak miła.

Lecz

Lecz co pycha nieczyni? Podiał się; A za tem;
 [Proteżyl się obiecał, dzielić z Tymokrątem,]
 Uiał dwóch Pułkownikow, ktorzy Philoklowi:
 Służyli na skinienie, najmnieysze gotowi,
 Tym zdraycom przybiecał nagrodę, y dary,
 Byle mu dopomogli, wśadzić go na Móry.
 Po tym, Philoklesowi samemu, powiedział:
 Ze ma od Krola mówić; Y żeby to wiedział,
 Ze wola moja jest: By ci dway Pułkownicy,
 Znim świadkami tey byli, lego tajemnicy.
 Zamknął się z nim Philokles, z temi co im wierzył,
 A Tymokrat go wtedy, Puynałem uderzył.
 Wywinał się mu Puynał, uderzył go płazem,
 Philokles niestrwożony, wydarł puynał razem.
 Y broniąc się wszystkim trzem, na gwałt mocno woła,
 Wartą bieży, wybija drzwi, broni go zgoła.
 Połapano záboycow; pewnie by ich było
 Rozsiekano, gdybybył Hetman twarzą miłą,
 Sam zdraycow nie obronił. Potym Tymokrátą,
 Pytał: Co go prąywiodło! że go zglądzić z światą.
 Chciał zdradliwie! A on się bojąc śmierci srodze,
 Moy ordynans pokazał, na śmierć iego, w trwodze.
 Y wszystko, Tchorz y zdrayca, odkupując życie
 Odkrył, iako Proteżyl na iego zabić,
 Sztuki robił u Krola, Y wszystko wyiawił,
 Iako go łaski moiej, y ufności zbawił.

Zadumiony Philokles, nad tym iadem złości,
 Wziął przed się drogę, pełną cnoty y skromności.
 Zwołał woysko, y przed nim całym deklarował:
 Aby nikt Tymokrátą, wiecey nie winował.
 Do Crety go odesłał, iako niewinnego.
 Oddał Polimenowi, kommende. (Ktorego,
 Iam naznaczył skoroby, było go zabito)
 Y co w mym ordynansie było tak wryto:
 Wszystko woysko napomniął, by mi było wierno.
 Sam zaś wnocy wsiadł cicho, na łódź, dość mizerną,
 Płynął do wyspy Samos; gdzie sam cicho żyje
 W ubóstwie, y statuy wyrabia, y rzeź,
 Z tey roboty chleb maiać. O Ludziach y wieści
 Niechce mieć, zdrady pełnych, która się w nich mieści.

A tym bárdziej o Krolach , zá nayzaślepieńszych ;
 Maiac ich , y w passyi gniewu , nayszalenśzych .
 W tym mieyscu , Idomena Cny Mentor zadržymał :
 A długo [rzekł] ten cie bład Idomenie trzymał ?
 Długo prawdy nieodkrył ? Niedługo to było ,
 Odpowiedział mu Idmen , w krotce się odkryło .
 Rzeczą káždą roztrząłaiac , postrzegłem iá siłá
 Zdrad y sztuk Tymokrátá , iák y Protezylá .
 A náwet zwadzili się ; iák to zawsze bywa ,
 Między złemi zła przyiaźń , nietrwałá fałszywa ;
 Ich zwada ná się skarga : tá mi to odkryłá :
 W co mié Ich zgodná zdrada , wprowadziła byłá .
 A coż [Mentor mu rzecze :] niewziąłżeś przed siebie ?
 Zbydź się obu , y swoicy wygodzić potrzebie !
 Ach nie ! miły Mentorze ! Ażáż ci Krolowie ,
 Nieznaiomi ! iák w sercu , słabi są y w głowie !
 Kiedy się raz takowym Ministrom oddadzą !
 Ktorzy im , potrzebnymi ná der , się bydź zdadzą .
 Wybić się z tey niewoli nie mogą / y tacy ,
 Ktorzy Ich oszukują ! rekompensę raczyj
 Odbierają naywiększą . Y tak Protezylá
 Nienawidzac , powaga wszytká przy nim byłá .
 O cudná Illuzyo ! kontent że go znałem ,
 A powagi ráz daney , wziac mu zaś nieśmiałem .
 Z tym wszytkim był wygodny , y ná wszytkie żądze
 Pozwalał , y dowcipnie pomógł mi w nierządzie .
 A tak sam się przed sobą tym exkuzowałem ,
 Ze zdrayce wygodnego swym passyom miałem .
 Prawdziwey cnotym nieznał , bom nieznał y Ludzi
 Wybrać , tylko takiego , co zdradza y ludzi .
 Nawet żeby ná świecie byli , nie wiedziałem ;
 Y cnotę , zá zmyśloná Hymere , trzymałem .
 Myślałem : co mi potym ! gdy się tego zbęde ,
 A drugiego takiego , iáko ten nábęde :
 Tym czasem woysko morskie , do mnie powróciło ,
 Ani się o Karpatu , dobyciu myśliło .
 A Protezyl , zátáić niemógł , żadná miarą ,
 Ze życie Philoklesa , iest mu wielką kárą ,
 W tym Mentor Idomena , przerwał w takie słowa :
 Widzac że tak przechyrná Protezylá głowa ,
Y innych

Y innych pogubiłá, ciebie zgubić chciała;
 Azáż przecie, u ciebie rząd y wiara miała.
 Odpowiedział Idomen: Nie lubiáć pracować,
 Ani się do spraw moich, słusznie aplikować.
 Wolałem zdrajcę cierpieć, do dalszey pogody,
 A niż uiać choć ná czas, swey prózney wygody.
 Zgoła przewieść niemogłem, y oczy wolałem
 Zamknąć, ná zdrády iego; Tak go iá się báłem!
 W tym się tylko więc ciesząc, że swym poufałem,
 Iż o lego wiem zdradach, cicho odkrywałem.
 Tak mniemałem, że byłem, ná puł oszukány,
 Zem znał franta, tymem był, od Bogá karany.
 Z tym wszystkim, dosyć rzesko mu pokazywałem:
 Ze lego Pánowanie, nie znośnie cierpiałem,
 Często mu się sprzeciwiał, y ganił publicznie,
 Ták w rádach iák prywatnie, w twarz iego oblicznie.
 Ale on, znaiąc gnoystwo me dobrze, y pychę,
 Nie dbał ná to odecie, y kolery liche.
 Swoie robił, różnemi, sztuk różnych drogami,
 To nagleniem, to znowu, wraz układnościami.
 A zwiászczá, kiedy ostrosć zbytnią, uznał we mnie,
 To Intrygi záwiłe przyciągał przedemnie.
 Ze mi się niechcąc pracy, miał czas się pokazać,
 Zycziwym, iż pracował gdy się miał urażać.
 Lubom się go strzegł, iednak niemogłem uchronić,
 Ani tey układności iego się obronić.
 Wiedziałá wszystkie sekreta, y gdym się turbowáł,
 Umiał mię wyprowadzić. Ták się utrzymował.
 Przez to moje niechluystwo, które dobrze zważył,
 Wszystkim był straszny, nikt mu oprzec się nieważył.
 Niechcąc go á trzymać, wszystkich odpędziłem,
 Pocciwych, gdy w iednego, złego rękach byłem.
 W radach moich nie słyhać, ni głosu wolnego,
 Prawdą z dworu wygnana, uciekła moiego.
 A bład, który upadki Krolow, zwykł gotować,
 Iawnie iáł się ná moim dworze, pokázować.
 A nawet náyżyczliwsi (po frogim przykładzie
 Protezyla) y moicy, ustáwiczney zdrádzie,
 Kładli się ná sumnieniu, bydź całé wolnemi,
 By prawdy nie mówili, y byli niememi.

Ja sam (miły Mentorze) prawdy się lekalem,
 Importunowałam się, lubo iey nie znałem.
 Gora, co wziął Protezyl, przy moiej słabości,
 Desperować kazała, o moiej wolności.
 Tak wstydlivy stan życia, który mnie urazał,
 Przeciem go niechciał widzieć, nim światu pokazał.
 Wiesz prożna pycha Krolow, z urodzenia swego,
 Ze nigdy błędu uznać niechca naygorszego.
 Jeden błąd pokrywaiac, sto błędow poczynia,
 Niż, że są oszukani, wyznaiac, się winia.
 Y wola, całe życie bydz oszukanemi,
 Niżeli oszukanie, wyznac przed drugiem.
 Iaki stan Krolow słabych, pracy nie lubiacych,
 Y moy taki był, y dni nie aplikniacych.
 Tym czasem (iako ty wiesz) ruszam się pod Troie,
 Odiezdzaiac, powage z rzadem, wszystko moje
 Składam ná Protezyla. On pyszno, Tyrańsko,
 Wyciaga nad Krolewstwem, władza swoia Páńska.
 Creta ieczy pod iarzmem, a nikt nie śmie przecie
 Oznaymić mi, iako on, wszystkich środze gnecie.
 Wiedzac że się bał, gdy mi, prawdę kto odkryje,
 Y że prawdy odkrywca przed złością nie skryje
 Protezyla, ani mu nie podam obrony.
 (Ale ogień tym gorzzy im bardziey táiony)
 Przywiodł mnie, żeś odegnać musiał Moriona,
 Ktorego mestwa, moia doznała Korona,
 Y w Troi obleżeniu. A gdymem do Domu,
 Powrócił, nie przepuścił z zazdrości nikomu.
 Y ztąd, miły Mentorze! me nieszczęścia wszystkie
 Poszły, y nastąpiły akcyje, tak brzydkie.
 Już wiesz żeś syna zabił, za co bunt podnieśli,
 Creteńczykowie; y mnie że z życia nie znieśli,
 Bogow to rozgniewanych ná mnie pomsta była.
 Tá złość przez Protezyla, ná mnie w Ludziach była,
 Y kiedy za krew syna, odemnie wylana,
 Generalnie do buntow, y ná śmierć powstało,
 Pretext to był, y tylko, okazywa wzięto,
 Aby mnie z Protezylem z Krolostwa wypchnięto;
 Y kiedy się, w ostatniey Akcyi, porwali
 Ná mnie, co w sercu dawno, mieli pokazali.

Tymo.

Tymokrat był przed Troia, boku mego pilny;
Myśli do Protezyla, mych szpieg nieomylny.

Widziałem się w niewoli, lecz niemogąc rady
Dać, wołałem już cierpieć, ich obudwu zdrady.
Kiedy zaś, iakom już rzekł, zli Creteńczykowie
Powstali na koronę wraz y moje zdrowie,
Protezyl z Tymokratem, nayıpierwsi ućiekli,
Nieratuiąc wtym, w co mię wprzod byli oblekli.
Y pewnie by mię cale, byli odstąpili,
Gdybym wraz nieućiekał, gdzie naprzod skoczyli.
Wiesz Mentorze, że Ludzie, wfortunie zuchwali,
Wnieszczęściu drżą, niewiedząc, gdzie się udać dąli;
Gdy Ich moc odstepuje, głowa się zawraca,
Czołgaia się za Krolem, gdy go Bog obraca.

Mentor rzekł Idmenowi: Co to jest takiego!
Ze mając tych dwu Ludzi, serca tak podłego,
Ieszcze ich aż po dziś dzień, ty chowasz przy sobie?
Ia się im niedziwiuie, że siedzą przy tobie,
Y chyba że masz za czyn iakieys wspaniałości,
Ze miasto pomsty, daiesz znaki łaskowości!
Lecz po probach okrutnych, ktorých doświadczyłeś,
Nie wiem żeby ich chować, dobrze to czyniłeś.
Aż nie wiesz (rzekł Idmen) że nayıwieksze proby,
Nic Krolom niepomoga; Tym w ktorých ozdoby
Cnoty niemasz! W nich z pieśzczot, iedno proźnowanie,
Czyni z tego wszystkiego, ślepe nieuznanie.
Tyle lat, ile w raku swoich mię trzymaia!
Tylo okow, łańcuchow, na moy kark zbieraia!
Gdym z Crety ućiekl, y tu poczał się fundować,
Do kosztow na budynki, żeby wystawować,
Niepotrzebnie mię wiedli. Lud wszystek wysali;
Y jeszcze mię do woyny nie służney wegnali.
Z ktorey gdyby twa mądrość niewyprowadziła,
Salenta, w Cretęby się, była obrociła.
Lecz tyś oczy otworzył, y umysł wprowadził,
Abym się z tey niewoli, kiedyś wyprowadził.
Czuie się inszym członkiem. Mentor pyta daliy:
Iak sobie postępuie, czy gani czy chwali!
Protezyl te odmiany? Idmen odpowie:
Sztuk Iego ktore robi, nikt ci nie opowie.

Skoroście tu staneli, nie sam lecz z drugiem;
 Chciał mi wbić dyskursami o was, to długiem;
 Ze się tych cudzoziemców, strzedz bardzo potrzebą;
 Ten, syn zdrajcy Uliffa! Ten dowcip iak z Nieba,
 Má starzec! ze sztuk skrytych, po krájach bładzacy!
 Kto wie? ieśli y Twego Pánstwa nie iest chcacy!
 Ci sami [wszak wyznaia] iakie porobili,
 W Pánstwach rewolucye, po ktorych chodzili!
 Wiec twoie w tymtu kraiu, by nowosiedliny,
 Przez ich sztuki nie przytly do prędkiey ruiny!
 Protezyl sam nie mowil, lecz tylko námienil
 Niebepieczność, żeś wszystek, rząd Ludzi odmienil.
 Chcesz [mowil] aby twoy Lud nábyl obfitości!
 Ta droga, proznowania, do buntow y złości.
 Zarliwości pretextem opierał się twoicy
 Reformie, iako by się, o ma władza boi,
 Mowil: Ludow twych folga, twej uciecie mocy,
 A y samym poddanym, nie będzie pomocy,
 Gdy Ich rozpieścisz. Wzdyć to, tylko jedna bieda,
 Posłusznym czyni. Głaskać? ná co się to przyda!
 Ná tom mu odpowiadał: Potrafie w kárności,
 Lud posłuszny utrzymać, choć przy obfitości.
 Dzieciom edukacya, kárność starym dáiac,
 Moge rządzić wszystkiemi, nie nie obawiaiac.
 Wpracy, trzezwosci, Ludzie o tym nie pomysla,
 Brzydza się ta nie Ludzka maxyma y mysla:
 Zeby głodem poddaństwo przymuszac do tego,
 Aby się uznawali, za Pána swoięgo,
 Bestyalska náuka; A zaż nie widzimy!
 U łaskawych iak Pánow sa zbyt posłusznemi.
 Bunt w poddanych to czyni: gdy slabi Krolowie,
 Pozwalaia, aby się wyniesli Pánowie;
 Ktorym kiedy moc zbytńia, w złe ręce oddaia,
 Opprymuiac poddanych, ná bunt wprowadzaia.
 Pieszczoty y roskoszy, á z nich proznowanie,
 Zolnierzy moc wpokoju, y ich niekaranie,
 Słowem: złe traktowanie Ludu ubogiego,
 Pycha y słabość Krolá, rządzić dáiacego,
 Pyszniemu Ministrowi, To to bunt y czyni,
 A nie chleb z potu czoła, który nie zawni.

Gdy

Gdy Protezyl obaczył, zem był, nieprzeparty;
 Wtym zdaniu, wnet odmienił swoy umysł uparty.
 Y idąc za mą wola co niemógł przełamać,
 Sam pomagał, y pychę musiał swoją łamać.
 A nawet y dziękował, zem go iá oświecił,
 Wdyskursach ktore nie raz, kontruiac mi wzniecił.
 Nawet mie już uprzedza, y sam nąpomina,
 Ubogich nie ratować iáka Panow wina!
 Koszty zbytńie przeklina, á ciebie iák chwali!
 Y iáko się podobac, myśli tobie daliy!
 Sam widzisz. Co zaś pytasz, mnie o Tymokrata!
 Tego się z Protezylem rozeszła pobrata.
 Niechciał znieść Protezyla, wyższego przed sobą,
 Wadzą się y nie żyją wcale dobrze z sobą.

Na to się wszystko Mentor wpuł z złością uśmiecha,
 Taką jest Idomenie, dusza w tobie licha!
 Ze się dwóm daiesz zdráycóm, y w zdradach znaiomym,
 Do tad tyrannizować swym wrogóm widomym!
 Znać niewiesz (rzekł Idomen) co człowiek zdradliwy,
 Może u Krolá! ktory miętki y leniwy.
 Ile że Protezylas, dobra publicznego,
 Zda się życzyć już wedle sentymentu twego.

Wtedy Mentor, wziął na się Twarz z miną poważną,
 Y taką zaczął mowę do Krolá odważną:
 Wiem iá, aż nazbyt, iáka gorę nad dobreimi
 Zli mają; iáko chodzą z Krolami miętkiemi;
 Tys sam straszny jest przykład; ale niepoymuis!
 Powiedasz, że moy rozum, ciebie dyryguie!
 Zem ci oczy otworzył, w zdradach Protezyla!
 A ty mu rządów daiesz y mocy tak siła!
 Niegodnemu y życia, wiedz, że zły gdy trzebá,
 Dobrym się pokázuie, iákby rodem z niebá.
 Y byle do ambicyj pomogła mu cnota,
 Zaraz się wnim pokáże do nieyże ochotá,
 Lecz taką, co prawdziwey, niema cnoty zródła,
 Ze y dobrze wraz czyni, byle Ludzi zwiodła,
 Zgoła; będzie y cnota zły człek prókrykował;
 Lecz Bog hypokryzya będzie wnim znaydował,
 Ktora z wszystkich występów, iá naygorszą sądzi.
 Protezyl! do twej woli wszystkie swoje żądze,

Obraca! Gdy ty dobrym będziesz się chciał trzymać,
 Y on dobrym też będzie byle się utrzymać.
 A skoro cie do złego, powracać obaczy,
 Wroci się do gorszego, y wnet przeinaczy.
 Możeszże żyć z honorem! gdyś wrękach u złego!
 A Philokla ubogim cierpisz pocciwego!
 Sam wyznaćś Idmenie; że franci przytomni,
 Czynią co chcą z Krolami, kiedy są ułomni;
 Wiedz że y to nieszczęście, które onisz maia,
 Jest; że wiernych y dobrych; wraz zapominaia.
 Mnogość Dworzan to czyni, że im każdy rowny,
 Zda się bydz. Co jest defekt, ciężko niewymowny.
 To im miło, co w oczach, co im pochlebia,
 A co daleko, y co dobrze nie szacua.
 Zwłaszcza cnota, która im gorzka, nie jest miła,
 Y chcą aby ta od nich, iak naydaley była.
 Temu się nie dziwować, że ley nie kochaia,
 Gdy się tylko o roskosz, y pyche staria.
 Temi słowy Mentor go, w cale zkonwinkował,
 By wygnał Protezyla, a zaś rewokował
 Philokla. Jedna trudność, w nim wzniecała żale:
 Ze się bał Philoklesa, ostrey cnoty cale.
 Przyznam się [mowił] cnota jest lego w szacunku,
 Ale mi powrot lego w strachu y w frasunku;
 Z dziecinstwam jest w pochlebstwach, wszelkich wychowany,
 Na skinienie więc oká, od wszystkich słuchany,
 Tego się nie spodziewam, od Philokla zgola,
 Ktoregom la doświadczył zmarzzonego czoła.
 Ze rzadko to com la chciał, w oczy approbował
 Zrespektem prawda przyjął, ale się frałował.
 Widzisz [rzecze mu Mentor] serca zepsowanie,
 Iak obraca w surowość cney prawdy wyznanie.
 Twój humor rozpieszczony serce twoje rani,
 Kiedy ci nie pochlebia, lecz co jest złe gani;
 Lecz podźmy ieno daley, y że jest mruk daymy;
 Czy lepsza ostrość lego, daley uważamy!
 Czy pochlebstwo twych radcow, ze wszech miar zdradliwe!
 Co z nich bardziey jest na twój interes szkodliwe!
 Agdzie znaydzie bez ale, y bez ułomności!
 Lecz patrz na insze lego, cnot doskonałości;

Ta wina, że ci prawdę, nązbyt ostra powi,
 Wiernemu nie powinna szkodzić człowiekowi.
 Ba co mówię! ta skaza potrzebna ci lego,
 Aby była naprawa defektu twoiego.
 Smak do prawdy naprawić, pochlebstwy zpsowany
 Trzebá, y żeby taki do rad był obrany,
 Który prawdę sam kocha, co cie kocha lepiy,
 Niz ty sam siebie w pysze, która ciebie ślepi.
 Zeby gwałtem do prawdy [mówiac ja] przymusił,
 A zdrady y pochlebstwa w twym sercu uduśił.
 Na to człek tak potrzebny, iest Philokles cale.
 Niechay się Krol szczęśliwym, kładzie doskonale,
 Kiedy się iák Philokles trafi w lego dworze;
 A za naywiększą karę [przy swoim uporze]
 Niech ma od Bogow, kiedy, nie umie takiego
 Żążyć, y ieszcze zgubić chce, tak poćciwego,
 Wade która w poćciwych znaydziesz popraw snadno,
 Niedyskretny lch humor, przez wymówkę ładną
 Odmien, ále nie odrzuć słuchając łaskawie,
 Moderuy, w czym lch cnota wybucha wiec żwawie.
 Nie naślady tych Krolow, co złych lubo złemi,
 Żążywaiá, byle się stali układnemi.
 A cnotliwych że chwala, tym się kontentuia;
 A urzędow y serca, Im nie konfiduia.

Aż dopiero Idomen zalem, z wstydem zdięty,
 Ze niewinnego karząc, zdał się bydz zawzięty,
 A zdraycow oppressya cierpiał tak leniwo?
 Zawałał Hegezyppa y kazał mu żywo,
 Proteczyła z Tymokrem wziąć obu za szyje,
 Y zawieźć do Samosu (który morze myje)
 Ztamtađ przywieźć Philokla. Hegezyp zdumiany,
 Z radości zapłakawszy (rzekł) Krolu kochany,
 Teraz wszystkich poddanych swych ukontentuiesz,
 Gdy nieszczęść lch authorow, traćisz; á gotuiesz
 Godnieyszemu, ich mieysce. Lat dwadzieścia mija,
 Iáko wszystkich poćciwych ieczy w iarźmie szysia,
 Ledwo się ieczyć godzi, takie lch tyraństwo!
 Ze żągubia kogo chce. Za nic twoie Państwo.
 Wtedy Hegezyp odkrył ich bez liczby zbrodnie,
 Nie ludzkie kryminały, postęпки niegodne,

O tych Krol y nie slyszal, bo sie skarzyć bano;
 Odkryl y to, iak zabic, y Mentora chciáno.
 Krol oslupial; ale sie, Hegezyp pospieszył,
 Brać w domu Protezyla (czym sie srodze cieszył)
 Protezyl, śliczny Pałac miał, który choć mnicyszy
 Coś by od Krolewskiego, lecz był dostatniejszy;
 Zbogacił go dostatki, z łez wyciśnionemi,
 Kiedy zdzierał panuiac sam nad poddanemi,
 Na Sali marmurowcy, po miedzy łazniami,
 Na łozku purpurowym, miedzy kolumnami,
 Y złotem tkanym leżał, oczy mu biegały,
 Y coś mu fatalnego, prognostykowały.
 A najpierwsi Pánowie, na złotym dywanie
 Siedzieli, obserwuiac, ocz lego ruszanie.
 Byle gebe otworzył, applauz mu czynili,
 Y jest lego naymnicyszy z podziwem chwalili.
 Jeden exaggerował, co dla Krola czynił,
 Ze był synem Iowisza, drugi zaś przyczynił.
 Poëta śpiewał wiersze gdzie go z Apollinem,
 Wdowcipie rownał. Drugi zaś był miedzy gminem,
 Co go wszystkich zaś nauk, czynił Inwentorem,
 Pospolstwa Oycem, y to wyśpiewywał chorem.
 To zaś słuchał Protezyl, z mina wzgardzaiaca,
 Y iakby wieklszych pochwał godniejszy, y chcaca.
 Zdał sie ze łaskę czyni tym ktorych on słucha,
 Jeden zaś zauszniczek przymknał sie do ucha,
 Ktory cicho, z Mentora reformy zartował;
 Protezyl sie uśmiechnał iakby approbował.
 Aż sie wszyscy siedzacy na koło rozsmieli,
 Chociaż zartu, ani słow lego, niesłyszeli.
 Lecz Protezyl sie znowu, na nich predko skrzywił,
 Każdy zamilkł, y smutno, na niego zadziwił.
 Szlachty tam dosyć stało, momentu czekali,
 Zeby skargi, potrzeby, swe mu przekładali.
 Postury ich zniżone, za nich prosić zdały,
 Iak gdy w kościele Bogom modli sie lud cały.
 Drudzy zaś, wesolemi, sie pokazywali,
 Y twarz swa, z Protezyla twarzą układali.
 Lubo iadem nań mieli serca napuszczzone,
 Wten moment wszedł Hegezyp [gardząc pompe one]
Odiał

Odiął mu miecz, y zaráz, od Krolá ogłosił:
 Aby się ná wygnanie do Samos wynosił.
 Ná ten głos, Protezyla, pycha odleciała;
 Iák gdy się urwie strážna od wierzchołku skála.
 Drży, do nog Hegezypa, ścielac się upada,
 Płacze, chlipa, y z smutnym záiakaniem gada;
 Ścisła nogi pokorny, Hegezypa tego:
 Widziećby przed godziną nie raczył ktorego.
 A ci widzac odmianę, co go ták chwalili,
 W besztanie y w przekleństwa, pochlebstwa zmienili.
 Hegezyp nie dał czasu, y zegnać się z swemi,
 Ani wziąć swych papierow, słał do Krolá z niemi.
 Wten czas y Tymokrata, zarázem zchwycono,
 Y obu do Samosu ná okret wsadzono.
 Przypłynawszy wysadził (żeby zaś niebawił)
 Ná większe ich karanie, w kupie ich zostawił.
 Tam zaráz z iádem, sobie poczełi wymawiać,
 Iák Pánstwo, iák y siebie zgubili, wyiawiać,
 Y ták daliy od swoich Zon zostáli ładnych,
 Nie mówię od Przyiáćioł, bo nie mieli żadnych.
 Wtey ziemi nieznajomey, ták ich zostawiono,
 Ze im żadney intraty, mieć nie pozwolono.
 Tylko żeby z rak pracy, co zarobia żyli,
 Ci którzy cały wiek swoy, w roskoszach przeżyli.
 To sprawiwszy Hegezyp; pytał pilno: gdzieby
 Philokles mieszkał? Gorę w ktorey on, z potrzeby
 Loch wykował y mieszkał, té mu pokazáno,
 Y zaráz wielkie chwały, o nim mu przydano.
 Mowiąc iák tylko do nas, ten, człowiek zawitał
 Nikt się z nim nie powadził, raczey wnim wyczytał,
 Szacunek cnoty Iego, widzac Iego pracę,
 Cierpliwość, y spokojność, káždy nád nim płacze.
 Chociaż się on nie mieszka w żadne Ludzkie spráwy,
 Dobrze czyni sąsiadom, pełen w biedzie słáwy.
 Idzie tedy Hegezyp, w té grote wstępuje,
 Lecz ja prożna, otwarta, z podziwem znayduie.
 Ubostwo bowiem, y że, Philokles miał mało,
 Ze groty niezamykał nigdy, w nim spráwiało.
 Rogoż grubá u niego, lednym łózkiem byłá;
 Kuchnia rzadko się ogniem Iego rozświećlá.

Bo lećie frukty świeże, zimie suche iadał,
Za piwnice mu źródło, bliskie Pan Bog nądał.
Nic w groćie on nie znalazł tylko ksiąg niewiele,
Którymi drogę sobie do cney cnoty ściele.
Potrzebne instrumenta, wteyże groćie były,
Temi robił statuy ná swa żywność z siły.

Hegezyp wszedłszy w grote, zdziwił się nad temi
Statuami tak ślicznie, sztucznie zacementi?
Stał Iowisz majestátu pełen, spokojnego,
Minerwa swej mądrości, Mars humoru złego.
Iakby dusze wlał wkámién; á ciesząc się z tego;
Uyżrzy Philokla blisko, w cieniu leżacego.
Postępuje ku niemu; Philokles się dumi,
Hegezyppá poznać, ále nie rozumi,
Co to iest! myślać sobie: Hegezyp to przecie,
Ktoregom iá tak dobrze y dawno znał w Crećie;
Lecz co on ma tu robić! ná tey tu pułstyni!
Pono duch Iego z styxu wrocony to czyni!
Zámyślony widzi się. Lecz Hegezyp blisko
Schodzi go, ściska mocno, y klánia się nisko;
A on mówi: Tyżesto! y co zá tráfunek,
Przyiáćielu moy dawny! czy ná moy frasunek,
Gniew Bogow, iáko y mnie, w tym cie kráiu stáwia!
Hegezyp odpowiada: nie gniew cie wybáwia,
Ale iáská cnych Bogow. Y zaráz przez długi
Dyskurs, mu opowiadá (dzień ieden y drugi
Ledwo by to wystarczył) on krotko Tyránstwa
Protezyła: iák wyzul Idomena z Pánstwa;
Creta, iák zbuntowana, ze Krolá wygnała!
Iáko się Colonia Salentu nádála.
Iák Mentor z Telemakiem, do niego záwitał,
Iák przywiódł Mentor Krolá, ze zdraycow pochwytał!
Ze ich tu záslał ná to obmierzłe wygnanie;
By toż co on niewinny, cierpieli káranie.
Ze ma roskaz od Krolá, wziąć go do Sálentý,
Gdzie będzie rządzil wszystkim, y dobrze przyiety.
Philokles odpowiedział; widzisz tę iáskinie,
Sposobnieyszą dla zwierzat niż dla Ludzi skrzynie!
Wniey iá wiácey pokoiu, miłych dni stráwiłem,
Niż kiedy w złotych dachach, pyszno w Crećie żyłem.

Tu

Tu człek mnie nie oszuka, ani pochlebnego,
 Nie usłyszysz dyskursu, rany serca mego.
 Ręce pracą ztwardniałe, tylko nad potrzeba;
 Żywią mnie, y to Im dam, co sobie wygrzebia.
 W sukni prostej, niczego nie potrzebujący,
 Wszystko mam, lub nic w świecie, cale nie mający.
 W wolności bez stąrania, bez żadnej zgryzoty,
 Uczę się z tych ksiąg co dzień, doskonałej cnoty.
 Czegoż mi każesz szukać! między zdrażliwemi
 Ludźmi, niestátku zawsze, z zazdrością pełnemi!
 Day Pokoy Hegezyppie; ani zazdrość mego
 Szczęścia: Patrz! Protezylas, chcąc oszukać swego
 Króla, y mnie chcąc zgubić! odrwił się y zgubił.
 A mnie nic ztego złego; chociaż mnie nie lubił,
 Y owszem wszystko dobrze uczynił, gdy zbawił
 Dworskich subiekcij, a mnie pokoju nabawił;
 Y niewinnych delicyj, com nie znał u dworu,
 Gdzie tylko są roskoszy zmyśłone, z pozorów.
 Wracay się Hegezyppie, y pomoż Królowi,
 Dźwigać rzadu ciężarów, y to uczyni zdrowi y,
 Co chcesz abym ja czynił; Niech y Mentor godny,
 Jako raz go oświecił, będzie mu wygodny.
 Mnie zaś się już nie godzi, kiedym się salwował,
 Zburzy wiatrow fortuny, y przed niemi schował:
 Abym swoj port porzucił, puszczał się na nowe
 Obróty. O Królowie! jako wasza Głowa.
 Oplakiwać potrzebá! y tych co wam służą!
 Bo jeśli zli: to pewnie są karani dużo,
 Jeśli dobrzy! O jakiej, zażyia trudności!
 Zeby uysć siódła mogli, złych Ludzi zazdrości.
 Ieszcze raz Hegezyppie, w ubóstwie szczęśliwym,
 Zostaw mnie. To gdy mówił; Hegezyp zdumliwym
 Patrzył okiem na niego, Pamiętał go w Creće,
 Chudym, bladym, chociaż był, w młodszym ieszcze lecie
 Sroga pracą ztarganym. Bowiem niemógł znościć,
 Kiedy Króla płochego, w złych sprawach uprosić:
 Y występku gdy karać niemógł, gryzł się w sobie,
 A teraz cale w inszej widział go osobie,
 Tłustym, y zdrowym, zgoła, starym odmłodniałym,
 Przy wielkiej pracy, y przy pożywieniu małym.

Skromność w iedzy to wszystko, spokoyność zrobiła.
 Rzekł Philokles: Pewnie cie cera zadziwiła,
 Moja! lecz sie nie dziwuy; kto myśli tak mało,
 Iako ie, ten ma cera przy wigorze trwała.
 Widzisz: Iako sprawili, mi nieprzyjaćiele?
 Zem spokoyny ná duszy, y zdrowy ná cieie.
 Y chceszze ábym dobra te stracił prawdziwe?
 A starał sie u dworu, o płoche fałszywe!
 Gorszym nad Proteczyła, ciebiebym znaydował;
 Gdybys mi to odebrał, co on mi dąrował.

Znowu Hegezyp poczał prośić (lecz daremnie)
 Przynajmniy dla swych krewnych, ktorzy cie przezemnie,
 Z przyjaćiołmi czekáia, z tak wielkim wzdychaniem,
 Uczyn to; Y dla Bogow, zá ktorých starańiem,
 Krol cie wraca, ábys mu, Lud Iego szczęśliwym,
 Pomógł czynić. Bedzieszze, mu tak nieczycliwym!
 Dziká Philosophia, ktorey sie poddaiesz;
 Gdy dla szczęścia národow, z tego snu nie wstaiesz.
 Swoy pokoy szczęściom Ludzkim, niechćiey Ty przekładać,
 Gdy niemi tak szczęśliwie możesz rządzac władać.
 Gdy do Krolá nie poydziesz, beda Ludzie sádzić,
 Ze to z zemsty uczynisz. Krol prawda pobladzić
 Mogł, ze cie tak utrapil bardzo, niewinnego;
 Ale cie w ten czas sádził w cale zá inzego.
 Teraz godność uznawszy, y tak trwała cnote,
 Wszystkie wzbudza do twego widzenia ochote.
 Dawna przyiaźń odnawia, rece ná ściśnienie
 Wyciąga, y w nadgrode, wszelkim dobrym, chcenie.
 Bedzieszze miał w uporze, tve serce tak twarde!
 Byś Krolowi y Ludziom, te uczynił wzgarde
 Philokles ktory miła Twarz, ná przywitaniu
 Pokazał, odmienil ia przy dalszym gadaniu.
 Podobny skále, ktora wiatr darmo y fale,
 Bija, rozbijaia sie, á ona iest w cale.
 Tak y on, ani prozba starał nie wzruszony,
 Ni racya, ni plączem, stał nie zwycięzony.

A gdy już Hegezyppo wskorać desperuie;
 Philokles do swych Bogow rády przystępuie,
 Pátrzy ná Ptákow loty, ná wiktych wnetrznosci;
 Ná insze presagia, zwykley pobožności,

Zrozu-

Zrozumiewa: Ze iechać, z Hegezypem trzebą;
 Poddać się, wyjeżdza; widząc rozkaz z niebą.
 Lecz nie bez żalu y skarg, nad tą swoją grota,
 W ktorej lat przeżył siłą, z pokojem y z cnotą.
 Ach! mówił: także rzucam to miejsce kochane!
 Gdzie dni wesołe żyłem, y nocy przespane!
 Tu w uboſtwie, me Parki, złote dni mi przedły!
 Y wieniec cierpliwości, wily nie uwiedły.
 Potym: Nájada, zrzodziła swojego Boginie
 Adorował; y Nymphy ktorym kray ten słynie,
 Echo, słow nárzekanie lego wnet porwałá,
 Y Boginiom támrych gor, od niego podałá.
 A Potym, obá zeszli do miásta, już w drogę.
 Philokles uważając, sromoty tak srogie,
 Protezyla, niechciał go po drodze swęj widzieć,
 Lecz Protezyl, ktory to, nie umiał się wstydzic,
 Sam mu zabięga drogę, y do nog upada,
 Zebrzac, áby złość lego, y tak dawna zdrada,
 Nie szkodziła mu w łasce, y żeby przyczyny
 Lego u Krolá, wszelkie zgładziły mu winy.
 Philokles, iáko szczery, niechciał obiecywać,
 Ani ná iego powrot, instanty záżywać;
 Wiedząc, że to z ruina, Kroleſtwaby było;
 Lecz dwie rzeczy obiecał z Twarza kniemu miła:
 Pierwsza: że zdober niesłusznie nábytych od niego,
 A zábranych od Krolá, uprośi dla lego
 Zony y familiey, ktora żyła w biedzie,
 Wzgardzie winney od wszystkich, y niecznośnym wstydzic;
 Druga: że y samemu, uprośi piędzdy,
 Aby mógł się ráutować, w tóraznieyszey nędzy.
 Dotrzymał tego dwoyga; Przytym go záłował,
 Zeby znośił cierpliwie kárá exhortował.
 Y gniew Bogow, prostemi do cnoty drogami
 Uśmierzał, w zdrowiu dobrym, długimi latami.

W tym zagle podnieśiono pod wiatr już sposobny;
 Protezyl patrzy, sobie całę niepodobny.
 Oczy w słup ná ich okręt, długo wlepie stały,
 A okręt, dumne, porze neptunowe wały.
 Gdy zaś ich strącił, z oczu, dopiero się wścieka,
 O brzegi rzuca, włos rwie, ná Bogow nárzeka.

Bbb

Wżywa

Wzywa śmierci daremnie, która nieprzychodzi,
Sam się zabić nie wazy, tylko płacz rozwodzi.

Tym czasem okret wiatrem, który nie ustawa,
Uniesiony, w Sálencie samym prędko stawa.
Ze w porcie stanął, dano znać zaraz Krolowi,
Ten złożywszy majestat, ku Phileklesowi
Biegł z Mentorem, y zaraz ściskając go mile,
Przeprażał za złą daną niewinnie mu chwilę.
To wyznanie swych błędów, nic mu nie szkodziło,
Y owszem, że poprawi, prognostrykiem było.
Lud wszystko (co się tam zbiegł) płakał od radości,
Ze powrot widział człowieka pełnego miłości
Ku pospolstwu. Philokles zaś pełen pokory,
Łaskę Páńską przyjmował (na którą mra dwory)
A przed akklamacyą Ludu chwalącego,
Radby się był już schronił. Aż go Krol do swego
Zaprowadził pałacu. Tam witając z Dworem;
Poznał się, y pokochał, naypierwey z Mentorem.
Y lub się z sobą nigdy, ci dway nie widzieli,
Jákby się sto lat znali, ufność do się mieli.

Bo iáko zli, cnotliwych rzadko poznawają,
Tak zaraz dobrzy Ludzie, z dobrymi się znają.
Philokles prosił Krolá, áby retyrować,
Mógł się blisko Sálentu. Tam ubogo chować
Chciał się iáko w Sámoście. Pozwolił mu tego,
Ale codzién z Mentorem, Krol iędził do niego,
Tam rády y sposoby, nowe ztwierdzić práwa,
Y ná szczęście publiczne, była co dzień sprawa.
Mentor nayofobliwsze, dwie rzeczy záłożył:
Wychowanie młodzieży, pierwszy punkt położył;
Mówiąc: Dzieci, krolestwa są, źródło y siła,
Ktorą trzebá by mądrość Krolow wycwiciła.
Nie czas ich poprawować, gdy się z láty zpsuła,
Ani szarżę odbierać, gdy się złością ztruła.
Lepiej ich wychowaniem dobrym wystawować,
Anizeli (gdy nie czas) darmo naprawować.
Krol będąc Oycem ludu, pospolstwa swiego;
Ofobliwiey młodzieży, bydz powinien iego.
Młodzież, jest kwiatem Páństwa, kto kwiat pielęgnuje,
Ten z owocu niechybnie, záwsze pożytkuie.

Niech

Niechże tedy niegardzi swoim tu stáranie,
 Czuwać pilno, nad dzieci dobrym wychowaniem.
 Wszak Práva Minosowe tak nam nakázaly:
 Aby w śmierci kontempcie, y by wpracy trwały
 Wychowywać Młodzian, á wżgardzie rokoszy,
 Bogaćtw, Honorow, śmiać się ná fortuny losy;
 Czynić im wstret zawczasu, niesprawiedliwości,
 Klámstwa, zdrády pieśczoty, iák naygorżey złości.
 Bohatyrow, od Bogow káza ulubionych,
 Spiewać im historye, w cnoty uстроionych,
 Te czyny, salwowali ktoremi, oycyzny,
 A w bitwach niebali się śmierci ani blizny.
 Taka muzyka dzieciom, siła więc pomoże,
 Do dobrych obyczaiow, wieść zawczasu może.
 Wiernym bydz przyjaćiolom, uczyć także káza
 A y obcych zdradami niechay się niemaza.
 Niech się mniemy śmierci boia, y ostrych męczenia,
 Niz zgryzoty od grzechu, y swego sumnienia.
 Tákiemi młode serce náuki poione,
 Chciwością sławy, cnoty, będzie napelnione.

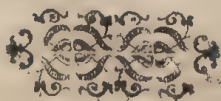
Ná to (Mentor dokládał) są potrzebne szkoły,
 Gdzie cnota y náuka mistrzynią napoły.
 Bardzo, exercitia pracowite, ciała,
 Zalecał, áby młodzież nic nie próznowała.
 Igrzyská też publiczne, ná Ludzi zágrzanie
 Do męstwa, y ná ciała, mezne formowanie
 Radził; Emulacya zaś wzbudzać darami,
 Gdy zwycięża chybkoscia, rozumem, członkami.
 Naybardziej nakazywał zenic się im młodo,
 Nie z Interesu, ále z cnota y z uroda.

Te sposoby podawał, by młódz w niewinności,
 Pracy, y do cney sławy, goracey chciwości
 Wuczać. A wrym Philokles, który kochał woynę,
 Rzekł: Niedosć, że młódz będzie przymioty przystoynę
 Miałá, w swych obyczaiach; praca to daremna,
 Y w publicznych tych szkołach, robota nikczemna;
 Kiedy w długim pokoju gnić będzie ustáwnie,
 Y męstwa po dczas woyny nie sprobuie iáwnie.
 Serce się miekczy długim spokoyności czasem,
 Obyczaić się psuia, zá tak długim wczasem.

Y narod osłabiecie , przy pokoju długim,
 Łatwo się łupem stanie , narodom zaś drugim.
 Tak chcąc się od ruiny przez wojnę ochronić
 Nie będzie od niewoli mógł mu się obronić.
 Mentor mu odpowiedział : wojna Państwo gubi,
 Y choć zwycięstwo sobie Lud iaki polubi,
 Zawsze w niebezpieczeństwie dobrego skończenia,
 Y Fortuny wojenney , bywa odmienienia.
 Widziemy , większa siła potrzeby zaczęte,
 W ocemgnienu przez strachy , iakie niepoiete,
 Na zły koniec wychodzą , y z reku zwycięstwo.
 Wydarze , choć go broni nayeśniesz mestwo.
 A choćby y zwycięstwo było przykowane,
 Ruinując przeciwnych Państwa poprowane,
 Widziem dezolacya , kraiu obfitego,
 Zubożalosc , z oractwa , z handlu niedbałego.
 A co większa : y prawa , y cne obyczaje,
 Psuia się , y rzad wszystek , najlepszy ustaie.
 Zolnierska wolność , starszych sprawiedliwość psuie,
 Y Krolowi , y prawom powagi uymuie.
 Zgoła : Krol co krew Ludzką , dla swej sławy leie,
 Y w cudzego wydarciu , swe kładzie nadzieie.
 Nie godzien iest obojga , ale godzien stracić,
 To co chciał z Ludu swego zguba mieć , y płacić.
 Ale , ten zaś niech sposob na ćwiczenie mestwa,
 Bedzie podczas pokoju , bez wojny , y zwycięstwa,
 Inżem exercitia ciał ich opowiedział ,
 Nagrody Emulacyj ; ale żebyś wiedział ,
 Ieszcze sposob dam inszy : Gdy wojnę śasiedzi ,
 Mieć beda między sobą , niech Ich Krol nawiedzi ,
 Pośilkiem swej młodzieży , zwłaszcza brakowancy ,
 Y na wojny naukę zgodney y wybraney.
 Tak Krol reputacyi , u śasiad nabędzie ,
 Iego kolligacya , pożądana będzie.
 Wojny w kray nie prowadzac , y młódz się wycwicy ,
 Za meżną y wojenną , bez kosztu policzy.
 A choć mieć pokoy będziesz , czciy wojennych Ludzi ,
 Ktorych gdy wojna przyjdzie , do odwagi wzbudzi ,
 Cześć w Pokoju świadczonea . Drugich dla nauki ,
 Pożliiy do cudzych kraioy , y wojenney sztuki.

Tam

Tam nie tylko dzieł w wojnie, lecz y maniere,
 Różnych ucza narodow, mając officery.
 Ni woyn przez ambicya szukać będziesz chciwy,
 Ni sie ich bać nie będziesz, poki będziesz żywy.
 Bo będąc gotow na nie, gdy potrzeba przyjdzie,
 Bez nich sie, prawie bez wiek twoy, łatwo obejdziesz.
 Gdy sąsiadow obaczysz, między sobą w wojnie,
 Bądź ich medyatorem godnie y przyłtoynie.
 Trwalsza sława, godzić ich, albo ich ratować,
 Anizeli z swa szkoda, kray Ludzi wojować.
 Poważny, miły swoim, a obcym sztrafzliwy
 Y swoich Krol narodow, y obcych prawdź w.
 Gdy w takim stanie będziesz. A kto cie zaczepi,
 Całego, gotowego, y niż sam iest lepiej
 Obaczy; a co większa od swych kochanego,
 A od obcych sąsiadow, pośilkowanego.
 Każdy pomniac iakoś go, w wojnie pośilkował,
 Za punkt to ma honoru, aby cie ratował.
 Y ten to iest wał mocny, od fortec mocniejszy,
 Ten sławy, Panowania, styl naybezpieczniejszy.
 Ale, o iak iest Krolow tych na świecie mało!
 Ktorem ta droga w rządach, chodzić by sie chciało.
 Za cieniem zbyt fałszywym swej sławy biegaia,
 A o prawa y trwała, szkodliwie niedbaia.
 Gdy tak Mentor przed Kroleśm madrze dyszkuruował,
 Philokles zaś uważał, że to Krol przyjmował,
 Y widząc Idomena, że tak godne zdania
 Sercem prawie pożerał, [pełen zadumiania]
 Cieszył, sie że ta rzeka mądrości, płynąca,
 Już Mentora, zalała myśl iego do końca.
 Tak Minerwa, w postaci Mentora gadała,
 Y w Salencie rząd prawa z pożytkiem dawała.
 Niemniej aby Krolestwo Idomena kwitnęło,
 Iako, żeby sie przykład dla swojego wzięło.
 Telemaka. By widział, co rząd mądry może,
 Iak na szczęście narodow y Krolow pomoże.





TELEMAKA X I E G A S I O D M A

SUMMARYUSZ KSIEGI SIODMEY



Telemak który jest ná wojnie przeciwko Krolowi Dauniencykow, postępuje sobie iáko lekko-myslnym młodzian, y wadzi się prawie co dzień. Poedynkuje z Synem Krolá Iednego, y tym cá-łe woysko pomiesza. Ale bład swoy uznaie, y słucha nápomnienia Nestora. Przeprasza się z tym, z którym się z wadził y wkupie postępuia ná wojne. pierwsza bitwa prze-ćiwko Adraštowi, ktorego nie zniešiono zupeł-nie woyská. Nestor wtey potyczce tráci Syna swego Phisistrátá, žal Nestora y lámenty z tey śmierci całego woyska. Pogrzeb wspaniały Phi-sistrátá. Druga pompá Pogrzebowa Hippiasa zabitego wteyże potrzebie.

A tym

A tym czasem Telemak, w akcyach wojennych,
 Pokazywał odwagę, y w czynach codziennych.
 Iak się ruszył z Sálentu, pierwsze były sprawy
 Iego, aby pozyskać Wodzow pełnych sławy.
 Nestor który w *Philosie* znał go lub młodego,
 A kochał *Ulissesa* bardzo, oycá Iego.
 Wziął go za syná swego, dawał mu nauki,
 Y przykłady do Dworskiej, y wojennej sztuki,
 Wszystkie swoiey młodości, y innych przypadki,
 Iednych wielkie Fortuny, á drugich upadki.
 Tego stárcá mądrego, pamięć wielce miłą,
 (Bó lat trzyśta żył) żywa kronika mu była.
Philoktet, *Telemaka* z razu nienawidził,
 Iáko Oycá nie lubił, ták się Synem brzydził.
 A náwet już zázdrościł, że temu młodemu,
 Dali Bóg przymioty równe w męstwie Iemu.
 Lecz *Telemak*, skromnością ten humor zwyciężył,
 Y kochać się przymusił, y złość Iego zważył,
 Mawiał mu: O moy Synu! z twym Oycem przyznaie,
 W frogieym był nieprzyjaźni; bá y to przydaie:
 Ze po *Troi* dobyciu, Ieszcze serce moie,
 Miało iádu ku niemu, okrutne napoie.
 Y ciebie nie lubilem; ále skromna cnota,
 Przemogła, y rzetelna, w Ludzkości ochota.
 Potym *Telemakowi*, obiecał co było,
 Opowiedzieć, co z Oycem, ich było zwadziło.
 Rzekł Trzeba z góry zacząć: Wiesz zem *Herkulesa*,
 Przed którym ziemia drżała, piekło y Niebiosá.
 Który ziemie wyczyścił, z monstrow nie widanych,
 Y do ktorego czynow, prawie nie słychanych,
 Naywięksi Bohatyrze, równać się nie mogą,
 Iák ptaszki z orłem, y iák trzcina z sosną froga?
 Tegom Iá nie odstąpił, á nieszczęścia Iego,
 Y moie, wyszły z zródła *Kupidyna* złego:
Herkules się pokochał, y ten Bożek mały,
 Śmiał się z ognia który mu zadał, przez swe strzały.
 Wstydał się, pomniąc iáko, zapomniawszy wiele
 Spraw sławnych, uniżył się był, aż do kadziela
Omphali, tcy *Królowey Lidyjskiej*, co z niego
 Śmiała się, iák z człowieka nayrozpiezczniejszego.

Sto razy mi wyznawał, że to iedno dziło,
 Wszystkie sławy, za czyny, lego odsadziło.
 Przecie znowu w padł w sídła, tak szpetney miłości,
 Zakochał Dejanire; Dość by szczęśliwości
 Było mu, gdyby statku, tey wiernie dochował;
 Lecz młodością Ióli, Kupidyn zwoiował,
 Mocarza tak wielkiego; niezmierna uroda
 Ióli gorzał, a zaś z Dejaniry szkoda.
 Ktora sie z złości wściekszy, sobie przypomniła,
 Fatalna suknia, która, od Centaura miała;
 Y który umieraiac, upewnił ją o niey,
 Ze z niestatku ta suknia miłość wroci do niey.
 A ta suknia, Centaura, krwią była zboczona,
 Y iadem od strzał z Hydry, była nápoiona.
 Tak, że iad nie zleczony, máiac w sobie strzały,
 Ktoby sie uklół o nie temuż z bolem dały.
 Herkules, skoro suknią wziął na sie fatalną,
 Poczul ogień aż w kościach, z boleścią tak walną,
 Ze ná gorze Oécie, rykiem nie słychanym,
 Doliny ponapełniał, z Morzem zadumianym.
 Przechodził ryki Bykow, w bitwach zajużzonych.
 Lichas lego konfident, który z rak pieśczonech
 Dejaniry, te suknią przyniosł, gdy sie ważył
 Przytąpić do Herkula, co go ogień smażył,
 Zginał. Bo go Herkules, przerażony bolem,
 Jak kamyk wrzucił w Morze, Lećiał z skały kołem
 Jak z procy. A Bogowie lego w morzu ciało,
 Aż po dziś dzień, stojąca uczynili skała.
 Po tey śmierci Lychasa, iam sie zaturbował,
 Anim sie do Herkula, blisko przytęmpował,
 Wnayglebszych kryiac lochach, z daleka patrzałem,
 Jak naywyższe rwał sosny, z demby, uważałem;
 Ktore od lat kilkuset, wiatrom sie oparły,
 Iego rece potężne, z korzeniem wydarły.
 To iedną reką robił; a zaś suknią długą
 Zdzierał z siebie [Lecz darmo] umęczony, drugą.
 Tak przylgnęła do ciała, że gdy suknie zrywał,
 Skore z mięsem od kości swych, mocny odrywał.
 Aż ná koniec, gdy cnota, bole zwyciężyła,
 A krew lego aż ziemię pluszcząca skropiła,

Zawałał: Philoktecie! patrz iako Bogowie,
 Za nie wiare małżeńską, biora z życiem zdrowie!
 Tak frogich nieprzyjaciół zwyciężywszy siła!
 Cudza uroda letko, zwycięzce podbiła.
 Gine! y iestem kontent, że Bogow przeproszę;
 Ale ty Przyjacielu, gdzie uciekasz proszę!
 Bol zbytczny przywiódł mię, zem nieszczęśliwego
 Lichasę, frogo zabił, (a to mi żal tego)
 Niewiedział, co mi za ład, z rąk swych ofiarował,
 Ani ná te, com zadał śmierć mu, zasługował;
 Ty zaś azaz rozumiesz! zem twoiey miłości,
 Zapomniał! y żeć życie wydrę bez litości?
 Nie tak sądz Philoktecie: Ty mego odbierzesz,
 Ducha ná łonie, y ty me popioły zbierzesz.
 Gdzieśz iestes Philoktecie Przyjacielu miły!
 Te iedne me nadzieie, gdzieżście się skryły!
 Na te słowa skoczyłem, on wyciąga reke,
 A bojąc się by y mnie wsła nie wprawił meke,
 Nie ścisnął mię iako chciał; rzekł: niechce cię tykać,
 Y bez żadney pociechy, wole w sobie sykać.
 A to mówiąc, te drzewa, powyrywał które,
 Składał ná kupę y stus, wyniozłszy ná gore
 Sam wlaźł nań, y lwia skore, zwycięzkie odzienie,
 Posłał sobie, y wsparty maczugą, korzenie
 Zapalić mi rozkazał; á ia wszytt-k drżący,
 Ná widok tak okrutny, ogień pałaiący,
 Zapalam, y usluge okrutną mu czynię,
 Wiedząc lego wtym dobro, kiedy predko zginie.
 Gdy obaczył, że się stus, zaiał już potężnie,
 Zawałał: teraz widze, że mię kochasz mężnie,
 Y honor nad me życie; Niechci to Bogowie
 Nadgrodzę, á ia com miał, tak drogie iak zdrowie,
 Tec strzały zostawie, com we krwi nápoil
 Hydry, temim bił monstra, á siebie w nie stroił.
 Wiesz dobrze że z nich rany, są nieuleczone,
 A przeto, beda bitwy twe niezwycięzone.
 Pomniy! że przyjacielem, umieram ci wiernym,
 Lecz iesli chcesz pokazać mi się miłościernym,
 Te łaskę mi ostatnią wyświadc, á nikomu
 Śmierci mey y popiołow nie odkryj, dla fromu.

Obiecałem mu chętnie, iżą stus polewając,
 A on się uradował. Lecz płomień powstać,
 Jemu głos a mnie widok odiał jego miły,
 Znać było, że przemagał ogień, jego siły.
 Przecież z twarzy znać było, już gorejącego,
 Radość, iak na weselu z wiezow spieszającego.
 Ogień przedko wytrawił, co śmiertelne było,
 Z matki Alkmey, to się w popioł obrociło.
 Ale co miał z Iowisza Oycą, to zostało,
 Y to na gorny olimp, do Bogow leciało.
 Pod sklepami złotemi, nektarem poiony,
 Y z Hebba cna Boginia młodości, złączony.
 Te Iowisz dał mu Zone, co Bogom lewała
 Nektar przed Ganimedem, który urząd miała.
 Te zaś strzały, które to, sławę dać mi miały,
 Okrutnych niebezpieczeństw przedko mi się stały:
 Wiesz, iako się Krolowie za krzywdę uieli
 Menelasa, y pomste z Parysa brać chcieli,
 Odbierać cna Helene, iak postanowili,
 Y wywrócić Pryama państwo, się ruszyli.
 Radza się Appollina; tam odpowiedziano:
 Ze poki Herkulesa strzały nie dostana,
 Tey wojny nie dokonczą szczęściem, z żadney miary.
 Ulisses twoy cny Ociec [co dowcip iak czary.
 Miał, y Ludzi przewyższał] ten Im obiecuie,
 Ze poyść z niemi na wojnę, mnie wyperswadaie.
 Y że strzały przyniesie, te które mnie dano.
 Darmo mu wbijać w głowę różne wieści chcąco;
 Jedni, że Herkul umarł, drudzy że głęboko,
 Pod pułnocne niedzwiedzie, tam gdzie Ludzkie oko,
 Nie prowadzi, szedł Sergow podbić, rozumieli;
 Lecz prawdy doskonały, o nim nie wiedzieli.
 Ulisses sam się oparł, trzymał że nie życie,
 Y że mnie przyprowadzi, stawał swoją szczyt.
 Przyszedł do mnie, y zastał, w żalu tak okrutnym,
 Zem ledwo po przypadku żył Herkula smutnym.
 Od tej gory Oety, gdzie legł Rycerz sławny,
 Oderwać się nie mogłem, y znak żalu ławny,
 Dawałem; Ale Uliss, uiać dobrze umiał;
 Plakał ze mną, y iak mnie dobrze już rozumiał,
Łzami

Łzami swemi tak predko, serce me zniewolił,
 Zem mu przyjaźń y ufność odkrył y pozwolił,
 Wywiodł, iak się Krolowie, w sprawiedliwej sprawie,
 Związali, że ia ieden Ich pomoge sławie.
 Iednak tego sekretu, czyli Herkul żyje,
 Wydrzeć mi nie mógł, chociaj rożnie zawsze ryje.
 Niewatpił on, że umarł, lecz lubo to wiedział,
 Dla przysięgi się moiej, przecie nie dowiedział.
 Iednak, y tom nie strzymał, przed sztukami lego,
 Mniemiałem że to uydzie, z perswazyi lego.
 Gdzie popioły są lego, sam nie powiedziałem,
 Lecz noga bijąc w miejsca, te same wskazałem.
 Niestrzymaney przysięgi, Bogi się pomścili.
 A ia szedłem do Krolow, kedy w kupie byli.
 Tak mię miło przyieli, iak Herkula cnego,
 Y iakby już staneli, w mecie szczęścia swego.
 Przechodząc wyspę Lemnos, chcąc się popisywać
 Strzałami, poczałem ich z kołczanu dobywać,
 Chcąc same trafić, sam się ukłosem niechcący
 W nogę, y w net poczułem, ból w niej, tak gorący!
 (Który mię okaleczył, do tych czas biednego)
 Ze ten ból moy, dochodził Herkulesowego.
 Całam wyspę napelniał rykiem, y wołaniem,
 Krew czarna, zarażała powietrze wylaniem.
 Taki smrod wydawał, że w obozie całym,
 Grecy wytrwać nie mogli, przed tym iadem trwałym.
 Całe woysko zbrzydziło mnie zkaleczonego,
 Y mowilo do Bogow: To dobrze ná niego.
 Uliss który mię pierwszy, w te wojny sprowadził,
 Ruszyć się woysku predko, y bezemnie rádził.
 Iac teraz to uznais, że dobro przekladał,
 Publiczne, on nád moie, y że rzeczy składał:
 Szukać bardziey zwycięstwa, niż mego zleczenia.
 Gdy smrody, infekcyja, gwałtowne krzyczenia,
 Bogom ofiar nie dały odprawiać; ruszyło
 Sie woysko, a mnie w stanie wściekłym, zostawiło.
 Ktorem ia opuszczenie, za nacyęższą zdradę
 Miał, y dzikość nie Ludzka y Ulissa ráde.
 Tak zostałem bez człeka, nadzieie pomocy,
 Nie mogąc się y ruszyć, sam o swoiej mocy.

W bolach áni poietych, áni uftáiacych,
 W dżiczyznie, widok maiać bałwanow huczacych.
 Morza w skály stráżliwie szturmem bijącego;
 Co przez czas oblężenia, trwało Troiańskiego.
 W tey pułtyni dwie skály, nád Morzem znalazłem:
 Tám gdzie się zwierz krył; w tę ja sam, laskinie wlałem.
 Zródło śliczne mi przecie, w iedney się tráfio,
 Posłanie z liści iednych zebranych, mi było.
 Zá wszystkie ruchomości, dzban został drewniany,
 Y káwalce zostały, z mey przeszley sukmany.
 Ktora y siebie odziać, y rane obwijać,
 Trzebá było, która mnie zdála się zabijać.
 Krew uftáwnie z niey ciekła, ná która gdym stekał,
 Zwierza, áby mnie nie ział, w dzień y w noc siem lekał.
 Od Ludzi odstapiony, od Bogow skárany,
 Kalectwom oplákiwał smrod, Głod, Bol, y rany.
 Przecie, kiedy się láki ptak, koło mnie ziawił,
 Zabiłem go swa strzáła, y tymemśię bawił.
 Ale się czołgać było trzebá, aż po niego,
 Sam sobie nágotować, z ognia zkrzesanego.
 To życie choć tak straszne, y tak obmierzliwe,
 (Zem nie pátrzył ná Ludzi, sztuki Ich zdradliwe)
 Przyjemneby mi było, gdyby nie bol frogi,
 K tory od głowy ciało trzymał, aż do nogi.
 Y gdyby nie drączyły te mnie były myśli:
 Ze Grecy mnie wyciągnąć z mego kráiu przyszli;
 Mowili że ja ieden, mam Grecya zbáwić!
 A oni y momentu niechcieli się báwić!
 Y owszem, pod czas nocy snu, mnie opuścili!
 Uważ iákcie! ocknawszy, zále moje były!
 Kiedym daremnie wrzeszczał, ná ich już okręty!
 A bol nogi, y sercá, męczył nie poiety.
 Tam ni portu nie było, á ni też mieszkania,
 Zostáwiono mnie, iáko winnego wygnania.
 Lat dzieśięć, w głodzie w bolu, mey rany, przeżyłem,
 Y goiać, tylko w niey bol, iákoby karmiłem.
 Aż y nádziecia ginać gdy we mnie poczeła:
 Raz, gdy żioł szukać ná lek, potrzebá mnie wzięła,
 W weyściu moiey láskini, człowieká młodego
 Obaczę, ślicznie, wdzięcznie, y náder miłego;

Lecz

Lecz kształtu Bohatyrą, y tey męskiej cery,
 Która znaczy prawdziwe sercem kavalery.
 Jakbym widział Achilla, miał podobność twarzy,
 Y że miał kompassy, tak mi się coś marzy.
 Iakoż nad mym czołganiem, z wrzaskiem z bólu, frogim,
 Miał kompassy, y nad odzieniem ubogim.
 Zdalą wołam do niego: Cudzoziemcze miły!
 Co cię tu za nieszczęścią, do mnie sprowadziły!
 Po sukni znam, żeś Greczyn, przemów tym językiem,
 Co go umiem, a mówić, w tym tu kraju dzikim.
 Już tak dawno nie moge, nie boy się człowieka
 Nieszczęsnego! a rączy żałuj, co narzeką.
 Y był to Neoptolem; który ledwo słowo
 Wyrzekł, Jam Greczyn, zaraz zdało mi się zdrowo
 Bydź, zawołam: O słodkie słowo! po tak długim,
 Milczeniu! nie gadawszy, przez dziesięć lat z drugim!
 Synu! coż za nieszczęście! wiatr! czy burze iakie!
 Tu cię zaprowadziły, w króć ladałakie!
 Abyś skończył nieszczęście. Na to odpowiedział:
 Iá do Schiros wracam się; iakbyś wszystko wiedział,
 Jestem syn Achilleśa. Te tak krótkie słowa,
 Nie kontentowały mnie, y tá skrytá mowa.
 O synu! [w net mu rzekł] Oycá kochanego!
 Zkadże, y iak tu stawał, u mnie mizernego!
 Rzekł: z Troi oblężenia. A iá mówię daliy:
 Toś nie był ná początku, gdy ie zaczęli!
 Odpowie: A tyś gdzie był! Dopiero do niego:
 Nieznaszże Philokteta, ani nieszczęść lego!
 Ach! widzę; że co moje nieszczęścia zrobiły,
 Dokładaia, by ze mnie, y jeszcze szydziły.
 Y iestże kto! Zeby mych utrapień nie wiedział!
 Y dopierom mu wszystko porządnie powiedział.
 Co on zaś wysłuchawszy; y on swoje skargi
 Zaczął tak: Gdy Achilles, przez śmierć zawarł wargi;
 Przerwał mu: Umarł Achill! Niechże go zapłaczę;
 Neptolem: lzy mié cieśza takie, gdy ich bacze.
 Gdy tedy (mówi) umarł moy Ociec zabity,
 Przyjechał Phemel po mnie, y Ulisses skryty,
 Łatwo mi taką wojnę wyperśwadowali,
 Kiedy złość, pomsta Oycá, mié opánowały.

Ecc

Przy

Przy tym, iak po dziedzictwo, po Oycowska sława,
 Ide pod Troie, wszelka puściwszy zabawę.
 A gdym stanał w obozie, każdy witac siega,
 Y zem istny Achilles na twarzy, przysiega.
 Ia mlody ieszcze nieuk, po pochwałach takich,
 Honorow spodziewalem zaraz sie wszelakich.
 Obron Oycą zostala, w przod sie upominam,
 Pretensyj moich, prozba y grozba dopinam.
 Puscizna po twym Oycu masz, odpowiadali;
 Ale bron, Ulissowi tesmy juz oddali.
 Gniewam sie, placze, iais, lecz to wszystko darmo,
 Ulisses do mnie rzecze: Turbuiesz sie marno.
 Młodzieńcze; Ty nie byles w ogniu ieszcze z nami,
 Długiego obleżenia z strąźnemi trudami;
 Na tes bron nie zarobil, a tak gadasz dumnie!
 Nie bedziesz iey miał nigdy; Trzymay sie rozumnie.
 Niesłusznie, Ulisseffa sztuka oszukany,
 Wracam sie do Schirosu, bardziey rozgniewany.
 Na Grekow, niz na niego; kto im nieprzyiazny!
 Ten Przyziaciel moy pewnie, (przysiegam) iest wazny.
 Spytam sie Neptolema: Iakoz Ajax srogi,
 Pozwolil Ulissowi wziac depozyt drogi!
 Rzekl: Ajax umarl. Tu ia zawolam bolesnie:
 Ajax umarl! a Uliss zyie dlugo wczesnie!
 Patrokly Antilok (pytam) iesli zyia!
 Odpowiada: ze y ci dali garlo z tzyia.
 Tu ia placze na Bogow: Ci poumierali
 Tak godni! a Ulissa Bogi nie zabrali!
 Gdym sie na Twego Oycy, ia tak furyowal,
 Neptolem, stucznie slowy, tak mie oszukowal:
 Ia daleko od woyska, chce zyc juz Greckiego,
 Do Schirosu odiezzam. Ciebie zas nedznego.
 Niech Bogowie uleczy: Ia wolam: o Synie!
 Przez slawe Oycy twego, co nigdy nie zginie,
 Nie zostawuy mie w takiej, iako widzisz biedzie!
 Wrzuc mie w okret swoy, w ktorym lubo umrzec przyjdzie.
 Mila smierc miedzy swemi, a zawiez nedznego,
 Do twej oyczyzny, albo, do Oycy moiego.
 Pamieta y iak rzecz piekna iest, bydz miłosiernym!
 Pomniey! ze y ty kiedy, bydz mozesz mizernym.

Te w bolu iá y żalu wydawałem głosy,
 Które to przebijały, wysokie niebiosy.
 Obiecał mię wziąć z sobą, á ja zaś wołałem:
 O Synu godny Ojca, teraz cię poznałem.
 A wy zaś Towarzysze, nálezcy przyszlęcy drogi,
 Patrzącie com ja wycierpiał, w tej pułstyni łrogię!
 Nie zniósł by tego inłszy, lecz człowiek gdy mułi,
 Zniełie włszyłtko, kiedy go ołtre fatum dułi.
 Ci, co nic nie cierpieli, tego nie poymuá,
 Y Lúdzi niełszczęśliwych nigdy nie rátuá.

To mowiac, wziálem łwoy łuk, y fatalne łtrzały;
 A Neptolem rzekł: Pozwol, abym doskonały
 Ten dar Bogow, z łwoich rák, godnie pocałował.
 Odpowiem mu: A coż iest! żebył ci żałował!
 Ty mi życie dżis daiełsz, weź synu kochany.
 Mozełsz łie chlubić, żeł ty ieden, był wybrány.
 Z Grekow, łkoremu łych łtrzał dotknać łie godziło.
 W chodzi do mnie Neptolem; mnie zaś uczyniło,
 Wraz tak łie źle! y noga tak boleć poczeła!
 Ze rozum łie y pámieć, przez boleść odiela.
 Wołam miecza, urznać chcac, darmo łmierci wzywam,
 Spáł mię, iákom ja spalil Herkula, dobywam
 Prožno glosu. A w łym zaś zbyłtku, mych żálołci,
 Przyszló mi do odeyscia rozumu, y mdlołci.
 Sen przyszedł, pot uderzył, czarna ropa poszła,
 Pofolgował bol, łkóry juź natura zniola.
 Łátwo Neptolemowi, wziąć me łtrzały było;
 Lecz ná Syná Achilla, to łie nie godziło.
 Kto inłszy ie wziáł; á ja, skoro łie ocknałem,
 Że był duzo zmieszany, záraz to poiałem.
 Nie mogł znieść tego, co łie przeciłw iego dżiało,
 Piekłnemu łercu. Iám rzekł: Coż łie znowu stáło?
 Odpowie mi: Iedź ze mná (kiedy káża Niebá).
 Ná Troi oblezenie iedź! bo tego łrzebá.
 Coż to mowisz! záwołam; wroć łuk powierzony!
 Zginałem! á on łłowa, nie rzekł, zadumiony.
 Páłrzy na mnie łpokoiny; ja łie zá łeb chwytam,
 O łtrzały, iák głuchego Neptolema pytam!
 A kto moy żáł opiłsz! Niebá! łáły! ziemié!
 Zwiierzeta! was ja wzywam! łwiatłóci y ciénié!

Synze mię Achilleśa, miał oszukać! Boże,
 Tryumfuie z kaleki, co odiać nie może
 Iego się figlom! Y tak ukradłszy mi strzały,
 Do obozu ná Tryumf ciągnie mię zuchwały!
 Ey zlituy się, y stań się Oycu ty podobny!
 Badź na sercu tak piękny, iakoś jest nadobny.
 Iuż tu mię zwierze ziedza; y bez strzał, od głodu
 Zdechne; ách! musisz ty bydz nie Ludzkiego rodu!
 Skruszyłem Neptolema, że aż plakał łzami,
 Y szeptał: Bodayiem był, tu nie iezdził z wami.
 Wtym krzykne: coż to widze! á oraz y słysze!
 Czy nie Ulis to zrobił [z żalu ledwo dysze]
 Ulis rzecze: Tak to jest; Iam to sam uczynił.
 Alem mniy, niż ty sądzisz, przez to ci zawinił.
 Gdyby piekło Plutona, mi się otworzyło,
 Ná ktore patrzeć, Bogom samym jest nie miło,
 Bardziejbym się był nie zląkł. O słońce! Iá ciebie,
 Ná świadka biorę, y to, co świeci ná Niebie;
 Iak cierpisz tego zdrajce! A Ulisses rzecze:
 Iowisz tak chce; Co czynisz! y mówisz człowiecze!
 Zawolał! śmiełz Iowisza, bezbożny wspominać!
 Tego młodzieńca uczysz, sztuk swych zdrad dopinać!
 Dopiero rzecze Ulis: Nie ná szkodę Twoję,
 Chcemy cię z tad wyciągnąć, do woyska pod Troję.
 Anić myślím co złego, raczyć rana zleczyć,
 Y między Bohatery Greckie, cię policzyć.
 A potym, do oyczyzny Twey, cię doprowadzić,
 Coż ci to Philoktecie, ma szkodzić y wadzić?
 Tyś sobie nieprzyjaćiel, á nie Ulis raczey.
 Ale mnie wszystko zdało cale się inaczey.
 Co iad z ślina przynosił, wściekły mi do gęby,
 Błuźniłem y laialem, zgrzytaiać nań zeby;
 Tyś mię na tey pułtyni, w bolach mych zostawił,
 Tyś życia mię y zdrowia, w strzałach moich zbawił;
 Czemu umrzeć mi nie dasz, w mey biedzie spokoyńiet.
 Szukay szczęścia y sławy pyszny sobie w woynie;
 A mnie cień y pul trupa, ná co ztad poruszasz.
 Iad, żal, desperacya, wszystko we mnie wzruszasz.
 O wszystkich nieszczęść źródło! Ulissie zdrażliwy!
 Niech cię Bog kárze mocny, Iowisz sprawiedliwy.

Ale

Ale mię y Bogowie, we łzach nie słuchaia,
Owżem nieprzyiaźnemu memu pomagaia.

Kiedym tak wrzeszczał, a twoy Oćiec, niewzruszony,
Patrzył na mnie spokojnie, nie gniewem nie tkniony.
Raczej miał kompassya nad skargami memi,
Iak owa skąłá, bitá, falami hucznemi,
Iakby się śmiała zpjany, co Neptun wyrzuca,
A skąły nie obala, ani ley nie zrzuca.
Tak twoy Oćiec, milczeniem chciał przetrwać me słowa,
Y czekał aż spieniona ma ustanie mowa.
Wiedzac że Ludzkich passyj, kiedy są gorące;
Łamać nie można, aż gdy są ustawiające.
Y tak gdym się wypienil, Dopiero mi rzecze:
Gdzie rozum Philoktecie podział, cny człowiecze!
Gdzie mezne serce! Teraz masz czas zażyć obu,
Ieżeli podanego nie przyjmiesz sposobu!
Y nie pojedziesz z nami: Toś honoru tego
Nie godzien; bydź obrońca, národu Greckiego,
Y Troi burzycielem. Zostań Tu zuchwały,
A mnie honor ten dadzą twe co biore strzały.
Byway zdrow, a my Idźmy spieszno Neptolemie!
Darmo z nim mówić, iak mur kować albo ziemię.
Iednego człeka, prożne, w nas politowania,
Nie powinno opóźniać, Grekow ratowania.

Wtędym się wściekl prawdziwie, y już nakształt łwice,
Ktorey dzieci porwano, życia połowice,
Miecza, noża, strzał, śmierci, daremnie wzywałem,
Ná Niebo, Morze, skąły, y lamentowałem.
Ná koniec, Herkulesie! krzyczac, tak mowilem:
Ieśli pomnisz! iako ci miłym wżyciu byłem!
Uzał się nad mym żalem, w tak okrutney mece,
Nie dopuść łuku twego wziąć w zdradzieckie ręce.
Albo zeszliy Bestye, by mię rozszarpały,
Albo uderz piorunem, niech ná popioł spali.

Twoy Oćiec gdy nie może żalów mych ukoić,
Rozumiał że mię miał tak cale uspokoić:
Zeby mi wrocił strzały, rzekł do Neptolema;
Wraca mi ie, iá chwytam rekami obiema;
Y mowie: Synu zacny! teraz już ożyj;
Gdy pozwolisz, Uliśa że niemi przelżyje.

Y zaráz łuk nakładam, y tylko co puszczam;
 Neptolem mie uchwilił, y rzekł: nie dopuszczam!
 Gniew ci głowę wywrocił, że nie widzisz bidny,
 Jak szpetney sie akcyey dopuszczasz bez wstydu.
 A Uliss ná me strzały, iáko ná łáiania,
 By naymniy nie pokazał w sobie sturbowania.
 Tá cierpliwość y státek troche mie wzruszyły,
 Y niegodnych mych akcyj wstyd mi uczyniły.
 Zabić chcieć! co mi wrocił strzały požadane!
 Ale mie y to gryzło, że były oddane
 Od Uliffa. Aż wtedy, te Neptolem słowa,
 Rzekł do mnie: Niech sie twoia, tym spokoí głowa;
 Helenus Syn Pryama, z natchaenia Bozego,
 Wyszedł z miásta nas uczac, co ma byđz przyszłego.
 Rzekł: Troia nieszczęśliwa zginie y upadnie,
 Lecz przez tego, co strzałmi Herkulesa władnie;
 Ten człowiek w swej nie będzie, uleczony ranie,
 Aż pod murami Troi, y z strzałami stánie.

Wten czas, uczulem ferec ná poł rozdwoione,
 Rzetelność Neptolema, w ledna ciągnie stronę,
 Zawziętość ná Uliffa, wstyd, y wstret czyniłá:
 Iáko (myślałem) reka ma będzie robiłá!
 Ná sławę Uliffesa, u wiekow potomnych!
 Gdy sie la tak passuis, przy nich, tám przytomnych.
 Usłyszec głos nád Ludzki, widze Herkulesa
 A tego świetny oblok, spuścza, od niebiosá;
 Poznałem iego postać, y meźna posturę,
 Ale już majestatu wikszego figurę.
 Rzecze: Widzisz y słyszysz Herkulesa twego,
 Ktory zszedł tu do ciebie, z Olimpu gornego.
 Ten rozkaz masz łowisza, wiesz iakam la praca,
 Zárobil nieśmiertelność, takáż tobie pláca
 Gotuá; Idźże z Synem Achilla, nie bawnie,
 Idź pod Troie, y wojuy tam meźnie y sławnie.
 Memi strzały przebijesz, Parysa owego,
 Ktory iest okazyá nieszczęścia wszytkiego.
 Ozdrowieiesz, Lecz pomniy! byś po wzieciu Troi,
 Posłał łupy bogate, tak z wdzięczności swoicy
 Peanu Oycu twemu, ná gorze Oécie.
 A te łupy obadwa gdy z Oycem weźmiecie,

Ná grobie ie popiołow moich, położyćcie,
 Y strzały ná pamiątkę zwycięstw zawieścieć.
 A Tobie Neptolemie, to zaś prorokuie
 Ze Ty bez Philokteta, ktorego szacuje,
 Ni Philoktet bez ciebie, nie doydziecie sprawy,
 W nierozdzielnym zaś związku, przyjdziecie do sławy.
 A iá zaś Eskulapa, wnet poszłę pod Troie,
 Ktory ci Philoktecie, zleczy noge twoie.
 Wy zaś, o Grecy! Bogow czcić nie przestawaycie,
 Religia w ofiarach y w sercach chowaycie.
 Ten głos, wraz y ten widok, zawołać kazały:
 O Dniu! ktoreśz to Niebá, szczęściem mi cie dały!
 Iade, y słucham Bogow, żegnam cie láskinio,
 Nieszczęść moich y bolow, tak upartych skrzynio.
 Nymphy bądźcie láskawe, y lemnosy brzegi.

Wtym iedziemy, y Morskie kończym predko biegi,
 Y pod Troia stawamy. Aż tam nogi zdrowie,
 Eskulapa [Podalir, Machaon] Synowie,
 Wnet mi dali; że widział, lubo ná nią chromie,
 Ale mię bol y rana, więcej nic nie łomie.
 Predko potym, Parysa iáko sarnie młode
 Zastrzelilem swa strzała. Te zaś cóśmy szkoda
 Uczynili w Ilium! iák Troie spálili!
 Wiesz dobrze. A my przecie, z Ulisssem byli
 Zawsze źle; y me bole, ktore pámietalem,
 Nie dały z nim żyć dobrze, lub go szacowałem.
 Lecz widząc w tobie Syná, iż cie lubię; muszę
 Y Oycu y Synowi pozyskać ma duszę.

Gdy taka Historia, Philoktet powiadał,
 Telemak, w lepił oczy w niego, y nie gadał.
 Passye Bohatyrow, iák to Herkulesa,
 Neptolema, Philokta, także Ulissesa,
 Ná Twarzy Telemáka, tak sie wyrażały,
 Ze ie poznać każdy mógł, iákby samó stáły.
 A zwłaszcza Neptolema, rzetelność prawdziwa,
 Była mu miła, iákby cnota lego, żywa.
 Pod czas tey relacyi, wzdychał zádumiony,
 Czasem przerywał, cieszył się, zaś uwesclony.
 Tym czasem, Kolligackie woysko, w marzu było,
 Przeciwno Adraštowi, wszyśka ciągnie siła.

Fffz

Ktory

Ktory to Bogow wgardzać, cale sie nie wstydzil,
 A Ludzi oszukiwal, y z nich zawsze lzydzil.
 W woysku Telemakowi, zyc bylo przyciesz,
 Kedy Emulacya, kazdego ciemiezy.
 Tak silu Krolow bylo, ktorych pozyskanie,
 Naturze Telemaka, bylo sprzeciwianie.
 Byl otwarty, Ludzki, lecz nie pochlebiaiacy,
 Ani sie o usluge Ich, ubiegaiacy.
 Nabywac on dostatkow, ni chcial ni rozumial,
 Ale tez Ich udzielic gdzie trzebá nie umial.
 Y tak maiac dosc na tym, ze sam byl cnotliwy,
 Nie byl lask, ni przyiazni Ludzkiej, bardzo chciwy.
 Ani hojny, ni wdzieczen, od drugich uslugi,
 Tak mu byl mily ieden, iak przyaciel drugi.
 Matka go Penelope, w pylce wychowala,
 Ktorey mądrość Mentora, w nim nie przełamala.
 A ta wszystko, co bylo w nim, by najlepszego,
 Psowala y wstret Ludziom, dawala od niego.
 Wynosil sie nad Ludzie, myslac dumny w sobie,
 Ze na lego usluge, y iego osobie
 Sluzyc wszyscy powinni, y dosc szczescia mieli,
 Kiedy mu przypochlebic, y sluzyc umieli.
 Nie mu sie bydz podobno od Ludzi nie zdalo,
 Coby ukontentowanie iakowe mu dalo.
 Ci co nature lego, taka zrozumieli,
 Ze tylko siebie kocha, latwo to poieli.
 Y ze mu nic procz slawy wlasney nie smakuie,
 Drugim sie przyslugiwac, go nie kontentuie.
 W takich to on passyach, bedac wychowany,
 Y od Matki o pyche, nie nie strofowany,
 Byl przykladem nieszczescia, tym co sie wysoko
 Rodza, a wkorzeniaia pyche zas glemboko.
 Przeciwna mu fortuna, lub mlodemu byla,
 Lecz go w moderacyi, nie nie poprawila.
 Zawsze pyszny, wyniosly: choctay nie mial zczego,
 Wgnany, prawie dal sie z Imienia famego,
 Y iak sie Palma mloda, wznośi pod ciezar, y
 Tak y on pyszno kazal, na fortuny kary.
 Gdy Telemak z Mentorem, w kupie oba zyli,
 Te nalogi sie iawnie, lego nie odkryly.

Y owszem, iáko zrzebca, łamał w nim nálogi,
 Który kiedy się wyrwie, ni z iaskini frogiey
 Skály nic nie uważa, y zároveň maiać,
 Iednemu się da rządzić, głos iednego znaiac.
 Tak y on, gdy go impet wyniosły uwodził,
 Cichym się stawał, iákby Mentor go odrodził.
 Iedno weyzzrenie, które między niemi było,
 Wnaygorodszym upale, do cnoty wodziło.
 Iáko Neptun Trydentem, uspokaja fale,
 Tak Mentor Telemaka ugłaskiwał cale.
 A gdy go Mentorowe rády odstąpiły,
 Wszystkie iego passye, wraz nań uderzyły.
 Iáko rzeka ztrzymana, przez potężną tamę,
 Gdy przerwie, bieży gdzie chce, rwie brzegi y łamie;
 Tak on, Lacedemonow nie chcąc znosić pychy,
 Y Phalanta Ich wodza, co był do tad cichy,
 Odmienił się. Ale to widzieć, trzeba wprzody:
 Ze ta kupa swawolna, na kształt bydła trzody,
 Tarentu brzeg powoynie Trojańskiey, okryła,
 Narodu Łaceńskiego, odnoga to była;
 Młodź spłodzona bez Małżeństw, y bez wychowania,
 Pod czas długiego Meżow, w woynie zamieszkania.
 Złe obyczaje, wszelka, licencya dąły,
 Y wszystkie Ich postęпки coś dzikiego miały.
 Podobni rozbojnikom, bardziey niż Żołnierzom,
 A Greckim niepodobni, cale nic rycerzom.
 Phalant Ich wódz, sprzeciwić szukał się ustawnie,
 Przerzywał Telemaká, y napasciaławnie
 Szedł z nim, y rády lego, cale lekce wazył,
 Nawet y żarty stroić, z Niego się odważył.
 Za młodziana bez próby, nosił go woienney,
 Za pieśczone Paniatko, á w pysze bezdenney.
 Nawet y drugich wodzow, przeciw mu buntował,
 Iakiey pychy Telemak! z łością pokázował.
 Długo to między niemi, y wścercach Ich wrzało,
 Az iednego dnia, tak się z Telemakiem stało:
 Nabral od Daunienow, niewolnikow siła,
 Az Phalant pretenduje że ta zdobycz, była
 Lacedemonow, którzy tę Partyę zniesli,
 A Ludzie Telemaká, w tedy w bitwę weszli

Ggg

Gdy

Gdy Dauny uciekali, y że ci lunacy,
 Inszey nie mieli, tylko łupy zbierać, pracy.
 Telemak zaś, to twierdził, wywodzić przeciwnie,
 Ze Phalant byłby zбитy, gdyby z swemi dziwnie
 Nie nadszedł, y nie złamał wraz nieprzyjaciela.
 Ta sprawa poszła przed sąd Krolow, wodzow wiela.
 Telemak się był zaiadł, groził Phalantowi,
 Pewnie by się pobili, gdyby zapalowi,
 Pozwolono ich było. Phalant miał iednego
 Bratá, w Imię Hyppias, á zwoyská całego,
 W męstwie, w mocy, w chybkości, rownego nieznano,
 Co w wielu Bohatyrach, w nim wraz wszystko miano.
 W ujęciu broni Pollux, á Kástor ná koniu,
 Herkules w mocy, mąż był, w kupie lub w ustroniu.
 Wszyscy się go też strzegli, á drudzy y báli,
 Y większym ieszcze zwadzcą, niż Rycerzem zwali.
 Hyppias uważaiac, iák pogromił Bratá,
 Aby tych Niewolnikow, potkáłá go stratá,
 Nie czekaiac dekretu Krolow zgromadzonych,
 Chciał odesłać do domu, więźniow przywiedzionych.
 Dowiedział się Telemak o tej Iego wadze,
 Wgniewie strasznym, y wściekły kolery odwadze
 Wyszedł zgrzytaiac. Iak Dzik, tego szukaiący,
 Od ktorego odebrał, raz zabijaiący.
 Po obozie go szuka, pocisk wreku trzyma,
 A prawie go już zjada, obiema oczyma.
 Skoro go uyrzy, wnet w nim, iad sroższy zapálá,
 Ginie w nim modestya, y cnot wszelkich szala,
 Ktorá w nim cna Minerwa, w Mentora postaci,
 Ustánowiła; wszystkie, w tym momencie tráci.
 Lwem dzikim, Phrenetykiem, ow cichy się stáie,
 Stoy tak! zdrayco niegodny! woła nań y łáie,
 Obaczym, jeśli wydrzesh tych, com ja zwoiował!
 Nie będziesz do Tarentu, więźniow konwoiował:
 Ale wprzód Styx nawiedzisz, brzegu piekielnego!
 To mowiac rzuci pocisk, zaiádły ná niego.
 Ale iad nie dał miernie rzucić y uderzyć.
 Chybił go y już mieczem, przyszło się Im mierzyć.
 Miecz Telemak miał złoty, od Laerta dziada,
 Ná którym ryłowana, nie iedna już zwada:

Ledwo

Ledwo dobył Telemak, aż Hyppias silny,
 Uchwycić go y uiać, był prędki y pilny,
 Wydziera go y łamie, y rzuca ulomek,
 Wtym zá pierśi go porwie, Uliśa potomek,
 Chwyca się obay iak Lwi, rozszarpać się chcący,
 Ogień krwawy z Ich oczu, wybryzga bijący.
 Zeyda się, to wyciąga, chyla, podnaczaia,
 Zá barki dzierża mocno, wraz się przeciągaia;
 Tu się ściśna, y noga opiera o nogę,
 Reka z reka, wnet czynia iedno ciało frogie.
 Lecz Hyppias, iak starszy, miał nád młodszym gora
 Bo mocniejszy miał kości, zawiędła natura.
 Iuż siły w Telemaku poczęły ustawać,
 Y nogi nie tak mocno poczęły się stawać,
 Zginalby był Telemak, y odniosłby káry
 Zawziętey swey śmiałości, ciężka śmierć, y mary!
 Gdyby Minerwa pilna, się nie uzaliła,
 Y z ratunkiem dla niego, się nie pospieszyła.
 Została sama w Mieście Salentu, gdzie była,
 Ale swa konfidentkę, Irys, wyprawiła.
 Boginia posługaczka Bogow cnych ochocza:
 Ta letkim skrzydłem leci, á ztych, co się toczą
 Zá nią Obłokow, droga tak piękna się ściele,
 Iak kolorow ná tecz, maluje się wiele.
 Lotu nie zatrzymała, w zabranym raz biegu,
 Aż nad uślanym woyskiem; Y w obozu brzegu.
 Z dala ná pojedynkę patrzy, ten tak silny,
 Leka się, że Telemak, już upada dziłny.
 W obłok się obtoczywszy, nimże Telemaká
 Zásłania, y ogarnia, młodego Iunaká.
 Gdy Hyppias ostatnich sił prawie dobywa,
 Egida go dotyka, z kad siły nábywa
 Telemak, á Hyppias niewie co się dzieie,
 Miesza się, nie naciera, owšem się już chwicie.
 Telemak nie zaśypia, z tad owad go bierze,
 To w tey posturze, to w tey, to zaś w owey mierze.
 Ná koniec wszystka moca, chwyciwszy go wpaście,
 Uderzy nim o ziemię, ná nim legł w tym czasie.
 Żaden dąb naystraszniejszy, od stu siekier ścięty,
 Z takim hukiem nie pądnie. Y tak ow zawzięty
 Ggg 1 Poic-

Poiedynek kończy się. Ale to dziwniejsza,
 Ze w Telemaku wten czas, akcyą skromniejszą
 Stała się; Y ledwo go o ziemię uderzył,
 Ze furor nie potrzebny, sędził y uwierzył.
 Cne lekcyę Mentora, przypomniał w momencie,
 Wstydził się, że zwyciężył, myślił w tym odmenćie.
 Poprawić to; Gdy Phalant na ratunek bieży
 Bratu, widząc że na nim mój Telemak leży,
 Nie śmie dzyda przebijać, by nie zabił Bratę,
 Z kąd większa niżli powsta, czekała go strata.
 Telemak miał czas dosyć, Hyppiasa dobić,
 Ale gniew był już ustat; że nie będzie zdobyć
 Ta akcyą już uznał; chcąc skromność pokazać,
 Niechciał się leżacego, krwią więcej pomazać.
 Wstał z niego (rzekł) o Hyppie! już mam dosyć, a ty
 Naucz się y młodemi nie pogardzać ląty.
 Zyj zdrow! A ja szcucie twą siłę y mestwo,
 A że z ciebie Bogowie, dali mi zwycięstwo!
 Im chwała, a nam zgoda, złączmy od tad siły,
 Na nieprzyjaciół; by nam sławę przynosiły.
 Gdy to mówił Telemak, Hyppias okryty
 Krwią, obraz zostawiwszy na piasku wyryty,
 Zwstydem srogim powstawał; A Phalant zdumiany,
 Niechciał pchnąć Telemaką, będąc iak związany
 Ludzkością lego wielką, że mogąc nie zabił,
 Bratę lego. Ten tumult, wszystkich Królów zwabił.
 Zbiegszy, ci Telemaką, ci Phalanta wzięli,
 Ze zwycięzon Hyppias, wszyscy się zdumieli.
 Który z wstydu nie śmiał ocz, do góry podnosić,
 Woysko całe nie mogło, wydziwić się dosyć;
 Ze Telemak tak młody, nie zawiedły w kości,
 Ten Kolos mógł obalić, olbrzymiskiej wielkości.
 Lecz gdy Telemakowi, woysko się dziwiło,
 Całe on z tego, w sercu swym, nie tryumfuje.
 Zaszedł do swych namiotów, y tam pełen smogu,
 Sam się cierpieć nie mogszy, nie dał się nikomu
 Widzieć. Prędko gorączkę swoją oplakował,
 Porywczosć, że niegodną rzecz, w godnych znajdował.
 Proźność y podłość serca, uznawając w dumie,
 Prawdziwą w urodzeniu, godność, y w rozumie

Sędził,

Sadził, bydz tak cierpliwym, skłonnym, skromnym cichym,
 Tak przeciwnie bydz dumnym, bydz głupim y lichym.
 To cnego Telemaká, naybardzley bolało,
 Ze sie w nim to uznanie nic nie polepszało.
 Ze tak sie wkorzenilo, iz sie bez poprawy,
 Bydz sadził, desperuiac, doysć prawdziwey sławy,
 Tak sie z sobą pasował, ryczac iak Lew srogi,
 Y za namiot przez trzy dni, niewyniosł swey nogi.
 Sam sie karzac ach! mowił, iakże cie Mentorze,
 Prayjdzie widzieć o wszelki, cnot wszelakich wzorze.
 Iamac Syn Ulissea! Ia naycierpliwiszego,
 Całowieka, y skromnościa! Ia naysławnieyszego!
 Ná tożem ia do woyska wszedł, abym tu zwady?
 Zpoiedynki wprowadzał, miasto woyn y rady.
 Y miasto krwi Daunczykow, krew Bráci rozliwał!
 Rzuciłem poisk darmo, głupiem sie porywał.
 Ná silnieyszego, y luz wstyd z śmiercia mie czekał!
 Bodayzem wiktoryi tey był niedoczekał.
 Wstyd mie teraz! już wiscey nie bede szalonym.
 Iuz sie znam bydz tak silo nieszczęść, unizonym.
 Poprawie sie. Lecz pono nim sie dzień zakończy,
 Moy rozum znowu iaka passya pomać.
 Y zrobie co podobnie co sam oplakuie,
 O iak mi ciężkie chwały! już Ich odstępuje.
 Gdy te myśli w nim madre, z żalem nie ustáia,
 Nestor go z Philoktetem, obá nawiedzaia.
 Nestor z tą Intencya, szedł láiac, do niego,
 Ale zaraz postrzegszy žal niezmierny lego,
 Starzec mądry odmienił; w łagodneyse słowa,
 Y cieszzenia nie layki, była lego mowa.
 Panowie Kolligáci, przez tak znaczna zwade,
 Zátrzymali marsz y te wzięli przed sie rade:
 Nie wprzod nieprzyaciela, szukać powszedniego.
 Aż pogodzić rosterki, Rycerstwa zácnego.
 Bali sie by Partya, Phalanta kommendy,
 Na Cretow Telemaká, nie skoczyła kedy.
 Tak wina Telemaka woysko zamieszala,
 A iego ná śmierć prawie, w żalu sturbowala.
 Kolligáci zmieszani, ruszac sie w marsz bali,
 Bo y tak Cretenczykow, ledwo utrzymali.

H h h

W mar.

W marszu zaś niepochybnie, byli by się bili,
 Ktorzy w obozie sobie, ustawnie grozili.
 Nestor zaś z Philoktetem, nie żałując potu,
 Chodzili do jednego, z drugiego namiotu.
 Phalant nie ukoiony tylko pomstę myślał,
 Ni racye Nestora, co mądrze wymyślał,
 Ni powaga Philokta, nie mogły utrzymać
 Serca dzikiego, co się nie przestaje zrywać.
 Ile że go Hyppias, ustawnie poduszczał:
 Telemak się zaś wcale, na ich zgodę spuszczał.
 Gdy w tej agitacyi Kolligacji byli,
 Żołnierze iakby głowy, y wodza stracili,
 Iako' gdy z Oycem umrze nadzieia swych dzieci;
 Aliści w tym momencie huk srogi przyleci,
 Tent koni, wozow hałas, y szczet broni różney,
 Głos goniących przynosi, woboz strach nie próżny.
 Wprzód Tuman srogi, w Niebo wznosi się z kurzawy,
 A po nim y Dym srogi, y już płomień krwawy.
 Trwoga wielka, strach większy serca opanował,
 A to Adraſt Impreze tej był nagotował.
 Ten pilny Wodz y rzeski, swoy marsz pokryć umiał,
 Nie spodzianie uderzył, kiedy sam rozumiał.
 Dwie nocy, gorę pewna, obłędł bez przestanku,
 Ktorą to osadzono; a zaś na poranku,
 Woboz w padł ztąd, kedy się go nie spodziewano:
 Bo nawet tej przeprawy, dobrze pilnowano,
 Przez którą wziąć Adraſta, z tyłu gotowali,
 Tylko ieszcze na pewne partye czekali.
 Tak uprzedził ich Adraſt, bo już o tym wiedział,
 Przez szpiegow którym płacił, tego się dowiedział
 Sekretu. W swoich radach Nestor z Philoktetem,
 Nie umieli się cale obchodzić z sekretem.
 Nestor wprawdzie zbyt mądry, ale już zgrzybiały
 Rad wymowił co mogło przynieść, mu pochwały.
 Y często się wygadał. A Philoktet znówu;
 Prawda nie tak rad gadać, ani prędki słowu,
 Ale zaś nie cierpliwy był, y zbyt goracy,
 Y także się wymowił, chocia y niechcący,
 Francia predko znaleźli klucz, do serca lego,
 Tylko go było gniewać, sprzeczać radzącego.

To niewiedział co gadał, y rók sie zaiadał,
 Ze twierdząc swoia radę, z niey sie sam wygadał
 A iák sie kto pokazał, że to rzecz watpliwa,
 To go w net kordyaká wzięła zaś rók żywa,
 Ze wszystkie Inwencye swego dokázania,
 Odkrył wraz, bez sekretu swego záchowania.
 Ták sekret z Serca Iego, naywiększy wypływał.
 Iákby liqwor z naczynia drogi sie dobywał.
 Co wiedząc zdraycy owi, pieniedzmí uieci,
 Obu tych Panow głowę, zdrada Ich tak meci,
 Ze z nich wszystko czerpali, Nestora proznemi
 Pochwałami, A tego, słowy zaś sprzeczniemi.
 Nestorowi zwycięstwa przeszłe wspominali,
 Káżdemu słowu Iego, w rádźie przyznawali.
 A tam zaś ustáwiczne zádaiać trudności,
 Z Serca wyprowadzali, naywiększe skrytości.
 Bo w tym sie upieraiąc, że pewnie dokáże,
 Zápomniał sie, nie dáiać, ustom swoim stráže.
 Telemak zaś, choć infze, miał defekta w sobie,
 Ale był sekretniejszy, bo był w dobrej probie;
 Gdy gachom Penelopy, tać trzebá było,
 By sie mátki y Pánstwa, było nie zgubiło.
 Umiał on chować sekret, á nie klámiać przecie,
 Y co większa, ukłádáć, choćiaj w młodym lecie.
 Ták swa umiał postáw, że sie nic misternym
 Nie pokázáł, y owšem, otwartym y wiernym.
 Iednak wypowiadaiać co potrzebá było,
 Nie znacznie co potrzebá, wzajem sie táilo,
 Nawet y suspicyi, że wie, nie pokázáł;
 Naywiększym przyiaćiolom, nic też nie wyrażáł,
 Tylko to, co z nich rádę dáć tey sprawie mogło.
 Y co nie zaszkodziło, ále mu pomogło.
 Serce Iego, iednemu, tylko Mentorowi.
 Otwarte było; drugim swey ostrożney mowy.
 Udzielał według Ichże rozumu, wierności,
 Zgoła co do Sekretu nic, nie miał płochości.
 Postrzegł często Telemak, że wzięte ná rádźie,
 Rezolucye, były rozgłoszone w zradźie.
 Przestrzegał Philokteta y Nestora, ále
 Ci wodzowie niedbali ná te czuyność cale,

Starość się nie da rzadzić y stare zwyczaje,
 Jak związana ia maia; złomac się nie daie.
 Owym drzewom podobni, których korzeni twardy;
 Przez wiek dawny nie da się nachylić, tak hardy,
 Y w starych Ludziach umysł, nie da się żadnemi,
 Racyami naklonić: defektu co z niemi.
 Starzał się, żadna miara, nie dadza poprawić,
 Y lubo widza że zły, przecie się go zbawić,
 Niechca. Iedna iest młodość w ktorey się przelomac,
 Może y nadchodzącym, passyom wylomac.
 Był w obozie ieden człek Eurymak Imieniem,
 Niezrównany pochlebstwy, y swym ułożeniem;
 Wszystkim Panow Passyom, tak się stał przyjemnym,
 Ze właska Ich się wkradal, zmysłem nie daremny.
 W radach mu nic trudnego, gdy go się pytano,
 Zgadł co się podobalo komu, choć milczano.
 Zartowny z tym co ścierpiał, kogo się obawiał,
 Z tym ostrożny; a darmo słowa, nie wymawiał.
 Pochlebił zaś tak krztałtnie, że co nie lubili
 Pochwał, to ze słow lego kontenci zaś byli.
 Z poważnemi Poważny, z wesołemi śmieszny,
 Każda na się brał postać, był wszystkim pocieszny.
 Ludzie szczerze cnotliwi, y co cnoty prawo
 Trzymaia, nie moga bydz u Krolow zabawa.
 Znał się przy tym na wojnie, y spraw był wiadomy
 Przy Nestorze się wiazał, wszystkim był znaiomy.
 Ten wskroź Nestora prożne, chlubne serce znaiac,
 Co tylko chciał wyczerpnał, iego wychwalaiać.
 A Philoktet, lub nie miał, takiey z nim przyiaźni,
 Wywiedział się y z tego, gdy go w gniewie draźni.
 Tego prożność, tego gniew, wszystko mu odkrywał,
 Tego chwalać, tym przeczac sekretu dobywał.
 Ten Eurymak wszelka brał, od Adrasta place,
 By myśli Kolligatow, obroty y place.
 Obozow ich odkrywał. A na to zaś zbiegi,
 Z swoich Ludzi posyłał, ktorzy mu zabiegi,
 Z Eurymaká Instrukcyj, woyska odkrywali,
 Y szpieguiać o wszystkim, pilno znać dawali.
 Z ustna mowa bez listu, im wysyłał swego,
 Y tak się niebał, mądry, przeciecia żadnego.

Tak

Ták Adrast, Kolligatow zámysły uprzedzał,
 Ledwo w radzie stánęło, dobrze o tym wiedział.
 Wszystko to czynił, co Ich zámysły przezkodzić
 Mogło; A sam zaś czynił, co Ich mogło zwodzić.
 Telemak ustáwicznie, zdrađ przyczyny szukał,
 Nestora, Philokteta, do uszy Ich pukáł,
 Aby się strzegli szpiegow, lecz darmo proszeni,
 Urządzili tak byli w radzie, zgromadzeni:
 Ná liczne woyska czekać, ktore przychodziły,
 Y fto okretow tajnie, w nocy wyprawili,
 Ná przewoz tego woyská, y ná wysádenie,
 Ná brzeg ostry, przy ktorym, oboz iák przy ścienie
 Leżał, á był w zupełnym, z ináđ bezpieczenié,
 Osadziwszy gorę w Lud poufały w męstwie.
 Tám oboz Kolligacki, náđ Galezem rzeká
 Leżał, w kráju obfitym w miód, w fruktá y w mleko.
 A Adrast był za gorá. Mocno zaś mniemano,
 Ze zá tą nie przebytá gorá, iák zá ścianá,
 Bbezpiecznie czekać mogá. Lecz on o słábości
 Woysk wiedzac Kolligackich, y tcy gotowości,
 Okretow czekaiących ná woyska idące;
 Informowan, że zwady Phalanta gorące
 Z Telemakiem, po woysku czyniá rozroznienie;
 Bierze przed się Imprezę, y ták przedkim zenie
 Marszem woysko, obchodzac nieprzebyte gury,
 Ze stánał, gdzie okrety, skály iák mury
 Okrywały. Zaraz Ich, nádedniem poimał,
 Bo słuszney stráž y ná nich, nikt nigdzie nie trzymał.
 Swe woysko wśádził ná nie, y wrocił się z niemi,
 Wrzekę Galez, z znákámi, iák Kolligackiemi.
 Stráže co náđ Galezem, rozstáwione stály,
 Ze sukurs oczekány plynie, rozumiały.
 Przepuściły okrety, y owszem rádości,
 Krzyk wydały. A Adrast, záżywszy pilności,
 Wyśiáda wnet, y wten czas, poznawác się dáie,
 Kiedy strách z konfuzya w Kolligatach wśtaie.
 Trafił ná niespodzianych, y oboz otwarty
 Zastáie bez porzádku, bez wodza, bez warty.
 To, zaś skrzydło, w ktore wpadł, Tarentynow było,
 Zpod Phalanta kommendy; Ná to táká siła

Uderzyli Daunowie, że Lacedemony,
 Nie strzymawszy, we wszystkie, uciekali strony.
 A nim do sprawy y broń przyjsć mogli zmieszani,
 Adrast oboz zapala, y Zolnierze rani.
 Płomień namioty obiał, wznosi się w obłoki,
 Podobien, kiedy woda, z rzeki więc szerokiey,
 Wszystkie pola oblewa, wsi lasy wywraca,
 Y żywe, y budynki w niwecz wraz obraca.
 Tak y tu, wiatr płomienie z namiotow przenosi
 Jedne z drugich, á wszystko połyka y znosi.
 Wraz prawie oboz w ogniu stanał, iák w pożary,
 Gdy się las zajmie zewszad, zawiędły y stary.
 Phalant widzi zdumiony, woysk niebezpieczeństwo,
 Zostać w ogniu, naywiększe nie pomoże męstwo;
 Wyprowadzić zaś woysko, wpuł z confundowane,
 Ieszcze gorzej, iák ná śmierć, ucieczkę, y ranę.
 Przecie swoy Lud y z ognia prędko wyprowadza:
 Ale Adrast ná drodze pilny, mu zawadza.
 Piechota z łukow szyiac, wychylić nie da się
 A druga z proc kamieniami, trzyma iáko wprásie.
 Sam Adrast z mieczem w rękę, nayśmielszych przywodzi,
 Y sam siekac y rabiac, we krwi zbitych brodzi.
 Ktorzy z ognia wyskocza, co płomień ochroni,
 Pewnie się mu nie skryją, od okrutney broni.
 Tygrysy y Lwy frogie, gdy z bydlęm Pasterze
 Zra, nie tak zająszeni, iák lego Zolnierze.
 Lecz Zolnierze Phalanta, wytrzymać nie mogą,
 Serce trąca, już bledna, przed śmiercią tak frogą.
 Ktora Furya z pieklá z sobą w szyki wlecze,
 A wężami, z swey głowy zdiętymi, Lud siecze.
 Krew się zsiada w Ich żyłach, tak, że drżące nogi
 Unieść życia nie daia, w konfuzyi frogiey.
 Phalant, desperacya z wstydem stoi zdięty,
 Rece wznosi do Niebá, przez żal niepojęty.
 Aż wnet o bok obaczy Hyppiasa Bratá,
 Ba u nog leżacego (o laka mu strátá)
 Z ręki meżney Adrasta, o ziemię, przebity
 Ten Rycerz padł, y ziemię krwią skropił zabity.
 Krew czarna bokiem leie, á z nią dusze meżna,
 Wypuszcza, ieczac ciężko, przez ranę potężną.

Pha-

Phalant Brátnią krwia zlany, rátować nie może,
Obskoczony ze wszech stron. Tylko woła: Boże!
Obalić go nie mogą, lecz w kilką raz rania,
Tarcza go siłą broni, y nie ginie za nią.
Lecz swych zebrać nie może, y wrocić do boiu,
Bogowie bez pomocy widza go w tym stroiu.

Iowisz, w kole cnych Bogow, z Olimpu iasnego
Patrzy ná tę záiadłość woyska bijącego,
W Xiegach czyta wyroku, kto y iák ma zginać,
Wyroku, co odmienić nie może, ni minać.
Kazdy z Bogow nań pátrzy, chce z niego zrozumieć
Ktore woysko dziś będzie mogło drugie ztlumić.
Aż Iowisz głosem pełnym Majestatu swego:
Widźcie! Kolligaci przychodza do czego!
Iák blisko już sa zguby! iák Adrast wywraca!
Ale mylna nádzicia, y daremna praca.
Złych Ludzi krotkie szczęście, y Adrast bezbożny,
Nie będzie aż do końca, w tym zwycięstwie możny.
Nieszczęście Kolligatow, ktore dziś potkało,
Będzie Im ná náukę; że sekretu mało.
Zwykli więc zachowywać. Patrzaycie co czyni,
Dla swego Telemaka Minerwa Bogini!
Nową sławę gotnie swojemu uczniowi.
Y tu wszyscy zdumieni, Iowisz nic nie powi,
Iuż więcej. A Philoktet, y z nim Nestor stary,
Widząc oboz wplomieniu, y tak czarne chmary,
Do nich się przybliżają, że się woysko chwicie,
Z Phalantem już złomanym, wiedzieć co się dzieie,
Nie podobna, ani go sukursiem rátować,
Więc do broni się biorą, chcąc woysko salwować.
Wszystkim wynieść z obozu, ná gwałt rozkazują,
Y wyszedłzy z bliskiego ognia, się szykuia.
Telemak, ktory w żalu siedział, pod tę czasę,
Uwalnia serce, z swego frasunku, iák z praty.
Zbroję y bróń przybiera, od Minerwy dane,
Pod Postacją Mentora, Iemu darowane.
Ktore, Mentor powiadał, że w Mieście kupione,
Lecz były od samego Wulkána robione.

Te oreza zaś były, iáko kryształ lśniace,
Y blask tak wydawały, iák promienie słońce.

A ná nich historya, Thebow obleżenia,
 Y wszyskiego, Laiusa z Synem, obchodzenia
 Edypem wyrazona. Ktory zá przestroga,
 Ze od Edypa zgubion miał bydz, śmierć frogą,
 Oddał go Pasterzowi, z takowym rozkázem:
 Aby dziećie Edypa zgladził z światá rázem.
 Ktory, y nád dziećina, będąc zlitowany;
 Y Krolá sie boiacy, by nie był kárany,
 Przebił mu tylko piety, y zá nie obwieśił,
 A sam odszedł od Niego, y do Krolá spieszył.
 Dziećie zá nogi wiszac, tak długo krzyczało,
 Ze sie Pasterza także, w krotce doczekało.
 Ten sie Forbas nazywał, Krolá Korynckiego,
 Zdiał z drzewa, y ożywił Edypa małego.
 Y Krolowey Neroppie, co dzieći nie miała,
 Zániosł, á Tá sie w Nim, iák w Synu, rozkochála.
 Edyp dorozszy, gdy sie o tym dowiadaie,
 Ze nie jest Syn Neroppy, mocno sie frasuaie.
 Po rożnych kraiach ieżdżił, nigdzie nie pośiedział.
 Az by sie o rodzicach swoich, był dowiedział.
 Oraculum odbiera: Ze Oyca w Phocydzie,
 Znaydzie; záraz tam śpielzy, y wto Pánstwo idzie.
 Tam bunt, záiadłego Pospolstwa, znayduie,
 Do ktorego sie mieszka; y gdy tam wojuje,
 Nie znaiąc Oyca swego Laiusa zabija,
 Ktorego to proroctwo, od Syná nie mija.
 Tenze w Thebach y Gadzie Sphinx wytlumaczył,
 Y iák sie monstrem to Sphinx zábiło obaczył.
 Z Matką swojá Iokasta nie wiedzac sie zeni,
 Bo sie Synem Neroppy iák rozumiał mieni.
 Tak obmierzle Malżeństwo kárza wnet Bogowie,
 Y okrutne powietrze ná tyśiacney głowie
 Ludu, szerzy sie. A on widzac Bogow karę,
 A nie wiedzac sam zá co, y nowe y stáre
 Obchodzi Oracula, y Kiezy sie bada,
 Kto winien! zá co przyszlá! tá morowa biada?
 A ná koniec, strach wspomniec! taki respons bierze:
 Ze zá niego Lud skaran jest, wtak frogiey mierze.
 Iáki wstyd, strách Iokasty, tak Edypa zále,
 Ktorych zniesć on nie mogac, ni wycierpieć w cále,
Oczy

Oczy sobie wylupił, á Bogow y Ludzi,
 Znieść nie mogąc, chęć w sobie do pułtyni budzi.
 Antygona go Corká, ślepym powoduie,
 A dwom Synom z Iokasty, Tron swoy zostawuie.
 Eteokl y Polinic Synowie się zwali,
 Rozkazał, by po roku oba panowali.
 Ale go nie słuchaia, y ieden drugiemu
 Ustąpić niechce w roku, zły Brat bratu złemu.
 Polinic oszukany, wnet Adraſta wżywa,
 Małżeństwem z Corką iego, sukkuſtu nábywa.
 Z licznemi woyski ciągnie, pod cne mury Theby,
 Co dzień ſtáia potyczki, harce y potrz by.
 Rycerze Greccy nie mniej, tamże się zbieraia,
 Tak, iáko kiedy Troi walney dobywaia.
 Zdrada się Euryphili Zony pokázuie
 Amphilanſa, ktorey to cnote Adraſt pſuie.
 Ta przekupiona złotem, męża zakrytego
 Odkrywa, y pomaga frogiey śmierci iego.
 Po między tak siłoma Marſa furorami,
 Nayſtraſnieyſza okropność, Bráci dwoch z twarzami
 Widzieć zágńiewanemi; iák furye z pieklá,
 Gore twarz Polinica z Eteoklem wſcieklá,
 Widzieć było tych Bráci, iáko się ſzukáli,
 Ná miecze, ni ná rány, iáko nic nie dbali,
 Káždy życie ſwe ſoży, áby wziął drugiemu,
 Y rázem ie wydżiera ten zły, temu złemu.
 Y luź leżą ná placu, krew ránámi toczy
 Káždy z nich, á ieſzcze iad wybryzguie z oczy.
 Y oſtatniey, leżacy dobywaia ſiły,
 Zeby ręce ſwe we krwi goracey moczyli.
 A woyska widowiskiem tym, się bić przestały,
 Y kończyć wiktoryi ſromotney niechciały.
 Ná koniec Ich záiádłość, áż do śmierci trwała,
 Y po śmierci ná ſtoſie dREW się dokończála:
 Bo ná trupow pogrzebne włozeni ſpalenie,
 Niezgodne się dzielili, dym z nich y płomienie.
 Y popioły pámietne ran, co ſobie dali,
 Pomieſzać żadná miarą z ſobą się niechciały.
 Te ná zbroy Wulcanus ſztucznie wyryſował
 Historyá; iák żywey káždy się dziwował.

Na puklerzu zaś były cney Cerery dżicie,
 Oractwa, tam naucza, tam orze, tam ścieie.
 Enne, Miasto Sykulskie, tá Bogini miłá,
 Naypierwsze swym Kościołem w świecie ozdobiłá,
 Lud tego w polowaniu tylko, zwyczajony,
 Zbiera z lasów do rądlá, y plugu, y brony,
 Rznąć ziemię uczy. A zaś owoc takiej pracy,
 Geste kopy wydaie, niby z robot płacy.
 Y żelazo, co do tad było iák ná szkodę,
 Pożywienia y Bogactw, przynosi wygodę.
 Nymphy w kwiecie stroione, tamże się widziały,
 Iákby przy dudkach Páná, Bożká, tańcowały.
 Widżiany był y Bachus wsparty ná winnicy,
 Prezenty swe grona wiszące z macicy.
 Z miłością cera zbytńie, z oczmi spuszczonei,
 Iák niegdy Aryadne potkał, y zwiodł niemi.
 Tamże widzieć y stárców było, dźwigaiących
 Pierwsze ziemi owoce, przed Bogi niosących,
 Ná ofiars decymy, tam Meżowie młodzi,
 Od roli powracaia, á Zona wychodzi
 Z Potomstwem, ktore głászcze, á Meża pošila.
 Pasterze zdrugiey strony (gdy Im służy chwila)
 Leżąc, graia na dudkach, á ci ná multankach,
 Ci skaczą wyżej kozłów, á ci ná kolankach.
 Pokoju obfitości, pełnie záżywaią,
 Ani się Lwa y Wilka, nie obawiaia.
 Ktorzy ieszcze z trzodami, nie znaiąc to wojny,
 Złoty wiek pierwszy świata znaczyli wdziek hojny.
 To wszystko, com opisał, Telemak ná broni
 Swey wryto miał cudney, robotę cney dłoni.
 Ná ten tumult w obozie, prędko ie odżiewa,
 A gdy go Mars zápala, y krew się rozgrzewa,
 Irys Posel Minerwy, Tarcze odmienila,
 Samym Bogom Egyde stráśzna, podstáwiłá.
 Ktora zamiast swej własney, chciwy rycerz chwytá,
 Wyrwawszy się z płomienia, gdzie biecć nie pyta,
 Lecz stánawszy, ná Wodzów strwożonych zawołá!
 Głos y Twarz tego w sobie coś Boskiego zdoła.
 Utwierdza zaleknionych, á wraz kommenduie,
 Iák stárzec doskonaly, y sam exequuie,

Iako młodzian ogniſty. Iakby był rozlana
 Rzeka , co rwie y brzegi , y łodz ładowana ,
 Nieſie fruk pożyteczny. Byſtrość przy rozumie.
 Meſtwo w ſtatku , pokazać , y pogodzić umie.
 Philoktet, Neſtor, y zaś Narodow Wodzowie
 Zebranych, wſzyſcy patrza, y Manduczykowie,
 Uznaia w Telemaku, coſ tak poważnego,
 Ze rzady ſwe ſkładaia, przed kommenda lego.
 Iuż ſtarcow doſwiadczenie, przezorność , y rada,
 A nawet Naturalna zazdrość, Ich odpada.
 Wſzyſcy milcza, y tego kommendy ſłuchaia,
 Z którym. pierwſzy raz w boiu, y ſzyku ſtawiaia,
 Idzie on na Pagorek , z kad recognoſkuie,
 Ze Nieprzyiaćiel oboz pali, y plondruie.
 Bez porzadku; y zaraz skupić ſie nie daiać,
 Uderzył w nich, momentu ſie nie rozmyſlaiać.
 A co wiekſza tył Im wziął, gdy już rozumieli,
 Ze płomieniem y dymem, naſzych ogarneli.
 Ten Attak nie ſpodziany, Daunow zaraz zmieſzał,
 A Telemak naypierwſzy ſzyki Ich pomieſzał.
 Pod trogim mieczem lego, Iak w leſieni liſcie,
 Leca o ziemię ieczac, na te ſtraſzne przyſcie.
 Uſłana trupem ziemia, która gryza pyſkiesm,
 Iphikleſa ich Wodza, ſam przebił poćiskiem.
 Syn to był ſam Adraſta, co Oyca zaſlonił,
 Który ſie ledwo co, przed Telemakiem ſchronił.
 Iphikles, y Telemak, obay młodzi byli,
 Piekni, rzeſcy y meźni, kſobie ſie rzucili.
 Lecz Iphikles, podobien kwiatowi owemu,
 Który głowę żelazu daie koſzacemu.
 Telemak Euphorona wnet potym wywrocił,
 Meźnicyszego z Ich Wodzow. Potym miecz obrocił
 W Klemenca nowożeńca, który był obiecał
 Zdobycz Zenie, a on ſam, o ziemię poleciał.
 Adraſt śmiercią Synowska, y Wodzow tak ſiła,
 Bolał; Ale tá mu rzecz załoſniejszy była:
 Ze Phalant umknał, u nog lego obalony;
 Iak bydle przed ołtarzem, gdy go noż ſwiecony.
 Tylko rznąć ma, ućieczę. Iuż o oka mgnienie,
 Phalanta śmierć czekała, y pewne zginienie.

Az gdy głos Telemaka, w polżywy usłyszysz,
 Życie mu się przywraca, y luz lekcey dyszysz.
 Daunowie, Telemaká natarćie widzacy,
 Phalanta odstepuia, y tam gdzie goracy
 Miecz śieczy, obracaia, odpor dać potężny,
 Adraśt się wścieka, mata, zająszony, mężny.
 Iák kiedy Tygryśowi Bydła połapane,
 Odbijaia Pasterze, nie dba nic ná ráne;
 Telemak go sam w hufcach, zewszad pomieszanych,
 Szuka, y chocia y wkupie żołnierzow wybranych,
 Siaga po głowę Iego, y chce skonczyć rázem
 Woynę, przez głowy zguba tey, swoim żelazem.
 Ale Iowisz sam niechciał, y Minerwa godna,
 Zeby go ta wygrana predka y wygodna
 Potkała. Chcac takiego, ná wiecey zachować
 Bied, y nieszczęść, by umiał, ná potym krolować.
 Tak bezbożny był Adraśt predko zachowany,
 Aby Telemak, lepiey był wyprobowany.
 Iowisz zebrał obłoki, zakrył Daunow niemi,
 Nawet wola swa głoślił, pioruny frogiem.
 Zdało się, że Olimpu sklepy, się rozśieda,
 Y że ná głowach Ludzi mizernych uśieda.
 Błyskawice zaś, chmury, od końca do końca.
 Rozdzieraia, promienia, y nie widzieć słońca.
 Y co raz, to od gromow blasku, bola oczy,
 To wraz noc ciemna ná świat, á wpuł dnia się toczy.
 Do tego, deszczu powodź, ták froga lunela,
 Ze obu woysk wraz strona, wbitwie swey stanela.
 Zásił Adraśt tey Bogow pomocy zesłaney,
 Lub Ich mocy nie uznał, w tym, zápamietany,
 Y przeto predka kára, bezbożny zasłużył,
 Ale tym czasem, chwili tey tak dobre y użył.
 Spieszno swoich, przez oboz spalony prowadzi,
 Y po między leziorem dobrze sobie radzi.
 Po między Rzeką w błota, szedł sztucznie tak rzysko,
 Ze już wynisć zupełnie, w pola, było blisko.
 Kiedy go Kolligaci, Telemaka rada,
 Gonić chcieli á deszczow, y błot wielkich wada.
 Zátrazymani zostáli, Tak się Im wykrećił,
 Iák ptaszek z szpary, czym się Telemak zasmęćił.

Dopie-

Dopiero Kolligaci w oboz sie wrocili,
 Y szkody reparowac tak straszne myslili.
 Wchodzac, co naygorzszego woyna straszna rodzi?
 Widzieli: Ten opalon, ten w swoiey krwi brodzi,
 Tych ieczenie, y w Nieba podniesione glasy,
 Ostre lamenty smierci, az wstawia wlosy.
 Telemak ukazuje serce wskrosz wzruszone,
 Odwraca oczy, to wte, to y w druga strone,
 Nie moze patrzyc na te wpuł zyjące trupy.
 Ktore, lubo nie chybnie poyda w smierci łupy,
 Iednak w bolu gnić dlugo, nieszczęśliwi beda,
 Ktorego chyba przez śmierć pożądana zbęda.
 Nie mogszy tez utrzymać, zawołal płaczliwie:
 Takież to rodzi woyna szkody nieszczęśliwie!
 Iaki furor! zaiadłe Serca wznieca Ludzi!
 Czym sie ich ambicya nie potrzebna ludzi!
 Y tak, mało żyć maia, a mizerne życie,
 Przecie sobie skracaią, przez straszne zabicie.
 Życie, ktore Bogowie, biedne uczynili,
 Ludzie, ielzce biedniejszy, przez woynę zrobili.
 Zwierzeta, nie tak na sie okrutne bywaią,
 Lwy na Lwy, Wilk na Wilka, sie nie porywaią;
 Ludzie Bracia sa wszyscy, y lub przy rozumie,
 Gorzcy zwierzat, w swoiey sie zabijaią dumie.
 Lecz na koniec; O cożto! woyna krwawa bywa!
 Wszak o kray, y o ziemie! azazze iey zbywa!
 Y nie dosćże świat wielki! Niemaszże pułtyni,
 Ktoreby ośieść mogli, bez śmiertelney winy!
 Coż! dla cienia próżności, w sercu woiennika,
 Po całym świecie, nieszcześć tak sila wynika.
 By Tytułu Rycerza dostapil y Pána,
 Okrutnemi nieszczęściami, ziemia iest skarana
 Przez gniew Boski. Taki człek, na świat nasz wychodzi,
 Który wszystkich nieszczęścia, iak na smyczy wodzi,
 Nasyciż swą dumę, chce, żeby psowało
 Wszystko sie Ludzkie plemie, y we krwi plywało.
 Zeby mieczem y ogniem, wszystko sie poiadło,
 A co z woyny zostanie, żeby z głodu padło.
 Iak to straszne, ieden człek, igrzysko ze świata
 Czyni? uciecha lego śmierć, szkoda, y strata!

Co za sława bezecna? Kto się nią nie mierzi!
 Y iak się taki człowiek, Ludziom nie obmierzi!
 Darmo się puł Bogami, tacy Ludzie zowią,
 Darmo wiekow pamięcią, y chwała się łowią,
 Ani Ludźmi się nazywać, tacy nie powinni,
 Y wszelki, kłać nie chwalić, Tych Tyrannow winny.
 O! iak Krolom uważać, gdy woyny wŹczynia,
 Potrzebą, jeśli słuszność z swoiey strony maia!
 Y to nie dość! Aż chyba niezbyta przyczyna
 Przyciśnię; wtedy woynę niechay Krol poczyna.
 Krew poddanych wylewać, chyba wten czas trzebą,
 Kiedy obrona, same nakazuia Niebą.
 Ale rady pochlebne, wysokośći duchy,
 Proźne emulacye, nabyćia potuchy,
 W pretexty się ubrawszy, cney sprawiedliwości,
 Pedza Krolow do woyny! ách niešťczęšťliwości!
 Y puszczaią Ich ná los, stráćenia wŹszystkiego,
 Z niešťczęšťciem swoim, y wraz PospolŹstwa całego.
 Ták Telemak rozmawia, y nie dosyć maiąc,
 Oplákiwać woynę, chciał rátować, rozdaiać
 LekarŹstwa, Prowianty, po między ránionych,
 Sam biegał po sałaszach chorych opalonych;
 Hoyny, pieniádze dawał, ćieszył y rátował,
 PoŹyłał, wŹszedzie znaki litości skazował.
 Między Kreteńczykami, á zpod władzy Iego,
 Było dwu Źtárcow; zwano Transmophil lednego,
 A drugiego Nosophus; Pierwszy był pod Troia,
 Tam się lekow náuczył; Ten náuka swoia,
 Siłu pomogł, y w rany naygłébsze nálewał
 Oleyki, nimi bole y puchline zbywał.
 Nie zrzynaiąc ogniŹle y puł trupie ciała,
 Leczył, że się nie wiedzieć gdzie ráná podziała.
 Nosophus, Eskulapa, lub nie znał nauki,
 Ale Księge miał Źwieta, tegoż Boga Źztuki.
 A przytym, był náboźny, y cnym Bogom miły,
 Hymny pisał ná cześć Ich, poćiecha Im były.
 Co dzień Apollinowi báráńka biálego
 Zárzynał ná ofiáry; często od ktorego
 Natchnienia Źwieta miewał, że ledwo obaczył
 Chorego, poznał, y wnet uleczyć go raczył.

Wiedział

Wiedział on z kompleksy, czy mu dać ná poty,
 Drugim dawał nápoie, Niebieskiey roboty.
 Ze nie tylko on chorych, z chorob wyprowadzał,
 Ale stárych, kaleki, iakby Ich odmładzał.
 To zaś mądrze on twierdził: że Ludzkie niecnoty,
 Trzymają w cenie wielkiey, Lekarskie roboty.
 Dobre on obyczaje (mawiał) dobre zdrowie
 Czynią, a zaś roskosz, fa niby Posłowie,
 Po choroba y Leky, wstyd Ludzkiey rozpusty,
 Jest choroba, do ktorey padzi umysł tłusty.
 Rozpusty, ile potraw miekkich wymyślaia,
 Tyle chorob y kalectw, sobie przyczyniaia.
 Roskoszy, wiecey rodza chorob niezliczonych,
 Niż lekow, by naymędrsza głowa, wymysłonych.
 Ubodzy co mniey iedza, mniey też y choruia,
 A Bogaci, rozpustni, sami się zaś truia:
 Bo nad potrzebe wzięta, każda rzecz z potrawa,
 Szkoda jest sił natury, a nie iey poprawa.
 Ale y leki same, naturze zaszkodzą,
 Dobrego nie zostawia, kiedy złe wywodzą.
 Y tylko w nagłym razie, w sztychu nie odbitym,
 Lekarstwo bydz powinno, y Doktor záżytym.
 Naypewniejszy recepty, te trzy rzeczy mawiał:
 Pierwsza, skromność w roskoszach y potrawach ziawiał,
 Druga spokoynść myśli, chuci serca, trwałá,
 Trzecia agitacya, y robota ciała.
 Te (rzekł) prezerwatywy, dobrá krew wnas rodzą,
 Ze humory przeciwné, z ciała naszych wywodzą.
 Tak Nosophus rostropny, wiecey rada leczył,
 Y w skromności, nie w lekach, zdrowie Ludzkie cwiczył.
 Bo uprzedzał tą rada, wszelakie choroby,
 Ze zaś nie przychodziło, y do lekarstw próby.

Tych dwoch Ludzi Telemak, po woysku rozsyłał,
 Wraz leki, iak y zdrowie, tym chorym posyłał.
 Bo wiecey swa praktyka, niż leki, leczyli,
 Ochodostwa y potraw zgodnych, Im życzyli.
 Tak, że Im, nie lekarstwom, powinno się było;
 Iak się zaś Telemaka, tym Imie wślawiło!
 Iak Bogom dziękowali, Zolnierze zleczeni!
 Ze tym posiłkiem, z śmierci są wyprowadzeni!

Nie jest ci to ten człowiek (z sobą rozmawiali)
 Ale to nam w postaci, Bogowie przysłali
 Bostwo dobrze czyniące. Jeśli zaś człowiecze,
 Ma istoty? to jest dziw! Bo jeżeli śiecze
 Nieprzyjaciół nad drugich; To zaś y w hojności,
 Przechodzi Bohatyrow, y w serca litości.
 Gdyby go nam za Krola, dobre dały Niebá!
 Lecz go pono szczęśliwszym, niżli my, potrzebá,
 Ktorych bardziej Bogowie, niżli nas kochaia,
 Ná odnowę złotego wieku, go chowaia.
 Telemak, ktory stráže obchodził w nocy;
 Słyszał te chwały, droższe przeto, że nie w oczy.
 O iák to lego serce, więc kontentowało!
 Ani mu się pochwały Inszey, kiedy chciało.
 Wtey on sobie smakował, która cnota daie,
 Y ktorey to nieprawość, złym poczuć nie daie.
 Ale się zapominać nie chciał, wtakim smaku,
 Y nie tylko ztąd pychy, nie dawał poznaku,
 Lecz sobie swoje błędy, ná myśli przywraçał,
 Zeby pychy passye, w sercu swym wywraçał.
 Iáko gardził więc Ludzie, iáko się wynosił.
 Zdziwem, że pyszne serce, y łaskawe noził.
 Raczey chwały, Minerwie, swoje przypisował;
 Tyś to wielká Bogini (często wykrzykował)
 Ty, coś mi to Mentora, za Mistrza przydała,
 Ktoraś krnábrna náture, we mnie poprawiała,
 Madra lego náuka. Tá teraz spráwuie,
 Ze uznais swe błędy, gdy się poprawuie.
 Ty Impet y passye strzymuiesz wodzami,
 Ty litość nad rannemi daiesz Zolnierzami,
 Y smak w takiey usłudze, y w takiey pochwale,
 Daiesz, Bo bym bez ciebie, nienáwidzon cále,
 W woysku wszystkim zostawał, y bez ciebie dawno,
 Bylbym dziećie bez Mátki, bez podpory iáwno.
 Philoktet y z Nestorem, bardzo się dziwili
 Odmianie Telemaká, gdy ná nią pátrzyli.
 Ze tak prądko uprzeymym, cichym, y uczynnym.
 Łaskáwym, y usłuźnym, widzieli go Innym.
 Ták, że go, co był przedtym, y nie poznawali,
 Ale naybardziej nad tym, ci się dziwowali:

Ze tak wielkie stáranie, o pieknym pogrzebie.
 Hyppiasa, sam czynił, co zginał w potrzebie.
 Sam bowiem poszedł na plac, y z pomiędzy trupá,
 Wyniosł udeptanego, krwawego tulupá.
 Wylewał łzy nábożne, nad zabitým ciałem,
 Wiesz [mowiac] wielką duszo! iák cię szacowałem;
 Prawda, że twoja pycha, nas była zwądzila,
 Ale to były, młodych nas, Impetow dzieła.
 Wiem, iák siła wybaczyć potrzebá młodości!
 Zylibyśmy w przyjaźni byli, y iedności.
 Zgrzelżyłem y ja, Czemuz! teraz go bierzecie
 Bogowie! y w tak godnym, y tak młodym lećcie.

Potym, kazał Telemak, wonnemi wódkami
 Obmyć ciało, y swemi stawiał Zolnierzami
 Stos drew; już Sosny wala, Topole y Demby;
 Te stare borów dzieci, co na wiatry zamby
 Ukazują; Te mowie; z gory obalone,
 Nad Galezem, cna rzeka, w oboz są wniesione.
 Sztucznie ten stos składaia, y na kształt budynku,
 Dla wieczney chwały duszy, á ciała spoczynku.
 Pokazuje się płomień, czarny dym wynika,
 Serce Lacedemonow, żal frogi przenika.
 Ktorzy to, małym krokiem, pod stos podstepują,
 Spuszczona bronia żal swoy, na twarzach malują.
 Y co dzikości pełne były Ich więc oczy,
 Teraz każdy z nich, łzami ciężkiemi się moczy.
 Na końcu Ich Pherycyd szedł, nie mniej łzami
 Przycisniony, iako się troszczący żalami.
 Nie mógł znieść ten to stárzec, że co go wychował,
 Przeżył go, y że będzie swego ucznia chował.
 Od śmierci Hyppiasa, snu nie znał, iedzenia,
 Rece wznosił do gory, ledwo tchnął z leczenia.
 Drżącym krokiem, za pompa całą postampował,
 Sam nie wiedząc kedy szedł, á żal go hamował.
 Usta swoich nie otworzył, á sercem ściśnionym,
 Lamentu dopomagał szczerze woyskom onym.
 Ale gdy już obaczył stos, już goreiaczy,
 Wdesperacyi wołał, tam blisko stojący:
 Y już cię Hyppiasie, nigdy nie obaczę,
 A sam żyję, y tylko darmo twa śmierć płaczę.

M m m

Iam

Iam ci to śmierć tę ządał, kiedym cię nauczył
 Lekce ważyć postrzały, y w woynem cię wuczył.
 Iam się Spodźiewał, żeś ty miał ostatecznie duchy
 Moje zebrać, że zamkniesz oczy me! Otuchy.
 O Prożne moje! O wy! okrutni Bogowie!
 Zebym przeżył Hyppia, dalsicie mi zdrowie.
 O kochany moy uczniu! Już cię nie obaczę!
 Lecz Matkę twoją uyrzę! ná co biedny płacze.
 Ktora mi śmierć wymawiać twa będzie żałosna,
 Iaká nowina, Zenie twej, będzie nieznośna!
 Matka umrze od zalu! Zona od frasunku!
 Kto mię pocieszy! w żalu takiego trafunku!
 O duszo wielka! racz mię nad styx wołać z sobą!
 Niżli żyć z Ludźmi, bardziey wolę umrzeć z tobą.
 Y to też tylko żyję, abym twe popioły,
 Hyppiasie! Iza skropił, y z woyskiem ná polę.

Ciało Hyppiasowe, ná marach pokrytych
 Purpura złotem tkana, Rycerzow pobitych
 Maniera, nieśiono. Śmierć która zgaśla
 Oczy lego, cale mu wdzięku nie zmniejszyła;
 Błada twarz, czarne oczy dziwnie ozdobiły,
 Y nie mniey iak Ganimed, lub Atyś był miły.
 Rana w boku znać było, która dusza wyszła,
 Y pod berło, ciemnego Plutona, już przyszła.
 Smutny zaraz Telemak, szedł za godnym ciałem,
 Y kwiaty nań wyrzucił, swym trybem wspaniałem.
 A kiedy go ná stosie, zwykle położono,
 Y stos pochodnia smutna, frogi podpalono.
 Lecz Telemak nie wstrzymał, y z płaczu postawy,
 Zawołał: Hyppiasie! Bądźże już łaskawy!
 Nie śmiem cię przyiściem nazwać; lecz ty! duszo
 Wspaniała! odpuść zwady, co mię dotąd susza.
 Ty coś tak wielkiej sławy, twą śmiercią nabyła,
 Zazdroścze ci, żeś z życiem, biedy Ludzkiej zbyła.
 Nie mogłaś ty pieknieysza, wynieść z świata droga,
 Y Iá nie inszey pragne, tylko przez śmierć frogą.
 Niechayci styx twej drogi wiecey nie támuie,
 Niechay Pol Elizeyskich gościńiec toruie.
 Niechay pámięć ná wieki trwa twoiego boiu,
 A popioły niech leżą, we czci y w pokoju.

Ledwo,

Ledwo te słowa skończył, przerwane wzdychaniem,
 Aż y woysko krzyknęło, nie małym wołaniem.
 Żal frogi, Hyppiasa czyny, do pamięci
 Podając, miłe wzbudzał do niego, ich chęci.
 Ale niczym zaś bardzicy się nie poruszyli;
 Iako kiedy na afekt Telmaką patrzyli.
 A tenżeto [gadali] Greczyn tak zuchwały!
 Wzłości, w pyśle, w kontempcie drugich, sam tak śmiały!
 Oto teraz tak dobry, cichy, Ludzki, staie!
 Znać Minerva go mieniac, inszy umysł daie!
 Y co Oycą Uliśsa jego tak kochała,
 Znać mu z mełtwem y mądrość, y Ludzkość nādala.
 Ząprawdę nie maż daru, iak uprzejmość razem,
 Y Ludzkość przyiścielska, z mełtwem y żelazem.

A gdy płomienie ciała, y z stosem pożarły,
 A popioł zostawiły, kiedy kości ztarły;
 Telemak wonną wodką, popioły poliwa,
 Y złotey urny, kwiatem wieńczoney, dobywa,
 Wnią zebrane popioły iak depozyt drogi,
 Do Phallanta odnosi. Ktorego ból frogi,
 Zran y z żalu, położył na śmierci pościeli,
 Tak, że go za bliskiego zeyścia z świata mieli.

Iuż Transmophil, Nosophus do niego Posłani
 Od Telemaka, dobrze opatrzyli rany;
 Y duszę wychodzącą prawie, zatrzymali;
 Nowe siły y duchy w sercu odradzali.
 Odwilżał te, które już w pol uwiedle były,
 Drogi balsam, przechodząc po krwi, y przez żyły.
 Prawda, słabość śmiertelna już ustępowała,
 Ale boleść ostrzeysza, z żalu powitała;
 Dopiero strate Brata poczał czuć mizerny.
 Ktorey nie znał, z słabości, do tych czas niezmierney.
 Ach na coż tym stąranie, przywracać mi życie!
 Ktorebym wołał predkie, y letkie dobićie.
 Chce się iść za mym bratem! Hyppiasie bracie!
 Widziałem śmierć twą w oczach! godziś się! po stracie
 Takiej, mi życie! Ozdobo kochana y miła!
 Także woyna, cie widzieć, już mnie odsadziła!
 Iuż ci swoich la żalów, więcej nie powierze,
 Ni twoich nie odbiorę, gdy mi cie śmierć bierze.

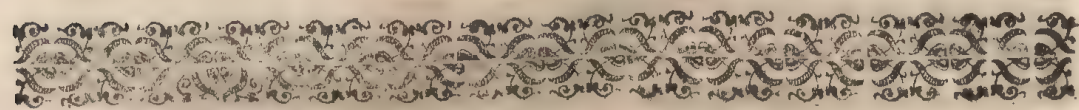
O Bogowie okrutni! wzięliście mi Bratá!
 Ale czy to nie jest sen? nie! iáwna to strátá.
 Stráciłem Hyppiasá; ále kiedy żyje,
 Nie umrę, áż śmierć, we krwi twych záboycow, zmyje.
 Twoiey duszy ofiarę, z Adrašta uczynię,
 Albo on twá krwá zmyty, albo moia zginie.
 Gdy Phalant temi słowy, gorzko lamentował,
 Doktorowie go proszą, by zdrowia nie psował.
 By żal alteracyi, ranom nie przydawał,
 Y przeszkody Lekarstwom dobrym, nie zadawał.
 Wtedy właśnie, Telemak przychodzi do niego,
 Áż passye przeciwné uderzą ná niego.
 Gniew zá to, co się stało świeżo między niemi,
 Z zalem, że Bratá liczy między umarłemi;
 Tu zaś wdzięczność, że życie był Telemakowi
 Winien, kiedy go wydarł z rak był Adraštowi.
 Ale kiedy obaczył urnę, w rękach Iego,
 Wypuścił cugle żalom, y Iżom serca swego;
 A nie mogąc przemówić, ścisnął Telemaká,
 Y chlipając rzekł słabo: O cnota to iaká!
 Twoia, Synu Ulissa! ta gwałt we mnie czyni,
 Ze cie kochac już muszę, zapomniawszy winy.
 Reszta życia moiego, które to już gaśnie,
 Winienem ci; lecz więcej, winienem ci właśnie,
 Ześ wyniosł ciało Bratá z pobojowiska,
 Ze krukóm się nie stały, z onego pastwiska.
 Bez ciebieby on nie miał pogrzebu słusznego,
 Y dusza musiałaby błądzić w pieklach, Iego.
 Od Charona nad Styxem, byłby odepchnięty;
 A teraz już rozumiem, między święte wzięty.
 Czy trzebaż, ábym winien był temu tak siłą?
 Którego mi osobá była tak nie miła.
 Bogowie mu nadgroźcie á mnie uwolnijcie,
 Kiedy mi tak obmierza już się stało życie.
 A ty zaś Telemaku, żebyś sławę pełną
 Miał, pogrzeb mie iak Bratá, w uczynność zupełną.
 Wte słowa Phalant umilkł, zalem przytłumiony,
 Bolem y zalem słaby, prawie zwyciężony.
 Telemak nic nie mówił, áż sobie odpocznie,
 Stał tylko; alic Phalant Urnę nie odwołcznie

Wziął od niego, łzami ją skrapia, y całuje.
 O! wy drogie popioły! (znowu lamentuje)
 Kiedyż moje, zwałszemi się też pomieszza!
 Czemuż mi Hyppiasie! iść z toba nie dają!
 Poyde, poyde, za Tobą! á nas obu Bráci,
 Pomści się cny Telemak, y za nas zápláci.
 Tym czasem, co raz lepiey Phalant ozdrowicie,
 Co się wszystko lekami tych dwu Ludzi dziecie.
 Ktorych to animując Telemak uczynny,
 Nie odstąpił od łózka, iakby był powinien.
 Woysko zaś, tey dobroci w nim, się dziwowało,
 Nie mniey za cud uczynność, po Ich zwadzie miało,
 Nie mniey to, niż odwagę, y radę sławiono,
 Ktora wygrał partya, już prawie stracona,
 Przeciwno Adrastowi. Telemak tym czasem,
 Z takim żył, nie strudzony, w obozie niewczasem,
 Tak wojenny Tryb znosił, że sypiał nie wiele,
 Y to snem przerywanym, bo w ubranym cieie,
 To przez tych, co ustawnie nieśli wiadomości,
 To sam y wdzień y w nocy, dla żywizcy czuyności,
 Rewidując kwatery, y obchodząc stráže,
 To gdy iednych sam słucha, to gdy drugim kaze.
 Nigdy w iedną godzinę, iednych nie nawiedzał,
 Aby z nich, kiedy przyjdzie, żaden nie przewiedział.
 Okryty prochem zawsze, powracał y potem,
 Do namiotu swiego, z trudem y z kłopotem.
 Iadł mało, y po prostu; á żeby Żołnierze
 Cierpliwości nauczył, suchar często bierze.
 Bo y woysko, o male, tam mając żywności,
 Trzebá było, przykładem wieść Ich, do skromności.
 Ciało iego tym życiem, ani osłabiało,
 Ale raczey, męzkiego wigoru nábrało.
 Delikatność już z Twarzy, prawie ustąpiła,
 Ale maska y twardsza płeć, w nim się czyniła.
 Y członki się zmocniły; z młodziana ślicznego,
 W meza się już obracał, hożo on, silnego.
 A tym czasem zaś Adrast, nadtraćiwszy Ludzi,
 Za górę Aulon skrył się; lescze w sobie budzi
 Nadzieie poprawienia. Różnych oczekiw
 Posiłkow, y spokojnie sobie odpoczywa.

N n n

Aby

Aby znowu uderzył ná nieprzyjaćiele,
Różne robi koncepta, y Imprezy ściele.
Podobien Lwu głodnemu, kiedy mu pasterze
Odbija łup porwany, znowu się doń bierze.
Y lubo w lasy ciemne, idzie, y w iaskinie,
Zeby ostrzy, aż znowu zwycięży, lub zginie.



TELEMAKA X I E G A O S M A

SUMMARYUSZ KSIĘGI OSMEY

Telemak strąsznemi snami wzru-
szony y pomieszany, które go
strąsza, iakoby Ociec Iego u-
marł: Dowiaduje się, że ztam-
tad gdzie był, nie daleko jest
Iaskinia; którą wniść może do
piekłów. Odwaga się tam iść,
y bierze z sobą dwu Greków w kompania.
Przybliżaia się do tey Iaskini, y odstepuia Te-
lemaka, lekaiąc się mieysca tego. Sam Tele-
mak wchodzi wte Iaskinią, y przychodzi nad
brzeg czarny, kędy załtaie Charona, który go
przyjmuie

przyjmuie, mając w swojej łodzi, Jednego okowanego Krola Babilońskiego. Telemak przychodzi do Piekłow w ten czas, kiedy Minos sadził Jednego Krola Philosopha, który nic złego nie uczynił, ani też dobrego, dla miłości Bogow. Telemak potyka się z Pigmalionem y Astarbą, którzy sobie wzajemnie wymawiaia. Znayduie sławnych winowaycow, przy różnych Ich mekách. Przechodzi z tamtad na pola Elizeyskie, gdzie zastaie Sefostrę w gaju kwiatow, y Phisistrata świezo zmarłego. Na koniec, Arceſius Ociec Laërta, a Pradziad Iego, poznaie krew swoją w nim, y podobieństwo Familiei na twarzy; zatrzymuie go, y powiada że Ulisses nie umarł, y że go obaczy y oycyznę swoją. Cieszy go, y daie mu do podziwienią, szczęścia niektore pol Elizeyskich.

Telemak, w ten porządek, gdy woysko wprowadził,
 O pewney sam Imprezie, y myślił, y radził.
 Chcąc ią przywieść do skutku, tak ią w sobie chował,
 Że żadnemu z swych wodzow, iey nie rewelował.
 Sam zaś, od nie małego, sturbowany czasu,
 Przez sny o Oycu swoim, nie miał nigdy wczasu.
 Bo Obraz Ulissesa, w każdej nocy końcu,
 Gdy lutrzenka rozgania noc, przodkuiać słońcu,
 Zawsze mu, senna mara, różnie wystawiała;
 Pod czas mu go nągiego, wpuszczy málowała,
 Jak by na łacie Ociec stał, ow Ociec miły.
 A Nymphy go, sukniami swoimi, stroiły.
 Pod czas mu się zaś zdało, że w złotym pałacu,
 Ludzie w kwiat uwienčení, mając go wpuł placu,
 Z wielkim gustem y dziwem, słuchali onego.
 Często go widział przez sen, bankietuiacego,
 Gdzie rokoszy, potrawy wyborne, czyniły,
 Y muzyki dawały koncert, dziwnie miły.

Telemak się ocknawszy, snem się takim smucił;
 O mój Ojczy kochany (tak sobie z tad nucił)
 Wolałbym w snach strąszenieyszych, niż cię w pieknych zoczyć,
 Bo z tey muszę postawy, smutne myśli toczyć.
 Rozumiejąc żeś umarł; y że twoja dusza
 Bogowie koronują (czym się smęcić muszę)
 Y że ta chwała, w ktorej, przez sen cię widuję,
 Jest nadgroda twej cnoty, y z tad się frasuje:
 Ze cię widzieć nie przyjdzie, o Ojczy kochany!
 Nie będziezże odemnie, wieccy już widzany!
 Y ścisnąć cię nie przyjdzie, wierny Bogów sługo!
 Z takim niebezpieczeństwem, szukawszy cię długo,
 Y jużże ja z twoich ust, nie usłyszę słowa!
 Z których nigdy nie wyszła, tylko mądra mowa.
 Y jużże! y twoich rąk nie będę całował?
 Ktoremiś pyszna Troje, walecznie zwojował?
 To już te twoje ręce, Mátke mą uboga,
 Od Importunnych gachow, uwolnić nie mogą.
 Bogowie! Ojcu memu, całę nieprzyjaźni,
 Te mi sny posyłacie, dla większej bojaźni.
 Wydzieracie namiętność, życie wydzieracie,
 Już mi pono, o pewnej śmierci, upewniać.
 Wierzę poyde y do piekła, choć z strachem zginienia,
 Szukać będę tam lego, y duszy, y cienia.
 Thezeusz, zła Impreze, na piekielne Bogi,
 Lubo miał, y uraził ich majestat frogi,
 Przecież wyszedł; ja zaś tam, idę z pobożności.
 Wyszedł z tamtąd Herkules, ktorego dzielności,
 Lubom nie rowien, jednak, za jego przykładem,
 Godzi się poyść, y kroku, Bohatyrskim śladem.
 Orpheusz, przed Plutona, niezbłaganym tronem,
 Wyspiewał Eurydike swą, płaczliwym tonem;
 Jam bardziej, niż Orpheusz, godzien zlitowania,
 Bo strąta jest większego, moja szacowania.
 Kto bowiem, młoda Zono, może komparować!
 Z Ojcem moim, co go nikt nie mógł dość szacować.
 A zátym, idźmy śmiało, mężnie go szukaymy,
 Y jeżeli potrzebą, w pracy umieraymy.
 Czegoż się śmierci mam bać! kiedy cierpie! Życia
 Dobrego, nie w młodości nie znając, zpowiada.

Pluto.

Plutonie! Proserpino! Bogi w pieklach skryci!
 Sprobuje wnet, leśliście są tak nie użyci!
 Oycze moy! ktoregom ja szukać, świat zbiegał;
 Obacz, czyś się Państwa śmierci, nie ubiegał.
 Leżeli mi Bogowie odmowia, na świecie
 Widzieć cie! To przynajmniej w cieniu, obacz cie.
 Tak mówiąc cny Telemak, pościel łzami rosi,
 Porywa się, y troski na światło wnośi.
 Rozrywa światłem zale, co mu sny nabiły,
 Lecz darmo, tkwi iak strzała, Ociec w sercu miły.

Nie daleko obozu, było miejsce sławne,
 Iaskinia Acheronta, mając Imię dawne;
 Bo przez nią, na Acheront, rzekę pieki, schodzono,
 Ktorey y Bogow samych, wspomnieniem strąszono.
 Wiec tamtedy Telemak, spuścić się zamyslił,
 Kiedy o Oycu swoim, ustawicznie myślił.
 Miało tam na wierzchołku, zbyt wyłokiej skały,
 Iak kiedy ptak na drzewie, gniazdo miewa mały,
 Leżało; a pod spodem, tej gory straszliwej,
 Iaskinia była, ktorey Lud się bał trwożliwy.
 Pasterze odganiał swe trzody z daleką,
 Bo dymy wypuszczała smrodliwa pałczeką;
 Dymy Styxu straszego. A w koło pieczary,
 Nie roś kwiat, ani trawa, przez wieczne pożary.
 Zephyru ani pyta, Wiosny y leśieni,
 Iak Powietrze okropne, tak ziemia niemieni,
 Zawsze straszna y sucha, tylko z ciernia krzaki,
 Y Cypryssy, śmiertelnych nie płodności znaki.
 Y o podal, ni Ceres, ni Bachus obfity,
 W darach swoich owocow, nic nie był użyty.
 Smutne z źródeł Neiady, wody nigdy czyste
 Nie lały, tylko mętny Potok, nie zroczyły.
 Ptak nie miał gdzie y ucieść, natakich bodakach,
 Ani śpiewał, przy takich, smutku, strachu, znakach,
 Na wolniejszy powietrze, miłosne prąszęta
 Lećiały, tylko krucy wte biegli zakręta.
 Sowa, krzykow fatalnych, tam tylko dobywa,
 Ani się Pasterz, z swoją piszczałką, odzywa.
 Gorzka trawa pałone, powracała trzody,
 Byk smutny, baran nędzny, y zwierz bez wygody.

Z tey to tedy Iaskini, dym czarny wychodził,
Ktory często, o puł dnia, noc ciemna przywodził.
Ludzie, w koło mieszkańcy, ofiary dawali,
Często Bostwom piekielnym, ktorych się zbyt bali.
Ale te, y ofiarą wždy nie ublagane,
Zarazę sprawowały, na serc Ludzkich rane.
Kiedy jedni mrzeć muszą, a ci, co zostali,
Stratę swoich, gorzkiemi łzami, oplakali.

Tam tedy to Telemak, ciemnego mieszkánia
Plutona, iść się szukać; do czego stáránia
Minerwa przyłożyła, co go pilnowała,
Y wprzód łaskę Plutona, iemu ubłagała.
Y sprawiła, że Iowisz nakazał do niego,
Przez Merkura, co bywa codziennie u niego,
Wydając pewną liczbę Ludzi, Achronowi,
Zeby nie bronił, y był rad Telemakowi.

Telemak się z obozu, wtym w nocy wykrada,
Po Mieśiacu swe kroki, ku Iaskini składa.
To Bostwo co mu świeci, jest Planeta w Niebie,
Na ziemi ona Dyana, Hekata zaś siebie,
W Piekło zowie. Tey y to on, modlitwami wzywa,
Wysłuchany zostać, choć to rzadko bywa.
Bo ta na serce iego Bogini weyjrzała,
Ktorem miłość Oycowska, pobożna władała.
Ledwo doszedł Iaskini, aż zaraz usłyszał
Grzmot, ryk, y iakoby już, piekielny kray dyszał.
Ziemia drzy pod nim, Piorun, z Błyskawicą froga,
Nie zwyczajną, Młodziana nabawiaia trwoga.
Zimny go pot oblewa, gdy ledwo nie mdleie
Męstwo go utrzymuie. Woła co się dzieie!
Wielcy Bogowie kończcie, za dobry znak biorę,
Gdy z rąk waszych, bez szkody, strach mam y podpora.
To mówiąc, wskoczył chyżo, w chmarę dymu gęstą,
Od ktorey zwierz uciekał, y z niey zdychał często.
Ten dym zniknął, y ow smrod ustał zarazliwy,
A Telemak wszedł w Kryptę, jeden y szczęśliwy.
Dwu Creteńczykow było, z obozu znim wyszło,
Y z nim aż ku Iaskini tey Fatalney przyszło;
Ale w Kościele bliskim, pułżywi zostali,
Wota za Telemaka, Bogom oddawali.

Telemak, z mieczem w reku, przez dym się przedziera,
 Y w ciemnościach daleko, coś światła użiera.
 Uwaga umbry, letkich dusz, tam latających,
 Ogania się swym mieczem, mija nieszkodzących.
 Aż w krotce y nad Rzeką smutną, zgniłą, stawa,
 Gdzie moc dusz niezliczonych, na brzegu zastawa.
 Te to są, co pogrzebow na ziemi nie miały,
 Ktore Charon okrutny odgania zstarzały.
 Ktorego wieczna stąrość, czyni nie użytym,
 Gdy ie odgania, stawa Telemak zaś przytym.
 Ale go zaraz Charon, do łodzi przyjmuie,
 Tam się on iedney umbrze, dużo przypatruie.
 Ktora to bez przestanku, á mocno wzdychała.
 Y okazyła, o co? w spytanie mu dała.
 Tá umbra tak odpowie: Iam Krol Babilona
 Był na świecie, á Imie Nabopharząóna,
 Pyszne miałem, na ktore, wszystkie wschodnie Państwa
 Drżały. A Pycha przyszła, do tego zuchwałstwa
 Zem iák Bog, adorować kazał, w Babilonie,
 W Kościele, w którym Posąg moy, wżłotey Koronie
 Stał; y przed którym kądzić musiano, w dzień, w nocy,
 Nikt mi się nie sprzeciwił, áby moiey mocy
 Nie sprobował, y káry; káżdym dowcip siłił,
 Aby nowa roskosza, wiek moy był pośilił,
 Ieszcze młody y silny. Ach! com nie zamierzał
 Zá roskoszy w mym życiu! Lecz tá, com iey wierzał,
 Y com iá kochał Zonę, zem nie Bog dowiodła,
 Kiedy mię truiac, o śmierć tak nagłą przywiodła.
 Wczoray mię, z Pompa wielka, Pansko pogrzebiono,
 Wżłotey Urnie, popioły y moie złożono,
 Y wrzekomo plakano, y targano włośy,
 Ale to nie prawdziwe, y zmyśłone głośy.
 Nikt mię szczerze nie płácze, áni mię żáluie,
 A tu już od sumnienia, swe zgryzoty czuie.
 Telemak, widowiskiem takim, (rzekł) dotkniony,
 Byłżeś kontent prawdziwie, zá twoiey Korony!
 Y Páństwem twym szczęśliwy? miał żeś pokoy miły!
 Bez ktorego nie roskosz, wszystkie serca siły
 Ustáwiała, bez niego! Babilonczyk rzecze:
 Y niewiem co to zowiesz; To wiem, że na świecie,

Madrzy, ten Pokoy waza, iák dobro iedyne,
 Alem go nie znał. Owłzem (wyznawam ma wine)
 Serce moie ustawnie, pałało pragnieniem,
 Tego zaś dostąpiwszy, predkim uprzykrzeniem.
 To, boiaźnia, nádzicia, ustawnie się chwiało,
 Y chociem go nasycal, zawsze mu się chciało.
 Chciałem się już upoić, swemi passyami,
 Stárałem się zabawiać, dzień, noc, roskoszami,
 Ale y moment ieden, kiedy ich nie było,
 Chciwość, albo tesknota gorętsza czyniło.
 Takiegom iá Pokoju, ná świecie zazywał,
 Inszy la mam z' baykę, ánim la go miewał.
 Tych stráconych dobr płacze. A to gdy powiada
 Ow Krol, okrutnie płacze, y w łzach się rozsiada.
 Iáko prozaiak, roskosza brzydka, rozmiakczony,
 A ná nieszczęście, iák Mąż, nie nie utwierdzony.
 Przytym Krolu zaś, kilku niewolnikow było,
 Ktorych, ná Pogrzeb iemu, Tyrańska to siła
 Porznięto. Tych Merkurus, z Krolem, Charonowi
 Oddał; á taką dając moc Niewolnikowi,
 Iaką Krol miał nad niemi, zá żywota swego.
 Ci trzymali w łańcuchu, już ukowanego.
 Ci Nabopharzáona, gdy się już nie boia,
 Złości mu wyrządzaia, y nie godnie stroia.
 Ieden mowi: Azazze, my Ludzie nie byli,
 Iak ty! y nie taż droga, ná świat przychodzili!
 Ześ się Bogiem ty czynił! ná to nie pamiętny,
 Co cie teraz potkało! o biedny y smętny!
 Drugi rzekł: Dobrześ trzymał, ześ nie był Człowiekiem;
 Boś nie Ludzkie był monstrum, próżnością nie mlekiem
 Karmiony. A zaś Inszy: Gdzie zaufniczkwie
 (Rzekł) twoi się podzieli! nikt Bogiem nie zowie;
 Bo niema co wziąć z ciebie, anić dać niedzniku!
 Nie ma co, niewolnikow twoich, niewolniku.
 Bogowie byli troche, z kára twa leniwi,
 Ale teraz uznajesz, że la ná cie żywi.
 Ná te ciężkie wymowki, ow Krol utrápiony.
 Rwał włosy, wył, matal się, w káżdę ciężko strony.
 Albowiem, Niewolnikom, Charon rozkazywał:
 Trzymaycie go, by wstydu z zalem nie ukrywał.

Niech

Niech wszystkie umbry Styxu, ná to tu patrzaia,
 Ze Bogowie, Tyrannom pyśnym, káre dáia.
 Ieszcze to nic, y tylko początek, twej káry,
 Wiecey cie czeka, kiedy, Minos Sądzia stáry,
 Sądzić będzie. Wtey mowie, Charona dżikiego,
 Łódź do brzegu przybiłá, Państwa Plutowego.
 Wszystkie umbry przybiegły, pátrzyć ná te dżiwy!
 Ze, pomiędzy umbrami, płynął człowiek żywy!
 Ale kiedy Telemak, z tey Łodzi wychodzi,
 Iák cień przed światłem, przed nim, ták káżda uchodzi.
 Charon, Telemakowi, już z wesełszá miná.
 Rzecze: kiedy Bogowie, co po świecie slyna,
 Tákiebie ukochali, młodzieńcze szczęśliwy,
 Ześ w ten, nocy kray wieczney, zaszedł, y strážliwy,
 Ktorego nikt z żyacych, ieszcze nie nawiedził.
 Idźże, gdzie wyrok káże, ábyś wszystko zwiedził.
 A podz tá droga ciemná, ná páłác Plutona,
 Tam go znajdziesz siedzacy, ná wierszchołku Trona.
 A on ei sam, zupełne náda pozwolenie,
 Ná mieysc táiemnych (Iá sam milcze) nawiedzenie.
 Telemak rzesko poszedł, á ná wszystkie strony,
 Lecace umbry mija, których niezliczoney
 Mocy, sie przypatruie, piaskow przechodzace,
 Morskich ziarna, y których biegi lataiace,
 Nabozny strach w nim czynia, á głuche milczenie,
 Strážne temi mieyscami, czyni zadumienie.
 Gdy do Rezydencyi strážney, przystepuie,
 Nie ubłaganego Pluta, wiekszy już strách czuie.
 Włosy wstáia, y pod nim drża dużo kolana,
 Głos ustáie, y ledwo mowa zrozumiana.
 Przecie wyrzekł te słowa: O! Ty Boże strážny!
 Widzisz, iák tu z miłości zszedłem Oycá włásney,
 Syn Ulissa nieszczesny, bym sie mógł dowiedzieć!
 Czy umarłym już, w twoim Państwie musi siedzieć,
 Czy po świecie sie blaká! raczże go pokázáć,
 Y áby mie puszczone w tve Państwa, roskázáć.

Pluton, ná Hebanowym siedział tronie, strážny,
 Sam był blady, oczy miał ostre, diabeł włásny.
 Pátrzyć mu ná człowieká nie miło, żywego,
 Tákieako, ptástwom nocnym, wzrok światlá dziennego

Szkodzi ; á Proserpina o bok mu siedząca ,
 Oczy ná nią obraca , miłość gorejąca ;
 Uroda ząwſze nowa , od Bogow zdarzona ,
 Od Męza iey , ſurowość , była w niey złączona .
 Pod Tronem śmierć zaiadła , w nogach mu leżała ,
 Y oſtrzyć koſę ſtráſzna , ſwa , nie przeſtáwáła .
 Koło niey zaś y Tronu , te monſtra latały :
 Czarne fraſunki , y rząd ſuſpicyj niemáły .
 Okrutne niedowiarſtwa , z niemi pomſty krwawe ,
 Nie ſłuſzne nienáwiſci , záiadłoſci żwawe .
 Skepſtwo , ſamo ſię żrace , y deſperacya ,
 Co ſię ſwemi rękoma drze , gryzie , zábija .
 Pycha niezhámowana , co wſzystko wywraca ,
 Zdrada , ktorey uſługa , we złe ſię obraca .
 Zázdrość , co koło ſiebie , rozlewa trućizne ,
 Y zrze ſię , kiedy ſíly nie ma , ządać bliźne .
 Bezbožnoſć , ktora ſobie ſama , przepaſć robi .
 Y nic , tylko Himery ſwoich myſli , robi .
 Tamże były y ſpektra , okrutne ſtráſzydła ,
 Phantaſmy , co ná żywych záſtáwíáia ſidła .
 Sny okropne , y ſmutne , á gorſze nieſpania ,
 Te wſyſtkie ſtráchy , Ludzi , biednych , y káránia ,
 Obracały Tron Pluta , iák pilni Dworzanie .
 Napelniały okropne , Plutona mieſzkánie .
 Ten tedy , Pluton ſtráſzny , Rzekł Telemakowi :
 Ponieważ , co żadnemu ieſzcze człowiekowi ,
 Do tad ſię nie godziło , wyrok ci pozwala
 Zgwałcić ten kray umarłych , y przyjść tu , z tak dala ,
 Iżdzże zá twoim ſzczęſciem , nie dowieſz ſię u mnie ,
 Czy twoy Oćiec ieſt żywy ! lecz poſtać rozumnie .
 Wſzak Twoy Oćiec , był Krolem ; wiec Krole z Krolámi
 Káre znofzą ; á zaś , co dobrymi Pánámi
 Byli ná ſwiećcie ! Ci ſa w Elizeyſkim polu ,
 Dni trawia nie ſmiertelne , nie znaiacy bolu .
 Lecz do tych pol nie przyjdzieſz , chyba przez Tártará :
 Spieſz ſię wynieſć z Pánſtw moich . Ták mu rzekła mára .
 Wtym momeńcie , iák Pták , moy Telemak ſkoczył .
 Leći przez dzikie pola , áby Oycá zoczył ,
 Y áby , złey Tyranna twarzy , był naydali .
 Ktorego ſię umarli , iák y żywi báli .

Y Prędko u Tártará stanał, sam czarnego,
 Gesty dym czarny, buchał zaráz z ktorego.
 A ten dym, straszna rzeka, płomieniem płynąca,
 Pokrywał, w ktorey z ognia potoki się maca.
 Tá zaś rzeká ognista, tak strasznie huczała,
 Ze iey słuchać, nie można, ziemia od niey drżała.

Telemak, potajemnie, od Minerwy swojej
 Ubespieczon, wte przepaść, rzucić się nie boi.
 Te przebywszy, zaráz moc Ludzi podłych widzi,
 Z ktorych każdy, uczynkow przeszłych swych się wstydzi.
 Ci to byli, ktorzy to, Bogaćtw nabywali,
 Przez zdrady, y oszusty, ktorych zażywali.
 Tamże widział, bezbożnych Hypokrytow siła,
 Ktorem tylko pobożność, w swej postaci była,
 Ale tey, iak pretexts tylko, zażywali,
 Zeby swa ambicya, przez nią nasyćali.
 Ci Ludzie, ktorzy cnotę, dar od Bogow dány,
 Zmyślali, aby nią Lud, bywał oszukány.
 Tamże byli kárani, y tácy Synowie,
 Ktorzy Oycom, y Mátkom, wzięli z życiem zdrowie.
 Zony, co we krwi Meżow, umazały ręce,
 Zdraycy swojej oyczyzny, wiedney byli ręce.
 Ale Hypokrytowie, byli potępieni,
 Y większa kara, á to ztey przyczyny, wzięni:
 Bo oni, że sami są złemi, nie dość mają,
 Ale cnotą fałszywą, drugich oszukają;
 Ze się ufać prawdziwey, niechce żadna miara,
 Dla tego Ich Bogowie, ciężka meczą kara.
 Ze się z nich, że tak rzekę, y zli naygrawali,
 Ze ci cnotę naywyższą, w kontemp obracali.

Zá tymi, widział drugich, ktorych świat nie sądzi,
 Bydź tak winnemi, bo się opinią rządzi;
 Ale Ich, Boska pomsta, karze bez litości,
 A ci są, ktorzy żyli przedtym w niewdzięczności.
 Łgárze, szalbierze, także podchlebcy zdraclwi,
 Co niecnoty chwalili, kiedy byli żywi.
 Także y Cenforowie, ktorzy złorzeczyli,
 Y ná cnotę prawdziwą, złym okiem pátrzyli.
 Ktorzy sławę, niewinnie, Ludziom odbierali,
 Y ktorzy to, niewdzięczność Bogom oddawali.

Ci naygorzey meczeni; do tych Minos mawiał,
 Kiedy Im Boską krzywdę, surowo wymawiał:
 Kiedy kto, Oycu swemu, niewdzięcznym się stać,
 Za monstrum ten na świecie, u Ludzi się dać;
 A czegoż godzien taki! który Bogom wiecznym,
 Y wszystko nam dającym, stać się niewdzięcznym!
 Wszak Im wiacey niż Oycu, jesteśmy powinni,
 A za tym ci bezbożni, większey kary winni.
 Tam, sędziów trzech piekielnych, że blisko siedziało,
 Przysłuchać Ich się sadow Telmakowi zdało.
 A wtym, że Philosopha na ten czas iednego
 Sadzono; spytał. Co za kryminały lego!
 Obwiniony, wnet rzecze: Za co sędzić maia
 Mnie! niewiem. Niech powiedzą wszyscy, co mnie znają,
 Nicem złego nie zbroił, w tymem szczęściełożył,
 Abym był wszystkim Ludziom, dobrze się ułożył;
 Wspaniały, hojny, oraz, byłem sprawiedliwy.
 Wszystkim uczynny; zarzut wszelki mnie, fałszywy.
 Aż mi Minos odpowie: Niemasz co zarzucić,
 Strony Ludzi, lecz Bogów, coś Ich śmiał porzucić,
 Krzywdę, tu rostrząsnęmy. Byłeś sprawiedliwy
 Do Ludzi, co nic nie są; lecz wiary prawdziwey,
 Y wdzięczności do Bogów, iak żywo nie miałeś,
 Wszystko twoiey godności, nie Ich przypisałeś
 Łasce, któraś od nich miał, Ich darów zażywał,
 A swoją to sam cnota, w sercu twym nazywał.
 Zgoła sam Sobieś był Bog, czego cni Bogowie
 Znieść nie mogą, ktorzy nam y życie y zdrowie,
 Na swoją chwałę dają, y na to stworzyli,
 Byśmy Ich, a nie siebie, na tym świecie czcili.
 Szukayże (jeśli możesz) sam poćiechy w sobie.
 Zapomniałeś pokładać wszystko w Ich ozdobie,
 Otoż cię zapomnieli Bogowie, y słusznie,
 Kiedyś się w sobie, nie w nich, sam kochał tak dusznie.
 Ludzie, którym iedynie, podobać się chciałeś,
 Rátować cię nie mogą, od ktorych odstąłeś.
 Sameś sobie bałwanem był, zostańże z sobą,
 A naucz się, y Ludziom, bądź wprzykładzie, proba:
 Ze y prawdziwey cnoty, wspominać nie trzeba,
 Gdzie y miłości Bogów niemasz, y czci Niebá.

Twa

Twa cnota, ktora Ludzkie, zamydlalá oczy,
 Teraz sie. sluszna prawda, ná wieki zámroczy.
 Bo Ludzie, o występkach, y o cnotach sadza
 Tak, iak Ich dolegaia, lub ich glaszczą zadza.
 Zyiaczy, sa ślepemi; lecz tu światło inne,
 Co oni chwala, to tu gania, káry winne.

Temi słowy Philozof, iak piorunem tkniety,
 Dopiero siebie poznał, z tad žal niepoiaty.
 Owe mysli wspaniale, owo sercá móstwo,
 Y zady y złych passyj, co miewał zwycięstwo,
 Zgoła wszystko, co mniemał bydz w sobie dobrego,
 Wszystko to zá nic uznał, z rozumu swiego.
 Iuz sadow Ludzkich próżność, sam dopiero widzi.
 Y co lubił kiedy żył, tym sie teraz brzydzi.
 Wszystko sie w nim wywraca, sam sie nie poznáie.
 Sumnienie do tad ciche, ná niego powstáie.
 Gryzie go, y iako sen, cnote wystawuje,
 Ktora sie, ná uczczeniu Bogow, nie funduje.
 Zá tym sie mészá, wstydzi, swe desperacye,
 Zá naywiekszą ma káre, y zá złe furye.
 Y serce, ktore do tad, nic Bogow nie znało,
 Mścić sie Bogow poczeło, samo go kárało.
 Szuka mieysc nayciemniejszyh, kryć sie przed drugiemy,
 Ale sie skryć nie może, przed zmysły własnemi.
 Światło prawdy z nim chodzi, dokuczaiac przecie,
 Ze icy nie znał kiedy mógł, y gdy żył ná świecie.
 To, co mu było miło, to go teraz mierzi,
 A co przed tym odrzucał, teraz sie go dzierzy.
 Tak wołał: Wiec ia jednych sam Bogow nieznałem,
 Ani siebie, gdy w sobie, wszystko pokladałem.
 Naywyższe dobro, co iest Bog, lekce wazyłem,
 Kiedy falszywey cnoće, głupie mądry żyłem.

Idąc daley. potyka wnet Pigmaliiona.
 W niecznośnych mękach wstydu, że go chytra Zona
 Astarbe uludziła, przez pochlebne zdrády,
 Zá co wieczne w Tártárze, on z nie czyni zwády.
 Z wściekłym gniewem, wzajemnie, swoje sobie złości,
 Wymawiaia, odkryte swe widzac brzydkości.

Potym uyrzał Telemak, owych Krolow w mękach,
 Ktorzy, złe záżywali, władzy swoiey wrakach.

Furya z ledney strony, zwierciadło trzymają,
 Y w nim występki, życia Ich, wystawiają.
 W którym widzieć musieli, próżność niecnotliwa,
 Pochwał głupich, y pochlebstw śmiechu godnych, chciwa.
 Twardość sercá, ná dobre Ludziom uczynienie,
 Y gnuśność w stáraniu się, o ich dobre mienie.
 Zádnych cnot nieznaiomość, boiáźń rzetelności,
 Y prawdy, á zaś miłość, pochlebney chytrości.
 Uciekanie od pracy, złego pozwolenie,
 Nie słuszne, y niewinne dobrych się strzeżenie.
 Pyche, zbytki niezmierne, zpoddanych ruina,
 Próżnych zwycięstw szukanie, choć poddani gina.
 Ná koniec, okrucieństwo łzami się palące,
 Y kármione przeze łzy nędzników gorące.
 Wto zwierciadło ustawnie, pátrzyć się musieli,
 Od monstrow stráśniejszymi, sami się widzieli,
 Niż hymera, zabita, od Bellerofona,
 Niż Chydra siedmiogłówna, iednego ogona,
 Y niż Cerber troypyski, co rzuca z paszczeki
 Zárazę, Ludzkie morzacz duchy, y powieki.

Kiedy tak, ta Furya, zwierciadło trzymają,
 Druga wszystkie pochlebstwa, w uszy Im śpiewają,
 Co ná świecie słyżeli, á zwierciadło drugie,
 Także wręku trzymają, w którym chwały długie,
 Sztucznie się wydawały; y iak był fałszywie
 Chwalony wżyciu, tak fałsz widział w nim prawdziwie.
 Tak przeciwne zwierciadła, y prawdy odkrycie.
 Było tym próżnym Krolom, ustawne zabicie.
 Ale to uważano; że który był gorszy,
 Ten z tych Krolow, miał z pochlebstw, panegyryk sporszy.
 Bo złego, niż dobrego, gdy się bardziey boia,
 Pochlebstwa, uiać łaskę iego, bardziey stoia.
 Tych to, w gęstych ciemnicach, tylko słyhać było
 Lament, którym furye, złości, wszystko sía
 Wyrządzały, á z nich się zawsze naygrawiając,
 Y we wszystkim się Ichże woli sprzeciwiając.
 Y tak Ich confundując, iáko kiedy żyli,
 Wszyscy Im poddanemi, názbýt ślepo byli.
 Iak sobie, za żart życie Ludzkie, przedtym mieli,
 Tak się igrałką furyj, ná wieki stanęli.

Nie-

Niewolnikom, co przed tym Im, iak pśy, służyli,
Sami teraz ná wicki, poddanemi byli.
Służyć Im, z cieszkiem zalem, ci Krolowie musza,
Ktorzy Im dziwne meki zadaiac, ich susza.
Pod tą ręką Tyranską, iak pod srogim młotem,
Ieczyć musza kowalskim, krwawym zlani potem.

Uważał w nich Telemak, wyschłe, blade twarzy,
Gorzka melankolia, która sie w nich zarzy.
Czarnym smutkiem spaleni, brzydzili sie soba,
Szperność ność musieli, rowno z swa osoba,
Ani sie iey zbyć mogli, iak swoicy natury.
Ich grzechy, Im sa káry, łańcuchy y sznury.
Czyny Ich, iak mазzkáry, Im sie pokazuia,
Strafza Ich ustawicznie, y Tyrannizuią.
Chcieliby skuć śmierci, ná zbyć powturney,
Y ná sukurs, wzywaią Smierci, przez głos durny.
Zeby Im pamięć grzechow pełnionych odigła;
Wzywaią y przepaści, aby Ich połkneć,
Chcąc uyc prawdy promienia, która ich tam páli,
Ale pomstá, po kropli, dogara Im daliy.
Prawdy, ktorey niechcieli, niezmiernie sie wstydzą,
Gdy ia w oczach stoiąca, zawsze niedzni widza.
Widok Iey, Ich przebija, wzdłuż y w przek, rozdziera,
Piecze aż do wnetrzności, á nikt nie umiera.
Iako kruszec, gdy wpiecu, będzie rostopiony,
Nie spali go, lub ogniem wszystkim rozzarzony.
Tym ogniem pomścicielem, Ich sie dusza topi,
Duszy nie spala, lubo strasznie sie toropi.
Wszystkie kluby żywota, z gruntu w nich wyraca,
Ale go przez śmierć przecie, nigdy im nie skraca.
Człowiek sie sam rozdziera, á ná ocmgnienia
Nie zna ani pociechy, ani spokoienia.
Tylko sie karmi złością, ná siebie samego,
Co moment umieraiac, bez końca żadnego.

Miedzy tym widowiskiem, ná co włosy wstáia,
Telemaka, ciekawe oczy, uważaią
Dawnych Krolow Lidyjskich, ktorzy nie myslili,
Tylko zeby wroskoszach, á bez pracy żyli.
Ci Krolowie, ustawnie, tak ieden drugiemu
Wymawiali, zły Oćiec, Synowi też złemu:

Ażazemci w stárości, nie zalecał pilno!
 Abyś moia nikczemność poprawił uśilno!
 Odpowiada mu drugi: Oycze nieszczęśliwy!
 Twój mnie zgubił ná wieki przykład niecnotliwy;
 Wuczyłem się od ciebie, pychy, nadętości,
 Y ná poddanych nászych, srogiey surowości.
 Widząc, żeś tak nikczemnie, w roskoszach panował,
 Tyś koło siebie, sroga moc pochlebców chował,
 Y mnie się też pochlebstwo, roskosz, podobalo,
 Y że zażywać ludzi iak zwierza, się zdało.
 Tylko dla swey wygody. Takem ja rozumiał,
 Com się od cie náuczył, tom nieszczęsny umiał.
 Teraz cierpisz, dla twego, ach! złego przykładu!
 Cierpisz iak ty, bez końca, y żadnego ładu.
 Do tych wymówek, ieszcze nieszczęsni się kleli
 Y láiali, iakby się pozrzec sami chcieli.
 Koło zaś głów tych Krolów; iak sowy latały
 Suspicye, y stráchy, co żyć miawali;
 Appetyt bogactw wielkich, w woynach próżna chwala,
 Y nikczemność, która się, w życiu podobala.
 Te się mścza za pospolstwo, niegdy utrápione,
 Iako oni męczyli, męczą Ich koronę.
 Widzieć tam także było, Krola nie iednego,
 Nie tylko za złe, co sam zrobił, karanego,
 Lecz że dobrze nie czynił. Bo że nie karano,
 Y że gnusnie to prawo, jest obserwowano,
 Krolom to przypisywać. Iako gdy poddani,
 Wzbytkach, od Krolów nie są nic pohamowani?
 Y przeto prawa łamają, á Lud uciskaia;
 Za to wszystko, Krolowie odpowiadać maia.
 Ale tych ieszcze bardziey, tam Krolów karano,
 Ktorych za złych pastertzów, w życiu, rachowano.
 Co poddanych, iak owce, karmić y strzedz mieli,
 Oni Ich, y łupili że skory, y rznsli.
 Ale, to Telemaka, naybardziey stworzyło,
 Ze między karanemi Krolmi, siła było,
 Ktorych za dobrych miano, gdy żyli na świecie,
 Wciemnicach Ich Tártaru, widzieć było przecie.
 A to za to: Ze się złym Ludziom, rzadzić dali,
 Ktorzy to Ich powagi, na złe zażywali.

Za cudze, odpowiadać tam musieli grzechy,
Y choć z ich łaskawości, Lud miewał pociechy,
Byli iednak karani, że prawdy nie znali,
Ze w cności sławy wszystkiej swej, nie pokładali.

Gdy Telemak, się wyrwał, z tych tam miejsc mizernych,
Poczuł, że był uwolnion z żalów, sam niezmierznych.

Jakby kamień z pierśi zdiał. Przecież uważając,
Co oni cierpieć mają, końca bied nie mając;
Złakł się kary złych Krolow, y że Ich nad Innych
Karanemi byź widział, Ludzi podłych winnych.

Jako? (mowił sam w sobie) Także to Krolowie!

W pracy, niebezpieczeństwach, leżyć mają zdrowie!
Wtak wielu zdradach, od swych, prawdy szukać musza!

A po tym wszystkim, jeszcze płacić trzeba dusza!

Y przebywszy zazdrości, y głowa y ręka!

Tak okrutna, karani mają tu byź meka!

O szalony! co szukasz na świecie krolować!

Szczęśliwy, co w swym stanie, cnotę może chować.

Te reflexye gdy go, tak smutne; trzymaia,

Strach y desperacya, serce mu chwytaia,

Ze coś poczuł, z tych męczarni, świeżo widowiska.

Ale gdy już oddalon, nie widział ich zbliśka,

Serce mu się wrociło; y Im się oddala,

Tym smutek się zostaje za nim, z strachem z dala.

Iuż poczyną oddychać, y święte mieszkanie

Bohatyrow, coś błyszczący, y już śpieszy na nie.

Tam zaś przeciwnie, dobrzy Krolowie mieszkali,

Ktorzy mądrze nad Ludźmi, w życiu panowali.

A iako źli Tyranni, co byli w Tártarze,

Większy, niżli prywatni, są podlegli karze;

Tak wpolach Elizeyskich, y dobrzy Krolowie,

Więcey od Innych Ludzi, roskoszy w potowie,

Odbierali za cnotę. Sefostrą zacnego

Y Phisistrata widzi tam, świeżo zmarłego.

Długo, z roskoszą patrzył, na te wonne gaie,

W których ani zieloność, ni kwiat nie uśtaie.

Tam, ci byli Krolowie, a tyśiacne zdroie

Mruczac, ptaszki śpiewaiac, cieszyły oboie.

Wieczna wiečna, pod nogi tych Krolow, kwiat śiała,

A jesień, nad głowami, owoce wieszała.

Rrr

Upałow,

Upałow, kánikuły, tam nigdy nie znano,
 A dopieroż, ostrości zimy, nie widziano.
 Tam woyna zajuszona, ni zazdrość okrutna,
 Suspicya, ni boiaźń, ani złość wierutna,
 Y przystąpić nie śmiały, do tych mieysc szczęśliwych,
 Nocy niemasz, dzień wieczny, w promieniach zyczliwych.
 Światłem czyстым, ci Ludzie, są tam opasani,
 Wpromienie, iak wpurpure, wszyscy są odziani.
 To zaś światło, nic nie jest naszemu podobne,
 Są to chwały Niebieskiey, ozdoby nadobne.
 Nie obraża, iak słońce, promieniem swym oczy;
 Ale one utwierdza, kiedy je obtoczy.
 Dusze zaś nader karmi, y ta świetna sława,
 Karmia się ci Krolowie, iak iaka potrawa.
 Z nich wychodzi, y znowu, światłość w nich wstępuje,
 Każdy ją przed się widzi, y w sobie ją czuie.
 Ta w nich pokoy y radość, ustawicznie rodzi,
 Ta, iako woda rybe, ustawnie Ich chłodzi.
 Gdy niczego nie pragna, wszystko zaś w niej mają.
 Tym światłem, ferca swego, zadze nasycają.
 Pragnienie nasycone, pełności cudowney,
 Wywyższa Ich nad Ludzi, ktorzy nigdy rowney,
 Mieć nie mogą na ziemi. Te zaś, które mają
 Powierzchowne roskoszy, o te nic nie dbają.
 Bo szczęśliwość Ich wnstrzna, tak Ich dusze chłodzi,
 Ze do Inszych roskoszy, myśl się nie uwodzi.
 Wszystko, co na zmysł pada, nie nie delektuje,
 Y za nic ma, w czym człowiek, szczęście swoje czuie.
 Tak iako, gdy Bogowie, Nektar słodki pili,
 Na najlepsze napoje, ani by patrzyli.
 Od tych zaś mieysc spokojnych, nieszczęścia okrutne,
 Uciekają daleko, śmierć, choroby smutne.
 Ubostwo zaś, po stracie, y strach który męczy,
 Y nadzieia leniwa, która częsta dreczy,
 Zwady, złości, tęsknoty, tych mieysc, tknąć nie śmiesz,
 Na te monstra złych passyj, zdaleka się śmiesz.
 Y przedzey, gory Trackie, wyniosłe pod Niebą,
 Poruszyć by się mogły, y wiekszey by trzebą,
 Mocy na to, żeby ci Ludzie, się wzruszyli.
 Albo się zamieszaniem iakim, zatworzyli.

Zaden Ich nie tknie smutek ; Jednych ryłko Ludzi ,
 Zaluia zaślepienia , lecz Ich to nie nudzi .
 Zaluia Ich bez smutku ; nie Ich szczęśliwości ,
 Nie odmienia , á zyla , w swej wieczney młodości .
 Ktora ná Ich się twarzach , y w Niebieskiej chwale ,
 Wydaie , y w radości , z majestatem w cale .
 Smak wysoki , w Ich cności , wesolość zadaie ,
 Ustáwiczna , y ktora , nigdy nie ustaie ,
 Ták są zawsze weseli , iák gdy Mátká owo ,
 Syná obáczy , po złych śmierci wieściach , zdrowo .
 Ale y Mátki radość , za moment ustaie ,
 Im zaś , końca radości , nigdy Bog nie dáie .
 Zgoła zawsze iest nowa . Co wino w podpićiu ,
 Wesolego uczyni , w ludzkim naszym życiu ;
 Lecz odiawszy szaleństwa , co pijanstwo rodzi ,
 Ich wesolość ustawná , równać z nim się godzi .
 Miła konwersacya , ci się Swieci bawia ,
 Ná wspomnieniu swych akcyj , Miłe czasy trawia .
 Dáwnych swoich kondycyj , poniekad się wstydza ,
 Krotkimi láty , wieku ludzkiego , się brzydza ;
 To że się sami z sobą , żyjac pasowali ?
 Y to , że się złym ludziom , poplować nie dali ?
 Mocy Boskiej przyznáia . Ktora ich do cnoty ,
 Prowadziła , przez różne przeszkody , kłopoty .
 Coś Boskiego , przez serca ich , ustawnie płynie ,
 Widza że są szczęśliwi , że to im nie zginie ;
 Wszyscy w koley , pochwały , Bogom swym śpiewaia ,
 Wszystkie głosy , w ieden głos , ich się obracaia .
 Iedná Myśl , iedno serce , ktore się rozplywa ,
 Iedno szczęście , ktorego nigdy nie ubywa ;
 W tym Boskim zachwyceniu , stu lat wieki płyną ,
 Przedzey , niżli godziny , u nas ludzi miną ,
 A przecie , y tysiączne láta , szczęśliwości
 Nie uymuia , są nowe , y w iedney całości .
 Wszyscy razem kroluia ; Ich Tron się nie boi
 Wywrotu reki ludzkiej , swoia mocą stoi ;
 Ni mocy potrzebuia , od reki mizerney ,
 Pozyczaney , poddanych ; Dość mocy niezmierney ,
 Ducha swego własnego . Niechodza w koronie ,
 Pokrywce wszystkich nieszczęść , ále ich cne skronie ,
R r r a Bogowie

Bogowie własną reka, ukoronowali,
Aby się żądncy skazy, ná wicki nie báli.

Telemak, co się Oyca, znaleźć tam spodziewał;
Kedy dzień Bohatyrow, szczęśliwy przebywał,
Ták się ta szczęśliwością, y świętym pokojem,
Uiał, iákoby Boskim, Nektaru nápoiem;
Rádby tam Oyca zástál, á sam się frasował,
Ze ieszcze czas z niemi żyć, się nie nágotował,
Tu to (mowił:) iest życie, á to co żyjemy.
Iest śmierć, y boleść, w ktorey to gnijemy.
Ale, to go naybárdziej, támże záдумáło:
Ze Krolow sílá w piekle, á dobrych zaś máło,
W polách widział Eliżkich, z czego, to zrozumiał:
Iáko rzadko Krol żyjac, rzadzić soba umiał;
Iák trudno! swey się mocy odiać, y sprzeciwić!
Pochlebcow ostro kárác, y poddánstwo żywić,
Ztąd, rzadko Krole dobrzy, á cześćiey tak złemi,
Zeby byli Bogowie, niespráwiedliwemi.
Gdyby Im, pozwoliwszy szczęścia, zá żywotá,
Nie byłá od nich, w piekle, karána niecnotá;

Telemák, nie znalazzy Oycá szukánego,
Szukał pilno Láértá támże Džiádá swego;
A gdy go między niemi, także nie znayduie,
Stárzec pełen powagi, kniemu przystępuje;
Stár ość iego, stárości nie podobná byłá,
Ludzkiey, któraby, wieku liczba, go skrzywiłá;
Ale było w nim, co má stárość powážnego,
Oraz y to, co mlodość, má w sobie miłego.
Bo y w stárcach, wszytek dźwięk młody się odrodzi.
Gdy do pol Elizcyskich, ktory z nich przychodzi.
Ten Stárzec, Telemáká, z radością uwázál,
Y iák by mu był miły, oczymá wyrázál.

Telemak, co go nie znał, był sam w zádziwieniu;
Ale mu tak rzekł Stárzec: Twemu záдумieniu,
Nic się iá nie dziwuie, y że nie znasz tego.
Co Arcezy, Láértá Oćiec, Džiádá twego.
Jam umarł, nim Ulisses, á Wnuk moy, pod Troie
Poszedł, á tyś u Mámki, wczynál życie twoie.
Jużem iá był o tobie, wziął wielkie nádzieie,
Anim się nie omylił, tak się widzę dżicie.

kiedy

Kiedy ci, Cni Bogowie, zniść tu pozwolili,
 Dla znayścia twego Oycy; Aby z toba byli,
 W tey imprezie, proszę Ich o Dziecie szczęśliwe!
 Równą sławę gotuiąc, Bogi ci życzliwe
 Sławie Oycy Twoiego. Nie mniey szczęście moje,
 Ze znowu widzieć moge, Twarz tak miłą twoję.
 Ulisse'a nie szukaj; bo na świecie żyje,
 Nieprzyjaciół Domu naszego, pobije;
 Y Lært, lub zgrzybiął, żyje y on przecie,
 Y czeka, aż Ulisses, pogrzebie go w świecie;
 Tak ludzie, iako kwiaty, rozwina się rano,
 A wieczor już Ich niemasz, kiedy ich zerwano.
 Y ludzkie pokolenia, iak rzeki przechodzą,
 Czas iedne grywają, kiedy drugie się zaś rodzą;
 Y ty sam, Synu miły, y w twojej młodości,
 Pamiętaj, żeś jest kwiatem, pełnym odmienności,
 Uschnie, iak się rozwiło, to lat twoich grono,
 Wdzięki miłe, roskoszy, zdrowie, radość, ponę
 Znikną, iako sen piękny, a tylko zostanie
 Smutną pamięć dobrego, y ciężkie stąranie.
 Słabą starość nastąpi, pomarszczy ci czoło.
 Skrzywi grzbiet, członki zsiąbi, smutkiem cię na koło,
 Obtoczy, y wesołość, w sercu twym wysuszy,
 Gárnąc wszystkie zgryzoty, do twej smutnej duszy.
 Niemasz, że to daleko! mylisz się nieboże,
 Spiesz się ten czas frogi, strzymać się nie może,
 Ten moment, co gadamy, daleko upłynął,
 Ani się rewokować może, ten co minął;
 Nie uważaj przytomnych, ale przyszłe rzeczy,
 Trzymać się ścieżki cnoty, mieć zawsze na pieczy.
 Święta sprawiedliwość, w cnot wszelkich ozdobić,
 Miejsce tu między nami, Synu, gotuj sobie.
 Urodzonyś jest na to, byś po Oycu twoim,
 Ktorego ty w Itaku, w Państwie uyrzysz swoim,
 Abyś po nim krolował; Ale, Synu miły,
 O! iak jest Stan Krolewski ciężki y zawiły!
 Bo patrzeć nań zdalęką, pompą y powagą,
 Ale z bliską, daleko większą, nieszczęść wagą.
 Prywatny Człek, może wieść życie, w proźnowaniu;
 Nikt go w tym nie potępi; Lecz o wszystkich zdaniu:

S s s

Krol,

Krol, bez wstydu nie może, tak życia prowadzić,
 Zeby swym proźnowaniem, nie miał Państwu wadzić.
 Nie sobie, ale ludziom, całe życie winien,
 Naymnieyszego występkę, y strzedz się powinien.
 Błąd iego, y náymnieyszy, całym Państwem wadzi,
 Y podczas, ledwo cały wiek, z nich wyprowadzi.
 Powinien, śmiałość grzechow, sam gromić odważnie,
 Utrzymywać niewinność, potwarz karać waznie;
 Nie dość, aby nikomu, nic nie czynił złego,
 Tym samym zły Krol, kiedy, nie czyni dobrego.
 Ani dosyć jest, dobrym bydź, sobie samemu,
 Gdyby pozwalał, czynić złości, Poddánemu.
 A zátym, boy się Synu, stánu tak cieszkiego.
 Uzbroy się meństwem wczesnie, na siebie samego;
 Nuż przeciwko passyom, przeciw pochlebnikom,
 Y że tak rzekę, przeciw, własney żądzy szyskom;
 Gdy mówił Arceyzysz, twarz ogniem pálála
 Boskim, y nád Krolami, litość skázowała;
 Dokládá, że Krolestwo, gdy go kto záżywá,
 Dla roskoszy, takie się, tyranstwem nazywá;
 A kiedy kto Krolestwo, ná siebie przyjmuie,
 Y pospolstwem, iák Ociec Synámi, kieruie;
 To prawdá, że má sławę; Lecz życie w niewoli
 Wieść musi; y náybárdzicy, dozná co to boli.
 Y dla tego ci wszyscy, ktorzy istná cnotá,
 Pánowali, od Bogow, tu koronę zlotá,
 Máją z szczęściem zupełnym. W te Telemak słowá,
 Zdumiány stál, á w serce szła tak mądrá mowá.
 Y tak się w sercu iego godnym, rysowały,
 Jáko kiedy ná spizy, dlot wybija trwały,
 To, co chce dla wieczności, reká wyuczóná,
 Wystáwić, by robotá, niebylá skázoná;
 Te słowá iákó płomieni, w Telemaku były,
 Ktore umysł, y serce iego, zápáliły.
 Czymśis Niebieskim, serce iego, się topiło,
 Y przez duszę onego, iákby przechodziło;
 Ni utrzymać imprezy, mógł sobie zádánecy,
 Ni icy w sobie utaić, głęboko schowánecy.
 Zál słodki y spokoyny, y poćiechy żywe,
 Czyniły różny obrot, y meki prawdziwe.

Ale w krotce Telemak, już wolniey oddycha,
 Ztwarzy Arceyusza, co się nan uśmiecha.
 Twarz uznał Lærtęgo, a nawet widzi się.
 Ze obu podobieństwo, zamknięte w Ulissie.
 Ktore w nim pamięć Oycy, kiedy miło wzbudza,
 Do łez słodko pobożnych, z westchnieniem pobudza.
 Chciał ścisnąć tę osobę, kochaną y miłą,
 Ale mu zrak zniknął, choć ją ścisnął siłą.
 Iako sen więc śpiącego, omyliwa człeka,
 Y język mu nie służy, gdy przez sen narzeka;
 Y ręce, nadaremnie gdy się wyciągaia,
 Y utrzymać nie mogą, Im bardziej ścisakaia.
 Tak Telemak, nie może się ukontentować;
 Widzi, słyży Arceza, nie może całować.
 Na koniec się go pyta, wybadniąc z niego:
 Iak się zowią mieszkańcy z tobą, mieysca tego!

Odpowie mądry starzec: Patrzay Synu miły,
 Ci Ludzie swego wieku, ozdoba więc byli,
 Sława y szczęściem pewnie, plemienia Ludzkiego,
 Ale patrz iak Ich mało, stanu Krolewskiego,
 Co powinność spełnili, y iako Bogowie
 Żyli, przy meżnym sercu, y przy madrey głowie.
 Tych zaś, co podle widzisz, od nich odłączonych,
 Wiedz, daleko Ich chwała mnieysza, uwieńczonych.
 Wprawdzie, y ci Heròes, tu się nazywaia,
 Ale mnieyszą nadgrode, za to odbieraia,
 Ze w wojn ekspedycyach, byli zbyt dzielnymi,
 Niż ci Krolowie, którzy są sprawiedliwymi.
 Bo dobroć Krolow, Bogom, bardziej się podoba,
 Niż męstwa w Bohatyrach, wojenna ozdoba.
 Po między Rycerzami, co Ich widzisz, temi,
 Patrz Thesea, z oczami, troche spuszczone.
 Ieszcze smutny, y dotąd, nie kontente cienie,
 Ze oszustney uwierzył, y zradliwey Zenie;
 Z ktorey poszła, Neptuna pomsta, nieużyta,
 Gdy śmierć wymógł, na Syna swego, Hyppolita.
 Szczęśliwszy by był, gdyby prędko nie uwierzył.
 Tak wielkiego by wstydu, y żalu nie zmierzył.
 A widzisz Achilleśa! na włóczni się wspiera,
 Ranny w piętę, od teki Parysa, umiera.

Z Reki słabey, pieśczoney, ten Bohatyr ginie!
 A iako meństwem swoim, y odwaga słynie,
 Tak gdyby moderatem był, y sprawiedliwym,
 Wiecey by był panował, dłużejby był żywym.
 Nad narodem Dolopow przedwieczni Bogowie,
 Zmiłowali się, że tey rzady wzięli głowie.
 Niechcieli aby rządził temi narodami,
 Ktory władać nie umiał, swemi passyami.
 Ktory się przedzey wzburzył, niż naygorsze morze,
 Parki mu, nie przecięły życia, w samey zorze,
 Y ledwo się iako kwiat, na roli rozwinął.
 Zaraz, od orzacego lemiesza, sam zginął.
 Bogowie, ktorzy burze, na karę zsyłają,
 Na wywrot murów Troi, Achilla chowają.
 Y na karę Parysa, niesłuszných miłości,
 Zazyli, Achilleśa reki, y dzielności.
 A te pomste sprawiwszy, nie na lży niedbając,
 Thetydy Matki, dłużej, w życiu nie chowając,
 Młodo tego Rycerza, że światą zebrali,
 Aby Ludziom nie szkodził, swym Impetem daliy.
 Patrz tego z dziką twarzą! Iest to Ajax dzielny,
 Wielki w sławie y w meństwie, y w boiach mąż siłny.
 Wiesz, po śmierci Achilla, iako broni lego,
 Pretendował dziedziczyć, y iak Oycę twego,
 Przez sąd Greków, to szczęście, y bronie potkały;
 Za co się Ajax zabił, desperat zuchwały.
 Widzisz, iako iad z gniewem, do tad w lego twarzy,
 Nie przystępuy do niego, bo ieszcze się żarzy.
 Mniemałby, że nieszczęściu lego, insultniesz,
 Lubo wiem (iak należy) że go sam załniesz.
 Patrz, że widzieć nas niechciał, y wszedł w chaszcz ten ciemny.
 Widziszże! To on stoi, ten Hektor przyjemny,
 Tenby, nie zwycięzonym był, za czasu swego,
 Gdyby Achilles nie był, co zabił onego.
 Lecz oto Agamemnon, który ieszcze znaki,
 Zdrady swey Klitemnesty, nośi Rycerz taki.
 Synu! drze gdy nieszczęścia Tantalusa domu,
 Wspominam; a te są tam nie tajne nikomu.
 Atreus y Thyestes, złe Potomki lego.
 Krwawią się. Tak grzech ieden, rodzi się zdrugiego.
Agamem-

Agamemnon Wodz Grekow, tylko co zpod Troi
 Zwycięzoney powraca, y nie się nie boi,
 Ni pokoiu, ni chwały, iak mniemał, nie zazył,
 Kiedy był, co go w domu, zabić się odważył.
 Taki koniec, wojennych Bohatyrow, bywa,
 U których, mało miejsca, ma rzecz sprawiedliwa.
 Ktorzy straszni są Ludziom, ale nie kochani,
 Ci w polach Elizeyskich, niżey lokowani.
 Ci zaś tu są Pierwszemi, co zawsze życzliwie,
 Narodom panowali swym, y sprawiedliwie,
 Są z Bogami złączeni. Ci zaś wto ubodzy,
 Ktorzy żadzy nie mieli, iak Ajax, na wodzy.
 Jeszcze pamięć zwad, y bitw, w sobie konserwują,
 Y koron potraconych, z swym życiem, żałują.
 Lecz Krolowie spokojni, Niebieska światłością
 Oczyszczeni, karmią się Boską spokojnością.
 Nic nie pragną, a Ludzkich chęci, niepokoje,
 Dla których się cały świat, wkrwawe wciąga boie;
 Za igrazkę dziecinna, za żart, sobie mają,
 Których w cności, y w prawdzie, serca tylko trwają.
 Nic nie cierpią od siebie, potrzeby, bojaźni,
 Y pragnienia nie mają, y nie Ich nie drażni.
 Wszystko się Im skończyło; lecz pociechy one,
 Chwałę, radość, y pokoy, są Im nieskończone.
 Uważay, o moy Synu! Inacha starego,
 Co fundował Krolestwo, Argosa sławnego.
 Widzisz starość tak miłą, y iak rosną kwiecie;
 Pod nogami! a co jest równego na świecie!
 Lire złota, patrz, trzymaj, y iak w zachwyceniu;
 Spiewa cudy y chwały, Boskiemu Imieniu.
 Y z serca, y z ust lego, patrz, zapach wychodzi,
 Głos iego, delicye Bogow, Ludziom rodzi.
 Za to zaś ma nadgrode, że kochał narody,
 Y podawał Im prawa, do cnoty y zgody.
 Tu zaś między Myrtami, widzisz Egipskiego
 Cekropsa, Fundatora Miasta Ateńskiego.
 Cekrops przyniosł z Egiptu, tam, tak madre prawa,
 Z których całe Grecyi, zrodziła cnoty, stawa.
 Nauki, obyczajow, Attyckie narody,
 Dzięki przed tym, nabyły, przez lego dowody.

Ludzki, y miłośnierny, Lud swoy w obfitości,
 A potomstwo zostawił, w ubogiej skromności.
 Niechciał, aby synowie, po nim Krolowali,
 Lecz by od sie godnieyszym, tron zostawowali.
 Pokazać Erynychtona; widzisz go w dolinie,
 Ten to pierwszy, pieniadzy Inwencya słynie.
 Ten srebro ná moneta, dla handlow obrocił,
 Lecz sie boiac, zeby był cnoty, nie nie skrocił;
 Tak uczył te narody: O te sie stáraycie,
 Naturalne dostatki, y te pomnazaycie,
 Orzcie mocno, y siecyte, mieycie chleba siła,
 Win, Oliwy, owocow, y moc aby była,
 Bydeł, owiec, ktore was karmić, y pokrywać
 Beda, a nie będzie wam, na niczym tak zbywać.
 Im wiecey mieć będziecie, Synow pracowitych,
 Tym wiecey sług, będziecie mieć, do prac obfitych.
 A ziemia tym hoynieysza, ná karmienie bywa.
 Im wiecey, mieszkaiących ná sobie, nabywa.
 Płaci dobrze tym, co ia, pilno opatruia,
 A gnusnością próżniacka, darow iey nie psuia.
 Tych tedy szukać Bogaćw, z ziemi wam potrzeba,
 Lecz nad wszystkie potrzeby, dobywaycie chleba.
 A pieniadze z moneta, należy zachować.
 Ná woynę, kiedy sie ley, nie można uchować.
 Albo też, ná towarow takowych, skupienie,
 Ktorych wam iest potrzebne, choć zdaleka mienie.
 Ale sie takich rzeczy, nie wazcie kupować,
 Ktore mnożac wiec zbytki, mogą cnote psować.
 Mądry Erynychton mawiał: O to ia sie boie,
 Zebyście ná złe kiedy, Inwencye moie,
 Nie obroćili Ludzie; zeby te pieniadze,
 Nie wzniecały ambicyj, skamptwa, zbytkow, żądze.
 Y widze ze moneta, rzemiosła szkodliwe,
 Ná skażę obyczaiow, robi, nieszczęśliwie.
 Ze dostatki was zbawia szczęśliwey prostoty,
 Co życia bezpiecznego, iest rzródło, y cnoty.
 Widze ia, ze pieniadze, oraćtwo wam zbrzydza,
 Dobro życia Ludzkiego; Lecz Bogowie widza:
 Y ná serce me patrza, zem nie szkodliwego,
 Nie zamyslał, kiedym wam, dał konceptu mego,
Moneta.

Moneta. Ale kiedy Erychton obaczył,
Ze pieniedzy appetyt, Ludzi przeinaczył,
Ze Ich ná zle zazyto; maiać z tego zale,
Ná ubogie szedł życie, y ośiadł ná skale.
Tam, daleki od Ludzi, aż do-lát zgrzybiałych,
Zył, á Miałt rzadzić niechciał, swych wiecey zuchwałych.
A po nim zaś Tryptolem nástąpił, z pochwila,
Ktorego żyzna Ceres; orać nauczyłá.
Iuż po trosze się Ludzie, y ná zbożu znali,
Ale w sztukach oractwa, nie tak doskonali
Byli; Y tak Trypołem przyszedł do nich zplugiem,
Ofiaruiac dar chleba, z ziemi, pewnym długiem,
Tym, co koło niey z pracą, chodzą ustáwiczna;
Y przyieli od Niego, tę robotę śliczną
Grecy, która Im bardzićy, kto ziemię otwiera,
Tym wiaksze icy owoce, y dary odbiera.
Zeńcy nie zmordowani, ostrymi sierpami,
Zaráz pola okryli, złotemi kłosami.
Dzikie národy, które, po pułstyniach były,
Y leśnemi Owocy, iák zwierzęta żyły,
Zludzczały, y chętnie się dały pod te práwa,
Ktore chleba, lub zá cięszka pracą, Ludziom dawa.
Tak Trypołem smak Grekom, do tad nie znaiomy,
Uczynił, nábydź bogactw, z rak pracy widomey.
Y należć swe Bogactwa, ná roli oyczystey,
Mieć pożytek nie chybný, y frukt oczywisty.
Tá obfitóść tak prosta, idaca z oractwa,
Obrzydziłá w nich pieniadz, moneta, bogactwa,
Ktore z głowy pochodzą, y wymysłów różnych.
A Ludzi zaś przywodzą, y do zbytków próżnych,
Y od pracy odwodzą, dobrych obyczaiów.
Zbawiaia, przyczyniaiac zád, y złych zwyczaiów.
Zgoła wszyscy poiaeli, że Im rola żyzna,
Iest skarbem nie przebranym, co nieśie oyczyzna.
Szczęśliwemi by Grecy, y do tych czas byli.
Gdyby się ta maxyma, tak madra rzadzili.
Szczęśliwi, co kochaia, y wolność y cnotę.
Lecz pieniadze, zániedbać oracka robotę,
Wnich spráwiły; y kiedy pieniedzy szukaia,
Práwe bogactwa, razem cnotę, utraciaia.

O Synu! kiedy będziesz w twym Państwie Krolował;
 Pamiętać, byś oractwo, w cenie wielkiej chował,
 Ratując tych, którzy się bawia tą robotą,
 Nie cierpieć Inszych rzemiosł, wojujących z cnotą.
 Uważaj tych dwóch Ludzi, co byli madremi,
 Iako są nadgrodzeni, więcej nad drugimi.
 Y iak chwała od Bogów, Im tu za to dana,
 Z Achillesa, y Innych chwała, nie zrownana;
 Ktorzy wojnę słyneli: Iak wiosna nad zimą,
 Iak słońce nad Xieźycem, ci nad temi słyną.

Gdy Arcezy dyskurły, z Telemakiem toczy,
 Uwaga, iż w leden gay, swe obracać oczy.
 Ten był wszystek Laurowy, rzeczka opasany,
 W Lilie, roze, fialki, y w kwiaty ubrany.
 Ktore blask wydawały, z farby dziwnie śliczney,
 Iako tęczy na Niebie w kolorach niezliczney.
 Tam Telemak, Sesostra godnego poznać,
 Wspanialszego, niż kiedyś w Egipcie, uznać.
 Z Tronu jego złotego, jasność wychodziła,
 A w oczy, Telemaka zdumianego, biła.
 Nad Ludzki umysł, duch go Boży opanował,
 Y tym, cnoty wspaniałe jego, kompensował.
 Telemak rzekł: O Oycze! znam ja Krola tego;
 Sesostris to, Krol mądry, Egiptu żyznego.
 Widziałem go nie dawno. Tak jest, [mu odpowi]
 Lecz patrz, iak Bog nagradza, dobremu Krolowi.
 Lecz y to wiedz, że większa, jego madrey głowie,
 Naznaczyli nadgrode, byli mu Bogowie;
 Kiedyby był na świecie, w zbytney szczęśliwości,
 Zażył moderacyi, y sprawiedliwości.
 Wzięła go chęć hardości, Tyryjcow zwojować,
 Wziawszy Ich miasto, nie mógł, sam siebie hamować.
 Za chciwość wojenną, Państw cudzych nabywać
 Poszedł, krąje plondrować, y Miast ich dobywać.
 Podbił Azję, raczey, całą ją wywrocił,
 A swe Państwo, w złym stanie znalazł gdy powrócił.
 Zastał Brata, który Tron jego, opanował,
 Y przez rząd swoy niesłuszny, cne prawa popsował.
 Y tak to wojennicy, gdy za cudzym, zpraca
 Biegają, swoje własne Państwa gubią, tracą.

Y toć

Y toć to, Iego chwały, u nas umnieyszyło;
Lubo Krolá ná świećcie, lepszego nie było.

Widziśz tego drugiego, co ma w boku ráne!

A zniey, chwały zdrugimi, ma nie porównane!

Iest to Krol Dyoklites nazwany, Karyjski,

Z którym, kiedy wołował wiec, narod Licyjski,

Oracum powiedziało: że który Krol zginie,

Tego narodu, za to, zwycięstwo, nie minie.

A on, żeby swoy narod, swa śmiercią salwował,

Szukał śmierci, y życie swe sakryfikował.

Ten zaś, co przy nim stoi, iest to człowiek sławny,

Y národu Greckiego, prawodawca dawny;

Który Im popisawszy, pełne cnoty prawa,

Tak z niemi mądrze sobie, y cudownie stawa:

Kazał Im przysiądz: Iż z nich, poki sie nie wroci,

Nikt prawa, co Im nadał, nigdy nie wywroci.

A sam zaszedł daleko, nigdy sie nie wraca,

Tak prawo wieczne stało, y Iego cna praca.

Ten drugi, iest Krol Pyli, który, gdy graśnie

Powietrze w Iego państwie, sam sie ofiaruje

Umrzeć, ieden za wszystkich; w tym go wysłuchali

Bogowie, y koronę, tu mu wieczna dali.

Tego stárca, co widziśz, w kwiat uwienzonego!

Iest to sławny Krol Belus, Egiptu wielkiego.

Ten miał Syna Danaus, á Egipt był drugi,

Wielkie Ich przed Bogami, y Ludźmi zasługi.

Ale Belusa wieksze; że swoich poddanych,

Wolał widzieć obfitych, niż zruinowanych.

W Miłości Ich, dostatki swoje, on pokładał,

Ani żadnych haraczow, ná nich nie nakładał.

Zgoła, Ludzie co mniemasz, że są umarłemi,

Są żywi, á co żyją, ci nie są żywemi.

Day ci Boże, o Synu! abyś to zasłużył,

Abyś tego żywota, tu sam z nami użył.

Spiesz sie szukać sam Oycy, ále nim go znaydziesz,

Wiak wielkie krwi rozlania! w Iakie bitwy zaydziesz!

Ná polach Hesperyjskich, cna cie sława czeka,

Słuchay zówsze Mentora, mądrego człowieka.

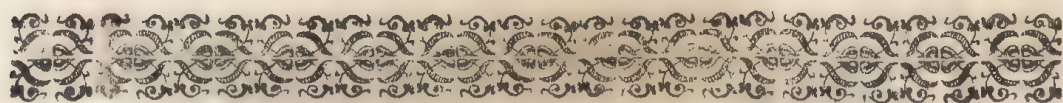
Iego mądre náuki, y rády rzetelne,

Dadzą ci u Národow, Imię nieśmiertelne.

Uuu

To

To rzekłszy, Telemaká, do Forty słoniowey
 Prowadził, którą wyszedł, z Pánstw Plutona zdrowy.
 Telemak, z płaczem żegnał, nie ściskając Dziada,
 Wyszedł z ciemnic; á z tego, dusza Iego rádá.
 Powraca do obozu, potkawszy się daliy
 Z Creteńcykámí, którzy o niego się bali.



TELEMAKA XIĘGA DZIEWIATA

SUMMARYUSZ KSIĘGI DZIEWIATEY

Telemak powraca, do woyská.
 Druga bitwa z Adraſtem. Bije
 się sam ná sam, z nim. Adraſt o-
 bálony, proſi o życie; Telemak
 mu go dáie; Ale zdráycá powsta-
 wszy, do Niego ſtrzela, Lecz
 ſtrzałá go chybiła. Telemak się
 ná niego rzuca, y obáliwszy go, zábija. Y ták
 się woyna skończyła. Po ktorey, z Colligowa-
 ni Krolowie przychodzą do Salentu, oglądać
 rząd dobry Mentora, y uczyć się z Iego przy-
 kładu, dobrze pánować u ſiebie.

Tym

Tym czasem Colligacey, zebrani Wodzowie,
 Ześli się radzić z sobą, nie o ledney głowie.
 Jeśli miastá Wenuzy, by nie opanować,
 Ktore Adraſt, Apulom wzięwszy, konſerwować
 Umiał. Ci Apulowie, weſzli w ligę z niemi,
 Zeby ſwe odebrali, ſilámi ſpolnemi.
 Adraſt Ich chciał ukoić, y miáſto Lukánom
 W ſeqweſtr oddał, by potym, ſwym wrocili Pánom.
 Apulowie, ná Lukan gwarnizon, ſię dáli,
 Ale prędko poſtrzegli, że ſię oſzukáli.
 Bo Adraſt Ich przekupił, iák y kommendanta,
 Y ták ſam wſzytkim rzadził, ſwojá ſztuka franta.
 Tego Miáſtá, Wenuzy, mieſzkaniec odwazny,
 Imieniem ſwym Demophant, człek we wſzytko rázny,
 Podiał ſię Colligatom, iedne bráme, w nocy
 Poddać, ktorzy uznali, wielkie z tad pomocy.
 Bo Adraſt blisko w zamku, tak żywnoſci złożył,
 Iák y Ammunicyi Magazyn założył.
 Ten zamek, caleby Ich mocy nie wytrzymał,
 Gdyby Wenuzę, Zołnierz Colligacki trzymał.
 Philoktet y z Neſtorem, tego ſię chwycili,
 Y záżyć okázyi tákiey, ſię zgodzili.
 Wſzyſcy Inſi wraz poſzli, zá powaznym zdániem;
 Lecz Telemak ſię oparł, aż z uſiłowaniem.
 Nie wątpię (rzekł) że, ieſli oſzukać ſię kogo
 Godzi! to pewnie tego, ktory zdrada ſroga,
 Nie iednego oſzukał. Táke ja wiem y to,
 Ze gdyby od nas miáſto, Wenuzę podbito,
 Swebyſmy odebrali, kiedy Apulowie,
 Co tu z nami woiuia, ſá Miáſtá Pánowie.
 Przyznaię, że racya, odebrać to, macie,
 Co przekupem doſtąpił Adraſt, przy záplácie.
 Táke ja zá ſwa! moze ten zdrayca rachować!
 Zgadzam ſię, że y Zámek, prędko opánować
 Mozećie, y zabrawſzy Instrumenta boynę,
 Zákończyćie w ieden raz, te z Adraſtem woynę.
 Ale nie uważaćie, że gdy kto chce ſłynąć!
 Niż zwyciężać ſpoſobem takim, lepiey zginąć.
 Azáż zdradę, przez zdradę, wypłacać ſię godzi!
 Niech ſię o nas, w Kronikach, táká wieſć nie rodzi;
 Uuu z Ze

Ze tak siła sie Krolow. z sobą zligowali,
 Aby zdrady Adraſta, zradami káráli.
 Ieśli sie to nam godzi, co y Adraſtowi!
 To on nic już nie winien (wzdyc to kázdy powi)
 Y darmo go za zdrady, my lego karzemy,
 Kiedy go násladować, nowa zdrada chcemy.
 Iak! cała Hesperya, tak siła Grekami,
 Wsparta, y Troj pyłzney, temiz zwycięzcami,
 Inſzego mieć oreza, nad zdrada, nie może!
 Na zdrady Adraſtowe! nie day tego Boże.
 Wſzakeście Apulowie, przyſięgli ná Bogi,
 Ze odebran nie będzie, ten depozyt drogi,
 Z rak Lukánow! Y lubo, twierdźcie nie wczas to,
 Ze przekupny Gwarnizon, ma Adraſt y Miásto;
 Iednak przecie Lukánow. ten Gwarnizon slucha,
 Y choć Adraſtowego, ma już w sobie ducha,
 Przecież, áni ſam w Mieście poſtał, ni człek lego.
 Toć tráktat y przyſięga, waloru ſwego,
 Nie tráca. A zaż tylko, godzi ſie zachować
 Przyſięge, poki pretext nie przyjdzie, ia pſować!
 Y tylkoż, w dotrzymaniu, wiernym bydź náleży,
 Poki ſie okazyjki, do pożytku ſwieżey,
 Nie tráfi! Ieśli Bogi, przy ſwoiey boiaźni,
 Nie ſa u was, w odmienie tey Imprezy, waźni!
 Niech was reputacya, dotknie w waſzey ſławie.
 Y odradzi nie meſki przykłađ, w takiey ſprawie.
 Przyſięge łamać, ſwego, nie dotrzymać ſłowa.
 Nigdzie pokoy nie pewny, á woyna gotowa.
 Ktory ſaſiad wam ufać! kto ſie nie bać będzie!
 Kto beſpiecznie ná ſłowie, wždy waſzym uſiedzie!
 Iákim potym ſpoſobem, wyperſwaduiecie
 Szczerość waſza y wierność! kiedy ia łamiecie.
 Uczynicieli tráktat! nie będa wam wierzyć;
 Przyſiężecie! to z tego potym będa mierzyć,
 Iák ia teraz łamiecie. A tak, ni pokoiu
 Nie będziecie beſpieczni, ni woyny y boiu.
 Cokolwiek od was przyjdzie, za pokoy pokryty,
 A za woynę otwarta, w nieſzczerości skrytey.
 Mieć to będa ſaſiedzi; Y rzec moze śmieie:
 Ze za wieczne mieć będa was nieprzyiáciele.

Y co reputacyi będzie się tykało.
 Lub wam konfidencyi nabyćby się zdało.
 Nigdy nie otrzymacie. ani dokazaćcie,
 Ni żeby wam ufano, wyperfwaduiećcie.
 Woſtatk (rzekł Telemak) ieſt Interes inny.
 Który wam do uwagi, chce ſa podać winny:
 Ten proceder zdradliwy, ligę naszą pſuie,
 Rozrywa, y z niey pewnie, Adraſt Tryumfuie.
 Na takie ſłowa, wſzytko zgromadzenie wſtało,
 Y iak to on rozumie / zgniwem ſie pytało:
 Zeby akcyja, która dać może zwycięſtwo,
 Miałá ligi rozerwać, ſwiete ſpołeczeńſtwo.
 Tak: (odpowie Telemak) kto ieden drugiemu,
 Z was ufać będzie / chociaż, zaprzyſiężonemu!
 Gdy przyſięga, która ieſt, łańcuchem u Ludzi,
 Nie trzyma was, lecz owszem, do zdrady was budzi,
 Kiedy ſie tá Maxyma w ſercach waszych rodzi:
 Ze ſie wam dla pożytkow, wiara łamać godzi;
 Także y wam, wtey Lidze, kto ſłowa dotrzyma!
 Kiedy iaki Awantaż, łamiąc ją, poima.
 Co ſie z wami dzieć będzie / kto ſie nie poſpieſzy,
 Uprzedzić tam drugiego, gdzie zdrada ućieſzy!
 Odeſtępując ſwey Ligi. Co mi to za Liga!
 W ktorej ieden drugiego, do zdrady wyſćiga.
 Która, co ieſt naygorſza, terazniejszy ráda,
 Sądzi za rzecz bydź ſłuſzna. zwyciężać y zdrada.
 Wierście mi, zaraz ſie w was, nieuſność zakradnie,
 Z ſuſpicyj z niedowiarſtwa, Liga ta upadnie,
 Bez Adraſta ſtáraniá; Gdy każdy z was, ſzukac
 Będzie chciał, żeby przedzey, drugiego oſzukać.
 Zdrádom Adraſtá ſami, tak dopomożecie;
 Nie on was zruinuie, wy ſie rozerwiećcie.
 O wy! mądrze wſpaniali, zebráni Krolowie,
 Których ſie cne národy, tu poddały głowie,
 Nie racźcie poſtponować, moia ráda młoda.
 Upewniam, wáſze czyny, nią ſie nie zawiódą.
 Gdyby was [choway Boże] fortuna odmienna,
 Przywiodła o przegrana; To dzielność woienna,
 Rátować by was mogła, choćbyście przegrali,
 Męſtwem byście ſie poprzec z nowu ſpodziewali.

Zgruntu, dzielność prawdziwa, nie da się potłumić.
 Ale honor straciwszy, naprawić go umiść!
 Y zgwalczone raz słowo! to rzecz niewidziana,
 Y odyskać straconą ufność, niesłychana.
 Dopieroż, Ludzi, iako! z nowu przywieźćcie!
 Do szacunku cnot, kiedy, raz Ich odwiedzićcie.
 A czegoż się boicie! azaz serca mało
 Macie! żeby zwyciężać zdradą, wam się chciało!
 Nie macie dosyć męstwa! y woysk ludnych tyło!
 Wojujemy, nie zdradzamy; Umrzeć raczy z siłą
 Niż zwyciężać konceptem. Ow Adrast bezbożny,
 Wrękach naszych iest pewnie; y Bog z nami możny,
 Dopomoże, byleśmy, nie naśladowali,
 Iego zrad, ale męstwem, złość Iego káráli.

Gdy tak skończył Telemak, postrzegł, że z ust Iego,
 Słodka szła perswazyja, do sercá kázdego.
 Uważył, że tych Wodzow, całé zgromadzenie,
 Approbować poczeło, przez długie milczenie.
 Ktoremu, nie tak słodycz słow, się podobála,
 Iako moc prawdy godney, Ich záwoiowála.
 Zádumienie ná twárzy, już kázdego znácznie,
 Potym szemrać poczeło, zgromadzenie zácne.
 Ten pátrzy ná drugiego, nikt się nie ósmieli,
 Pierwszy mowić, bo wszyscy, ná stárzszych pátrzeli.
 Od tych pátrza początku, ledwo utrzymuia
 Słowa, ktore Im honor, y sława, dyktuia.
 Ná koniec, zácny Nestor, tak w swej poczał mowie:
 Godny Synu Ulissá, tak przez cie Bogowie,
 Przemowili; Minerwa, Oycem twym władała,
 Y przez ciebie też teraz, Bigini gadała.
 Onác to dáła ráde, mądra, y cnotliwa,
 Nie pátrześ la, ná mlodość twoia, iako żywo,
 Lecz ná zdánie Minerwy; Tyś cnotę obronił,
 Y nas Iey obrażenia, wyznaniem ochronił.
 Bez niey wżystkie pożytki, zwać się stráta moga,
 Bez niey pomsta nas kárza, nieprzyiáźni frogá.
 Bez niey, y Colligatow ufność, wraz upádá,
 Nabywa się gniew Boski, Ludzi dobrych zwádá.
 Zá tym, w rękach Lukánow, Wenuze zostawmy,
 Y bić męstwem Adrástá, więcej się nie bawmy.

Zgro-

Zgromadzenie, tak mądre utwierdziło zdanie,
Każdy zaś Telemaká, iák iákie zesłanie
Boskie, sobie uważał; y wlepił wń oczy,
Ze z niego cna Minerwa, swoia mądrość toczy.

Prędko potym, Infza się qwestya trąfiła,
Władzie Krolow, co sławy, nie mniej mu nábyła:
Okrutny, y zdrażliwy Adrašt, sztuki záżył,
Y zbiega, do obozu Ich się posłać wáżył,
W Imie Akant; A ten, miał wszystkich potruć Pánów,
Telemaka naypierwey, Krolow y Hetmanow.
Telemak, z naturalney swoiey poćciwości,
Nic złego w nim nie sádzac, przyiał go w ufności.
Umiał Akant się udać, á gdy niešťczęśliwym
Opowiadał się bydz mu, czynił się życzliwym.
Iak go Adrašt ukrzywdził, y z obozu wygnał,
Y szukać protekcyi, przymusił y przygnał.
Ze Oyca Ulissesa, w Sycyliyskich kráiącach,
Widział, y prawił zaraz, mu o roźnych baiach.
Tak uwiodł Telemaká, że go przyiał, żywił,
Nie wiedząc, że zá nadrzem, węża sam odżywił.
Wtym zbiega, Aryona Imieniem, złápáno.
Ktorego do Adraštá, wyprawił był ráno.
Akant, dáiac o wszystkim znać obozu stánie,
Aże prędko potruie (iego rozkázanie).
Wypelniaiac) Hetmanow, na iednym bankiećie,
Gdzie Telemak, częstować będzie, w swym namiećie.
Aryon, się złapany, przyznał do wszystkiego,
Padła myśl ná Akanta, że o zdradzie iego
Wiedział dobrze; Bo bardzo, y wprziazni żyli,
Wielkie porozumienie zdrady, więc czynili.
Lecz Akant niešťworzony, pokryć umieciacy,
Tak go mądrze sam bronil, ná ow sáđ goracy.
Ze ni konspiracyi doćiec nie możono.
Ani go konwinkować, żadną mogli strona.
Silu Krolow, to zdanie, ná Akanta było,
Aby się przez śmierć iego, tey boiáźni zbyło,
Którą czynił, swá zdradę, upornie trzymaiac.
Lepiey Krolow sáłowac siłu, zabijaiac
Iednego, choć niewinny, choćby dla postrachu,
Od zámysłu rownego, y drugich zámachu.

Odpowiedział Telemak: Coż to za maxyma!
 Y okrutna was teraz, polityka trzyma!
 Takżeście są, krwi Ludzkiej hoyni, o Rycerze!
 Nie pomniac, żeście Ludzi, są iako Pasterze!
 Ze niemi nie rzadzićie, chcąc ich konserwować,
 Ale, abyście mogli trącić ich, y psować.
 Toście wy Wilcy, a nie Pasterze, oszczędni!
 Na zgubę trzody swoicy, nie na życie zrzedni.
 To według was, ten winien! co jest oskarżony!
 Y kto jest w suspicyi, już nie ma obrony!
 Tak, dobrzy, na ządrośnych dyskrecyi, będą,
 Y kálumniy złych Ludzi, nigdy się nie zbada.
 Im więcej suspicya, was tak opánuie,
 Tym więcej, choć niewinnych Ludzi, zruinuie.
 Telemak, te sam słowa, z taką mówił waga,
 Że się każdy zdumiewał, nad jego odwaga.
 Wstyd obracał na tych, co zabić radzili,
 Y rady niebezpieczney, Authorami byli.
 Potym się uspokoił, dokładając słowa:
 A mnie nie jest tak miła, moja z życiem głowa,
 Abym ją okupował, głowę niewinnego,
 Wole widzieć Akanta, niż siebie samego.
 Y żeby mi wziął życie onże, choć zdradliwie,
 Niż, żebym go umorzyć miał, niesprawiedliwie.
 Ale wy, o Krolowie! y narodow Sądzie!
 Niech moja reflexya, wam przyjemna będzie;
 Ostrożnie wraz y mądrze, y náder cierpliwie,
 Sądzić trzebá, kto zechce, sądzić sprawiedliwie.
 Pozwolicie mi, Akantá, w oczach waszych spytać,
 Może się pono, w moich sam qwestyach zchwytac.
 Tak zaráz wziął Akantá, sam examinować:
 Przeco miał z Aryonem, wielka przyiaźń chować!
 Mądrze circumstáncye rozstrząsa włzelakie,
 A qwestye, co raz mu, zádáie inakie.
 Raz mowi: że odeszle, już go Adrastowi.
 Patrzy czy się nie zleknie, y co na to powi!
 Lecz Akant, áni głosu, ni twarzy nie mieni,
 Tak, że go już Telemak, bydz niewinnym mieni.
 Na koniec, ieszcze jeden sposob, mu przychodzi,
 Ktorem kształtnie, tak z niego, śwey prawdy dochodzi:
Rzeczce:

Rzecz: Day mi twoy pierścień, co go Adrastowi
Poszła od ciebie; Az się oczy Akantowi
Mienia, y twarz blednieie; niewie co rzecz ná to,
To posłanie pierścienia, sadzi swoia strata.
Wnet to postrzegł Telemak, y pierścień ten bierze,
Mowiąc Doydziem tu prawdy szukaney, wtey mierze,
Poszła go Adrastowi, sekretnie od ciebie,
Przez takiego, co bywał w takowey potrzebie;
Ten, ieżeli postrzeże, żeś tu iest posłany
Od Adrasta, by oboz nasz, był szpiegowany,
Wiedz że śmierci okrutney, y meki nie uydzieysz;
Ieśli zaś wolno przyznasz, to też wolno poydzieysz.
Y tylko, iako zdraycę, tym cie pokarzemy,
Ze cie ná puszcza puła, żywo odesłemy.
Wnet Akant wszystko przyznał. Telemak otrzymał,
Ze go żywo puszczo, y słowa dotrzymał.
Ná wyspę Echinadę, zdraycę odesłano.

Wkrotce, Ieden Daun, co go Dyoskorem zwano,
Wszedł w nocy do obozu, ten brał ná swa szyję,
Ze Adrasta, w swym woysku, zradliwie zabije.
Y pewnie mógł to zrobić; bo kto życia swego
Nie szacuje, ten Pánem, może bydz cudzego.
Ten człowiek chciał się pomścić, mając krzywdę bidny,
Ze mu Adrast wziął Zonę, zbyt piękna, bezwstydny.
Miał zaś pewne sposoby, do namiotu wchodzić
Adrastá, w każdą chwilę do niego przychodzić.
Y z nim trzymać, Dauneńskich kilku Wodzow, miało;
Lecz żeby wtey się lepiey, Imprezie udało,
Prosił on Colligatow, aby wten czas, wpadli
W oboz, kiedy Adrastá rznąć beda, zajadli.
By pod czas zamieszania, mógł lepiey onego.
Zabić Krolá, y pomsty, uysć od Ludzi Iego.
Kiedy tak Dyoskorus, Intencya swoia,
Krolom wyexplikował, wszyscy milczac stoia,
Patrząc ná Telemaká, y nikt decydować.
Przed nim nie chce; A on się chciał tak explikować;
Bogowie, co od zdraycow, nas dziś zachowali,
Niech bronia nas, abyśmy, takich zázywali.
Choćbyśmy tylo cnoty, ná zrad obrzydzenie
Nie mieli, to dla samych nas, iest odrzucenie

Tey Imprezy potrzebne; Bo gdy przykład damy,
 Zabijać zdrada Ludzi. sami bać się mamy.
 Kto z nas będzie bezpieczen? A nuż Adraſt śmiały,
 Nie zginie w tey Imprezie, y zoſtanie cały!
 Nie woyna, lecz zaboyſtwem, naſza woyna będzie,
 Kiedy cnoty pobożney, u nas ſie pozbędzie.
 A zátym konkluduje: Związać zdraycę złego,
 Adraſtowi go poſłać, lub niegodzien tego.
 Grecya z Heſperya, niech te od nas maia
 Sławę, że Colligaci Ich, cnotę kochaia.
 Tośmy czynić, y dla ſwey Eſtymy, powinni,
 Y Bogom, złym ſie brzydzić, my ieſteśmy wianni.
 Tak zaraz Dyoskora, ſłano Adraſtowi.
 Ktory nie mniey ſię zdumiał, ſwemu przypadkowi,
 Niż cnoćie Colligatow. Zą wielkie miał dziwy,
 Zeby, ſam będąc zdrayca, zdraycy uſzedł żywy.
 Ludzie zli, cnotę ſzczera, zą rzecz dziwną maia,
 Ale, iáko y Adraſt, icy nie uznawaia,
 Lubo ſię ley dziwua. A ten Ich poſtepek.
 Przywodził mu ná pamięć, lego zaſ wyſtepek.
 Ze wſtydem przypominał, ſwoie oſzukania,
 Y okrutne akcye, niegodne stáránia.
 Y z tad myślał, iákoby te poniżyć ſpráwę;
 Wſtydał ſię bydź niewdzięcznym; Niewiedział iák sławę
 Odiąć tey Ich akcyi. [Bo Ludzie co w złoſci
 Zabrnęli, bardziey twardzi ſą, w ſwey ząwziętoſci,
 Gdy Cnoty dobrych widzą] Ze Ich pomnożoną
 Widział sławę tym czynem, á ſwoia zniżoną;
 Myślał, inſzym ſpofobem, ſwoy honor pomnożyć,
 Y ná nowe zwycięſtwo, ſwoia głowę łozyc.
 Nie mogąc cnotą zrownąć, chciał Ich ſćigać meſtwem,
 Y złe ſpráwy nadgradzać dziełem, y zwycięſtwem.
 Przeto ſię rezolwował, bić ſię predko z niemi.
 Gdy dzień przyſzedł potrzeby; A jutrozenka ſwemi,
 Ledwo wrota rękoma, ſłońcu otworzyłá;
 Aż Telemak, ktorego oſtrożność, tak byłá
 Wielka, iáko y dzielność; ze ſnu ſię porywa,
 Y wſzystkich przełożonych woyska, z ſobą wzywa.
 Szyszak białym buńczukiem, lśnił ná głowie lego,
 A zbroia blask czyniła. w oczach zaſ káżdego.

Tá Wulkana robotá, iáko cene miálá,
 Tá z Egydy Niebieskíey, dzielność swoia brálá.
 Wiedney race miał włocznia, á druga skázywał
 Mieysce szyku káżdego, gdzie kogo záżywał,
 Minerwa, w oczy lego, ogień Boski włálá,
 W twarz powage, zwyciestwo, już obiecowałá.
 Tá szedł; A zaś Krolowie, iakby zapomnieli
 Lát stárszych, y mieysc wyższych, zá nim sie ciągnęli.
 Zwyklá zázdrosć, z ich sercá, cále ustępuje,
 Minerwa go prowadzi, y z nim postępuje.
 Iego akcya nie ma, nie popedliwego,
 Cicho, cierpliwie słucha, spokoynie káżdego.
 Przyjmuie wszelkie rády, sam z dziwne pilnością,
 Y nie mnieysza, ná wszystkie rzeczy, opatrnością,
 Dysponuie iák trzebá, y wszystko ukládá,
 By z konfuzyi iáká, nie byłá závádá.
 Błedy cudze wymawia, mile popráwuie,
 Sam trudności uprzedza, á nie pretenduie
 Nic ciężkiego od drugich; ufność w sercá wlewa,
 Roskazuiac, rzetelnych słow, do nich záżywa,
 Dla pojęcia lepszego, ordynans powtarza,
 Ni sie ná niepoietnych gniewa, ni zachmarzá.
 Zrozumiawszy, jeśli go, kto dobrze zrozumiał,
 Poufale wyrazić swe zámysły, umiał.
 A poznawszy, że poiał, co mu roskázował,
 Nim go puścił od siebie, wprzód go karesował.
 Y tak ci, co Ich posłał, od Iego miłości,
 Zábierali do meštwa, sercá y dzielności.
 Choć by sie nie udało, nie go sie nie bali;
 Bo, że wszystkich wymawia, już go dobrze znali.
 Horyzont sie zápálá, od słońca, czerwono,
 Od dnia sie rodzącego, morze swoia strona,
 Gorzało iák płomieniem. A morskie zaś brzegi,
 Okryte bronia, Ludźmi, y koni szeregi.
 Wszystko sie rusza; á tent, podobny bałwanom
 Morskim był, y pływacym, Neptuna táránom.
 Mars zaś, hukiem zbroy y broni, apparatus wojny,
 W sercach wzbudzał jad z gniewem, furor niepokoiny.
 Po polach piki gęste, y włocznie sterczały,
 Iak kiedy kłosem, bywa okryty, świat cały.

Już się tuman podnosi, y ziemię od oczy,
 Zákrywa; á okrutna śmierć, już się tam toczy.
 Ledwo pierwszy Harcownik, ku sobie się bierze,
 Telemak, ręce wzniosłszy do Niebá, w tey mierze.
 Zawołá: Oycze Bogow Iowiszu, y Ludzi!
 Niechay Cię, sprawiedliwość násza, dziś pobudzi!
 Wszak pokoy ofiárować, my się nie wstydzili,
 Y teraz, gdyby można, byśmy się nie bili,
 Radziłyśmy, krew Ludzká, y życie ochronić!
 Ale się okrutnemu zdrajcy, musiem bronić.
 Patrz, y rozładz między nim, ty y między nami!
 Jeśli umrzeć potrzebá! twoiemi rękámi,
 Dysponuy życiem nászym; jeślić uwolnienie
 Hespéryi, potrzebne! Tyranna zniszczenie!
 To twej mocy, y Corki Minerwy, mądrości,
 Zwycięstwo przypiszamy, nie nászey dzielności.
 Tobie sława ztąd będzie; Bo ty iák na szali,
 Bitwy wázyysz, do niey się, zá Cię, będziemy brali.
 Tyś sam Sędzia, y Adrašt tobie nieprzyiaźny,
 Bardziej niż nam, gdy w wśzystkie, niecnoty odważny.
 Jeżeli strona násza, dziś wygra szczęśliwá!
 Sto wołow zarznie ręká, wdzięczna y zyczliwa.
 To rzekłszy, puścił cugle, koniom zápálonym,
 Puścił się ku szeregom, naybardziej ściśnionym.
 Naypierwey, Peryandra potyka, stráśznego,
 Lwią skora (iák Herkules) całé okrytego,
 Ktorego sam był zabił; A wręku maczuga,
 Postać ciála, iák olbrzym, rozrosła y długa.
 Iak uyrzał Telemaka, wzgardził młodość Iego;
 Czy nie ty nam przeszkodził! do zwycięstwa cnego!
 Idź Dziećcie (rzekł) y Oycá szukay, między cienie.
 A to rzekłszy, Maczugę wzniosł, ná uderzenie
 Smiertelne Telemaka. Lecz on się umyka,
 Y iák orzeł tak bystro, rzuca się y zmyka.
 Maczuga Peryandra, ná strone upadła,
 Chybiłá Telemaka, tá ręká zaiádła.
 Telemak zász nie chybił, lecz wgarło poćiskiem,
 Uderzył Peryandra, aż krew lúnał pyskiem.
 Tá w nim głos uduśiłá, konie, iż nie czuía
 Lecow w woźie, bez rzádcy, po sztykach się snuía.

Spada

Spada z wozu, z oczyma, życiu zamkniętymi,
 Błada śmierć, już usiadła, z kolorami swemi,
 Na twarzy z trupiejszalej. Telemak załuje,
 Lwia sobie skore, na znak sławy, zostawie.
 A ciało oddał sługom. Sam zaś w wielkim pędzie.
 Szuka w kupie Adraſta, y ściga go wszędzie.
 Gdy końca wojny szuka, w tym nieprzyjacielu,
 Przesyła przed nim do piekła, Bohatyrow wielu.
 Zginał Hyze; postradał wozu, z czterema koni.
 Chowanych nad Lauzydą. Darmo się do broni
 Porywa Demoleon; który Sykulskiego
 Eryxa, w pojedynkach zrownał, odważnego.
 Krantor leży, co niegdy, Herkuleſa chował,
 Gdy w Hesperze Kákufa, ten mocarz, zwoiował.
 Hypokoon, cny lezdziec, rowny Kástorowi,
 Cny w myśliſtwie Erymed, który niedźwiedziowi,
 Y Dzikom się opierał, w gorze Apenninie,
 Krwią oblany zwierzęcą, teraz w ſwoiej ginie.
 Y który był tak miły, Bogini Dyanie,
 Ze go sama uczyła, strzelać w biegu Łanie.
 Nikostrat padł, który to, zwoiował Olbrzyma,
 Co na gorze Garganie, strąſanie się nądyma.
 Padł Eleand, który był Filoe zrekował,
 Corke zrzodził Liryſſa, Co ją ofiarował
 Pierwſzemu, ktoby zabił, Skrzydlastego wſza,
 Zesłanego od Bogow, Filoy za mſza.
 Ten Eleand, miłością, śliczney dziewczki zdiety,
 Podiał się zabić monſtrum, przez cud niepoiety.
 Ale ſwego zwycięſtwa, nie zazyl nadgrody,
 Bo kiedy się Filoe, gotuie na gody,
 Y czeka Eleanda, biedna, niecierpliwie,
 Przychodzi wieść, że zginał w boju, nieſzczęśliwie.
 Wzdychaniem, łáſy, gory, nápełnia y głoſy,
 Y oczy topi we łzach, targa śliczne włoſy.
 Zrzuca wieńce, y kwiáty, skárzy się na Bogi,
 Ktorzy pátrząc na żal ley, w dzień y w nocy, ſrogi.
 Zakończyli ley żale, w rzekę przemieniając
 Ciało iey, która płynie z zrzodłem się złączając.
 Oyca ſwego. Lecz woda, gorzka do tad płynie.
 Y nad ſmutnym ley brzegiem, kwiat się nie rozwinie.
Y y y
Z ſwoiej

Z swojej strony też Adraſt, gdy ſię dowiaduje;
 Ze Telemak rozgania, bije, y wojuje,
 Y wszędzie, ſtrach przed ſobą poſyła, y ſieie;
 Y on go też ſam ſzuka; mając w tym nadzieię:
 Ze młodość Telemaka, lemu nie wytrzyma,
 A trzydziſtu Dańczykow, koło ſiebie trzyma.
 Ktorzy meſtwa, y ſiły byli niezrównaney;
 Tych ujał, przy nadgrodzie, łaski obiecaney,
 Zeby na krok go w boju, nie odſtepowali,
 A Telemaka zabić, duſznie ſię ſtáráli.
 Gdyby go w tym momencie, doſcignęli byli;
 Y ná woz iego, ze wſzad, byli uderzyli,
 Jużby zgiął Telemak. Lecz Minerwa zwiodła,
 Y w inſze mieyſce Ichze, uderzyć przywiodła.
 Ze ná iedney dolinie, ſłyſzał Telemaka.
 Zdało ſię Adraſtowi; tam ſzuka Iunaká.
 Gdzie w paſdzy, Huſcie zmieſzał; ale miáſto niego,
 Záſtaie w tym ſzeregu, Neſtora stárego.
 Ktory reka już drżąc, rzuca ſwe poćiski,
 Lecz od Adraſtá, śmierci, wſciekłego, był bliſki.
 Gdyby meżnych Piliow, Pułk nie okrył Dziadá.
 Chmara ſtrzał, y poćiskow, od których upádá,
 Zobu stron moc Rycerzow, powietrze zákrywa,
 Huk broni, głos ginacych, ſrogo ſię dobywa.
 Ziemia drży, trupy leca, krew ſtrumieniem płynie;
 Bellona y Mars pátrzy, cieſzac ſię, iák ginie,
 Lud geſty. Poſtroieni, rázem, wbarwa krwawa,
 Wzbudzaia, iák ná nowe, záiadłość w nich zwawa.
 Te Boſtwa, nieprzyiaźne plemieniu Ludzkiemu,
 Odięły kompaſſya, tam ſercu káżdemu.
 Zniosły moderacya; Owſzem, już záiadłym.
 Szaleńſza pomſta radza, nieco podupadłym.
 Zázarci, záden ſwemu, y krty nie folguie.
 Wszędzie śmierć, ſtrach, morderſtwo, po łykach ſię ſnuie.
 Sama Pallas, tak mądra, uieſta litoſćia,
 Odchodzi, y brzydzi ſię, taka záiadłośćia.
 A tym czaſem, Philoktet, idzie ná ráunek
 Neſtora, (nioſac ſtrzały, ow cny podarunek;
 Dzielnego Herkuleſa) Zły Adraſt, ktorego,
 Doyſć nie mogąc, od Piliow ſwoich okrytego,

Bije ná nich, y sílu, przez miecz, trupem kładzie,
 W tey poległ Euzylias, sławny mąż, z awadzie.
 Co tak szybki był wbiegu, że żadnego śladu,
 Nie zostawiał ná piasku, gdy biegał z zakładu,
 Y równo biegał z Euphyty, y Alphy, rzekami.
 Myśliwy Entyphion, leży pod nogami.
 Pretleas, kompan Troi, z Nestorem, zburzenia,
 Co go kochał Achilles, z mestwa doświadczenia.
 Padł y Arystogiton, co nábył z nauki
 Achelloisa zrzodła, sekretu y sztuki;
 W różne się tak przemienić, iako chciał, postaći;
 Ale mu nie pomogły, y on życie traci,
 Od pocisku Adraста. ani drgnał, przebity.

Nestor, patrząc iák gęsto, Lud iego pobity,
 Leći z rzeki Adraста; lak od płytkiey kosy,
 Ziemie więc okrywaia, złotolśniace kłosy;
 Zapomina stárości, y mądrość go razem,
 Odbiega; á on się pnie z swym słabym żelazem,
 Do Syná Phisistrátá; * Ktory utrzymywał,
 Mestwem boy, y tym Oyca słabego okrywał.
 Ale moment fatalny, zszedł ná Phisistrátá;
 Dała to Nestorowi poczuć, Iego strátá:
 Ze często ná nieszczęście, my długo żyjemy,
 Gdy ná nasze nieszczęścia, patrzyć się musimy.
 Phisistrat, silnie pocisk, ná Adraста rzucił,
 Tak, że się sam, z impetu, ledwo nie wywrócił.
 Ale Adraст się schronił; á tak dobrze zmierzył
 Phisistrátá, że w sam brzuch, swą włócznią uderzył.
 Wyproił mu wnec łelita, gdy pocisk wyściaga;
 A ten już bleśnie niedzny, y ratunku siaga.
 Ale darmo; Wiednicie, iako kwiat rozliczny,
 Urwany z rzeki Nymphy, urodziwie śliczny.
 Gasna oczy, głos niknie, y gdy się już chwicie,
 Alić Iego Uczyciel, lub już bez nádzieie,
 Podpiera go, y ledwie, tylo czasu zbywa,
 Ze go przywlokł do Oyca; Tam darmo dobywá
 Głosu, y gdy ostatnie, swęcy miłości, znaki,
 Chce pokazać, zádacie śmierć zál dwoiaki.

Gdy Philoktet, z swęcy strony, siekł, rabał, woiował,
 Y Impety Adraста, meźnie utrzymował;

Yyyz

Wtym

* Phisistrat
 Syn Nestora;
 inżyd Egi-
 pcyanina owe
 go, którego
 Dusze wi-
 dział Tele-
 mak w Po-
 lach Elizey-
 skich, z Se-
 sofrem.

Wtym Nestor nadzny, Syná, ściska zmarłe ciało,
 Y tak woła, kiedy mu żyć się już nie chciało:
 Nieszczęsnym ja, zem Oycem, y zem żył tak długo!
 Czemuś mié Kálidońska nie ziadła larugo!
 Ná dzikim polowaniu; lub w Cholerfu drodze!
 Lub gdyśmy wojowali, przed tym Troie drodze.
 Tambym poległ był z sławą; co teraz w stárości,
 Bolow y wzgardy pełny, y ciężkiey słabości,
 Dożyłem się nieszczęścia; y to tylko czuie,
 Ze, bez żadney pociechy żyjac, się frałue.
 Synu moy Phisistrácie! kiedym twego Brátá
 Antylocha, był strącił, toba lego strátá,
 Nadgroda przecie byłá; Teraz cie nie mając,
 Bede żyjac umierał, á żył umierając.
 Náwet sama nadzieia, która nadznych cięży,
 Ginać z toba, przedzey mié, do grobu pospieszy,
 Synowie! mi wydarci! których słusznie lubie!
 Zdami się, że was w iednym dniu, obudwu gubie.
 Smierć lednego, odnawia, zguby dawney ráne,
 A któż mi oczy zámknie! o dzieci kochane!
 Phisistrácie! zginałeś! iak twoy Brát, walecznie!
 A ja umrzeć nie moge, co mi żal ferdecznie.
 To mówiac chciał się przebić, lecz go uchwyciono,
 Ciało Syná wydarto, stárcá zániesiono,
 Do námiotu, we młóści. Gdy przyszedł do siebie,
 Nápierał się, lecz darmo; ginać w tey potrzebie.

Tym czásem, z Philoktetem, Adrast się szukáli;
 Iako Lwu z Leopardem, oczy Im pałaly;
 Gdy obá rozdrażnieni, z soba się ztykáia.
 Y ci furor y pomsta, w oczach swoich maia.
 Smierć nie chybna tam leci kedy który rzuci;
 Wszyscy ná nich pátrzaia, gdzie się kto obruci.
 Iuż się widza; Philoktet; Herkulesa strzály,
 Trzyma w raku, dotknięciem, które zabijały.
 Chybić nigdy nie moga; ále Mars zábronil.
 Zeby Adrast nie zginał; y tak go ochronil,
 Iak y bitwę przedluzył; Bo w krwi záiuszony,
 Ieszcze ten Bog, záboystwy, nie był násycony.
 Do tego; Sprawiedliwi, Adrastá, Bogowie,
 Nie iedney zostáwili, ná strácenie głowie.

Wmomen-

W momencie, gdy Philoktet rzuca się na niego,
 Ranny od Amphilaka, sam został młodego.
 Który to młodzian, tak był wybornie nadobny,
 Tylko Achillesowi, że sam był podobny.
 A Philoktet zaś ranny, na młodego rzucił.
 Strzałę, którą go trafił, że się wnet wywrócił.
 Oczy czarne mu zgasły, usta śliczne zbladły,
 Równie dźwięki lutrzence, z tego sztychu spadły.
 Tak, że go sam Philoktet, zabiwszy, żałował,
 Kiedy krwią swoją, ziemię, nieborak farbował.
 Włosy piękne, iak Pheba, w prochu się martała,
 Na co szyki, z obu stron, wzajemnie wzdychała.
 Philoktet, Amphilaka położywszy trupem,
 Nie mógł się sam ucieścić, tym zwycięstwa łupem.
 Krew go z rany zadanej, poczęła uchodzić,
 Y nowe bole, z starych rany, nań przychodzić.
 Już leciał na stos trupów, co na koło były;
 Aż Archidam, dobywszy, na ratunek siły,
 Ow Thebeyczyk, zbyt zraczny, chwytą go, porywa,
 Y z rąk prawie Adraśta, y z śmierci wyrzywa.
 A tak Adraśt, już nie ma, co by się oparło,
 Y zwycięstwo tak pewne, co by mu wydarło.
 Wszystko leci, ucieka, rowien rzecze oney,
 Co wsi znośi, rwie lasy, bez żadney ochrony.
 Telemak, krzyk zwycięzców, usłyszał zdaleka,
 Ze wszystko przed Adraśtem, gwałtownie ucieka;
 Iako stado leleni, kiedy wiec z hukane,
 Przez rzeki płynie, drze się w skały nieprzebrane.
 Telemak, naprzód westchnął, potym gniewny frodze,
 Rzuca micysce gdzie się bił, a tam, wpilney drodze,
 Bieży tych utrzymywać, ktorzy uciekali,
 Krwią okryty nadchodzi, co go ubryzgali
 Zbić Nieprzyjaciele; a zdaleka woła,
 Tak, że go obie wojska, usłyszały zgoła.
 Minerwa, w oczach iego, coś zbytnie strąsnęła,
 Pokazała, y nie mnicy, w cudnym głosie iego;
 Tak, że gory przyległe, od niego zadrzały.
 Nigdy sam Mars, nie wyniosł, strasznicy głosu śmiały;
 Kiedy Furyj piekielnych, owo wywoływa,
 A śmierci, ran, zaboystwa, do wojny więc wzywa.

Z z z

Głos

Głos dziwny Telemaka, śmiałość swoim wraca,
 A męstwo Nieprzyjaciół, w jeden raz wywraca.
 Sam się Adrast zawstydza, że go coś zmieszało,
 Y iakby coś nieszczęścia, w krotce go czekało.
 Już do desperacyi, ow mocarz przychodzi,
 Drża mu trzykroć kolana, gdy daley nadchodzi.
 Y trzy razy się cofnął, nie wiedząc co czynił.
 Mdły bledniecie, pości się, iakby co zawinił.
 Głos zchrypiał nie dać, wymówić mu słowa,
 W oczach, czarne mu płaty, kreści mu się głowa.
 Podobien Orestowi, z furyi wścieklemu;
 A co większa, że Bogów słyshał, zdało się mu:
 Iakoby, cichym głosem, piekła go wołali,
 Y iakby, straszna ręka, już nad nim trzymali.
 Nie widząc, coś straszego, nad swą głową widzi,
 Nádzieję z męstwem trąci, sam się sobą brzydzi.
 Niknie mu już zwycięstwo, y z rak mu uchodzi,
 Iako dzień, kiedy słońce, pod ziemię zachodzi.
 Nazbyt długo, bezbożny Adrast, zachowany,
 Ná to, aby był człowiek, przez Niego kárany.
 Adrast (mowie) już kresu dochodzi swojego.
 Bieży jednak przymuszon, do zgonu danego.
 A zgryzotę sumnienia, wściekłość, z sobą wiedzie,
 Torem desperacyi, nie idzie, lecz iedzie.
 Ledwo co Telemaká uyrzał, że go czeka,
 Zdało mu się, że piekła, otwarta paszczeka,
 Czarne dymy wypuszcza, śmiertelne płomienie.
 Ná pożarcie, y lego, ośtátanie strácenie.
 Chce wołać, lecz otwarta gęba, nie wydać
 Głosu, ani słow cale; y tak się z nim stać:
 Iako, gdy kto sen straszny, zespały, maiać.
 Wymówić nic nie może, niemy choć mowiacy.
 Drżąca ręka, y śpielzna, rzuca pocisk z rąku,
 Ná Telemaka, który, mężny bez zaleku,
 Iak od Bogów chowany, tarczą się zasłania.
 Wiktorya go, skrzydłem okrywszy, ochrania.
 Wieniec nad głową lego, już się zda, że trzyma,
 Spokoyne męstwo w oczach, nic go nie nadyma.
 Y za sama Minerwę, wzięćby go można
 Zmina, w niebespieczeństwach, cale nie stworzona.

Pocisk

Poćisk Adraſtow, utkwiał, w Telmaká paizy,
Y zaráz ſię, do miecza porwał, Adraſt chyży.
Nie dając czáſu, aby Telemak mu oddał,
Swym poćiskiem, zá poćisk, prędko miecz mu podał.
Telemak, gdy Adraſtá widzi z mieczem, złego,
Porywa ſię, w momencie tymże, do ſwoiego.
Gdy ták, ná bijących ſię, tych Wodzow pátrzáły
Z obu ſtron wojská, bić ſię, zdumione przeſtály.
Ućichli, patrzac ná nich, y końca tey woyny
Czekáno, który mocarz záwoiuc zbroyny!
Oba miecze błysnęły, iáko łyskáwice,
Krzyżują ſię, á potym, zbroie y przyłbice
Tná y ſięká daremnie; bronń dźwięk tylko dáć,
Tłucze ſię darmo zbroia obu, á nie kráie.
To do ſiebie przyskoczą, to ſię wyćiągają,
To ſię chyla do ſiebie, to znowu powſtają.
Ná koniec ſię chwyćili, y ták ſię ściśneli
Iáko wićci wiec z bluszczu, albo z geſtych chmieli,
Kiedy drzewo naywyżſze, geſto opáſują;
Tak mocno ſię wzajemnie, w kroku dotrzymują.
Adraſt, nic był nie ſtrácił ieſzcze, ſwoiey ſily,
Nie miał zupełney ſwoiey, lecz Telemak miły.
Adraſt go ſtrząſnął nie raz, y miecz zchwytać myſli,
Ale ſztuki, do ſwego skutku, mu nie przyſzły.
Bo w momencie, gdy złapać miecz, mu uſiłue,
Telemak go z nienacká, ták pod pas uymue,
Ze go podniosł, y zaráz o ziemię uderzył,
Ták, że ten ſię zgubionym, bezbożnik uwierzył.
Y ten, co lekce wáżył do tad, wſzystkie Bogi,
Pokázál, że ſię boi, iák tchorz, śmierci frogiey.
Wſtydzi ſię zebrać życia; iednak ukázuie,
Ze go prágne, y zmiſkczyc litość, uſiłue.
Mówiąc mu: Telemaku! widzę Boſkie ſady,
Ze czas przyſzedł już, káráć moie przeſzłe błady.
Tylko iedno nieſzczęście, oczy nam otwiera,
Ná prawdę, ktore záwsze Fortuna záwiera.
Widzę iá; Lecz y ty wiedz: że Krol nieſzczęśliwy,
Godzien litości; Wſzak twoy Oćiec táki, żywy.
Telemak, co go ciſnął, ná pierſiach, kolanem,
Wynioſł miecz w garło wrazić, będąc życia Pánem,
Z z z z

Ták

Ták mu zaráz odpowie: Nigdy Iá niechciałem,
 Tylko pokoiu. Ná to krew swą wylewałem.
 A cudzey krwi nie pragne; żyjże o Adraście
 Ná zawsze; niech nauczy, przypadek teraz cie.
 Popraw się, wroc coś wydarł; pokoy przy słuszności,
 Przywroc cney Hesperyi, która twemi złości
 Zámieszales, y zdrady; żyj inszym człowiekiem,
 Uznay, że cie Bog słuszny, do ziemi iák ćwiekiem
 Przybił; Y że ten iest Bog, zawsze sprawiedliwy,
 Yze oszuł y zdrayca, zawsze nieszczęśliwy.
 Ze się myli, kto w gwałtach, bydz szczęście rozumie;
 Ze ten tylko szczęśliwy, który szukać umie,
 Státeczney, prostey cnoty; Dayże Syna swego
 Metrodora nam w załtaw, y narodu swego,
 Dwunastu nayznaczniejszych. A to rzeksz, wstáie,
 Y o ktore go prosił, rad mu życie dáie.
 Ale skoro wstáł, Adraśt. drugi pocisk ćisnie,
 Ná niego, wnet zradliwie, á sam chybko przyśnie.
 Ten pocisk tak był ostry, tak szybko puszczoney,
 Zeby przebił Telmaka, gdyby uzbroiony.
 Nie był. A w tym zá drzewo, zwycięzcy się chroniac,
 Umknął. Ale Telemak, zawała nań, goniąc:
 Daunowie! już widzićie, żeśmy zwyciężyli,
 Ze nam tylko tá zdrada, do krotkiej tu chwili,
 Bezbożnego przedluza; Bogow się nie boi.
 A przed śmiercią ućieka, y o życie stoi.
 Mowiąc, ku Daunom idzie, swoim pokázuie,
 Ieden Hufiec, idz zá mna, ten niech zástepuie
 Ućiec mu z pozádrzewa. Adraśt się boiacy,
 Aby go nie opasał Lud nástepuiacy,
 Prosto ku nim się ruszył, y przebić się tedy,
 Myślił przez Creteńczykow. Lecz Telemak, wszedy
 Maiąc oko ná niego, sam mu meżnie w oczy.
 Iak piorun, od lowisza wystrzelony, skoczy.
 Chwyta ręká zwyciężką, y o ziemię wali,
 Iak, wichrem obalony leży, kłós dostały.
 Y lubo, już powtornie, z miękczyc usiluie
 Pobożnego! Nie słucha, áni go záluie.
 Miecz ostry w nim utapia; y w czarne Tártary,
 Pędzi duszę bezbożną, po między złe máry.

Ledwo

Ledwo Adrast tam zginał, zaráz Daunczykowie
 Nie żałując, ni płaczac nic, po tey zley głowie,
 Owszem się, z uwolnienia od niey, radowali;
 Na znak pokoju, ręce naszym wyciągali.
 Metrodor, Syn Adrastow, sam źle wychowany,
 Na nie słusność, przykładem Oycą, wyuzdany,
 Uciekł z pola; Lecz tamże, w net od niewolniká
 Własnego, śmierć okrutna, y lego potyká.
 Ktorego był wolnością, y złotem dąrował,
 Przed zdradną ręką lego, sam się nie uchował.
 W ucieczce, z tyłu przebił tego bezbożnego,
 Uciał łeb, y przyniósł go, do woyska naszego.
 Za ten czyn, wojny koniec, chcący mieć nadgrode;
 Ale każdy uważał, wierności, wtym szkoda.
 Y brzydził się tą złością; za czym go zabił.
 Telemak, Metrodora Głowę, we krwi zmył,
 Widząc, który młodzieniec, urody wyborney
 Był, y w dziwnym dowcipie, cudownie przezorny;
 Gdyby był przykład Oycą, zły, go nie popłował;
 Zapłakał, y to mówiąc, rzewnie go żałował:
 Tak to młodych, fortuna zbytnia, Pánów psuie!
 Im więcej w swym dowcipie, wyfokości czuie,
 Tym się bardziej oddala on, od cnoty drogiey!
 Iabym pono nie uszedł przepaści tak srogiey,
 Kiedyby mię nieszczęścia, com się w nich urodził,
 Nie wrociły na ścieżki, co mię Mentor wodził.

Daunowie zgromadzeni, pokoy ofiarują,
 Lecz tudzież, kondycya iedną proponują:
 Aby Im wolno było, z swoiego národu,
 Obracć Krolá, lepszego cnot wszystkich dowodu.
 Y któryby, przeszłego, zniósł Krolá, niesławę;
 Dziękując Bogom za tę, śmierci lego sprawę.
 Szli kupami, Telmaka rękę chcąc całować,
 Krwią Tyranna zboczona. Co mieli żałować
 Swey przegranej, za tryumf sobie poczytali,
 Ze pokoju nábyli, gdy bitwę przegrali.
 Y tak w iednym momencie, owa dumna siła,
 Co wszystkim Potencyom, Hesperskim groziła,
 Przed którą, tak národy wielkie, bardzo drżały,
 Ze od strachu, Ich serca, iák w ogniu gorzały,

A a a a

Upadła;

Upadła; a podobna, owemu gruntowi,
 Który się zda być mocnym, ani upadkowi;
 Nie zda się być podległym, lecz gdy go podbierze;
 Razem w przepaść upada, w swojej strasznej mierze.
 Często się z pracy śmieiem takowej, podziemnej,
 Co nie widząc roboty, głębokiej y ciemnej,
 Rozumi że grunt stoi, że go nic nie wzruszy,
 Aż razem, w przepaść frogą, cały się grunt kruszy.
 Tak moc nie sprawiedliwa, gdy sobie gotuje,
 Przez zdrady, cna fortune, sama wykopuje
 Przepaść, na zgubę swoją; y nie Ludzkość, z zdradą;
 Wywraca fundamenta, przeciwna ley rada.
 Drzą przed nią, boją się ley z razu, y dziwią,
 Aż gdy pod swym ciężarem spądnie! nasmiewują
 Znięcy się. Bo się nie może podnieść, żadna miara.
 Zniósłszy fundament Tronu, który stoi wiara.

Wszyscy Wodze woyskowi, w kupę się zebrali.
 Aby Krola Daunczykom [iak prosili] dali.
 Z wielkim gustem, patrzaia obozy przeciwne.
 Nie spodzianie zlaczona, y wprziazni dziwne.
 Mądry Nestor przyść nie mógł, na nowa Ich rada;
 Z starości, y ze smutku, miał mocna zawade.
 Oczy lego, we zrzodla lez, się obrociły,
 Sen, lekarz wszystkich nieszczęść, odstąpił go miły.
 Nádźicia, życie fercá, naynieszczęśliwzszego,
 Zgasła w nim, ani Stárzecz, pokármu żadnego
 Mogł przyiać; życia światło, już w sobie obrzydził.
 Y że żył lat tak siła, gniewał się y wstydził.
 Pragnął nocy już wieczney, w niej swe pokryć zale,
 Ani żadney poćiechy, od przyiaćioł cále
 Przyjmował; iak załadek potraw, zepsowane;
 Co mu kolwiek mowiono, nie słuchał stroskány.
 Tylko między chlupaniem wołał: Phisistrácie!
 Ty mię wołasz o Synu! Iam miał zginać za cie!
 Ide za toba, y Ty, słodka śmierć mi czynisz!
 Kto do śmierci pomożesz, nic mi nie zawnisz,
 Abym Syna nayprzedzey, mógł obaczyć swego;
 To potym, y godzine, ni słowa żadnego
 Nie mówił, tylko ięczał, a na ulgę mece,
 Oczy z łzami podnosił do Nieba, y ręce.

Tym

Tym czasem, Telemaká, ná rádźie czekano;
 Bo ciáło Phisistrátá, iák dusze kochana,
 Łzami, y perfumami wonnemi, oblewał.
 O miły Towarzyszu! (takich słow dobywał)
 Nie zapomnie! że mi cie, poznawszy w Piloście,
 W Sparcie y w Hesperyi, widzieć dostało się;
 Iam cie kochał, y Tyś mie kochał, Przyjacielu!
 Znałem męstwo, ktoreby przeszło Grekow wielu.
 To, że sława tak wielką, nam cie umorzyło,
 Y cnoty Achilleśa, w tobie, nas zbawiło.
 Statek twoy, y wymowa, byłyby zrownały!
 Y tyś, iak ten Bohatyr, był mądry y śmiały.
 Miałeś taką przyjemność, ktorey trudno było,
 Odiąć się; Twey się cności, wszystko dobrze wilo.
 Z ust wymowa, y twoie, w mowieniu sposoby,
 Moderacya w zwadach, wielkie twe ozdoby.
 Powaga przy mądrości, y rady styl śilny,
 Sprawiały, że cie słuchać, każdy był zbyt pilny.
 Każdy starał się, twoie approbować słowa,
 Sercą y myśl chwytając, bez próżności mowa.
 O iák siła dobrego! cośmy w tobie mieli!
 Fata nam, przez śmierć twoją, wszystko wraz odeszło.
 Y Phisistrat? ktoregom, dziś rano całował,
 Nie zostawił mi, tylko, abym go żałował?
 Bodayżeś ty był zamknął oczy Nestorowi!
 Nie byłby okrutnemu, podległy żalowi.

Po tych słowach, Telemak, kazał obmyć ciáło,
 Y rąne frogą w Boku. A to zaś leżało,
 Ná łozku purpurowym, w śmiercielney bladości.
 Podobien on, pieknego drzewa, látorości,
 Co dopiero, nad drugie, ku Niebu się piełá,
 Lecz ścięta od siekiery, zwiedła y uschnęła.
 Tak Phisistrat, okrutney, stał się śmierci łupem.
 Iużci, do fatalnego stosu, idą z trupem,
 Smutni Pyliyczycowie, y z pełnym łez, okiem,
 Y z bronią wywroconą, ciężkim idą krokiem.
 Ciáło prędko gorce; Telemak popioły
 Zbiera w Urnę, y miesza ze łzami nápoły.
 Y iák skarb drogi, dáć z rak, Kálimakowi,
 Ktory był uczycielem, wždy Phisistratowi.

Schoway, [rzekł mu] ośtátki, twego Pána drogie,
Ktore nam zostáwiły fata lego frogie.

Oddasz Ich Oycu, ále nie wprzod, poki żale,
Nie zmnieysza sie, y stárzec, nie zmocni sie cále.

To zrobiwszy Telemak, wszedł do Krolow kołá;
Gdzie zaráz uczyniło, milczenie sie zgołá.

Wszyscy go chcą wraz słuchać, czym sie on zápłonał,
Y żadnego, przed nimi słowa, nie wyżionał.

Z Akcyi, która zrobił, publiczne pochwały;

W publicznych chwałach, ten głos, y okrzykach trwały,
Ieszcze wстыdu większego, lemu przyczyniły,

Skryłby sie był; gdyby mógł, ow Káwáler miły.

Ná koniec, iák o łaskę prosił, by prześtano.

Mowiąc: leśt w prawdzie u mnie, chwałá, dość kochaná.

Ile kiedy pochodzi, od tych co sie znaia,

Iako wy, y co cnote, z szacunkiem kochaia;

Wieć kocham chwałę od was, y dość o nią stoie,

Ale, żebym iey zbytne nie kochał, sie boie.

Bo chwały, psuia Ludzie, gdy Ich nadymaia,

Prożność Im, z prezumpcyá, rodza, y zadaia.

Trzebá ná nie záslużyć; ále Ich sie chronić,

A bardziey Ich sie chronić, nizeli le gonić.

Nie rozeznac prawdziwych, między falszywemi,

Y naygorši Tyranni, naybardziey sie niemi

Ciesza, przez swych pochlebcow. Coż zá guśt, chwalonym

Bydź iák oni! A zátym, Ieślim záslużonym!

Chwalcie nie przytomnego. Ieśli mie prawdziwie,

Dobrym bydź rozumiecie! mniemaycieśz to żywie;

Ze sie brzydze prożnością. Ieśli szacuniecie!

Chwalić mie, iák prożnego człeka, prześtaniecie.

To rzekszy, już Telemak, nic nie mowił daliy,

Choć go przecie, aż w Niebo prawie, wywyżfzali.

Y tym samym niedbaniem, zamknał wszystkim usta.

Ze tá Scena uśtála, komplementow, puśtá.

Nawet go sie urazić, dluzey chwalac, bano,

Lecz sie dziwić zaczęto, gdy chwalić prześtano.

Miłość, co Phisistratu, po śmierci pokázál,

Każdy z wielkim szacunkiem, y dobroć uważał.

Wiecey woysko pociągnął, láskáwości znaki,

Niz przez dowod dzielności w woynie, kilkoraki.

Wszy-

Wszyscy szepcą po cichu: Y dobry, y mężny,
Y mądry, y cnotliwy, skromny y potężny.
Kochanek ci to Bogów! y Heros prawdziwy!
Coś nad Ludzi mający! w cudach o sobliwy.
Człek dobry, y Przyjaciel, y pełen litości,
Dobrotliwy, y przykład przyjaźney miłości,
Roskosz tych, co z nim żyją, y już pozbył pychy,
Jak był ostry każdemu, tak teraz jest cichy,
Te są cnoty powabne, co sercá tykaia,
Życie zańbyśmy dąli, tak się podobaią.

Po tych mowach skończonych, mówić zaś poczęto:
Aby na Tron Daunczykow, Krolá mądrze wzięto.
Większa część się zgadzała: żeby kray podzielić.
Iako zawojuowany; Y zaraz udzielić,
Chciano Telemakowi, Arpos, zyzną ziemię,
Która dwakroć do roku, każde znośi siemię,
Cerery y Bachusa, z Minerwy oliwa,
Wymień (mówili) Iták, z krainą szczęśliwą,
Dobrzeć się y Dulichy, y Zakántu skály,
Beda, tego żyźnością kráiu, nádgradzały.
Oycá twego nie szukay; który pewnie zginał
Przez pomstę Naufithoa, * Neptun go nie minał
Gniewem swoim. Y Mátká, ná co ci się przyda!
Obleżona od Gachow, pewnie się Im wyda.
Oyczyzna twa, od Bogów, tak dawno skárana,
Nie ma ci tak bydz miła, iak tá od nas dáná.
Słuchał tych mow cierpliwie, moy Telemak, ále
Słowa miłosne, przedzey, ná Theffalskiey skále,
Przylgna, niżli ná sercu, Telemaká cnego;
Ná te ofiarowania Ich, cále głuchego.
Odpowie: Delicye, y żadne dostátki,
Mnie nie wzrusza; mizerne te, próżności siatki.
Zá nic mam lepsze kraie, y nad wiecey Ludzi,
Przekładam ma Oyczyznę, do niey mię chęć budzi.
Wiecey trosku, przy większym Państwie, się znayduie,
Wolności y pokoiu, á z tad się uymuie.
Dość, Ludzkie życie, pełne trosku, y kłopotu;
Zeby sobie, nowemi Krolestwami, potu
Przydawać! Y dość z sobą iest co samym czynić!
Aby chcieć, złemi Ludźmi, bied sobie przyczynić.

* Naufithous
Syn Ulisseja
z Kalipsy,
która Ulisses
porzucił.

Bbbb. Kto

Kto prágnie, zořtać Páncna: dla ſwoiey ořoby,
 Nie dla Ludźi pożytku, tylko ſwey ozdoby!
 Ten ieřt Tyran bezboźny, bicz národu ſwego;
 A kto zař, chce Krolować, dla dobra Ludzkiego,
 Według práwa cnych Krolow! ten w pracy niezmierney,
 Nie Pan, ále opiekun, ieřt poddanych wierny.
 Y nie dla ſwey rořkořzy, záżywa powagi,
 Lecz áby práca, cnoćie, práwom, dodał wagi.
 Pařterz, co ſwey nie ziađa powierzoney trzody,
 Ale broni od Wilká, ieřy ſzuká wygody,
 Pařac ia; táki nie dba, áby owiec řilá
 Miał, przez co więkřza práca, mu řie przymnożyłá.
 Iam ieřzcze nie Krolował, (Telemak dołóżył)
 Ale práwa czytaiac, juźem řie tym řtrwożył:
 Ze ciężko, kto chce dobrze, poddanym pánować,
 Národami, y Miářty, řluřnie powodować.
 A zá tym, z ubogiego, kontent Ia Itáku,
 řzczęřcie moie y řlává, bęďcie mi bez bráku,
 Gdy poboźnie, y řluřnie, wnim Krolować bęďe.
 A choć tego Kroleřtwá, nie záráz nábeďe,
 Day Boże, y uchoway řmierć, Oycá mego,
 Abym řie rzádzac řobá, rzádzić řam od niego
 Náuczył, řwych poddanych. Niech w nayřtarřze láta,
 Oćieć moy tam Kroľuie; To moy zysk, nie řtrátá.
 Przydał potym: Kroľowie! dla řiebie, řluchayćie,
 Dla was řamych, Daunczykom, Kroľa, zrak řwych dayćie.
 Kroľa řpráwiedliwego, ktory Ich nauczy,
 Ze zacepka řářiadów gwałtowna, nie tuczy.
 Czego ten, pod Adrařtem, Národ nie poymował,
 Ktory záwřze bezboźnie, z řářiady woiował.
 Krol zář mądry y řkromny, tak Ich poprowadźi,
 Ze was nie nie záczepi, ani wam záváďzi.
 Y beďa wam powinni, zá Kroľá dobrego,
 Zá pokoiu dar miły, od was Im danego.
 Nie tylko was nie ruřza, lecz pobłogosławia,
 Kroľa, rak wářzych dźiećo, gdy řobie wyřtawia.
 A ieźeři przeciwnie, kray Ich podźielićie,
 Te nieřczęřćia (przyrzekam) řobie przyćzynićie:
 Ten Lud, z deřperacyi, znowu woynę zácnie,
 Bić řie bęďcie o wolnořć; y od Bogów znacznie,

Y řlu-

Y słusznie, pomoc weźmie; ktorzy się Tyranstwem
 Brzydzą; woyna nabytym, przez miecz, y krew, Państwem.
 Jeśli Bog za nich stanie' prędko, czy powoli,
 Iako dym, szczęście wasze zniknie, we złey doli.
 Rada Wodzow opuści, a męstwo Zolnierze,
 Obfitość wasze kraie. wieccy się nie szerze.
 Mądrych rad, szczeręj prawdy, słuchać nie będziecie,
 Lekkomysłna odwaga, na szyki poydziecie,
 Zginiecie, y potym z was, tak będą żartować:
 A te to są Narody? co świat zawoiować
 Cały chciały! a teraz, przed nieprzyjaciół,
 Uciekają, iak owo, przed zbroynami goły?
 Bogowie to sprawili, y tey kary godni,
 Ktorzy się domagają Państw cudzych, w złym zgodni.
 Uwazaycie Panowie! Ze gdy rozdzielicie,
 Ten kray, po między siebie, wnet wszystkie złączycie,
 Przeciw sobie Narozy. Wyście na tym stali,
 Abyście Adraštowi, Państw waszych nie dali:
 A sami macie czynić! co chciał ten niezbożny?
 Uwazcie! Co o Lidze, trzymać tey pobożney.
 Będą waszey sąsiedzi? Daymy że wygracie,
 Z Daunienow, y z Inszyh, co Ich za nic macie?
 Postaremu zginiecie; Bo wasze zwycięstwo,
 Ktore, nie sprawiedliwość, ale dało męstwo,
 Sprawi w was pretensya, y wieccy mieć chcenie;
 A tak z takich pretensyj, prędkie powadzenie.
 Bo każdy, pretendować, będzie chciał, bez miary,
 Każdy według swej siły, nie bojąc się kary,
 Będzie szukał nadgrody; żaden zwas tak silny
 Nie będzie, aby podział lego, nie omylny
 Był, po między drugiem. Zgoła, co zrobicie,
 Na tym się sami z sobą, prędko powadzicie.
 Y w woynę tak okrutną, niehcący wnidzicie,
 Ktorey się, aż do śmierci waszey, nie zbedzicie.
 Nie lepiż! ambicya. słusznie moderować?
 A niż przez nią nieszczęścia, tak wielkie gotować.
 Większe dobro jest pokoy, roskoszy niewinne.
 Co z nim chodzą, obfitość, y cne dary Inne.
 Tak to sławą, przy prawie, u sąsiad estyma;
 Kto się słowa danego. y służności trzyma.

Wszystkie te, gruntowniejsze są, szczęścia dowody,
Niż podbijać niesłusznie, Państwa y Narody.
Patrzcie! bez Interesu że mówię, Krolowie!

Ze was kocham, gdy prawdę odkrywam, wtey mówię.

Gdy tak, zawsze Telemak, swe mowy rozwodził,
Zpowaga niewidana! Wszystkich tam przechodził,
A Pánowie zdumieni, mądrość lego rady,
Uważali, niewiedząc, na które iść ślady?
Szmer się w kole uczynił, a w obozie całym,
Wprzód bywłszy, dał się słyszeć, y Wodzom zdumiałym,
Dając znać: Cudzoziemiec iakiś, na te brzegi
Wyśiadł, pewnie nie jedne, wytrzymałszy biegi.
Z kupą Ludzi zbroionych; A ten nie znaiomy,
Heroiczney jest miny, godności widomey.
Łatwo czytać na twarzy, że cierpiał nie mało;
Ze nieszczęściom, lego się serce, nie poddało.
Ludzie, co brzegów strzeżę, wysięć mu nie dąli,
Bo, że wpaść chce gwałtownie, y pośięć, mniemali.
Lecz on miecza dobywłszy, sam nie ultrażony,
Rzekł: że się bronić będzie, od nich zaczepiony.
Mówił, że nic nie pragnie, tylko tu pokoiu,
A Ludzkiego przyięcia, nie myśleć o boiu.
Y wnet dobył gałazki, przy proźbie, oliwy;
Tak był od nich przyisty, iako gość cnotliwy.
Prosił, aby go do tych, zaraz prowadzono,
Co kraymi Hesperyj rządzą, y korona.
Więc go do Krolow wiodą, razem zgromadzonych,
A nad tą relacyą, bardzo zádumionych.
Po ktorey, nieznaiomy ten, do koła wchodzi,
W każdym, miną wspaniała, podziwienie rodzi.
Ledwoby go, za Marsa przyiać, nie potrzebą,
Gdy na gory Theffalskie, do woysk zchodzi z Niebą.
Włzedłszy Rycerz, tak zaczął: Narodow Pasterze!
Krolowie, y Wodzowie, y dzielni Rycerze!
Ktorzyście, bez wątpienia, tu się zgromadzili,
Abyście tey oyczyzny, przeciw złym bronili,
Albo, żebyście kwitnąć, świętym prawom, dąli;
Proszę, abyście mnie tu, krotko posłuchali.
Człowiek, co fortuna zła, prześladowała,
Daj Boże, aby nigdy, was tak nie tykała.

Jam Dyomed, Etholi Krol ow niešťczešťliwy,
 Com pod Troia, Wenerze, rane urodźiwey
 Zadał; A tey Bogini, pomsta za mna chodźi,
 Y po całym mi świecie, nowe meki rodźi.
 Neptun, ktory odmowić niechce, tey Bogini,
 Wiatrow, Morza impetow, igraška mi czyni.
 Ktore, nie raz, o skały, me okrety zbiły.
 Ledwo tylko, przy życiu biednym, zostawiły.
 Wenus nie ubłagana, nadzieie mi wzięła,
 Wroćić się do Oyczyzny moiey, y wesela.
 Abym widział swe Państwo, światłem się ochłodził
 Oyczyſtym, pod ktorymem, się niegdy urodził.
 A tak, zdesperowawszy, co mam naymilszego,
 Widzieć! Chwytam się brzegu, tu nieznaíomego.
 Po tak gęstych rozbićiach, odpoczynku szukam,
 O pewne przytulenie, do serc waszych pukam.
 Jeśli Bogow kochacie! a Iowisza ile!
 Ktory zwykł Cudzoziemcow, sam przyjmować mile;
 Jeśliście litościwi! udzielićieſzmi iaki
 Kąt ziemi, na ktorym ja, oyczyzny mey znaki,
 Y smutny obraz, miasto, zostawie funduiac,
 Puſtey, nie zyzney ziemi, od was potrzebuiac.
 Będziem żyli w pokoju, do niego ochoczy,
 Ani żaden z nas, przeciw wam, nic nie wykroczy.
 Będa Nieprzyiaćiołmi nam, Nieprzyiaćiele
 Waſi, pod prawem waszym, żyć będziemy śmieie.

Gdy Dyomed tak mowił, Telemak, weń oczy
 Wlepił, a różne myśli, y paſſye toczy.
 Bo kiedy, swe niešťczeſćia długie, rozpowiadał;
 Mniemał, że był Uliſſes; Ale iak dogadał,
 Y nazawał się Dyomed, twarz Telmaka zbladła,
 Iak kwiat od Aqwilonu, że tak myśl nie zgadła.
 Tę skargi Dyomeda, na prześladowania
 Bogini, w Telemaku dobyły wzdychania.
 Przypominaiąc, Oyca troski, y fraſunki,
 Przez takież, z nienawiſci Bogini, tráfunki.
 A w tym łza, y radoſci, y żalu, wypryſnie.
 Y ſciſnać Dyomeda, Telemak się ciſnie.

**Rezus Krol
Thracyi; pod
Troia od Uli-
fesa y Dy-
medesa, szpie-
gujacy oboz
Grecki w nocy,
poimany, y za-
bity.*

Iam (rzekł) Syn Ulissea, tobie znaiomego,
W Rezusa * poimaniu, tobie potrzebnego
Gdys konie sławne zabrał. Także bez litości,
Ulissa Bog traktuie, w swej nieszczęśliwości.
Iesli Erebu wyrok, ma bydz mi prawdziwy!
To żywy iest moy Ociec; lecz nie dla mnie żywy.
Porzuciłem moy Itak, teraz ni Itaku,
Ni lego widziec, nie mam szczęścia, ani znaku.
A tak, przez me nieszczęścia, sam osadz nieboze!
Iak do cie kompassya, bydz w mym sercu może.
Ten my tylko pozytek, z nieszczęść odbieramy;
Ze my, nad nieszczęsnymi, kompassya mamy.
Lubom tu Cudzoziemiec, y pełen frasunku,
Mogec iednak, coś u tych, dac Pánow, ratunku.
Bo lubo, w frogiey biedzie, moiey, wychowany,
Oyczynny! Przeciem nie był, aż tak zagrzebany,
Aby mi była, twoich boiow, sława tajna,
Z niezmiernym Achillesem, prawie iednostajna.
O! z Grekow niezwyctiezón! badzże pewien tego,
Ze z tych Krolow, co widzisz, nie masz tu zadnego,
Zeby dobrze nie wiedzial, co w nas ludzkość umi,
Ze bez niey, mestwo, sława, y cnota sie tłumi.
Nieszczęście, wielkim Ludziom, splendoru przydaie,
A gdy go nie doznali, coś Im niedostacie.
Y gdy w nich, cierpliwości, nie znaydzie przykladu,
Iest godność, iest y sława, lecz nie bez zawadu.
Sercom dobrym panuie, gdy cierpiaca cnota,
Y do ratunku dobrych, wnet bierze ochota.
Dayze nam, ciebie cieszyć w nieszczęściu, staranie,
Ponieważ iestes naszym, przez Bogow zesłanie.
Iest to dar Boży, y my, za szczęście miec mamy,
Kiedy ci y ratunek y pośilek damy.

Gdy to mowil Telemak, Dyomed zdumiony
Patrzył w niego, a w sercu, na wskroś przerażony,
Wzial go ścisnąć, y tak sie, oba oblapiali,
Iakby sie już to z dawna, dobrze z sobą znali.
Godny Synu Ulissa! Dyomed mu rzecze,
Poznaie Oycá godność, w tobie młody człecze.
Nie tylko twarz w twej twarzy, lecz w słodyczy mowy,
Moc stylu, godność sensow, znak mi iest gotowy.

Nieba-

Niebawem, y Philoktet. Dyomeda witá,
 Ściska ieden drugiego, y o swoy traf pyta.
 Ten temu, swe nieszczęścia, wzajem rozpowiada;
 Az Philoktet, Nestora nieszczęścia, powiada.
 Pewnie będziesz rad widział Stárca, tak madrego,
 Lecz śmiercią Phisistrata, nader strápionego.
 Rzekł: strácił ostatniego z swoich Dzieci Syna,
 W nim nádzicia ustála, y pociech przyczyna,
 Y już nic nie zostało, po tym miłym Synie,
 Łzami, do grobu kresu, swemi, stárzec płynie.
 Idź go cieszyć. Przyjaciel, kiedy jest życzliwy,
 Naylepiey cieszyć może, gdy sam nieszczęśliwy.
 Poszli wnet do Nestora, ktory Dyomeda,
 Ledwo poznał; tak zmysły odieła mu bieda.
 Zrazu płakał Dyomed, y przydał frasunku;
 Lecz po chwili się Starzec ućieszył z trafunku,
 Widzieć w nim przyjaciela; y gdy opisuie
 Swe nieszczęścia Dyomed, to żalu uymuie.
 Dopieroż zawieszzone, lego były zale,
 Gdy swe biedy Dyomed wymowił, mu w cale.

Gdy się z sobą bawili; Zebrani Krolowie,
 Z Telemakiem radzili, myślac: Iego mowie!
 Y radzie, iaki koniec skuteczny dać maia?
 A tak kiedy uważnie, wszystko rostrząsaia,
 Telemak zaś Im radzi, y prosi usilnie,
 Aby Dyomedowi dać kray Arpos pilnie.
 Za Krola zaś Daunczykom, Onże proponuie
 Czleka, co Polidamas, w Imie się mianuie.
 Ten był, z Wodzow Adrasta, Zolnierz naysławnieyszy,
 Lecz przeto Adraستowi, nie był naymileyszy.
 Bo Adraست zazdrościwy, sobie przypisywać,
 Chcac wszystko, Iego w woynie niechciał nic zazywać.
 Często go Polidamas, tajemnie przestrzegał,
 Zeby ná los fortuny, puszczać się wystrzegał,
 Życia y Państwa swego, teraznieyszey woyny;
 Ze się Lud wielki zprzysięgił ná niego, y zbroyny.
 Chciał go przywieść, áby szedł z Ludźmi; prosta droga;
 Ale Ludzie, co prawdę maia za rzecz troga,
 Y tych co prawdę mowia, także nienawidza.
 Y ani Ich szczerości, ni affektu widza.

Cccc 2

Tak

Ták fortuna zdracliwa, serce zatwardzálá
 Adrástowi, y zdrowey brác rady, nie dálá.
 Zá ktorą lubo nie szedł, że się mu udało,
 Zwycięzać nieprzyjaciół, ztąd mu się tak zdało;
 Ze zdrada, gwałt, niesłuszność, sekunduiać męstwo,
 Lepiey mu, niżli cnota, sprawiały z wyćiestwo.
 Ale że te nieszczęścia, co mu przepowiadał
 Polidamas, nie przyšły, kiedy szczęściem władał;
 Adrast, z iego zartował mądrości trwożliwey;
 Nieznośny się Polidam zdał, y nie życziwy
 Wszystkie odiał mu rzady, w ubostwie wpustyni;
 Zostawił go. Co z razu, Polidama, czyni
 Smutnym, ále nieszczęście, ktore go potkało,
 To mu darzyło, czego mu, nie dostawało.
 Oczy mu otwieraiać, nad fortun mylnością,
 Nabył mądrości, gdy to uważał, z pilności.
 Ucieszył się z nieszczęścia, milczeć się nauczył,
 Skromnie żyć y kármić się cnotą, prędko wuczył.
 Y ćwiczył się w tajemnych cnotach, w samym sobie,
 Y w droższey niżeli tá, co w oczach, ozdobie.
 Pokázuie się światu. Uczyl się y tego,
 Aby nie potrzebował, człowieka żadnego.
 Mieszkał pod gora Gargan, gdzie skálá sklepiona,
 Dach mu czyniła tylko, á rzeczka spuszczonea
 Zgory, była piwnica; A spiżarnia z drzewa,
 Z ktorych śliczne owoce, ná stół prosty miewa.
 Miał przy tym, grunéik pola, ktory sam rękami,
 Spráwował, y ze dwiema, żył niewolnikami.
 Z niemi, takie ponošil, koło roli prace,
 Ze mu ziemia wracała stokratne ztąd płáce,
 Nie tylko leguminy, lecz y wonne kwiáty.
 Tam oplákiwał, Ludzkie, y złych Krolow stráty,
 Do ktorych, Ambicya nie pohamowana,
 Ich wiedzie. Tamże czekał, że y lego Páná,
 Słuszni, choćiay leniwi, Bogowie uderza,
 Ktorem ni on, ni lego szczeczkowie, nie wierza.
 Im większe szczęście widział, tym pewnieysza stráte
 Widział Tyraństw, y niecnót, niechybną zápláte.
 Nieuwaga, w swym szczęściu, y moc naystrasznieysza;
 Jest upadku prognostyk, to rzecz naypewnieysza.

Kiedy

Kiedy zaś się dowiedział, że Adraſtá zbito,
 Y że ſamego, w teyże potrzebie, zábito,
 Nie pokázał weſela. ni, że go uchował
 Bog, od Tyranna, ni że, to co prorokował,
 Stało ſię bezbożnemu, tylko ſię fraſuje,
 O Daunczykow. Tego to Telmak promowuie,
 Zá Krola Colligatow. Bo znał dzielność lego,
 Y wiedział, y o cnoćie, y meſtwie onego.
 Miał bowiem to z Mentora; y tego ſię chwytá,
 Ze o wſzytkich cnym meżach, ciekawie ſię pytał.
 Nie tylko, co ná woynie tey, w kupie ſłużyli,
 Ale co w nieprzyjaźnym woysku, godni byli.
 Y wiedzieć ich przymioty, nayıerwíſze ſtáráníe
 Miał, á to, ná zupełne, cnym náſládowanie.
 Colligáci Pánowie, z rázu ſzkrupul mieli,
 Aby Polidamaſa, ná tron Daunow wzięli.
 Doznaliſmy, iáko Krol Daunczykow, ſtráſzliwy,
 Gdy woyny umicietny, y oncy leſt chćiwy.
 Niebeſpieczna, tym meżnym Ludziom, dáć zá Páná.
 Takiego iak Polidam dzielnego Hetmaná.
 Ale Im zaś Telemak, mądrze odpowiedział:
 Lubi woynę Polidam, dobrzem to ía wiedział;
 Ale lubi y Pokoy, y to nam oboie.
 Powinno bydz przyiemne. Kto przez życie ſwoie,
 Doznał woyny nieſzczęſcia, niepewność, trudnoſci,
 Predzey ſię ley uchroni, niź Krol bez mądroſci,
 Y experyencyi. On życie ſpokoyne,
 Iuź polubił; on ganił, Adraſtowi woynę.
 Widział koniec fatalny. Krol niebeſpiecznięſzy,
 Sláby, nieuk, niź ktory, ſam umicietnięſzy.
 Bo ten, ſwych Faworytow, rzecz widzi, oczami,
 Y o wſzystkim z pyſznemi radzi, podchlebcami.
 Y niechcąc, da ſię w woynę okrutną, wprowadzić,
 Nie będąc ſobie Pánem; może wam záwadzić.
 Y ſłowa, iáko woli, gdy wam nie dotrzyma,
 Zgubi lub was, lub ſiebie, ſam ſię nie otrzyma.
 A nie lepiź? nie pewniey? Czy nie bardziey ſłuſznie?
 Dać Daunom Krola, co go, od was prágná dłuźnie,
 Y ktory, leden może, pánować Im godnie.

Ná te ſłowa wſzyſcy ſię podpíſali zgodnie.

D d d d

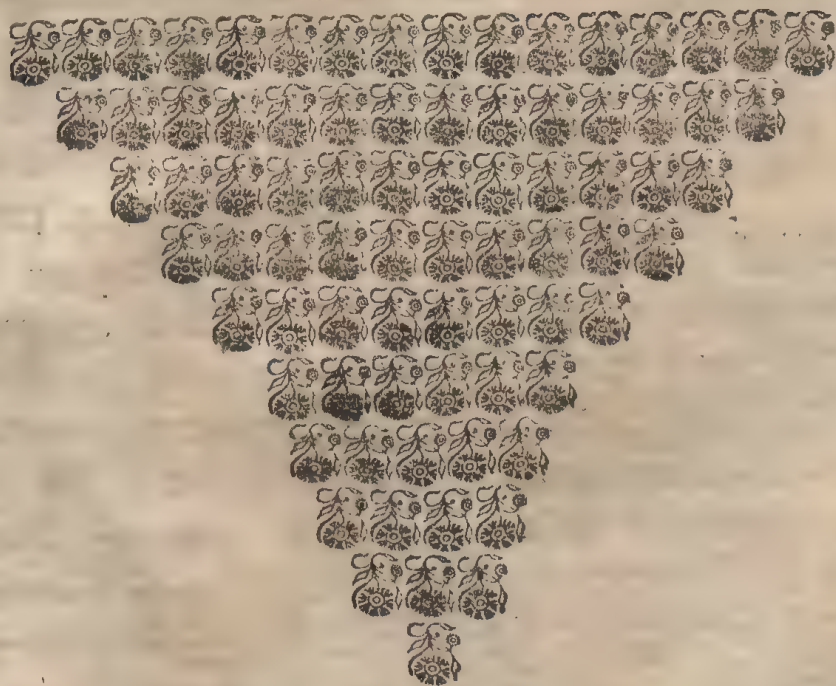
Y záraz

Y zaraz do Daunczykow, lednego posłali:
 Ze Krolem Polidamas, ktorego żądali.
 Gdy Imie Polidama, oni usłyszeli,
 Posłowi Colligatow, tak odpowiedzieli:
 Teraz dobrze widzimy! że z nami cnotliwie;
 Postąpić Colligaci chcą, y nam zyczliwie,
 Pokoy wieczny utrzymać; kiedy nam takiego,
 Za Krola proponują, Páná cnotliwego.
 A gdyby niewieściucha, nam proponowali,
 Zdrady w ofiarowaniu, mybyśmy się bali.
 Mniemając, że obalić cały Národ, myślą.
 Gdy na skazę praw naszych, nieuká nam przysła.
 Za takiby proceder, y tak pełny zdrady,
 Byłoby się spodziewać, między nami zwady.
 Lecz kiedy Polidama, Krolem obieraia,
 Oszczerey ku nam checi, znak nam pewny daia.
 Y wzajem wszystko dobre żeby mieli, trzeba,
 Od nas, kiedy nam daia Krola, iákby z Niebá.
 Ktory się, nic wolnościom naszym, nie sprzeciwi.
 Za tym się protestuie. O! Bogowie żywi!
 Ze się wprzód do swych zrzodeł, náząd rzeki wroca,
 Niż się nasze przyiaźni, wždy zwami przewroca.
 Day Boże! áby nási, wieczni Potomkowie,
 Pamiętni, za was swoje, pokládali zdrowie.
 Y niechay, pokolenia nasze, odnawiaia
 Złoty wiek, co zrak waszych, z Hesperryi maia.
 Potym prosił Telemak, áby Arpos dali
 Dyomedowi; Czego nic nie odmawiali.
 Ten Lúd, który z nim przyszedł (tak Im mowi) będzie
 Za uczynność, powinien bydz, wam wdzięcznym wszędzie.
 Pamiętaycie, że Ludzie, kochać wzajem maia
 Ludzi drugich; Y co Im, ziemi uzyczaia,
 Nic nie traca. Bo záfwe lasiádow mieć musza.
 A lepiej mieć takowych, ktorzy sercem, dusza.
 Wdzięcznemi za kray beda. Y wy się lituycie,
 Nad Krolem nieszczęśliwym, ziemi nie żałuycie,
 Temu, który więzami, wdzięczności y cnoty,
 Nie zbędzie, do Pokoju wiecznego, ochoty.
 Y który was, do tego, mocniejszy sprawi,
 Y sił waszych przyczyni, y po świecie wsławi.

Widzicie

Widźcie Daunczykowie! Ze iák było trzebá,
Tákiegośmy wam Krolá dáli, co pod Niebá,
Sławe waszą wynieście; Y wy też dla tego,
Daycie ten kray Krolowi, co iest godzien lego.

Dauni odpowiedzieli: że Telemakowi,
Nie odmowic nie mogą; lego affektowi
Dodać wszystko powinni, że Im zrobił Pánem,
Polidama, od wszystkich dawno pożądanym.
Po ktorego, zarázem, wszyscy się ruszyli,
By go, wzięwszy z pułtyni, ná tron osadzili.
Ale nim odiechali, kray Dyomedowi,
Arpos oddali, cnemu, osadzać Krolowi.
Colligaci, kontenci, z tego dárú byli;
Ze Grecká Colonia nowá, się zmocnili.
Gdyby się Daunczykowie, porwać kiedy chcieli,
Y zączepki zley, przykład, od Adrástá wzięli.
Ták gdy woynę, pokojem, szczęśliwie skończyli,
Colligaccy Krolowie; Náto się zgodzili:
By w Salencie, oglądać, Mentorowe sprawy,
Y swe formować Pánstwa, do lego ustawy.
Lecz gdy każdy, wprzód swoy Dom widzieć, usiłuje,
Sam Telemak, się wdrogę, spieszno wypráwuje.





TELEMAKA X I Ę G A D Z I E S I A T A

SUMMARYUSZ KSIĘGI DZIESIATEY



Telemak, pożegnawszy Królow
idzie do Salentu. Gdzie stana-
wszy, dziwuie się odmianom,
radą Mentora poczynionym.
Czyni mu relacyą wojny z A-
drastem: Mentor, pokazuie mu
błędy Iego, y obiecuie mu pręd-
ko widzieć Oyca. Telemak mu odkrywa mi-
łość, do Anthyopy Corki Idomena. Mentor to
approbuie, y prorokuie mu, że będzie Zona
Iego. Telemak prosi o Okręt Idomena, y otrzy-
muie go. Rusza się z kráiu Salentynow. W tym
okręcie, Mentor dáie mu nowe Lekcye. Przy-
pływaią do Iedney wyspy, ná branie świeżey
wody; Tam zastaia Człowieká nieznáíomego,
ktory, ze skały ná skałę chodził, niechcac się

Im

Im dąć poznać. Telemak niewiedząc przy-
czyny, sam się w sobie miesza. Mentor
nie powiada mu, że to był Ulisses, aż kie-
dy z tej wyspy popłynął. Zali się oto Te-
lemak ná Mentora, który w tymże mo-
menćie, postać odmienia, y Minerwę się
bydź pokazuje. Telemak zádumiony, pá-
dá do nog, y dziekuje Minerwie. Tá Bo-
gini, podnosi go łaskawie z ziemi, y no-
we Instrukcyę mądrości, cnoty, y boiaźni
Bogow, mu dáie; A potym z oczu Jego
niknie, y zostawuie Telemáka, przeni-
knionego wdzięcznością dobroci swoiey.
Telemak ruśza się zaráz, przypływa do
Itáku; gdzie zastaie Ulissesa Oycá swego,
u wierneho Eumeusza.

Telemak, nie bez płaczu, w drogę się zabiera;
Wszystkich sercá za sobą pociąga, y zbiera.
Mężnego Dyomeda zegna, y stárego
Nektora, w żalu swoim, nieukoionego.
Toż czyni z Philoktetem, strzał Herkula, godnym
Dziedzicem. Wszystkich zegna, affektem dowodnym.
Młody Syn Ulissesa, do Mentora śpieszył,
Bo że z nim, znajdzie Oycá w Itáku, się cieszył.
Gdy zbliżał do Sárentu, zdziwił się nie máło,
Ze polá w okolicy, co mu się dostało.
Zostawić nie sprawione, iak w łakiej puśtyni,
Zastaie iáko ogród, co pożytek czyni.
Pełno w nich robotniká, każdy ścieie, orze;
Zawołał, twe to dzieło, o mądry Mentorze!
Ale gdy w Miásto wchodzi, mniey już robotniká,
Do wspaniałych budynkow, że widzi, nárzeká.
Bo Telemak, wspaniałość, Sam lubił z náturey,
Miast ozdobe, fortece, w nich Pompe y mury.

Eeee

Ale

Ale prędko w tej myśli, on się reflektował,
 Y miasto tej nagany, wnet się uradował.
 Iednak, lubo tak mężnie na wojnie obstawał,
 Przecie się on, Mentora przymowki, obawiał.
 Im się bardziej przybliżał, do Mentora swego,
 Pilno z oczu uważał, iesli kontent z niego.
 A náprzód go Idomen, iako Syná ścisną;
 Potym Telemak, zbiegszy do Mentora, zbliśną.
 Uchwycił go za szyję, y kropił ją łzami;
 Ale mu Mentor rzecze: Twemi akcyami,
 Dosyć mię kontentuiesz; prawda, złegoś siłą,
 Nárobił, w swoich zwadach; ale ci to była
 Okázya, poznania, samego się z sobą;
 Często błąd gdy z poprawą, stáie się ozdoba.
 Człowiek z błędu, pożytku, przy dobrym frásunku.
 Pod czas więcej dostáie, niż z cnych dzieł tráfunku,
 Albowiem, cne uczynki, y akcyę słáwne.
 Prowadzą w prezumpcyę, y nádeję iáwne.
 A błędy, reflexyá Człowiekowi dáia,
 Y rozum, przez fortune strácony, wráćia.
 Teraz ci nie dostáie, tylko pásć na nogi.
 Y iedne tylko, głośno, chwalić Swięte Bogi.
 Chwał Ludzkich nie potrzebuy; A ja sam przyznaję,
 Ześ wielkie czyny zrobił, że ci się udáie.
 Ale przyznay, że nie twych rak, to było dzieło.
 Ze nie z twoich sił, mestwo takie, wychodziło.
 A zaześ Ich nie psował, przez twoie prędkości!
 Y znaczney prezumpcyi, złe popędliwości?
 A zaześ sam nie uczul? że Minerwy Swiętey,
 Przemieniony zostáłeś reką, y uiety!
 Od nieys, był wywyższony, aż nad twoie siły.
 Od niey, twe błędy na czas, záuieszzone były.
 Iako Neptun, gdy burze chce uśmierzyć cále,
 Wprzód wichry pozámývá, y ugłászczé fale.

Gdy Idmen, Creteńczykow swoich, wypytywał!
 Iako z niemi Telemak, zwycięstwa nábywał?
 Telemak w swym Mentorze, cále utopiony,
 Rad słucha, y mądrości Iego, doświadczoney.
 Potym, pátrząc na Miasto, bardzo się dziwuie,
 Ze dawney wspaniałości, w nim nie obserwuie.

Pyta

Pyta się: Czy nieszczęście, nie było tu iakie!
 Ze gmachow opuszczenie, widzę w Mieście iakie?
 Z kadż to! że ni srebra nie widzę, ni złota!
 Gdzie się cudna, z marmurow, podziiała robotą?
 Suknie proste u Ludzi, á budynki mnieysze,
 Rzemieślnika o male, miasto mniey Ludnieysze.

Uśmiechnie się tu Mentor, y tak mu odpowi:
 Przypatrzył żeś się polom! y w koło kráiovi
 Miásta! Rzeczce Telemak: Prawda, uważałem,
 Wielka práce oracka, y grunta widziałem,
 Zárosłe, już dobyte. Coż tedy lepszego!
 Mówi Mentor: Czy miásto, od złota pysznego,
 Lśnące się, á zaś pola, bez chleba ubogie?
 Czy Miásto, skromne w gmachy, á w obfitość drogie?
 Miásto wielkie, y pełne, tego Rzemieślnika,
 Z ktorego roskosz wszelká, Mieszkańcow wynika;
 A to Miásto, nie żyznym kráiem, obtoczone,
 Y w role, y w ogrody, w koło opuszczone,
 Jest to monstrum, ktorego głowa, zbyt nabrzmiála,
 Jest wielka, á zaś członki, schną y wiedzna, ciála.
 Liczbá to, nie budynki, pospolstwa kárnegó,
 Wprzód w prace, z tad w owoce, obfituiacego,
 Czyni mocnym Krolestwo, prawdziwie bogatym;
 Y Idomen, że przestał, zdánium moim ná tym,
 Teraz, ma nieźliczony Lud, y pracowity.
 A kray cały ná koło, żyzny y obfity,
 Jest iák Miásto. Y Sálent, co siedział w pułstyni,
 Osiadłych wsi y gęstych, teraz centrum czyni.
 Im więcej kráiu, tamże, Ludzie osadzaia,
 Tym więcej y owocow, z ziemi dobywaia.
 To kráiu osadzenie, wiéksze pomnażanie,
 Państwa czyni, niż nowych Państw, záwoiowanie.
 Z miásta nic nie wygnano, tylko te rzemiosła,
 Ktore ná świat dla Ludzi, rozpusta przyniosła.
 Ktore to chleba szukać, ubogim, nie dáły,
 A ktore zaś bogatych, we zbytkach psowały.
 Y tak teraz Idomen, będzie się znaydował
 Moźnieyszym, niż gdyś Iego pompie, się dziwował.
 Bo tá pompa powierzchwnia, słabość Iego kryła.
 Ktoraby Państwo Iego, predko wywrocila.

Eccce

Teraz,

Teraz, wiecey poddanych ma, y pożywienia,
 Ktorzy będą do pracy, y chlebá robienia,
 Wuczeni, będą ginać, przez cných praw ochrone,
 Aby dáli, kráiovi żyznemu, obrone,
 Ktory sami sprawili. Tak, co ci się zdały
 Puště kráie, są lepsze, w Hesperyi całej.
 Pámietay Telemaku, y miecey to ná pieczy,
 Ze w rządach, niebezpieczne Krolom, są dwie rzeczy:
 Pierwsza wola Krolewska, niesłuszna gwałtowna,
 A druga, zbytowa jest moc, w Ludziach nie hamowna.
 Kiedy się Krole wucza, nie dbać ná prawo,
 Tylko ná swoją wola, y przy niey stać zwawo,
 Gdy cugle swoim żadzom, całę wypuszczają!
 Prawda, że mogą wszystko, ale się nie znaia:
 Ze, ta mocą tak zbytnią, fundament możności
 Podbieraia, przez passyj swoich, zuchwałości.
 Sami z siebie, nie mają reguły, do rzadu,
 A człowiek nie mają, do poprawy bładu.
 Káždy się, do pochlebstwa, przed drugim ubiega:
 A nikt złemu, swa dobra rada, nie zábiega.
 Bo, z poddanych uczynił, w káżdym niewolniká,
 Co mądry, to ućieká, y Dworu uniká.
 Aż wnet, rewolucya błysnie, niespodzianie,
 Ktora skróci zbytę moc, y Panowanie.
 A często, kiedy się chce, w przypadku ratować,
 Tym samym, czym chce powstać, musi wszystko psować.
 Y nie jest, do upadku, nie sposobniejszego,
 Iáko moc Pánowania, niepowściągnianego.
 Iáko łuk náłożony, kiedy go nie spuszcza,
 Ztwardnieie y łomie się; Tak Pan Bog dopuszcza;
 Y ná tego Idmena. Lub zbytńia powagá,
 Rozum w nim, ze słusznością, gwałtownie przemaga;
 Y lubo go, Iáko wiesz, z Tronu oyczystego,
 Zpędziłá, lecz nie mieni, w nim nálogu lego.
 Aż nas przysłać, Bogowie, w te kráie musieli,
 Abyśmy tę moc zbytńia, y ślepá odieśli,
 Co Ludziom nie przystoi. Ielźcie było trzebá,
 Ná otwarćie mu oczy, iák wiesz, cudu z Niebá.
 Druga rzecz, nieszczęśliwa, ktorá Pánstwa psuie.
 Jest zbytek. Bo iáko, moc zbytńia, Krolow truje,

Tak

Ták zbytek, Národ cały. Ci bowiem mawiaia,
 Ze zbytki, Lud ubogi, żywia zbogacaia;
 Nie wiedzac, że ubodzy, wieccyby zyskali,
 Gdyby z ziemi owocow, co raz dobywali.
 Nie mnozac rokoszami, bogatych rospusty,
 Miálby się każdy dobrze kray, nie byłby pusty.
 A tak zbytek, już za rzecz, do życia potrzebną
 Maia, y wymyślaia; iáko rzecz chwalebna
 To, co się na nic nie zda. Obeyść się nie mogą,
 Bez tego, co dla zbytku, musza kupić drogo.
 Te zbytki, zowią modą, inwencya rzadka,
 Cwiczeniem rzemiosł Pánstwa, polityka gładka.
 Ten nałóg, co występku, z siebie, siła rodzi,
 Zowią cnotą, bez ktorey, już się żyć nie godzi.
 Co, iák powietrze, wszystkim zadaje zarázy.
 Krewny Króla, náprzód się, náśladować wázy,
 Krolewskiey wspaniałości; á Krewnych Pánowie;
 Pánów Szlachta; á tych zaś, Chudzipácholowie.
 Nikt się pędzia nie mierzy, y każdy się sadzi,
 Wieccy czynić niż może; Co fortune wadzi.
 Jedni, całé przez pychę, y bogactw pomocy,
 Drudzy z wstydu; Tak jedno, za drugim się toczy.
 Nawet y ci, co tyło, w tym rozumie maia,
 Ze ten nierząd powszechny, w drugich potępiaia;
 Tyło serca nie maia / by głowę podnieśli,
 Y mądrym swym przykładem, te występkę znieśli.
 Národ się ruinie, stány się mieszaia,
 Gdy z Pánami, podleysi z Póspolstwa, równaia.
 A passya, mieć dosyć, na expensy prózne,
 Psuie poćciwych, dając inwencye różne.
 Nioczym się nie myśli, tylko bydz bogatym,
 Pożycza się, nie wraca, y nie dosyć natym,
 Tyśiac sztuk nie godziwych, na zysk się záżywa,
 Y z głowy, á nie z pracy, pieniądz się dobywa.
 Iakoż to źle uleczyć / kedy wszyscy bledza!
 Chyba się lm cne prawa, przykładem sporadza.
 Czego nikt nie uczyni, chyba Król rozumny,
 Bardziey rzeczą Philosoph, niżli pompa dumny.
 Y który, uskramiaiać sam, Krolewskie czyny,
 Záłoży przez swoy przykład, na zbytników winy.

Ffff

Ich

Ich potępi, a mądrych, swym przykładem, Ludzi,
 Ze od mod nie potrzebnych, oderwa się, wzbudzi.
 Co gdy słyszy Telemak, iak ze snu porwany,
 Uznał prawdę tej mowy, nieoszacowanej.
 Ktora się, na umyśle jego, rysowała,
 Iak złotem na marmurze, sztuka doskonała,
 Co affekt prawie, z życiem, w kamieniu wyraża,
 Kto dobrze, delikatność skulptora uważa.
 Jednak, nie odpowiedział on nic. Mentorowi;
 Ale myśl swą poddawszy, lego dyskursowi,
 Obiegił miasto oczyma, y nowe odmiany
 Uwazając, do niego, tak rzekł, zádumiany:
 Widzę, że Idomena, mądrszym uczyniłeś.
 Między Krolmi Iaszemi; Tak go odmienileś!
 Ze ni lego, ni Ludu, w cale nie poznawam;
 A ia zaś, to coś zrobił z nim, większą uznawam
 Rzecz, nizeli zwycięstwo, cośmy otrzymali,
 Ktore moc, y przypadek, na woynie nam dały.
 Sukces, lubo szczęśliwy, kiedy jest na woynie,
 Zawsze gorzki, y przecie łzy wytacza hoynie;
 Lecz twe dzieło, jest dzieło, Niebieskiey mądrości;
 Wszystko miło, spokojney, pełne uprzejmości.
 O Ludzie! ktorzy sławy, uśilnie szukacie!
 Czemu się, dobrze czynić Ludziom, nie staracie!
 Iak się nie znacie sami? gdy świat plondruiecie!
 Y krew Ludzką niewinna, tak chćiwie leciecie.
 Mentor radość pokazał, y że mu jest miło,
 Telmakowi, zwyciężać, że się uprzykrzyło,
 W wieku młodym; w ktorym to, będąc zaiuszony;
 Był sława tak wysoka, świeżo uwieńczony.
 Potym przydał to Mentor: Prawda to, że chwały,
 Godno wszystko, co widzisz, lecz nie doskonały.
 Ieszczeby lepiej, mogło w prawić się, w tym rządzie.
 Idomen, w prawdzie, trzyma na wodzach, swe żądze,
 Y Lud swoy moderuje; Lecz jeszcze nie mało.
 Jest bładu, co z dawnego nálogu zostało.
 Gdy Ludzie, złe rzucają, w sobie obyczaje,
 Zły nálog, przecie od nich, nie zaráz odstaje.
 Y natura słabiecie, pod bładow dawnością,
 Ani się da uleczyć, y cnoty miłością.

Szcześliwi! ktorzy nigdy, iey nie odstapili,
 Doskonalszemi tacy, y będa, y byli.
 Bogowie, Telemaku! wiecey potrzebuia
 Od ciebie, niż Idmena; Bo tobie skazuia,
 Z dziecinstwa prawie cnote; Y że ci nie dąli,
 Zbytnym szczęściem sie psować, ktorym go skąrali.

Idomen (mowił Mentor) iest dość oświecony,
 Ale, wkazda rzecz weyrzec, zbytnie iest włożony.
 Nie myśli generalnie, iak prowadzić sprawy.
 Ale sam wszystko robić, swey mniema bydz sławy.
 Ten ktory rządzi Ludźmi, nie w tym sprawny będzie,
 Kiedy sam wszystko czynić, chce dokazać wszędzie.
 Y iest to gruba próżność, chcieć wyperśwadować,
 Ze prawie bez pomocy, może kto pánować.
 Krol iest mądry, gdy takich, dobrze wybrać umi,
 Ktorzy po nim, są zdolni, gdy takich rozumi.
 Pilnować y prowadzić. Niech oni pracuia,
 A niech mu sie, z najmnieyszey akcyi, rachuia.
 Cudne to pánowanie, mądrość niepojeta,
 Wybrać Ludzi do rządu; Iakie ma talenta,
 Kto do czego; A tych zaś ministrow, pilnować.
 Utrzymywać y rządzić, w błędach poprawować,
 To sztuka; Lecz każda rzecz, rostrząsać prawie,
 Iest to zązdrość, nieufność, tak szkodząca sławie,
 Iako y czas biorąca, co zapróżnia głowę.
 Nie sposobna ná wielkie rzeczy. Nie gotowe
 Czyni sławne Imprezy, ktore potrzebuia
 Wolney myśli; A tey zaś drobiazgi uymuia.
 Te pomnieysze, kolace, tak cięża zabawy,
 Ze umysł zawikłany, w te pomnieysze sprawy,
 Nie iest cale sposobnym. Iako drożdze z winą,
 Mocy w sobie nie maia; Tak wigor odcina,
 Myśl w wiele podzielona. Ktorzy tak panuia,
 Same tylko, przytomne rzeczy, upátruia,
 A w przyszle, nie ściagaia, obszernych swych myśli;
 Siedzą nad tym, co teraz, ná przyszle nie wyszli,
 Z opatrznoscia powinna. Zabawni, lednego
 Dnia robota, y tylko też, pilnuią tego.
 Sprawy zaś polityczne, chcą czasu złożenia,
 Y mądrego swych Intryg, z sobą ziednoczenia.

Swym porządkiem porównać, jedno z drugim trzeba;
 Y w tym, gdzie aplikować się? wiedzieć potrzeba.
 Kto tey reguły nie zna, w swoim panowaniu;
 Podobien muzykowi, który ku śpiewaniu,
 Znaleźć tonu, mądrego śpiewania, nie umi.
 Y tonow zebrać w kupę, dobrze nie rozumi.
 Jest y Architektowi, takowy podobien,
 Który mniema, że pałac zbudował ozdobił,
 Kiedy kolumn nawozi, kámieni ćiośowych,
 A nie ma, ułożonych proporcij, gotowych,
 Ani w głowie budynku; Y gdy fałę zdobi,
 Nie myśli nie o wschodach, ni koło nieh robi.
 Albo, o średnim myśląc, y budując gmachu,
 O bokach zapomina, y o słusznym dachu.
 Zgoła, jego robota, jest tylko zebranie
 Sztuk pięknych, á nie madre, onych układanie.
 Y co miało być, jego, monumentem chwały,
 Jest wstydu, nie nauki, dokument nie mały.
 Pokazując, że zbierać, miał dosyć nauki,
 Kámienie, ale składać dobrze, nie miał sztuki.
 Taki, umysł jest krotki, nie daleko śiaga,
 A ni się ná rząd drugich, dobrze nie rozściaga.
 Lepiej się zda do zdzierstwa, niż do rozkazania.
 Niewatp, o Telemaku! że do panowania,
 Harmonij, iak w muzyce, potrzebá sposobnych,
 Y iak w Architekturze, Inwencyj ozdobnych.
 Zebyśmy, komparacyj tychże, jeszcze daliy,
 Do rzádu takich Krolow, nieco zázywali!
 Ten, co ledná pieśń śpiewa, tylko jest śpiewakiem,
 A nie Kapelmagistrem, co rzadzi orszakiem,
 Muzykow Inszych wżyskich; Iako y w budynku,
 Ten, co się bawi, koło kámieni uczyńku,
 Y kawałkow robota, tylko jest mularzem,
 Nie całym Architektem, albo budynkarzem.
 Tak, y tacy Krolowie, co sami pracują,
 Co naymnieyszą rzecz piszą, y expedyują,
 Naymnicy (wierzay mi) rzadzą; Y lepiej się zdadzą,
 Podlegać tym, co robić za się, Im nie dadzą.
 Prawdziwy umysł, do Państw rządzenia dobrego!
 Jest tego Krolá, który, nie zda się niczego

Czynić,

Czynić, a sam, niehcacy myśli, Inwentuie,
 Przeszłe rzeczy rostrzała, przyszłe przewidyie.
 Ktory składa, y czyni proporcye, z czasu,
 Y gotuie, na wszystkie przypadki, zawczasu.
 Co się duza z fortuna, siła swej mądrości,
 Jak pływać przeciw rzecze; takiy on bystrości.
 Zgoła, ktory nic, na los fortuny, nie dąle,
 Lecz ia związać rozumem, myśleć nie przestaie.
 Rozumiesz Telemaku! że ow Malarz główny,
 Ktoremu to w robotach, nie iest żaden rowny;
 Ze pracuje dzień y noc; mylisz się nieboże,
 Cudna Imaginacya, trwać w pracy nie może.
 Zgasłaby delikátność, zbytnia praca, Iego,
 Więcej myśl, niżli ręka, sprawi dowcipnego.
 Rozumiesz, że trze farby, y pędzle gotuie!
 To on, uczniom wiec swoim, tylko zostawuie.
 Sam, w Imaginacyi, mądrze utopiony.
 Myśli, aby był affekt, śmiało wyrażony.
 By figury Herodów, iakby były żywe.
 Ieszcze, ogniem Marlowym tchneły, zwycięstw chciwe.
 Na czasy się przenosi, w ktorych oni żyli,
 Circumstancye zważa, w ktorych, w ow czas byli.
 Wszystko mądrze polaczy, y to proponuie,
 Układa, więcej głowa, niż ręka maluie.
 Rozumiey Telemaku! że umysłu tylo,
 Y konceptu w cnym Krolu, trzebá żeby było.
 Jak w Malarzu uczonym: A zatym zabawy,
 Krola są, myśleć; a sług, exekwować sprawy.

Telemak mu odpowie: Iac dobrze poymuie,
 Co mi twoia, wymowna mądrość, opisuie;
 Ale mi się zda przecie, że gdyby tak rzeczy
 Szły, y Krol, weyrzec wszędzie, nie miał w swoiey pieczy,
 Czesłoby się oszukał. Sam się bardziy mylisz,
 (Rzecz Mentor) gdy się, w swym zdaniu, trzymać ślisz.
 Generalną, znościomość, rzadzenia całego,
 Kiedy ma Krol, w swym Państwie, dosyć iest na niego.
 Krolowie, co reguły spraw, nie zakładają,
 Y ktorzy, rozeznania dowcipow, nie mają,
 Chodzą w sprawach iak ślepi; Y to szczęście tylo,
 Kiedy się w rządach swoich, y w sprawach nie mylą.

Gggg

Niewie-

Nie wiedza, do kad ciagna! co chca! o co stoia?
 Kiedy Ludzi poćciwych, strzega sie y boia,
 Co sie Im z przeciwiwia. A owe zuchwale,
 Konserwua pochlebce, co Im daia chwale.
 Krolowie zaś, co maia, rzadzenia osnowe,
 Tacy wiedza, do Poselstw, iaka wybrać glowa?
 Zaráz zważa, iesli ci, ktorych to wybrali,
 Dobrym sie Instrumentem, do uslugi zdali.
 Iesli sie, ná zamyslach Pańskich, dobrze znaia!
 Y iesli, tam gdzie chce Pan, sprawy wyćiagaia.
 Bo, że ci Krole, małych rzeczy, rostrąśnieniem.
 Nie bawia sie y próżnym, onych dośćignieniem,
 Czas y glowa, Im wolna, że iak iednym okiem,
 Wszystko rázem, więc doyrza, y dośćigna krokiem.
 Wraz widza wszystko dzieło, y iesli / gdzie mierza.
 Swa glowa, y swych sprawcow, do kresu uderza.
 Iesli sie w takim rzadzie, pokáže zakała,
 To pewnie nie zbyteczna, ale bárdzo máła.
 Do tego, nie podlegli sa, owej zázdrosći.
 Ktora, znakiem wiec bywa, dowćipu miałkości.
 Gdy chce, bez najmnieyszego, rzadzić oszukania;
 Ktore pochodzi, z Ludzkiey náтуры, stárania.
 Pod czas, wiecey sie tráci, tych sie wystrzegaiac
 Co oszukać wiec mogá, niż Im dozwalaiac,
 Oszukania małego. Y dość ten szcześliwy,
 Co ná małe, pobłażny, lecz ná wielkie żywy.
 Wrym sie, wielkość człowieka, pokázuie cnego,
 Znać sie ná francie, y strzedz, nie strzegac sie iego.
 Nákoniec Telmakowi, Mentor odpowiedział:
 Ze cie lubia Bogowie, dawnom la to wiedział.
 Pełne madrości rzady, y Páństwoć gotuia
 A co twoie tu oczy, widzac obserwua,
 Nie tak sie to, ná chwale Idomena, stáło,
 Iak dla twej Instrukcyi y náuki działo.
 Madre práwa, co widzisz, mym postanowieniem;
 W Sálenćie, tylko to sa, iednym práwie ćieniem;
 Co ty zrobisz w Itáku, ieżli wiec, odpowiesz
 Wyrokom, twoia cnota! wiecey sie wždy dowiesz.
 Teraz wiedz, że czas myślic, ztad o nászey drodze;
 Iest okret już gotowy, com sie stáráł frodze.

Tak

Ták Mentor, Telemaká myśli, rozporządził
Momentá, y uczył go, áby dobrze rządził.
Y ná żadnym go mieyscu, dłużej nie strzymywał,
Tylko, gdzie wiadomości, y cnoty nábywał.

Gdy usłyszał Telemak, o drodze już bliskiej,
Otworzył sercá swego, (lub z wstydem) uciski:
Ze mu ciężko, z Sáentu wyjeżdżać, przychodzi.
Zgromisz mię pono! [rzekł mu] że me łatwo wodzi.
Serce Inklinacya; leczbym, zá winnego
Miał się, gdybym przed tobą, la miał co tajnego.
Kocham Corke Idmena, Anthyope miła;
Nie rozumiey, áby to, ślepa żądza było.
Iak owo u Kalipsy. Gdzie mię uleczyłeś,
Y tak dobrze, tych żądy, ty mię oduczyłeś,
Ze uznawszy, iak była głęboká ma rána!
Z stráchem teraz Eucharys, iest u mnie wspomniana.
Dawność czasu, w pamięci moiej, nie zmażała,
Ze twa mądrość, strzedz mi się y siebie kazała.
Lecz, co do Anthyopy,, moie serce czuje,
Nic nie ma podobnego, áni mię to truie.
Ta miłość nie z passyi, ále iest z szacunku,
Z rozumu pochodząca iest, á nie z frasunku.
O iákby był szczęśliwym! gdybym wiek z nią trąwił!
Gdyby Bog, Oycá znaleźć, moiego mi sprawił,
Obrać Zonę pozwolił! nie Innaby była,
Tylko tá Anthyope; Ktorey cnot, ták siła.
W sercu miłość wznieciły. Iey mądre milczenie,
Modestya, w pokoju, ustáwne siedzenie,
Robota y pojęcie, w szyciu, háftowaniu,
Y dziwna iey ostrożność, w gospodarowaniu,
Ktore mądrze u Oycá, ná dworze prowadzi,
Od śmierci Mátki swoiej, y w niwczym nie wadzi.
Do tego, iák strojami gardzi, zbytecznemi!
Iak gardzi urodami, wstydliwie swoiemi!
Gdy Idomen, Iey káże, tńce z Creteńczyki
Wodzić. to te prowadzi, Iáko Pallas szyki.
Gdy te Corke prowadzi, ná łowy, kochana,
Rownay ia, między nymphy, zá pewne z Dyana.
Ták kształtnie, y poważnie, ciągnie łuk z cięciwy,
Nic nie widzi do siebie, gdy wszyscy, te dziwy.

Gggg z

Kiedy

Kiedy wchodzi do Templow, gdzie się czczą Bogowie,
 Y w kołzach, Święte rzeczy, nieśie więc na głowie;
 Mniemałby, ktoby nie znał, że Iaká Bogini,
 Mieysca tego Świętego, wchodzi gospodyni.
 Z Iaką Świętą boiżnią, ofiary dawała!
 Gdy z prezagiow smutnych, gniew Bogow błagała,
 Na koniec, gdy ją widzimy, po między Pánnami,
 Máiaca Iglę złotą, po nad krośienkami.
 Mniemałbys, że Minerwa, w Iey postaći samá,
 Przyszła, tych robot uczuć, co tá robi Dámá.
 Bo iednym pokázuie, te do pracy budzi,
 Przyspiewuie, że żadná, w roboćcie nie nudzi.
 Bo Ich prawie záchwyca, głosu melodya,
 Kiedy Im wyspiewuie, Bogow historya.
 A kiedy wyhaftować cudnie, się pokuśi,
 Naygładsze malowanie, ustąpić Iey musi.
 Kogo Hymen z nią złączy, o iák ten szczęśliwy!
 Bać się nie ma niczego, krom śmierci straszliwey.
 O moy miły Mentorze! biorę w świadki Bogi,
 Ze odieżdżam, lecz przecie, Anthypy drogiey,
 Do śmierci nie zapomnę. Lubo, do Itaku
 Powrócić, nie zabroni, bez miłości znaku.
 Ale jeśli kto Inszy, weźmie ją tym czasem,
 Dni moie kończyć będą, z gorzkością y z kwásem.
 Z tym wszystkim, lub wiem, że ją strącę odieżdżając,
 Ani Oycu, ani Iey, nie rzekę nic, tájac
 Miłość moją; Tobie ją odkrywszy Iednemu,
 Poki Oycá nie znajde, ktoremu drugiemu,
 Zwierzę się swey miłości; y otrzymam z niego,
 Konsens, z aprobacyą, ożenienia tego.
 Z tąd widzisz, iák tá miłość od owcy daleką,
 Co ślepo do Eucharys, wiodła mie człowieka.

Mentor mu odpowiedział: Widzę Telemáku?
 Masz rácyą kochania, y dobrego smaku.
 Różnice z Eucharydą, y ją tu uznáie;
 Bo Anthypa skromna, státek, obyczáie,
 Ma Pánienskie, y ręce Iey, nie poprożnuia,
 Y w rzeczach gospodarskich, wszystko opátruia.
 Umie milczec, y Iedno, ták po drugim robi.
 Ze ustáwnie zabáwna; co tknie to ozdobi.

Ani

Ani się to zągmatwa, bo wszystko porządkiem
 Czyni, Dom Oycá żywiac, cudownym obrządkiem.
 Y lubo, tak wielkiego, ma dworu stáranie,
 Dziwna rzecz, że się żaden nie poskárzy ná nie.
 Tego musi nápomnieć, odmówić drugiemu;
 Co iest rzecz nienawiśna, ząwsze, rządzącemu.
 A ile Białcygłowie; Owšem ią kochaia
 Bo, bez żadney passyj, ią bydz uznawaia.
 Ani złego humoru, ani ma lekkości,
 Przywarow, Białogłowskiey náтуры, krewkości.
 Jednym práwie weyrzeniem, posłusznemi czyni,
 Z dobrocią nápomina, kiedy kto ząwini.
 Nigdy nic nie rozkáże, tylko rzecz podobna;
 Zgóła, dziw iest! tak mądra bydz wraz, y nádobna.
 Y Oycowskie też serce, tak ná niey spoczywa,
 Iak cienia, w upał słońca, kto w gaju zążywá.
 Wiec słusznie, Telemaku, wtak miley osobie,
 Miłość ty w Anthyopie, ząłożyłeś łobie.
 Iest to skarb, by naydaley, szukáno go, godny,
 Umysł piękny, przy twarzy, tak dziwnie urodney,
 Próżnością nie stroioney; A dowcip, lub żywy,
 W ładá uściech dyskretnych, iest práwie ná dziwy.
 Wszystkie wdzięki, w łzczerości, z ust Iey wypływia,
 Y rozum, by przeciwny, zarázem krempuia.
 Gdy co mowi, ci milczeć, co słuchaia, musza,
 A w niey, z wstydu miłego, słowa się ząs dusza.
 Gdy widzi Attencya, co Iey słowom dáia,
 Ledwo się da usłyszeć, słowa Iey uśtáia.
 Pámietasz Telemaku! kiedy Oćiec w gniewie,
 Ząwołał iey, oná szła, sama po co! nie wie;
 Cienkim welum spuszczoney, okrywa swe oczy,
 Ze coś Oycu, niewolnik, gniewliwemu kroczy.
 Kázál go bić okrutnie; Iak mądrze przyznała,
 Ze się słusznie rozgniewał, tak go ugłáskála.
 Ná koniec, winowayce wymawiaiac troche,
 Ząwstydzá Oycá, że miał Impety, dość płóche.
 Tak go, do kompassyi, y słusznosci wiodła,
 Ze go ani w respekcie, ni w sprawie nie bodła.
 Therys, Stárca Nerea, gdy głąszcze wspaniale,
 Nie przedzey uspokáia, poburzone fale.

H h h h

Wiem,

Wiem, że gdy Anthyope, władać bez przymusy
Sercem będzie Małżonka, do cnoty go wzruszy,
Iak teraz, lirę swoją, na wdzięk większy stroi.
Więc służnie, Telemaku, ią miłości twoiey
Przyznawam, że ma oczy; już ci ją Bogowie,
Przeznaczili, masz miłość, w rozumney ofnowie.
Czekayże Ulissesa, aż ci z rąk ją odda.
A lub się Iey, serce twe, iako widzę, podda,
Tay przed nią, iakęś tait, do tych czas, rozumnie;
A to wiedz, że choćbyś iey odkrył był to dumnie,
Odrzuciłaby była; straciłbyś estymę
U niey, bo ona Żoną bydz, się nie podyjmie
Nikomu. Ani się też, komu obiecuie,
Czekając, aż ją Oćiec, swa mocą daruie.
Kto Bogom mił, y Oycu, y we wszelkim wstydzie.
O nią się starać będzie, Ten do niey przynidzie.
Uważałeś! tak iak ją? Od powrotu twego,
Mniey chodzi, uchodzący, spoyzrzenia Ludzkiego;
Wie twą sławę woienną, y tve urodzenie,
Tve przypadki, y twoie, Bogom zalecenie,
Y to w niey skromność czyni. Telemaku! dąliy,
Wracaymy do Itaku. Procz tego coć dąli
Bogowie; Tylkoć, Oycą znaleźć, nie dostąie.
Y Żonę, która złoty wiek, wraca, y dąie.
Choćby Krola Sålentu, tą Corka nie była?
Lecz Pasterka z Algidy; dośby Cie szczęścił. ✓✓

Te słowa, Telemaką serce, zapålily,
Aby się do Itaku, czym prędzey śpieszyli.
A że okret, gotowy był, do Ich poiazdu,
Naglili Idomena, pozwolić wyiazdu.
Mentor go wygotować, już dawno roskazał,
Lecz Idomen, gdy Gości tych, miłych uważał.
Iak mu byli potrzebni! wzbraniał się ich puścić,
A potym, żal do serca, tak cięszki, przypuścić
Musiał! Ze kompassyi był godzien każdego;
Pragnał, z melankolij, mieysca nayskrytszego.
Ięczał, wzdychał, y chlipał, y lzy lejąc rzewnie,
Pokarmu zapominał, y snu, potrzeb pewnie.
Zgoła wysechl, z tvey troski, serce swe kolacey;
Iak drzewo wielkie, które, robak więc toczący,

Wkorze

W korzeniu sok wypija, lub to czyni z dala,
 Przecie go on ususz, y wkoniec obala,
 Czego wiatry nie mogly, siekiera nie smiala,
 Ktore ziemia, z roskosza, dlugo karmic chciala,
 Traci liście, schnie wgalaz, y wszelka ozdoba,
 A nikt doysc go nie moze, z kąd ta wzieto doba.
 Y z drzewa, tylko sie pniem, nie odzianym staic,
 Y przez skore opadla, uschlosc widziec daie.
 Tak Idomen w swym zalu, Im sie pokazywal.
 Ale y sam Telemak, juz smutnicyszy bywal.
 Bal sie juz dnia wyjazdu, y iak mogl odwluczyl.
 Ale go Mentor na to, z zapomnieniem, uczyl:
 Kontentem, ze cie widze, tak odmienionego;
 Znałem cie, bez litości, pyszno zrodzonego,
 Nic cie, procz Interesu twego, nie tykalo,
 Y tylko cie, wygody twoiey. Bracie chcialo;
 Ale widze cie teraz, czlowiekiem lagodnym,
 A doznawszy sam zlego, bydz drugim wygodnym.
 Poczynasz. Bez dobroci, wiedz, y bez litości,
 Nie masz cnoty, y wszystkich, rzadu sposobności.
 Lecz iej zbyt nie zazywac, y slabym, w przyiazni,
 Nie trzeba bydz. Poniewaz, ten odiazd cie drazni.
 Wisc, ja wezmę na siebie, pozegnac Idmena,
 Y ochronic cie w zalu, z tego rozlaczzenia.
 Ani zbyt surowosc, niechci nie panuje,
 Lecz y przyiazn, rozumem niech sie temperuje.
 Bez potrzeby, utrapic Ludzi, sie nie godzi;
 Ale ich zas zal chlodzac, ktory Ich uwodzi,
 Gdy go odiaz nie mozna, pocałowac trzeba;
 A to czynic, y tam isc, gdzie nas wioda Nieba.
 Telemak rzekl: Dla tego, zalu umniecyszenia,
 Wola ze ty odkryiesz, nasze z tad ruszenia.
 Bledzisz miły Telmaku, (Mentor mu odpowi):
 Gdy wolisz, bym ja, nie ty, odkryl Idmenowi.
 Odiazd nasz. Oto widze, iakos sie urodzil,
 Na Tronie, takbys zyczył, byc kazdy wygodzil.
 Dzieci Pańskie, turbacyj znac niechca, y smutku,
 Ani zniesc, co cieszakiego, tylko w gustow skutku.
 Onic w prawdzie, o Ludzie nie tak bardzo dbaja;
 Ani Ich swa dobrocia, w smutkach ochraniaia;

H h h h

Tylko

Tylko dla swego wczasu, smutnych niechcąc widzieć,
 Ani się, utrapieniem Ludzkim, myślą brzydzić.
 Byle nie w Ich to oczach, widowisko było,
 Y skargą Importunna, serca nie smuciło.
 Zeby się Im podobać, wszystko mówić trzebą,
 Ze wszystko dobrze idzie, czynią z ziemi Niebą.
 Dopieroż, gdy roskoszą, są iaką zabawni,
 Nie przerwą im poćiechy, dworacy ich dawni.
 Kiedy kogo, upomnieć trzebą, y poprawić?
 Y niesłuszne skracając żądze, człeką zbawić?
 Takie, komu iaszemu, komissyo dają,
 A sami w przykrych rzeczach, się zas ochraniają.
 Y wolą pod czas, łaski, dać sobie wydzierać,
 Nie słusznie, niż to serce, tak możne przybierać;
 Aby się, promocyi nie słuszney, oparli,
 Y z proźby importunow, po Krolewsku zdarli.
 Która słabość Ich widząc, każdy profituie,
 Długo importunując, tandem otrzymuie.
 Náprzód Im, przez pochlebstwa, ustawicznie kadzą,
 Konfidencyą kradną, gdy co Pan chce radzą;
 A przez nią zaś, do wielkiej powagi, przychodzą,
 Daleko Ich prowadzą, y za nos Ich wodzą.
 Często ieczą w tym iarzmie, postrzegszysy, Krolowie;
 Radzi by tego mola, zbyć się, swojej głowie;
 Ale muszą to dźwigać, przez wiek prawie cały,
 By rozum swoy ochronić, wtym niedoskonały:
 Ze się dają im rządzić. Przecie są rządzeni,
 Y nie mogąc bydź bez nich, nic się nie odmieni.
 Są iak winne galezie, co w swojej posturze,
 Utrzymać się nie mogąc, pna się więc po murze.
 A zátym Telemaku! ia zcierpieć nie mogę,
 Abyś rządzić maiacy, w padł w słabości frogie.
 Mniemam, że będąc mietkim, pożegnać Idmena,
 Nie będziesz go żałował, gdy nie uyrzysz cienia,
 Miałś iego Sálientu. Nie żal iego, rusza,
 Ale cie, widok iego, męczy y ususza.
 Idź, zegnay Idomena, mekim y státecznym
 Sercem, w szczerey przyiaźni. Bądź ná to bezpiecnym;
 Coś umyślił raz czynić. Pokaż mu żal, z twego
 Odiazdu, lecz potrzeba nie zbitą, wraz iego.

Tele.

Telemak nie śmiał sprzeczyć, nie się Mentorowi;
 Ani też, na zegnanie iść, ku Idmenowi.
 Wstydził się swej bojaźni; y ledwie krok idzie,
 Wraca, z nową rączy, w swej się mieniać bidzie.
 Ale iedno poyzrzenie, ustą zapierało,
 Y te wszystkie pretexty prozne, rozpędzało.
 Rzekł Mentor: Y ty żeś to, Daunczykow Wiktorze!
 Y wielkiey Hesperry, Ty Liberatorze!
 Tyś Syn cnego Ulissesa! następca cnot Iego!
 Y kráiu, oraculum, co masz być Greckiego!
 Nie śmiesz rzec Idmenowi, że odiechać trzebá?
 Do Oycá! do oyczyzny? gdzie iść każą Niebá.
 O! Itáku narodzie! tożes nieszczęśliwy!
 W którym to, ma Pánować, Krol tak nie życliwy;
 Ze dla złego tu wstyd, y dla marney rzeczy,
 Niechce do was odiechać, tak ma was na pieczy!
 Patrzayże Telemaku! iako to rzecz różna,
 Bydź w bitwie meżnym, á gdy w sprawach! bojaźń prozna.
 Niebales się Adrástá, á boisz się smutku
 Idmena! y to to jest, być sławnym bez skutku.
 Tak twe meżne akcye, nikną wraz y gina,
 Kiedy tylko, wojenna sława, w świecie slyna,
 A w małej okazyi, słabość pokázuia.
 W ktorey, prości więc Ludzie, meżniey się stáwuia.
 Telemak, prawdę widząc, y temi zarzuty,
 Porwał się, y sam poszedł, w skroś niemi ukluty.
 Lecz, ledwo się pokazał, gdzie Idomen siedzi,
 Z spuszczonei oczyma, ná nowo się biedzi.
 Oba się bojąc pátrzyć, ieden ná drugiego,
 Zrozumieli, nie mówiac oba, chcieli czego?
 Bał się każdy przemowić; Aż Idmen, w złości
 Okrutney krzyknął: A coż po cności miłości?
 Ná co iey szukać! kiedy nam, tak źle nadgradza!
 Pokázawszy mi, iako! ma szkodziła władza!
 Odkrywszy błędy! teraz, tak mię odstępować!
 Ani tego, że się źle wroci me, żálować!
 Pewnie wpadnę w nieszczęścia, które przed tym były;
 Ani me, do dobrego rzádu, zdolne siły;
 Y Ludzie mi obmierzli. Lecz ty Telemaku!
 Czego się spieszysz iechać, do twego Itáku?

Oćiec twoy już nie żyje; y szukasz go darmo,
 Itak już w cudzych rekach, tam się kuścić marno.
 Z twych kto się nieprzyjaćioł, z twą Matką ożenił;
 Zginiesz od nich, jeżeli drogi nie odmienił.
 Zostań tu, kroluy ze mną. Przynajmniey Mentora
 Zostaw mi, troskow moich, y błędow Doktora.
 Mow! odpowiedz! a serca nie zátwardzay mego!
 Y lituy się człowiekà, naynieszczęśliwszego.
 Iako! nie mi nie mówisz? Ach rozumiem smutny,
 Ze mi Bog (niżli w Creće) tu bardziey okrutny,
 Gdym Synà przebił swego. Telemak mu głosem
 Cieszkò smutnym odpowie, y spuszczoney nosem:
 Iam nie swoy, y wyroki, do Oycyzny wiodà,
 Znaleźć Oycà, com szukał, ziemià go y woda.
 Mentor, Bogow mądrością, będąc napelniony,
 Tak káže; a coż chcesz, bym czynił, utrápiony?
 Mamże się, Matki, Oycà, wyrzec! wraz y Państwa!
 Y co nad się przekładam, wiernego Poddanstwa?
 Urodzonym, bydź Krolem, nie ná mieyskie życie
 Przeznaczony, ni moiey woli im użycze!
 Azaś mi nie obiecał wroć, do oycyzny?
 Zaż nie w twey obietnicy! śmierćim szukał bliżny!
 Przeciwno Adraştowi, w swey biedzie wojuiac!
 Czas, abym swego szukał, za to się uymuiac,
 Znieść nieszczęścia w swym Domu; Mentora Bogowie
 Przydali, ná pełnienie wyrokow, w mey głowie.
 Chcesz bym stracił Mentora? kiedym wszystko stracił!
 Piekniebys mi, mą przyiaźń, Idmenie zapłacił.
 Nie mam dobr retyraty, Oycà, Matki, ani,
 Tylko jeden człek został, co złe we mnie gani.
 Mądry wraz y cnotliwy, dar lowisza sławny,
 Patrzay ieśli moy dyskurs, nie iest prawdy iawney.
 Czy moge go odstąpić? spuścić się ná siebie!
 Pierwey śmierć, niż wydarćie to, przyjme od ciebie.

Im dluzey mowił Telmak, tym się głos w nim mocni,
 Y boiaźń ustąpiła, z twarzy mu widoczniy.
 A Idmen, odpowiedzieć ná to, mu nie umiał.
 Ani też tych słow, co mu przynosił, rozumiał.
 Y tak wiecey nie mowiac, y nie negadaiac,
 Chciał go zmieszkzyć jęstami, ręce don skłádaiac.

Tym

Tym czasem, Mentor wchodzi, który temi słowy,
 Tak cieszył Idomena: Nasz odiażd gotowy,
 Ty jednak, tak się nie trap; myć w prawdzie rzucamy,
 Ale Boskiey opiece, ciebie oddawamy.
 Madrość, która na radách Bogów, rezyduje,
 Tą zostaje przy tobie, y tą cie pilnuie.
 Szczęśliwys! że nas lowisz, tu przysłał do ciebie,
 Y żeś za radą, z błędów twych, przyszedł do siebie.
 Philokles, ktoregośmy, nazad ci oddali;
 Służyć będzie ci wiernie; Y wielcy, y mali,
 Tego czeka kochaia, bo ma w myśli swoiey,
 Y w sercu swym, smak cnoty, y Bogów się boi.
 Ma miłość ku pospolstwu, litość nad bliźniemi,
 Naybardziey, przez fortune zła, uciśnionemi.
 Słuchay go, zżyway go, ustnie bez ządrości,
 Wiedz, że dowód naywiększy, lego zyczliwości,
 Odbierzesz, gdy mu kázysz, aby ci odkrywał,
 Błędy twoie, ani ich, iák zwyczaj, pokrywał.
 Bo, dzielność serca w Krolu, w tym się pokazuje:
 Takiego przyjaciela, gdy sobie znayduje.
 Jeśli się tą dzielnością, twe serce powodzi,
 Szczęśliwys! y nasz odiażd, nic ci nie zązkodzi.
 Ale, jeżeli ządrość, która na kształt węża,
 Wmyká się w Ludzkie sercá, y one zwycięża,
 Znowu się wkradnie w serce, iáko przedtym, twoie.
 Spráwi diffidencya! (czego ja się boie).
 Toś zginiony; Lecz teraz, nie day się obálác,
 Zálowi, á od cnoty, niechciey się oddálác.
 Jam wszystko opowiedział, sam Philoklesowi,
 Czym ci ma dopomagać, y co ci jest zdrowiy.
 By twej konfidencyi, ná złe nie zążywał;
 Bogowie ci go dáli, abyć usługiwał,
 Iák mnie Telemakowi; Rzecz ci za niego,
 Trapić się nie potrzebá, bo wyroku swego,
 Káždy się winien trzymać. Jeśli mey pomocy,
 Kiedybys potrzebował? Gdy, przy Boskiey mocy,
 Oddam Oycu Telmaka, y w Dom go przywroce,
 Ná twoie ząwołanie, do ciebie się wroce.
 Gustu ja mieć nie moge, ná świecie większego;
 Ja powagi nie szukam, ni dobra żadnego.

Nie pragne, tylko pomoc tym, którzy szukają,
 Z cnotą sprawiedliwości; co się w niey kochała.
 Y czy mogeż zapomnieć! ufności łaskawey!
 Ktoraś mi świadczył? za tym, żyje pełen sławy.
 Na te słowa, Idomen, stał się odmieniony,
 Jak Ocean, Neptuna Trydentem, uspiony;
 Kiedy czarno pieniące, jak buntowne wały,
 W obłoki prawie, z hukiem, burzliwie pryskały.
 Tylko w nim, żal spokojny, y cichy zostawał,
 Y bardziej smutek, niż żal, żywy się wydawał.
 Cnota, Nadzieja, Męstwo, Ufność w Bogów siłę,
 Poczynały się rodzić, w sercu jego miłe.
 Wiec tedy, mój Mentorze! wszystko stracić trzeba!
 Serca jednak nie tracić, czekając sił z Niebą.
 Przynajmniejszy, pamiętaj na mnie, Idomena!
 Kiedy staniesz w Itaku. Niech cię nie odmienia,
 Szczęście, twoją mądrością, służnie przyciągnięte!
 Nie zapomnij, że Salent twych rak, wystawione
 Jest dzieło; y że, Króla zostawiasz Świętego,
 Nieszczęsnego, y w tobie ufność mającego.
 Idź, Synu Ulissesa! nie trzymam cię dłużej,
 Wracam Bogom skarb w tobie, który mi nie służy.
 Idź y Ty, cny Mentorze! y najmedrzszy z Ludzi!
 Jeżeli, twa postać, Bóstwo nas nie ludzi!
 Jeśli się, twa Bog twarz, iaki nie pokrywa!
 Y jeśli Ludzka mądrość, tak wysoka bywa.
 Idź, prowadź Telemaką, przez to szczęśliwszego;
 Ze cie ma, niż ze zabił Adraста dumnego.
 Więcej już mówić nie śmiem; Idźcie me kochania,
 A odpuście, tak służne, po sobie wzdychania.
 Żyjcie już szczęśliwemi! mnie nic nie zostaje,
 Tylko miłe, zem was miał w domu, pamiętanie.
 O piękne! y szczęśliwe dni! z wami strąwione,
 Mnie nie oszacowane, a prędko skończone.
 Już się, o dni miłe! do mnie nie wroćcie!
 Y wy oczy! już więcej, Ich nie obaczycie.
 Mentor, w te skargi, moment wziął, do odiechania;
 Philoklesa ścisnawszy, pełnego z łez łkania.
 Telemak, chciał Mentora wziąć za rękę, ale
 Idomen między nimi, postawił się całe.

Idąc z niemi do portu, poźierał wzdychając,
Chciał zegnać, nie dokończył, słów nie domawiając.
W tym, zmieszany krzyk Flisów, napelniała brzegi,
Y liny wyciągała, y żagle na biegi.

Na wiatr dobry podnosiła; już też pożegnali,
Krola w porcie, Telemak z Mentorem, y dali
Wyciągać kotwic kaza. Ziemia Im ucieka,
A Krol goni Ich okiem, darmo stojąc czeka.
Doświadczony Ich Szyper, już Lukary gora
Rozczuła, która to w czarna wnośi chmura,
Głowa swa lodowata. Y ta gora widzi,
Akroceraunu, która, czoła się nie wstydzi,
Ku Niebu wystawować, y swa długa szyję,
Choć wnie częsty piorun, y tak gęsto bije.

Pod czas nawigacyi tej, dyskursy mieli,
Telemak, y cny Mentor, które z tad poczeli:
Zaczął tedy Telemak: już mi się też zdać,
Zem poiał maniere (co twa mądrość dać)
Do rzadu Państw; y widzę, że co mi się zdały
Iako sen, teraz jasny sposób, mi y cały.
Iako wszystkie obiekta, pod lutrenki zorze,
W ciemnym się wystawia, nie znacznym kolorze,
A potym, kiedy wozem, do nas się zbliżają,
Jasnym, światła słoneczne, one oświecają,
Y niby przywracają im własne kolory;
To y w oczach się lepiy, ich wydadzą wzory.
Gruntowniem umocniony, że pierwszy Punkt rzadu,
W tym zawisł, aby obrać Ludzi, cnych, bez bładu.
Y sposobnych, do czego aplikować chcemy,
Zeby mieli talenta, z przymioty własnymi,
Do tego właśnie dzieła. Lecz jeszcze mię tego,
Iako się znać na Ludziach! naucz ciekawego.
Na to Mentor odpowie; Na Ludzi poznanie,
Praktyka jest potrzebna, y ich zażywanie.
Pánowie, z poddanemi, sami niech traktują.
Poufale niech mówią, ich rady probują.
Małemi wprzód roskazy, raczy funkcjami,
W których, niech ich doświadczą, własnymi uszami.
Zeby poznać, jeżeli dosyć uczynili,
Mniejszych rzeczom, y większych czy godnymi byli!

Iakżeś poznawał konie, miły Telemaku?
 Wszak widząc uśtawicznie sam! będąc w Itaku;
 Dzielność Ich lub nárowy? Ile doświadczonych
 Iezdźcow im przybierał. Nie inaczej, w onych
 Sprawach Państwa, postępuj; z Ludźmi poćciwemi,
 O złych, y dobrych gadaj, y náucz się z niemi,
 Co w nich są za przymioty? Tá długa praktyká,
 Ludzki umysł, w poznaniu, zupełnie odmyka.
 Dowiesz się, czego możesz, z Ludźmi się spodziewać?
 Y ná iákie urzędy, możesz ich záżywać.
 A có dáć! Póćtów dobrych, rozeznać?
 Ieśli nie, w złych y dobrych, czytanie się wdawać?
 Co ci, także w Muzyce, rozeznanie dało?
 Tylko to, że muzykow różnych, się słuchało.
 A iakosz my, y Ludźmi, dobrze rzadzić mamy!
 Kiedy ich, wprzody dobrze, y wskroś nie poznamy.
 A Ich zaś, iak poznamy? ieżeli żyć z niemi,
 Nie będziemy! probować, sposoby roznemi.
 To zaś, nie jest żyć zniemi, gdy chcemy publicznie
 Znać ich tylko, gdzie wszystko robią, politycznie,
 Z sztuka się pokrywając. Trzebá ich osobno
 Poznawać, y wyciągnąć, kształtnie y nádobno.
 Z fercá, tajne sprężyny, które pokrywają;
 Doznawając ich maxym, co ie w fercu mają.
 Byś zaś, dobry o Ludziach, sąd formować umiał!
 Trzeba, abyś, iákim ma byđć człowiek! zrozumiał.
 Trzebá wiedzieć wprzod: Ná czym tá godność zawisła!
 By słuszność rozeznanía, náleżycie przyszła.
 Kto ma godność? kto nie ma? Wprzod sprawiedliwości,
 Rozumu, wszelkiey cnoty, y doskonałości.
 W sobie záłoż fundament; To potym rozeznaś,
 Kto cnotliwy, y dobry! łatwiusieńko poznaś.
 Maxymy dobrych rządów, w przod się náucz całé;
 A potym sam zrozumiesz, kto ie doskonale
 Ma w sobie; czyli finta, pod pokrywką cnoty,
 Falszywą subtelnością, złośliwe przymioty,
 Tai, chcąc rzadzić. Słowem: Iáko ná zmierzenie
 Różnych ciał, y wielkości onych, doświadczenie,
 Pewney miary potrzebá; Tak też y do rzadu,
 Potřebá mieć reguły; Do których bez błádu

Prowa-

Prowadzić trzebá. Ná to, żywota Ludzkiego.
 Koniec, powinien ieden bydz, co Ućciwego.
 A ten koniec, nie inszy iest, w rzadzeniu Ludzi:
 Tylko ten, do ktorego, cnota iedna budzi.
 Lecz y ten bydz powinien, szczegulny, iedyny
 Zebysmy, nie pragneli powagi, z przyczyny
 Swego tylko honoru. Bo pyche Tyranska.
 Ta syci Intencya, á nie sláwe Pánska.
 Ale sie, świecić trzebá, ná prace trudliwe,
 Aby, rzadnie czynić Scym, y Ludzie szczęśliwe.
 Gdy tego końca, nie ma Pan, omacku chodzi,
 Jak okręt, co bez Szypra, wiatr po morzu wodzi.
 Co nie wie, iákie gwiazdy? y sąsiedzkie brzegi?
 Rozbićiem smutnym kończy, swe błedliwe biegi.
 Krolowie, gdy nie wiedza, w czym zawisła cnota,
 Y ktora Iey prawdziwa, nie zmyslna robotá,
 Nie wiedza, czego w Ludziach swoich, szukać maia;
 A kiedy iaka ostrość, w cnotliwym uznaiá,
 Ktora sie, poddać żadzy Krolewskiej, nie umi,
 Záráz sie Krol iey leka, bo iey nie rozumi.
 A z tad sie, do pochlebstwa maia, fałszywego,
 Gdzie, ni cnoty nie znayda, áni nic szczerego.
 Potym sie przyzwyczaiá, prawdy nie znać w świecie,
 Bo nie slysza inszego, tylko kto im plećie.
 A iáko dobrzy, ná złych, wybornie sie znaia,
 Tak źli, dobrych ná świecie, nie rozeznavaiá.
 Tacy Krole, zároveň, wszystkich sie więc strzega,
 Zamykáia sie, chronia, zázdrośni kázdego.
 Boia sie zgoła ludzi, z światła ućiekáia,
 Ni tego, co w naturze swey sa, odkrywaiá.
 A lub sie chcą ukázac, tak nieznaiomemi,
 Przecie sie skryć nie moga, nic przed poddanemi.
 Tych ciekáwość złośliwa, doydzie Pána swego,
 A nikczemność Krolewska, nie zna z swych zádneho.
 Ci, co maia Interes, Pána w obleżeniu
 Trzymaiá, y kontenci, widzieć go w zamknieniu.
 Nie przypuszczá ich oká, żeby przeyrzeć miało;
 A fałzami, plotkami, y skárgá zuchwala,
 Poćciwych obwiniaia. W dzikiey wspaniałości
 Pędzá látá, y ciemney, tacy nikczemności.

Bojąc się oszukania, w nim są ustawicznie,
 Y godni są, że z nich drwią Poddani, oblicznie.
 Kiedy, z mało co Ludzi, więc kto konwersuie,
 Tylko tych, w się passye bierze, y przyjmuie;
 Na dyskrecyę takich plotkárzow, się dacie,
 Ich Igrzyskiem, iako chcą, mizernym się stacie.
 Tych, którzy rzecz naydroższą, mieniaią w truciznę,
 Y nie tak leczą rany, iak rozrzewia bliznę.
 Ktorzy to, z muchy słonia, y złe wszystko robia,
 A swoją rzecz iedynie, w oczach Páńskich zdobia.
 Niegodney ciekawości, tworźliwego Pána,
 Na żart, y zysk zazyia, iako to Tyranna.
 Rozznaway Telemaku, y doświadczay Ludzi!
 Z każdym gadać, y pytać, niechci się nie nudzi;
 Probuy z wolna kázdego, nie day się żadnemu
 Wmoc zupełną, ufając, aż doświadczonemu.
 Kiedy się zaś oszukasz, w twoim rozładzeniu,
 Oducz się bydź skwapliwym, w przedkim uwierzeniu,
 Ze ten dobry, albo zły. Zły się pokryć umi,
 Y żeby dobrych zgubił, złość kryie y tłumi.
 A tak, twa cie omyłka, uczyni ostrożnym.
 Kiedy zaś, znaydziesz cnotę szczerą, w kim pobożnym,
 Zazyway go z ufnością. Bo Ludzie poćciwi,
 Estymy y ufności, bardziey ząwzse chćiwi,
 Niż bogactw. Iednak, zbytnią władzą, ich popsować.
 Strzez się. Y nie raz, wiedz to, dało się próbować:
 Ze poty Człowiek, szczerze, był trwale cnotliwym,
 Poki się zbytnią władzą, nie uznał szczęśliwym.
 Który Krol? tak iest Bogom przyjemny, y miły?
 Zeby się trzech poćciwych, do niego przyszyli?
 Gdyby miał trzech, prawdziwych Przyiációł, na Dworze,
 W Mądrości y dobroci, dość stateczney porze;
 Łatwiy znaydzie y drugich, którzy podobnemi,
 Im się stana y mnięszych urzędow godnemi.
 Przez tych dobrych, którym my, zupełnie ufamy,
 Co sami nie możemy, przez takich poznámy.

Ale (rzecze Telemak) czy może zazywać
 Złych Ludzi byle zgodnych? Tak się trafia bywać;
 W potrzebie, Człowiek, musi (Mentor mu odpowi)
 Powierzyć spraw y złemu, podczas Człowiekowi.

W Náro.

W Náródzie, więc nie rzadnym, Ludzie oszuſtowie
 Zli w myśli, á dowcipni, y udátni w mowie,
 Przychodzą do powagi; y urzędy máia,
 Których odiać nie możná; mocno się trzymáia
 W przyiaźni z mocnieyszemi; których ochraniaiać,
 Y tych znoſić potrzebá, głębiey nie patrzaiać.
 Y takich Sceleratów, gdy się ich boiemy,
 Ochraniać, y záżywać, lecz ná czas, muſiemy.
 Potrzebá zaś, z daleká, záwsze myſlić o tym,
 Aby niepotrzebnemi ich poczynić, potym.
 Szczerę konfidencyi, ſtrzeż się, mieć zaś do nich,
 Tylko to powierzchownie pokaz, że dbaſz o nich.
 Bo gdyby, do ſekretu twego, się dobrali,
 Iák w łańcuchu żelaznym, w nimby cię trzymali.
 Do ſpraw przemijaiących, dobrze ich záżywać,
 A ichże páſſyami, ich wiary nábywać,
 Przy dobrym tráktámencie. Lecz do rad táiemnych
 Nie przypuſzczay. A im zaś, ſpoſobow przyiemnych,
 Záżyway, ábyś iák chceſz, onemi obracać,
 Kiedyś już ich páſſye, y zádze námácać.
 Ale klucza, od ſercá, nie daway im twego;
 Bo złoſliwi, złoſliwie, záżyia onego.
 Kiedy zaś Pańſtwo, wdobry rząd, się uſpokoi,
 Y twa ráda, w cnotliwych medrcow, się przyſtroi;
 Zli Ludzie, których przez gwałt, muſiaieſ záżywać.
 Stána się nie potrzebni? y kſzałtnie ich zbywać
 Možeſz; Lubo zaś záwsze dobrze ich tráktować
 Trzebá, y wdzięcznoſć uſług, choć złemu dochować;
 Y lub dobrze tráktuiac, czyniac ich dobrymi,
 Možeſz znoſić, Ludzkoſci, pomnieyſze w nich winy;
 Nie daway iednak, robić im, otwarćie złego,
 Ani im daway mocy, czego ſzkodliwego.
 Táć ſobie poſtepuiać, Krol mądry, uwaźny,
 Wſpráwiedliwoſć, y w dobry rząd, biegle poważny,
 Przyjdzie z częſem, że takich Ludzi, się pozbedzie,
 Oſzuſtow, y skáżonych, á dobrych nábedzie.
 Ale ná tym nie doſyć, gdy dobrych wybierze,
 Kiedy nowych, w náródzie ſwoim, nie dobierze.
 Trzebá, tym zaś podobnych, záwczaſu formować.
 Rzecz Telemak: To naſ, muſi zbyt koſztować!

Iák żywo. [odpowiedział Mentor] Twe stáranie,
 Y twe, cnotliwych Ludzi, godne wyszukanie,
 Drugich wzbudza do cnoty; y kto tálent w sobie
 Czuie, ten sie pokázac chce, w cnoty ozdobie,
 Iák siła Ludzi gnije, w gnuśnym opuszczeniu?
 Ktorzy Ludźmi wielkimi, byliby w Imieniu,
 Gdyby Emulacya, y pewnośc nadgrody,
 Ich wiodła, przez wdzięczności, w innych cne dowody.
 Iák siła drugich znowu? ktorych nadza, bieda,
 Wiedzie w zbrodnie, gdy cnota ná nic sie nie przyda,
 Gdy tedy rekompensy, bogactw y honoru,
 Do cnoty przywiązywać będziez, y humoru!
 Sámí sie wnet poddani, z cie formować będą,
 Sámí, doskonałości potrzebney, nábeda.
 Formować, y ty będziez; Kiedy ich powoli,
 Z stopnia ná stopień, wodzić będziez, z Páńskiey woli.
 A tak ich ćwiczyc będziez, táłentu doznaiac,
 Szczerę cnoty, y cnego rozumu mącáiac.

Gdy w takie tam dyskursy z Mentorem zábiegli;
 Jeden okręt Phéacki, z daleka postrzegli,
 Który stánał u wyspy, y pustey y dzikiey,
 Opasany, przez stráśznych skał, sterczących szyki,
 Wten moment, wiatr Im ustat, y Zefiry mile,
 Náwet dechu letkiego, záwárły wnet siłę.
 Wszystko morze stánęło, rownie, iák zwierciádło,
 Zágłe prozne od wiatrow, iáko prześcierádło
 Záwieszzone, okrętu popychać nie moga,
 Y Flisowie ustatli, pod práca tak froga,
 Z swoiemi łopátami. Do tey wyspy tedy,
 Záwinąć okrętowi przyszło, tylko z biedy;
 Ktora bardziey rozbiciu, niż Ludzi mieszkaniu
 Przyzwoita. W inlzy czas, byłoby w stáraniu,
 Zdáléká is omijac. Phéacy, co stáli,
 Z rowną niecierpliwością, ná wiátry czekáli,
 Iákó y Sáłentyni, dla kończenia drogi.

Telemak, skoro wysiadł ná brzeg, skały frogicy:
 Idac ku nim, potyká, y pyta, pierwszego:
 Czyś Ulissá nie widział w drodze? Krolá mego?
 Ten, ktorego on pytał, tak sie mu tráfiło,
 Nie Phéak cudzoziemiec był, á w twárzy miło

Powagi

Powagi coś Krolewskicy, się pokazywało,
Lecz się to smutkiem wielkim, z myślą, pokrywało;
Która on zamyślony, ledwo to pytanie:
Uwazał, przecie respons taki, mu dał na nie:

Niemylisz się że Ulis, był dobrze przyiety,
Na dworze Phœackiego Krola, kiedy Swiasty
Iupiter, jest uczczony, y kiedy w ludzkości,
Gościa zawsze przyjmuia; Lecz ten Krol, do włości
Swych, Itaku, powrocił. Iezeli Bogowie
Ublągani, dopuszczą, iego biedney głowie,
Powitać swe Penaty, swe domowe Bogi,
Po fatydze tak długiej, y fortunie frogiej.
Ledwo, odpowiadaiac, skończył słowa smutne,
Wpadł zaráz w gęste lasy, y w skały okrutne.
Zkad patrzał, w dal od Ludzi, w swym żalu na morze,
Tęskniac, że w tak spokojney, woda była porze.
Telemak, w niego wlepił, ciekawe swe oczy,
Im bardziey w niego patrzy, tym żaloscięy toczy,
Myśl o nim, z kompassyą, wraz y z podziwieniem.
Rzekł: Mentorze! Ten człowiek, choć swoim imieniem,
Nie znamy, y że mi, tak sam odpowiedział;
Iakby nie slyszal, y sam co mowi, nie wiedział,
Widzę pełen jest żalu; A ja zaś żaluje,
Każdego nieszczęsnego, gdy się nim bydz czuie.
Serce moje, nie wiedzac samo, zkad? y czemu?
Lituie się zbyt nad nim, y ma się ku niemu.
Dotyc mię on źle przyiał, serce iednak moje,
Wzdycha, życzac by skończył, on nieszczęście swoje.
Mentor się uśmiechając, wnet mu tak odpowi:
Oto na to, potrzebne nieszczęścia, człękowi;
Czynia Pánów skromnemi, wioda do litości,
Nad drugich turbacya, w ich nieszczęśliwości.
Poki tylko, trucizna szczęść, się napawiaia
Zá Bogow, á nie Ludzi, na świecie się máia.
Chca, aby na ich wola, gory się zmnieyszały,
Ludzi wszystkich rachuią, iak zá proszek mály.
Z natury całej, sobie żartuią, stworzenia,
Zá sen máia, gdy slysza rodzaje cierpienia.
Miedzy złym, miedzy dobrym, nie znáia różności,
Tylko iedne nieszczęścia, nadać im ludzkości,

Moga, y feree twarde iak opoka skály,
Przemienić ie, w ludczeyſze, y w humor wſpaniały.
Dopiero, że ſa Ludzmi, w biedzie doznawaia,
Ludzi ſobie podobnych, wtedy ochraniaia,
Jeſli cie nieznaiomy ieden, tak pobudził,
Do liſości? że ſoba iak ty, wdrodze nudził?
O iako ci należy, tey liſości znaku,
Zázywać, nad twym Ludem, cierpiacym w Itáku!
Ten Narod, który dadza, pod twoy rząd Bogowie,
Iako trzody Paſterzom, zwierzaia Pánowie,
Podobno przez twa pyche, zbytki, nie uwaga,
Stanie ſie nieſzczęſliwym! Bo te miey uwaga:
Ze poſpolſtwo nie cierpi, tylko Krolow bładem,
Ktorzy maia oddalać ich ucisk, ſwym rzadem.

Gdy tak Mentor rozmawiał; Telemak, w záloſci
Utopiony, záwołał! Wiec Krolow godnoſci,
Stan ieſt zbyt nieſzczęſliwy? Jeſli to prawdziwa?
Niewolnikiem ci on to, tych ſamych wždy bywa,
Ktorem ſie zda panować! ni ſobie ſtworzony,
Ale im bydź powinien, y ich obciążony
Potrzebami, y życie dla Ludu całego,
Y znowu w oſobnoſci, dla czleka káżdego.
Do ſlaboſci ich, ſklaniać, powinien ſie zgoła,
Po Oycowſku poprawiać, w weſoloſci czola.
Skromnemi, ſzczęſliwemi, ma ſie ſtárac czynić,
Ich kłopotami, ſwoich kłopotow przyczynić.
Powaga, która ſie zda mieć, tá nie ieſt iego;
Y czynić nic nie moze, dla guſtu ſwoiego.
Bo, pod práwá bydź władza, iemu bydź poſlušnym;
Muſi bydź dla przykłądu, ieſli chce bydź ſłuſznym.
Słowem, ieſt práw obrońca, by te krolowały.
Strzedz, pracować powinien, káždy Krol wſpániały.
Ze wſzyſtkich ſwych poddanych, on nayniewolnieyſzy,
A z Kroleſtwa całego, naynieſpokoynieyſzy.
Wſzyſtko to práwda [rzecze Mentor] że Krol Krolem,
Tylko ná to, by wſzyſtkich záſtąpił ſwym bolem.
Aby miał, o národzie, ſtáranie takowe,
Iák páſterz o ſwey trzodzie; álbo iák domowe,
Dobry Goſpodarz rzady, prowadzi z pilnoſcia,
Ale ty Telemaku! z twoia roſtropnioſcia,

Rozumiesz ? że taki Krol, jest tak nieszczęśliwym ?
 Który tak siłu, może czynić dobrze ? Żywym
 (Kárzac złych, dobrym płacać) jest Bogów obrazem,
 Gdy do cnoty prowadzi, ludzkie plemię razem,
 Azaz mało ma sławy, kiedy strzeże prawa ?
 Nad ktore się wynosić, jest to próżność zwáva,
 Która godna kontemptu, y iey obrzydzenia,
 Muśi bydz nieszczęśliwym, z takiego rzadzenia.
 Gdyż pokoiu, w swych rzadach, zły Krol mieć nie może,
 Ktorego naśladować, strzez cie mocny Boże.
 A kiedy zaś jest dobrym, to práca cnotliwa,
 Napelni go poćiecha; Nad to, się spodziewa,
 Rekompensy od Bogów, w nieśmiertelney chwale.

Ná te wszystkie racye, Telemak, rzekł: Ale
 Coż rzeczesz ? ná niewdzięczność Ludzi, naturalną ?
 Iáko ja, mam zadawać pracę sobie, walną ?
 Bym był od nich kochany ? á oni nie będą
 Mnie kochać ; A dopieroż, niecnotliwa zrzeda,
 Co im dobrze uczynię. oni ná me szkody,
 Zazyia dobrodziejstwa, przez złości przywody.
 Mentor rzekł: Niewdzięczności, trzeba się spodziewać,
 A przecie dobrotliwym, nie przestawać bywać;
 Nie tak dla nich, im służyć, iak dla Bogów chwały;
 Dobrym, nigdy nie zginie, uczynek wspaniały.
 Ieśli Ludzie zapomniá ? nie zapomniá Niebá;
 Co od Ludzi nie przyjdzie, czekać z gory trzeba.
 Do tego, ieśli ow gmin Ludzi, pospolity,
 Nie odda twej wdzięczności, pracy należytej ?
 Będą zawsze poćiwi, co szacować cnotę,
 Będą umieć. Y sam gmin (chociaż te motłote,
 Za odmienną trzymamy) będzie sprawiedliwy,
 Y uznawszy twą cnotę ! będzie ci życzliwy.
 Ale przeciw niewdzięcznym, tak przezornym byway:
 Zebyś ich, tych nałogów oduczył ? zazyway
 Tego: Abyś, nie ieno w tym, zawsze pracował,
 Byś ich w bogactwach, w sławie, w woynach promowował;
 Bo buyność, y dostátek, czyni Ludzie złemi,
 A potem, tá rozpustá, predko niewdzięcznemi;
 Lecz się bardziej aplikuy: złe ich obyczáie
 Poprąwiać, y te zniószy, nie dobre zwyczáie,
 Wkorzeniać w umysł szczerość, y ludzkość w skromności,
 Boiaźń Bożą, y słuźność, przy godney kárności.

M m m m

Dobremi

Dobremi gdy ich zrobisz, wdzięcznemić bydź musza;
 Bo prawe im dasz dobro, gdy dasz cnotę z duszą.
 Tá gdy będzie státeczna, do miłości Tego,
 Ich wiedzie, takie dobro, máia od ktorego.
 Czy trzebaż się dziwować? że Ludzie tym Pánom,
 Są niewdzięczni? ktorzy są powodem, swym stánom.
 Do pychy, nieludzkości, zázdrości z sąsiady,
 Do ambicyj, zley wiary, do wojny, do zwády?
 Táki Pan, czegoż się ma spodziewać inszego?
 Od poddanych? Tylko, sam nauczył ich czego.
 Gdyby zaś, swym przykładem, czynił ich dobrymi,
 Wenoćie ich, miałby owoc, pracy swoiey, z niemi.
 A przynajmniey, w swey cnoćie, y w Bogow wdzięczności.
 Znalazł by swa pociechę, żywey szczęśliwości.

Pod czas tego dyskursu, Telemak obracał,
 Często oczy ku morzu; ná ktore się wracał
 Wiátr znowu, y burzył go, podnaszając wáły,
 Y bieląc piana morską, brzegowe tam skáły.
 Okret zaráz Phéacki, podniósł ná wiatr zagle,
 Krzyk Flisow, brzmiał ná odiazd, niecierpliwych nágle.
 A w tym, on nieznaiomy, z którym Telmak gadał,
 Y co mu, tak wielki żal, y zdumienie zádął,
 Gdy się błakał po leśie, y z wierzchołku skáły.
 W wielkiey melancholij, w nieprzecyrzany cáły,
 Morza prospekt się patrzył; A Telemak z niego,
 Nie spuścił oká, káždy krok ráchuiąc lego;
 Ten, mowie, gdy obaczył, gotowość okretu,
 Ze skał zbiegł, bez uwagi, zawiłego kretu.
 Z taką dziwną chybkością! Iák Pheb złotowłosy.
 W przepaść leci Licyi, zá poranney rosy,
 Szyiac dziki, lelenie; Tak ow nieznaiomy,
 Wbiegł ná okret, y stał się dopiero widomy.
 A z nim okret, słonych wod, kraiac mićkie wáły,
 Od ziemi się oddalił, w czas krotki y máły.
 Potáiemna moc żalu, Telemaka wzięła,
 Oczy łzami, nie wiedzieć zá co, mu poczeła
 Zálewać; y już nad płacz, nie ma nic miłszego;
 W ten czas, gwałtem odrywa, oko smutne z niego,
 A obraca, ku swoim Flisom zaś, z Sáłentu,
 Spiących y zmordowanych, budzi do okretu.
 Ci leżeli ná trawie, y zbyt twardo spali,
 Sny słodkie, wszystkie członki, Ich opanowały.

Bo Minerwa mak senny, swoiey wielkiey mocy,
Wdzień nastąpi, co tylko, schodzi Ludziom w nocy.
Telemak zadumiony, że Sálentynowie,
Spia iakoby zarznieći, kiedy Phèákowie,
Tak pogodnego wiatru, zażyć pilni byli,
A iego zaś Flisowie, chwilę opuścili.

Ieszcze iednak, mu trudniey, oderwać się było,
Od patrzenia ná okret, który widzieć miło.
Tandem, z oczu mu znika; nie wiedzieć co trzyma,
Afekt Iego, tak ściga sercem, y oczyma
Ow okret; ktorego się, ledwo zagiął bieli;
Sam nie jest on przy sobie; myśli go obieły,
Ze Mentora nie słucha, co gada do niego;
Podobien do szaleństwa [tak rzekł] owego.
Co swawolne Menades, Thyrs w reku trzymając,
Wgorach cierpią Rhodopy, szalenie wołając.

Przecie trochę przychodzi, z tego zachwycenia,
Ale się mu lzy rzucą, znaki utrapienia.
A w tym Mentor: Nie dziw mi, Telemaku! rzecze,
Ze tak gesta lza, z oczu smutnych twoich ciecze;
Zalu twego przyczyna, tobie nie widoma,
Lecz twemu Mentorowi, jest dobrze znaioma.
Natura się odzywa, y czuć ci się daie,
Ktora serce twe smuci, y niby go krąie.
Nieznaiomy, który cię zasmucił, bez znaku,
Jest Ulisses twoy Oćiec; który do Itaku
Płynie, y już jest blisko, tych mieysc pożądaných;
Po lasach, y tak długich drogach, oplakanych.
Twoie oczy (iako ci, niegdy przerzeczono)
Widziały go, lecz tylko, pod smutną zástoną.
W krotce go sam obaczysz, oba się poznaćie;
Ale teraz Bogowie, dość łaskawi ná cie,
Nie mogli wam pozwolić, gdzie Indziej poznania,
Tylko w samym Itaku, gdzie koniec wygnania.
Y Iego nie mniey serce, iak tve się wzruszyło,
Ale on nie dopuścił, żeby się odkryło.
Zyiacemu ná świecie, ná mieyscu takowym,
Gdzieby zdradom złych Ludzi, y Insultum nowym,
Gachow swey Penelopy, mógł by bydz podległy.
Ulisses, cny twoy Oćiec, madyr zbyt y biegły;
W sercu iego iak studnia, jest Sekret głęboki,
Tym zwyciężył surowe, ná siebie wyroki.

Lubi prawdę, y nie ley, nie rzeczce przeciwnie,
Ale tey, bez potrzeby, nie powie. Ta dziwnie
Madrość, iako pieczęcia, zawarła mu usta,
Ze z nich wynisć nie może, nigdy mowa pusta.
Y teraz, gdys się z niego, o nim samym badał?
Gdy cie słyszał y poznał! wiesz iak mało gadał!
Aby się był nie wydał. O! co patrzac na cie,
Nie wycierpiał! z tad smutnym był, iak widzisz, Bracie.

Telemak pomieszany, na Mentora słowa,
Rozchlipał się, że mu aż, zamknęła się mowa.
Lecz po łzach długich krzyknie! Ach Mentorze drogi!
Czułem, w tym nieznaiomym, taki affekt frogi!
Ze wnetrzności me wzbudzał, y ciągnął do niego!
Lecz ty, czemuś nie przestrzegł, przed odiażdem lego;
Ze to moy był Ulisses? kiedyś go znał całe;
Czemuś z nim sam nie gadał? y na moje zale,
Puścił go iakbyś nie znał. Co za tajemnica?
W tym Bogowie mieć chcieli? Lubo Im nie przycza.
Także zawsze, nieszczęsnym, bede! y mnie Bogi,
Gniewliwi trzymać beda! iak Tantalą w frogiey
Wodzie? która mu od ust, uschłych uciekła?
Ulissie! twe widzenie, iak pociecha mała!
Ponoś uciekł na zawsze, wiecey cie nie zocze!
Gachowie Penelopy, (na co la łzy toczę,)
Podobno cie w te sielą, zasadzki zchwytali!
Ktore mnie nieszczęsnemu, zdradliwi stawali.
Gdybym był z nim poiachał, z nim bym był y zginął;
Ulissie! iakmi ciężko! zem się z tobą minął.
Czy cie burza, o iaka skąle, nie rozbije?
Na fortuny zawziętość, tak mi serce bije;
Lekam się, by y Twoie, takie przeznaczenie,

* Agamemnon. Hetman Grecki pod Troja, z tryumfem po wrociwszy do Domu, od Chloemne sry Zony swojej, zabity, dla Gacha Egipta.

Nie było! * Agamnemnon, iakie miał zginienie.

Aleć, czemuś Mentorze, szczęścia mi zazdrościł!

Iuż bym go teraz ścisnął, z nim w Itaku gościł.

Bilibyśmy Naiezdczow, w społeczney działalności.

Mentor rzeczce: Na probe twoiey cierpliwości.

Bogowie zawieśli, umysł uteskniony;

Ty kładziesz, ten czas krotki, iako za stracony,

A on naysposobniejszy; bo ci cnoty zyczy,

Ktora tych, co chcą rządzić, w cierpliwości ćwicz.

Kto rządzić chce sam drugich, rządzić się ma sobą,

A tego tylko doydzie, cierpliwości proba.

Nie

Niecierpliwość, co się zda, z wigoru pochodzić;
 Jest słabość, która Ludzi, na złe zwykła wodzić.
 Kto czekać, y kto cierpieć, prawdziwie nie umi,
 Ten y sekretu trzymać, milcząc, nie rozumi.
 A za tym y sił nie ma, na swe utrzymanie.
 Jak tego, jest daremne, do mety bieganie,
 Który nie ma rak silnych, by konie zhukane,
 Zatrzymał, gdy potrzeba, w zawod przypuszczane;
 Bo wędzidła nie czuwać, kiedy na łeb leca.
 Zgruchotanym powozem, woznicę wzdł mieca;
 Tak y niecierpliwego, żądze nie wstrzymane,
 Wciągną w przepaści nieszczęść, mu nie oplakane;
 Im większa moc jest jego, tym mu fatalniejsza.
 Nie cierpliwość, nie słucha nic, (a co straszniejsza)
 Nie pozwala nic czasu, na pomiarkowanie,
 Gwałtownie łamie rzeczy, na ukontentowanie.
 Łamie gałąź, niżli się, owoc mu dostoi!
 Łamie drzwi, nie czekając, otwarćia podwoi!
 Chce kość z pola kłosa, kiedy oracz sięie!
 Co chce nagle, wszystko złe, z nim w sprawach się dzieie.
 Nic trwałego nie może bydz; jak umysł jego
 Pusty, tak są y dzieła. Zamysły takiego.
 Są takie, który mniema, że mu wszystko wolno.
 Co złe mocy zażywa, z chęcią nie udolna.
 Y ciebie Telemaku! cierpliwym Bogowie,
 Uczą bydz, y ćwiczą cię, y w skutku, y w mowie.
 Dobra, co się spodziewasz, ci się pokazują,
 Y zaraz, jak sny letkie, z rak twych odlatują;
 Abyś się sam nauczył, że co w ręku trzymać
 Rozumiesz? ginie prędko, nie da się poimać.
 Naymądrze, Ulissesa, tyłoby nauki,
 Nie dały ci, iako te, złey fortuny sztuki.
 Niebytność jego, z pracą ktorey szukasz dawno,
 Będzie ci, pożyteczną Mistrzynią, y sławną.

VV

Telemak, tych słow słuchał, zgorzkością wtey porze,
 Już nie widzi okrętu, przecie się na morze,
 Obraca; A gdy oczy, na Mentora wruci,
 Zapłakane, y w mowie, jego jeszcze smuci;
 Obaczy, aż tu razem, twarz Mentora jego,
 Nową postać w się bierze; y stārca owego,
 Głina marszczki już z czoła, iako nikną cienie,
 Gdy jutrenka, różowe palce, na wschodzenie

Słońca, do brám przyłoży, Niebieskich podwoi,
 Y ogniem zápálony, horyzont ustroi.
 Oczy iego západłe, w błękitne się mienia,
 Y Niebieską słodyczą, w Boskie się płomienia.
 Broda siwa zniknęła, ná tych miast wspaniała
 Twarz wzdziśkow pełna, w oczach, razem zaiásniála,
 Telmaka zdumionego. Który wnet poznać,
 Twarz śliczney Białeygłowy; á tey płeć się zdáć.
 Gładzka niżli kwiat, teraz, od słońca rozwity,
 W niey róża, y lilja, kolor znamienity.
 Mieszka. W tey twarzy, wieczna młodość, ząkwitnęła,
 Majeſtat naturalny, y niedbały wzięła.
 Zápach Ambrozyj, z włosów rospuszczonych, idzie,
 Nuż, gdy ná suknie poyrzeć, zdumionemu przyjdzie?
 Żywemi kolorami, te się tak świeciły,
 Iák obłoki maluje Phebus, cudnie miły.
 Ze zaś Bóstwo, nie ziemi nie tyka, nogami,
 Ale iák Ptak dzielny, wznosi się skrzydłami.
 W mocarskiej ręce, Łańce trzymała, świeczące,
 Pod ktoremi drża Woyska, Miasta wojujące.
 Mars, sam by się icy był zląkł. Głos skromny y miły,
 Przyjemny, jednak mocny, y potężny w siły.
 Słowa icy, iák poćiski z ognia, przerazały
 Serce cne Telemaka, y umysł wspaniały.
 Wraz mu, zádając iákis żal, z roskosza wpoły,
 Pomieszane z poćiecha troski, y mozoły.
 Ná głowie szyszak, ná nim, gruba z Athen, łowa,
 Ná piersiach zaś, iásniála Egida surowa.
 Po tych znakách, Telemak poznawa Minerwę;
 Rzekł: O! Bogini! Tyś to! (że swoje lzy przerwał)
 Tyś to! Syna Uliffa, dla miłości iego.
 Prowadzićś raczyła? A w tym, słowa z niego
 Wynieść daley nie mogły; Usta się ruszały.
 Y słowa się, z impetem wielkim, dobywały,
 Zgruntu serca y gęby; Lecz Bóstwo przytomne
 Zmieszało go, czyniac mu, usta tak utomne.
 Był, iák Człowiek, co we śnie, przez krwi náciśnienie,
 Chce wołać, á nie może, tracąc odetchnienie.
 Ná koniec mu Minerwa rzekła, takie słowa:
 Tá oſtátnia do ciebie, dziśiay moja mowa:
 Sluchay, Synu Uliffa! nikogom ná świecie,
 Z taką nie wychowała pilnością, iák dziecię;

Wiodąc cie ja za rękę, przez rozbięcia Morskie,
 Przez kraje nieznajome, przez Intrygi Dworskie,
 Przez boje krwawe, y to, co tylko spróbować
 Serce Ludzkie wżdy mogło, chciałam cie salwować.
 Oczywiſte przezyrzenie, Lekcyę życzliwe
 Dawalam: Co maxymy dobre? lub fałszywe?
 Sa ci do Panowania; A nieszczęſcia twoie,
 Były ci, iak y błędy, potrzebne oboje.
 Bo któryż Człowiek! mądrze może ſam pánować!
 Który nie nie ucierpiał? który nápráwować
 Przez błędy ſwe, nie umi? Tyś tak przypadkami,
 Iak twoy Ociec, nápełnił ziemię, y z morzami.
 Idź teraz, już godzienieś, wſtąpić wſtrzenie jego,
 Już krotki, do Itaku przejazd, maſz do niego,
 W którym, ſtanał już Ociec. Wojuy wraz z nim, zwawie,
 A bądź mu tak poſlušnym, iak poddany práwie.
 Day przykład drugim z ſiebie; On ci da za Zonę,
 Anthypę; ſzcześliwſzy przez nią, niż koronę,
 Będieſz. A to, żeś wiecey uważał, w niey ſtátek,
 Niż urodę y pieknoſć, y Páński doſtátek.
 Gdy zaś zácznieſz pánować! ſtáráy ſie wprzód o to:
 Abyś przywrocił pamieć wiekow złotych, złotą.
 Słuchay! wſzytkim wierz mało, á zaś naymniey ſobie;
 Závſze ſie boy oſzukać; iednak w mądry dobie.
 Nie wſtydź ſie, żeś pobłádził, drugim pokázować,
 Kochay twoy Lud, y nad tym, nie leń ſie pracować.
 Aby cie Lud twoy kochał, y boiaźń potrzebna,
 Kiedy miłość uſtáie, w poddanych chwalebna;
 Ale ieý tylko záżyj, iak leków gwałtownych.
 Uważay, á z daleka, z uwag cnych y głównych,
 Wſzytko, co ſie ſtać może. Kiedy co poczynayſz!
 Upatruy ſrogi záwod, gdy dzieło nápinayſz.
 Wiedz, że w tym ieſt odwaga, y prawdziwe meſtwo:
 Strzedz ſie [á gdy nie można] znieſć niebeſpieczeńſtwo.
 Bo, kto tego niechce znać, ten ſerca meznego.
 Nie ma, aby to widział, co mu trwożliwego.
 Ten zaś, co go ſam ſobie, ná oczy przekłada.
 Co oddala iak może; A kiedy ſie nada,
 Nie wzruſzenie ſie kuſi, áby go znioſł, cały!
 Ten ſzczegulnie ieſt mądry, meżny, y wſpaniały.
 Roſkoſzy, dum, rozrzutow, ſtrzeż ſie, iak niecnoty.
 Sławę twoią pokładay, w iſtoście proſtoty

Cnoty. Dobre akcye, niech będa ozdoby,
Dworu, pałacu twego, y twoiey osoby.
Te gwardya twa będa. Niech się każdy z ciebie,
Wczym szczęście stoi, uczy, y formuie siebie.
Nie zapomnieny! że Krole, nie dla się pánuią,
Ale dla dobra Ludu: Y co zostáwuią
Dobrego? To ná wieki naydalsze, Im słynie,
Iáko, y złe co czynia, nigdy zaś nie zginie,
Po rodzaiach naydalszych. Boy się Telemaku
Bogow; Przy tey boiazni, szacowanym znaku,
Skarb w sercu chować będziesz; A z nią poydzie pewnie
Madrość, y sprawiedliwość, pokoy, radość, rzewnie,
Uciechy czyste, szczera wolność, buyność miła,
Y spráwa bez przymowki, y dobrego siła.

Iá cie, Synu Ulissa, zostáwuię; Ale
Moia madrość, nigdy cie nie odstąpi, cále.
Byleś czuł, że się bez niey, nic czynić nie godzić.
Iuż czas, ábyś się uczył, sam bezemnie chodzić.
Dla tego, w Phenicyi z toba, y w Sálencie,
Odlaczyłam się, ábyś, uczył się w odmenćie,
Bez tey mey żyć słodyczy, Iáko odlaczaia
Dzieci od mamek, gdy ich w potrawy wuczaia.

Ledwo dyskurs ten mądry, Bogini przecięła,
Wzniosła się ná powietrze, w obłok uwinęła,
Złoty, y lazurowy; w nim niknac, się toczy;
A Telemak zdumiony, nie śmiać podnieść oczy,
Wzdycha, y sam tak ciężko, padł twarzą ná ziemię,
Ze ręce tylko, w Niebo wznosił, chylac ciemię.
Potym pobiegł, y wzbudził, swoje Towarzysze;
Ruszył się, y w Itáku stánał, w zbyt poćisze.
Gdzie, u Eumea, predko, swego Oycá poznał,
Szczęśliwy! po tak długiey biedzie, ktorey doznał.

